





MICHAEL CORDY

**KOD
MESJASZA**

Przekład
TOMASZ WILUSZ
PRZEMYSŁAW BIELIŃSKI

&
AMBER

Tytuł oryginału
The Messiah Code
(formerly The Miracle Strain)

Redakcja stylistyczna
Elzbieta Novak

Redakcja techniczna
Andrzej Witkowski

Korekta
Jolanta Kucharska
Renata Kuk

Ilustracja na okładce
Photo: Alamy, design: N. Keevil/TW

Skład
Wydawnictwo Amber

Druk
Wojskowa Drukarnia w Łodzi

Copyright © 1997 by Michael Cordy.
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2006 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-2513-2
978-83-241-2513-5

Warszawa 2006. Wydanie I

WYDAWNICTWO AMBER Sp. zoo.
00-060 Warszawa, ul. Królewska 27
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Dla Jenny

*Są w tobie i we mnie; to one stworzyły nas, nasze ciało i umysł;
a ich przetrwanie jest podstawowym celem naszego istnienia...
Nazywamy je genami.*

Richard Dawkins

*Człowiek nie powinien zadowalać się tym, co w zasięgu ręki,
inaczej po cóż byłoby niebo.*

Robert Browning

PROLOG

1968, południowa Jordania

Czy to rzeczywiście prawda? Czy po dwóch tysiącach lat oczekiwania przepowiednia miała się wreszcie wypełnić za jego życia, za jego przywództwa?

Śmigłowiec Sikorsky przeleciał nad Petrą, jego cień przemknął jak owad ponad starożytnym miastem wyciosanym w skalistych urwiskach. Wspaniałe posągi i kolumny mieniły się czerwienią w blasku późnego popołudnia, ale Ezekiel De La Croix nawet nie spojrzął w dół, obojętny na zapierające dech w piersiach piękno opustoszałego miasta. Z oczami utkwionymi w horyzoncie wypatrywał pośród oceanu piasku miejsca, w którym helikopter miał wylądować.

Jeden z jego dwóch współpasażerów się poruszył. Obaj - w ciemnych garniturach, pomiętych jak jego - własny - spali wyczerpani podróżą. Nie mieli chwili odpoczynku od przyjazdu do Genewy, gdzie wyciągnęli go z zebrania zarządu banku Bractwa, by przekazać wiadomość.

Wiadomość, która zmieni wszystko. Jeśli jest prawdziwa.

Ezekiel zerknął na roleksa na nadgarstku i przecesał dłonią przerzedzone siwe włosy. Od chwili kiedy usłyszał, co się stało, minął cały dzień - tyle czasu zajął przelot wycarterowanym samolotem do Ammanu, gdzie czekał helikopter Bractwa. Podróż liniami lotniczymi byłaby tańsza o tysiące franków szwajcarskich, ale dla Bractwa pieniądze nie były ważne. Ważny był czas. Dwa tysiące lat.

Od celu dzieliły ich już tylko minuty. Ezekiel nerwowo przekręcił na palcu pierścień przywódcy - krwistoczerwony rubin osadzony w krzyżu z białego złota - i jeszcze raz zapewnił sam siebie, że przybył najszybciej, jak mógł.

Rytmiczny łoskot łopat śmigła tylko wzmagał napięcie. Helikopter sunął nad piaskiem, pozostawiając z tyłu urwiska Petry. Minęło dziesięć minut, nim Ezekiel wreszcie zobaczył to, czego szukał: pięć samotnych głazów tworzących wyzywająco wzniesioną pięść pośrodku pustyni. Pochylił się i spojrzął w dół na największy ze skalistych słupów, wysoki na ponad piętnaście metrów. Wyglądał jak kiwający na niego palec. Ciarki przebiegły Ezekielowi po karku. Moc, jaka biła z tego miejsca, zawsze na niego działała, ale tego dnia była wręcz nie do zniesienia.

Pięć głazów odwzorowano na niewielu mapach, a i to tylko jako bezimienny układ poziomic. Poza członkami Bractwa o ich istnieniu wiedzieli tylko nieliczni: dawni poszukiwacze wody, Nabatejczycy, którzy przed tysiącami lat wędrowali po tym piaszczystym pustkowiu, i w ostatnich czasach beduińscy koczownicy. Nawet jednak ci książęta pustyni omijali z dala skupisko głazów i zamiast schronić się w ich skromnym cieniu, woleli kierować się na północ, do Petry. Z sobie tylko znanych powodów bali się zbliżyć do tego miejsca, które nazywali Asbaa El- Lah - Palce Boga.

- Łądujemy! - krzyknął pilot przez warkot wirników.

Ezekiel nie odpowiedział, wciąż zahipnotyzowany widokiem skał górujących nad pustynią. U podnóża jednej z nich pod występem stały trzy zakurzone land-rovery. Do tylnych zderzaków przyczepiono maty, by zacierają ślady kół na piasku. Najwyraźniej wszyscy byli już na miejscu.

Zerknął na śpiących towarzyszy. W świetle poza Bractwem jeden z nich był wpływowym amerykańskim przemysłowcem, drugi czołowym włoskim politykiem. Obaj należeli do złożonego z sześciu osób Najwyższego Kręgu; jego pozostali członkowie prawdopodobnie czekali u wejścia do Świętej Groty. Ezekiel był ciekaw, ilu jeszcze członków Bractwa zwabiły tu plotki. Choć organizacja obsesyjnie strzegła swoich tajemnic, nie można było długo ukrywać takiej wiadomości.

U podnóża najwyższej skały wirniki zaczęły pracować głośniejsze. Kiedy helikopter wreszcie wylądował, Ezekiel De La Croix otworzył drzwi i ze zręcznością niezwykłą jak na sześćdziesięciolatka zeskoczył na spieczoną słońcem ziemię. Mrużąc oczy przed kłuszącymi ziarnami piasku, wybiegł spod śmigła. Przed sobą zobaczył otwór w wysokiej skale. W łukowatym przejściu stał mężczyzna w lekkiej marynarce. Ezekiel od razu rozpoznał

w nim brata Michaela Urquarta, innego członka Najwyższego Kręgu. Urquart swego czasu był świetnym adwokatem, teraz jednak rozżył się i postarzał. Patrząc na niego, Ezekiel zaniepokoił się, czy jak większość członków Kręgu także i brat Michael nie jest zbyt stary i zmęczony, by sprostać nowym wyzwaniom.

Uściskał jego prawą rękę.

- Niechaj będzie zbawiony - powiedział.

Brat Michael podał mu lewą dłoń i ich złączone ręce utworzyły krzyż.

- Aby mógł zbawić sprawiedliwych - odparł Urquart, kończąc znane od wieków powitanie.

Ich dłonie się rozłączyły.

- Coś się zmieniło? - Ezekiel ostrzegał go spojrzeniem, by nie ważył się powiedzieć, że męcząca podróż poszła na marne.

Na znużoną twarz brata Michaela wypłynął uśmiech.

- Nie, ojciec Ezekielu, nadal jest tak, jak ci powiedziano.

Ezekiel był tak spięty, że zdobył się tylko na cień uśmiechu. Nie zważając na dwóch współbraci ociężale gramolących się z helikoptera, klepnął Urquarta w ramię i wszedł do jaskini.

Powstała w wyniku erozji, niczym nie różniła się od innych naturalnych jaskiń w tych okolicach. Miała mniej więcej trzy metry wysokości, sześć metrów szerokości i tyleż głębokości; jedyny ślad ludzkiej obecności to ustawione pod ścianami pochodnie. Ezekiel zauważył z ulgą, że rysujący się w mroku portal jest już otwarty; odwalenie ciężkiego kamienia mogło zająć całe wieki. Przeszedł przez otwór i jego oczom ukazały się dwie duże lampy gazowe oświetlające mozaikową podłogę i ściany z wyrytymi imionami wszystkich poprzedników: tysiący braci, którzy na próżno czekali na tę chwilę. Na środku komory znajdowały się Wielkie Schody, wyciosane w kamieniu i schodzące spiralą sześćdziesiąt metrów niżej, w głąb skały ukrytej pod piaskami Jordanii.

Nie czekając na pozostałych, Ezekiel ruszył po wytartych stopniach w dół. Zamiast trzymać się zastępującego poręcz sznura, opierał się o chłodne kamienne ściany. U podnóża schodów ciemność rozprasały pochodnie, migoczące w strumieniu powietrza z tuneli wentylacyjnych. Płaskorzeźby i freski na niskim suficie zdawały się tańczyć w pulsującym świetle.

Ezekiel wyszedł na kręty korytarz prowadzący do Świętej Groty. Miał ochotę rzucić się biegiem, ale powstrzymał się i szybkim krokiem ruszył naprzód, stukając obcasami o gładką kamienną posadzkę wyszlifowaną stopami jego niezliczonych poprzedników.

Za ostatnim zakrętem korytarza usłyszał głosy i zobaczył dziesięć osób zebranych przed strzegącymi dostępu do grotty trzymetrowymi drzwiami z hebanu, ozdobionymi heraldycznymi szewronami i krzyżami. Jak widać, wieści wy dostały się poza Najwyższy Krąg i szeregowi członkowie Bractwa przybyli, by przekonać się, ile w nich prawdy. Byli tu też pozostali dwaj członkowie Kręgu: tęgi brat Bernard Trier nerwowo gładził kozią bródkę, a wysoki, chudy brat Darius na widok Ezekiela uniósł rękę, ucinając wszelkie rozmowy. Wszyscy odwrócili się do przywódcy i zamilkli.

Przechodząc pospiesznie obok grupy braci, Ezekeel powitał brata Dariusa zgodnie z rytuałem.

- Niechaj będzie zbawiony.
- Aby mógł zbawić sprawiedliwych.

Ich dłonie rozłączyły się i zanim Ezekeel zdążył o cokolwiek spytać, Darius odwrócił się do swojego młodszego towarzysza.

- Bracie Bernardzie, zaczekasz tu, a ja zaprowadzę ojca do środka. Kiedy orzeknie, że znak jest autentyczny, będziesz mógł otworzyć drzwi pozostałym.

Bernard uchylił lewe skrzydło drzwi przy wtórze skrzypiących wiekowych zawiasów. Ezekeel z Dariusem wśliznęli się do środka i drzwi zatrzasnęły się za nimi z hukiem, który rozbrzmiał echem we wnętrzu grotty.

Jak zawsze po wejściu do Świętej Grotty Ezekeel przystanął, poruszony jej majestatyczną prostotą; na szorstkich, kwadratowych filarach wspierały się tony skał, wyciosane ściany ozdobione były gobelinami, skalny sufit złocił się ciepłym blaskiem niezliczonych pochodni i świec. Tego dnia jednak jego oczy od razu powędrowały ku ołtarzowi na końcu grotty.

Przeszedł za filary, na środek mozaikowej podłogi. Ołtarz, jak zwykle nakryty białą płócienną tkaniną z czerwonym krzyżem, był stąd dobrze widoczny; spojrzenie Ezekiela spoczęło jednak bliżej, na okrągłym otworze w kamiennej podłodze. Nie większy od ludzkiej głowy, okolony był ołowianą gwiazdą. Z jego wnętrza dobywał się płomień.

Ezekeel De La Croix z wahaniem podszedł do Świętego Ognia, płonącego nieprzerwanie od przeszło dwóch tysięcy lat. Okrążył go cztery razy, zanim uznał, że to, co widzi, jest prawdziwe. Żadnych więcej wątpliwości. Płomień, przez niemal dwadzieścia wieków pomarańczowy, zajaśniał oślepiającym niebiesko-białym blaskiem, jakiego nie oglądano od czasów, kiedy Mesjasz po raz pierwszy zstąpił na ziemię.

I wtedy z jego oczu polały się łzy. Nie mógł ich powstrzymać. Świadomość, że stoi w obliczu przeznaczenia, że spotkał go tak wielki zaszczyt,

była zbyt silna. Zawsze przypuszczał, że z końcem drugiego tysiąclecia Święty Ogień może się zmienić, zwiastując Paruzję - Powtórne Przyjście. Nie śmiał jednak robić sobie nadziei, że dożyje tej chwili. A jednak przepowiednia spełniła się właśnie teraz, za jego przywództwa. Żałował tylko, że jego ojciec, a także wszyscy przodkowie i dawni członkowie Bractwa, których imiona uwiecznione zostały na ścianach, nie mogli razem z nim cieszyć się tą chwilą- chwilą, dla której żyli.

- Ojciec Ezekielu, czy mam wpuścić pozostałych? - spytał brat Darius ochryplym głosem.

Ezekiel odwrócił się i zobaczył, że oczy brata też lśnią od łez. Uśmiechnął się.

- Tak, przyjacielu. Niech zobaczą to, co zobaczyliśmy my.

Czekając przy ołtarzu, patrzył, jak do Świętej Groty wchodzi członkowie Najwyższego Kręgu, a za nimi bracia, których przyciągnęły tu plotki. Przez chwilę milczał, pozwalając, by nasycili wygłodniałe oczy widokiem płomienia. Kiedy napatrzili się do syta, podniósł ręce, nakazując milczenie.

- Bracia, znak jest autentyczny. Spełniło się Proroctwo Łazarza. - Umilkł i powiódł wzrokiem po ich twarzach, usiłując spojrzeć każdemu w oczy. - Mesjasz znów jest wśród nas. Długie oczekiwanie dobiegło końca, czas rozpocząć poszukiwania.

Patrząc na swoich rozradowanych współbraci, Ezekiel modlił się tylko o jedno: żeby dane mu było dożyć chwili, kiedy wypełni się Pierwszy Imperatyw Bractwa Powtórnego Przyjścia. Z uśmiechem wznosił ręce wysoko, jakby chciał sięgnąć samego nieba.

- Niechaj będzie zbawiony - powiedział. Jego głos rozbrzmiał echem we wnętrzu groty.

Z zaróżowionymi z podniecenia twarzami wszyscy podnieśli ręce, odpowiadając jednym głosem:

- Aby mógł zbawić sprawiedliwych.

I

PROROCYW NAS

1

**Północ, 10 grudnia 2002,
Sztokholm, Szwecja**

Ciągle pada śnieg. Jak podczas ceremonii i uroczystego bankietu. Wielkie białe płatki lecą z ciemnego nieba, pojawiają się nagle w blasku silnych reflektorów oświetlających murowaną fasadę Stadshuset, sztokholmskiego ratusza. Zimno i śnieg nie odstraszyły gapiów, którzy twardo czekają przy schodach, by zobaczyć wychodzącą parę królewską i laureatów.

Z rękami wciśniętymi głęboko do kieszeni płaszcza barczysta postać wysuwa się na czoło grupy, być może w nadziei, że stamtąd więcej zobaczy. Kiedy Olivia wychodzi za doktorem Tomem Carterem z ratusza w szwedzką noc, nie zauważa niezwykłych oczu wpatrzonych w jej męża.

Jest zbyt zajęta pilnowaniem, by jej ośmioletnia córka zapięła guziki czerwonej kurtki.

- Czapkę też włóż, Holly. Jest mróz.

Holly mruży orzechowe oczy, zapinając kołnierz.

- Debilnie się w niej czuję.

- Debilnie? A to coś nowego. - Olivia, śmiejąc się, naciąga futrzaną czapkę na niesforne blond włosy Holly. - Ale lepiej czuć się debilnie niż marznąć.

- Nie wyglądasz debilnie, Holly. - Tom odwraca się do córki. Kuca przy niej i przypatruje się jej niebieskimi oczami, jakby była okazem, który

bada w laboratorium. Po chwili z uśmiechem wzrusza ramionami. - No może trochę.

Holly chichocze, a on bierze ją za rękę i sprowadza ze schodów.

Pasują do siebie, myśli Olivia, idąc za nimi. Ich córka jest piękna, choć nie ośmieliłaby się jej tego powiedzieć. Już to, że skłoniła ją, żeby zrezygnowała z dzinsów i niki'ów i poszła na ceremonię w sukience, było nie lada osiągnięciem.

Tom odwraca się i śmieje z czegoś, co mówi Holly, i Olivia widzi, jak jego poważne niebieskie oczy łagodnieją. Patrząc na jego wysoką szczupłą sylwetkę i płatki śniegu w zmierzwionych czarnych włosach, przypomina sobie, jaki jest przystojny, zwłaszcza w białym krawacie i smokingu, które ma na sobie pod kaszmirowym płaszczem. Oboje z Jasmine zasłużyli na nagrodę i Olivia jest z nich tak dumna, że prawie zapomina o przenikliwym zimnie.

W tej chwili za jej plecami staje doktor Jasmine Washington. Krótkie, modne afro młodej informatyczki schowane jest pod kapturem jasnoniebieskiej peleryny, która w blasku reflektorów wygląda jak naelektryzowana. Ciemna skóra drobnej twarzy kontrastuje ze śniegiem i białkami oczu.

Obok niej stoi Jack Nichols, współnik Toma z Laboratorium Diagnostycznego GENIUS. Podchodzi do męża Olivii, klepie go w ramię i jeszcze raz składa gratulacje. Trochę niższy od Toma, ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i jest dobrze zbudowany. Jego poryta bruzdami twarz, z półkolistą blizną biegnącą od lewego nozdrza do lewego kącika ust, bardziej pasowałaby do boksera niż do jednego z szefów największej firmy biotechnologicznej na świecie.

Są już prawie w komplecie, ruszają więc w stronę oczekujących limuzyn o wnętrzach oświetlonych jak w dawnych karetach. Oliwię fascynuje tłum zgromadzony u podnóża schodów. Prawdopodobnie większość tych ludzi, tak jak policja, interesuje się głównie królem Karolem Gustawem XVI i królową Sylwią, których limuzyna właśnie odjeżdża. Mimo to całkiem sporo fleszy skierowanych jest na Toma i towarzyszące mu osoby.

- Jazz, gdzie reszta? - pyta Olivia. Na uroczystości byli z nimi jeszcze ojciec Toma i narzeczony Jasmine.

Jasmine gestem wskazuje drzwi.

- W środku. Rozmawiają z pisarzem, który dostał nagrodę literacką.

- No i jak to jest być noblistką? - Olivia uśmiecha się do współlokatorki z czasów studiów w Stanfordzie. - I pomyśleć, że kilkanaście lat temu martwiłaś się, czy znajdziesz pracę, która pozwoli ci robić coś ważnego. Pamiętasz?

Jasmine śmieje się, białe zęby odcinają się na tle skóry.

- Uhm. - Niedbale wzrusza ramionami, ale Olivia widzi, jak bardzo jest podekscytowana. Stypendium na Uniwersytecie Stanforda i doktorat na MIT to imponujące osiągnięcia dla każdego, a co dopiero dla dziewczyny z getta w South Central, okrytej złą sławą dzielnicy Los Angeles. Lecz to, co spotkało ją dzisiaj... to naprawdę wielka rzecz.

- I proszę bardzo, zmieniliście z Tomem świat - mówi Olivia.

I tak właśnie było, według szefa Instytutu Karolińska, przyznającego Nagrodę Nobla z medycyny i fizjologii. Niski, siwowłosy staruszek w swoim przemówieniu obwołał wynalazek - zrodzony z rozległej wiedzy Toma o genetyce i geniuszu Jasmine w dziedzinie komputerów opartych na białku - największym przełomem w nauce od czasu, kiedy Watson i Crick odkryli podwójną helisę DNA. Dzięki niemu można będzie ocalić wiele istnień ludzkich. Olivia przypomina sobie, jak w styczniu 1999 roku Tom i Jasmine po raz pierwszy wykazali, że genoskop potrafi na podstawie jednej komórki odcodować każdy ludzki gen. Od tej chwili międzynarodowy projekt badań nad ludzkim genomem stracił rację bytu.

Jasmine wyciąga rękę i klepie Holly po plecach.

- Cóż, mojej chrześniaczce to nie zaimponowało. Dwa razy ziewnęła, widziałam.

- Ziewałaś na uroczystości, Holly? - pyta Tom z uśmiechem.

Zawstydzona Holly wzrusza ramionami i zdmuchuje płatek śniegu z nosa.

- Nie. No, może trochę. Była strasznie długa, co?

Tom ogląda się i napotyka spojrzenie Olivii. Uśmiechają się do siebie, on wyciąga do niej rękę. Są trzy metry od limuzyny. Biorą się za ręce, Tom odwraca się i nachyla ku niej, jak zawsze, kiedy chce ją pocałować.

W tej chwili barczysta postać wychodzi przed tłum.

Olivia przysuwa się do Toma, więc z początku jej nie widzi. Nagle kątem oka zauważa, że przecięta półkolistą blizną twarz Jacka Nicholasa pochmurnieje. Czemu jest taki zły? A może przerażony?

Wtedy czas zaczyna biec wolniej.

Rozlega się głośny huk i Jack odpycha Toma na bok, na Holly. Olivia czuje, że dłoń męża wyrywa się z jej uścisku.

Teraz wyraźnie widzi człowieka w obszernym płaszczu. Stoi przed nią, z ręką wyciągniętą w stronę miejsca, gdzie przed chwilą był Tom.

I gdzie teraz jest ona.

Z dłoni nieznajomego dobywa się błysk i zimne powietrze znów rozbrzmiewa hukiem. Potężna siła uderza Olivie w pierś, wypycha powietrze

z jej płuc i rzuca ją na ziemię. Olivia czuje następne ciosy, jeden po drugim, i turla się po schodach jak szmaciana lalka. Jest bardziej oszołomiona niż obolała, kiedy na próżno usiłuje wstać.

Musi pomóc Tomowi i Holly.

Nad sobą na schodach widzi stojącą nieruchomo Jasmine. Jej potyskująca niebieska peleryna jest ciemna od krwi.

Olivia słyszy krzyk i widzi wielkie orzechowe oczy córki - tak podobne do jej własnych - patrzące na nią z przerażeniem. Holly nie ma na głowie czapki; zmarznie, myśli Olivia. Próbuje się uśmiechnąć. Chce dodać córeczce otuchy, ale nie może się ruszyć, a tył jej głowy jest mokry i lepki. Nagle uprzytamnia sobie, że nic poza tym nie czuje.

Kiedy głowa opada jej na bok, napotyka spojrzenie uciekającego zabójcy, który już rozplywa się w tłumie zszokowanych gapiów, i jest zaskoczona tym, co widzi.

Gdzie Tom? - myśli. On wszystkiemu zaradzi.

Słyszysz jego głos, woła ją. Zdaje się dochodzić z bardzo, bardzo daleka.

Potem, jak zapomniana myśl, cichnie i Olivia niczego już nie widzi ani nie słyszy.

- Olivia! Olivia! Olivia!

Im więcej razy doktor Tom Carter wykrzykiwał imię żony, tym trudniej mu było uwierzyć własnym oczom. Czołgał się po oblodzonych schodach w dół, nie zważając na ranę w nodze. Długo był chirurgiem, ale nigdy jeszcze nie widział, by ktoś stracił tyle krwi; śnieg wokół Olivii był cały czerwony. To nie mogło dziać się naprawdę. Nie tego wieczoru.

Wszystko wydarzyło się za szybko... a właściwie działo się za szybko. Zaledwie przed kilkoma sekundami miał wszystko. A teraz...

Nie mógł dokończyć tej myśli. Świat oszalał. Ludzie krzyczeli, odpychali przez policjantów, którzy utworzyli kordon wokół sceny rodem z jego najgorszego koszmaru. Wyły syreny, błyskały flesze. Jack szedł ku niemu, śmiertelnie blady.

Tom nachylił się nad Olivią i delikatnie odgarnął jasne kosmyki z jej twarzy; miał nadzieję, że zamruga, uśmiechnie się na jego widok. Ona jednak patrzyła bez wyrazu. Jej głowa wyglądała... dziwnie. Z przerażającą obojętnością stwierdził, że brakuje jej potylicy.

Przytulił ją.

- Dlaczego? - krzyknął, nie wiedząc nawet, że wypowiada na głos swoje myśli.

I wtedy uprzytomnił sobie coś, co sprawiło, że serce zamarło mu w piersi. Jack zepchnął go z linii strzału. Zabójca mierzył w niego, nie w Olivię.

To on miał zginąć, nie ona.

Poczucie winy przeszło go jak sztylet, zrobiło mu się niedobrze. Nagle wśród chaosu rozległ się cichy jęk.

Holly? Panicznie przerażony, poczuł na ramieniu dłoń Jacka.

- Holly?! - Odrącił przyjaciela, obejrzał się i zobaczył zakrwawioną córkę; była przy niej matka chrzestna. Ciemna twarz Jasmine powlekleła się bladością. Wyciągnął ręce do Holly i sprawdził, czy wszystko z nią w porządku; cały czas patrzył jej w oczy, błagające go, by wyjaśnił to, czego wyjaśnić nie potrafiłby żaden normalny człowiek. Nic jej się nie stało; ulga była tak głęboka, że aż na chwilę zabrakło mu tchu. - Wszystko będzie dobrze. - Przytulił córkę, gładząc ją po twarzy i zasłaniając sobą ciało Olivii. - Wszystko będzie dobrze. Obiecuję. - Powtarzał to także po to, by przekonać samego siebie. Kiedy sanitariusze przecisnęli się przez kordon policji, tylko jedno podtrzymywało go na duchu: świadomość, że przynajmniej Holly nic się nie stało.

Była bezpieczna.

**Sobota, 21 grudnia 2002,
Boston, Massachusetts**

Doktor Jasmine Washington nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Tom Carter to zrobił, zwłaszcza że od zamachu upłynęło tak niewiele czasu. Może miało to jakiś związek z nowotworem, wykrytym przez szwedzkiego chirurga w mózgu Olivii podczas oględzin rany głowy. Cokolwiek się za tym kryło, Jasmine była po prostu zła.

Trawniki cmentarza Mount Ashburn były biało-szare od szronu, tę samą barwę przybrało zimowe niebo. Błade popołudniowe słońce nie rozgrzewało około setki osób, które zebrały się w tej monochromatycznej scenerii, by wspomnieć życie Olivii i upamiętnić jej śmierć.

Jasmine Washington stała między córką chrzestną a swoim narzeczonym Larrym Strummerem. Ulżyło jej, że media tym razem trzymały się na podyktowaną szacunkiem odległość - mniej więcej czterdzieści metrów - podobnie jak nieafiszujący się swoją obecnością policjanci. Jasmine знаła większość żałobników. Oprócz krewnych Olivii, współpracowników z firmy Toma i znajomych ze świata nauki i medycyny był tu gubernator stanu - stał obok ambasadora Szwecji, pragnącego dać wyraz przerażeniu i żalowi swoich rodaków - a także nauczyciele ze szkoły South Boston, w której Olivia uczyła angielskiego i muzyki. Przyszły też dzieci z jej klasy, tej samej, do której chodziła Holly. Niektóre płakały, ale wszystkie zachowywały milczenie. Olivia byłaby z nich dumna.

Jasmine była zbyt wściekła, by płakać po utracie najlepszej przyjaciółki. Zresztą w ciągu ostatnich jedenastu dni przelała więcej łez niż przez całe trzydzieści trzy lata swojego życia. Kiedy poznała Olivię na Stanfordzie, była zuchwałą gówniarą z getta. To, że dostała stypendium z informatyki na jednej z najlepszych uczelni, niezbyt ją obeszło. Gdy była dzieckiem, rodzice, ortodoksyjni baptyści, zabronili jej chodzić po ulicach South Central, więc gdy miała jedenaście lat, samodzielnie zmontowała swój pierwszy komputer i większą część dzieciństwa spędziła, krążąc w cyberprzeszreni. Jak na ironię, to błąd komputera przesądził o tym, że dzieliła pokój z blondwłosą, artystycznie uzdolnioną dziewczyną z Maine, studiującą literaturę angielską. Jasmine zawsze uśmiechała się na wspomnienie tego, jak od razu przypadły sobie do serca, choć były przeciwieństwem.

Owinęła się ciaśniej kanarkowym płaszczem z kaszmiru. To był najjaśniejszy ciuch, jaki znalazła. Jej przyjaciółka na pewno byłaby zadowolona. Patrzyła, jak Tom, Jack i inni żałobnicy niosą trumnę Olivii do grobu. Skrzywiła się, widząc, jak Tom oszczędza ranną nogę. Ból na pewno pozwalał mu zapomnieć o smutku. Skoro jej przez ostatnich jedenaście dni było tak ciężko, on musiał przeżywać prawdziwe piekło. Mimo to nie mogła powściągnąć złości na myśl o tym, co zrobił po zabójstwie. A przynajmniej co jej się wydawało, że zrobił. Świadczenia, które tego ranka widziała w laboratorium, nie były jednoznaczne.

Spojrzała na swoją chrześniaczkę, stojącą w milczeniu obok jej szczupłego, siwowłosego dziadka Aleksa Cartera. Jasmine była ciekawa, jak ten zbliżający się do emerytury profesor teologii na Harvardzie wyjaśniłby powody tragicznej śmierci Olivii. Wiara jej samej została wystawiona na ciężką próbę. Według najnowszej teorii szwedzkiej policji i FBI Toma próbował zabić fanatyczny przeciwnik badań genetycznych. Choć kamery uchwyciły zabójcę, jego nazwisko i motywy pozostawały nieznane.

Psychiatrów cieszyła to, jak szybko Holly doszła do siebie. Zamiast wymazać z pamięci przerażający obraz umierającej matki, przypominała sobie niemal wszystkie szczegóły. Pod wieloma względami była lepiej przygotowana, by stawić czoło temu, co się stało, niż ktokolwiek inny. Jasmine słyszała nawet, jak kilkakrotnie ta mała dziewczynka pytała Toma, jak on to wszystko znosi. I właśnie to, że Holly była tak dzielna i tak dobrze się trzymała, sprawiało, iż Jasmine była wściekła na jej ojca.

Wbiła wzrok w poważną twarz Toma, kiedy wraz z pozostałymi żałobnikami kładł trumnę obok grobu. Im dłużej patrzyła w te niebieskie oczy, tym wyraźniej widziała w nich coś innego niż żal: strach lub jakieś

podobne mu uczucie. Ilekroć Tom spoglądał na córkę, tym większej Jasmine nabierała pewności, że to, co tego ranka znalazła w laboratorium, było jego dziełem.

To musiało mieć coś wspólnego z nowotworem wykrytym przez szwedzkiego chirurga w mózgu Olivii. Nowotworem, który, według wszelkich oznak, zabiłby ją, nawet gdyby nie dosięgły jej kule mordercy. Matka Toma umarła na raka podobnego typu przed niemal trzydziestoma laty; Jasmine wiedziała o tym. Nie trzeba było być psychiatrą, by wiedzieć, że był to jeden z głównych powodów, dla których Tom zaprzął swój wybitny umysł do walki z tą chorobą; nie tylko uzyskał kwalifikacje chirurga na Uniwersytecie Johns Hopkinsa dwa lata wcześniej niż inni studenci z jego rocznika, ale zrobił też doktorat z genetyki na Harvardzie z większą łatwością, niż wielu udaje się skończyć szkołę średnią. Mimo to fakt, że jego matka i żona chorowały na raka podobnego typu, nie był wystarczającym usprawiedliwieniem poddania Holly pełnemu skanowi genetycznemu.

Kiedy Tom odsunął się od trumny, Jasmine wróciła pamięcią do swojego trzeciego roku studiów na Stanfordzie. To było ponad dwanaście lat temu. Myślała, że zjadła wszystkie rozumy, dopóki nie poszła na wykład doktora medycyny Toma Cartera. Tom miał wtedy trzydzieści parę lat i było już o nim głośno w świecie genetyki - głosił pogląd, że terapia genowa to jedyna skuteczna metoda walki z rakiem i chorobami dziedzicznymi. W owym czasie jego firma GENIUS specjalizowała się w eksperymentalnych terapiach genowych i prowadziła prace nad genetycznie zmodyfikowanymi białkami, jak rekombinacyjna interleukina 2 i hormon wzrostu. Firma była mała, ale już zaczynała się rozrastać i zyskiwać na znaczeniu.

Temat wykładu wygłoszonego przez Toma na Stanfordzie brzmiał: *Zastosowanie komputerów do odkodowania ludzkiego genomu*. Jasmine pamiętała, jak stłumiła śmiech na widok tego wysokiego, chudego jak patyk faceta z potarganymi włosami. Spoważniała jednak, kiedy tylko zaczął opowiadać o swoim pomysle na komputer połączony z mikroskopem, który mógłby odczytać cały ludzki genom z informacji zawartej w DNA jednej komórki. Machina, o której mówił, potrafiłaby na podstawie jednego mieszka włosowego odkodować każdy z setki tysięcy genów. Tom Carter chciał ni mniej, ni więcej tylko poznać oprogramowanie sterujące rodzajem ludzkim. W tamtej chwili Jasmine uznała, że musi z nim współpracować i uczestniczyć w jego wizji.

Przed przeszło trzema laty wcielili ją w życie i stworzyli genoskop. Teraz jednak na samą myśl o tym, że Tom przy jego użyciu zbadał swoje

zdrowe ośmioletnie dziecko, krew wrzała w żyłach Jasmine. Jakikolwiek miał powody, choć był genialny, Tom Carter czasem zachowywał się jak kompletny idiota.

Tom pokuśtykał w ich stronę i stanął między Alekssem a Holly. Kiedy ksiądz zaczął odmawiać modlitwę, wziął córkę za rękę.

Jasmine próbowała pochwycić jego spojrzenie, on jednak patrzył prosto przed siebie, na grób. Jest jeszcze czas, powiedziała sobie w duchu. Nawet jeśli przeprowadził badanie, mogła nie pozwolić, by poznał jego wyniki.

Tom nie widział utkwionego w nim spojrzenia Jasmine, nie słyszał też słów księdza nad grobem. Myślał tylko o Olivii i swoich wyrzutach sumienia.

To, że ją poznał i się z nią ożenił, było największym i najbardziej niezasłużonym szczęściem, jakie spotkało go w życiu. Zawsze był nieporadny wobec kobiet; choć uważał, że są urocze, nie potrafił ich zrozumieć i tylko go rozpraszały. Do tej pory dziwił się, jak to się stało, że z kilkoma się spotykał. W dodatku wszystkie były piękne i inteligentne i żadnej z nich tak naprawdę nie próbował poderwać. Zaopiekowały się nim jak trudnym dzieckiem, przekonane, że dzięki miłości i czułości zrobią z niego ideał mężczyzny. W końcu dały za wygraną.

Złotowłosa Olivia Jane Mallory była inna. Kiedy Jasmine Washington przedstawiła Tomowi swoją współlokatorkę, zrozumiał, czym jest opiekowana przez poetów miłość od pierwszego wejrzenia. Jego reakcja była zgodna z klinicznym obrazem tej przypadłości: spocone dłonie, mocne bicie serca, utrata apetytu, roztargnienie. Bez kłopotu rozpoznał objawy, sama choroba jednak, jak też jej przyczyny były raczej domeną metafizyki niż nauki. W jednej upajającej chwili Olivia stała się dla niego tak ważna, jakby była częścią jego ciała. Od tej pory zabiegał o jej względy z zapalem zarezerwowanym dotychczas dla pracy. Osiem miesięcy później, w Paryżu, ku jego zdumieniu zgodziła się za niego wyjść. Nie potrafił tańczyć, ale tamtej nocy na Montmartre zupełnie o tym zapomniał i tańczyli aż po świt.

A teraz ona nie żyła. Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Ledwie wczoraj po południu był w jej ukochanej oranżerii w ich domu przy Beacon Hill. Wchodząc do środka, spodziewał się nawet, że zobaczy ją pogrążoną w lekturze albo podlewającą rośliny. W głębi duszy nadal wierzył, że Olivia na zawsze pozostanie w tym domu, że każdego dnia będzie ją miał w pobliżu, za ścianą.

Poczuł, jak mała ręka Holly ściska jego dłoń, i spojrzał w dół. Napotkał jej oczy, wpatrzone w niego. Tak rozpaczliwie starała się powstrzymać łzy, że gdyby nie był tak odrętwiały, przelałby je za nią.

Schylił się i przytulił ją, pragnąc ukoić jej ból.

- Tęsknię za mamusią, tato - szepnęła, szlochając. - Wolałabym, żeby zły człowiek jej nie zabił.

- Ja też, Holly. Ja też. Teraz mama jest już bezpieczna i wszystko będzie dobrze - mówił jej na ucho uspokajającym tonem, nie wierząc w ani jedno słowo. Chciał, by smutek Holly przeszedł na niego. On sam nie mógł dotrzeć do zbyt głęboko ukrytych w jego duszy pokładów rozpacz. Był tak oziębiały, że nie potrafił nawet wzbudzić w sobie gniewu na mordercę.

Tylko poczucie winy przebijało się przez mur, który wznosił wokół siebie. Kiedy dziękował Jackowi za uratowanie życia, nie mogli spojrzeć sobie w oczy; obaj wiedzieli, że refleksowi przyjacielu zawdzięczał swoje ocalenie, ale dlatego też zginęła jego żona. Stał na rannej nodze, by poczuć ból. Jedna kula przebiła mu nogę, pozostałe utkwily w ciele Olivii.

I nie tylko dlatego sumienie nie dawało mu spokoju. Powróciły wspomnienia śmierci matki i jego bezradności. Kiedy dowiedział się, że Olivia miała raka, poczucie winy zaatakowało ze zdwojoną siłą. Jeszcze raz instynktownie uściskał Holly. Czy wystrzelone już zostały inne pociski? Pociski, które znów przelecą obok niego i tym razem znajdą jeszcze bardziej bezbronny cel?

Musiał to wiedzieć.

Ksiądz odprawił nabożeństwo pogrzebowe i trumna powoli zagłębiła się w ziemi. Dopiero w chwili, kiedy jej mosiężne uchwyty zalśniły w ostatnich, słabych promieniach słońca, Tom uprzytomnił sobie, że żona naprawdę go opuszcza; że już nigdy to słońce jej nie zaświeci. Wraz z Holly i pozostałymi żałobnikami wrzucił do grobu garść ziemi i czekał cierpliwie, aż ksiądz skończy mówić.

Kiedy uczestnicy pogrzebu ruszyli do samochodów, Tom poczuł, że ktoś ciągnie go za rękaw. Odwrócił się i zobaczył Jasmine; patrzyła na niego gniewnym wzrokiem. Była sama, jej narzeczony Larry siedł już w stronę wozu.

- Tom, musimy porozmawiać. Teraz!

- Nie możemy zaczekać do stypy?

- Nie!

Ojciec Toma, Alex Carter, stał obok niego z posepnie zachmurzonym czołem, nad którym górowała bujna siwa czupryna. Jego przenikliwe nie-

bieskie oczy patrzyły groźnie zza eleganckich okularów. Jak zawsze wyglądał tak, jakby rozmawiał z jednym ze studentów.

- W czym problem? - spytał.

- Muszę porozmawiać z Tomem - powiedziała Jasmine, patrząc na Toma znacząco. - W cztery oczy!

Tom nagle zrozumiał. Tego ranka tak się spieszył, że zostawił na stole laboratoryjnym bałagan; miał go posprzątać po stypie, kiedy pojedzie po wyniki. Jasmine musiała być w firmie i domyślić się, co tam robił.

- Tato, mógłbyś zabrać Holly na stypę? Pojedziemy za wami.

Alex patrzył na niego z niedowierzaniem.

- Powinieneś jechać z rodziną- powiedział. - Musisz być przy Holly.

Tom uniósł dłoń.

- Tato, proszę cię. Na razie nie mogę nic wyjaśnić. - Ukłękł przy Holly

i zobaczył, że jej usta wygięły się w podkówkę. Wokół oczu miała czerwone obwódki. - Hol, chcę tylko porozmawiać z Jazz. Jedź do domu z dziadziusem, spotkamy się na stypie. Dobrze? - Było mu przykro, że musi to zrobić, ale nie mógł rozmawiać z Jasmine w obecności Holly. Przytulił córeczkę i pocałował ją w policzek. - Przyjedziemy zaraz za wami. W porządku?

Skinęła lekko głową, próbując zrozumieć, o co chodzi.

- Ależ, Tom... - zaprotestował Alex.

- Tato, później wszystko wytłumaczę.

Wziął Jasmine pod łokieć i pospiesznie odciągnął ją od żałobników, którzy czekali, by złożyć mu kondolencje.

Wsiedli do jednej z oczekujących limuzyn.

- Kiedy sprawdzisz wyniki badania Holly? - spytała Jasmine, gdy zamknął drzwi.

Nie od razu odpowiedział. Fakt, że poznała prawdę, przyniósł mu dziwną ulgę. Nie cierpiał mieć tajemnic.

- Po stypie - odparł wreszcie.

- Dlaczego to zrobiłeś, Tom?

- Nie miałem wyboru. Muszę wiedzieć.

- Gówno prawda! - oburzyła się Jasmine. - Gadasz bzdury. Genoskop powie ci rzeczy, które do niczego nie są ci potrzebne. Zwłaszcza teraz, Tom.

Trzy kilometry na północny wschód, za rozległym kampusem Uniwersytetu Harvarda, w kompleksie budynków Laboratorium Diagnostyki

Biotechnologicznej GENIUS panowała cisza. Prawie nikt nie pracował w soboty, zwłaszcza wieczorem. Halogenowe lampy pozwalały kamerom telewizji przemysłowej obserwować wytwórnie białka na wschodnich obrzeżach terenów należących do laboratorium, poza tym większość budynków była nieoświetlona.

Kilka świateł paliło się w górującej nad okolicą piramidzie ze światło-czułego szkła, siedzibie największej firmy genetycznej na świecie. Całkowite ciemności panowały tylko na dwu ostatnich piętrach, gdzie mieściły się działy sprzedaży, sala posiedzeń zarządu i większość gabinetów kierowników, również gabinet Jacka Nicholasa. Światła włączone były w zajmujących dwa środkowe piętra laboratoriach oraz na parterze, w recepcji i kierowanym przez Jasmine Washington dziale informatycznym, do którego nieustannie spływały dane z filii GENIUS-a na całym świecie. Jak zwykle przed Bożym Narodzeniem mały oddział szpitalny na tej samej kondygnacji był pusty i ciemny.

W czasie, kiedy Tom Carter i Jasmine Washington uczestniczyli w stypie, jedynymi ludźmi na terenie GENIUS-a byli dwaj strażnicy w głównej stróżówce i dwaj inni, którzy obsługiwali monitory telewizji przemysłowej w atrium piramidy.

Na pierwszym piętrze w wydzielonej części Laboratorium imienia Mendla pracował umysł. Należał on do istoty znanej jako DAN, nazwanej tak przez jednego z jej twórców. Imię powstało w wyniku przestawienia liter składających się na akronim kwasu dezoksyrybonukleinowego: DNA.

W 1990 roku, zgodnie z postanowieniami konferencji zorganizowanych w latach osiemdziesiątych, zainicjowano najważniejsze naukowe przedsięwzięcie od czasu programu kosmicznego Apollo: projekt badań nad ludzkim genomem. Cel był prosty: poprzez odcyfrowanie trzech miliardów liter genetycznego szyfru zawartego w ludzkim DNA zidentyfikować każdy z około stu tysięcy genów składających się na plan istoty ludzkiej. Początkowo kierowany przez Jamesa Watsona, współodkrywcę struktury DNA, projekt badań nad ludzkim genomem objął swoim zasięgiem cały świat; naukowcy wszystkich narodowości wykazali się niespotykaną dotąd gotowością do współpracy. Jednak w połowie lat dziewięćdziesiątych, mimo dużych postępów w badaniach, rywalizujące ze sobą grupy zaczęły opatentowywać kolejne odkrywane geny i duch współpracy zaniknął.

Na początku 1989 roku doktor Tom Carter samodzielnie opracował koncepcję urządzenia - na wpół komputera, na wpół mikroskopu - które potrafiłoby odczytać DNA bezpośrednio z chromosomów w komórce

organizmu w ten sam sposób, w jaki skaner w kasie sklepowej odczytuje kod kreskowy. Przez następny rok udoskonalił teoretyczne podstawy swojego pomysłu, ale do zastosowania ich w praktyce potrzebował komputera o nieosiągalnej wówczas mocy obliczeniowej. W tym samym roku, po wygłoszeniu wykładu na Stanfordzie, poznał młodą studentkę informatyki z obsesją na punkcie procesorów opartych na białku - Jasmine Washington. W ciągu dziewięciu następnych lat wspólnie stworzyli genoskop i dokonali tego, co nie udało się innym naukowcom: zidentyfikowali położenie i funkcję każdego z 99 966 genów określających istotę ludzką.

W tej chwili jeden z genoskopów mruczał cicho, a jego „oko” przesuwano się po trzech miliardach liter w odkodowywanej sekwencji DNA:

ATG- AAC-GAT- ACG- CTA- TCA... - czytało „oko”.

DAN, jak wszystkie genoskopy w centrali GENIUS-a i najnowocześniejszych laboratoriach firmy na całym świecie, był urządzeniem czwartej generacji. Potrafił skanować pięćdziesiąt próbek jednocześnie. Tego wieczoru jednak koncentrował się na jednej szczególnej komórce.

Małe kolorowe światełka wielkości kocich ślepi mrugały nieregularnie na długim czarnym wysięgniku zawierającym sterowany laserem mikroskop elektronowy, czyli „inteligentne oko”. Sygnalizowały one, że obiektyw o wysokiej rozdzielczości przeskakuje z jednego namagnetyzowanego fragmentu DNA na następny, odczytując zakodowane geny jak kolorowy kod kreskowy.

Towarzyszący pracy genoskopu pomruk dobywał się z owalnej czarnej skrzynki stanowiącej obudowę urządzenia, kształtem przypominającego łabędzia. Mieścił się w niej „mózg”: biokomputer siódmej generacji, tak potężny, że był „wirtualnym umysłem”, w którym wiernie odwzorowano sieci neuronowe ludzkiego mózgu. Dosłownie żył, funkcjonując, opierał się na prymitywnym, światłoczułym białku, bakteriorodopsynie, co powodowało, że jego bramki logiczne były nieporównanie szybsze i bardziej wytrzymałe od mikroukładów. Procesor genoskopu pracował tysiąc razy szybciej od jego najnowocześniejszego elektronicznego odpowiednika. Przy wtórce pomruku DAN-a jego „wirtualny umysł” odcyfrowywał dane przesyłane przez „inteligentne oko”, dokonując tłumaczenia genetycznego programu jednego ze swoich stwórców. Człowieka.

DAN był jednym z sześciu genoskopów na tyłach Laboratorium imienia Mendla. Wzdłuż jednej ze ścian znajdowało się osiem stacji roboczych. Wszystkie lśniące białe blaty były nieskazitelnie czyste.

Oprócz jednego.

Zużyta plastikowa kasetka leżała na nim obok przenośnego mikroskopu, przy kadzi wypełnionej namagnetyzowanym barwnikiem fluorescencyjnym i agarozą stała pipeta. Nieopodal był zestaw probówek typu Eppendorf, szklana zlewka z wodą i wymaz policzkowy na szkiełku; ślady po pospiesznych przygotowaniach próbki do skanu genetycznego.

CAT- ACG- TAG-GAC... - odczytywało „inteligentne oko” DAN-a ze spiralnej drabiny DNA zwiniętej w dwudziestu trzech parach chromosomów, wychwytyjąc różne kolory tworzących jej szczeble zasad nukleotydowych i wysyłając informacje do mózgu, umieszczonego na końcu długiej szyi. Tam sprawdzana była kolejność liter, z których każda symbolizowała inną zasadę - cytozynę, adeninę, guaninę lub tyminę - i identyfikowane były powstające z nich geny. DAN stale sięgał do swojej nieustannie rozrastającej się bazy danych, a także sieci neuronowej, by rozpoznać łańcuch aminokwasów kodowany przez każdy gen; jakie są jego części składowe, ile ich jest i w jakiej kolejności występują. Nieprzerwanie uczący się „wirtualny umysł” mógł wówczas stwierdzić, jakie powstanie białko.

Białka są podstawowym budulcem życia. Za ich pośrednictwem geny kierują wszystkimi fizjologicznymi zmianami zachodzącymi w organizmie, ustalając, które komórki utworzą organy, a które ulegną podziałowi i obumrą. To poprzez białka nasze geny wywołują wzrost włosów, trawienie pokarmu, wytwarzają łzy i ślinę, a nawet wyznaczają dokładną datę naszej naturalnej śmierci.

Złowrogo mruczący DAN odczytywał genetyczne dziedzictwo próbki komórki umieszczonej w jego sterylnej komorze; rozpoznawał wszystkie charakterystyczne cechy, od koloru oczu po kształt nosa; odnotowywał wszelkie mocne strony, od inteligencji po sprawność fizyczną, i przewidywał prawdopodobieństwo wystąpienia chorób, od mukowiscydozy po raka. Szukał wszystkich defektów wykraczających poza przyjęte normy, błędów „ortograficznych” mogących zniekształcić tekst, jakim było życie tego człowieka.

Nagle ton jego pomruku zmienił się i światełka na wysięgniku zgasły jedno po drugim. Zapalone pozostało tylko czerwone światełko wskazujące stan gotowości. Genoskop skończył pracę. Przetłumaczył trzy miliardy liter genomu tego człowieka, sprawdził każdy z 99 966 genów.

W ciągu kilku godzin genoskop odkodował genetyczny życiorys istoty ludzkiej Holly Carter i tym samym odczytał jej wyrok śmierci.

Dwie godziny i trzydzieści sześć minut później goście się rozeszli. Tom Carter położył Holly do łóżka i zawiózł Jasmine Washington do siedziby GENIUS-a. Strażnicy dali mu znak, że może jechać, i światła starego mercedesa se wyłowiły z mroku chromowane litery na czarnej tablicy:

LABORATORIA DIAGNOSTYKI BIOTECHNOLOGICZNEJ GENIUS

TWOJE GENY. TWOJA PRZYSZŁOŚĆ. TWÓJ WYBÓR.

Jadąc oblodzoną drogą, Tom minął majaczącą w ciemnościach wytwórnię białek po prawej stronie i małą fontannę otoczoną trawnikiem. Przed nim wznosiła się piramida. Zamiast zjechać na podziemny parking, zatrzymał się przy głównym wejściu.

- Mimo wszystko chcesz to zrobić, co? - spytała Jasmine. - O rany, Tom, jak na bystrego faceta czasem potrafisz być naprawdę głupi.

Zgasił silnik.

- Ty nadal nic nie rozumiesz. To nie jest coś, co chcę zrobić. Chryste, oddałbym wszystko, byle tego uniknąć, ale nie mam wyjścia. Nie musisz iść tam ze mną, Jazz.

- Tak, jasne. - Jasmine westchnęła ciężko, wysiadła i zatrzasnęła drzwi.

- Ciągle nie wiem czemu...

- Przecież ci to tłumaczyłem, Jazz. Glejak wielopostaciowy, którego znaleźli w mózgu Olivii, niewiele się różni od gwiazdziaka mojej matki.

- No dobrze, Olivia miała raka mózgu, ale umarła i cokolwiek zrobisz, nie przywrócisz jej życia.

Tom potrząsnął głową, zbyt zmęczony i otepiały, by się klócić. Jasmine była błyskotliwa, ale nie znosiła dwuznaczności. Dla niej wszystko musiało być czarne albo białe, dobre albo złe, jak kod dwójkowy, stanowiący podstawę większości języków programowania. Nawet swoją nielogiczną wiarę w Boga traktowała jako niezbitą fakt. Tom podszedł do szklanych drzwi, położył dłoń na czytniku DNA i zaczekał, aż zostanie zidentyfikowany i drzwi otworzą się z charakterystycznym sykiem.

- Przynajmniej to, co się stało, oszczędziło Olivii długiego cierpienia - powiedziała Jasmine za jego plecami łagodniejszym już tonem.

Tom skinął głową dwóm strażnikom i przeszedł po marmurowej posadzce obok siedziby działu informatycznego do szeregu wind ze szklanymi drzwiami.

- I o to właśnie chodzi, Jazz. Nie chcę, by Holly cierpiała tak, jak moja matka, i jak cierpiałaby Olivia. Nie rozumiesz? Teraz już wiemy, że te nowotwory mózgu mają podłoże genetyczne. Kule, które zabiły Olivię, ominęły mnie, podobnie jak geny, które wywołały raka u mojej matki.

Zawdzięczam to zdrowym genom ojca. Tymczasem Holly mogła odziedziczyć uszkodzone geny po Olivii i, za moim pośrednictwem, po mojej matce. Jeśli tak się stało, muszę o tym wiedzieć.

Jasmine milczała; Tom wszedł do windy i wcisnął guzik. Kiedy winda bezszelestnie pomknęła na piętro, spojrzął na malejące w dole atrium

i strażników. W ciszy słyszał oddech Jasmine.

Zaczęła coś mówić, ale zaraz zamilkła, jakby się rozmyśliła.

- Nie krępuj się - powiedział Tom. - Wyduś to z siebie!

- Dobrze. A jeśli Holly rzeczywiście odziedziczyła uszkodzone geny?

Co będziesz mógł zrobić?

Drzwi windy otworzyły się i Tom wyszedł na korytarz prowadzący do dobrze zabezpieczonych drzwi z chromu i szkła, na których widniał napis: LABORATORIUM IM. MENDELA. NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Położył dłoń na czytniku DNA i zaczął, aż system go rozpozna.

- Moim zdaniem terapia genowa będzie gotowa za jakieś pięć lat. Dopilnuję, żeby dłużej to nie potrwało - oświadczył. - Dlatego jeśli Holly jest podatna na nowotwory tego typu i jeśli ujawnią się u niej po trzydziestce, jak u jej matki i babki, to wtedy nic już jej nie powinno grozić.

Drzwi otworzyły się z sykem i weszli razem do środka. Kiedy czujniki wykryły ich obecność, światła włączyły się automatycznie. W blasku wolframowych żarówek, dających złudzenie naturalnego światła dziennego, przeszli obok dużego pojemnika, w którym w temperaturze minus stu osiemdziesięciu stopni Celsjusza przechowywane były żywe próbki nowotworów. Laboratorium wyglądało dziwnie, kiedy nikt nie siedział przy stanowiskach roboczych; wokół rozciągało się sterylne morze bieli, chromu i szkła. Ciszę mąciły tylko odgłosy niektórych przyrządów stojących na stołach i szum klimatyzacji. Tom nadstawił uszu, nasłuchując pomruku DAN-a, ale oczywiście wiedział, że do tej pory urządzenie musiało już zakończyć pracę. Na widok drzwi po prawej stronie poczuł skurcz żołądka. Przeprowadzał to badanie już setki razy, ale jego obiektem nigdy nie była bliska mu osoba z podejrzeniem śmiertelnie groźnej wady genetycznej.

- A jeśli prognozowany okres będzie krótszy niż pięć lat? Co wtedy, Tom?

Nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Otworzył drzwi pomieszczenia, w którym stały genoskopy, i ukazało się sześć dużych czarnych łabędzi; zdawały się patrzeć na niego z góry, z drwiącym politowaniem.

- Chodź! - powiedział. - Zobaczymy, co DAN ma nam do zakomunikowania.

Jasmine kochała genoskopy. Były jej dziećmi. Właśnie te urządzenia zmieniły GENIUS-a z niedużej, choć prężnej firmy biotechnicznej w światowego lidera.

Przed trzema laty, w chwili jego wprowadzenia na rynek, genoskop był tak nowoczesny, że konkurencyjne firmy wołały zapłacić za możliwość korzystania z niego niż tracić czas na próby stworzenia własnego odpowiednika. Jack Nichols wykorzystał swoją wiedzę o marketingu i kapitale wysokiego ryzyka i dopilnował, by za pośrednictwem współpracujących z GENIUS-em laboratoriów urządzenia zostały szybko udostępnione na licencji chętnym z całego świata. Jak mawiał, poddanie próbki skanowi genetycznemu było teraz tak proste, jak „danie filmu do wywołania”. Genoskopy stały się standardem w odczytywaniu oprogramowania człowieka i w ubiegłym roku „Time” nazwał Toma Cartera Billem Gatesem genetyki.

Moc genoskopów była tak wielka, że nawet Jack nie do końca im ufał. Jasmine nieraz słyszała, jak z nerwowym śmiechem mówił: „Żaden pieprzony robot nie będzie mi podawał mojej daty ważności”. Oczywiście, nigdy w obecności klientów.

Jasmine poddała się badaniu jako jedna z pierwszych. Nie czuła jakiegoś szczególnego strachu, ale odetchnęła z ulgą, kiedy się dowiedziała, że nie odziedziczyła po przodkach niczego, co mogłoby w najbliższych latach zagrozić jej życiu. Teraz jednak, idąc za Tomem wzdłuż szeregu genoskopów, zrozumiała obawy Jacka; było coś głęboko niepokojącego w maszynie, która znała człowieka lepiej niż on sam. Z przerażeniem myślała o tym, co tego wieczoru jedno z jej dzieci powie o Holly.

Usiadła przy DAN-ie na końcu pomieszczenia. Z okrągłej obudowy dobiegał cichy szum. Monitor na biurku był wyłączony.

Spojrzała na Toma.

- Jesteś pewien, że tego chcesz?

Uśmiechnął się zaciśniętymi ustami i kiwnął głową.

- DAN - powiedziała do mikrofonu zamontowanego na czarnym wysięgniku. Nie każdemu spodobało się wymyślone przez nią imię, ale z czasem się przyjęło i teraz już wszyscy nazywali genoskopy DAN-ami.

Światła na wysięgniku i trzy białe lampki na owalnej obudowie zapaliły się, jakby urządzenie otworzyło oczy. Szum przeszedł w dudniący pomruk.

- Włącz wizję - nakazała.

- DAN, ja też tu jestem - powiedział Tom.

Na monitorze ukazało się logo firmy GENIUS, żarówka otoczona helisą DNA. Pod nim widniało motto firmy: *Twoje geny. Twoja przyszłość. Twój wybór.*

- Proszę wybrać menu - wyrecytował DAN monotonicznie, rozpoznawszy głosy swoich twórców. Jasmine chciała wyposażyć go w pięknie modulowany głos; przy technologii, jaką dysponowali, mogli nadać mu dowolne brzmienie. Tom z Jackiem woleli jednak, by był on metaliczny, monotoniczny.

Może czuli się pewniej, kiedy coś przypominało im, że mimo swojej

- Podaj menu wyników - polecił Tom. Jego słowa wyskoczyły u góry ekranu, by mógł się upewnić, że został dobrze zrozumiany.

- Nazwisko badanego? - spytał uprzejmy, automatyczny głos.

- Holly Carter. - Tom głośno i wyraźnie wymówił nazwisko córki.

- Badany odnaleziony. Proszę wybrać jedną z opcji zaznaczonych na monitorze: Wyniki ogólne. Analiza chromosomów. Szczegółowe wyszukiwanie genów.

- Wyniki ogólne poproszę.

- *Oczywiście, Tom.* - Na ekranie pojawiło się menu P.A.K.T. i DAN po kolei wyliczył wszystkie dostępne opcje. - „Profil” to ogólny opis przygotowany na podstawie DNA badanego: kolor skóry, włosów, oczu, wzrost itd. W „Atutach” przedstawione są mocne strony z najwyższego kwartyła w porównaniu z genomem standardowym. Na przykład odporność na choroby, inteligencja. W kategorii „Kłopoty” mieszczą się słabości z najniższego kwartyła bądź predyspozycje do chorób niezagrażających życiu. „Troski” to wady zagrażające życiu. Ta kategoria nie jest dostępna dla osób nieupoważnionych. Proszę dokonać: Tom zignorował pierwsze trzy opcje.

- Włącz „Troski”, DAN.

- Proszę podać hasło.

- Odkrycie.

- Dziękuję, Tom. Aby ujawnić wyniki z kategorii „Troski”, konieczne jest podanie drugiego hasła.

Jasmine westchnęła ciężko i powiedziała:

- Drzewo wiadomości dobrego i złego.

- Dziękuję, Jasmine. Jesteście pewni, że chcecie wejść do menu „Troski”? Tak czy nie?

Zapadła cisza.

Jasmine uważnie przyjrzała się przyjacielowi. Z jego oczu biło niezdecydowanie, czuła, że on ma ochotę wybiec stąd i zabrać Holly możliwie najdalej od genoskopu i jego tajemnic.

- Nie! - Jej głos przeciął nieruchome powietrze.

- Co?! - krzyknął Tom.

Światelka genoskopu zamrugały i pomruk na chwilę zmienił ton.

Tom odwrócił się do niej ze złością i ulgą jednocześnie.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz?

- Tom, daj spokój - poprosiła błagalnym tonem. - Zostaw to. Jeszcze nie jest za późno.

- Proszę o potwierdzenie odpowiedzi - powiedział DAN, nieporuszony.

Znów zamilkli. Od poznania wyników dzieliła ich już tylko jedna sylaba. Jasmine zobaczyła, jak Tom niepewnie zerka na nią, a potem odwraca się z powrotem do DAN-a.

- Tak - powiedział wreszcie ledwie słyszalnym szeptem. - Pokaż „Troski”.

Jasmine potrząsnęła głową i wbiła wzrok w obraz na monitorze. DAN zaczął pracować na wyższych obrotach i na ekranie pojawiły się trzy liczby: 9, 10 i 17.

Coś było nie tak. Sama ich obecność wskazywała na to, że w genomie Holly występują niebezpieczne wady genetyczne. Każda z liczb oznaczała uszkodzony chromosom.

- Poważne błędy kodowania w chromosomach 9, 10 i 17 - poinformował DAN.

- Najpierw pokaż 17 - zażądał Tom, blednąc.

- Oczywiście, Tom.

Na ekranie pojawiło się coś, co przypominało kolorową spiralną drabinę. Był to schematyczny rysunek zabarwionej podwójnej helisy DNA. U góry ekranu widniał nagłówek Chromosom 17. Wzdłuż spiralnej drabiny biegły dwie kolumny zbudowane z liter ułożonych po trzy w każdym rzędzie; jedna przedstawiała wycinek sekwencji genetycznej Holly, a druga porównywalny fragment „standardowego” ludzkiego genomu. Potem pojawił się kursor przypominający światło punktowe - przemknął po ekranie, by w końcu zatrzymać się na kilku szczeblach spiralnej drabiny.

- Wada wykryta w genie tłumienia nowotworu p53.

Chromosomy matczyne uszkodzone, chromosomy ojcowskie podatne na mutacje - powiedział DAN.

Kursor ilustrował jego słowa, wskazując niedopasowane pary zasad na szczeblach drabiny, a potem zaznaczając niewłaściwe litery w części genu Holly.

CAT- ACG- TAG-GAC, tak wyglądał ten fragment. Zaznaczone wady były wyraźnie widoczne.

- Co właściwie robi gen p53? - spytała Jasmine z niepokojem. Więcej wiedziała o tym, jak DAN działa, niż o wynikach jego pracy.

- Pomaga naprawić uszkodzone DNA. Zmutowany gen p53 jest głównym prekursorem rozrostu klonalnego, procesu, który prowadzi do powstania nowotworu. Sam z siebie jednak wcale nie musi wywołać raka. W procesie uczestniczy wiele genów, dlatego tak cholernie trudno go zatrzymać. Żeby zachorować, Holly musiałaby odziedziczyć po obojgu rodzicach określoną kombinację uszkodzonych genów.

- Czyli mimo wszystko nie musi zachorować?

Zanim Tom zdążył odpowiedzieć, na ekranie pojawił się kolejny fragment spiralnej drabiny. Tym razem nagłówek głosił: Chromosom 9.

- Zespół zagrożonych genów w chromosomie 9. Chromosomy ojcowskie uszkodzone. Chromosomów matczyńskich brak. cer6 i cer14 zagrożone. inf19 i inf72 wykazują wadę kodu odwrotnego.

Jasmine nie musiała patrzeć na pobladałą twarz Toma, by domyślić się, że to zła wiadomość. Zanim jednak zdążyła zastanowić się, co z niej wynika, obraz zmienił się znowu; tym razem na monitorze pokazał się chromosom 10. Genoskop bez skrupułów kontynuował diagnozę, przedstawiając fakty monotonnym głosem, bez cienia taktu.

- Cztery geny ras w chromosomie 10 wykazują luki w sekwencji. Mutacja nieunikniona - recytował DAN tak, jakby chodziło o prognozę pogody.

- Jezu! - szepnęła Jasmine.

Tom patrzył prosto przed siebie. Długą chwilę milczał.

- Jest gorzej, niż przypuszczałem - powiedział cicho. - Jeden defekt zwykle jest niegroźny. Nawet z aberracjami we wszystkich trzech chromosomach da się żyć, jeśli człowiek dziedziczy zdrowe geny po drugim z rodziców. Holly jednak ma najgorszą możliwą kombinację. Wystąpiły wszelkie wady genetyczne, jakie mogły wystąpić.

Odwrócił się do Jasmine. W jego niebieskich oczach więcej było gniewu niż smutku.

Pokręciła głową i położyła dłoń na jego ramieniu. Nie wiedziała, co powiedzieć.

Tom spojrział na nieporuszonego czarnego łabędzia.

- No dobrze, DAN, zasrańcu, jaka jest twoja prognoza? Co z nią będzie?

Widziała po nim, że podsycy w sobie gniew; bez wątpienia wolał go od bezsilnej rozpaczy.

- Z prawdopodobieństwem dziewięćdziesiąt dziewięć procent kombinacja wad genetycznych w genomie badanej Holly Carter doprowadzi do powstania glejaka wielopostaciowego.

Te dwa słowa brzmiały o wiele mniej przerażająco niż „rak” czy „nowotwór”, bardziej przypominały nazwę jakiejś egzotycznej rośliny. Jasmine jednak nie dała się zwieść. Tom wyjaśnił jej, że glejak wielopostaciowy jest najgorszą odmianą gwiaździaka. Najbardziej złośliwego nowotworu mózgu.

Na wspomnienie dzielnej Holly, odchodzącej od grobu matki w szkarłatnym płaszczyku i czarnej futrzanej czapce, poczuła irracjonalną nienawiść do DAN-a. Jakby to on był w jakiś sposób odpowiedzialny za te straszne wieści.

Odwróciła się do Toma; siedział nieruchomo z oczami płonącymi zimnym ogniem.

- Boże, tak mi przykro, Tom.

- To nie wszystko - powiedział z właściwym sobie uporem. - Zostało jeszcze jedno pytanie.

Oczywiście, pomyślała. Czas, jaki pozostał.

Mimo trawiącego go gniewu Tom był niemal sparaliżowany ze strachu. Minęło kilka sekund, nim wziął się w garść i spytał mocnym głosem:

- DAN, ty bezduszny sukinsynu... uwzględniając najbardziej optymistyczne czynniki środowiskowe i najlepsze znane metody leczenia, kiedy rozpocznie się rozrost klonalny? I kiedy rak Holly osiągnie czwarte, śmiertelne stadium?

Na chwilę zapadła cisza, mącił ją tylko niski pomruk genoskopu.

Jasmine wysłuchiwała podanego metalicznym głosem werdyktu DAN-a i pokręciła głową. Była dumna ze swoich osiągnięć. Teraz jednak, kiedy usłyszała przepowiednię śmierci swojej chrześniaczki, zrobiło jej się wstyd, że przyłożyła rękę do powstania tej maszyny.

3

Tego samego dnia, Londyn

Jestem Nemezis. Niechaj mój miecz sprawiedliwości będzie ostry...
Ostrze przesunęło się po głowie.

- Niech moja zbroja prawości pozostanie nieskalana...

Kolejne cięcie.

- A tarcza wiary niech będzie mocna.

Ostra brzytwa przejechała po szczeciniastych włosach, rozdzielając białą piankę i pozostawiając za sobą pas gładkiej skóry. Przy każdym cięciu Maria Benariac recytowała jeden wers swojej trzywersowej mantry.

- Jestem Nemezis. Niechaj mój miecz sprawiedliwości będzie ostry...

- powtórzyła, kontynuując rytuał.

Kiedy skóra głowy znów stała się gładka, Maria wytarła zaparowane lustro, by obejrzeć efekt. Napotkała spojrzenie swoich niezwykłych, przenikliwych oczu - jedno było niebieskie, drugie brązowe. Tylko ich chirurg nie zdołał zmienić. Odwracając głowę, zauważyła małe, stare blizny za uszami, ostatnie pamiątki po zabiegu, dzięki któremu jej niegdyś piękna - zbyt piękna - twarz stała się bardziej pospolita.

Położyła brzytwę obok umywalki, przy tubkach ze środkami do charakteryzacji teatralnej. Na chwilę zatrzymała na niej palce, walcząc z pokusą. Kiedy jednak spojrzała na świeże blizny przecinające jej prawe udo, postanowiła poczekać.

Odwróciła się i wyszła naga z małej łazienki do przestronnej kawalerki, w której mieścił się cały jej dobytek. Rozkoszując się dotykiem chłodnego, wypolerowanego drewna pod stopami, wyrzała przez panoramiczne okno. Szare, zimne wody Tamizy przetaczały się trzydzieści metrów w dół. Przeszła w przeciwny kąt mieszkania i stanęła pod obręczami do ćwiczeń, zwisającymi z nagich belek sufitowych.

Podskoczyła i złapała je silnymi palcami. Mięśnie przedramion naprężyły się pod jej ciężarem i podźwignęła się z podłogi tak, że biodra znalazły się na wysokości dłoni, a łokcie zablokowały się, usztywniając ręce. Podniosła wyprostowane nogi tak, by utworzyły kąt prosty z jej nagim, płaskim brzuchem.

- Raz... dwa... trzy... - odliczała szeptem, z oczami utkwionymi w przeciwną ścianę. Ćwiczyła bez chwili przerwy. -...piętnaście... szesnaście... siedemnaście...

Jedynymi oznakami wysiłku były strużki potu ciekące po jej rzeźbionych plecach i niemal niezauważalne drżenie dłoni.

- ... czterdzieści osiem... czterdzieści dziewięć... pięćdziesiąt.

Wreszcie pozwoliła sobie na uśmiech zadowolenia i puściła obręcz. Wylądowała na wypolerowanej posadzce bezszelestnie jak kot. Podeszła do wielkiego lustra i obejrzała swoje nagie ciało.

Zwróciła uwagę na każdy szczegół: ogoloną głowę, niespotykane szerokie barki, silne ramiona, wąską talię, chłopięce biodra i długie, smukłe nogi. W jej spojrzeniu nie było próżności, tylko obiektywny osąd, tak jakby sprawdzała stan cennego instrumentu lub broni. Tę poranną inspekcję przeprowadzała co dzień i dziś, jak zwykle, była usatysfakcjonowana jej wynikami. W wieku trzydziestu pięciu lat nie miała grama tłuszczu, jej mięśnie były jędrne i mocne. Jedynymi skazami były blizny: te małe za uszami, wydatna w kształcie krzyża na prawym przedramieniu, ślady po samookaleczeniach na prawym udzie i dwie szramy w kształcie kotwic pod sutkami - pamiątka po usunięciu pełnych niegdyś piersi. Na ich miejscu pozostały bezpłciowe wzniesienia, które nie kępowały ruchów i nie ściągały niechcianych spojrzeń.

Kiedy obejrzała już swoje ciało, Maria Benariac odwróciła się i obrzuciła wzrokiem mieszkanie. Wysoki pokój na ostatnim piętrze starego magazynu był reliktem późnych lat osiemdziesiątych, kiedy yuppie z City wykupywali zaadaptowane nieruchomości na niemodnym dawniej East Endzie, bo były tanie i mieli z nich blisko do pracy. Ten pokój jednak w niczym nie przypominał mieszkania japiszona. Dekorator wnętrz mógłby nazwać jego

wystrój minimalistycznym, lepiej jednak pasowało doń określenie „spartański”.

Maria podeszła do czterech przełączników przy oknie.

Pstryk, pstryk. Pierwsza naga stuwatowa żarówka zwisająca z sufitu zapaliła się i zgasła.

Pstryk, pstryk. To samo stało się z drugą.

A potem z trzecią i czwartą.

Kiedy upewniła się, że wszystkie działają jak należy, przystąpiła do następnej części porannego rytuału. Obeszła pokój wkoło i włączyła sześć strategicznie rozmieszczonych reflektorów. Potem stanęła na środku i sprawdziła, czy wszystkie kąty są dobrze oświetlone. Skorygowała dwa reflektory i kiedy ciemność pierzchła na dobre, obejrzała resztę mieszkania, upewniając się, że wszystko jest na swoim miejscu.

Podeszła do łóżka stojącego w kącie naprzeciwko sprzętu do ćwiczeń, poprawiła wiszący na ścianie krzyż i uklękła przed nim. Dostała go od Ojca, kiedy zabrał ją z sierocińca na Korsyce. Teraz ten drewniany krucyfiks był jedyną ozdobą na sterylnie białych ścianach.

Przebiegła oczami po biblioteczce. Na górnej półce stała tylko jedna książka, Biblia. Pod nią leżało sześć zestawów kaset i walkman. Pięć zestawów oznakowanych było nazwami języków, na szóstym widniał napis: Ćwiczenia wymowy. Dolną półkę zajmowała imponująca kolekcja CD-ROM-ów z użytecznymi informacjami, wszystkie na swoim miejscu.

Spojrzała w prawo, gdzie przy oknie stało proste drewniane biurko i krzesło. Na biurku był laptop i telefon, oba podłączone do gniazdka telefonicznego w białej ścianie. Obok nich leżały zegarek i cienka teczka. Na podłodze piętrzył się stos podobnych, bardziej wypłowiałych teczek - było ich co najmniej sześćdziesiąt. Wszystkie miały obcięty jeden róg, jak paszporty, które straciły ważność; tylko ta, która, leżała na wierzchu, była cała - podobnie jak teczka na biurku - i to ona przyciągała wzrok Marii.

Z ust Marii wyrwało się ciężkie westchnienie.

Obróciła się na pięcie i obrzuciła wzrokiem wnękę, w której mieściła się mała kuchenka, po czym nie zwracając uwagi na łazienkę, spojrzała na drzwi wejściowe. Sprawdziła, czy wszystkie cztery zamki są zamknięte, i podeszła do stojącej obok dużej dębowej szafy.

Otworzyła ją. Szafa spełniała dwie funkcje. Jej lewa strona służyła za garderobę; męskie garnitury sąsiadowały tu z kobiecymi sukniemi. Nad nimi znajdowała się kolekcja pięknych peruk z ludzkich włosów - niektóre

były krótkie, inne długie. Na podłodze w równym rządku stało sześć par butów, męskich i damskich, wszystkie w tym samym rozmiarze.

Jednak to prawa strona szafy bardziej interesowała Marię. Był to w gruncie rzeczy regał z narzędziami, podobny do tych, jakie zobaczyć można w wielu garażach. Przechowywane tu narzędzia nie służyły jednak do drobnych napraw ani pielęgnowania ogródka.

U góry na specjalnych kołkach wisały trzy noże. Jak eksponaty muzealne były ułożone według wielkości, od najmniejszego do największego. Choć czyste i w dobrym stanie, miały wytarte rękojeści, co wskazywało, że były w częstym użyciu. Po prawej stronie wisało kukri, nóż z zakrzywionym ostrzem, tradycyjna broń nepalskich Gurkhów. Maria delikatnie pogładziła wszystkie noże po kolei; dotyk ich ostrzy przyprawiał ją o dreszcze.

Pod kukri było śmiercionośne nunczaku: dwa drewniane, trzydziestocentymetrowe kije połączone łańcuchem. Ich końce upstrzone były ciemnymi, krwistoczerwonymi plamami. Na tym samym kołku, niczym niedbale rzucony krawat, wisała garota. Niżej spoczywały trzy pistolety: niewykrywalny przez wykrywacze metalu ceramiczny glock kaliber 9 mm, sig sauer i pistolet maszynowy Heckler and Koch. Na dole, w specjalnie zaprojektowanych widełkach leżały precyzyjny karabin snajperski i samopowtarzalna strzelba. Ekspozycji dopełniały starannie oznakowane szuflady i półki z dodatkowymi akcesoriami i amunicją.

Maria czule przesunęła dłonią po swoich ulubieńcach, ścierając plamę z lufy naoliwionego hecklera and kocha i poprawiając magazynek pod sigiem.

Kiedy nabrała pewności, że wszystko jest w porządku, przeszła bezszelstnie po drewnianej posadzce do łazienki. Włączyła prysznic i stanęła pod ciepłym, silnym strumieniem. Wzięła mydło dziegciowe i zaczęła trzeć nim ciało aż do bólu. Namydliła ogoloną głowę i zamrugła oczami, by usunąć z nich piekące mydliny. Kiedy jej mięśnie się rozluźniły, poddała się złości i wstydu. I znów zaczęła myśleć o naukowcu, o którym nie mogła zapomnieć od czasu wyjazdu ze Sztokholmu.

Ironią losu było to, że swój pierwszy błąd popełniła, kiedy miała do czynienia z celem, który uważała za najbardziej niebezpieczny. Wszyscy inni byli demonami, w co nie wątpiła: handlarzami broni, producentami bluźnierczych filmów, nieuczciwymi kaznodziejami telewizyjnymi, skorumpowanymi adwokatami gangsterów i baronami narkotykowymi. Przez ich rysy wyraźnie przebijało oblicze diabła, które łatwo było wszakże wymazać. Odkąd jednak Ojciec dał jej teczkę z informacjami o doktorze Tomie Carterze, Maria wiedziała, że ten człowiek jest inny. Tkwiące w nim zło

było o wiele potężniejsze i bardziej rewolucyjne. Społeczeństwo uważało bliźniaczą genetykę, którą się parał, za coś dobrego, a nawet uhonorowało go, widząc w nim zbawcę. Maria jednak wiedziała, że nie ma gorszego zła niż to, które łatwo zakłada maskę prawości.

Czuła, jak narasta w niej gniew. Była Nemezis. Nie popełniała błędów. Zamierzała wykonać zadanie publicznie, w noc największego triumfu doktora Cartera, by pokazać światu, jak czcze są jego dokonania. To miało być precyzyjne uderzenie, ona sama miała zniknąć na długo przed tym, jak ciało ateisty zwali się na ziemię. Tymczasem współpracownik odepchnął go na bok i kule trafiły jego żonę.

Mocniej wtarła mydło w skórę. Powinna była zneutralizować kolegę Cartera, Jacka Nicholasa. Podczas swojej służby w FBI ten człowiek uważany był za bohatera. To właśnie agent specjalny Jack Nichols pokonał Wesołego Sama, seryjnego zabójcę, który wycinał swoim „uśmiechniętym” ofiarom usta, by „uwiecznić ich radość”. Maria wiedziała o tym. Na własne oczy widziała półkolistą bliznę na twarzy Nicholasa, ślad po ranie od noża, którą odniósł, nim skrzył kark mordercy. Nie, zdecydowanie powinna była uwzględnić możliwość, że eks-agent przyjdzie przyjacielowi z pomocą. Postąpiła jak amatorka. To było niewybaczalne.

Zakręciła wodę, wzięła szorstki ręcznik z wieszaka i dokładnie się wytarła. Podeszła naga do biurka i podniosła teczkę. Otworzyła ją i zerknęła na zdjęcie następnej ofiary Sprawiedliwego Wyroku.

Sięgnęła do leżącej na podłodze sterty podobnych teczek, z których wszystkie oprócz jednej miały ucięty róg - na znak, że wszystkie zadania oprócz jednego zostały wykonane. Wzięła tę nienaruszoną. Otworzyła ją

i wbiła wzrok w twarz Toma Cartera, przypominającą o jej jedynym niepowodzeniu. Przenikliwe niebieskie oczy zdawały się patrzeć na nią spod gęstej strzechy niesfornych czarnych włosów. Mocno zarysowana szczeka nadawała jego twarzy zacięty wyraz i Marię ogarnęła jeszcze większa determinacja, by go powstrzymać. Gorąco pragnęła dokończyć to, co zaczęła, na razie jednak nie dostała na to zgody. Ale mogła przynajmniej odwiedzić doktora Cartera i uprzytomnić mu, że czekająca go kara została tylko odroczone - nie anulowana. Spojrzała na zegarek leżący obok telefonu. Musiała się pośpieszyć, jeśli chciała zdążyć na *concorde'a*.

Z ociąganiem odłożyła teczkę doktora Cartera. Kiedy zajrzała do niej, powróciły dawne lęki. Zaczęła bezwiednie skubać palcami świeże, sine blizny na udzie. Jej ruchy stały się bardziej nerwowe na wspomnienie upokorzenia, jakiego doznała, kiedy brat Bernard i Ojciec dowiedzieli się o jej

niepowodzeniu; pierwszym niepowodzeniu Nemezis. Gniewne słowa brata Bernarda do tej pory brzmiały w jej uszach.

Odwróciła się, podeszła do krzyża i uknęła. Zmówiła szybko prostą modlitwę: żeby po zlikwidowaniu następnej ofiary Sprawiedliwego Wyroku na Manhattanie dostała od Ojca jeszcze jedną szansę na usunięcie naukowca.

Beacon Hill, Boston

Następnego ranka Tom Carter obudził się wcześniej. Wyciągnął rękę w poprzek dużego łóżka, do Olivii. Dopiero kiedy poczuł chłód prześcieradła, przypomniał sobie, że jego żona nie żyje. Od zamachu co dzień budził się z tą myślą i zadawał sobie pytanie, czy tak będzie już zawsze. Otworzył zaspane oczy i spojrzął na jarzącą się tarczę zegara. Była piąta szesnaście. Wtedy w jego świadomość wdarł się inny koszmar.

Ile to właściwie jest rok? Pięćdziesiąt dwa tygodnie? Trzysta sześćdziesiąt pięć dni? Osiem tysięcy siedemset sześćdziesiąt godzin? Jakkolwiek o tym myślał, nie potrafił przekonać sam siebie, że rok trwa dłużej, niż się wydaje, wystarczająco długo. Według DAN-a tyle właśnie czasu zostało Holly - w najlepszym razie. Bez lekarstwa będzie miała szczęście, jeśli dożyje następnych urodzin.

Kiedy DAN powiedział mu o tym, Tom poczuł dziwną ulgę. Termin był zbyt bliski, by mógł cokolwiek zrobić. Miał uzasadniony pretekst, by dać za wygraną, skupić się na odnalezieniu zabójcy Olivii i dopilnować, by ostatnie miesiące Holly były możliwie najbardziej radosne i bezbolesne. Ale to byłoby nie w jego stylu. Nigdy nie potrafił biernie godzić się z losem.

Usiadł na łóżku i potrząsnął głową, usiłując rozpędzić kłębiące się w niej myśli i lęki. Jeśli w ogóle miał zastanawiać się nad tym, co powinien i co może zrobić, by pomóc Holly, musiał spojrzeć na całą sytuację świeżym

okiem. A zdobyć się na to mógł tylko w jeden sposób. Zanim przekaże złe wieści ojcu i Jackowi, pomówi z jedyną osobą, która zawsze gotowa była go wysłuchać w chwilach kryzysu i zwątpienia.

Zwiesił ociążałe nogi z łóżka, wstał i poszedł do łazienki. Na stoliku przy wannie stały szampony i odżywki Olivii. Jak wiele innych przedmiotów w tym urządzonym przez nią domu były śladem jej obecności. Na razie jednak nie potrafił się przemóc, by wyrzucić choćby najmniejszą pamiątkę po niej.

Ustawił prysznic na najsilniejszy strumień i, chcąc się do końca rozbudzić, chłostał się wodą tak długo, aż skóra zaczęła go mrowić. Spojrzał w dół, na brzydką, fioletową bliznę nad prawym kolaniem. Szwedzki lekarz powiedział mu, że miał szczęście: kula przeszła na wylot, powodując tylko drobne uszkodzenia mięśni. On sam jednak niemal bezustannie żałował, że to nie jego dosięgły pociski, które wbiły się w ciało Olivii.

Wyszedł spod prysznica, wytarł się do sucha i otworzył dużą garderobę, którą dzielił z żoną. Ubrania Olivii zwisały smętnie z wieszaków, wśród nich wciąż unosił się jej zapach. Sięgnął do swojej części garderoby, włożył pierwsze lepsze ciuchy i złapał długą ocieplaną skórzaną kurtkę, która leżała na podłodze, gdzie rzucił ją poprzedniego wieczoru.

Na podeście schodów zatrzymał się przy pokoju Holly i zajrzał do środka. Spała skulona pod kołdrą. Podeszedł do niej na palcach i pocałował ją w czoło. Kiedy patrzył na jej spokojną twarz, mroząca krew w żyłach przepowiednia DAN-a wydawała mu się odległym - a nawet absurdalnym - koszmarem. Gdyby nie wrócił, zanim Holly się obudzi, do tego czasu powinna już wstać Marcy Kelley, gosposia mieszkająca na ostatnim piętrze.

Zostawił Holly pogrążoną we śnie, po cichu zszedł schodami na dół i wymknął się tylnymi drzwiami, bo od frontu, kilka metrów od domu stał radiowóz. Wsiadając do mercedesa, zauważył, że przez noc napadało dużo śniegu. Wyjechał przez boczną bramę, wymykając się policyjnej obstawie. Chciał być sam i nie podzielał obaw Jacka, że człowiek, który chciał zabić go w Szwecji, mógł przyjechać za nim do Stanów. Zabójca Olivii pewnie został zmuszony do ucieczki i, zdaniem Toma, policja powinna skoncentrować się na schwytaniu go, zamiast tracić czas na czuwanie nad jego Skromną osobą.

W zwykle zakorkowanym Bostonie panowała niesamowita cisza. Dochodziła szósta, był niedzielny poranek i w ciągu piętnastu minut jazdy Tom zobaczył tylko kilka samochodów, w tym brązowego sedana, który wyprzedził go zaraz za ośnieżonym mostem.

Kiedy dotarł na cmentarz, niebo już zaczynało różowić się świtem. Przejechał przez otwartą bramę z kutego żelaza, kierując się ku szczytowi wzniesienia, gdzie widać było przysypany świeżym śniegiem grób Olivii. Zatrzymał mercedesa i chuchając w zmarznięte dłonie, ruszył na miejsce jej ostatniego spoczynku. Śnieg skrzypiał mu pod nogami. Usiadł przy grobie, przyciskając kolana do piersi, i powiedział jej, co się stało.

Zaczął od początku, nie pomijając żadnego szczegółu. Czuł się tak, jakby Olivia naprawdę go słuchała, co często robiła za życia.

- Co powinienem zrobić? - spytał głośno. - Pogodzić się z tym, co nieuniknione, i starać się jak najlepiej wykorzystać czas, jaki pozostał Holly? Czy zaryzykować i poświęcić być może ostatni rok jej życia na poszukiwanie leku?

Kiedy tak siedział, wpatrzony w wypierające ciemność jasne, zimne palce świtu, przypominał sobie ulubiony wiersz Olivii i się uśmiechnął. Nie pamiętał wszystkich wersów dedykowanych przez Dylana Thomasa umierającemu ojcu, ale fragment, który mu się nasunął, wystarczył. Nie pozwoli, by Holly bez słowa odeszła w noc. Będzie walczył razem z nią, wykorzysta swoją wiedzę i dostępne środki, by powstrzymać nadciągający mrok.

Jasmine z pewnością nie powiedziała nikomu o wyroku DAN-a, a Tom chciał zachować go w tajemnicy, zwłaszcza przed Holly; lepiej, by na razie nic nie wiedziała o grożącej jej chorobie. Postanowił powiedzieć wszystko Aleksowi i Jackowi, i wszystkim innym osobom, które mogły pomóc i na których dyskrecję mógł liczyć. Wspólnie opracują optymalny plan ataku. W końcu jeśli oni nie uratują Holly, nie dokona tego nikt.

Właśnie wtedy, w chwili, gdy na cmentarz padły pierwsze ukośne promienie wschodzącego słońca, Tom zauważył świeże ślady stóp na śniegu. Powiódł za nimi wzrokiem przez połąć bieli do brązowego sedana zaparkowanego na drugim końcu cmentarza. Stał przy nim barczysty mężczyzna. W jasnej poświacie odcinała się tylko jego sylwetka, ale poza, jaką przyjął, wskazywała, że obserwuje Toma.

Tom wstał, podążył spojrzeniem po głębokich śladach z powrotem do grobu i dopiero teraz zauważył mały wieniec czerwonych róż w kształcie krzyża; leżał na śniegu za nagrobkiem. Ciekaw był, kto go tu złożył; przewidując, że tego życzyłaby sobie Olivia, poprosił żałobników, by zamiast przynosić kwiaty, przekazali datki wybranym przez siebie organizacjom charytatywnym. Zaintrygowany nachylił się i podniósł wieniec. Spomiędzy czerwonych kwiatów wysunęła się koperta i spadła na śnieg.

Rozerwał ją zmarzniętymi palcami i zobaczył małą kartkę. U góry widniał cytat: *Zapłać za grzech jest śmierć. List do Rzymian, roz. 6, w. 23**.

Pod nim zobaczył słowa, które zmroziły mu krew w żyłach: *Tym razem to twoja żona zapłaciła za twój grzech. Ale i tak spotka cię zasłużona kara. Bez podpisu.*

Wreszcie coś poczuł. Gniew i żal, uczucia tłumione od śmierci Olivii, znalazły ujście. Krew huczała w uszach; zmrużył oczy, by nie raziło go słońce, i nie zważając na ból uda, rzucił się w stronę samotnej postaci. Brnął przez gęsty śnieg najszybciej, jak mógł, para buchała mu z ust. Zanim jednak przebył dwadzieścia metrów, nieznajomy już zniknął.

Trzy dni później Jasmine Washington siedziała z Tomem Carterem i Jackiem Nicholsem w sali posiedzeń zarządu GENIUS-a na ostatnim piętrze piramidy, gdzie mieściły się wszystkie biura sprzedaży; tam urzędował Jack. Kręciła głową z niedowierzaniem. Ledwie pogodziła się z prognozą DAN-a dotyczącą Holly, a teraz to.

- Czegoś tu nie rozumiem, Tom. Dlaczego nie próbowała go złapać twoja policyjna ochrona? - spytała.

- Bo policji przy tym nie było - powiedział Jack; silne dłonie splótł na Czarnym stole. - Nasz Einstein postanowił im się wymknąć.

- Jack, przestań gadać, jakbyś był moim starszym bratem - mruknął Tom. - Dość się już nasłuchiwałem od twoich znajomych z Biura.

Ogorzała twarz Jacka nie wyrażała żadnych uczuć. Mimo siwizny przebijającej w jego rudawozłotych włosach i szpecącej blizny wyglądał dobrze jak na swoje pięćdziesiąt lat. Jasmine znała go prawie tak długo jak Toma. Ten był agent FBI ze stopniem MBA nie tylko miał smykałkę do interesów, ale też był „specem”, pragmatycznym marudą, który sprowadzał Toma z wyżyn wyobraźni na ziemię. Jack powiedział jej kiedyś, że jego rolą jest chronić ich kruche pomysły przed „krawatami”, jak nazywał inwestorów. Odkąd przed dwunastoma laty poznali się z Tomem na konferencji poświęconej inwestycjom w biotechnologię, połączył ich wspólny cel.

Choć GENIUS już wówczas odnosił sukcesy, Tom chciał zdobyć dodatkowe fundusze na sfinansowanie prac nad genoskopem, nie tracąc przy tym kontroli nad firmą. Jack, świeżo po szkole biznesu Wharton, mając za sobą

* Wszystkie cytaty z Biblii pochodzą z *Biblii Tysiąclecia*, Pallottinum, Poznań- Warszawa 1988 (przyp. tłum.).

udany rok w Drax Venture Capital, szukał przedsięwzięcia, które mógłby dokapitalizować - najlepiej takiego, które zmieniliby świat. Rozmawiali ze sobą prawie non stop przez trzydzieści dziewięć godzin, ignorując innych uczestników konferencji. Po jej zakończeniu Jack odszedł z Drax i przyłączył się do Toma. Przez następne trzy tygodnie nie dość, że zainteresował sześciu poważnych inwestorów z Wall Street przedsięwzięciem swojego nowego współpracownika, to jeszcze, wygrywając ich przeciwko sobie, spowodował, że trzej z nich wyłożyli niezbędne sto pięćdziesiąt milionów - a on wielkodusznie przyjął ich ofertę z zastrzeżeniem, że przez co najmniej dziesięć lat nie będą mieć wpływu na zarządzanie firmą.

- I co FBI na to, Tom? - spytała Jasmine.

Tom wstał, podszedł do oszklonej ściany i oparł się o nią plecami. Za nim widać było odległe drapacze chmur w centrum Bostonu.

- Myślą, że to mógł być Kaznodzieja - odparł.

Otworzyła szeroko oczy.

- O rany - szepnęła. - Serio?

Jack Nichols pogładził bliznę na twarzy, jak zawsze, kiedy był zdziwiony albo zaskoczony.

- Jesteś pewien? - zapytał.

- Tak mówili w FBI - powiedział Tom. - Rozmawiałem z Karen Tanner z Federal Plaza. Stwierdziła, że charakter pisma i cytaty z Biblii wskazują na Kaznodzieję.

Jack gwizdnął cicho.

- Jeśli tak mówi Karen, to pewnie ma rację.

Jasmine wiedziała, czemu Jack był pod wrażeniem. Przed piętnastoma laty świeżo upieczona agentka FBI Karen Tanner była jego partnerką. To ona pomogła mu dopaść Wesołego Sama, mordercę, który próbował „uwiecznić szczęście”, wycinając usta ofiar. Żona Jacka, Susan, omal nie została jedną z nich; Jack uratował ją z pomocą Karen. Mocno przy tym oberwał. To wtedy postanowił odejść, spędzać więcej czasu z żoną i dwoma synami i poszukać innego sposobu naprawiania świata.

A teraz Karen Tanner twierdziła, że na Toma Cartera poluje morderca, któremu Wesoły Sam nie dorastał do pięt. Jasmine nie uwierzyłaby w to, gdyby na własne oczy nie widziała zabójstwa Olivii.

Jak wszyscy, czytała o Kaznodziei w gazetach. Artykułów na jego temat nie brakowało. Podobno był fanatykiem religijnym prowadzącym chorągucję, mającą za cel oczyszczenie świata. Zabijał głównie powszechnie znane kanale: adwokatów współpracujących z gangsterami, handlarzy

narkotyków, głowy największych rodzin mafijnych - ogólnie, najgorsze gnidy pozostające poza zasięgiem wymiaru sprawiedliwości.

Jasmine pamiętała, jak przed trzynastoma laty czytała o pierwszej ofierze Kaznodziei. W rzece Hudson znaleziono ciało nieuczciwego pastora Bobby'ego Dooleya z gardłem poderżniętym od ucha do ucha i listem o treści: *Strzeżcie się fałszywych proroków, którzy przychodzą do was w owczej skórze, a wewnątrz są drapieżnymi wilkami. Ewangelia według świętego Mateusza, roz. 7, w. 75*, wciśniętym do ust w plastikowym worku.

Kiedy doszło do następnych morderstw i do ciał dołączone były podobne teksty, prasa zaczęła rozpisywać się o zabójcy nazwanym Kaznodzieją Śmierci. Z czasem jednak zainteresowanie nim osłabło; policja nie wpadła na jego trop, a większość ofiar tak czy inaczej nie zasługiwała na miano Dobroczyncy Roku. Teraz, kiedy Kaznodzieja miał na koncie około sześćdziesięciu zabójstw na całym świecie, jedyne, co interesowało media, to to, czy policja naprawdę chce go złapać, czy też woli zostawić go w spokoju, bo „zabija tylko kanalie” i tym samym ułatwia jej życie.

- Ale, Tom, dlaczego ty miałbyś być jego celem? - spytała Jasmine. - Raczej trudno cię zaliczyć do kanalii. No chyba że Komitet Noblowski jest zupełnie oderwany od rzeczywistości.

Tom parsknął gorzkim śmiechem.

- Wczoraj o to samo pytałem Karen Tanner. Jej zdaniem Kaznodziei nie podoba się to, czym się zajmuję. Spece od psychologii z Quantico uważają, że w oczach religijnego fanatyka fakt, że param się genetyką, czyni ze mnie najgorszego bydlaka, jakiego można sobie wyobrazić, niewiele lepszego od samego szatana. I nie zapominajcie, że nie wszystkie ofiary były kanaliaми w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Pamiętacie Maksa Heywooda, sędziego Sądu Najwyższego?

Jasmine się skrzywiła. Pamiętała.

Jedynym „grzechem” Maksa Heywooda było to, że powiedział, iż konstytucja Stanów Zjednoczonych jest tak święta, jak wszystkie nakazy Biblii. Sędzia Sądu Najwyższego został znaleziony w swoim gabinecie z cytatem biblijnym na piersi, wypisanym jego własną krwią: *Boga się bój i przykazań Jego przestrzegaj, bo cały w tym człowiek! Księga Hoheleta, roz. 72, w. 13*. Zabójca udusił go garotą, a następnie szczypcami wyciągnął mu język na wierzch.

- Ale czemu miałbyś chcieć cię zabić akurat teraz? - spytała Jasmine.

- Zajmujesz się genetyką od lat.

- Kto wie? Jedna z teorii jest taka, że wkurzył się na wieść o przyznaniu mi Nagrody Nobla. Tak czy inaczej - powiedział Tom - nie obchodzi mnie, kim on jest. Jeśli zabił Oliwię, chcę go dopaść. I tak oto przechodzimy do celu naszego spotkania. Chcę porozmawiać z wami o zmianie naszych priorytetów. Pierwszy ma związek z Holly, drugi z udzieleniem FBI pomocy w schwytaniu Kaznodziei.

Jack sięgnął po telefon.

- Wezwę Paula i Jane.

Tom go powstrzymał.

- Nie. Niech problem Holly na razie zostanie między nami.

Paul Mandelson i Jane Naylor byli pozostałymi dwoma członkami zarządu firmy. Jack nadzorował sprawy finansowe i marketing, Tom kierował działem badań i rozwoju, a Jasmine działem informatycznym. Paul, dyrektor do spraw operacji, odpowiedzialny był za zakupy i produkcję. Jane Naylor kierowała działem personalnym.

Jack cofnął rękę i odchylił się na oparcie krzesła.

- No dobra, zacznijmy od Holly. Zakładam, że ma to związek z prognozą DAN-a.

Tom kiwnął głową.

- Ponieważ do tej pory koncentrowaliśmy się na najlepiej znanych zaburzeniach o podłożu genetycznym, pominęliśmy rzadsze, cięższe przypadłości, jak rak mózgu. Żeby więc mieć choć cień nadziei na ocalenie Holly, zamierzam przesunąć trzy najlepsze zespoły laboratoryjne do prac nad terapią genową, która omijałaby barierę krew-mózg i zwalczała w szczególności glejaka wielopostaciowego. Oznacza to, że przesunie się w czasie część bardziej konwencjonalnych, dochodowych projektów. Nie pozostanie to też bez wpływu na finanse. Poza tym jednak nic nie powinno się zmienić. Zgoda?

Jack wzruszył ramionami.

- Jasne. Rób, co konieczne. Daj mi tylko szczegółowy wykaz kosztów, żeby księgowi mogli otworzyć stosowne centra budżetowe i udostępnić kody kont.

Tom odwrócił się do Jasmine.

- Jazz, powiedziałem FBI o programie GenoDzin, palą się do tego, żeby go wypróbować. Nie mają pojęcia, jak wygląda ten tajemniczy Kaznodzieja. Nawet na filmie z zabójstwa Olivii widać tylko faceta zakutanego w gruby płaszcz. Są jednak przekonani, że wcześniej czy później na jednym z miejsc zbrodni zostawi jakiś genetyczny ślad, a wtedy Dzin

mógłby sporządzić jego portret. Chcę im pomóc. Ostatni prototyp jest już sprawny?

GenoDzin był drugiej generacji nakładką na oprogramowanie genoskopu. Działające genoskopy potrafiły na podstawie DNA podać dokładny rysopis człowieka: kolor skóry, włosów i oczu, a także grupę etniczną, przybliżony wzrost i budowę ciała. GenoDzin szedł krok dalej. Bazując na opracowanej w latach dziewięćdziesiątych technice komputerowego generowania portretów pamięciowych, miał na podstawie genów danej osoby sporządzić jej trójwymiarową podobiznę.

Jasmine otworzyła laptop i weszła do katalogu projektu.

- Prawie - odpowiedziała. - Według najnowszych danych za dziesięć tygodni będzie można rozpocząć testy beta.

Tom zmarszczył brwi.

- Gdybyś potraktowała te prace priorytetowo i wpompowała w nie więcej pieniędzy, kiedy najwcześniej mogłabyś być gotowa?

- Za miesiąc. Pięć tygodni. Zakładając, że nie pojawią się poważne usterki. Ale to będzie kosztować.

- Nieważne - odparł Tom. - Wydadź tyle pieniędzy, ile trzeba. Ale masz tylko cztery tygodnie.

Jack spojrzał na niego. Bez wątpienia myślał o milionach, które będą musieli włożyć w projekt, by przyspieszyć jego ukończenie o kilka tygodni.

- Po co ten pośpiech, Tom? Mamy monopol na to oprogramowanie. Poza tym chyba nie sądzisz, że dzięki niemu złapią zabójcę Olivii?

- Przynajmniej będziemy wiedzieli, że coś robimy.

Jack chyba chciał zaprotestować, ale po chwili odchylił się na oparcie krzesła i wzruszył ramionami.

- Dobrze, już dobrze. Ale kimkolwiek jest ten Kaznodzieja, nie złapie się go przy użyciu maszyny do wywoływania duchów. Facet działa trzynastę lat i nikt nic o nim nie wie. - Wychylił się do przodu i spojrzał Tomowi w oczy. - On sam już jest duchem.

**Miesiąc później, 2 lutego 2003,
Beacon Hill, Boston**

Tom Carter nalał sobie trzeci kubek czarnej kawy, wpatrzony w zegar tykający w cichej kuchni. Była 5.58 rano; nawet Marcy Kelley, gospościa, jeszcze nie wstała.

Od śmierci Olivii minęło siedem tygodni, cztery dni i sześć godzin - często zastanawiał się, kiedy przestanie tak dokładnie odmierzać upływ czasu - a mimo to poszukiwania zabójcy nie posunęły się nawet o krok. Oprócz gotowego już prawie programu GenoDzin, jedyną iskierką nadziei Toma był fakt, że według policji on sam wciąż pozostawał na celowniku zabójcy. Jeśli mieli rację, istniał cień szansy, że drań wpadnie w ręce strzegących go agentów FBI i policjantów.

Myśl, że jego śladem podąża tak groźny morderca, była przerażająca, ale bardziej niż o siebie martwił się o Holly. Z każdą chwilą coraz dotkliwiej doskwierała mu świadomość, że jego córce depcze po piętach jeszcze bardziej bezlitosny zabójca. Dziś, po wielu tygodniach pracy, miał dowiedzieć się, czy jeden z kluczowych eksperymentów jego zespołu zakończył się sukcesem i czy w związku z tym jest szansa, że znajdą lekarstwo na czas.

Wstał, zdjął zmiętą kurtkę z oparcia krzesła i wyszedł z kuchni. Stąpając po dużym chińskim dywanie, zajmującym prawie cały hol, skierował się do dębowych schodów. U ich szczytu wyprostował chorą nogę i potarł ją

tuż nad kolanem. Będzie musiał poddać się operacji, by przestać utykać, na razie jednak nie było to dla niego najważniejsze. Delikatnie pchnął drzwi do pokoju Holly i już miał wejść do środka na palcach, by jej nie obudzić, kiedy w oczy uderzyło go jasne światło lampki na biurku.

- Cześć, tato - powiedziała Holly. Jej nastroszone jasne włosy były przykrapnięte od snu. Siedziała przy biurku w obszernym zielonym T-shircie z napisem NA CO SIĘ GAPISZ? i stuknęła w klawisze komputera.

Tom zamrugał oczami od rażącego blasku i zmierzwił jej włosy.

- Czemu tak wcześnie wstałaś?

- Nie mogłam spać i pomyślałam, że jeszcze raz spróbuję przejść Gniew Zarga.

Uśmiechnął się i usiadł na jej łóżku, obok biurka. Rzadko się zdarzało, by o tej porze już nie spała. Zwykle budziła ją dopiero Marcy Kelley, kiedy przed ósmą radośnie wołała tubalnym głosem „pobudka”, tak by Holly zdążyła zjeść śniadanie, nim zabierze się do szkoły z przyjaciółmi.

Tom odwrócił się do monitora i spojrzał na królową wojowników; to nią sterowała Holly. Groteskowo umięśniona postać stała pod sklepieniem, z którego spadały płonące cegły. Z lewej strony zbliżał się smok, a z prawej wielki stwór przypominający trolla.

- No to masz przechłapanie.

Holly się zaśmiała.

- E tam. Bułka z masłem.

- Co ty powiesz? Niby jak unikniesz tych cegieł tak, żeby nie zjadł cię smok i nie zdeptał troll?

- O tak. - Holly przebiegła palcami po klawiaturze; wojowniczką schyliła się i uniosła kamień, pod którym leżała mała niebieska butelka. Po wciśnięciu kilku kolejnych klawiszy podniosła ją, wychyliła do dna i rozbłysła jasnym światłem; teraz była już odporna na spadające gorące cegły. Po chwili pocięła mieczem smoka, nadziała trolla na klingę i przeszła na następny poziom. - Magiczny napój - wyjaśniła Holly z pełnym wyższości uśmiechem. - Daje nieśmiertelność. Działa za każdym razem, trzeba tylko wiedzieć, gdzie go szukać.

Tom spojrzał na córkę, nieświadomą nieuchronnie zbliżającej się choroby.

- Magiczny napój, co? Jestem pod wrażeniem. - Jakżeby chciał, by rozwiązanie jego problemów było równie proste.

Na monitorze pojawiła się następna plansza.

- Poziom szósty! - krzyknęła Holly triumfalnie. - Super.

Tom był zadowolony, że nowy komputer jej się podobał. To był prezent pod choinkę od niego i Olivii. Jasmine pomogła im wybrać właściwy model i tylko on wniósł trochę radości do domu w te posepne święta. Owszem, przyjechał Alex i inni członkowie rodziny, a Jazz i wszyscy znajomi wykazali się heroicznym taktom, ale nic nie mogło zapęłnić pustki po odejściu Olivii. Ogólne cały ten okres świąteczny był piekłem.

Rozejrzył się po pokoju Holly. Na jednej ze ścian plakat *Jurassic Park 3* rywalizował o prymat z naturalnej wielkości zdjęciem Wojowników Internetu. Na środkowej półce nad biurkiem leżała futbolówka, obok niej stała duża fotografia roześmianej Olivii w ogrodzie. Tom pospiesznie przeniósł wzrok na kolekcję płyt CD-ROM z gramami i figurek GI Joe. Uśmiechnął się w myślach; w pokoju nie było ani jednej lalki, rozczulającego plakatu Fistaszków czy patrzącej samimi oczami postaci z filmu Disneya. Już kiedy Holly była mała, stało się oczywiste, że Barbie to nie dla niej. I wierz tu, człowieku, w genetykę, pomyślał.

Nagle wyobraził sobie, jak wyglądałby ten pokój, gdyby był pusty. Strach zrodził się tak nagle, bez zapowiedzi, że Tom potrzebował chwili, by ochłonać. Odetchnął głęboko i powiedział sobie, że tomografia komputerowa i pozytonowa emisyjna nie wykazały żadnych śladów nowotworu. Powtórzył sobie po raz kolejny, że zostało dość czasu, by znaleźć lekarstwo. Już on tego dopilnuje.

- Tato?

Odwrócił się do Holly, która wpatrywała się w jego nogi.

- Tak?

- Jesteś gotowy do pracy?

- Oczywiście. Czemu pytasz?

- Masz skarpetki nie do pary.

Spojrzał w dół. Miała rację. Jedna skarpetka była niebieska, druga - brązowa.

- One powinny być takie - powiedział. - To specjalna para.

Holly tylko uniosła brew.

- Już ci wierzę.

Tom wstał i pocałował ją w policzek.

- Mówię prawdę, Holly. Mogę to udowodnić.

Holly zmrużyła oczy.

- Jak?

Podchodząc do drzwi, nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Mam drugą taką samą parę.

Usłyszał jej jęk: „Taaaato”, ale zdążył wyjść za drzwi, zanim trafiła go poduszka.

O wpół do siódmej wjechał przez bramę na teren GENIUS-a. Dyskretna policyjna obstawa trzymała się tuż za nim. Zwykle zaczynał pracę piętnaście po szóstej, ale dzisiejsza nieoczekiwana rozmowa z Holly była przyjemnym wytchnieniem od codziennej rutyny.

Skierował mercedesa na podziemny parking. Był praktycznie pusty. Tom uśmiechnął się na widok jasnozielonego kabrioletu bmw. Zawsze przekomarzali się z Jazz, kto przyjedzie do pracy pierwszy; zwycięzca w nagrodę zajmował najlepsze miejsce. Czasami w paradę wchodził im Jack Nichols, który zjawiał się o jakiejś nieludzkiej porze, by pokazać, że i on może im dorównać, ale najczęściej rywalizacja toczyła się między nimi dwojgiem. Zwykle wygrywał Tom. Ale nie dzisiaj.

Wysiadł i ruszył do schodów prowadzących do atrium. Przed zamachem wbiegłby na górę, teraz szedł powoli. Z zasady nie korzystał z windy.

Ciszę maćił tylko głuchy stukot jego obcasów o marmurową posadzkę. Po lewej stronie, przez przyciemniane oszklone ściany widział Jasmine, krzającą się po głównej sali komputerowej, do której wchodziło się z atrium przez czarne, matowe drzwi z napisem: DZIAŁ INFORMATYCZNY — NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Na parterze piramidy mieścił się też hol główny i oddział szpitalny.

Pomachali do siebie i Tom przeszedł na środek atrium. Tu, aż po szczyt piramidy, wznosił się dziesięciometrowej wysokości kolorowy hologram; przedstawiał spiralę DNA, obracającą się na okrągłym holopadzie. Tom, co często mu się zdarzało, zignorował zakaz i wszedł prosto w trójwymiarowy obraz. Spojrzał w górę na wirujące wokół niego spiralne schody i zachwycony patrzył na kolorowe szczeble zbudowane z zasad azotowych. Kiedy stał wewnątrz podwójnej helisy niosącej w sobie kod życia, zawsze spływało na niego natchnienie. Jego zdaniem to właśnie była prawdziwa infostrada prowadząca do odkrycia najważniejszych tajemnic. Kręcąc głową z podziwem, zszedł z holopadu i skierował się do oddziału szpitalnego w zachodniej części atrium.

Pchnął drzwi i wszedł do małej, wesoło udekorowanej poczekalni, z której sąsiadowały toalety. Przed nim znajdowały się podwójne wahadłowe drzwi do eksperymentalnego oddziału terapii genowej i umieszczonej za nim w pełni wyposażonej sali operacyjnej. Działający za zgodą Narodowego Instytutu Walki z Rakiem, funkcjonującego w ramach Narodowego

Instytutu Zdrowia w Bethesdzie w stanie Maryland, oddział miał dziesięć łóżek. Finansowany w całości przez GENIUS-a, zatrudniał czterech lekarzy i dziesięć pielęgniarek, po jednej na każde łóżko. Dwaj lekarze byli tu oddelegowani na urlop naukowy przez Narodowy Instytut Zdrowia; do nich należało inspirowanie twórczej wymiany myśli i doświadczeń - i, rzecz jasna, pilnowanie, by GENIUS uzyskał wszystkie niezbędne zezwolenia na testowanie eksperymentalnych terapii. Tom bardzo ich cenił i niczego przed nimi nie ukrywał. No, prawie niczego. Nie pokazał im jeszcze bazy danych IGOR. Był pewien, że mimo motywów, które nim kierowały, nie mogłyby liczyć w tej sprawie na przychylność Narodowego Instytutu Zdrowia.

Otworzył drzwi i uśmiechnął się na widok słonecznej sali; żółte ściany, chabrowe zasłony, rośliny w doniczkach, sosnowe łóżka w na wpół oddzielonych boksach, wszystko to potęgowało wrażenie, że nie jest to oddział szpitalny, lecz duża sypialnia. Nie to jednak sprawiało, że miejsce to było tak wyjątkowe, a Tom był z niego tak dumny.

Oddział był niezwykle, ponieważ trafiali tu tylko pacjenci spełniający jedno surowe kryterium: musieli mieć przed sobą nie więcej niż trzy miesiące życia. Przybywali tu, kiedy zawiodły chemioterapia, radioterapia i wszelkie inne metody leczenia. Była to dosłownie ich ostatnia deska ratunku. Tutaj przeprogramowywano ich geny.

Tom otworzył ten oddział, by naukowcy z umieszczonych na wyższych piętrach laboratoriów na własne oczy widzieli, jak ich prace sprawdzają się w praktyce, i nie zapominali, że badania, które nie służą ratowaniu ludzi, są bezużyteczne. Choć większość śmiertelnie chorych pacjentów mimo to umierała, sporej grupie przedłużono życie ponad wszelkie oczekiwania. Na początku roku 1999 w tej właśnie sali odnotowano pierwszy udokumentowany przypadek wyleczenia mukowiscydozy przy zastosowaniu terapii genowej, a rok później pomyślnie zakończyły się próby kliniczne kuracji na płasawicę Huntingtona. Na tym skromnym oddziale w ciągu ostatnich dziewięciu lat uratowano życie przeszło pięćdziesięciu ludzi, nie wspominając niezliczonych chorych na całym świecie, którzy zawdzięczali ocalenie prowadzonym tu badaniom.

W tej chwili zajętych było tylko sześć łóżek. Pięciu pacjentów spało, szósty, Hank Polański, siedział prosto i rozmawiał z oddziałową Beth Lawrence. Toma to nie zdziwiło. To był ważny dzień dla tego dwudziestotrzyletniego farmera z Karoliny Północnej. Urząd do spraw Żywności i Leków wreszcie zaaprobował nową terapię i tego ranka lekarz miał wstrzyknąć Hankowi retrowirus HIV, wywołujący AIDS.

Ze względu na nawał obowiązków w laboratorium Tom powierzył opiekę nad pacjentami innym lekarzom. Nadal jednak uważał, że jest za każdego z chorych osobiście odpowiedzialny.

Siostra Lawrence, wysoka, sztywna kobieta o zaskakująco serdecznym uśmiechu, właśnie podłączała kroplówkę do ramienia Hanka. Podniosła głowę i ciepło powitała Toma.

- Dzień dobry, doktorze Carter.

- Witaj, Beth. Cześć, Hank. Jak się dziś czujesz?

Hank zwrócił ku niemu bladą twarz i uśmiechnął się dzielnie.

- Jeszcze tu jestem, doktorze - wydyszał, z trudem łapiąc powietrze.

- Gotów do zabiegu?

Hank niepewnie pokiwał głową. Zgłosił się na eksperymentalną terapię genową na ochotnika, ale Tom wiedział, że zrobił to, bo nie miał wyboru. Był chory na raka płuc i tylko radykalne działania mogły ocalić mu życie. Terapia polegała na wprowadzeniu do nowotworu genów, które każą układowi odpornościowemu go zniszczyć. Rak powstaje z komórek, które buntują się przeciwko ścisłym instrukcjom genetycznym i w niekontrolowany sposób się rozrastają. Aby stłumić ich rebelię, Tom musiał je wszystkie, bądź prawie wszystkie, zniszczyć. W tym celu potrzebny był mu nośnik, który wprowadziłby do nich śmiertelne geny, nie uszkadzając przy tym zdrowych komórek. I tę właśnie funkcję miał spełnić retrowirus HIV.

Retrowirusy umiały dostać się do wnętrza komórki i włączyć swój kod genetyczny do jej zdrowego DNA. Jak rakiety Cruise mogły zostać odpowiednio przeprogramowane w laboratorium; chodziło o to, by wyłączyć szkodliwe elementy kodu i wprowadzić do niego pożądane geny. Poprzez zablokowanie w retrowirusie HIV genów atakujących układ odpornościowy i wprowadzenie innych, o działaniu leczniczym, zabójca wywołujący AIDS zmieniał się w lek na raka płuc. Tom i jego współpracownicy skutecznie unieszkodliwili retrowirusa, następnie umieścili w nim geny, których rolą było namierzyć i zniszczyć rakowate komórki płuc. Teraz pozostawało tylko wypróbować genetycznie zmodyfikowany retrowirus na człowieku.

- Mógłby mi pan jeszcze raz przypomnieć, jakie są zagrożenia? - spytał Hank, starając się nie okazywać strachu.

Tom położył dłoń na jego ramieniu. Jak zawsze, był całkowicie szczery.

- Po pierwsze, istnieje ryzyko, że retrowirus zbuntuje się, zaatakuje zdrową komórkę i włączy swoje geny do niewłaściwej części sekwencji genetycznej.

- Co stałoby się wtedy?
- Rak zaatakowałby zdrowe komórki. Ale prawdopodobieństwo, że do tego dojdzie, jest bardzo, bardzo małe.
- A mógłbym złapać AIDS?
- Nie, testowaliśmy nośnik retrowirusa, wektor, jak my go nazywamy, przez trzy lata i wykazaliśmy, że jest niegroźny. Dlatego Urząd do spraw Żywności i Leków zgodził się na jego zastosowanie. Mówiąc szczerze, Hank, jedyne faktyczne zagrożenie jest takie, że terapia okaże się nieskuteczna.
Poczuł, jak Hank wzrusza kościstym ramieniem.
- Czyli nie mam nic do stracenia? - spytał.
Tom spojrział mu w oczy i nie odpowiedział. Kiedy przywieziono go tu przed trzema tygodniami, ten niegdyś wysportowany, zahartowany chłopak był już tak słaby, że ledwie chodził. „Nie znam się na chorowaniu - powiedział. - Zabij mnie pan albo wylecz. Bylebym nie musiał tu gnić”. Gotów był na wszystko, byle wstać z łóżka i opuścić szpital.
- Powiem wprost, Hank - zaczął po chwili. - Prawdopodobieństwo niepowodzenia jest wysokie, jakieś osiemdziesiąt pięć procent. Ale ryzyko, że ci się pogorszy, jest minimalne. A bez podjęcia próby leczenia nie masz żadnych szans. Wybór należy do ciebie. Możesz nic nie robić i pozwolić, by choroba dalej się rozwijała, albo zaryzykować i mieć piętnaście procent szans na wyzdrowienie.
Hank zmarszczył brwi, jakby się zamyślił.
- Piętnaście procent? - wydyszał.
Tom nie pokazał po sobie, co przeżywa.
- W najlepszym razie.
Wychudłą twarz Hanka rozświetlił szeroki uśmiech. Młody mężczyzna wyglądał niemal tak, jakby wracał do zdrowia.
- Bywało gorzej.
Tom odwzajemnił uśmiech.
- A żebyś wiedział. Widziałem, jak o własnych siłach wychodzili stąd ludzie, których szanse na przeżycie były jeszcze mniejsze. Dlatego się nie poddawaj.
Miną tygodnie, miesiące, a nawet lata, zanim znane będą ostateczne wyniki, nie obchodziło go jednak, jak długo to potrwa; najważniejsze, by wyrwać tego młodego człowieka z chciwych szponów śmierci. Odwrócił się do pielęgniarki - właśnie zawieszała pojemnik z kroplówką na stojaku przysuniętym do łóżka. W środku znajdowała się pierwsza partia czerwonej surowicy retrowirusowej, sklonowanej w laboratorium.

- No dobrze, Beth, zaczekamy, aż przyjedzie mama Hanka - powiedział.
- Mówiła, że będzie o siódmej. Potem, gdybyś mogła, ściągnij tu jednego z lekarzy z Instytutu Zdrowia, żeby skontrolował, co robimy. Najlepiej Karla Lamberta. Jak już przyjdzie, zawołaj mnie, wtedy puścimy pierwszą kroplówkę. W porządku?

Beth skinęła głową. Tom zauważył, że oczy błyszczą jej z emocji. Był głęboko przekonany, że Hanka da się wyleczyć. Szkoda tylko, że takiej pewności nie miał w odniesieniu do nieporównanie bardziej złożonego nowotworu zagrażającego jego córce. Bob i Nora mówili, że o dziewiątej będą gotowi do testu zmodyfikowanego retrowirusa, który miał zwalczać raka płuc. Spojrzał na zegarek; zostały jeszcze tylko dwie godziny.

Na drugim końcu parteru piramidy Jasmine Washington, kiedy tylko przysłała do pracy, poświęciła pierwsze pół godziny inspekcji swojego królestwa. Wkrótce mieli się zjawić najpilniejsi pracownicy, a ona lubiła spędzać trochę czasu sam na sam ze swoimi maszynami.

Przeszła przez Centrum Eksperymentalnych Genoskopów, sali podobnej do tej, w której odczytano genom Holly, tyle że tu stały tylko cztery genoskopy, same eksperymentalne modele. Dwa po prawej stronie były holomodelami wyposażonymi w prototypowe oprogramowanie GenoDżin. Jasmine była przekonana, że za kilka dni będą sprawne.

Znów obudziły się w niej sprzeczne uczucia. Przed czterema dniami ona i Larry zabrali Holly do kina na disneyowskiego *Króla Lwa* i jak zwykle śmiali się i przekomarzali ze sobą, ale Jasmine przez cały czas dręczyły myśli o wyroku DAN-a. Była dumna z tego, że genoskop potrafi przewidzieć chorobę, zwłaszcza w sytuacji, kiedy można jej zapobiec bądź ją wyleczyć. Jeśli jednak jej wynalazek umiał tylko przepowiadać nieszczęścia, nie dając nadziei, to nie miała się czym szczycić.

Westchnęła i przeszła przez salę z genoskopami, mijając po prawej stronie główne biura działu informatycznego, pełne milczących stacji roboczych i terminali. Otworzyła drzwi z chromu i szkła do dużego, imponującego pomieszczenia. Było to serce jej działu, a zarazem mózg laboratoriów GENIUS-a na całym świecie.

To w tym chłodnym, całym w bieli pomieszczeniu, nazywanym po prostu Białym Pokojem, Jasmine lubiła przechadzać się i myśleć. W utrzymywanej stale temperaturze trzynastu stopni Celsjusza na samym środku stały cztery ogromne, buczące skrzynie. Dwie z nich zawierały Wielką Matkę, duży, oparty na białku ultrakomputer połączony ze wszystkimi genoskopami. Ten

centralny mózg w każdej chwili wiedział, jakie badania prowadzone są przez jego „potomstwo” rozrzucone po całym świecie. I to właśnie Wielka Matka umożliwiła prowadzenie bazy danych mieszczącej się w dwu pozostałych skrzyniach, Składnicy Genomów Indywidualnych, od angielskiej nazwy - Individual Genome Ordered Repository - znanej jako IGOR.

Badania genów podlegały ścisłym rygorom etycznym. Poddawać im można było pacjentów tylko w obecności ich lekarzy bądź po konsultacji z psychologiem. Prowadzone były dokładne analizy porównawcze, które powinny uniemożliwić skanowanie genomu bez wiedzy pacjenta. Wyniki badań miały być zachowywane w całkowitej tajemnicy. Firmy ubezpieczeniowe wielokrotnie kwestionowały tę zasadę, twierdząc, że osoby świadome czekającej je choroby mogą ubezpieczyć się na wysokie sumy, płacąc przy tym standardowe stawki. Sądy jednak stanowczo broniły prawa obywateli do prywatności. I dlatego właśnie Jazz i Carterowi tak bardzo zależało na tym, by zachować istnienie tej bazy danych w tajemnicy. IGOR był całkowicie nielegalny.

Składnica Genomów była pomysłem Toma. To on poprosił Jasmine, by poleciła Wielkiej Matce ściągać wyniki co piątego ze skanów genetycznych przeprowadzanych w laboratoriach GENIUS-a na całym świecie i przechowywać je w bazie danych wraz z nazwiskami, adresami, danymi członków rodziny i dokumentacją medyczną badanych osób. Teraz w IGOR-ze figurowało już przeszło sto milionów ludzi i GENIUS wiedział o nich więcej niż oni sami.

Tom oczywiście nie miał złych zamiarów; chciał wykorzystywać bazę danych do weryfikacji wyników swoich prac - porównywał dziedziczne choroby z ich wskaźnikami genetycznymi. IGOR poważnie przyczynił się do odkrycia leku na schizofrenię i dał wiele cennych wskazówek dotyczących leczenia innych zaburzeń o podłożu genetycznym. Choć cele Toma były szczytne, Jasmine nie miała wątpliwości, że gdyby którakolwiek z figurujących w bazie osób lub stosowne władze dowiedziały się o jej istnieniu, wywołałoby to ogólne oburzenie i wiarygodność GENIUS-a stanęłaby pod znakiem zapytania. Tom jednak uznał, że korzyści przeważają nad potencjalnymi zagrożeniami, zarówno dla konkretnych ludzi, jak i dla firmy. Dlatego podjął ryzyko.

Jasmine obesza swoje królestwo, po czym usiadła przy komputerze i rozpoczęła codzienny cyberpatrol. Włączyła komputer. Procesor o szybkości stu teraherców, dysk o pojemności sześciuset giga i dwieście gigabajtów pamięci RAM z powodzeniem wystarczały, by swobodnie śmiagać

po zakorkowanej infostradzie. Rozbłysł ekran monitora i pojawiła się na nim wirtualna głowa postaci ludzko podobnej do Jazz. Patrząc na jej afro i delikatne rysy, miała wrażenie, że widzi swoje lustrzane odbicie. Obraz powitał ją słowami:

- Witaj, Żyieto. Dokąd się dziś wybierasz?

Nawet zsyntetyzowany głos brzmiał jak jej własny. Choć ostatnimi czasami rzadko używała tego przydomku, Żyleta przypominała jej dzieciństwo w Los Angeles, kiedy była nieodpowiedzialną maniaczką internetową, tak niesformą jak jej fryzura. Jeśli jej surowi rodzice baptyści ludzili się, że zabraniając jej szwendać się po ulicach i pozwalając buszować po infostradzie, uchronią ją od kłopotów, to byli w błędzie. Wybrała anonimowe słowo Żyleta, bo nie wszystko, co wtedy robiła, było do końca zgodne z prawem. Tak czy inaczej, w tamtych czasach stała się legendą.

- Dziś to ja jestem na patrolu - odezwała się do mikrofonu.

- Chcesz surfować, podaj hasło - powiedziała gadająca głowa.

Jazz się uśmiechnęła. Hasło, które wybrała na ten tydzień, wciąż sprawiało jej szczeniacką radochę. Była to nazwa profesji kojarzącej jej się z okresem młodzieńczego buntu, starymi dobrymi czasami, kiedy nawet nie śniła o uczciwej pracy, stypendiach i Nagrodzie Nobla i potrafiła włamać się do każdego systemu. Nie chodziło o Księgowego, Lekarza czy nawet Kierownika Działu Informatycznego GENIUS-a. Nie, zawód, który miała na myśli, był naprawdę pierwsza klasa.

Cyberglina, napisała, zadowolona, że może grać rolę kłusownika, który został leśniczym.

Głowa na ekranie włożyła kask, fiknęła dwa koziołki i zasalutowała.

- Agentko specjalna Żyleta, infostrada stoi przed tobą otworem. Uważaj na siebie w cyberprzestrzeni.

Sięgnęła przez uporządkowane biurko po puszkę dietetycznej coli i zastanowiła się, od czego zacząć. Zwykle próbowała włamać się do jednego z systemów technicznych lub finansowych GENIUS-a. Zatrudniła dwóch specjalistów, których zadaniem było dostawać się do zastrzeżonych baz danych, wskazywać ich słabe punkty i proponować lepsze zabezpieczenia. Obaj byli dobrzy, ale Jasmine mimo to wolała osobiście sprawdzać mechanizmy obronne. Dziś spróbuje włamać się do najtajniejszej i najlepiej chronionej bazy danych - do IGOR-a.

Internet jej nie interesował, żaden z systemów GENIUS-a nie był dostępny za jego pośrednictwem. Wpisała więc numer Wielkiej Matki. Zamierzała podczepić się do łącza, którym genoskopy przesyłały dane do

centrali, a stamtąd wskoczyć do IGOR-a. Niemal od razu komputer poprosił o podanie hasła. Wpisała wczorajsze - dzisiejszego rozmyślnie nie sprawdziła.

Na ekranie pojawił się błyskający komunikat: Odmowa dostępu.

Dobrze. Hasło zostało zmienione. Dane były przed nią zabezpieczone.

A przynajmniej powinny być.

Będzie musiała znaleźć inną furtkę. Wcisnęła kilka klawiszy, próbując obejść stronę tytułową, na której nie było żadnych informacji o zawartości IGOR-a. Nawet gdyby jej się to udało, nie dostałaby się jeszcze do właściwej bazy danych, wyposażyła ją bowiem w dwa poziomy zabezpieczenia; pierwszy uniemożliwiał przegląd głównego menu, a drugi blokował dostęp do danych. Ale od czegoś musiała zacząć. Najpierw wypróbowała najprostsze sztuczki, znane wszystkim nastoletnim cyberpunkom. Spróbowała odszukać wejście do menu w obsługującym je programie.

Nic z tego. Najbardziej oczywiste luki zostały uszczelnione.

To dobrze. Na razie.

Spróbowała innej metody: zmiany komend sterujących weryfikacją hasła. To było trudniejsze i wymagało wieloletniego doświadczenia. Zastosowanie niewłaściwego kodu programowego mogło uszkodzić wszystkie inne programy.

Długo się nie zastanawiała. Zajęło jej to nieco ponad cztery sekundy. No, ale Żyleta była mistrzem, cyberkrólową.

Nic. Żadnych luk. Jej zespół odciął tę drogę dostępu.

Doskonale.

Ostatnie podejście. Tym razem napisze program, który powie programowi obsługującemu hasło, co robić. To tak, jakby wydać systemowi rozkaz wyższego rzędu. Żyleta poświęciła temu trochę więcej czasu. Zadanie wymagało sprytu.

I wtedy zobaczyła wiadomość mrugającą w prawym dolnym rogu ekranu:

Program uruchomiony... Program uruchomiony...

Program uruchomiony...

Coś takiego jeszcze nigdy jej się nie zdarzyło.

- Cholera - powiedziała na głos, z uznaniem i niepokojem.

Obraz na ekranie się zmienił i zorientowała się, że wchodzi do pierwszej części IGOR-a - tylko jedno hasło dzieliło ją od uzyskania dostępu do danych.

I tak się stało, choć nie skończyła jeszcze pisać programu. Musiała dostać się do bazy poprzez kogoś.

Ten ktoś musiał otworzyć furtkę przy użyciu tego samego programu, który pisała, i niechcący wpuścił jądo środka. Nie zważając na pot cieknący po czole, podążyła śladem intruza, by sprawdzić, jak głęboko wszedł. Kimkolwiek był, uporał się z pierwszą linią obrony i w tej chwili przeglądał menu - a z niego mógł dowiedzieć się tylko, co IGOR zawiera, bez żadnych szczegółów.

Dłoń Jasmine zawisała nad „gorącym” klawiszem, który wyrzuciłby intruza i ją samą z bazy danych.

Na razie go jednak nie wcisnęła. Zrobi to dopiero, gdy pojawi się zagrożenie, że intruz dokona rzeczy niemożliwej: przełamie drugą, niezdobytą dotąd linię obrony, uzyskując dostęp do ściśle tajnych danych. Najpierw chciała się dowiedzieć, kto to taki. Gdyby dostał się do bazy, natychmiast włączyłby się program tropiący PREDATOR; ale Jasmine chciała zacząć namierzanie już teraz.

- Rozpocznij namierzanie - powiedziała do mikrofonu. - Włącz PREDATOR-a.

W prawym górnym rogu ekranu pojawiła się mała ikonka „Pomoc” z jej komputerowo wygenerowaną głową, wciąż w policyjnym kasku.

- Opcja dyskretna czy alarmowa? - spytała głowa.

- Dyskretna. Na razie nie chcę spłoszyć naszego gościa.

W lewym górnym rogu otworzyła się następna ikonka. Nad nią pojawił się zegar; odliczał sześćdziesiąt sekund pozostałych do namierzenia intruza. Pod ikoną mrugało dziewięć cyfr, które zmieniały się błyskawicznie, podczas gdy program szukał właściwej kombinacji. Nagle wyskoczyła pierwsza, potem druga. Kiedy pojawią się wszystkie, Jasmine będzie mogła zlokalizować intruza.

25... 24... 23 - odmierzała ikona w lewym górnym rogu.

Program znalazł szóstą cyfrę. Zostały już tylko trzy.

I wtedy intruz wylogował się, jego cybertrop się urwał.

Zniknął.

- Cholera - mruknęła Jasmine pod nosem i wtedy ktoś wszedł do biura.

Spojrzała na sześć cyfr widniejących na ekranie w nadziei, że powiedzą jej coś o miejscu pobytu intruza. Na podstawie kodu stwierdziła tylko, że to nie Stany Zjednoczone, lecz jakiś kraj z obszaru między południowo-wschodnią Europą a Indiami. Stawiała na Bliski Wschód albo północną Afrykę. Kto jednak z tej części świata zawracałby sobie głowę włamywaniem się do nieciekawego na pierwszy rzut oka IGOR-a?

Wysoka blondynka podniosła żarówkę nowego holoprojektora.

- Cześć, Jazz, wszystko w porządku?

Jasmine spojrzała z uśmiechem na kierowniczkę techniczną.

- Tak, Debbie, dzięki.

- Mogę ci coś pokazać?

- Jasne. Długo to potrwa?

- Jakies pół godziny. Chcę obgadać z tobą ostatnie zmiany w GenoDzi-
nie. Chyba rozgryźliśmy problem holoobrazu.

- Z rozdzielczością też się udało?

Debbie uśmiechnęła się szeroko.

- Chodź i sama zobacz.

- Super! Daj mi pięć minut. Zaraz będę.

Mimo obaw Jasmine była pełna entuzjazmu dla nowego oprogramowa-
nia do obrazowania genetycznego. Co do IGOR-a, powiedziała sobie, że
intruz przynajmniej nie dostał się do samej bazy, dowiedział się tylko, do
czego służy. Była przekonana, że ostatnia linia obrony jest bezpieczna,
mimo to postanowiła ostrzec Toma. Na pewno będzie chciał wiedzieć, że
ktoś wykazuje niezdrowe zainteresowanie nieznanym światu IGOR-em.
Po raz pierwszy od jego powstania.

**Tego samego ranka,
laboratorium badań na zwierzętach GENIUS, Boston**

Jak idzie, Nora? - spytał Tom, otwierając wahadłowe drzwi z korytarza łączącego główne laboratoria z laboratorium badań nad tami lub Domem Myszy, jak je nazywano. Przyszedł tu, kiedy tylko Hank Polański dostał pierwszą dawkę genów i nie wystąpiły żadne skutki uboczne. Nie mógł się doczekać, kiedy pozna wyniki eksperymentu, od którego mogła zależeć przyszłość Holly.

Nora Lutz podniosła głowę znad laptopa, do którego wprowadzała dane, i jej zwykle posepna twarz złagodniała. Niemal pięćdziesięcioletnia Nora była niska i okrągła, włosy miała obcięte równo wokół głowy. Duże okulary w szylkretowej oprawce upodabniały ją do sowy. Tom wiedział, że mimo swojego gderliwego usposobienia tak naprawdę kochała tę pracę - choćby dlatego, że dzięki niej nie musiała siedzieć w domu. Była starą panną i mieszkała w Charlestown z wymagającą opieki niepełnosprawną matką i pięcioma kotami. Odchyliła się na oparcie krzesła, zakasała rękawy kitla i wskazała osiem pustych klatek za jej plecami.

- Właśnie skończyłam - powiedziała. - Przeprowadziliśmy sekcję wszystkich czterdziestu ośmiu myszy i policzyliśmy przerzuty.

Tom kiwnął głową. Nie lubił eksperymentować na zwierzętach i dzięki wielu opracowanym przez siebie protokołom badań in vitro nie musiał

tego robić. Czasem jednak, zwłaszcza w przypadku terapii genowej, było to nieuniknione.

W ramach tego eksperymentu wszystkie myszy zostały zainfekowane gwiazdziakiem. Następnie połowie z nich podano genetycznie zmodyfikowany retrowirus mający zniszczyć komórki nowotworu, a druga połowa dostała zwykły roztwór soli. Później rozcięto i zbadano ich mózgi, by sprawdzić liczbę oraz rozmiar guzów i przerzutów. Jeśli okaże się, że myszy leczone retrowirusem mają mniej nowotworów niż grupa kontrolna, której wstrzyknięto słoną wodę, będzie można uznać eksperyment za udany. I oby tak było. W przeciwnym razie i tak znikome szanse odkrycia leku dla Holly zmaleją do zera.

- Jakież przewidywania co do wyników?

Nora spojrzała na niego z wyrzutem, jakby uznała to pytanie za niestosowne, i potrząsnęła głową.

- Nie mogę ci tego powiedzieć, dopóki Bob nie wróci z kopertą.

Bob Cooke był szefem Nory.

Żaden z trzech zespołów pracujących przy nowym projekcie walki z rakiem mózgu nie został poinformowany o niebezpieczeństwie grożącym Holly. Było po temu wiele powodów. Im więcej osób pozna prawdę, tym większe będzie zagrożenie, że w końcu dotrze ona i do Holly. Tom nie mógł do tego dopuścić. Kiedy - i jeśli w ogóle - będzie to konieczne, powie współpracownikom o wszystkim, na razie jednak wystarczało, że wiedzieli, iż ten projekt jest priorytetowy.

Jak dotąd to Nora Lutz i Bob Cooke byli najbliżsi uzyskania złożonego wektora retrowirusowego niezbędnego do pokonania chroniącej mózg bariery krew-mózg. W ciągu nieco ponad pięciu tygodni zrobili ogromne postępy; kiedy jednak Tom zerknął na arkusz kalkulacyjny na ekranie laptopa Nory, wyniki bardziej go zaniepokoiły, niż ucieszyły. W pierwszej kolumnie z lewej strony widniały numery identyfikacyjne poszczególnych myszy, obok była liczba guzów - Tom zauważył, że jest ich zatrważająco dużo - a dalej ich rozmiary. Jedna kolumna pozostała pusta: tam zostaną wpisane informacje o tym, co podano każdej z myszy. Znał je tylko Bob Cooke.

Przed wieloma laty Tom przekonał się, jak ważne jest, by nie pozwolić osobistym przekonaniom wpływać na wyniki badań. Od tego czasu wszystkie eksperymenty w GENIUS-ie przeprowadzane były „na ślepo”. Wiedział, że nawet najbardziej rzetelni naukowcy czują pokusę, by „wybierać” tylko najkorzystniejsze wyniki. Dlatego to Bob Cooke zrobił zastrzyki myszom, a informacje o tym, które dostały genetycznie zmodyfi-

kowanego wirusa, a które słoń woda, zapisał na dysku i schował go do brązowej koperty. Nie brał udziału w liczeniu przerzutów.

- Gdzie Bob jest teraz? - spytał Tom.
- W laboratorium Mendla. Iść po niego?
- Nie, ja to zrobię. Ty skończ te rachunki.

Tom wyszedł z Domu Myszy i skierował się w głąb krótkiego korytarza, do rozsuwanych szklanych drzwi głównego laboratorium. Rozejrzał się po przestronnym pomieszczeniu, w którym dominowały biel, szkło i chrom, i od razu zauważył Boba Cooke'a. Jego wygląd i mowa ciała odróżniały go od niemal wszystkich pozostałych laborantów. Inni siedzieli zgarbieni nad stołami laboratoryjnymi, tymczasem on, rozparty wygodnie na krześle, oglądał pod światło szkiełko z preparatem. Bardziej przypominał surfera wpatzonego w nadciągającą falę niż naukowca. Szeroki uśmiech i swobodny sposób bycia sprawiały, że niektórzy go lekceważyli. Pod wieloma względami jego bezpośredniość przypominała Tomowi jego samego.

Na biurku Boba leżała brązowa koperta. Tom z trudem oparł się pokusie, by rzucić się po nią.

Bob uśmiechnął się na jego widok. Jednym płynnym ruchem odłożył szkiełko, podniósł brązową kopertę i wstał.

- Tego szukasz?

Po powrocie do laboratorium badań na zwierzętach Carter wpatrzył się w twarz Nory, szukając oznak reakcji na dane, które do tej pory zdążyła przestudiować. Gdyby wyniki były jednoznaczne, dysk nie byłby potrzebny; inaczej mówiąc, jeśli wszystkie myszy miały tyle samo dużych guzów, eksperyment był nieudany, ale jeśli u połowy z nich nowotwory zniknęły, to prawie na pewno zakończył się sukcesem. Sowa twarz Nory nie zdradzała jednak żadnych uczuć.

Bob żartobliwie ściągnął brwi.

- A oto nominacje w kategorii „Najlepszy film”... - powiedział, rozerwał kopertę i podał dysk Norze.

Nora uśmiechnęła się do niego ze znużeniem, włożyła dysk do komputera i włączyła program. Arkusz kalkulacyjny natychmiast zaczął ściągać informacje. Na oczach Toma puste miejsca w kolumnie po prawej stronie wypełniały się słowami „tak” lub „nie”, w zależności od tego, czy myszy wstrzyknięto retrowirusa, czy nie.

Żeby tylko między obiema grupami były różnice, błagał w myślach. I wtedy na ekran wyskoczyły wnioski, a zawiedziony głos Nory przekazał mu najgorszą możliwą wiadomość.

- Nie ma różnicy. Przynajmniej istotnej ze statystycznego punktu widzenia.
- Cholera! - Nie mógł w to uwierzyć. W najgorszych obawach nie spodziewał się, że wyniki będą tak złe. Terapia genowa okazała się kompletnie nieskuteczna.
- Gdzie popełniliśmy błąd? - spytała Nora.
- Tom zmarszczył brwi i założył ręce na piersi, stukając palcami prawej dłoni w lewe ramię.
- Może wirus nie dotarł do komórek rakowych? Może powstrzymała go bariera krew-mózg?
- Przecież został tak zmodyfikowany, by ją ominąć - powiedział Bob nietypowym dla niego matowym głosem.
- Cóż, może nie zrobiliśmy tego, jak należy. Albo wirus dotarł do celu, ale geny nie wyraziły się odpowiednio wewnątrz komórki lub wyprodukowały za mało białek, by cokolwiek zmienić. Nie dowiemy się tego, dopóki nie zbadamy komórek rakowych. Jedno jest pewne: skubaniec tym razem nie zadziałał.
- Drzwi po jego prawej stronie otworzyły się i weszła Jasmine. Jej zwykle pogodna twarz była zasepiona.
- Tom, mogę cię prosić na słowo? - spytała. - To ważne.
- Widać było, że ma dla niego jakąś poufną informację, Tom przeprosił więc Boba i Norę i wyszedł za nią na korytarz.
- Przepraszam - powiedziała - ale mam złe wieści.
- Nie mógł powstrzymać się od sarkastycznego uśmiechu.
- Super! Przyszłaś w odpowiednie miejsce. Zobaczymy, kto ma gorsze, ty czy my.
- Przyłapałam kogoś na próbie włamania do IGOR-a.
- Tom jęknął. Tylko tego mu brakowało.
- I udało mu się?
- Nie, ale ten ktoś wie już, co IGOR zawiera. Przynajmniej w ogólnym zarysie.
- Kto to był? Wiesz, skąd atakował?
- Jasmine pokręciła głową.
- Nie. To właśnie jest dziwne. Na pewno nie z żadnego z trzech kluczowych regionów Triady. Sygnał nie nadszedł z Europy, Dalekiego Wschodu ani Stanów.
- Jesteś pewna?
- Na sto procent.

- Możesz dowiedzieć się czegoś więcej?
- Nie bardzo. Rozmawiałam z Jackiem, on też nic nie rozumie. Wszystkie duże firmy ubezpieczeniowe i biotechnologiczne, które mogłyby chcieć powiększyć w naszych bazach danych, mają siedziby na obszarze Triady.
Dziwna sprawa.

Tom potarł skronie. Nie chciał nawet myśleć, co stałoby się, gdyby te dane wpadły w ręce firm ubezpieczeniowych, mediów czy...

- A może to policja?

Jasmine pokręciła głową.

- Nie. Minęły już trzy godziny. Gdyby to byli oni, mielibyśmy ich już na karku.

- Kto to więc mógł być?

- Nie wiem. Może jakiś samotny haker, ale w to wątpię. Odniosłam wrażenie, że ten ktoś dokładnie wiedział, czego szuka. Na razie uszczelniłam wszystkie luki, będę miała oczy szeroko otwarte.

- A jeśli znów spróbuje?

- Bez obaw, do bazy się nie dostanie. Niepokoi mnie tylko to, jak wykorzysta swoją wiedzę o tym, co tu mamy. W każdym razie przynoszę też dobrą wiadomość. GenoDzin wygląda nieźle.

Tom się uśmiechnął.

- To wspaniale. Dobra robota. Kiedy tylko się upewnisz, że działa bez zarzutu, skontaktuj się z Karen Tanner z FBI.

- A co z twoją złą wiadomością? Eksperyment się nie udał?

Zaprowadził Jasmine z powrotem do laboratorium i wskazał laptop Nory.

- Sama zobacz.

Nora zrobiła jej miejsce przed ekranem.

- Zupełna porażka - westchnął Bob Cooke.

Tom patrzył w milczeniu, jak Jasmine przewija obraz w dół, studiując dane.

- Co to? - spytała nagle, wskazując zero w kolumnie liczby nowotworów.

Tom nachylił się nad ekranem.

Nora wbiła wzrok w miejsce wskazane przez Jasmine.

- U myszy C370 nie wystąpiły przerzuty. Jest czysta - powiedziała zdumionym głosem.

- Czy to istotne? - spytała Jasmine.

Bob Cooke wzruszył ramionami.

- Może wszczepione komórki raka się nie przyjęły.
Bruzdy na czole Nory się pogłębiły.
- Nie, pamiętam C370. Miała przerzuty, ale o charakterze martwiczym.
- Spojrzała na Jasmine. - Obumarłe.
- Fuks? - Bob zwrócił się do Toma.
- I to jaki - powiedziała Jasmine, wskazując na „Nie” w prawej kolumnie. - Ta mysz była w grupie kontrolnej. Dostała zastrzyk ze słonej wody. A mimo to wyzdrowiała.
Nora spojrzała na Toma pytająco.
- Samorzutna remisja?
Iskierka nadziei ożywiła posępną twarz Toma. Nigdy dotąd nie miał do czynienia z samorzutną remisją ani w laboratorium, ani na oddziale. Było to dobrze udokumentowane, ale bardzo rzadkie zjawisko. Nikt nie rozumiał ani nie potrafił przekonująco wyjaśnić, dlaczego z niewiadomego powodu układ odpornościowy niektórych osób nagle sam z siebie postanawiał pozbyć się raka. Było wiele dowodów, że takie rzeczy naprawdę się dzieją, ale żadnego wytłumaczenia.
Odwrócił się do Boba.
- Czy przed eksperymentem zrobiłeś może analizę DNA?
- Niestety, nie. Nie jest to częścią protokołu. Czemu pytasz?
Tom sam nie był pewien, ale coś zaczynało mu świtać.
- Może znaleźlibyśmy coś, co powiedziałoby nam, dlaczego ta mysz wyzdrowiała. Gdyby dało się porównać jej zdrowe komórki z komórkami rakowymi i „uleczonymi”, moglibyśmy namierzyć fragment kodu genetycznego odpowiedzialny za naturalną remisję. Jak dotąd, przez cały czas szukamy odpowiedzi czysto teoretycznych, pochodzących „z próbki”. Czemu zamiast tego nie zająć się rozwiązaniem, które podsuwa nam sama natura, i nie spróbować go odtworzyć? - Spojrzał na współpracowników, ciekaw ich reakcji. Bob i Nora zamyśleni kiwali głowami.
Jasmine patrzyła na Toma z lekko zmarszczonym czołem.
- Skąd możesz wiedzieć, że to rozwiązanie w ogóle ma charakter naukowy?
- A jaki miałyby mieć? Religijny? Triumf ducha nad materią? Daj spokój, Jazz.
- A niby czemu nie? - zaperzyła się Jasmine. - Wiele niewyjaśnionych uzdrowień przypisuje się wierze. Kiedy byłam mała, moje jedyne wakacje w Europie zawdzięczam temu, że rodzice postanowili zabrać chorą ciotkę Angelę do Lourdes.

Nora kiwnęła głową.

- Dwa lata temu zawiozłam tam mamę. Przez jakiś czas czuła się lepiej.

- Z moją ciotką było to samo - powiedziała Jasmine. - W Lourdes zdarzyło się wiele głośnych i dobrze udokumentowanych uzdrowień. - Zaczęła wyliczać je na palcach. - W kwietniu 1947 roku u Rosę Martin stwierdzono całkowitą remisję raka macicy. W roku 1962 niejaki Vittorio Michelli dzięki kąpielom w wodzie święconej pozbył się raka uda. A Klaus Kunst, który napił się jej w 1966 roku, został uleczony z raka nerki.

Tom się uśmiechnął. Tylko Jazz mogła mieć umysł jak komputer, a mimo to dopuszczać możliwość istnienia Boga.

- Myślałem, że baptyści nie wierzą w te opowieści o Lourdes. Wydawało mi się, że to miejsce dla katolików.

- A gdzie tam. Jak człowiekowi potrzeba cudu, to idzie tam, gdzie cuda się zdarzają.

- Jedno jest pewne - wtrącił Bob, wskazując zero na ekranie. - Jeśli sprawiła to wiara, mysz C370 musi być wzorową chrześcijanką.

Wszyscy się roześmiali, ale Tom nie zamierzał dać za wygraną.

- Chodzi mi tylko o to, że coś musiało się zmienić w kodzie genetycznym tej myszy. Czy stało się to za przyczyną nauki, natury czy czegośkolwiek innego, warto spróbować odtworzyć ten proces. - Przerwał i spojrzął wszystkim po kolei w oczy. - Posłuchajcie mnie przez chwilę, dobrze? Jesteśmy prawie pewni, że wiemy, jak samorzutna remisja się odbywa, nie wiemy natomiast, dlaczego do niej dochodzi. Mówiąc najprościej, komórki rakowe to zdradzieckie komórki organizmu i dlatego układ odpornościowy zostawia je w spokoju. Jednak w przypadku samorzutnej remisji nie wiedzieć czemu nagle zauważa, że komórki te nie są częścią organizmu; że są ciałem obcym. Wówczas atakuje je, a one znikają. Zgadza się?

Zaczekał, aż wszyscy się z nim zgodzą.

- Jednak żeby do tego doszło, z kodem genetycznym zbuntowanych komórek musi stać się coś, co zwróci na nie uwagę układu odpornościowego. Do tego właśnie chcieliśmy doprowadzić w tym eksperymencie. Próbowaliśmy za pomocą zmodyfikowanego retrowirusa wywołać taką zmianę w DNA komórek rakowych, która zostałaby odnotowana przez układ odpornościowy.

- No i?

- A jeśli istnieje naturalny retrowirus zabijający nowotwory?

- Co takiego?! - krzyknął Bob.

Tom uniósł dłonie w uspokajającym geście.

- Słuchajcie. Retrowirus działa tak, że dostaje się do wnętrza komórki i zastępuje jej DNA własnym. W ten sposób właśnie się rozmnaża i dlatego jest tak niebezpieczny. Przerabia nasz naturalny kod genetyczny i rozprzestrzenia się po całym organizmie. Zobaczcie tylko, jak skuteczny jest taki HIV. A teraz wyobraźcie sobie niezwykle rzadkiego retrowirusa, który zamiast przerabiać DNA, odtwarza je. Naprawia.

- I coś takiego miałyby występować w naturze? - spytała Nora z szeroko otwartymi oczami.

- Tak. Retrowirus, który może wprowadzić do komórki gen niszczący komórki rakowe lub naprawiający uszkodzenia. Pomyślcie o tym. Wiele genów naprawia DNA; wiemy o tym. Wiele innych genów każe komórkom umierać; to też wiemy. Dlatego gdyby wprowadzić odpowiednie geny do odpowiednich komórek, można by przywrócić porządek.

- Czy to możliwe? - spytała Jasmine cicho. - Czy naturalnie występujący retrowirus mógłby zrobić coś takiego?

Bob wzruszył ramionami.

- Czemu nie? Rzecz w tym, że nikt nigdy dotąd nie zadał sobie pytania, czy w naturze mogą występować retrowirusy pozytywne. To jednak o niczym nie świadczy. Weźmy choćby mikroorganizmy. Zawsze uważaliśmy, że grzyby i bakterie są groźne i trzeba je kontrolować, i chronić się przed nimi, bo mogą wywołać infekcję. A tu proszę: Fleming uzyskał z naturalnej pleśni penicylinę, która zwalcza zakażenie, eliminuje gangrenę i syfilis i ocala niezliczone istnienia ludzkie.

- Otóż to - powiedział Tom. Chcę tylko, żebyśmy sprawdzili taką możliwość.

- Dobrze. Ale jak? - spytała Nora.

Tom zamilkł, szukając najlepszego rozwiązania. Ku jego zaskoczeniu, ubiegła go Jasmine.

- DAN mógłby przeprowadzić analizę DNA kogoś, kto doświadczył samorzutnej remisji. Moglibyśmy sprawdzić materiał genetyczny pobrany przed zachorowaniem na raka, podczas choroby i po remisji. Zobaczyć, jak zmieniało się DNA. - Tom zauważył, że oczy Jazz rozbłysły nagle, jakby coś sobie przypomniała. Podeszła do komputera w najdalszym kącie sali; w odróżnieniu od laptopa Nory był podłączony do Internetu. - Mówiliście, że tego typu przypadki są rzadkie - powiedziała, jakby mówiła do siebie.

- Uhm. W dodatku potrzebny nam będzie żywy pacjent - dorzucił Tom, patrząc, jak Jasmine włącza komputer i wchodzi na witrynę Globalnych Wiadomości Medycznych.

- Pamiętam, że parę dni temu zauważyłam coś ciekawego w aktualnych wiadomościach. Przeglądałam je i rzuciło mi się w oczy znajome nazwisko. - Odwróciła się do Cartera. - Pamiętasz Jeana Luca Petita?

Tom kiwnął głową. Jean Luc Petit, francuski specjalista od raka, kilkakrotnie odwiedzał GENIUS-a, by zobaczyć w akcji pierwsze genoskopy i obejrzeć oddział szpitalny.

- Tak, to mój dobry znajomy. Porządny człowiek. Kieruje oddziałem onkologicznym w Paryżu. Czemu o nim wspominasz?

Jasmine wybrała myszą odpowiednią ikonę.

- Zamieścił coś na stronie „Ciekawostki”.

Tom był zaintrygowany.

- Ktoś z jego oddziału miał samorzutną remisję? Żywy pacjent?

Jasmine kliknęła na inną ikonę i wcisnęła dwa klawisze. Na ekranie pojawił się tekst w języku francuskim.

- Jest. Wiedziałam, że gdzieś to widziałam.

Tom nachylił się nad monitorem, dziękując losowi za miesiące spędzone w ramach programu wymiany studentów w Instytucie Pasteura w Paryżu. Jednak to, co przeczytał, było tak zaskakujące, że na wszelki wypadek sprawdził angielskie tłumaczenie zamieszczone na dole ekranu.

- No i? - spytał Bob, stojący za jego plecami. - Ten francuski lekarz ma u siebie kogoś takiego?

- Nie - powiedziała Jasmine i jej drobna twarz rozplynęła się w szerokim uśmiechu. - Ma dwie takie osoby.

Bob i Nora patrzyli na nią z niedowierzaniem.

- Znaleźć już jeden taki przypadek to coś niesamowitego - Bob przecesał dłońmi blond włosy - ale dwa, i to na jednym oddziale... - Urwał, zabrakło mu słów.

- Chyba nie mogli złapać od kogoś leczniczego retrowirusa i zarazić się nim nawzajem, co? - spytała Nora.

Tom wzruszył ramionami, oniemiały z wrażenia. Wciąż trudno mu było ogarnąć myślą konsekwencje tego odkrycia.

- Jazz - wykrztusił wreszcie - możesz sprawdzić coś jeszcze, zanim się wylogujesz?

Jasmine uśmiechnęła się jeszcze szerzej i jej palce przebiegły po klawiaturze.

- Niech zgadnę, Tom - powiedziała, kiedy na monitorze pojawiła się strona biura rezerwacji Air France. - Chcesz wiedzieć, kiedy odlatuje najbliższy samolot do Paryża?

**Grota Świętego Ognia,
północna Jordania**

Zabić go czy z nim współpracować? Oto jest pytanie.

Na drugim końcu świata od Bostonu, pod pięcioma skałami Asbaa El-Lah, Ezekiel De La Croix potarł zmęczone oczy i poczuł, jak niegdyś idealnie dopasowany rubinowy pierścień władzy zsuwa się z jego starego, sękatego palca. Sam diabeł miałby kłopot z rozwiązaniem tego dylematu. Niewłaściwa decyzja mogła zagrozić najważniejszemu celowi Bractwa Powtórnego Przyjścia.

Za jego plecami Święty Ogień wciąż płonął biało-niebieskim światłem, jak przez ostatnich trzydzieści kilka lat. Jak długo jeszcze taki pozostanie? Ezekiel obawiał się nadejścia dnia, kiedy płomień odzyska pierwotną barwę, bał się też, że on sam umrze, nie odnalazłszy Nowego Mesjasza. Jego wątle ramiona zdrząły na myśl, że wszedł już w dziesiątą dekadę swojego życia. Czas nie był jego sprzymierzeńcem.

Ze swojego miejsca u szczytu dużego dębowego stołu obserwował zasiadających przy nim pięciu mężczyzn, spierających się zażarcie. Każdy z nich miał na sobie ciemny garnitur, białą koszulę i krwistoczerwony krawat. Ich ramiona okryte były ceremonialnymi szarfami z białego atlasu. Na drugim końcu stołu siedzieli przywódcy trzech regionów. Brat Haddad, o oczach ledwie widocznych pod opadającymi powiekami, odpowiadał za Ziemię Świętą, najstarsze i najbardziej prestiżowe terytorium, w którego

skład wchodził Bliski Wschód i kraje Lewantu. Miejsce naprzeciw niego zajmował wysoki, siwowłosy brat Luciano, sprawujący pieczę nad drugim pod względem znaczenia regionem świata chrześcijańskiego, obejmującym Europę. Obok niego siedział najmłodszy z regionalnych przywódców, chorobliwie blady brat Olazabał, który kontrolował Nowy Świat. Wszyscy trzej mieli ponad siedemdziesiąt lat i jak większość wyższych rangą członków Bractwa byli odległymi potomkami pierwszych uczniów założyciela organizacji, Łazarza. W świecie zewnętrznym zajmowali wysokie stanowiska i jako członkowie Najwyższego Kręgu mieli mocną pozycję w Bractwie. Musieli jednak być posłuszni dwu mężczyznom, którzy siedzieli po obu stronach Ezekiela; ci zaś byli posłuszni jemu.

Ezekiel odwrócił się do brata po jego lewej ręce. Siedemdziesięcikilkuletni brat Bernard Trier był jedynym oprócz niego żyjącym członkiem Najwyższego Kręgu, który był tu tamtego pamiętnego dnia, kiedy Święty Ogień zmienił barwę. Ten tegi mężczyzna z kozią bródką i mocno już przerezedzonymi siwymi włosami dawniej był wysokiej rangi oficerem armii niemieckiej. Odkąd jednak otrzymał awans na mistrza Drugiego Imperatywu, jako jedyny członek Najwyższego Kręgu zrezygnował z wszelkich funkcji pełnionych poza Bractwem. Drugi Imperatyw, obejmujący ochronę bezpieczeństwa organizacji, zbieranie informacji o ofiarach Sprawiedliwych Wyroków, a także prowadzenie ich dwójga wykonawców, wymagał pełnego zaangażowania. Nawet wyższy rangą brat Helix Kirkham, który jako mistrz Pierwszego Imperatywu miał za zadanie dopilnować, by osiągnięty został podstawowy cel Bractwa - odnalezienie Nowego Mesjasza - nie odszedł z katedry fizyki na Oksfordzie. Sam Ezekiel znajdował dość czasu, by oprócz przewodzenia Bractwu prowadzić jego rozległe międzynarodowe interesy bankowe.

Jak podczas każdego comiesięcznego spotkania w Świętej Grocie, bracia Bernard i Helix kłócili się ze sobą. I nic dziwnego. Przed pięcioma laty Helix objął funkcję mistrza Pierwszego Imperatywu po bracie Dariusie i Ezekiel wiedział, że Bernard nie mógł się z tym pogodzić. Nie dość, że pięćdziesięcioletni Helix Kirkham był od niego dwadzieścia lat młodszy, to jeszcze został najmłodszym w dziejach Mistrzem Pierwszego Imperatywu.

Ten wysoki, łysy mężczyzna w okrągłych drucianych okularach symbolizował świeżą krew, której Bractwo tak bardzo potrzebowało. Helix zdobył wykształcenie na najlepszych uczelniach, był obeznany z nowoczesną nauką i technologią i miał odpowiednie przygotowanie, by przeprowadzić

istniejące od wieków Bractwo przez labirynt współczesnego świata. Ezekiel wybrał go w nadziei, że wniesie do ich poszukiwań nowe pomysły.

Jednak pomysł, o który w tej chwili tak się spierali, szedł chyba za daleko? Był zbyt radykalny? A najbardziej przerażało Ezekiela to, że nie byłoby nawet o czym dyskutować, gdyby nie nieoczekiwane niepowodzenie Nemezis w Sztokholmie przed ponad sześcioma tygodniami.

Bernard spojrział na niego z irytacją i odwrócił się z powrotem do Heliksa, który ze swoim laptopem i modemem wydawał się w tej grocie zupełnie nie na miejscu.

- Bracie Helixie - powiedział Bernard - nie możesz oczekiwać, że zawiesimy Sprawiedliwy Wyrok na rzecz tych... - wskazał na laptop -...tych twoich rojeń.

- To nie rojenia - odparł spokojnie Helix. - To może nam pomóc odnaleźć Nowego Mesjasza.

- Skąd wiesz, że się uda? - spytał brat Luciano, nerwowo przeczesując palcami srebrzyste włosy.

Helix w odpowiedzi wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ale lepsze to niż dotychczasowe metody. Miałem piętnaście lat, kiedy płomień zmienił barwę. Od tamtej pory sieć braci szuka Nowego Mesjasza po całym świecie. I co to dało?

Brat Haddad zamrugnął ciężkimi powiekami.

- Poszukiwania trwają.

- Ale co do tej pory znaleźliśmy?

Odpowiedziało mu milczenie.

- No właśnie! Przez ostatnich trzydzieści lat rozesłaliśmy po świecie naszych najlepszych ludzi, by sprawdzili wszystkich rzekomych proroków czy cudotwórców. I choć mamy listę kandydatów odpowiadających znakom zawartym w dawnych przepowiedniach, żaden nie spełnia wszystkich kryteriów. My i nasi poprzednicy czekaliśmy dwa tysiące lat na chwilę, kiedy płomień zmieni barwę, obwieszczając powtórne przybycie Mesjasza, i każdy z nas miał nadzieję, że zaszczyt poszukiwania Go przypadnie nam, że Jego powrót nastąpi w naszych czasach. I tak się stało. Tyle że Nowy Mesjasz od ponad trzech dziesięcioleci jest wśród nas, a my nadal go nie znaleźliśmy.

Bernard Trier szarpał bródkę ze złości.

- Bracie Helixie, człowiek, który twoim zdaniem miałby nam pomóc w poszukiwaniach, jest na naszej liście ofiar Sprawiedliwego Wyroku. Doktor Carter jest wrogiem, nie sprzymierzeńcem. - Ton głosu tęgiego

brata stał się spokojniejszy, ale nie mniej złowieszczy. - Bracie Helixie, wszyscy chylimy czoła przed twoją ogromną wiedzą o technologii. Jestem pewien, że pewnego dnia nasza organizacja wiele na niej skorzysta. Ten dzień jednak jeszcze nie nadszedł. Być może powinienem przypomnieć ci słowa i znaczenie Drugiego Imperatywu.

Zanim Ezekiel zdążył go powstrzymać, brat Bernard uroczyście odkaslnął i pompatycznym tonem wyrecytował tekst pradawnej przysięgi.

- „Dokonywać Sprawiedliwego Oczyszczenia celem usunięcia ze świata tych, którzy podważają wartości, cele i przekonania Bractwa Powtórnego Przyjścia i zagrażają zbawieniu ludzkości". Ten niebezpieczny naukowiec zajmuje jedno z czołowych miejsc na naszej liście. Wierzy, że dzięki jego genetycznym manipulacjom człowiek wkrótce posiadać wiedzę, która uczyni Pana naszego zbędnym. Bawi się w Boga i tyle. Dlatego właśnie my wszyscy, włącznie z tobą bracie Helixie, wyraziliśmy zgodę na jego eliminację w Sztokholmie. Jedyne, co mnie interesuje, to to, kiedy wykonamy wyrok i czy mam znów powierzyć to zadanie Nemezis, czy raczej Gomorze.

Helix powoli pokiwał głową i jego oczy uśmiechnęły się za grubymi, okrągłymi szklami. Jak zawsze, Ezekielowi imponowało to, że młodszy brat nie dawał się zastraszyć agresywnemu Bernardowi.

- Dziękuję, że przypomniłeś nam o swojej ważnej roli, bracie Bernardzie - powiedział Helix bez cienia ironii. - Jestem jednak pewien, że nie muszę ci przypominać, że Pierwszy Imperatyw, czyli odnalezienie Mesjasza, ma priorytet nad wszystkimi innymi, zwłaszcza gdyby te miały zagrozić osiągnięciu celu.

Ezekiel nie był zadowolony z tak radykalnej zmiany planów. Jeszcze niedawno chcieli usunąć doktora Cartera, a teraz mieliby z nim współpracować? Z drugiej strony, wolał nie podejmować pochopnych decyzji, dopóki w pełni nie zrozumie, jak ten naukowiec może im się przydać.

- Bracie Helixie - wtrącił, zanim Bernard zdążył odpowiedzieć - twierdzisz, że technologia opracowana przez tego naukowca umożliwi ci odszukanie genów identycznych z tymi, jakimi dysponujesz. Ale po co ci on sam?

- Z dwóch powodów - odparł Helix. - Po pierwsze, nie możemy przeprowadzić skanu genowego normalnymi kanałami. We wszystkich laboratoriach GENIUS-a na świecie obowiązują tak surowe normy etyczne, że nie uniknęlibyśmy niewygodnych pytań. Jedyнным sposobem obejścia rygorystycznych zabezpieczeń jest skłonienie doktora Cartera, by to on zlecił badanie. Po drugie, żeby znaleźć odpowiednie geny, będziemy musieli z jego pomocą dostać się do bazy danych IGOR.

- Nie możemy po prostu skorzystać z niej za opłatą? - spytał brat Luciano.
- Nie. Jak już wyjaśniałem, IGOR nie jest publicznie dostępny. Dane z tej bazy są tajne. Natknąłem się na nią przypadkowo, zbierając dla brata Bernarda informacje o naukowcu i jego firmie. Od tamtego czasu udało mi się tylko wejść na stronę tytułową i zobaczyć, co zawiera.

- Bracie Helixie - przerwał mu Ezekiel - dlaczego nie dostaniesz się do samej bazy danych i nie odszukasz w niej właściwych genów?

- Bo jest zbyt dobrze zabezpieczona. Musiałem nieźle się natrudzić, żeby w ogóle poznać jej zawartość. Architekt systemu, niejaka doktor Washington, jest jedną z najlepszych specjalistek w tej dziedzinie. Za jej sprawą IGOR jest praktycznie nie do złamania.

- Czyli potrzebujesz pomocy doktora Cartera, by przeprowadzić badanie i dostać się do tego... IGOR-a? - podsumował Ezekiel, zirytowany tą naszpikowaną żargonem i akronimami gadaniną.

Helix skinął głową.

- Ale dlaczego on miałby chcieć nam pomóc? - prychnął Bernard. - Jak mielibyśmy go kontrolować?

Helix wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie wiem. Ale przynajmniej, skoro żyje, jest szansa, że znajdziemy jakiś sposób. - Zdjął okulary, wyczyścił szkła i zwrócił się do Ezekiel. - Ojciec, nie wątpię, że rozumiesz, jak bardzo doktor Carter mógłby przyczynić się do osiągnięcia Pierwszego Imperatywu? Byłoby czymś niewybaczalnym, gdybyśmy zasiadając przy białym płomieniu, nie znaleźli Mesjasza, a szaleństwem byłoby polegać wyłącznie na obserwatorach. Musimy zrobić wszystko, by odszukać wybrańca, bez względu na koszty.

- Z drugiej strony, ojciec - pośpiesznie wpadł mu w słowo brat Bernard Trier - musimy też wziąć pod uwagę konsekwencje nie tylko zaniedbania Drugiego Imperatywu, ale i podjęcia współpracy z jednym z grzeszników.

Ezekiel zachował kamienną twarz. Nie zamierzał od razu podejmować decyzji. Oczywiście, Helix miał rację; myśl, że mogliby nie odnaleźć wybrańca, była nie do zniesienia. Rozumiał też jednak Bernarda. Perspektywa współpracy z niebezpiecznym bluźniercą, którego zobowiązali się wyeliminować, napawała go niepokojem.

Na środku dużego stołu stały półmiski z jedzeniem i gąsiory wonnego czerwonego wina. Ezekiel napełnił sześć mosiężnych kielichów i podał je braciom. Uczestnicy spotkania uznali to za znak do rozpoczęcia uczyty. Starsi sięgnęli do czubatych półmisków z faszzerowanymi liśćmi winogron, figami i mięsem. Tylko Helix, zamiast jeść, zaczął pisać na komputerze,

zerkając niecierpliwie na ołtarz za plecami Ezekiela; rozświetlające grote świece i pochodnie odbijały się w grubych szklach jego okularów.

Ezekiel był pełen podziwu dla jego zaangażowania; miał też jednak bolesną świadomość, że Bractwo nie po to przetrwało dwa tysiące lat, by zaryzykować wszystko dla jednego, szalonego planu.

Obejrzał się przez ramię, na umieszczone za Ogniem i ołtarzem zaplombowane kamienne drzwi Krypty Pamięci - i pomyślał o tym, co się za nimi kryje. Nagle poczuł na starych barkach przygniatające brzemie odpowiedzialności, które on i jego poprzednicy nosili od dwu tysięcy lat; przed oczami stanął mu obraz Łazarza, założyciela Bractwa, przemawiającego tu do swoich pierwszych uczniów. W noc ukrzyżowania Łazarzowi przyśnił się ogień płonący w trzewiach ziemi, pod kamienną dłonią wznoszącą się na pustyni. Bez żadnej mapy przyprowadził tu współwyznawców i razem przebili się do płomienia przez jaskinie i szczeliny w skałach. Potem zbierali się w tej kryjówce, by snuć plany i przygotowywać się do powrotu Chrystusa z myślą o tym, by nie dopuścić do drugiej Golgoty. A wtedy Łazarz opowiedział im o wizji, która nawiedziła go we śnie:

Nowy Mesjasz będzie nieświadom swojego powołania i sprawiedliwi będą musieli Go odszukać i namaścić, aby zapewnić sobie zbawienie. Nie poprowadzi ich Gwiazda Betlejemaska, jedynym znakiem będzie płonący głęboko pod ziemią Święty Ogień, który z chwilą narodzin Nowego Mesjasza stanie się biały. Kiedy Zbawiciel zostanie odnaleziony i namaszczony w płomieniu, ogień na powrót przybierze pomarańczową barwę i nadejdzie dzień Sądu Ostatecznego. Ponieważ do Świętego Ognia dostęp ma tylko Bractwo Powtórnego Przyjścia, cała odpowiedzialność spoczywa na barkach braci. Od nich zależy zbawienie ludzkości.

Ezekiel zazdrościł Łazarzowi jego niewzruszonej wiary. Cóż, ktoś, kto został wskrzeszony z martwych przez Jezusa Chrystusa, nie mógł mieć cienia wątpliwości co do tego, że człowiek ten jest Bogiem i zasługuje na całkowite oddanie.

Pokręcił głową z podziwem. W ciągu pierwszego tysiąclecia Bracia rozszerzyli swoje utajone wpływy w Ziemi Świętej, werbując do swoich szeregów zarówno chrześcijan, jak i mesjanistycznych żydów. Wszyscy zjednoczyli się w dążeniu do osiągnięcia Pierwszego Imperatywu, odnalezienia Nowego Mesjasza.

Patrząc, jak bracia jedzą do syta, Ezekiel pomyślał o Drugim Imperatywie. W XII wieku templariusze, którzy wyruszyli z Europy do Ziemi Świętej, by wyrwać Jerozolimę z rąk Saracenów, przyłączyli się do Bractwa,

a po powrocie na europejskie dwory rozszerzyli wpływy organizacji na cały świat chrześcijański. Jednocześnie jednak nakłonili członków ówczesnego Najwyższego Kręgu do podjęcia bardziej agresywnych działań, uzupełniających Pierwszy Imperatyw. Uznali, że zamiast biernie czekać na przybycie Zbawiciela, Bractwo powinno poświęcić ten czas na walkę z bezbożnikami.

I tak oto narodził się Drugi Imperatyw. Tylko członkowie Najwyższego Kręgu i dwaj Sprawiedliwi Kaci, od wieków znani pod imionami Nemezis i Gomora, byli informowani o jego istnieniu. Coraz liczniejsi bracia zajmujący wpływowe stanowiska na całym świecie wiedzieli tylko o Pierwszym Imperatywie.

Drugi Imperatyw, co nieuniknione, w przeszłości był powodem wielu kłopotów, ale nie takich, jakie mogło sprawić zabójstwo doktora Cartera. Ezekiel wiedział, że nigdy dotąd się nie zdarzyło, by obiekt Sprawiedliwego Wyroku miał w ręku klucz do osiągnięcia Pierwszego Imperatywu. Z drugiej strony, Ogień jeszcze nigdy nie był biały.

Poczuł, jak brat Helix delikatnie trąca go w ramię.

- Ojczyźnie Ezekielu, jaka jest twoja decyzja?

Ezekiel zmarszczył brwi. Doktor Carter był zagrożeniem, jego moc rosła z każdym dniem. Należy go powstrzymać.

- Dopóki nie uzyskam pewności, że doktor Carter byłby skłonny nam pomóc, odpowiedź może być tylko jedna: zabić go.

- Ale jeśli da się go namówić? - naciskał Helix. - Czy wtedy zgodziłbyś się odłożyć wykonanie wyroku na później?

- Zastanowię się. - Ezekiel odwrócił się do brata Bernarda. - Kiedy najwcześniej możesz bezpiecznie wyeliminować naukowca?

- Na razie przydzielono mu dodatkową ochronę, ale to żaden problem. Gomora jest zbyt zajęty, ale Nemezis po zakończeniu misji na Manhattanie powinna móc wykonać następny wyrok w ciągu dwóch tygodni.

Ezekiel po krótkim namyśle odwrócił się do mistrza Pierwszego Imperatywu.

- Do tych dwóch tygodni dorzucę jeszcze dwa. Bracie Helixie, masz miesiąc na to, by przekonać mnie, że możemy bezpiecznie i skutecznie współpracować z doktorem Carterem. Po upływie tego czasu osobiście zadzwonię do Nemezis i wydam zgodę na eliminację. Czy to jasne?

Helix uśmiechnął się do zaszępionego Bernarda i zamknął laptop z triumfalnym trzaskiem.

- Jak słońce, ojczyźnie Ezekielu, jak słońce.

Manhattan

Nieziemsko piękny, długowłosy, błękitnooki mężczyzna szedł Piątą Aleją, pogwizdując *Frere Jacques*. Słabe popołudniowe słońce padało na jego jasne włosy, okalając jego głowę i szerokie barki świetlistą aureolą. Anielskiego wyglądu mężczyzny dopełniał czarny strój, przywodzący na myśl duchownego. Tylko krwistoczerwone róże wystające z torby, którą niósł w prawej dłoni, i obcisłe czarne skórzane spodnie wskazywały, że bliższe są mu bardziej przyziemne przyjemności. Kiedy pogwizdywał, jego twarz rozświecał pogodny, błogi uśmiech.

Przechodnie zwracali na niego uwagę, ale nie wiedzieli, że obiekt ich zainteresowania jest kobietą, nie mężczyzną. A już na pewno nie mieli bladego pojęcia, że kobieta ta właśnie idzie wykonać sprawiedliwą egzekucję.

Maria Benariac zamruwała oczami, na chwilę chowając pod powiekami kolorowe szkła kontaktowe, i starała się zwalczyć doprowadzającą do szalu pokusę, by podrapać się po głowie. Zwykle nosiła specjalnie zaprojektowane peruki, tę jednak musiała „pożyczyć”. Wiedziała, że jej koledzy po fachu wolą wyglądać szaro, tak by nie rzucać się w oczy. Przy niektórych zleceniach to się sprawdzało, zresztą ona sama też nie znosiła nieożdanego zainteresowania. W innych sytuacjach jednak wykorzystywała swoją chirurgicznie wygładzoną twarz i ciało jako płótno, na którym wymalować można wizerunek, który zmyliłby potencjalnych świadków. To była jedna

z takich sytuacji. Poza tym wygląd miał pomóc jej uzyskać dostęp do ofiary-

Maria widziała już przed sobą apartamentowiec, w którym mieszkał Sly Fontana. Z widokiem na park. Robił wrażenie. Z akt dostarczonych przez brata Bernarda wynikało, że Fontana ma tu apartament, swoją rezydencję na Wschodnim Wybrzeżu. Przyjeżdżał tu, ilekroć czuł potrzebę, by wyrwać się z Los Angeles bądź spotkać z Babe, modelem i ekskluzywną męską prostytutką. Bez niego nie mógł żyć. Maria nie widziała ironii w tym, że Sly Fontana, znany producent ostrych, heteroseksualnych filmów pornograficznych, okazał się gejem. Z własnych źródeł wiedziała, że jest entuzjastą wszystkich możliwych zбочeń. Ten laureat ośmiu nagród Hot D'Or, przyznawanych na festiwalu filmów pornograficznych w Cannes, kontrolował dużą część światowego przemysłu erotycznego. Największą jego pasją były jednak filmy *snuff*: nagrania wideo, pokazujące ofiary, zwykle kobiety, sadystrycznie mordowane podczas uprawiania seksu, w momencie orgazmu. Na dowód, że śmierć następuje na żywo, podryzano im gardła przed kamerą; zawsze w zbliżeniu i często tak brutalnie, że właściwie odcinano im głowy. Maria obejrzała jeden z tych filmów, ziarnistą, porysowaną kopię którejś z kolei kopii oryginału; obraz mimo to był aż nadto wyraźny i niektórzy wciąż gotowi byli zapłacić tysiące dolarów za możliwość jego projekcji.

Właścicielem tej kopii był Babe; Maria obejrzała ją poprzedniego wieczoru, kiedy odwiedziła jego schludnie urządzone mieszkanie w Greenwich Village. Jego adres był w teczce brata Bernarda. Bez kłopotu dostała się do środka i przeprowadziła „przesłuchanie”. Nóż i sześć minut wystarczyły, by przekonać tego mięśniaka, żeby powiedział jej wszystko, co wie o Fontanie, i umówił się z nim na dzisiaj. Skreśliła kark próżnemu Babe'owi, przejrzała jego garderobę i wybrała czarny kostium, który Fontana szczególnie sobie upodobał.

Oskalpowanie Babe'a okazało się trudniejsze, niż przypuszczała. To było trochę tak, jakby próbować naraz obrać całą pomarańczę, nie przecinając skórki. W końcu jednak z najwyższym wysiłkiem dopięła swego. Zostawiła skalp na noc, żeby wysechł, a rano przy użyciu talku i plastrów wsunęła go na ogoloną głowę. Efekt był zadowalający, choć głowa okropnie swędziała.

Wyjęła z czarnej skórzanej torby okulary słoneczne i włożyła je. Tylko metry dzieliły ją od strzelistego apartamentowca. Na myśl o tym, że wkrótce znów wymierzy sprawiedliwość, poczuła znajome, rozkoszne ciepło w żołądku. Już nie mogła się doczekać.

Odźwierny stał pod markizą przed wejściem. W uniformie wydawał się potężny, ale nie był groźny. Zgodnie z zapewnieniem Babe'a, odwrócił się, kiedy tylko podeszła do niego w swojej blond peruce i czarnym stroju. Babe wyjaśnił, że odźwierni znają wszystkie prostytutki obojga płci obsługujące majątnych mieszkańców wieżowca i wiedzą, których gości nie zauważać. Maria uśmiechnęła się lekko na myśl, że Sly Fontana dał odźwiernemu w łapę za to, by wpuścił do niego zabójcę.

Maria zerknęła przelotnie na odźwiernego, weszła pewnym krokiem do mrocznego, wyłożonego marmurem holu i skierowała się prosto do wind. W kabinie spojrzała na zegarek. 14.52. Fontana spodziewał się Babe'a punktualnie o 15.00. Miała czas.

Na szóstym piętrze wysiadła i wyszła na klatkę schodową. Zaczekała. Było tu ciemno choć oko wykol i jak zwykle poczuła się z tego powodu nieswojo. Odetchnęła głęboko i dodała sobie otuchy myślą, że ciemność zaraz się rozproszy. Po prawej stronie widziała włącznik - świecił jak latarnia wskazująca drogę. Wcisnęła go i światło odpędziło prześladowającą ją demony. Zajrzała do skórzanej torby i wyjęła rękawiczki chirurgiczne, cienkie jak kondomy. Wprawnie naciągnęła je na dłonie i znów sięgnęła do torby. Najpierw sprawdziła kamerę wideo, rzecz jasna bez kompromitującej taśmy, której jednak potrzebowała. Na dnie torby, obok kamery, leżało niezawodne kukri. Spod czerwonych róż wyciągnęła trzy mniejsze przedmioty: rolkę mocnej taśmy klejącej, garotę i czarne wieczne pióro. Taśmę i garotę schowała do bocznych kieszeni marynarki. Pióro wyglądało najzwyczajniej w świecie, dopóki nie zdjęła skuwki, odsłaniając wyjątkowo długą stalówkę - niewiele krótszą od igły do zastrzyków. Dmuchnęła, by ją oczyścić, nasunęła skuwkę z powrotem i schowała pióro do torby. Wszystko gotowe.

Radość rozpieła jej serce. Była aniołem zemsty, biczem bożym. Tego dnia plugawa fala zła zostanie na chwilę zatrzymana, hydra postrada jedną z wielu głów.

Maria wyszła na szóste piętro i spojrzała w głąb korytarza. Na jego końcu wyraźnie widziała ciemne, drewniane drzwi z rzucającym się w oczy mosiężnym numerem 70. W tym właśnie mieszkaniu powinien być Sly Fontana - czekał w samotności na trzy stuknięcia w drzwi i bukiet czerwonych róż na wycieraczce; tak zawsze witał go Babe. Jakie to wzruszające, pomyślała śmiertelnie poważna Maria.

Poczuła na nadgarstku wibrowanie zegarka. Spojrzała w dół. 14.59. Już czas.

Ruszyła w głąb wyściełanego puszystym dywanem korytarza, położyła różę pod mieszkaniem numer 70 i przywarła plecami do ściany na lewo od drzwi. Jej prawa ręka bawiła się schowaną w kieszeni garotą jak sznurem koralików. Maria uspokoiła oddech i zastukała do drzwi.

Puk. Puk. Puk.

Ruch. Szuranie nóg coraz bliżej drzwi.

Usłyszała odgłos odsuwanej zasuw, zgrzyt zdejmowanego łańcucha, chrobot przekręcanego klucza, jednego, potem drugiego. To się nazywa dbałość o bezpieczeństwo, pomyślała z wisielczym humorem. Wysłuchała się w trzask otwieranych drzwi i poczuła lekką zmianę temperatury. W mieszkaniu było ciepło. Usłyszała głośny wdech i radosny chichot. Mężczyzna schylił się po różę.

Poprawiła okulary, spuściła głowę, by długie blond włosy Babe'a opadły jej na twarz, i stanęła przed Fontaną. Krok jej skórzanych spodni znalazł się o centymetry od jego głowy. Choć Sły był pochylony, zauważyła, że jest niski, niecały metr siedemdziesiąt wzrostu. Jego włosy były cienkie, rozwichrzzone, a obwisłych fałdów skóry nie skrywała nawet obszerna jedwabna koszula.

Wyprostował się powoli, z różami w ręku. Spojrzał na nią wygłodniałymi, świdrującymi oczami, próbując dostrzec jej twarz ukrytą pod włosami. Przypomniało jej to pewne wydarzenie z sierocińca, o którym wolałaby zapomnieć.

- Cześć, Babe - powiedział z ozywieniem, bezwiednie drapiąc się po kroczu. - Boże, ale tak cieszę, że jesteś. Odkąd zadzwoniłeś, siedzę tu i się boję, że zaraz mnie rozerwie. - Cofnął się w głąb mieszkania i zaprosił ją gestem.

Przygotowując za plecami garotę, Maria pchnęła torbę nogą i weszła do środka. Drzwi zamknęły się za nią. Fontaną spojrzął na leżącą u jej stóp torbę i oblizał wargi.

- Przyniosłeś zabawki?

- Można tak powiedzieć - odparła, naśladując seplenienie Babe'a.

Chyba jednak nie zrobiła tego tak przekonująco, jak myślała, a może twarz wyłoniła jej się spod włosów, w każdym razie Fontaną zaczął jej się uważnie przyglądać.

- Urosłeś czy co? - spytał.

Podeszła do niego z uśmiechem i wyciągnęła ręce, jakby chciała go uściskać.

- Chyba nie. Od lat jestem takiego wzrostu.

Fontana zmarszczył brwi, zamiast żączy w jego oczach pojawiły się nieufność i strach. Zorientował się, że coś jest nie tak. Maria jednak się tym nie przejęła; swój cel osiągnęła, była w mieszkaniu. Kiedy z jego ust dobyło się gniewne pytanie: „Coś ty za jeden?” - zarzuciła mu garotę na szyję i uciszyła go z wyćwiczoną wprawą chirurga. Fontana natychmiast upuścił różę, po czym łapiąc powietrze i rzucając się jak ryba wyciągnięta z wody, próbował chwycić drut wrzynający mu się w gardło.

Czemu zawsze to robią? - pomyślała Maria, patrząc w jego wybałuszone z przerażenia oczy. Przecież najrozsądniej byłoby wyłamać jej po kolei wszystkie palce, aż chcąc nie chcąc, musiałaby puścić garotę. Tymczasem oni wszyscy zawsze sięgali do drutu, który przecinał im szyję. To było tak głupie, tak daremne.

Pospiesznie rozejrzała się po pozbawionym ścian apartamencie, aż jej oczy spoczęły na jasnych skórzanych fotelach i jakże dla niej ważnym telewizorze w salonie. Ciągnąc Fontanę jak skomlącego psa na smyczy, zaprowadziła go obok mydłanego różowego kominka z marmuru do fotela na wprost wielkiego ekranu. Duży, czarny jak oszlifowany gagat telewizor był stosownym ołtarzem dla jej obrzędu.

Puściła garotę, ale zanim Fontana złapał oddech, chwyciła z leżącej na stoliku kolekcji bibelotów małe różowe marmurowe jajko i wcisnęła mu je do ust. Wyjęła z kieszeni rolkę taśmy klejącej, oderwała kawałek i zalepiła mu wargi, a potem owinęła taśmą jego tułów i oparcie fotela. Wreszcie zakleiła jego uniesione powieki, tak by mógł ruszać tylko strzelającymi na boki, przerażonymi oczami. Wyjęła z torby kamerę wideo. Teraz mogła spokojnie przygotować się do nagrania.

Najpierw musiała zapoznać się z tajnikami obsługi nowoczesnego, na pierwszy rzut oka pozbawionego przycisków telewizora. Kiedy znalazła wysuwane panele, poświęciła chwilę, by połapać się, do czego służą poszczególne guziki. Podłączyła niezbędne kable, ustawiła na telewizorze kamerę i skierowała obiektyw na zakneblowanego mężczyznę. Sięgnęła po pilota i włączyła oba urządzenia. Obraz migotał przez chwilę, po czym na wielkim ekranie ukazało się zbliżenie górnej części czoła Fontany. Rozdzielczość była na tyle wysoka, że Maria widziała każdą kroplę potu pod rzadziejącymi włosami.

- Co to, Sly, masz tremę? - zapytała. - Myślałam, że przez tyle lat zdążyłeś się przyzwyczaić do zdjęć próbnych. - Poprawiła kamerę i zmieniła ustawienie obiektywu, tak że na ekranie ukazał się Fontana, od pasa w górę. Na idealnie ostrym obrazie widać było każdy szczegół, od plam

pod pachami jasnokremowej koszuli, przez błagalnie patrzące oczy, po naprężone mięśnie, usiłujące zerwać więzy. Maria uśmiechnęła się i zdjęła perukę. Na widok jej ogolonej głowy oczy Fontany otworzyły się jeszcze szerzej, a kiedy wyjęła z torby nagie kukri, niemal wyszły mu z orbit. - No dobrze - powiedziała i stanęła za nim z pilotem kamery w jednej dłoni i zakrzywionym sztyletem w drugiej. - Zaczynamy.

Schyliła się i zbliżyła twarz do jego twarzy - obie były teraz wyraźnie widoczne na ekranie. Przysunęła usta do jego ucha, zobaczyła woskowinę i włosy i szepnęła czule, jak do kochanka:

- Widziałam twoje bardziej wyrafinowane dzieła i choć się nie łudzę, że im dorównam, chciałabym, żebyś uznał to za swego rodzaju hołd. Pamiętaj, co mówi Biblia. Wszyscy, którzy za miecz chwytają od miecza giną. - Posługując się pilotem, zrobiła zbliżenie nerwowo drgającej, spoconej grdyki Fontany. Objęła prawym ramieniem jego szyję i przyłożyła mu sztylet do gardła. Srebrne, zakrzywione ostrze kontrastowało na ekranie z opaloną skórą. Czuła, jak Sly próbuje się uchylić, ale taśma i jej ramię unieruchamiały jego głowę.

Kiedy ostrze kukri powoli zagłębiło się w szyi, skierowała obiektyw kamery na oczy ofiary, tak że wypełniły cały ekran. Sly rozpaczliwie próbował zacisnąć powieki i odwrócić wzrok, ale taśma trzymała mocno. Gdy ostrze przesunęło się po jego gardle, przecinając mięśnie i tkanki, Sly Fontana patrzył w zwierciadło własnej duszy, był przerażoną gwiazdą i widzem swojego filmu *suff*. Drżące gałki oczne bezwolnie śledziły jego cierpienie i śmierć, widziały doskonały moment, którego zawsze wyczekiwała Maria: błysk rozszerzonych źrenic zwiastujący odejście potępionej duszy w inny świat, gdzie osąd miał być surowy, a kara wiekuista.

Na chwilę przed tym, kiedy ostrze miało przeciąć tętnicę, Maria cofnęła rękę, choć krew lała się obficie, i syknęła Fontanie do ucha:

- Zaraz umrzesz i czeka cię wieczne potępienie.

Upewniwszy się, że Sly wie, iż dosięgła go zasłużona kara za grzechy, pogłębiła cięcie. Oboje patrzyli na zachlapany tryskającą krwią ekran, aż sekundę, dwie później jego wielkie źrenice drgnęły i zgasły.

Maria mimo woli cicho westchnęła. Zrobiła, co do niej należało. Powinna już iść. Była Nemezis, zawodową mścicielką, która perfekcyjnie wykonała kolejne zlecenie. Ale nie mogła się usunąć. Jeszcze nie.

Musiła podpisać swoje dzieło, by udowodnić, że to ona jest jego twórczynią. Wyjęła z torby wieczne pióro i odkręciła skuwkę, odsłaniając zrobioną na zamówienie wydłużoną stalówkę. Podeszła do trupa, odszukała

przeciętą tętnicę i wsunęła do niej stalówkę, napełniając zbiorniczek pióra krwią.

Kiedy nabrała jej dostatecznie dużo, zaczęła pisać na suchej części kołnierza jasnokremowej koszuli Fontany:

Wszyscy, którzy za miecz chwytają, od miecza giną. Św. Mateusz, roz. 26, w. 52.

Nasunęła skuwkę na pióro i schowała je z powrotem do torby, razem z całym sprzętem. Wcisnęła na głowę blond loki Babe'a, podniosła z podłogi różę i wyrzuciła je do kosza w kuchni. Nie przejęła się, kiedy jeden z cierni przebił gumową rękawiczkę i ukłuł ją w prawy kciuk. Wysysając ranę, ledwie czuła metaliczny, słony smak na języku. Sprawdziła, czy korytarz jest pusty, i bezszelestnie wyszła z mieszkania, zamykając za sobą drzwi.

Tym razem nie popełniła żadnego błędu. To było zabójstwo doskonałe.

Damaszek

Ezekiel De La Croix przeszedł obok rosnących w ogrodzie drzew pomarańczowych i skierował się do gaju oliwnego, opadającego ku granicy jego posiadłości. Zatrzymał się i spojrzał na panoramę oddalonego o trzy kilometry na południe Damaszku. W powietrzu czuć było chłód, ale popołudniowe słońce oblewało poskręcane oliwki i odległe miasto ciepłym złotym blaskiem. Ezekiel całe życie spędził w podróżach, ale zawsze wracał do tego wielkiego starego domu, od sześciu pokoleń należącego do jego rodziny. Było mu smutno, że nie ma potomka, któremu mógłby go zostawić w spadku. Kochał to miejsce, zwłaszcza o tej porze dnia. Przypominały mu się wtedy spacerki, na które zabierał żonę, gdy jeszcze żyła, i to, jak wówczas rozmawiali i dodawali sobie nawzajem otuchy.

Nagły atak palącego bólu w żołądku zmusił go do sięgnięcia po metalowe puzderko w kieszeni. Wyjął białą tabletkę zobojętniającą kwas i połknął ją. Kiedy ból zelżał, Ezekiel pomyślał o planie brata Helixa. Ubiegłej nocy, kiedy wrócił ze spotkania Najwyższego Kręgu, znów nawiedził go dobrze znany koszmar. Jak zawsze, w tym śnie nie tylko nie ocalił Nowego Mesjasza, ale i pomógł go ukrzyżować. Uświadomiło mu to, jak bardzo się boi, że nie osiągnie celu swojego życia, i od razu zaczął poważniej traktować propozycję Helixa. Doskonale zdawał sobie sprawę, że im dłużej poszukiwania Zbawiciela będą bezowocne, tym bardziej będzie skłonny podjąć

ryzyko i zaakceptować śmiały plan młodszego brata. Zakładając, rzecz jasna, że Helix zdoła namówić naukowca bluźniercę do współpracy.

Odwrócił się i ruszył pod górę, w stronę domu. A jeśli Helix skłoni doktora Cartera, by im pomógł? Czy on, przywódca Bractwa Powtórnego Przyjścia, naprawdę ma prawo zawrzeć haniebną sojusz z ateistą?

Bił się z myślami, kiedy nagle zobaczył służącego - kiwał na niego ręką z otoczonego łukami dziedzińca. Ezekiel pomachał do niego i David wyszedł mu naprzeciw przez starannie przystrzyżony trawnik. Miał coś w ręku. Ezekiel zmrużył oczy i zobaczył, że to telefon.

- Kto dzwoni, Davidzie?
- Przedstawiła się tylko jako Nemezis.

Ezekiel wziął telefon i westchnął. Rozmowa wprawdzie będzie elektronicznie kodowana, ale tyle razy mówił Marii, by nie dzwoniła do niego bezpośrednio, zwłaszcza do domu. Przyłożył telefon do ucha.

- Nemezis, o co chodzi?

W jej głosie brzmiała skrucha.

- Ojczy, musiałam do ciebie zadzwonić. Od wydarzeń w Sztokholmie nie kontaktowałam się ze mną. Chciałam wytłumaczyć się ze swojego błędu. Powiedzieć ci, że coś takiego więcej się nie powtórzy i że chcę to naprawić.

- Powinnaś porozmawiać z bratem Bernardem, nie ze mną. Jeśli chcesz coś wytłumaczyć czy kogoś przeproszać, to raczej jego.

- Ale, Ojczy, muszę wiedzieć, czy ty wybaczysz mi to, co stało się w Sztokholmie.

Pokręcił głową zirytowany. Maria zawsze była taka, od czasu, kiedy znalazł ją przed dwudziestoma laty. Potrafiła być bezbronnym dzieckiem spragnionym rodzicielskiej miłości i najbardziej bezwzględny agentem, jaki wyszedł z obozu szkoleniowego organizacji. Nie winił jej za Sztokholm. To był jej pierwszy i jedyny błąd.

- Nemezis, Sztokholm to już historia. Stało się, życie toczy się dalej.
- Czyli wybaczasz mi?

Słyszał niepokój w jej głosie. Uśmiechnął się lekko. Znow zobaczył w niej głęboko zranioną i zagubioną dziewczynkę, dorastającą w korsykańskim sierocińcu. Kiedy ją poznał, czuł pokusę, by widzieć w niej córkę, której nie mogła mu dać żona. I nawet teraz musiał przyznać, że ma do niej słabość.

- Tak, Mario, dziecko moje, wybaczam ci. Cóż więc...
- To znaczy, że mogę zająć się naukowcem?

Zawahał się.

- Zaraz, zaraz. Masz inne bardzo ważne sprawy. Na Manhattanie...

- To już załatwione. Wykonałam wyrok. Zasluguję na drugą szansę eliminacji doktora Cartera.

Ezekiel zaczął ostrożnie dobierać słowa. Wiedział, jak gorliwie Maria podchodzi do swoich obowiązków.

- Nemezis, nie ty decydujesz, kto ma zostać usunięty. Jesteś doskonałą agentką, lecz jak już mówiłem, twoim zadaniem jest wykonywać polecenia brata Bernarda.

- Ale...

- Nemezis! - Jego głos zabrzmiał stanowczo. Nie podjął jeszcze decyzji, co zrobić z doktorem Carterem. - Jeśli postanowimy, że naukowiec ma zostać usunięty, powiadomimy cię o tym. Oczywiście, zakładając, że to tobie Bernard wyznaczy wykonanie wyroku.

- Jak to „jeśli”? Co się zmieniło? Jeśli doktor Carter był skazany dwa miesiące temu, to wyrok chyba nadal obowiązuje? Poza tym, jeśli nie ja wykonam egzekucję, to kto?... Gomora?

- Nemezis, posłuchaj mnie! - Zaczynał tracić cierpliwość i znów poczuł ból; odzywał się wrzód żołądka. Zwykle zgadzał się pozostawić Marii wolną rękę. Dzięki temu była bardziej zmotywowana; nawet jej obsesja na punkcie pozostawiania wiadomości przy wymyślnie zabijanych ofiarach nie wyrządziła Bractwu żadnych szkód. Może jednak Bernard miał rację, może rzeczywiście pozwalał jej na zbyt wiele. - Nemezis, powinnaś rozmawiać z mistrzem Drugiego Imperatywu, nie ze mną. I pamiętaj! To on wydaje ci rozkazy, nie ty jemu. Jasne?

- Tak, ale...

- Jasne?

Jej głos był skruszony, lecz zimny.

- Tak, Ojczy.

- To dobrze! - Przerwał połączenie. Następnego dnia miał się spotkać z bratem Bernardem Trierem. Postanowił powiedzieć mu o tej rozmowie. Mistrz Drugiego Imperatywu koniecznie musi dopilnować, by Maria przestała rozpamiętywać swoje niepowodzenie w Sztokholmie, nim wpłynie to niekorzystnie na jej inne obowiązki.

Ruszył z powrotem do domu, patrząc na zachodzące słońce. Na myśl o Marii i doktorze Carterze sięgnął po następną białą tabletkę. Był na to wszystko za stary. Miał dziewięćdziesiąt sześć lat. Czy to słuszne, by zbawienie ludzkości spoczywało na jego niedołączonych barkach?

Inni na jego miejscu wykorzystaliby ostatnie lata życia, by odpocząć.
Albo już by nie żyli.

Wzruszył znużony ramionami i przez chwilę myślał tęsknie o ukojeniu, jakie niesie śmierć. Ledwie jednak wszedł na terakotowe płytki, którymi wyłożony był taras, w jego myśli wdarł się dręczący go ostatnio koszmar, na nowo rozpalając ogień w jego sercu. Wiedział, że nie umrze w pokoju, przynajmniej dopóty, dopóki nie wypełni się proroctwo. Dopóki Nowy Mesjasz nie zostanie odnaleziony i namaszczony w Świętym Ogniu.

**L'Hopital de Medecine,
Troisieme Arrondissement, Paryż**

Tom Carter pamiętał Jeana Luca Petita jako wulkan energii i pod tym względem nic się nie zmieniło. Był wyższy od swojego francuskiego kolegi po fachu, ale teraz utykał, więc musiał wydłużyć krok, by za nim nadążyć, kiedy szli korytarzami L'Hopital de Medecine.

Tom wciąż był oszołomiony, a przyczyną nie był ośmiogodzinny lot z lotniska Logan na paryski port lotniczy imienia Charles'a de Gaulle'a. Kiedy eksperyment na myszach zakończył się kompletnym fiaskiem, pogodził się z myślą, że musi zacząć od nowa, choć wiedział, że nie ma szans zdążyć na czas. Wtedy jednak niemal od razu wpadł na pomysł, żeby poszukać wirusowego czynnika powodującego samorzutną remisję. I, jakby tego było mało, Jasmine znalazła nie jeden, a dwa przypadki wystąpienia tego rzadkiego zjawiska - i to na jednym oddziale. Gdyby Tom był religijny, być może zobaczyłby w tym rękę Boga.

- Jean Luc. *Plus lentement, plus lentement.* Nie nadążam - powiedział, lekko zdyszany.

Francuz się odwrócił. Jego ciemne, komicznie teraz smutne oczy patrzyły przepraszająco, kształtny nos wymierzony był prosto w Toma. Wzruszył ramionami i ominął dwie pielęgniarke, nie zwalniając kroku.

- Bardzo mi przykro. Gdybym szedł wolniej, czułbym się, jakbym stał w miejscu.

Jean Luc był drobny, ale chodził lekko zgarbiony, jak o wiele wyżsi ludzie. Kiedy przy wtórze stukotu obcasów sunął zalany blaskiem jarzeńówek korytarzami, jego krótkie nogi pracowały jak tłoki. Co jakiś czas rzucał *Bonjour* i *Ca va* napotykanym osobom. Z dwiema teczkami pod lewą pachą prowadził Toma na oddział onkologii imienia Francois Mitterranda, na którym zdarzyły się tak zwane „cuda”.

- Jean Luc, jesteś pewien, że nie wiesz, dlaczego im się polepszyło?

Francuz wzruszył ramionami, odwrócił się i jego smutne oczy się uśmiechnęły.

- Może to cud. Tak twierdzą wszyscy.

- Musi być jakiś powód - naciskał Tom, przepuszczając sanitariusza wiozącego pacjenta na wózku. - Wyjaśnienie tego, co się stało. Coś, co mogłoby być dla nas źródłem informacji. Co wykazały twoje badania?

- Sam zobaczysz ich wyniki, ale od razu mówię: nic. Nie znalazłem nic, co wyjaśniłoby, dlaczego ich organizmy same się wyleczyły. Wiem, że tak się stało, i tyle. - Jean Luc uśmiechnął się szerzej, a jego imponujący nos się zmarszczył. - Przyjacielu, dlaczego niby nauka musi znać wszystkie odpowiedzi? Tak rzadko zdarza się coś dobrego, czego nie potrafimy zrozumieć. Może po prostu powinniśmy być wdzięczni losowi. *Non?*

Nie zwalniając kroku, doktor Petit podszedł do zamkniętych wahadłowych drzwi oddziału onkologii i otworzył je na oścież. Sala wyglądała zaskakująco pogodnie, ściany pomalowane były na niebiesko i żółto jak na oddziale GENIUS-a. Carter był ciekaw, czy podobieństwo jest przypadkowe; w każdym razie wystrój zmienił się po ostatniej wizycie Jeana Luca w Bostonie. Łóżka stały w dwu rzędach, po dziesięć w każdym; odstępy między nimi były wystarczająco duże, by zapewnić pacjentom minimum prywatności. Część z nich schowana była za zaciągniętymi zasłonami.

Wciąż rozpędzony, doktor Petit obrzucił wzrokiem łóżka, obracając nosem jak czaszą radaru. Wreszcie namierzył cel.

- *Ah bon*. Najpierw zobaczymy, co u mademoiselle Dubois.

Idąc za nim przez oddział, Tom nie mógł się nadziwić panującej tu atmosferze. Pacjenci i personel byli bardzo pogodni. Nigdy jeszcze nie spotkał się z czymś takim w normalnym szpitalu. Oddziały onkologii zwykle były ciche, pełne refleksyjnie nastrojonych ludzi wspominających swoje życie i oswajających się z myślą o jego rychłym końcu. Tu jednak więcej było nadziei niż zadumy. Łóżko, ku któremu zmierzali, tonęło w kwiatkach. I nie

były to oficjalne wieńce, lecz imponujące bukiety, jakie wręcza się osobom powracającym do zdrowia. Tom od razu się zorientował, że leży tu ktoś, kto wkrótce opuści szpital. Frontowymi drzwiami. O własnych siłach.

Kiedy doktor Petit przedstawił mu Valerie Dubois, od razu zwrócił jego uwagę spokój bijący z jej fiołkowych oczu. Emanowały hardą, wręcz wyzywającą pogodą ducha. Te oczy widziały to, co dane było zobaczyć niewielu śmiertelnikom; wytrzymały spojrzenie śmierci i zmusiły ją, by mrugnęła pierwsza. Tom od razu zauważył, że kobieta ma się dobrze. Bardzo szczupła, wręcz chuda, łysą głowę chowała pod czapkę, ale nie widać było po niej osłabienia. Skóra na jej wystających kościach policzkowych nie była chorobliwie blada; okrywał ją lekki rumieniec osoby powracającej do zdrowia, pąs zwiastujący początek nowego życia.

Doktor Petit uśmiechnął się promiennie i z dumą poklepał pacjentkę w ramię.

- Valerie ma dwadzieścia pięć lat i studiuje prawo na Sorbonie. Dobrze, że jej się polepszyło, bo w przeciwnym razie mogłaby podać nas do sądu. - Jego ramiona zatrzęsły się ze śmiechu.

Valerie była wyraźnie zadowolona z jego wizyty, jakby okazywane przez niego zdumienie jej stanem utwierdzało ją w przekonaniu, że rzeczywiście jest z nią lepiej. Tom domyślał się, że do tej pory z ust lekarzy słyszała same złe wieści.

Doktor Petit otworzył jedną z dwu teczek.

- Miała dwa pierwotne nowotwory w żołądku i nerkach. I przerzuty do całego organizmu, w tym dwa do opon mózgowych. - Podał Tomowi dwa zdjęcia rentgenowskie.

Tom obejrzał je pod światło. Na zdjęciu, które miał w lewej ręce, wyraźnie widział ciemne plamy w żołądku i nerkach. Na drugim rzucały się w oczy małe, ale nie do pomylenia z niczym cienie w mózgu. Ta kobieta bez wątpienia miała raka, złośliwego i nieuleczalnego, który wszedł w ostatni etap rozrostu klonalnego.

I zniknął bez śladu.

- Właśnie mieliśmy poddać ją immunoterapii z użyciem genetycznie zmodyfikowanych komórek - ciągnął doktor Petit - kiedy powiedziała nam, że głowa przestała ją boleć i guzy, które czuła w boku, zaczęły się kurczyć. - Jego bystre ciemne oczy spoczęły na Valerie; uśmiechnęła się do niego.

- Valerie, jak szybko to się stało? - spytał Tom. - Chodzi mi o zmniejszenie się guzów.

- W jeden dzień. Początkowo myślałam, że to złudzenie. Pobożne życzenia. Wieczorem jednak postanowiłam porozmawiać z doktorem Petitem. - Valerie wzruszyła ramionami, z jej oczu biła pewność siebie. - Poza tym lepiej się czułam. Wiedziałam, że wracam do zdrowia.

Skinął głową, patrząc w jej spokojne oczy. Jak brzmi ten do znudzenia przytaczany cytat z Nietzschego? „Co nas nie zabije, to nas wzmocni”. W tej chwili zrozumiał, co filozof miał na myśli, i poczuł zazdrość. Ta kobieta już nigdy nie będzie bać się śmierci.

- Kiedy to się stało?

Doktor Petit zajrzał do akt.

- Dziś jest wtorek. Valerie powiedziała nam o tym w czwartek wieczorem. A w niedzielę stwierdziliśmy wyraźną poprawę. Sam zobacz. - Podał mu dwa następne zdjęcia rentgenowskie.

Tom wziął je i obejrzał pod światło. Różnice były widoczne na pierwszy rzut oka. Wydawało się wręcz niemożliwe, by zdjęcia zrobiono tej samej osobie. Duże guzy w żołądku i nerkach zmniejszyły się do rozmiarów niewielkich kleksów, a mózg wyglądał na zupełnie czysty. Przerzuty zniknęły bez śladu.

- Sprawdziliśmy to też chirurgicznie - dodał Petit. - Patolog zbadał próbki nowotworu i stwierdził, że są martwicze. Przeciwciała zwalczyły raka.

Tom porównał dokładniej dwa zestawy zdjęć rentgenowskich.

- I nic nie wskazuje, jak i dlaczego to się stało?

- Nic. No, oprócz analizy DNA wykonanej przez paryskie laboratorium GENIUS.

- Zrobiliście już analizę DNA? - Tom był podekscytowany i zawiedziony jednocześnie. - I nic nie znaleźliście?

- *Au contraire*. - Doktor Petit wskazał na drugi koniec oddziału, na łóżko, które również było przystrojone kwiatami. - Laboratorium GENIUS w Paryżu zbadało krew obu pacjentów, Valerie i leżącego tam monsieur Corbassona. Jak się okazało, przed remisją u obojga występowały wady genetyczne, które spowodowały chorobę. Po remisji genom uległ zmianie...

- Sekwencja genetyczna naprawiła się sama z siebie? W całym genomie? Nie tylko w uszkodzonych komórkach?

- *Mais bien sur* - odparł Francuz. - Nie wiemy jednak, jak to się stało. Jedyne, co łączy tych dwoje, to grupa krwi i fakt, że być może dostali transfuzję krwi pochodzącej z jednej partii. Niestety, nie zachowały się żadne jej próbki.

- Nic poza tym ich nie łączy? - spytał Tom.
- Doktor Petit potrząsnął głową.
- *Rien.*
- Czy przetaczano krew również innym pacjentom?
- Chorym na raka nie. To była krew rzadkiej grupy. AB. - Smętne oczy Jeana Luca znów rozbłysły. - Chodź! Poznasz drugiego cudownie uleczonego. *A bientôt, Valerie.*
- Tom podziękował jej i się pożegnał. Kiedy się odwrócił, by pójść za doktorem Petitem, on stał już przy łóżku po drugiej stronie sali i przywoływał go do siebie niecierpliwymi gestami rąk.
- Drugim cudownie uleczonym pacjentem był Guillaume Corbasson, czterdziestopięcioletni rolnik spod Tuluzy. Tom uściśnął mu dłoń i przywitał się z nim po francusku.
- Doktor Petit wyjął z drugiej teczki zdjęcie rentgenowskie.
- Monsieur Corbasson miał dużego mięsaka na udzie i liczne przerzuty. - Pokazał zdjęcie Tomowi. Prawe udo mężczyzny szpecił rozdęty guz wielkości grejpfruta, który wyglądał, jakby miał lada chwila przebić się przez skórę.
- Kiedy zrobiono prześwietlenie? - spytał Tom.
- Równo tydzień temu. Guz w niecałe osiem tygodni powiększył się dwukrotnie, więc bardzo zależało nam na tym, by zatrzymać jego rozwój.
- Doktor Petit podniósł głowę. - W tym przypadku też szykowaliśmy się do rozpoczęcia terapii genowej, kiedy nagle nowotwór zaczął się zmniejszać.
- Mniej więcej w tym czasie, kiedy nastąpiła poprawa u Valerie Dubois?
- Tego samego dnia, może trochę później - odparł Jean Luc i spytał pacjenta, czy mógłby pokazać im nogę.
- *Mais bien sur.* - Guillaume energicznie odgarnął koc, by pokazać dowód swojego triumfu.
- Tom przesunął dłońmi po jego udzie. Było prawie idealnie płaskie. Naciskając mocniej, wyczuł małe zgrubienie, ale w porównaniu z tym, co zobaczył na zdjęciu, był to drobiazg.
- Niesamowite!
- *Oui. Incroyable!* - przytaknął pacjent z radosnym uśmiechem, odsłaniającym dwie szczyrby w zębach.
- Tom odwzajemnił uśmiech i odwrócił się do Petita.
- Co z przerzutami?

- Wszystkie obumarły. Może dokończymy rozmowę w moim gabinecie?
Tom podziękował Corbassonowi i wyszedł za Petitem z oddziału. Kiedy szli do gabinetu, zarzucał go pytaniami.

- Jean Luc, to nie może być zwykły zbieg okoliczności. Masz dwójkę nieuleczalnie chorych pacjentów, których dzielą miesiące od śmierci, i nagle obydwoje odzyskują zdrowie. I oprócz wspólnego lekarza łączy ich tylko to, że mają tę samą rzadką grupę krwi, co znaczy, że prawdopodobnie przetaczano im krew pochodzącą z jednego źródła. Może coś w niej było?

- Co na przykład?

Tom bezradnie pokręcił głową.

- Może nieznaną dotąd wirus o korzystnym działaniu, który przenosi naprawiającą uszkodzenia sekwencję genetyczną. Coś takiego mogłoby się zdarzyć, Jean Luc.

Doktor Petit westchnął i przewrócił smutnymi oczami.

- Mogłoby, owszem. Ale to mało prawdopodobne, zgodzisz się? Obydwoje zostali przebadani na obecność wirusów i żadnego nie wykryto. I nie zapominaj, że wszystkie próbki krwi poddawane są działaniu ciepła, by zabić wszelkie znane czynniki wirusowe.

- No właśnie. Tylko znane.

- Tyle że we krwi Valerie Dubois i Guillaume'a Corbassona nie stwierdzono obecności żadnego wirusa. Ani czynnika wywołującego zmiany. - Doktor Petit otworzył drzwi gabinetu i wszedł do środka. Wskazał Tomowi krzesło, a sam nalał kawy z ekspresu do dwóch kubków.

Tom wziął od niego kawę.

- A mimo to zmiana nastąpiła - upierał się. - To dowodzi, że coś się stało. Coś się zmieniło. Może w genach zawartych w przetoczonej krwi było coś, co zmodyfikowało ich DNA? Instrukcja, która zablokowała wadliwie działający program i zastąpiła go właściwym?

- Może - przyznał Jean Luc, usiadł, wypił łyk kawy i spojrzał na Toma znad parującego kubka. - Słuchaj, oczywiście zależy mi na tym, by znaleźć wyjaśnienie, tak bardzo jak tobie, bo wtedy może dałoby się powtórzyć ten proces u innych pacjentów. Na razie jednak go nie znalazłem. Jak wiesz, krew pochodziła od grupy anonimowych dawców, a ponieważ nie zachowały się żadne próbki, nie możemy poddać jej analizie. Oczywiście, jeśli chcesz, możesz zbadać krew wyleczonych pacjentów i obejrzeć skany genowe. Tyle że to nic nie da. To tak, jakby odtwarzać przebieg pożaru na podstawie spalonej zapałki. Katalizator przepadł. A poza tym, Tom, jeśli ten twój cudowny wirus istnieje, dlaczego wszyscy go nie złapaliśmy?

Tom zmarszczył brwi. Tego pytania nie ośmielał się sobie zadać, bo nie potrafił znaleźć dostatecznie przekonującej odpowiedzi. Większość wirusów nie zaraża całej ludzkiej populacji dzięki temu, że zabijają nosicieli, zanim ci zdążą przekazać je dalej. Jednak cudowny szczep, w którym pokładał swoje nadzieje, przedłużałby życie nosiciela. Zakładając więc, że istniał od kilkudziesięciu lat, zgodnie z nakazami logiki powinien był już zarazić większą część ludzkości.

- Nie wiem, Jean Luc - odparł po krótkim namyśle. - Ale wszystko ma przyczynę i skutek.

- Zgoda. Może więc ten twój cudowny szczep jest chemiczny, nie wirusowy?

- Chemiczny? W jakim sensie? Tak jak to jest z feromonami?

Jean Luc wzruszył ramionami.

- *Oui*. Czemu nie? Jeśli owady mogą wydzielać związki chemiczne, to czemu nie mielibyśmy tego robić my?

Tom powoli pokiwał głową. Cóż, tonący brzytwy się chwyta. Inna sprawa, że niektóre owady rzeczywiście wytwarzają feromony, by zwabić potencjalnych partnerów, i od dawna panowało przekonanie, że ludzie wydzielają podobne substancje z potem i krwią. Na przykład kiedy w jednym domu mieszkają dwie lub więcej kobiet, ich cykle menstruacyjne z czasem zaczynają się pokrywać. Jak dotąd nikt nie potrafił wyjaśnić tego zjawiska, przypuszczano tylko, że wywołuje je jakiś bodziec chemiczny. Gdyby dar uzdrawiania także miał chemiczne, nie wirusowe podłoże, wyjaśniałoby to rzadkie jego występowanie. Być może w DNA uzdrowicieli występowały specjalne geny, pozwalające im wydzielać lecznicze związki chemiczne przez dotyk bądź płyny, bez „zarażania” innych tą wyjątkową zdolnością.

- Mimo wszystko trochę to naciągane, nie sądzisz? - powiedział.

- Może uzdrowienia w ogóle nie miały nic wspólnego z nauką? Może dokonały się za sprawą Boga? - odparł Jean Luc z uśmiechem. - Tom, zrozumiałbyś to, gdybyś był chrześcijaninem jak ja. Niedawno mieliśmy Boże Narodzenie, zbliża się Wielkanoc... może Bóg po prostu zlitował się nad dwójką nieszczęśników? Postanowił dokonać ingerencji w naturę, by upamiętnić narodziny, śmierć i zmartwychwstanie Swojego Syna?

Tom uśmiechnął się z przekąsem, myśląc o Jasmine. Zazdrościł jej i Jeanowi Lucowi wiary. Ilekroć czegoś nie rozumieli, mówili sobie: „Cóż, to pewnie jeden z tych niezbadanych wyroków boskich”. Żadnych pytań, żadnych wątpliwości, żadnego zwracania głowy. Coś jest za trudne, żeby to pojąć? Ani chybi stoi za tym Bóg. To proste.

- Jean Luc - westchnął ciężko - pomóż mi to zrozumieć. Jak ten twój Bóg ocaliłby tych ludzi?

Jean Luc uśmiechnął się i wpił ciemne, współczujące oczy w twarz Toma, jakby nie był pewien, na ile poważnie traktować jego pytanie.

- Cóż, Bóg może wszystko. No wiesz, jest wszechmocny. - Szeroko rozłożył ręce i uśmiechnął się psotnie. - Może zarządził, by im obojgu się polepszyło, i tak też się stało. A może dokonał tego, tak jak mówisz. Zrobił coś z krwią... - Nagle coś mu przyszło do głowy i zachichotał. - Właśnie, Tom, może zmienił przetaczaną krew w krew Jezusa. Niedługo Wielkanoc, więc to odpowiedni moment, by krew Syna Bożego znów zbawiła ludzkość. *Non?* - I wybuchnął niewinnym śmiechem, w którym pobrzmiwała radość z ocalenia dwojga pacjentów.

Tom milczał.

Jean Luc natychmiast spoważniał, jakby się przestraszył, że go uraził.

- Żartuję tylko, przyjacielu. Jestem lekarzem, nie filozofem, i nic nie wiem.

Tom nie odpowiedział, bo myślami był gdzie indziej; właśnie znalazł możliwy związek między dwiema wydawałoby się zupełnie różnymi sprawami - kwestią uzdrawiającego wirusa bądź feromonu i czymś, co usłyszał z ust Jeana Luca. Razem stanowiły one załączek niedorzecznego na pierwszy rzut oka pomysłu. Usiłował przypomnieć sobie treść przeczytanego przed kilkoma tygodniami artykułu. Gdzie to było? Gdzieś na Sardynii? Musi zadzwonić do ojca, on będzie wiedział. Przy okazji poprosi go o dokładniejsze informacje.

Odwrócił się do zaniepokojonego lekarza.

- Jean Luc?

- *Oni, mon ami.*

Tom wstał z krzesła i poklepał go po ramieniu.

- Dzięki za wszystko, ale mógłbym prosić cię o jeszcze dwie rzeczy?

- Wał śmiało.

- Po pierwsze, mogę skorzystać z twojego telefonu?

- *Mais bien sur.*

- I czy twoja sekretarka mogłaby zmienić mi rezerwację na lot powrotny, tak żebym po drodze wylądował na Sardynii?

- Na Sardynii? - Jean Luc uśmiechnął się zdziwiony i zaprowadził go do sąsiedniego gabinetu. - Oczywiście, Tom. Coś się stało?

- Nie, Jean Luc - odparł Tom, usiłując uporządkować chaotyczne myśli.

- Nic się nie stało. Zupełnie nic.

Siedziba GENIUS-a, dział informatyczny, Boston

Jasmine Washington przyglądała się Karen Tanner w oczekiwaniu na I jej reakcję. Nie zawiodła się. Zielone oczy kasztanowowłosej agentki specjalnej FBI otworzyły się szeroko i z rozchylonych ust wyrwało się bezwiedne: „O rany!”

- Kurczę, jak pani to zrobiła? - zapytała Tanner po chwili.

Jasmine wymieniła porozumiewawcze uśmiechy z Debbie, swoją wysoką, blondwłosą asystentką. Oprogramowanie do obrazowania genowego działało właściwie bez zarzutu i hologram miał doskonałą rozdzielczość. Nawet znany z technofobii Jack Nichols był pod wrażeniem.

Wszyscy czworo stali w sali genoskopów, obok gabinetu Jasmine w dziale informatycznym. Odkąd Tom przed trzema dniami nagle wyjechał do Paryża, pracowała z Debbie i swoim zespołem dwadzieścia cztery godziny na dobę, by udoskonalić program. I całe szczęście, bo właśnie dziś do Jacka Nicholasa, wciąż wściekłego z powodu samowolnych wojaży Toma po Europie, zadzwoniła podekscytowana Karen Tanner. Na Manhattanie popełniono kolejne morderstwo, zgodnie ze sposobem działania Kaznodziei; tym razem jednak zabójca zostawił ślad, który mógł pomóc w jego identyfikacji.

- Jak to działa? - spytała ponownie Karen, wpatrzona w naturalnej wielkości hologram swojej głowy nad holopadem obok stojącego w najdalszym kącie genoskopu.

Jasmine przez chwilę wpatrywała się w milczeniu w trójwymiarowy obraz. Szkoda, że Tom nie wrócił jeszcze z Paryża, Sardynii czy gdzie tym razem był. Miałby okazję po raz pierwszy zobaczyć w stu procentach udaną demonstrację tej nowej technologii. Hologram był tak realistyczny, że aż ciarki przechodziły; zgadzały się nawet kasztanowe włosy i zielone oczy. Twarz wyglądała chyba nieco młodziej niż w rzeczywistości, ale można temu było zaradzić przez wprowadzenie dokładniejszych danych środowiskowych.

- Urządzenie odczytuje pani geny i na ich podstawie ustala wygląd - powiedziała wreszcie Jasmine. - Kiedy przyszła pani rano, zdjęłam włos z ramienia pani żakietu. Musiałam tylko się upewnić, że zachował się korzeń, i dalej już poszło jak z płatka.

Karen wyciągnęła rękę i przesunęła dłoń przez widmową głowę.

- Wygląda zupełnie jak ja. To niesamowite. Da się odtworzyć tylko głowę?

- Nie, całe ciało. Nie chcieliśmy narobić pani wstydu przed Jackiem.

Karen spojrzała na nią zdumiona.

- Ubranie nie ma genów - wyjaśniła Debbie, uśmiechnięta od ucha do ucha.

Jack w zamyśleniu poskrobał się po półkolistej bliźnie.

- Jaka szkoda, Karen. Tyle razem przeszliśmy i jeszcze nigdy nie widziałem cię *au naturel*. A często o tym myślałem.

- I możesz myśleć dalej, Jack - powiedziała Karen ze śmiechem. - Chyba że pierwszy pokażesz swoją chlubę.

Odwróciła się do Jasmine i ruchem głowy wskazała hologram.

- Czyli to powstało na podstawie DNA z korzenia mojego włosa?

- Uhm. Genoskop zawsze potrafił odczytać z genotypu charakterystyczne elementy wyglądu, ale to oprogramowanie idzie krok dalej. Sporządza na podstawie genów trójwymiarowy, komputerowo wygenerowany obraz i przerabia go na hologram. - Wskazała na zawieszoną w powietrzu głowę. - Wykorzystaliśmy pani włos, by pokazać, jak wierny uzyskuje się portret.

- Przekonaliście mnie. Ale co z DNA podejrzanego? Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę tego bydlaka.

Jasmine odwróciła się do genoskopu i wcisnęła cztery klawisze. Ten prototyp nie umiał jeszcze reagować na ustne polecenia, ale była to tylko kwestia czasu. Wkrótce będzie nawet można zmusić hologramy, by przemówiły. Wcisnęła guzik tabulacji i głowa Karen zniknęła.

Jasmine spojrzała na ekran nad klawiaturą. Współpracownicy Karen z ekipy śledczej znaleźli w koszu na śmieci różę, na której kolcu była świeża krew; świadkowie widzieli takie same róże w torbie podejrzanego blondyna.

- No dobrze. Przeprowadziliśmy analizę próbki krwi znalezionej w mieszkaniu Fontany.

Agentka FBI skinęła głową, jej zielone oczy patrzyły z nadzieją.

- No i?

Jasmine zaczęła, aż Debbie sprawdzi hololampy i podniesie kciuk na znak, że wszystko w porządku.

- Co chce pani zobaczyć? Samą głowę Kaznodziei czy całe ciało?

Karen się uśmiechnęła.

- Poproszę pełny zestaw.

- Dobrze więc, pora wezwać Dżina.

Jasmine wcisnęła „enter”.

Pomruk genoskopu przeszedł w szum, hololampy się zapaliły i oczom zebranych ukazała się widmowa postać. Zjawą zrodzona z genów Kaznodziei powoli oblekała się w coraz wyraźniejsze kształty, a cztery barwne hololampy - w kolorze fukcji, niebieskozielona, żółta i biała - wspólnie tworzyły odpowiednie odcienie, uzupełniając szczegóły obrazu zgodnie ze wskazówkami dostarczonymi przez biokomputer genoskopu.

„Dzieło” powstawało od dołu, centymetr po centymetrze, i po kilku sekundach cała sylwetka była gotowa. Wyglądała nadzwyczaj realistycznie, nie zgadzał się tylko jeden szczegół. Przedstawiona postać była kobietą.

Jasmine odwróciła się do zaskoczonej agentki FBI, która z otwartymi ustami wpatrywała się w hologram.

- Myślałam, że Kaznodzieja jest mężczyzną - powiedziała.

Karen zamyślona pokiwała głową...

- Ja też.

- Jest piękna - stwierdził Jack.

I miał rację. Jej włosy były intensywnie miedzianokasztanowe, a wysoka, wysportowana sylwetka z pełnymi piersiami i długimi kształtnymi nogami wprost zapierała dech. Największe wrażenie robiły niezwykle duże oczy; kształtem przypominały kocie ślepie, jednak najbardziej zaskakiwał ich niespotykany kolor - lewe było niebieskie, prawe - brązowe.

- Powinien to być mężczyzna - powiedziała Karen. - Wiemy, że Kaznodzieja zabił męską prostytutkę znaną jako Babe i przebrał się za niego,

by zbliżyć się do Fontany. Odźwierny mówił nam, że widział blondyna. Chryste, tylko wzrost się zgadza.

- Jesteś pewna, że to krew Kaznodziei? - spytał Jack. - Może zabójstwa dokonał naśladowca.

- Wykluczone. Krew była świeża i nie była to krew Fontany, więc ślad musiał pozostawić zabójca. Poza tym morderca nie tylko zostawił cytaty z Biblii, o którym wszyscy słyszeli, ale i napisał go piórem.

- Piórem? - spytała Jasmine.

- Uhm, Kaznodzieja prawie zawsze wypisuje wiadomość krwią ofiary, pobraną przy użyciu specjalnej stalówki z jednej z tętnic, zwykle udowej. W tym przypadku wykorzystał przeciętą tętnicę szyjną. Charakter pisma zgodny jest z tym, którym napisano wiadomości znalezione na innych miejscach zbrodni. Nie, to na pewno robota Kaznodziei.

- Czyli teraz już wiesz, że Kaznodzieja jest kobietą, która umie się dobrze przebrać - stwierdził Jack.

- I to jak dobrze - mruknęła agentka FBI, wyjmując z kieszeni komputerowo wygenerowany portret pamięciowy. - Mnóstwo ludzi widziało, jak ten blondyn szedł w stronę budynku. Choć był w przebraniu, mniej więcej znamy jego rysy. Nic się nie zgadza, ani nos, ani podbródek, ani kości policzkowe. Nawet jego oczy miały inny kolor. - Wskazała na hologram. - No i te piersi. Takiego biustu nie da się ukryć, nawet gdyby opasać go taśmą. To cholernie atrakcyjna kobieta i wiercie mi, niektórzy z przesłuchanych przeze mnie facetów nie przepuściliby żadnej napotkanej lasce. A mimo to wszyscy się zarzekają, że widzieli mężczyznę.

Jasmine wzruszyła ramionami.

- Ludzie się zmieniają. GenoDżin potrafi tylko odtworzyć wygląd na podstawie genów, z którymi człowiek przyszedł na świat, z uwzględnieniem „normalnego” trybu życia, to znaczy typowej diety i aktywności fizycznej. Nie może brać pod uwagę ewentualnych zmian kosmetycznych lub chirurgicznych.

Karen Tanner skrzywiła się z irytacją. Było oczywiste, że liczyła na przełom w śledztwie i się zawiodła.

- Przynajmniej wiesz, że to kobieta - pocieszył ją Jack. - To na pewno stawia sprawę w zupełnie innym świetle. Założę się, że kiedy pod tym kątem rozpatrzysz poprzednie zabójstwa Kaznodziei, znajdziesz nowe tropy. No i masz wyobrażenie o jej wyglądzie.

Karen odwróciła się i przeszła go gniewnym spojrzeniem zielonych oczu.

- Jesteś pewien, Jack? Chryste, przecież teraz ona może już wyglądać jak Marilyn Monroe czy inny Arnold Schwarzenegger.

Cittavecchia, Sardinia

Tak naprawdę Maria Benariac nie przypominała ani Marilyn Monroe, ani Arnolda Schwarzeneggera, kiedy obserwowała mężczyznę wychodzącego z białego kościołka w Cittavecchia na Sardynii. Doktor Carter uśmiechał się i, choć lekko utykał, szedł pewnym krokiem zalaną słońcem ulicą. W prawej ręce trzymał walizkę, a w lewej jakiś mały przedmiot, którego Maria nie mogła rozpoznać. Wyglądał jak próbówka.

Wyregulowała automatyczny teleobiektyw małego aparatu Olympus i odsunęła się od szyby wypożyczonego fiata, patrząc, jak Carter podchodzi do podobnego białego samochodu, zaparkowanego trzy miejsca dalej.

Trzask. Trzask. Zrobiła dwa zdjęcia i usłyszała cichy szum mechanizmu przewijającego.

Doktor Carter prawie dwie godziny rozmawiał z księżmi w kościele w Cittavecchia. Nie potrafiła tego zrozumieć. Był ateistą. Czego mógł tu szukać?

Po niesatysfakcjonującej rozmowie telefonicznej z ojcem Ezekielem, który tak wymijająco mówił o planach Bractwa wobec doktora Cartera, Maria postanowiła śledzić naukowca. Miała wrażenie, że z jakiegoś powodu członkom Najwyższego Kręgu zabrakło odwagi lub siły woli, by dokończyć to, co zaczęli, i nie dopuszczała do siebie myśli, że zło, jakie czynił ten człowiek, mogło ująć karze.

Nietrudno było odnaleźć go na Sardynii. Telefon do GENIUS-a wystarczył, by poznać miejsce jego pobytu w Paryżu, a kiedy zatroskanym głosem spytała o niego w paryskim szpitalu, poznała jego dalsze plany. Początkowo próbowała sobie wmówić, że nie musi przyjeżdżać tu za nim. Wiedziała jednak, że ociąga się tylko dlatego, iż nieopodal leży Korsyka, z którą wiąże się tyle wspomnień.

Trzask. Trzask. Dwa następne zdjęcia. Gdyby zamiast aparatu miała pistolet, naukowiec już by nie żył. Gdyby tylko.

Patrzyła, jak wysoki mężczyzna otwiera drzwi wynajętego samochodu, schyla się i wsuwa na miejsce kierowcy. Kiedy usiadł wygodnie, zauważyła, że położył na desce rozdzielczej walizkę, otworzył ją, spojrzął na próbówkę i schował do środka.

Silnik samochodu zapalił z charkotem i Carter skierował się w stronę lotniska. Maria już miała ruszyć za nim, ale się powstrzymała. Z rozkładu wiedziała, że do następnego lotu do lądowej części Włoch, gdzie naukowiec miał przesiąść się na samolot do Bostonu, zostało sporo czasu.

Odprowadziła wzrokiem oddalający się wóz doktora Cartera, wysiadła, uważając, by sukienka nie zaczepiła się o drzwi samochodu, i poszła do kościoła. W środku zwróciła się do pierwszego napotkanego księdza i wyjaśniła po włosku, że szuka szwagra - wysokiego, utykającego Amerykanina. Drugi kapłan podszedł do nich i obaj w skupieniu wysłuchali tej eleganckiej kobiety mówiącej wyrafinowanym, rzymskim akcentem, po czym powiadomili ją z szacunkiem, że jej szwagier właśnie pojechał na lotnisko, ale nie ma obaw, znalazł, czego szukał.

Zanim zdążyła spytać, co to było, zaprowadzili ją do posągu Madonny w głębi kościoła. Nadal jednak nie rozumiała, co właściwie zabrał naukowiec, więc spytała ich o to wprost. Kiedy usłyszała odpowiedź, wyszła z kościoła, skonsternowana i oburzona zarazem.

Dopiero w drodze na lotnisko przysła jej do głowy pewna myśl.

Zawsze starała się dobrze poznać motywy i zwyczaje osób, które eliminowała. Kiedy wiedziała, co zrobiły i dlaczego, kara wydawała jej się bardziej sprawiedliwa. Musiała się upewnić, że ofiary rzeczywiście zasłużyły na śmierć. Doktor Carter nie był wyjątkiem. Po tym, jak dostała do ręki jego teczkę, poczytała trochę o genetyce. Choć uzyskała tylko powierzchowną wiedzę o tym, czego ta nauka może dokonać, a czego nie, to wystarczyło, by przekonać ją, że doktor Carter bawi się w Boga.

A teraz, kiedy usiłowała znaleźć powód, dla którego ateista odwiedził kościółek na Sardynii, w jej głowie zrodziła się straszna myśl. Gdyby jej przypuszczenie się potwierdziło, oznaczałoby to, że naukowiec jest jeszcze groźniejszy, niż się obawiała.

Na razie jednak nie mogła przystąpić do działania. Najpierw zbierze więcej dowodów, ustali fakty. Dopiero wtedy powie o wszystkim bratu Bernardowi i ojcu Ezekielowi.

Mimo wzburzenia się uśmiechnęła. Jeśli jej podejrzania okażą się słuszne, Ojciec i Bernard nie będą mieli wyboru. Będą zmuszeni pozwolić jej, by dokończyła to, co zaczęła w Sztokholmie.

Back Bay, Boston

Jasmine Washington nigdy nie widziała tyłu pistoletów. Była przerażona.

- Larry, na cholere zniosłeś to wszystko do mieszkania?

- Wyluzuj, co? To atrapy. - Larry uśmiechnął się i położył brązowe pudło na podłodze przestronnego salonu.

- Atrapy?

- Uhm, atrapy. Rekwizyty. Próbki do thrillera, który kręcimy w Los Angeles. Kazałem konsultantowi przysłać je tu tylko dlatego, że w poniedziałek z samego rana mam spotkanie z reżyserką, a ona chce wybrać broń, jaką będzie posługiwał się główny bohater i czarny charakter.

Jasmine nie cierpiała broni, nie tylko z powodu tego, co spotkało Olivie. Kiedy dorastała w Los Angeles, w dzielnicy South Central broń palna była częścią codziennego życia, podobnie jak nieodłącznie z nią związane strzelaniny i zabójstwa na szkolnych placach zabaw.

- Schowaj je gdzieś, gdzie nie będę ich widziała.

Larry uniósł dłonie w pojednawczym geście.

- Jazz, spoko, więcej ich nie zobaczysz, ale może dobrze by było, żebyś choć jeden obejrzała, zorientowała się, jak działają.

Potrząsnęła głową. Kiedy miała niecałe dziesięć lat, dokładnie to samo mówił jej starszy brat. Niedługo przed tym, jak zginął, zastrzelony z przejeżdżającego samochodu, i rodzice zabronili jej samej wychodzić z domu.

- Schowaj je, Larry. Dobra?

Larry schylił się i wsunął pudło pod kanapę. W jego głosie brzmiała skrucha.

- Już ich nie ma. Przepraszam.

Podszedł do niej i wziął ją w ramiona. Był wysoki, dobrze zbudowany i miał delikatne rysy twarzy. Jednak to jego silne ramiona Jasmine kochała najbardziej. Szczyciła się swoją nieugiętą niezależnością, czasem jednak przyjemnie było na chwilę z niej zrezygnować i znaleźć schronienie w jego objęciach. Śmierć Olivii i choroba Holly uprzytomniły jej, jak kruche jest wszystko, co ją otacza. A to, czego dowiedziała się o wyczynach Kaznodziei, nie przywróciło jej wiary w człowieka. Tym przyjemniej było znaleźć się w opiekuńczym uścisku Larry'ego. Wiedziała, że to irracjonalne, ale miała wrażenie, że kiedy jest w jego ramionach, nie może jej spotkać nic złego. Nie stawiając oporu, pozwoliła, by zaprowadził ją do kanapy, całując jej usta.

Tego wieczoru, co tylko czasami jej się zdarzało, wróciła wcześniej z pracy i mimo nieprzyjemnej niespodzianki, jaką była przesyłka z bronią.

ucieszyła się, że zastała Larry'ego. Ostatnio rzadko się widywali. On spędził pół tygodnia w Los Angeles na przygotowaniach do zdjęć do nowego filmu, a ona non stop pracowała nad programem GenoDżin. Cudownie było znaleźć się w domu o wpół do siódmej w piątkowy wieczór i mieć przed sobą perspektywę wspólnej nocy i całego weekendu.

Przytuliła się mocniej do Larry'ego i poczuła, że jego ramiona zaciskają się wokół niej, a słodki oddech grzeje jej kark. Jak należało oczekiwać, kiedy tylko wsunął dłoń pod jedwabną bluzkę i zaczął pieścić lewą pierś Jasmine, zadzwonił telefon.

Dzwonił.

Ciągle dzwonił.

- Cholera - mruknęła pod nosem.
- Wyluzuj! Olej to - szepnął, rozpiął jej stanik i objął dłonią drugą pierś.
- Automatyczna sekretarka odbierze.

Westchnęła i poddała się fali ciepła oblewającej całe jej ciało.

- Powinieneś częściej przebywać poza domem - szepnęła.

Telefon nie przestawał dzwonić.

- Cholera - zaklęła znowu.

Lany wciąż pieścił jej piersi i zaczął sunąć dłońmi w dół; ciepło przeszło w żar płonący w jej brzuchu - i niżej.

- Zaraz włączy się automatyczna sekretarka - szepnął niecierpliwie.
- Nie przejmuj się.

Nie mogła się jednak nie przejmować, tym bardziej że automatyczna sekretarka wcale się nie włączała. Odkąd omal nie zignorowała telefonu z informacją o stypendium na Stanfordzie, odbierała wszystkie; każdy z nich mógł być bowiem tym najważniejszym, z wiadomością, od której mogła zależeć jej przyszłość.

Wysunęła się z objęć Larry'ego i podeszła do telefonu.

- Musiałam wyłączyć sekretarkę.
- To ją włącz.

Ale nie potrafiła tego zrobić. Teraz, kiedy stała nad telefonem, musiała podnieść słuchawkę.

- Jasmine Washington - powiedziała.

Od razu rozpoznała ten głos. Był bardziej ożywiony niż zwykle.

- Jazz, tu Tom.
- Cześć, gdzie jesteś?
- W domu.
- Jak było w Paryżu?

- Bardzo ciekawie.
- A na Sardynii? - Zerknęła na Larry'ego, który patrzył na nią ze zmarszczonym czołem i ponaglał ją niecierpliwymi gestami. Chciała wrócić w jego objęcia, lecz była ciekawa, jak przebiegła podróż Toma. - Jean Luc dzwonił trzy dni temu, żeby spytać, czy nie wiem, dlaczego cię tam poniosło. Czy miało to jakiś związek z samorzutnymi remisjami?
- Na chwilę zapadła cisza.
- Tak jakby. - A potem Tom wypowiedział słowa, które słyszała już tak wiele razy, a które zwykle zmuszały ją do zmiany poglądów na temat tego, co jest możliwe, a co nie. - Mam pewien pomysł.
- Zebrała się w sobie.
- Tak?
- Jeszcze nic nie jest pewne, ale być może wiem, jak pomóc Holly.
- Serio? Jak?
- W głosie Toma zabrzmiała błagalna niemal nuta.
- O tym właśnie chciałem z tobą porozmawiać. Jesteś zajęta? Możesz przyjechać? To ważne, Jazz. Alex i Jack też tu będą.
- Przyjechać? Teraz? - Spojrzała pytająco na Larry'ego; gniewnie pokręcił głową.
- Oczywiście, jeśli dasz radę... - dorzucił Tom pospiesznie.
- Oczy Larry'ego ciskały błyskawice, przestrzegał ją spojrzeniem, by nawet nie śmiała sprzeciwić mu się i wyjść. Uśmiechnęła się więc do niego najmilej, jak potrafiła, i przysunęła słuchawkę do ust.
- Jasne, Tom, już jadę.

Beacon Hill, Boston

Kiedy Jasmine zaparkowała kabriolet bmw przed domem Toma w Beacon Hill, była już prawie ósma. Przed wyjazdem przez kilka minut uspokajała Larry'ego, obiecując, że po powrocie jakoś mu to wynagrodzi.

Na miejscu były już saab Aleksa i stary jaguar E-type Jacka. Znów zaczęła się zastanawiać, co też Tom wymyślił. Powiedział jej, że jego pomysł był tylko „tak jakby” powiązany z przypadkami samorzutnych remisji, z powodu których wyjechał do Paryża. Z własnego doświadczenia wiedziała jednak, że w ustach Toma Cartera „tak jakby” znaczy tyle, co kategoryczne „nie”.

Gospoia Cartera, Marcy Kelley, otworzyła drzwi frontowe i wskazała Jasmine kuchnię. Jasmine przeszła przez duży przedpokój, a ponieważ nigdzie nie zauważyła Holly, domyśliła się, że mała pewnie już śpi. Zatrzymała się przy zamkniętych drzwiach kuchni. Przez dębowe deski słychać było podniesiony głos Jacka.

- Tom, do kurwy nędzy, gdzieś tam jest ktoś, kto chce cię zabić. Chryste, tuż przed twoim wyjazdem ta baba pokroiła jakąś szuję z Manhattanu.

- Wiem, bez końca mi to powtarzasz. - Tom wyraźnie tracił cierpliwość.

- Bo nie możesz sobie ot tak, nie mówiąc nic nikomu latać, dokąd zechcesz. Nie bez powodu dostałeś obstawę policyjną, do cholery. I co ty w ogóle robiłeś w Europie?

- Jeśli się uspokoisz, nianiu, to ci powiem.

Jasmine otworzyła drzwi i stanęła na progu, nie chcąc mieszać się do ich kłótni. Tom, Jack i Alex zebrali się wokół starego sosnowego stołu na drugim końcu dużej kuchni. Tom siedział u szczytu, jego włosy były jeszcze bardziej potargane niż zwykle. W prawej dłoni trzymał małą szklaną fiolkę. Po lewej ręce Toma siedział jego ojciec, Alex. Zbliżający się do emerytury profesor teologii na Harvardzie, jak zawsze spokojny, nalewał parującą kawę do czterech kubków. Przed nim leżały teczka i stos książek. Jack Nichols stał naprzeciw niego, ubrany w dres. Wyglądało na to, że jemu też Tom przerwał miły piątkowy wieczór. Jack marszczył czoło i Jasmine domyślała się, że przed wyjściem nasłuchiwał się od żony i dwójki dzieci tak, jak ona od Larry'ego. Atmosfera w kuchni była napięta i gęsta od zapachu mocnej kawy. Jasmine rzadko widziała, by w tym zżytym gronie panowała taka nerwowość.

Tom spojrzał na nią i uśmiechnął się, bardziej z ulgą niż z radością.

- Jazz, dzięki, że przyszałaś. - Wskazał jej krzesło. - Usiądź.

Kiedy usiadła, Alex uśmiechnął się do niej i wokół jego oczu, niemal tak niebieskich jak oczy syna, utworzyły się zmarszczki. Podsunął jej kubek kawy.

- Cześć, Jasmine. Najciekawsze chyba cię ominęło.

- Już się do tego przyzwyczaiłam - odparła z szerokim uśmiechem i spojrzała na stos leżących przed nim książek, [eh tytuły brzmiały zaskakująco. Jeśli miały związek z pomysłem Toma, najwyraźniej wykraczał on daleko poza zakres zwyczajnej terapii genowej.

Jack uśmiechnął się do niej kwaśno i usiadł.

- Cześć, Jazz. Lepiej, żebyśmy wszyscy siedzieli, kiedy usłyszymy, co Tom ma nam do powiedzenia. W końcu to musi być wielka sprawa. Dureń ryzykował dla niej głową.

- To jest wielka sprawa, Jack - przytaknął Tom, podnosząc fiolkę. - Jeśli mam rację, ten mały szklany pojemnik może zawierać lek na wszystkie choroby dziedziczne... i nie tylko.

- Jak możesz tak mówić, Tom?! - prychnął Jack z rękami założonymi na piersi. Wciąż wkurzony na współnika. - Znikasz na Sardynii, nie mówiąc nic nikomu... - Zerknął na Aleksa. - No, prawie nikomu. Potem wracasz

i twierdzisz, że odkryłeś cudowny lek. Daruj sobie!

- Mówię poważnie.

- Co takiego wyjątkowego jest w tej fiolce, Tom? - spytała Jasmine.

- Krew. Jeśli jest autentyczna, może zawierać lecznicze geny.

Wychyliła się do przodu.

- Jak to? Czyje geny? Nosiciela tego twojego dobrego wirusa?
- Tak jakby. Jeśli jest autentyczna.
- To ona wywołała dwa przypadki samorzutnej remisji w Paryżu?
Tom potrząsnął głową.
- Nie sądzę.
- No to czyja jest ta krew? - spytał Jack i Jasmine zauważyła, że zmrużył oczy, jakby się zastanawiał, do czego Tom właściwie zmierza. Ona sama nie miała bladego pojęcia.
Tom nie odpowiedział. Patrzył tylko na nich z dziwnym błyskiem w niebieskich oczach.
- Na pewno kogoś ciekawego - stwierdziła Jasmine powoli.
- I to jak cholera - przytaknął Jack. Widziała po nim, że wbrew sobie jest zaintrygowany. - Czyja to krew? - powtórzył.
Tom uśmiechnął się do nich i potrząsnął fiolką.
- A gdybym wam powiedział, że mam tu DNA człowieka, który zmarł około dwóch tysięcy lat temu? Był rzemieślnikiem, a ściślej, cieślą. Cieślą z Nazaretu.
Jasmine zamarła i z wrażenia szeroko otworzyła usta. Jack też nie pozostał obojętny. Szepnął cicho:
- Jezu Chryste...
- No właśnie - stwierdził Tom i postawił fiolkę na stole, przed milczącym Aleksem. - To daje do myślenia, co?

Przez kilka minut siedzieli oszołomieni.

- Chyba nie jest autentyczna, co? - odezwał się wreszcie Jack i wziął fiolkę do ręki, oglądając brązowoczerwony płyn. - To nie może być krew sprzed dwu tysięcy lat.

Alex nachylił się do przodu.

- Masz rację. To nie jest ta krew. Pochodzi z płaczącego posągu Madonny w Cittavecchia na Sardynii. Miejscowi twierdzą, że statua płacze krwią, krwią Chrystusa. W 1995 roku próbowali skłonić Watykan do oficjalnego uznania tego zjawiska za cud. Tak się jednak nie stało. Krew rzeczywiście jest ludzka, to krew mężczyzny. Przeprowadzone badania wykazały jej zgodność z krwią jednego z mieszkańców wsi. Mimo to posąg nadal płacze krwią, a turyści wciąż przyjeżdżają go oglądać. Być może kilka tygodni temu czytaliście o nim w prasie.

- Czyli to zwykle oszustwo? - spytała Jasmine, zaskoczona, że sprawiło jej to taką ulgę.

- Tak - powiedział Tom - ale dało ci to do myślenia, zgadza się? A gdyby to rzeczywiście była Jego krew? Co mogłaby zawierać? - Odwrócił się do Jacka. - I zanim oboje odrzucicie taką możliwość, pozwólcie, by Alex omówił wyniki dotychczas przeprowadzonych badań.

- Chwilę, Tom. Daj mi sekundę, żebym to wszystko ogarnęła. - Jasmine długo wpatrywała się w Aleksa i Toma Carterów. Jeden był profesorem teologii na Harvardzie, drugi genetykiem, a mimo to ze spokojem wygadywali takie herezje. Zerknęła na książki leżące przed Alekssem. Na grzbiecie spoczywającego na wierzchu, oprawnego w skórę tomu widniał wytłoczony, połączony tytuł *Zwoje znad Morza Martwego i mit chrześcijański*. Pod nim, w wystrzępionej obwolucie, znajdował się grubszy wolumin: *Teksty z Nag Hammadi w tłumaczeniu na angielski*. Tytuły pozostałych trzech książek były podobne: Edgar J. Goodspeed, *Życie Jezusa*; *Apokryfy Nowego Testamentu*; *Agrafa Jezusa*.

Spojrzała na Aleksa i niejasny niepokój ścisnął jej żołądek.

- Wy mówicie poważnie, prawda?

Alex wzruszył ramionami i uśmiechnął się lekko.

- No pewnie, Jazz. Czemu nie? - powiedział, jakby sensacyjna wiadomość Toma nie była niczym nadzwyczajnym.

To dla nich obu typowe, pomyślała Jasmine. Nowe pomysły są treścią ich życia; im bardziej szalone i kontrowersyjne, tym lepiej.

Ona sama była inna. Choć szczyliła się swoim brakiem uprzedzeń, potrzeba jej było czasu, by zaakceptować dziwaczne idee, zwłaszcza te, które stały w sprzeczności z jej przekonaniem. Kiedy spojrzała na zasępionego Jacka, siedzącego z rękami skrzyżowanymi na piersi w obronnym geście, zorientowała się, że jego pragmatyzm też został wystawiony na ciężką próbę. To, co usłyszeli, było bardziej zaskakujące od skierowanych do brata słów Orville'a Wrighta: „Hej, Wilbur, przelecimy się?”

Odkasznęła.

- Chcę się tylko upewnić, czy dobrze zrozumiałam. - Zawiesiła na chwilę głos, usiłując tak dobrać słowa, by nie wyjść na idiotkę. - Chcesz znaleźć próbkę szczątków Jezusa Chrystusa, genetyczny materiał zawierający Jego DNA. Potem zamierzasz przepuścić go przez genoskop, by uzyskać dostęp do Jego uzdrowicielskiej mocy i wykorzystać ją, by uleczyć Holly. O to chodzi?

Tom ze spokojem skinął głową.

- Mniej więcej. W pewnym sensie to Jean Luc podsunął mi ten pomysł. - I pokrótce opowiedział Jasmine o tym, co stało się w Paryżu. - Jean

Luc stwierdził, że to związki chemiczne, nie wirus, mogły być czynnikiem wywołującym zmiany, jak feromony u owadów. Dlatego też osoba mająca odpowiednie, rzadko występujące geny mogłaby leczyć poprzez wydzielanie określonych substancji chemicznych.

Jack odstawił kawę i zmarszczył brwi.

- Ale dlaczego akurat Chrystus?

- Bo nie mamy czasu szukać innych ludzi, którzy mogą mieć te lecznicze geny, o ile tacy w ogóle istnieją. Jean Luc mimochodem powiedział coś, co sprawiło, że skupiłem się na osobie, która dokonała najwięcej udokumentowanych uzdrowień. A osobą tą bezsprzecznie jest Jezus Chrystus.

Jack potrząsnął głową.

- Tom, przecież jesteś ateistą do cholery. Nawet nie wierzysz w Chrystusa.

- I o to właśnie chodzi, Jack. Jestem gotów uwierzyć, że ten człowiek istniał. - Tom poklepał stertę książek leżących przed Alekssem. - Widziałem wystarczająco dużo potwierdzających to dowodów. Jestem nawet gotów uwierzyć, że obdarzony był pewnymi zdolnościami. Nie kupuję tylko historii, że był tak zwanym Synem Bożym. Jeśli potrafił robić rzeczy opisane w Biblii, to moim zdaniem zawdzięczał to swoim genom. Jack, pomyśl tylko, co moglibyśmy znaleźć w jego DNA: inteligentne geny, które są zdolne naprawiać wady genetyczne, kody białek o nieznanym dotąd, leczniczym właściwościach. Czy człowiek ten otrzymał te dary od Boga, czy też tak zrzucił przypadek, jak los na loterii, w jego genach może tkwić klucz do naprawy wszystkich wad genetycznych.

Dopiero teraz Jasmine się zorientowała, co jest przyczyną jej niepokoju. Tom Carter, którego podziwiała tak, jak chyba nikogo innego, zdawał się proponować czyn graniczący z bluźnierstwem. Pomyślała o swoich rodzicach, baptystach z Los Angeles; o surowych zasadach, które jej wpoili, i wierze, którą po nich odziedziczyła. Poczucie winy przygniotło jej barki, jakby spoczęła na nich ciężka dłoń kapłana. Nie była już głęboko religijna, na pewno nie nazwałaby siebie osobą pobożną, a mimo to wciąż nie straciła wiary. Być może wyroki Boga były tak niezbadane, że czasem nie potrafiła ich pojąć, ale w głębi serca uważała, że On istnieje. Słuchając Toma, czuła się nieswojo. Ten plan szedł za daleko, nawet jak na niego.

Tymczasem Jack wyraźnie zapalił się do jego pomysłu.

- Tom - spytał - naprawdę uważasz, że znajdziesz w jego DNA jakieś niezwykle geny?

Tom wzruszył ramionami.

- Nie wiem, ale są tylko trzy możliwości. Pierwsza jest taka, że człowiek ten był oszustem; druga, że miał boską moc; a trzecia, że był genetyczną osobliwością, kimś obdarzonym bądź, jak kto woli, obarczonym nadprzyrodzonymi zdolnościami. Oczywiście, drugą możliwość wykluczam.

- A jeśli prawdziwa jest ta pierwsza? - spytał Jack.

- Wtedy cały plan bierze w łeb. Ale ponieważ nie widzę innego sposobu, by zdążyć pomóc Holly, gotów jestem podjąć ryzyko. W genomach pacjentów z Paryża, którzy doświadczyli samorzutnej remisji, zmieniło się tylko kilka liter kodu; to jednak wystarczyło, by uśmiercić raka. Nie wiemy, jak to się stało, nie wiemy dlaczego, domyślam się tylko, że czynnik, który wywołał zmianę DNA, dostał się do ich organizmów z zewnątrz, prawdopodobnie podczas transfuzji krwi. Nie wiem też, w jakiej postaci występował. Mógł to być wirus, wydzielina bądź coś innego. Faktem jednak pozostaje, że ich DNA się zmieniło, więc katalizator ten musi istnieć. I gdzie najlepiej go szukać, jak nie w DNA Jezusa Chrystusa?

Jack zmarszczył brwi i zamyślony podrapał się po bliźnie.

- No dobra, ty tu jesteś geniuszem i jeśli uważasz, że możesz uzyskać z Chrystusowego DNA korektor genów czy jakieś sprytne białka, kimże ja jestem, żeby się z tobą spierać? Z drugiej strony, nawet gdyby ten twój pomysł można było zrealizować, to pozostanie on czystą teorią, dopóki nie odpowiesz na jedno proste pytanie. - Jack wyciągnął rękę nad stołem, wziął fiolkę z fałszywą krwią i położył ją sobie na prawej dłoni. - Skąd, do cholery, weźmiesz autentyczną próbkę jego DNA? Ten człowiek nie żyje od przeszło dwóch tysięcy lat. Gdzie znajdziesz jego szczątki, o ile jakieś w ogóle się zachowały?

Jasmine spojrzała na Jacka, który odchylił się na oparcie z założonymi na piersi rękami, wpatrzony w Toma i Aleksa. Przybrał taką pozę, jakby chciał powiedzieć: „No dobra, czekam na fakty, dowody”. Jasmine odruchowo przeniosła wzrok na Toma, ale to jego ojciec pochylił się do przodu, by udzielić odpowiedzi.

Alex włożył okulary i bezszelestnie otworzył leżącą przed nim teczkę. Popatrzył na Jacka i uśmiechnął się lekko.

- To wszystko, co chcesz wiedzieć? - Z rozczarowaną miną zaczął przesuwać papiery schowane w tezcze. - Nie interesują cię dowody uzdrowicielskiej mocy Chrystusa? Ani debata, czy w ogóle został ukrzyżowany, czy też Jego tak zwane „znaki” były tylko politycznymi symbolami? Nie chcesz poznać historycznych przekazów zawartych w zwojach znad Morza Martwego i tekstach z Nag Hammadi? Lub zobaczyć listy dokonanych przez Niego

cudów? Nie intryguje cię to, że o Jezusie mówi nie tylko Biblia, ale i Koran, bo nawet muzułmanie przypisują Mu niezwykle zdolności? - Zawiesił głos i spojrzał Jackowi w oczy. - Chcesz tylko wiedzieć, gdzie go szukać?

- Na początek to wystarczy - odparł Jack szorstko.

Alex wzruszył ramionami i zajrzał na spód teczek. Wyjął trzy kartki zapisane starannym charakterem pisma. Alexander Carter nie uznawał wygodnych, ale bezdusznych procesorów tekstu. Podał notatki Jackowi, który nachylił się nad stołem. Jasmine musiała przyznać, że mimo dręczących ją obaw jest zaintrygowana. Nic nie mówiąc, usiadła prosto i spojrzała na kartki rozłożone przed Jackiem.

Widniały na nich listy. Trzy listy. Jedna sporządzona zielonym atramentem, druga czarnym, a trzecia czerwonym. Każda składała się z czterech kolumn oznakowanych nagłówkami: *ŹRÓDŁO. MIEJSCE. HISTORIA. AUTENTYCZNOŚĆ*. W kolumnie „Autentyczność” przy każdej pozycji umieszczone były gwiazdki, od jednej do trzech. Jasmine przebiegła wzrokiem po tabelce. Niektóre słowa od razu rzuciły jej się w oczy.... Całun Turyński... Płacząca Madonna... Stygmaty... Napletek Chrystusa... Santiago de Compostela... Hostia z Lanciano... Relikwia Chrystusa.

- Po co aż trzy listy? - spytał Jack.

- Przyjąłem dość szeroką interpretację terminu „możliwe źródła genetycznego materiału Chrystusa”. Czerwona lista to spis miejsc na całym świecie, w których podobno trzymane są relikwie Chrystusa. No wiecie, kościołów, katedr i innych budowli, gdzie rzekomo przechowuje się Jego krew, napletek czy inną część ciała.

- Napletek?

- Tak. W średniowieczu popularna relikwia. Był taki czas, że do jej posiadania przyznawało się pięć kościołów. Co do zielonej listy, to zawiera ona wszystkie znane przypadki pojawienia się „krwi Chrystusa”. Jest tu na przykład Płacząca Madonna z Cittavecchia na Sardynii, gdzie Tom zdobył tę fałszywą próbkę. Są też inne zjawiska, które warto zbadać. Choćby krwawiący obraz w Mirebeau we Francji, krucyfiks Marii Horta w Portugalii... - Alex urwał, jakby uprzytomnił sobie, że za bardzo się rozgadał.

- W każdym razie, wszystkie są na tej liście. - Wskazał na trzecią kartkę.

- Lista sporządzona czarnym atramentem wylicza wszystkie udokumentowane przypadki stygmatów. Nazwiska ludzi, którzy rzekomo mają na ciele rany ukrzyżowanego Chrystusa. Wiecie, o co chodzi? Niewyjaśnione rany na dłoniach, stopach i w boku. Pomyślałem, że może warto byłoby przepuścić krew z tych ran przez genoskop.

Jasmine zauważyła, że Jack kiwa głową, studiując listę. Zapiski Aleksa były staranne, precyzyjne, typowe dla naukowca. A nawet wiarygodne. Jack połknął haczyk, a i ona musiała przyznać, że jest zaintrygowana. Alex znał się na rzeczy, ale to jego powściągliwy entuzjazm był najbardziej zaraźliwy. Zamiast wygłaszać wykłady, ojciec Toma pozwalał, by Jack przekonał sam siebie.

- A o co chodzi z tymi gwiazdkami w prawej kolumnie? - spytał Jack.

- Trzy oznaczają, że może coś z tego będzie, jedna, że sprawa jest wątpliwa?

- Otóż to.

- Rzadko pojawiają się trzy gwiazdki - stwierdził Jack, przerzucając kartki. - Prawie wszędzie jest tylko jedna.

Alex uśmiechnął się z przekąsem.

- Nie mówiłem, że będzie łatwo. Biorąc pod uwagę, ile czasu zostało, najlepiej poświęcić całą uwagę wpisom oznakowanym trzema gwiazdkami. Reszta to bez wątpienia fałszywki. Wyliczyłem je tylko po to, by pokazać, w jak wielu miejscach rzekomo znajdują się te relikwie.

- Które twoim zdaniem wyglądają najbardziej obiecująco? Najwyższą ocenę dałeś Hostii z Lanciano. I krwawiącemu obrazowi z Mirebeau.

Alex wyciągnął rękę nad stołem, zmrużył oczy schowane za okularami i wskazał Jackowi kilka innych pozycji na liście.

- Na przykład relikwiarz Krwi Świętej w Jerozolimie. Warto też sprawdzić próbkę włosa z Santiago de Compostela w Hiszpanii. Obrzezany napełek przechowywany w Calcacie zapowiadał się bardzo obiecująco... ale kilka lat temu został skradziony. Inne zjawiska i relikwie moim zdaniem nie są godne uwagi.

Jack przeczytał resztę listy.

- Nawet Całun Turyński? Myślałem, że to autentyk.

- Tomowi potrzebne są szczątki biologiczne, nie tkanina.

Jack skinął głową.

- Uhm. A stygmaty?

Alex wzruszył ramionami.

- Kto to może wiedzieć. Najbardziej autentyczne wydają się relacje Michelle Pickard z Paryża i Roberta Zuccato z Turynu. Reszta jest wątpliwa. Ze wszystkich pozycji na trzech listach moim zdaniem najwyższej pięć, sześć rzeczywiście wartych jest zbadania.

Jack, coraz bardziej pochłonięty lekturą listy, zaczął wypytywać posiadającego encyklopedyczną wiedzę Aleksa o poszczególne jej punkty.

Natomiast Jasmine była coraz bardziej zagubiona. Z jednej strony, pamiętała, że o niektórych relikwiach czytała w „Time”, przez co pomysł Toma wydawał jej się mniej niedorzeczny, może nawet do zrealizowania. Z drugiej zaś, nie mogła odpędzić myśli, że jego plan jest bluźnierczy. Żeby pogodzić swoją wiarę z prowadzeniem badań genetycznych, zawsze wmawiała sobie, że ratuje ludzkie życie; ingerując w dzieło Boże, popełniała lżejszy grzech, niż gdyby pozwalała chorym umrzeć. W końcu to Bóg obdarzył człowieka inteligencją pozwalającą mu zgłębić tajemnice jego własnego życia. Tym razem jednak chodziło o coś więcej.

Jack, nieświadom jej niepokoju, bardziej zainteresowany był sprawami praktycznymi.

- No dobrze, Tom, przypuśćmy, że jakimś cudem uda ci się zdobyć autentyczną próbkę. Czy jednak po dwóch tysiącach lat będzie nadawała się do tego, by cokolwiek z nią zrobić?

Tom pokiwał głową.

- Nie powinno być z tym kłopotu. W latach dziewięćdziesiątych naukowcy analizowali DNA egipskich faraonów żyjących przed przeszło trzema tysiącami lat. Tysiąc lat przed Chrystusem. Badano nawet DNA szczątków pochodzących sprzed pięciu tysięcy lat Indian południowoamerykańskich. Jeśli próbka przechowywana była w suchym miejscu, wszystko powinno być w porządku. Krótko mówiąc, jeśli znajdziemy DNA, prawdopodobnie uda nam się je wykorzystać.

Tom wydawał się tak pewny siebie, tak przekonany, że powinien to zrobić dla Holly, że Jasmine po raz pierwszy, odkąd pamiętała, unikała jego spojrzenia. Mimo to jako naukowiec musiała rozważyć konsekwencje jego propozycji. Co by się stało, gdyby mogli zbadać geny człowieka, który dał początek największej religii świata? Cudotwórcy uważanego przez wielu za Syna Bożego, Boga w ludzkim ciele? Co znaleźliby w Jego DNA?

Poczuła, jak włosy jeżą jej się na karku. Tak, to było coś więcej niż genetyka. To nie była zwykła zabawa ludzkimi genami, lecz o wiele bardziej ambitne... i niebezpieczne przedsięwzięcie. Zabawa genami Boga.

Tom odwrócił się do niej i usłyszała, jak pyta ją z troską:

- Jazz, prawie w ogóle się nie odzywasz. Co o tym wszystkim sądzisz? Wciąż sama nie była tego pewna. Wiedziała tylko, że czuje się nieswojo.

- Nie podoba mi się to. Tak nie można - powiedziała pospiesznie.

Jej słowa zabrzmiały nie tak, jak tego chciała, i wydały jej się nierozsądne. Tom jednak skinął głową na znak, że gotów jest jej wysłuchać.

- Sami nie wiecie, co mówicie - ciągnęła. - Nie znajdziecie tego, czego szukacie, w genach Chrystusa. Nie można wyciąć Jego Boskiej części i obejrzyć jej pod mikroskopem. Moc Chrystusa pochodziła od Boga. Była duchowa, nie fizyczna. Próbować odnaleźć Jego DNA to tak, jakby stwierdzić wprost, że nie zmartwychwstał i nie wstąpił do nieba. Zakładacie, że był normalnym człowiekiem, którego kości teraz gdzieś spoczywają. To sprzeczne ze wszystkim, w co nauczono mnie wierzyć.

Tom potrząsnął głową i przeczesał włosy dłonią.

- Myślisz, że próbuję atakować chrześcijaństwo, ale to nieprawda. Za bardzo potrzebuję twojej pomocy, by szydzić z czegoś, co jest dla ciebie ważne. - Odwrócił się do Jacka, który pokiwał głową zamyślony. - Potrzebuję was wszystkich. Bez waszej pomocy nie mam żadnych szans.

Spojrzał na Jasmine i uśmiechnął się, ale jego szczere oczy zdawały się przeszywać ją na wylot. Dobrze choć, że nie próbował jej zmiękczyć, wspominając o Holly. Zrobiłaby wszystko, by pomóc chrześniacze. Prawie wszystko.

Alex odkaszlnął i przesunął dłonią po wciąż gęstych siwych włosach. Wyglądał tak, jakby próbował rozwiązać zadanie matematyczne.

- Twoja wiara wcale nie musi być przeszkodą, Jasmine - powiedział łagodnym tonem.

Jej palce bezwiednie bawiły się uchem kubka z kawą.

- Jak to?

Alex wstał i zaczął chodzić po kuchni z rękami założonymi za plecy, jakby wygłaszał jeden ze swoich wykładów z teologii.

- Po pierwsze, zmartwychwstanie i wniebowstąpienie są kluczowymi dogmatami twojej religii. Bez nich nie byłoby chrześcijaństwa, zgadza się?

Jasmine kiwnęła głową.

Alex wskazał gestem kartki na stole.

- Jeśli jednak dokładnie przestudiujesz te listy, nie znajdziesz w nich ani jednej wzmianki o części ciała Jezusa, której istnienie mogłoby podać w wątpliwość fakt zmartwychwstania czy wniebowstąpienia. Wszystkie wymienione próbki mogły zostać pobrane przed śmiercią: włosy, krew, nawet ten osławiony napletek. Prawdę mówiąc, nie słyszałem o żadnej relikwii, która zadawałaby kłam głównym prawdom wiary. Nawet ossuaria znalezione w Jerozolimie w 1996 roku, te, które rzekomo miały zawierać kości Chrystusa, były puste. Dlatego choćbyśmy chcieli zachwiać cię w wierze, nie znajdziemy niczego, co pozwoliłoby nam tego dokonać.

Jasmine tylko wzruszyła ramionami, czekając na dalszy ciąg.

- Wierzysz też, że Chrystus jest wcieleniem Boga, zgadza się? Synem Bożym w ludzkiej postaci?

- Tak.

- Ale twoja religia nie mówi ci, w jaki sposób Bóg przekazał swoją moc Synowi, prawda?

Nieufnie zmarszczyła brwi.

- W zasadzie nie.

- A zatem Bóg mógł przekazać Mu swoją siłę duchowo bądź... i tego właśnie nie wiemy... bądź Chrystus dosłownie był wcieleniem Boga, Bogiem-

- Człowiekiem. Co oznaczałoby, że oprócz tego, iż porozumiewał się z Ojcem poprzez modlitwę, mógł otrzymać od Niego za pośrednictwem genów coś, czemu zawdzięczał swoją moc... dawkę boskości, że tak powiem. - Profesor urwał i spojrzał na nią, prawą ręką bawiąc się zegarkiem kieszonkowym w - Byłoby możliwe, ale...

- Ale nie chciałabyś się o tym przekonać?

Alex jak zawsze dał jej do myślenia. Była rozdarta między nauką a wiarą. Nie dawało jej spokoju jedno najistotniejsze pytanie: A gdyby tak dało się odnaleźć w DNA Jezusa boskie geny?

Alex usiadł z powrotem i odchylił się na oparcie, rozluźniony.

- Może i masz rację, że Jezus otrzymał swoją moc w sposób czysto duchowy - powiedział. - Ale jeśli się mylisz i Jego boskość, jak to określasz, ma swoje źródło w Jego genach, to i tak nie podważysz zasad twojej wiary. Tak czy inaczej, pozostanie niezagrożona. - Pochylił się do przodu i jego oczy rozbłyły młodzieńczym entuzjazmem. - Wyobraźmy sobie jednak, że moglibyśmy wyizolować coś, co czyniło tego człowieka wyjątkowym, i wykorzystać to, by pomóc ludzkości. Nie tylko Holly, ale wszystkim ludziom. Jakże twój Bóg mógłby być temu przeciwny? Czy nie po to właśnie posłał na ziemię swojego Syna? Kto wie? Może nawet byłoby to zgodne z Jego zamysłem.

Jasmine odwróciła się od Aleksa i znów spojrzała na Toma. Zobaczyła w nim człowieka, który nie podzielał jej wiary, ale wyznawał te same wartości, co ona. Bardziej głębokiego chrześcijanina niż większość ludzi, których w życiu spotkała. A potem pomyślała o swojej chrześniaczce, dzielnej, mądrej dziewczynce, która zasługiwała na to, by dostać szansę.

Kiedy napotkała spojrzenie niebieskich oczu Toma, wiedziała, że nie ma wyboru.

- Myślę, że się mylicie - powiedziała. - I nie wierzę, byście mogli znaleźć to, czego szukacie. - Spojrzała na wszystkich po kolei: Jacka, Aleksa i w końcu Toma. Byli jej przyjaciółmi, prawie rodziną. Wzruszyła ramionami. - Będę się musiała z tym przespać, ale jeśli wszyscy jesteście zdecydowani, to na razie możecie liczyć też na mnie.

Próbowała uśmiechnąć się tak jak oni, ale w głębi duszy wciąż słyszała cichy, niemilkący głos sprzeciwu.

Tom Carter z wdzięcznością i ulgą patrzył na siedzących wokół stołu przyjaciół. Nikomu nie ufał tak jak im i samo to, że w ich obecności zrzucił z serca ciężar, jakim był ten szalony pomysł, bardzo mu pomogło. Przez ostatnich kilka dni o niczym innym nie mógł myśleć. Jego nastrój wahał się między przekonaniem, że plan musi się powieść, a przerażeniem, że w ogóle go rozważa. Jak zawsze pomógł mu ojciec - nie tylko zebrał niezbędne materiały, ale i odegrał rolę, która do tej pory przypadała Olivii: zadawał mu pytania i pomagał uporządkować chaotyczne myśli. W końcu udało im się sprowadzić wszystko do trzech jeśli":

Jeśli zdołają znaleźć próbkę DNA Chrystusa i

Jeśli znajdą w niej unikalne geny o właściwościach leczniczych, i

Jeśli uda się zastosować w praktyce te unikalne geny bądź kodowane przez nie białka,

To może będą w stanie wyleczyć Holly i kto wie, kogo jeszcze.

Wydawało się to tak proste.

Najważniejsze jednak było to, by mogli liczyć na wsparcie. Jacka jak zwykle najbardziej interesowały sprawy praktyczne, ale Tom poważnie pomylił się co do Jasmine. Łudził się, że jako chrześcijanka przykłaśnie jego pragnieniu, by szukać ratunku u Jezusa. Kiedy jednak zobaczył jej minę, od razu się zorientował, jak wielki popełnił błąd. Na szczęście Alex zdołał jej pokazać, że plan Toma nie musi być sprzeczny z zasadami jej wiary.

- No dobrze - powiedział. - Jak zauważył Jack, naszym priorytetem będzie odnalezienie DNA. Jeśli tego nie dokonamy, cały pomysł pozostanie tylko i wyłącznie pomysłem. Spróbuję zdobyć próbki krwi stygmatyków.

Odwrócił się do Jasmine.

- Jaz, mogłabyś odłączyć jeden ze zmodernizowanych genoskopów od pozostałych i zainstalować w nim najnowsze oprogramowanie? Trzeba też będzie skalibrować go tak, by mógł odczytać stare i prawdopodobnie uszkodzone DNA. Mogłabyś też poszukać w IGOR-

dokonały udokumentowanych uzdrowień? I sprawdzić, czy mają one jakieś niezwykle geny? To pewnie nic nie da, ale warto spróbować.

- Dobrze, ale czemu mam odłączyć jeden z genoskopów?

- Bo chcę zachować te prace w tajemnicy nawet przed pracownikami firmy. Będą w nich uczestniczyć tylko najbardziej zaufane osoby, i to wyłącznie w sytuacji, kiedy to okaże się konieczne. Dlatego będziemy musieli wydzielić część laboratorium Mendla. Trafi tam przygotowany przez ciebie genoskop.

- Ile przestrzeni ci potrzeba? - spytał Jack, marszcząc czoło.

- Niewiele. Powinna wystarczyć piąta część piętra. Możemy wykorzystać pomieszczenia na tyłach, laboratorium i salę konferencyjną imienia Cricka.

- Nie zakłóci to pracy nad innymi projektami?

- Powinniśmy sobie poradzić. I naprawdę uważam, że trzeba zachować dyskrecję. Nie chcę zwłaszcza, by dowiedzieli się o tym nasi koledzy z Narodowego Instytutu Zdrowia. Nie mamy czasu pisać podań do komisji etyki.

Jack spochmurniał.

- Fakt. Chryste, jeśli Jazz ma wątpliwości, to wyobraźcie sobie, co pomyśleliby oni. Poza tym nasi udziałowcy też mogliby tego nie zrozumieć. Potrzebna nam będzie przykrywka.

Tom pomyślał o tym już wcześniej.

- Moglibyśmy prowadzić prace pod pretekstem, że mają one związek z projektem poszukiwania genu zła. Pamiętacie? Ten idiotyczny pomysł, do którego przekonywał nas prezydent?

- Chodzi ci o projekt „Gen Kryminalny”? - podsunęła Jasmine. - Ten, nad którym nie chcemy pracować?

- No właśnie. Gdyby ktoś zaczął węszyć, powiemy, że zmieniliśmy zdanie i że być może rzeczywiście istnieją geny odpowiedzialne za przestępcze skłonności, a nasze badania mają to zweryfikować. - Tom przerwał, po czym dodał z naciskiem: - Ale posłużymy się tą wymówką, tylko jeśli będzie to absolutnie konieczne, i mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Jack kiwnął głową.

- Dobrze, zajmę się wydzieleniem części laboratorium. Poza tym będą ci potrzebne kody dostępu do funduszy. Co jeszcze mam zrobić?

Tom się zawahał. Nadszedł najtrudniejszy moment.

- Potrzebuję twojej rady w sprawie czterech z pięciu próbek z listy Aleksa, które musimy zdobyć. - Przynął papiery do siebie i przebiegł po nich

wzrokiem, szukając właściwych pozycji. - Chodzi o Hostię z Lanciano, szczątki z Santiago de Compostela, krwawiący obraz z Mirebeau, relikwiarz Krwi Świętej w Jerozolimie.

- O jaką radę chodzi?

- Jak to wszystko zdobyć.

Ogorzała twarz Jacka wyrażała zrozumienie.

- Czyli nie zamierzasz prosić nikogo o zgodę?

- Nie starczy czasu. I nie ma gwarancji, że dostalibyśmy ją. Potrzebny nam tylko wymaz. Nikt nie zauważy ubytku.

- A zatem chcesz, żebym polecił ci osoby, które mogą pomóc zwędzić te relikwie?

- Tak.

Twarcz Jacka rozplynęła się w szerokim, łobuzerskim uśmiechu. Tak jak Tom na to liczył, były agent FBI się ucieszył, że będzie mógł skorzystać z usług starych znajomych.

- Kiedy chcesz to wszystko mieć?

- Najszybciej, jak to możliwe. Jest środek lutego... powiedzmy, że najpóźniej do końca marca. - Tom się rozejrzał. - W porządku? - Czuł się jak król Artur, kiedy wszyscy po kolei kiwali głowami, niczym rycerze Okrągłego Stołu wyruszający na poszukiwania świętego Graala.

Jack sięgnął po teczkę leżącą przed Alekssem, Merlinem Toma, i przysunął ją do siebie.

- Projekt „Kana”? - powiedział, odczytując napis na okładce. - Tak mamy to nazywać?

Tom spojrział na ojca.

- To pomysł Aleksa. Nie widzę przeciwwskazań.

Jack kiwnął głową i odsunął teczkę.

- Dobra. Ale dlaczego akurat Kana?

. - Mogę się tego domyślić - odparła Jasmine, zanim Alex zdążył się odezwać. - To na weselu w Kanie woda zmieniła się w wino.

Jack wzruszył ramionami.

- Wiem, i co z tego?

- To był pierwszy cud Chrystusa - wyjaśniła Jasmine. - Pierwszy z wielu.

II

PROJEKT „KANA“

Trzy tygodnie później, Paryż

Maria Benariac sączyła kawę w zadymionej kawiarni przy rue de Castiglione. Zerknęła na zegar nad barem, przy którym otyły *patron* próbował zagadać podstarzałą blondynkę. Była prawie druga po południu. Maria obserwowała klinikę po drugiej stronie zalanej deszczem ulicy już niemal trzy godziny, ale nadal nie pojawił się nikt, czyja obecność wyjaśniałaby, po co doktor Carter wynajął mały gabinet.

Przez trzy ostatnie tygodnie, od jego wyjazdu na Sycylię, Maria nie spuszczała go z oka mimo tego, co usłyszała od brata Bernarda. To było strasznie denerwujące; kiedy ostatnio skontaktowała się z mistrzem Drugiego Imperatywu, by poznać jego plany wobec naukowca, kategorycznie zabronił jej się do niego zbliżać. Gdy spytała, czemu doktor Carter jest ignorowany, przestrzegł ją, by nie popadała w obsesję na punkcie tego człowieka.

Obsesję? Ona nie miała obsesji, była zaniepokojona, to wszystko. I całe szczęście, bo Bernard Trier najwyraźniej wcale się tym nie przejmował. Jej zadaniem było wykonywanie Sprawiedliwych Wyroków; do tego została przygotowana. Jeśli więc naukowiec został uznany za pierwszego kandydata do eliminacji w Sztokholmie, dlaczego teraz było inaczej? Co się zmieniło?

Za kogo brat Bernard się uważał, żeby mówić jej, od kogo ma trzymać się z dala? Na samo wspomnienie jego nadętego głosu tłumaczącego jej,

że jest tylko „agentką”, krew burzyła jej się w żyłach. Potraktował ją tak, jakby nie należała do Bractwa; jakby była służącą którą można pomiatać. Odetchnęła głęboko i pomyślała, że kiedy tylko potwierdzą się jej podejrzenia dotyczące doktora Cartera, ojciec Ezekiel i brat Bernard będą musieli jej wysłuchać.

Ze śledzeniem go nie miała kłopotów. Dyskretna obstawa policyjna składała się z jednego radiowozu dyżurującego pod domem i jeżdżącego za Carterem do pracy i z powrotem. Za granicą jednak zdany był na siebie, czasem tylko towarzyszył mu Jack Nichols. Maria trafiła już za doktorem Carterem do Turynu, Frankfurtu i teraz do Paryża.

- *Encore du café?* - Gruby *patron* stanął nad nią z termosem. Podniosła głowę i napotkała jego pożądlive spojrzenie. Na widok tych małych, świdrujących oczu przypomniał jej się Sly Fontana. Wróciły też starsze wspomnienia, a z nimi zimny strach. Od razu pożałowała, że nie przyszła w męskim przebraniu, i wbiła w niego lodowaty wzrok.

- *Non, merci.*

Musiał zobaczyć coś w jej oczach, bo przestał się na nią gapić, niepewnie, wręcz nerwowo potrząsnął głową i odszedł.

Po drugiej stronie ulicy zatrzymał się duży czarny samochód. Szofer wysiadł i otworzył tylne drzwi. Maria początkowo nie zwróciła uwagi na ten wóz, wciąż poruszona przywołanymi przez barmana wspomnieniami. Nagle jednak drzwi kliniki otworzyły się i doktor Carter wyszedł na deszcz z parasolem i kopertą. Maria przypomniała sobie, że kopertę miał także w turyńskiej klinice podczas spotkania z nieznanym mężczyzną który później wyszedł z tą samą kopertą w ręku. Czy była to zapłata? Jeśli tak, za co?

Pochyliła się do przodu i wyjrzała przez okno. Zobaczyła, jak doktor Carter podchodzi do samochodu i pochyla się z parasolem, jakby chciał osłonić wysiadającego pasażera przed deszczem. Kiedy znów się wyprostował, Maria zobaczyła, że ujmuje pod ramię drobną, starszą kobietę. Ruszyli do kliniki. Staruszka kuśtykała, jakby bardzo bolały ją nogi. Maria poczuła ucisk w piersi. Jej podejrzenia się potwierdziły. Uniosła miniaturowy aparat Olympus i spojrzała przez teleobiektyw na dłonie kobiety.

Migawka trzasnęła trzy razy. Szum mechanizmu przewijającego właściwie nie zakłócał ciszy w kawiarni.

Wszystko się zgadza, pomyślała Maria. Dłonie kobiety były owinięte grubymi bandażami. Tak jak dłonie mężczyzny z Turynu.

Tom poczęstował staruszkę kawą, zanim zaprowadził ją do małego prywatnego gabinetu wynajętego od miejscowego lekarza, znajomego Jeana Luca. Gdyby nie trochę bardziej gustowny wystrój, pomieszczenie to niczym nie różniłoby się od białych salek, które w ciągu ostatnich trzech tygodni wynajmował w innych odwiedzanych przez siebie europejskich miastach. Umywalka, skórzana kanapa, krzesło z twardym oparciem, szafka z lekami i biały stalowy stół składały się na całe umeblowanie. Tu dodatkowo było jeszcze małe laboratorium na zapleczu.

W głębi duszy wiedział, że to, co robi, z trudem mieści się w granicach tradycyjnie pojmowanej nauki. Projekt „Kana” opierał się na kruchych podstawach, a przyjęte za punkt wyjścia hipotezy były absurdalne. Tom potrzebował jednak cudu, a jak mówiła Jasmine o Lourdes, w takiej sytuacji trzeba szukać miejsca, gdzie cuda się zdarzają.

Posadził Michelle Pickard na brązowej skórzanej kanapie.

- Jak długo ma pani te rany? - spytał łamanym francuskim, zdejmując jej bandaż.

- Siedem lat. Pojawiły się, kiedy miałam sześćdziesiąt pięć. Jak umarł mój mąż.

- I widać je cały czas?

- Nie, tylko od piątku do niedzieli. W poniedziałki się goją. A od wtorku do piątkowego popołudnia nie ma ich w ogóle.

Tom kiwnął głową. To samo usłyszał od innych przebadanych stygmatyków, ale ta zbieżność ani nie dodała mu otuchy, ani go nie zniechęciła. Był świadom, że wypłynął na nieznaną wodę, postanowił więc powściągnąć swój wrodzony sceptycyzm i zajmować się wyłącznie faktami. Delikatnie zdjął ostatnią warstwę bandaża. Ślady były widoczne na dłoniach, z wierzchu i od spodu, a krew świeża, bez śladu zakażenia czy zapalenia. Rany jednak były głębsze i większe niż w innych przypadkach.

Po chwili odsłonił rany na stopach Michelle Pickard. Wyglądały podobnie jak te na rękach: otwarte, lśniły od świeżej krwi. Rana w boku również. Skrzywił się, oglądając je.

- Bardzo są bolesne?

Małe, uśmiechnięte oczy kobiety przyglądały mu się uważnie.

- To nie szkodzi. Ból daje mi ukojenie.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Pobrał wymazy z wszystkich pięciu ran i umieścił je w oznakowanych, zapieczętowanych probówkach. Następnie pobrał próbkę krwi z ramienia Michelle Pickard i przeniósł ją do szóstej probówki. Zadał staruszce jeszcze kilka pytań i ponownie opatrzył

jej rany. Na koniec podziękował jej, dopilnował, by wzięła kopertę z zapłatą, i odprowadził ją do samochodu.

Michelle Pickard była wyraźnie zawiedziona, że trwało to tak krótko. Pewnie chciała opowiedzieć mu szczegółowo o swoich stygmatach. Tom jednak był zmęczony i słyszał już wiele podobnych historii. W tej chwili zależało mu tylko na próbkach. One mówiły same za siebie. Dotychczasowe badania nie przyniosły efektów. W dwóch przypadkach stygmaty okazały się samookaleczeniami dokonanyymi przez osoby kierujące się chorym pragnieniem zwrócenia na siebie uwagi. Krew innych rzekomych stygmatyków, w tym Roberta Zuccato z Turynu, była nieinteresująca z genetycznego punktu widzenia. Michelle Pickard wydawała się bardziej wiarygodna od pozostałych, ale najważniejsze były próbki. One kłamać nie mogły.

Tom odprowadził staruszkę i wrócił do małego laboratorium na zapleczu. Zaczął pakować próbki, pragnąc jak najszybciej ruszyć w dalszą drogę. Nie widział Holly ponad tydzień i miał ją zobaczyć dopiero po spotkaniu z Jackiem nazajutrz we Włoszech. Opiekował się nią Alex i przywykła już do nieobecności ojca, ale Tom mimo to za nią tęsknił. Co ja tu robię, do licha? - nie pierwszy raz spytał sam siebie. I jak zwykle udzielił sobie jedynej możliwej odpowiedzi: próbuję dać Holly szansę.

Zajrzał do torby z próbkami i obejrzał wymazy zebrane w ciągu ostatnich kilku tygodni. Prawie wszystkie przegródki były zajęte, więc postanowił od razu przeprowadzić wstępną analizę sześciu próbek krwi Michelle Pickard. Do Włoch i Bostonu weźmie tylko te, które będą wyglądać choć trochę interesująco.

Zbadał pod mikroskopem próbkę krwi z lewej dłoni staruszki, a potem tę pobraną z ramienia, jedyną nie pochodzącą ze stygmatów. W pierwszej chwili pomyślał, że musiał popełnić jakiś błąd. Sprawdził próbki, by upewnić się, że nie pomylił próbek. Wszystko się jednak zgadzało.

Zmarszczył brwi i przeszedł go dreszcz emocji.

- Dziwne - powiedział do siebie. - Bardzo dziwne.

Adriatyckie wybrzeże Włoch

Następnego wieczoru, kiedy Tom Carter stał w dwunastometrowej łodzi rybackiej płynącej u wybrzeży Włoch, zagadka krwi Michelle Pickard wciąż nie dawała mu spokoju. Przed dwiema godzinami, kiedy wchodzili na pokład w Pescarze, powiedział Jackowi, co się stało. „To musi być jakiś

przekręt" - stwierdził były agent FBI i zadzwonił do znajomych, by sprawdzili stygmatyczkę.

Fale rozhuściły łódź i obolały żołądek podskoczył Tomowi do gardła. Tajemnica Michelle Pickard nagle straciła dla niego znaczenie. Stęknął i ugiął nogi, próbując oswoić się z kołysaniem, podczas gdy załoga usiłowała rzucić kotwicę możliwie najbliżej brzegu. Rejs z Pescary był raczej krótki, ale Tom źle znosił podróże, zwłaszcza morskie.

Stał obok Jacka Nicholasa, który, ku jego irytacji, wydawał się zupełnie nie przejmować huśtaniem łodzi. Noc była pogodna i zaskakująco ciepła jak na początek marca. Za dziobem Tom widział srebrzysty rąbek plaży mieniającej się w blasku księżyca. Kiedy wodził wzrokiem po linii brzegu, wypatrując mających tam czekać dwóch mężczyzn, od kołysania i szumu fal dostał skurczów pustego żołądka.

Poczuł na ramieniu dłoń Jacka.

- Wszystko w porządku? - spytał Jack ze śmiechem. - Jakoś poziele-
niałeś.

- Bo czuję się pozieleniały - odburknął.

Cóż, przynajmniej dzięki temu zapomniał o niepokoju. Dwaj mężczyźni, z którymi umówił się Jack, spóźniali się.

Byli to jego starzy znajomi, znani po prostu jako Holender i Irlandczyk. Mieli za zadanie odwiedzić wybrane miejsca z listy Aleksa i pozyskać niezbędne materiały. Tom dostarczył zawodowym złodziejom odpowiedni sprzęt i udzielił instrukcji co do sposobu przechowywania próbek, a wszystko to zostało załatwione na dystans, tak by zatrzeć wszelkie tropy prowadzące do GENIUS-a. Ponieważ jednak na ten wieczór zaplanowano ostatnią robotę - dwaj mężczyźni powinni byli do tej pory już załatwić sprawę w kościele w Lanciano - postanowił odebrać zebrane próbki osobiście, w towarzystwie Jacka. Było to ryzykowne, ale wmówił sobie, że tylko tak może dopilnować, by nie uległy uszkodzeniu. Musiał też przyznać, że wówczas wydawało mu się to ekscytujące. Teraz jednak, choć Jack wyraźnie się cieszył, że znów może działać w terenie, Tom żałował, że nie pojechał prosto do domu, do Holly.

- Tylko nie to - mruknął, czując kolejny skurcz żołądka. Wychylił się za burzę, bo wstrząsnęły nim torsje. Zaczął łykać chłodne, słone powietrze.

Jack podał mu lornetkę działającą w podczerwieni.

- Spójrz przez to. Przynajmniej zajmiesz czymś myśli.

Tom jęknął, przyłożył ją do oczu i rozejrzał się po plaży, która przez lornetkę wyglądała jak skąpana w zielonym świetle. Teraz już widział

wszystko wyraźnie i szybko wypatrzył mały gumowy ponton na brzegu, ale nigdzie nie było śladu Irlandczyka ani Holendra.

Zaraz! Co to?

Mógł przysiąc, że po prawej stronie plaży, przy klifie, zauważył błysk światła księżycowego odbitego od metalu lub szkła. Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Czyżby byli obserwowani?

I wtedy zobaczył po lewej stronie dwie sylwetki biegnące w stronę pontonu. Poklepał Jacka po ramieniu.

- Już są.

Wyższy z dwóch mężczyzn, Holender, wrzucił torbę do pontonu i pomógł Irlandczykowi zaciągnąć go na omywające brzeg fale. Razem wskoczyli do łódki i zaczęli wiosłować w stronę kutra rybackiego. Tom skierował lornetkę na prawą stronę plaży, w okolice skał. Nic. To, co mignęło mu w niesamowitym zielonym świetle, musiało być tylko przywidzeniem.

Nie minęła minuta, a dwaj mężczyźni byli już przy burcie łodzi. Tom z Jackiem pomogli im wejść na pokład.

- Jakież kłopoty? - spytał Jack.

Holender uśmiechnął się, ukazując mocne białe zęby.

- Nie, było cicho jak w kościele.

Irlandczyk sięgnął do dużej torby leżącej na pokładzie u stóp jego współnika. Wyjął z niej aluminiowy pojemnik i wymiętą listę.

- Jest wszystko. Oznakowane i uporządkowane, tak jak pan chciał.

Tom zerknął na listę. Każda z pięciu pozycji została wykreślona. Kiedy uchylił wieko przenośnej lodówki, zobaczył, że we wszystkich pięciu otworach tkwią oznakowane szklane fiołki. Zamknął pojemnik i przycisnął go do piersi.

- Dobra robota.

Holender skinął głową.

- Uhm. Mieliśmy trochę kłopotów z próbką z Santiago w Hiszpanii. Jakiś mądrała włożył krew do pojemnika zaprojektowanego tak, by w razie próby otwarcia go siłą zawartość została zniszczona.

- I co się stało? - spytał Jack.

- Bez obaw! Irlandczyk jest pomysłowy.

- A co z próbką z Lanciano? - zapytał Tom. To ona interesowała go najbardziej. Krew z Hostii w Lanciano już przed kilkunastoma laty została poddana datowaniu metodą węglową i wyniki badania były bardzo obiecujące.

- Jak mówiłem, łatwizna. Zero ochrony. I nie ma obaw, w żadnym z tych miejsc nikt nie zauważy, że coś zniknęło.

Jack wyjął z kieszeni płaszcza kopertę i podał ją Holendrowi.
- Banknoty, których pochodzenia nie da się ustalić.
- Dzięki, panie Nichols. Jak w starych dobrych czasach. Przyjemnie robić z panem interesy.

Carter patrzył, jak Holender bez liczenia chowa pieniądze do torby.

Jack pomógł im wstać.

- Zostawimy was w Pescarze, tak jak się umówiliśmy. Dalej musicie radzić sobie sami.

Kiedy dwaj mężczyźni zeszli pod pokład, Tom znowu otworzył aluminiowy pojemnik i wbił wzrok w pięć fiolek, ułożonych w równym rzędku. Wszystkie oznakowane były datami i adresami; na ostatniej widniał napis „HOSTIA Z LANCIANO”, WŁOCHY, 6 MARCA 2003. Wyjął ją z pojemnika i obejrzał w świetle księżycy. Rdzawy proszek w środku zdawał się lśnić jak rozkruszone rubiny.

- To ta? - spytał Jack, kiedy załoga podniosła kotwicę.

Toma przeszedł dreszcz, nie dlatego jednak, że nad Adriatykiem wiał zimny wiatr. Kiedy poczuł, że łódź rusza w stronę Pescary, zauważył, że choroba morska ustąpiła jak ręką odjął.

Odwrócił się do Jacka.

- Według badań przeprowadzonych w Oksfordzie - szepnął - ta krew ma dwa tysiące lat i jest to krew mężczyzny. - Zawiesił głos i się uśmiechnął. - To trochę zawęża krąg poszukiwań, nie sądzisz?

Trzask... szurrr. Trzask... szurrr.

Maria Benariac stała przy głazach na ciemnej plaży; trzymała w ręku aparat z noktowizorem i patrzyła na odpływającą łódź. Cała zeszywniała z zimna, ale płonęła ze złości. Jej podejrzenia się potwierdziły.

Nie mogło być co do tego wątpliwości. Widziała, jak doktor Carter badał stygmaty, i była świadkiem kradzieży próbki z kościoła w Lanciano. A jakby tego było mało, to jeszcze na jej oczach Jack Nichols zapłacił złodziejom, a Carter obejrzał szklane fiołki w blasku księżycy.

Nie mogła w to uwierzyć. Doktor Carter nie tylko zignorował jej groźbę, ale i drażnił się z nią, posuwał się coraz dalej w swoim bluźnierstwie. Ten diabeł gotów był nawet złożyć święte relikwie Chrystusa na czarnym ołtarzu genetyki. Jeśli ten naukowiec był groźny już wcześniej, to tym bardziej teraz. W przeciwnym razie po co śmiertelnik miałby szukać genów Boga? Jeśli nie po to, by samemu Nim się stać?

Następnego ranka, szkoła podstawowa South Boston

Pierwsza komórka glejowa odmówiła wykonania instrukcji genetycznej o godzinie jedenastej zero dziewięć rankiem w piątek, siódmego marca 2003 roku.

W tym czasie Holly siedziała w drugiej ławce między najlepszymi przyjaciółkami, Jennifer i Megan, na lekcji francuskiego w szkole podstawowej South Boston. Kiedy gorliwie podniosła rękę na znak, że chce odpowiedzieć na zadane przez panią Brennan pytanie: *Comment allez-vous?* - była zdrową dziewczynką, która za kilka tygodni będzie obchodzić urodziny. Jednak parę sekund później, ledwie powiedziała: *Je vais bien, Madame Brennan* i opuściła rękę, już miała raka i zostało jej tylko parę miesięcy życia.

W ułamku sekundy komórka glejowa w jej mózgu zbuntowała się, dając początek pierwszej mutacji rozrostu klonalnego, który miał nieuchronnie doprowadzić do raka. Jak za wciśnięciem guzika zdrowa mała dziewczynka zapadła na śmiertelną chorobę.

Każda komórka ludzkiego organizmu jest ściśle kontrolowana, jej śmierć, odrodzenie i rozmnażanie odbywają się zgodnie z instrukcjami zawartymi w jej DNA. W tym ułamku sekundy, kiedy w zaatakowanej komórce glejowej Holly zaginął gen p53, ta ścisła kontrola przestała funkcjonować i komórka zaczęła się dzielić, wytwarzając kolejne komórki z uszkodzonym DNA.

Rozrost klonalny ma cztery etapy. Na pierwszym z nich zaatakowana komórka Holly zaczęła wykonywać nowe, nieprawidłowe instrukcje. Instrukcje te wyłączają blokadę w jądrze komórkowym, które w wyniku tego ulega kolejnym, niekontrolowanym podziałom. Komórka na pierwszy rzut oka jest normalna, ale rozmnażając się, klonuje uszkodzone DNA, wytwarzając coraz to nowe zbuntowane komórki, które stopniowo wypierają swoje genetycznie „posłuszne” sąsiadki. A że przeciwciała organizmu nie rozpoznają w nich intruzów, mogą one mnożyć się bez przeszkód.

Druga mutacja zachodzi, kiedy wciąż wydawałoby się normalne, ale zbuntowane komórki zaczynają rozmnażać się coraz szybciej, wywierając coraz większy nacisk na otoczenie, a w końcu na czaszkę Holly.

Na trzecim etapie komórki mnożą się jeszcze szybciej, przy czym budowa niektórych z nich się zmienia. Gdy do tego dojdzie, zniszczone zostanie całe skupisko kluczowych genów z chromosomu 9 Holly.

Czwarta, śmiertelna mutacja powoduje, że komórki stają się złośliwe, rakowe. Na tym etapie cała kopia chromosomu 10 jest już stracona, a z nią zawarte w niej genetyczne instrukcje. Komórki wykonują już tylko własne, egoistyczne polecenia: przetrwać i się rozmnożyć, nie zważając na to, że tym samym skazują na śmierć swojego nosiciela, że Holly umrze.

Największą ironią losu jest to, że rak to w gruncie rzeczy przejaw dążenia komórki do nieśmiertelności. Jej samolubne pragnienie zabija resztę organizmu. I oczywiście, kiedy organizm umiera, komórki rakowe umierają razem z nim.

Jednak Holly podczas lekcji z koleżankami nic o tym nie wiedziała. Żyła w błogiej nieświadomości, że nosi w sobie zdraycę, zbuntowanego przeciw niej. Miną tygodnie, może nawet miesiące, zanim poczuje, że coś jest nie tak. Jej ojciec dowie się o chorobie, kiedy pozna wyniki następnej tomografii komputerowej bądź pozytonowej emisyjnej. Wykażą one obecność ledwo zauważalnej narośli. Oczywiście, nawet wtedy Holly może nadal nie być niczego świadoma. Kiedy przed następną wizytą w szpitalu tata będzie sprawiał wrażenie bardziej zaniepokojonego niż zwykle, dziewczynka uzna, że pewnie znów jest nie w sosie.

Nawet nie domyśli się tego, co będzie wiedział jej ojciec: że w końcu spełniło się proroctwo genoskopy sprzed trzech miesięcy. Że wróg uspioły w jej organizmie nie tylko się obudził, ale i rozpoczął już swoje daremne i zgubne starania o zapewnienie sobie nieśmiertelności.

Trzy dni później, Genewa

Minęły trzy dni od chwili, kiedy Maria Benariac obserwowała doktora Cartera i Jacka Nicholasa u wybrzeży Włoch. Teraz siedziała w imponującym holu hotelu La Cigogne i podziwiała połyskujące drewno i eleganckie marmury, czekając na wezwanie. Często tu bywała. Zawsze po to, by spotkać się z Ojcem. Wiedziała, że ojciec Ezekiel De La Croix lubi ten hotel, bo pracownicy obsługi zawsze witają gości z nienaganną uprzejmością i rozumieją, czym jest dobry smak, nigdy przy tym nie zadając pytań. Ojciec miał tu apartament, z którego korzystał, przyjeżdżając na regularne wizyty w bankach obsługujących Bractwo.

Maria zerknęła na misterny zegar stojący przy recepcji. Czekala już prawie dwadzieścia minut. Ojciec zwykle był punktualny, ale dziś miał podjąć niełatwą decyzję. Zdjęcia i notatki, które wysłała bratu Bernardowi, musiały dać im do myślenia. Założyła nogę na nogę, wygładziła prostą granatową spódnicę i napiła się wody mineralnej. Nigdzie jej się szczególnie nie spieszyło.

Na odgłos kroków na marmurowej posadzce odwróciła głowę w stronę wind. Kiedy zobaczyła nadchodzącego otyłego brata Bernarda, chwyciła małą dyplomatkę i wstała. Brat ubrany był w surowy ciemny garnitur. Jego kozia bródka wydawała się bardziej zaniedbana niż podczas ich ostatniego spotkania, ale grube, wydęte usta wykrzywił znajomy, szyderczy uśmiech.

Bez słowa powitania przy wołał ją do siebie krótkim: „Chodź!” i odwrócił się w stronę wind. Nie zamienili nawet słowa, kiedy jechali na drugie piętro i szli długim, wyłożonym drewnem korytarzem do drzwi oznakowanych tabliczką APARTAMENT 310. Marię kusilo, by spytać, co sądzi o zdjęciach czy o planach doktora Cartera. Milczała jednak. A co do pochwał za odkrycie jego zamiarów, już dawno przestała liczyć, że może je usłyszeć z ust Bernarda. Tylko aprobata ojca Ezekiela była czegoś warta.

Weszła za Bernardem do apartamentu. Po prawej stronie zobaczyła dużą, wyłożoną marmurem łazienkę, a po lewej - komfortowo wyposażoną sypialnię. Przed sobą miała dyskretnie oświetlony salon z dużą kremową sofą i dwoma dopasowanymi do niej fotelami. Na końcu sofy siedział mężczyzna. Pospieszenie rozejrzała się po ładnie urządzonej sypialni i kiedy uświadomiła sobie, że nikogo więcej w nim nie ma, nie próbowała nawet kryć rozczarowania.

- Gdzie Ojciec? - spytała.

Wysoki mężczyzna wstał z sofy. Był chudy, nosił okulary w drucianych oprawkach i mimo łysiny wyglądał o wiele młodziej niż Bernard. Maria przed kilkoma laty dwa razy spotkała brata Helixa Kirkhama i nie potrafiła zrozumieć, co on tu robi. Był mistrzem Pierwszego Imperatywu, a ta sprawa wchodziła w zakres Drugiego Imperatywu.

Brat Helix uśmiechnął się do niej.

- Agentko Nemezis, ojciec Ezekiel nie weźmie udziału w tym spotkaniu. Poprosił nas jednak, byśmy przekazali ci wyrazy uznania za twoją czujność. - Wyciągnął do niej prawą rękę. - Niechaj będzie zbawiony.

Powitała go w sposób przepisany rytuałem i zerknęła na szklany stolik. Przed Helixem leżały jej notatki i zdjęcia.

- Czy moje ustalenia nie były wystarczająco ważne?

Helix znów uśmiechnął się do niej.

- Wręcz przeciwnie. Były tak ważne, że Ojciec musiał opóźnić wprowadzenie w życie pewnych planów. - Wskazał na jeden z foteli i Maria z ociąganiem usiadła.

Brat Bernard spoczął na sofie obok Helixa.

- Przyniosłaś oryginały zdjęć i negatywy, jak prosiliśmy?

Otworzyła dyplomatkę, wyjęła plastikową teczkę zawierającą „dowody” i podała mu ją.

- To powinno wystarczyć, by przekonać was, że naukowiec trzeba powstrzymać najszybciej, jak to możliwe. Jestem gotowa przystąpić do działania, kiedy tylko zechcecie.

Patrzyła, jak bracia przeglądają zdjęcia i notatki. Zauważyła, że wymieniają przy tym porozumiewawcze spojrzenia i dyskretne skinienia głowy. Wreszcie Helix podniósł oczy i spytał:

- A co doktor Carter robi twoim zdaniem?
- Próbuje ingerować w DNA Boga.
- Z jakiego powodu? - Helix zadał to pytanie takim tonem, jakby już znał odpowiedź.

Wzruszyła ramionami. Wiele o tym myślała, przejrzała też ponownie swoje książki w poszukiwaniu informacji, które powiedziałyby jej coś o jego zamiarach. W czasie podróży samolotem z Włoch usiadła nawet za doktorem Carterem i Jackiem Nicholsem w nadziei, że usłyszy, jak będą rozmawiać o swoich planach. Jediną informacją jaką zdobyła, była nazwa: projekt „Kana”.

- Nie wiem na pewno. Może chce skompromitować religię, wykazując, że Jezus był tylko śmiertelnikiem? A może liczy na to, że w jakiś sposób wykorzysta moc Chrystusa? - Przerwała i się przeżegnała. - Albo próbuje sklonować Jezusa?

Helix potrząsnął głową.

- Nie, na razie to niemożliwe. Nawet dla doktora Cartera. Zanim nauczymy się klonować człowieka, miną dziesiątki lat.

Milczała, pragnąc poznać jego zdanie. Było powszechnie wiadomo, że stosunkowo młody mistrz Pierwszego Imperatywu jest na bieżąco ze współczesną technologią. Nie powiedział jednak nic więcej.

- A ty myślisz, że dlaczego to robi? - spytała wreszcie.

Helix i wbił wzrok w blat stolika.

- Nie jestem pewien. Pewnie ma to jakiś związek z wyizolowaniem genów Chrystusa. Prawdopodobnie doktor Carter wierzy, że jeśli zdoła je znaleźć i wykorzystać, będzie mógł stworzyć cudowny lek: uniwersalne panaceum na wszystkie choroby. Zostałby wówczas bardzo bogatym człowiekiem, jeszcze bogatszym niż jest teraz. I co ważniejsze, zyskałby ogromną władzę - westchnął. - Ale ta sprawa już ciebie nie dotyczy.

Te słowa nią wstrząsnęły.

- Jak to „nie dotyczy”?

Brat Bernard nachylił się ku niej.

- Nemezis, pozwól, że wyjaśnię ci, co chcemy, żebyś zrobiła w sprawie doktora Cartera; co ja chcę, żebyś zrobiła. Słuchasz mnie?

- Tak, oczywiście.

- Cieszę się. To bardzo proste. - Zauważyła, że brat trzyma w rękach szarą kopertę. - Chcę, żebyś nie robiła nic. Zostawisz go w spokoju, do-

półki nie wydam innych poleceń. Na razie masz pilniejsze sprawy do załatwienia. Wydano Sprawiedliwe Wyroki, których wykonanie wymagać będzie twoich umiejętności; informacje są tu, w tej kopercie.

Marii najpierw zrobiło się zimno, po czym nagle zalała ją fala gorąca.

- To przez Sztokholm, prawda?

Bernard potrząsnął głową.

- Nie, to nie ma ze Sztokholmem nic wspólnego. Po prostu mamy wobec doktora Cartera inne plany.

- Jakie? Chcecie wydać zlecenie Gomorze? Jemu brakuje wyobraźni. Za nic w świecie nie przejrzałby zamiarów tego naukowca. To ja powinnam...

- Nemezis! -przerwał jej Bernard podniesionym głosem. - Sprawiedliwy Wyrok na doktora Cartera został bezterminowo zawieszony. Wydałem ci polecenie. Teraz masz je wykonać.

Nie wierzyła własnym uszom.

- Zawieszony? Dlaczego? Żądam rozmowy z ojcem Ezekelem. On na pewno...

Tym razem przerwał jej Helix. Ton jego głosu był stanowczy, ale pojednawczy.

- Decyzja zapadła, Nemezis. Ojciec Ezekiel zatwierdził ją osobiście. Proszę, nie myśl już o tym.

Widziała, jak Bernard wbija gniewny wzrok w Helixa, wściekły, że współbrat śmie uspokajać jego podopieczną. Potem odwrócił się do niej, rozsiardzony tym, że sprzeciwiła mu się w obecności Kirkhama.

- Nemezis, pozwoliliśmy ci już w tej sprawie na zbyt wiele - powiedział. - Jesteś agentką. Wykonujesz strategiczne rozkazy wydawane przez Najwyższy Krąg, przeze mnie. Jeśli jeszcze choć raz je zakwestionujesz, zostaniesz zawieszona, może nawet poszukamy kogoś innego na twoje miejsce. Gomora może nie jest tak pomysłowy jak ty, ale robi dokładnie to, co mu każemy. Nie jesteś niezastąpiona. Rozumiesz?

Maria zignorowała go i odwróciła się do Helixa, który wydawał jej się lekko zażenowany.

- Bracie Helixie, jesteś pewien, że ojciec Ezekiel zatwierdził tę decyzję?

- Słyszałaś, co mówił brat Bernard.

- Czy mógłbyś powiedzieć mi, dlaczego ojciec to zrobił?

Helix wzruszył ramionami i już miał zacząć mówić, kiedy Bernard, czerwony na twarzy, wstał i wskazał drzwi.

- Nemezis, rozmowa skończona. Zostawisz nam swoje notatki i zdjęcia i wyjdiesz.

Maria odwróciła się do mistrza Drugiego Imperatywu i popatrzyła mu w oczy. Zwykle nie okazywała uczuć, tym razem jednak pozwoliła, by jej zimne spojrzenie zdradziło głęboką pogardę, którą do niego czuła. Wstała dopiero, gdy zamrugał tymi swoimi świdrującymi oczkami i odwrócił wzrok.

Spojrzała na Helixa i skinęła głową.

- Bracie Helixie.

Wysoki brat odpowiedział lekkim ukłonem.

- Agentko Nemezis.

Ominęła brata Bernarda i wyszła z apartamentu.

Później, Londyn

Tej nocy Maria Benariac leżała w pojedynczym łóżku w swoim londyńskim mieszkaniu i nie mogła zasnąć. Była jak ranne, obolałe zwierzę. Nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się taka samotna, tak odcięta od świata. Chyba jeszcze na Korsyce. Jak zawsze, spała przy świetle, ale tej nocy, choć ciemność rozpraszały cztery żarówki i sześć reflektorów, nie mogła przepędzić mrocznych myśli.

Zanim doktor Carter uszedł jej zemsty, Ezekieli zawsze jej ufał, traktował ją z szacunkiem i czułością. Była jego ulubienicą - wybranką. Teraz jednak Ojciec trzymał się od niej na dystans i pozostawił kontakty z nią bratu Bernardowi, który ani jej nie rozumiał, ani nie cenił. To przez doktora Cartera. Dopiero kiedy go zabije, wszystko wróci do normy. Była tego pewna. Tylko wtedy będzie mogła znów pławić się w miłości Ojca, stać się szanowanym, kochanym członkiem jego rodziny.

Sięgnęła do stolika przy łóżku i wymacała palcami zimne, stalowe ostrze. Od jego dotyku przeszedł ją dreszcz strachu i podniecenia. Jej dłonie zacisnęły się na trzonku.

Wzięła sztylet ze stolika i uniosła nad głowę. Obejrzała zakrzywione ostrze kukri, odcinające się na tle jasno świecącej żarówki, i przesunęła kciukiem drugiej dłoni po jego ostrej krawędzi. Nacisnęła na tyle mocno, by rozciąć skórę i, usiłując nie mrugać, patrzyła na spadającą kroplę krwi, która po chwili rozbryznęła się na jej otwartym oku.

Pewnym ruchem ręki przeniosła sztylet niżej, w miejsce, gdzie świeże rany dopiero się zagoiły. Nie patrząc w dół, przyłożyła zakrzywione ostrze

do prawego uda. Powoli zaczęła poruszać kukri, aż wreszcie poczuła rozkoszny ból, ostrze rozcięło skórę i popłynęła krew.

Dzień przed swoimi piętnastymi urodzinami Maria zostaje wezwana przez matkę Clemenzę, przełożoną korsykańskiego sierocińca niedaleko Calvi. Kiedy wchodzi niepewnie do jej gabinetu i staje przed ogromnym biurkiem, surowa matrona nawet nie próbuje kryć niechęci. Matka Clemenza jest grubą kobietą w dużych, kanciastych okularach, które zdają się spoczywać na jej okrągłych, wydętych policzkach. Okulary nadają jej przymrużonym oczom złowieszczy wyraz. W swoim obszernym habicie przypomina Marii wielką ropuchę, czatującą za biurkiem na przelatujące muchy. Kiedy wbija w nią groźny wzrok i zaczyna mówić, jej ostry różowy język wygląda, jakby miał lada chwila wystrzelić jej z ust.

- Mario, jak wiesz, przybył do nas z wizytą ojciec Angelo. Poprosił, by po zakończeniu obchodu jedna z dziewcząt przeczytała mu na głos w bibliotece w wieży. Szczerze mówiąc, jest wiele innych dziewcząt, które moim zdaniem lepiej by nas reprezentowały, on jednak z jakiegoś powodu zażyczył sobie właśnie ciebie. Mario, pragnę podkreślić, że jest to dla ciebie zaszczyt i że musisz zrobić na ojcu Angelu dobre wrażenie, więc zachowuj się, jak należy. W przeciwnym razie dowiem się o wszystkim... i wiesz, co wtedy cię czeka.

Maria kiwa głową. Doskonale wie, jakie kary może wymierzyć ropucha; większości z nich doświadczyła na własnej skórze, odkąd została tu porzucona trzy dni po swoich narodzinach.

Cienkie wargi ropuchy wykrzywają się w wymuszonym uśmiechu, ale oczy pozostają zimne.

- Dobrze zatem. A teraz idź już, on czeka.

Wchodząc po kamiennych stopniach wieży górującej nad starym sierocińcem, Maria zastanawia się, dlaczego ojciec Angelo wybrał właśnie ją. Oczywiście, jako jedna z najstarszych dziewcząt wie, kim on jest, lecz przecież widział ją tylko raz, podczas swojej ostatniej wizyty. I to tylko dlatego, że kiedy węszył po sierocińcu - czy „robił obchód”, jak nazywała to matka Clemenza - zobaczył ją przy pracy w pralni. Ich spotkanie było dziełem przypadku. W odróżnieniu od innych dziewcząt, Maria zwykle ma za dużo pracy, by przedstawiano ją ważnym gościom.

Już dawno przestała próbować zrozumieć, dlaczego zakonnice ją nienawidzą, ale wie, że tak jest. Bez przerwy się jej czepiają i karzą z byle powodu.

Wie też, że ma to coś wspólnego z jej wyglądem. Niektóre siostry nazywają

ją „córka diabła”, bo ma takie dziwne oczy, i obcinają jej kasztanowe włosy tak krótko, że prześwituje przez nie naga skóra głowy. „Nie myśl sobie, że to, że jesteś piękna, czyni cię kimś wyjątkowym” - mówiły jej, odkąd sięga pamięcią. Maria nawet już nie próbuje zrozumieć dlaczego. Wie tylko, że chce wyglądać inaczej, być bardziej pospolita, nie rzucać się w oczy. Wtedy nie przynosiłaby sierocińcowi wstydu i miałaby przyjaciół.

Podchodząc do zamkniętych drewnianych drzwi małej biblioteki, Maria znów zadaje sobie pytanie, dlaczego ojciec Angelo wybrał właśnie ją a nie jedną z „lepszych” dziewcząt. Zamiast jednak potraktować to jako zaszczyt, czuje, że żołądek kurczy jej się ze strachu. W końcu ojciec Angelo jest tak ważną figurą w Kościele, że na pewno osobiście rozmawia z Bogiem; nawet ta ropucha, matka Clemenza, jest stremowana w jego obecności.

Pod drzwiami biblioteki Maria podnosi dłoń, by zapukać, ale się waha. Jest ciekawa, co by było, gdyby po prostu odwróciła się i poszła do pralni. Wie jednak, że zostałaby ukarana; pewnie trafiłaby do tego straszego karceru. Bierze więc głęboki oddech i nieśmiało puka do drzwi trzy razy.

- Wejść! - odpowiada tubalny głos.

Przekręca lekko drżącą ręką metalową gałkę i otwiera ciężkie drzwi. Ojciec Angelo jest sam. Siedzi na kanapie przy oknie wychodzącym na podjazd. Na kolanach trzyma dużą księgę. Pod ścianami po obu stronach kanapy stoją regały z oprawnymi w skórę książkami. Maria mnóstwo razy była w bibliotece, lecz kiedy jest tu sam na sam z ojcem, wydaje jej się ona dziwna, obca.

Ojciec Angelo jest chudy i nawet kiedy siedzi, szaty zdają się wisieć na jego kościstej sylwetce. Ma pociągłą twarz ze zniekształconym nosem, jego oczy osadzone są zbyt blisko siebie. Najgorzej wygląda jego cera: zryta bliznami, ziemista, nadaje mu chorobliwy wygląd. Spod wykrzywionych w uśmiechu warg wyłaniają się żółte zęby. Maria zastyga w bezruchu, gorąco pragnie odwrócić się i uciec, ale ojciec klepie miejsce obok siebie na kanapie.

- Chodź, dziecko. Usiądź koło mnie. Na imię ci Maria, prawda?

Maria zaciska pięści tak mocno, że czuje, jak paznokcie wbijają jej się w dłonie, i zmusza się, by do niego podejść.

- Tak, ojciec Angelo.

Siada na kanapie możliwie najdalej od niego i tak jednak czuje jego oddech, cuchnący jak zgniła kapusta z opróżnianych przez nią regularnie koszy z odpadkami w kuchni. Ojciec podaje jej księgę. To Biblia. Potem wstaje i podchodzi do drzwi. Kiedy odsuwa się od niej, Maria czuje ulgę;

sama jego bliskość przyprawia ją o dreszcz obrzydzenia. Lecz znów sztywnieje, widząc, że ojciec zamyka drzwi na zamek.

- W porządku - mówi, obnażając żółte zęby w uśmiechu. - Teraz już nikt nam nie przeszkodzi. Będę mógł w spokoju posłuchać, jak czytasz.

Podchodzi z powrotem do kanapy i siada przy Marii, tym razem tak blisko, że ich uda się dotykają. Dziewczynka próbuje się odsunąć, ale ponieważ jest już na samym skraju, nie ma dokąd uciec.

- Co ojciec chce, żebym przeczytała? - pyta, próbując zachować spokojny ton.

- Sama coś wybierz, dziecko. Ale nie siedź tak daleko ode mnie. - Kościstą prawą dłonią klepie się w udo. Maria zauważa, że jego paznokcie są starannie wypielęgnowane. - Usiądź mi na kolanach.

Serce bije jej tak mocno, że nie może złapać tchu.

- Dziękuję, ojczu, ale tu mi wygodnie.

Klepanie staje się bardziej natarczywe.

- Nonsens. Chodź, usiądź tu.

Odwraca się i napotyka spojrzenie jego oczu. Jest w nich głód, który ją przeraża, bardziej zwierzęcy niż ludzki. Czoło i skóra nad dolną wargą połyskują od potu.

Wtedy ojciec uśmiecha się do niej. Maria nigdy jeszcze nie widziała czegoś tak potwornego. Drżącymi rękami otwiera Biblię i czyta pierwsze słowa, które wpadają jej w oczy:

- „A wtedy anioł rzekł do...”

Jego dłoń spoczywa na jej krągłej lewej piersi i ścisną mocno, do bólu. Maria nie może uwierzyć, że ojciec Angelo robi jej coś takiego. Próbuje na niego nie zważać w nadziei, że przestanie. Czyta dalej, koncentrując się na słowach rozplywających jej się przed oczami.

Jego druga dłoń rozpina guziki jej bluzki i wsuwa się pod stanik, by dotknąć drugiej piersi. Ojciec jest zdyszany jak po szybkim biegu. Maria nie może dłużej udawać, że nic się nie dzieje, odkłada więc Biblię i próbuje oderwać od siebie jego dłoń.

- Proszę, ojczu Angelo, nie rób tego. Proszę, zostaw mnie.

- To nie moja wina, dziecko. Jesteś taka piękna. To ty jesteś kusicielką, nie ja. - Jego ciemne oczy błyszczą jak w gorączce. - Bądź cicho, to unikniesz kary.

Opiera mu się, ale on nagle kładzie się na niej. Mimo szczupłej budowy ciała jest silny i bez trudu przygniatają do kanapy. Maria zaczyna krzyczeć, lecz ojciec wpija się cuchnącymi ustami w jej wargi. Czując jego język na

swoim języku, Maria omal się krztusi; jego twarz jest tak blisko, że widać wszystkie skazy na ospowatej cerze, każdego wągra na zniekształconym nosie. Prawa dłoń ojca zaczyna grzebać jej pod spódniczką i ściąga jej majtki; kościste palce szczypią, obmacują ją. Maria szamocze się rozpaczliwie, ale on leży na niej całym ciężarem, a usta zakryte jego ustami nie mogą złapać powietrza. Jego palce zadają jej ból i nagle Maria czuje z ulgą, że ojciec odsuwa się od niej. On jednak tylko rozchyła szaty i zaczyna wcisnąć coś między jej nogi, coś dużego, sprawiającego jej jeszcze większy ból. Stęka przy tym jak zwierzę. Maria jest przerażona, nie może jednak ruszać się ani krzyczeć. Łzy płyną jej po policzkach.

I nagle on wchodzi w nią i przenikliwy, palący ból przeszywa całe jej ciało. Nie wiedziała, że coś może być aż tak bolesne. Czuje się jak rozdzielana na pół. Znowu chce krzyczeć, wrzeszczeć, ale nie może nawet drgnąć. Boi się, że oszaleje z bólu, aż wreszcie jej umysł zamyka się w sobie, próbuje udawać, że to nie ją spotyka krzywda; że jest tylko widzem tego strasznego czynu, nie ofiarą.

Jak przez mgłę czuje, że jego pchnięcia i jęki stają się coraz bardziej gorączkowe, aż wreszcie przeszywa go dreszcz, a z jego ust dobywa się syk: „Mój mały aniele zła”. Robi jej się mokro między nogami i ojciec zsuwa się z niej. Zanim Maria zbierze myśli, on już staje nad nią, podnosi ją z kanapy i prowadzi do ubikacji sąsiadującej z biblioteką.

- Przestań płakać i umyj się, dziecko - nakazuje szorstkim tonem. - I nikomu ani słowa. To był twój grzech. Zostaniesz za niego ukarana, jeśli komukolwiek o tym powiesz. To musi pozostać naszą tajemnicą.

Maria wchodzi na drżących nogach do ubikacji. Spogląda w dół i widzi na zimnym linoleum dwie ciemne krople. Podciąga spódnicę i zauważa krew ciekącą po nodze. Odrętwiała i przerażona, obmywa się ręcznikiem wiszącym przy umywalce i wkłada majtki. Ogląda w lustrze swoje napuchnięte oczy i opłukuje twarz, zimną wodą, usiłując powstrzymać łzy. Nie może uwierzyć w to, co ją spotkało. Jak ojciec Angelo, jeden z najważniejszych dostojników Kościoła, mógł zrobić jej coś takiego? I dlaczego właśnie jej? Czy to ona jest temu winna? Kiedy patrzy na swoje odbicie, zbiera się na odwagę i postanawia powiedzieć o wszystkim matce przełożonej.

Kiedy wychodzi z ubikacji, widzi, że ojciec Angelo już poszedł, a na kanapie nie ma żadnych śladów jego napaści. Obolała, powoli wraca schodami na dół i kieruje się do gabinetu matki przełożonej.

Kiedy jednak staje w otwartych drzwiach, widzi, że w środku jest ojciec Angelo i zabawia matkę Clemenzę rozmową. Ropucha nawet się śmieje.

Maria stoi na progu, niepewna, co robić. Co ksiądz powiedział matce Clemenzie? Czemu ona się śmieje? I wtedy po raz pierwszy, odkąd pamięta, ta sroga ropucha odwraca się i uśmiecha do niej promiennie, dobrotliwie, z aprobatą.

- Ojciec Angelo mówi, że ślicznie czytałaś i że byłaś niezwykle grzeczna. Zalecił, żeby pozwolić ci uczestniczyć w jutrzejszym specjalnym pikniku z resztą dziewcząt.

Ksiądz odwraca się i mruga do niej, kładzie dłoń na jej głowie i mierzwi jej włosy.

- Dobre dziecko - mówi.

Marii aż odebrało mowę, jej gardło jest tak ściśnięte, że ledwie może oddychać. Ogarnia ją taki gniew, że łzy same napływają jej do oczu.

Ropucha marszczy brwi.

- Nie płacz, Mario.

- Ale on się na mnie rzucił - wydusza z siebie, szlochając ze złości i wstydu. Klepie się przez spódniczkę po kroczu. - Matko przełożona, ojciec Angelo zadał mi ból, o tu.

Zapada cisza. Ropucha odwraca się do ojca Angela, który jest wyraźnie wstrząśnięty, a potem znów spogląda na Marię. Wstaje zza biurka i zaczyna człapać ku niej z kamienną twarzą.

- Coś ty powiedziała?

Szloch wstrząsa ramionami Marii.

- Zadał mi ból, o tu. Rzucił się na mnie.

Matka Clemenza wyciąga do niej prawą rękę i Maria instynktownie nachyliła się ku niej, pragnąc poczuć jej dotyk. Chce, by ta gruba staruszka przytuliła ją i powiedziała, że wszystko będzie dobrze.

Cios spada tak nagle, że choć dłoń ropuchy trafia w sam policzek, dziewczynka nawet nie czuje bólu, zupełnie odrętwiała.

Twarz ropuchy jest szara jak niebo zaciągnięte burzowymi-chmurami.

- Jak możesz mówić coś takiego o ojcu Angelu... i to w jego obecności? Mario, dokąd byłaś mała, cierpliwie znosiłyśmy twoje zmyślane historyjki i kłamstwa, ale to... to już przekracza wszelkie granice. Masz natychmiast przeprosić ojca Angela, a potem zostaniesz ukarana.

- Przecież mówię prawdę.

Twarz ropuchy purpurowieje.

- Przeprosisz natychmiast albo kara będzie jeszcze surowsza.

Maria nic nie mówi. Nic jej nie zmusi do tego, by przeprosiła.

Wtedy odzywa się ojciec Angelo. Na twarzy ma zboląły uśmiech.

- Biedna dziewczynka jest wyraźnie niezrównoważona i potrzebuje naszej pomocy. Może dobrze by było, gdybym zobaczył ją podczas następnej wizyty?

- Jest ojciec zbyt wyrozumiały. Maria zawsze była kłamczucha. Obawiam się, że nawet ojciec nic na to nie poradzi.

- Możemy choć spróbować.

Maria jest w szoku, kiedy zostaje zaprowadzona do starych piwnic. Na pewno lada chwila któraś z eskortujących ją zakonnic powie, że wierzą jej i że to ojciec Angelo ma zostać ukarany. Kiedy jednak widzi stalowe drzwi u podnóża schodów, zdaje sobie sprawę, że to ona ma trafić do karceru, nie on.

Straciła już rachubę, ile razy ją tu zamykano; pierwszy raz spotkało ją to, kiedy miała cztery lata. To wtedy, według zakonnic, zaczęły się jej „kłamstwa”. Tak naprawdę jednak wcale nie kłamała, choć teraz sama już nie jest tego pewna. Z biegiem lat nie przezwyciężyła strachu przed zamknięciem w ciemnym, cichym pomieszczeniu. Wręcz przeciwnie, boi się tej kary bardziej niż kiedyś. Choć zawsze zamykana jest tylko na kilka godzin, demony zrodzone w ciemnościach pozostają przy niej jeszcze długo po tym, jak wraca do swojego pokoju.

Tym razem, kiedy drzwi zamykają się za nią i Maria słyszy chrobot klucza w zamku, wie, że spędzi tu całą noc. Nigdy jeszcze nie była w karcerze dłużej niż pięć godzin. Walcząc z ogarniającym ją panicznym strachem, po omacku przechodzi po kamiennej podłodze w kąt, w którym stoi małe połowe łóżko. Kładzie się i zwija w kłębek, przyciskając kolana do piersi i kołysząc na boki. Szeroko otwartymi oczami wypatruje choćby najcieńszej strużki światła w przytłaczających ciemnościach.

Ku swojemu zaskoczeniu nie czuje tak wielkiego strachu jak zwykle. Jest tak wściekła z powodu niesprawiedliwości, która ją spotkała, że tym razem nie nawiedzają jej mroczne myśli. Z zadowoleniem przyjmuje ogarniający ją gniew i nienawiść daje jej siłę i poczucie panowania nad sytuacją. Wtedy właśnie stwierdza, że Bóg na pewno pragnie ukarać tak złego człowieka, jakim jest ojciec Angelo, powołujący się na Niego. I przez resztę nocy planuje karę, jaką wymierzy mu w imieniu Boga.

Ból promieniujący z czwartego rozcięcia na udzie wyrwał Marię z zadumy. Spojrzała na plamę krwi na ręcznikach podłożonych pod nogę i się uśmiechnęła. Czuli się już lepiej. Upuszczając złą krew, dała ujście narastających w niej gniewowi i zaniepokojeniu.

Pieczołowicie wytarła sztylet jednym z szorstkich białych ręczników, które trzymała pod łóżkiem, i obmyła spirytusem cztery staranne rozcięcia na udzie. Nawet piekący ból pomógł jej się bardziej skoncentrować, opanować nerwy. Schowała kukri do pochwy, położyła się na łóżku i spokojnie wspomniła rozmowę z Bernardem i Helixem i ich decyzję, by pozbawić ją możliwości eliminacji Cartera. Teraz, kiedy spojrzała na to wszystko z dystansu, stało się dla niej oczywiste, co powinna zrobić.

Odwiedzi ojca Ezekiela i porozmawia z nim o tej sprawie w cztery oczy. Wtedy raz na zawsze załatwi sprawę.

Tak, pomyślała i pozwoliła, by opadły jej powieki, osłaniając oczy od kojącego światła. Wróci do Ojca i razem sprawią, że wszystko będzie tak jak dawniej. A potem, kiedy zaczęła sobie wyobrażać, jak wtedy będzie cudownie, zapadła w głęboki sen i nic jej się nie śniło.

Siedziba GENIUS-a, Boston

Jasmine nie była tak zawiedziona jak pozostali, zebrani wokół okrągłego stołu w sali konferencyjnej imienia Francisa Cricka, ale she jej przecież mówiła, że najtrudniej znieść rozczarowanie, którego człowiek się nie spodziewa.

W ciągu trzech tygodni od rozpoczęcia prac nad projektem „Kana” zrobiła wszystko, czego od niej oczekiwano. Mimo swoich zastrzeżeń była pewna, że nic więcej nie mogła zdziałać. Najnowocześniejszy genoskop został przygotowany jak należy i w pełni sprawny stał w sali konferencyjnej imienia Cricka, która wraz z sąsiednim laboratorium została oddzielona od reszty laboratorium Mendla. Jasmine przejrzała też całą bazę IGOR w poszukiwaniu osób, które mogły mieć niezwykle geny bądź w przeszłości dokonywały cudownych uzdrowień. Znalazła kilka nazwisk, ale tylko jeden przypadek był udokumentowany. Sprawdziła go więc dokładniej.

W ciągu ostatnich dwudziestu lat niejaki Keith Anderson z Guildford w hrabstwie Surrey w Anglii stał się znany z tego, że potrafił łagodzić objawy przewlekłego gościa. Nie przypisano mu żadnych uzdrowień, zresztą sam nie twierdził, że ich dokonał, ale według niezliczonych relacji lekarzy i chorych dotykaniem kości ból chorych stawów. Wszystko wskazywało na to, że nie był oszustem, pojawiły się jednak dwa problemy: po pierwsze, Jasmine nie znalazła w jego genach niczego niezwykłego; po drugie, w czerwcu ubiegłego roku zginął w wypadku samochodowym i został

poddany kremacji. Tyle że to nie z powodu Keitha Andersona Tom i reszta byli tak rozczarowani.

Kiedy przed trzema tygodniami Carter i Jack wrócili z Europy z próbkami, byli w radosnym, wręcz triumfalnym nastroju. „Nie przejmuj się - powiedział Tom, kiedy usłyszał, co ustaliła Jasmine. - I tak nie liczyłem na to, że znajdziemy coś w IGOR-ze”. Tak, jasne, pomyślała wtedy. Jakby wędrówki po świecie w poszukiwaniu szczątków sprzed dwu tysięcy lat były skazane na sukces.

Teraz jednak genoskop podał wyniki analizy próbek i Jasmine widziała, jak bardzo Tom jest rozczarowany. Euforia ulotniła się bez śladu jak wczorajszy deszcz.

Jasmine rozejrzała się wokół. Jack i Alex siedzieli naprzeciwko, miejsca obok niej zajmowali z jednej strony Bob Cooke, a z drugiej Nora Lutz. Blondwłosa Kalifornijczyk i laborantka w okularach nadal nie wiedzieli nic o Holly, ale przed trzema dniami zostali wprowadzeni w tajniki projektu „Kana”. Pomoc, jakiej udzielili w przygotowaniu próbek do badania w genoskopie, okazała się nieoceniona. Teraz, jak cała reszta, siedzieli w milczeniu i patrzyli, jak Tom krąży nerwowo po sali.

Co trzy kroki podnosił głowę, spoglądał z wyrzutem na stojący w kącie genoskop i otwierał usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz kręcił głową i szedł dalej.

Jeśli Jasmine miała być szczerą, fakt, że nie wykryli w żadnej z próbek rzadkich genów, budził w niej mieszane uczucia. Naturalnie chciała pomóc Holly, ale kiedy po raz pierwszy zobaczyła próbki rzekomo będące szczątkami Chrystusa, poczuła się tak, jakby uczestniczyła w świętokradztwie. Bała się nawet myśleć o tym, że teoria Toma może okazać się słuszna. Dlatego przynajmniej ona na wieść o niekorzystnych wynikach badań poczuła lekką ulgę.

- No dobrze - powiedział Tom wreszcie. - Może rzeczywiście próbki krwi Michelle Pickard były fałszywe. To, że w żyłach miała krew grupy AB, a w ranach 0, i tak było bardzo dziwne. Teraz, kiedy Jack odkrył, że oszukiwała ludzi z pomocą znajomej pielęgniarki, możemy o niej zapomnieć. Co do innych próbek... też mogę się jakoś z tym pogodzić. Nie mam wyjścia. - Westchnął i znów spojrzał na genoskop, jakby chciał siłą woli zmusić DAN-a, by przyznał, że się myli. - Ale czy mamy absolutną pewność co do próbek z Lanciano? Czy mogliśmy popełnić jakiś błąd?

Jasmine potrząsnęła głową.

- Powtarzaliśmy badanie trzy razy.

- Ale, Jazz, wiek się zgadzał, płeć też. Krew musi być autentyczna. Może DAN coś przeoczył?

Jasmine spojrzała na Boba i Norę. Oboje tylko wzruszyli ramionami i pokręcili głowami.

- Przykro mi, Tom, ale nie było żadnego błędu. Badanie przebiegło, jak należy. Problem tkwi w próbce. Po prostu nie ma w niej żadnych niezwykłych genów. Przynajmniej takich, których nie mielibyśmy w bazie danych.

- Czyli musi być fałszywa - stwierdził Tom z naciskiem.

Jasmine wyprostowała ramiona i choć o tym wiedziała, powiedziała coś, czego nie chciał usłyszeć.

- Chyba że jest autentyczna, tyle że źródła mocy uzdrowicielskiej nie należy szukać w genach...

Tom uniósł podbródek i skrzyżował ramiona na piersi.

- Nie, Jazz. Jeśli miało tę moc, to tylko dzięki nim.

Jasmine postanowiła nie drażnić tematu i odchyliła się na oparcie, a Tom popatrzył z uporem na twarze członków zespołu, jakby chciał zobaczyć, kto ośmieli mu się przeciwstawić. Wszyscy jednak milczeli. Było dla Jasmine oczywiste, że w odróżnieniu od Toma mają duże wątpliwości co do tego, czy uda się znaleźć i wykorzystać geny Chrystusa. Nawet Alex, który dostarczył listę miejsc, gdzie należy ich szukać, wyglądał na zakłopotanego-

Wszyscy zdawali się chcieć uznać projekt „Kana” za zwariowany pomysł, który nie wypalił, i spróbować innego podejścia. Tom jednak najwyraźniej uważał, że ono po prostu nie istnieje. Pokładał chyba wszystkie nadzieje w „Kanie” i doszedł do wniosku, że fiasko projektu oznaczać musi nieuniknioną śmierć Holly. Po przyjęciu tego punktu widzenia nie miał innego wyjścia, jak tylko uznać próbkę z Lanciano za fałszywą.

Jasmine była rozdarta między pragnieniem, by przemówić mu do rozsądku, a chęcią udzielenia mu wsparcia w jego upartych, beznadziejnych dążeniach - nawet jeśli się z nim nie zgadzała.

- Ale co możemy zrobić, Tom? - powiedziała. - Co nam jeszcze zostało? Powiedz, a to zrobię.

Tom patrzył na nią przez długą chwilę oczami, z których biła bezradność.

- Potrzebna jest mi tylko jedna jedyna mikroskopijna komórka, komórka Jezusa Chrystusa. To wszystko.

Jack wychylił się do przodu i powiedział z zaskakującą delikatnością:

- Tom, nawet jeśli taka próbka istnieje, gdzie i kiedy ją znajdziesz?
Jasmine patrzyła, jak Tom odwraca się do Aleksa, lecz on w odpowiedzi tylko potrząsnął głową. Wtedy ogarnęło ją głębokie współczucie. Po raz pierwszy, odkąd go znała, jej przyjaciel zdawał się nie wiedzieć, co robić.

Sobota, Beacon Hill, Boston

Następnego ranka zanosilo się na jeden z tych pięknych pogodnych dni marcowych, które zapowiadają wczesne lato i zwiastują nadejście wiosny. Tom jednak nie znalazł w tym pocieszenia. Wręcz przeciwnie, piękna pogoda zdawała się drwiną z jego rozpacz, jakby natura chciała pokazać mu, że cokolwiek spotka jedną dziewczynkę, jego córeczkę, czas będzie płynął dalej i pory roku nadal będą zmieniać się jak zawsze.

Blade słońce grzało go przez szybę, kiedy siedział w oranżerii z Jackiem. Jego przyjaciel przyszedł na śniadanie i skończyli jeść jakiś czas temu. Teraz przyglądali się, jak Holly i jej dwie koleżanki ze szkoły puszczają bańki w ogródku. Właśnie przyszła kolej na Megan. Dziewczynka zanurzyła w wodzie z mydlinami przyczepioną do długiego kijka wielką obręcz z różowego materiału, po czym podniosła ją, odciągając suwak na kijku, co sprawiło, że otwór obręczy powoli się powiększył, nie rozrywając rozciągniętej na nim cienkiej błony. Następnie zamachała obręczą jak mata-dor peleryną nad atakującym bykiem, tak że powstała groteskowo rozdęta, kolorowa bańka; przez chwilę zdawała się drzeć w chłodnym, porannym powietrzu, po czym powoli wzbijała się w błękitne niebo.

Znów pomyślał o wynikach badań związanych z projektem „Kana” i wrócił znajomy ucisk w żołądku, towarzyszący poczuciu bezradności. Jak na ironię, kiedy poprzedniego wieczoru zajrzał do Hanka Polańskiego, okazało się, że stan chłopaka poprawił się dzięki terapii genowej wykorzystującej wirusa HIV. Choć ucieszyło to Toma Cartera - naukowca i lekarza, Tom Carter- ojciec był niepokieszony. Gdyby tylko mógł odkryć podobną kurację dla Holly; taką, która dawała jej co najmniej piętnaście procent szans na wyzdrowienie.

Całą noc przeleżał w ciemnościach, próbując siłą woli zmusić Olivie, by powiedziała mu, co robić. Był jednak zdany tylko na siebie. Jeszcze raz przeczytał całą dostępną literaturę o guzach mózgu. Nie licząc przełomowych prac Blaesego z połowy lat dziewięćdziesiątych, dotyczących terapii spowalniającej rozwój glejaka, nic nie wskazywało na to, by lek miał być

gotowy szybciej niż za pięć, sześć lat. Tak naprawdę nic się nie zmieniło przez ostatnie trzy miesiące, od grudnia, kiedy DAN wydał wyrok. A czasu było coraz mniej.

Tom odwrócił się do Jacka.

- Może powinienem spróbować pogodzić się z tym, co nieuniknione - powiedział. - I jak najlepiej wykorzystać czas, jaki pozostał Holly. Tyle że mam wrażenie, że się poddaję.

Jack popatrzył za drżącą bańką wznoszącą się ku niebu i westchnął.

- Tom, nie chodzi o to, czy się poddajesz, czy nie. Najważniejsze, czy robisz to, co najlepsze dla Holly, nie dla siebie. Jeśli jest ci lżej, kiedy masz jakieś zajęcie i nie musisz myśleć o jej problemie, to w porządku. Ale jeśli przez to prawie wcale jej nie widzisz, nie może to być dobre ani dla ciebie, ani dla niej.

Tom powoli pokiwał głową. Jack miał rację, a poza tym zaczynało do niego docierać, że tak czy inaczej nie ma wielkiego wyboru.

- Nawet jeśli Hostia z Lanciano jest fałszywa, to odszukanie autentycznej próbki DNA Chrystusa, zakładając wbrew faktom, że ona istnieje, mogłoby potrwać dłużej niż próby i eksperymenty prowadzone przez nasz zespół.

Jack odwrócił się od okna i spojrzał na niego.

- Może nadszedł czas, by spróbować pogodzić się, że to, co się stanie, jest nieuniknione. I nauczyć się z tym żyć.

- Ale to takie cholernie trudne.

- Tom, sam wiesz, że nie ma na tym świecie nikogo, komu zależałoby na ocaleniu Holly bardziej niż tobie. I nikt nie jest do tego tak przygotowany jak ty. Jeśli ty nie możesz jej pomóc, przyjacielu, nie zrobi tego nikt. Co do projektu „Kana”, jeśli nie znajdziemy autentycznej próbki, to w najlepszym razie będzie to czysto teoretyczne ćwiczenie. Dlatego wnioski narzucają się same. Jedyne, co możesz zrobić, to przyspieszyć prace nad konwencjonalnymi metodami leczenia i możliwie najlepiej wykorzystać czas, jaki pozostał.

Tom patrzył ponuro, jak roześmiana Holly wprawnie macha obręczą. Kiedy powstała wielka bańka, dziewczynki zaczęły biegać wokół niej, chichocząc. Holly odwróciła się w stronę domu, podbiegła do drzwi oranżerii i zastukała w szybę.

- Tatusiu, wujku Jack, zobaczcie! Największa do tej pory! - krzyknęła z radośnie błyszczącymi oczami.

Tom uśmiechnął się do niej i podniósł oba kciuki. Razem z Jackiem wstali i podeszli do szyby. Holly pomachała im i wróciła do koleżanek, które bezskutecznie usiłowały doskoczyć do bańki unoszącej się tuż poza zasię-

giem ich rąk. Jej powierzchnia rozpraszała światło słoneczne jak pryzmat, dzięki czemu wielka, pękata kula mieniła się wszystkimi kolorami tęczy. Mimo ogarniającego go przygnębienia Tom poczuł, że na jego zasmuconą twarz wypływa lekki, ale szczerzy uśmiech. Był tak pochłonięty obserwowaniem dziewczynek, że nie zauważył, kiedy Marcy Kelley przyniosła do oranżerii pocztę. Dopiero gdy wyszła, odwrócił się i w oczy rzuciła mu się sterta kopert przy juce.

Niemal machinalnie podszedł do nich i podniósł je. Idąc z powrotem do szyby, by znów popatrzeć na dziewczynki w ogródku, zaczął od niechętnia przeglądać koperty. Dwa rachunki; parę propozycji wykładów; list od kuzyna z Sydney; i mała czarna koperta z jego nazwiskiem i adresem, wypisanymi czerwonym atramentem, zapieczętowana czerwonym woskiem ze znakiem krzyża.

Obrócił kopertę w dłoni i spojrzał na Jacka. Przyjaciel uniósł brew, ale nic nie powiedział. Tom zerwał pieczęć, otworzył kopertę i wyjął czarną kartkę, bilet na samolot i dwa zdjęcia. Zdjęcia przedstawiające jego samego.

Kartka bez wątpienia była zaproszeniem. Z każdym przeczytanym słowem Tom był coraz bardziej poruszony. Nie wierząc własnym oczom, przestudiował ją raz jeszcze. I dopiero po powtórnej lekturze zaczął się zastanawiać, co może wynikać ze słów, które miał przed sobą.

- O co chodzi? - spytał Jack, widząc, jak bardzo jego przyjaciel jest przejęty. - Wyglądasz, jakby piorun cię trafił.

Tom jak odrętwiały pokiwał głową. Jack trafnie oddał jego uczucia. Starając się zachować spokojny ton, przeczytał zaproszenie na głos, nie pomijając ani jednego słowa.

Drogi doktorze Carter

Mamy zdjęcia dowodzące, że pragnie Pan zdobyć próbkę DNA Chrystusa i w tym celu posunął się Pan do kradzieży pewnych relikwii z kilku kościołów. Nazwał Pan swoje działania projektem „Kana”, a ich celem bez wątpienia jest wykorzystanie mocy zawartej w genach naszego Pana. Jesteśmy przekonani, że jak dotąd Pańskie poszukiwania były bezowocne. Świadczy o tym jeden prosty fakt: tylko my dysponujemy tym, czego Pan szuka. Tylko my mamy autentyczną biologiczną próbkę pochodzącą od Jezusa Chrystusa.

Wiemy też o Pańskiej nielegalnej bazie danych o nazwie IGOR, lecz na znak naszych dobrych intencji nie zamierzamy ujawnić jej istnienia stosownym władzom. Na tym etapie nie musi Pan wiedzieć, kim jesteśmy, ale zapewniam, że możemy pomóc sobie nawzajem.

Nasze cele, choć odmienne, są ze sobą powiązane, i jeśli pomoże nam Pan w naszych dążeniach, damy Panu to, czego Pan szuka.

Musi Pan tylko, wykorzystując załączony bilet, polecieć do Tel Awiwu. Trzynastego marca, czyli pojutrze, o godzinie czternastej, ktoś będzie czekał na Pana na lotnisku. Rzecz jasna, musi Pan przylecieć sam. Ta propozycja nie podlega negocjacji i wszelkie naruszenie niniejszych instrukcji oznaczać będzie koniec naszej współpracy. Bylibyśmy wówczas także zmuszeni przemyśleć naszą decyzję odnośnie do nieinformowania stosownych władz zarówno o zuchwałej kradzieży świętych relikwii, jak i o istnieniu IGOR-a.

W duchu Wesela w Kanie, któremu Pański projekt zawdzięcza swoją nazwę, mam nadzieję, że połączymy nasze środki, zawierając przymierze owocne dla nas obu.

- Czyli to są ci dranie, którzy grzebali w IGOR-ze - powiedział Jack, biorąc od niego kartkę. - Jak sądzę, list nie jest podpisany?

Tom potrząsnął głową.

- Nic nie wskazuje, kto go mógł wysłać, poza pieczęcią, a ta akurat nie ma w sobie nic niezwykłego. - Spojrzał na fotografie; pierwsza przedstawiała go, wychodzącego z białego kościółka w Cittavecchia, na drugiej, mniej wyraźnej, był na pokładzie łodzi z Jackiem, Holendrem i Irlandczykiem. Otworzył bilet lotniczy: miejsce w klasie biznesowej w samolocie El Al do Tel Awiwu.

- Chyba się tam nie wybierasz? - spytał Jack, przyglądając się woskowej pieczęci na kopercie.

- Wręcz przeciwnie!

Jack podniósł głowę i zmarszczył brwi.

- Przecież to może być pułapka Kaznodziei. Zastanów się, Tom. Może czatowała na ciebie od twojego wyjazdu ze Sztokholmu, zorientowała się, czego szukasz, i urządziła zasadzkę.

- Wszystko mi jedno. To szansa, na którą czekałem. Jeśli dzięki temu mogę pomóc Holly, to muszę z niej skorzystać.

- Tyle że przez tę szansę możesz zginąć. A nie pomożesz Holly, robiąc z niej sierotę.

Tom wskazał na zaproszenie, które Jack trzymał w ręku.

- Nie dostając takiej szansy i tak niedługo pozostanie sierotą.

- Daj spokój. A jeśli to Kaznodzieja? Co wtedy?

Toma ogarnęła wściekłość na wspomnienie hologramu morderczyni, który obejrzał po powrocie z Sardynii.

- Szczerze mówiąc, byłbym z tego zadowolony.
- Co takiego?
- Oprócz tego, jak ocalić Holly, na okrągło myślę tylko o jednym: by dorwać wiedźmę, która zabiła Olivię, i kazać jej za to zapłacić.
- Dobrze, już dobrze, ale w takim razie sami też zastawmy pułapkę. W pojedynkę nie masz najmniejszych szans. Karen Tanner zna się na rzeczy. Moglibyśmy powiedzieć jej, jak się sprawy mają, i z pomocą Biura załatwić tę babę na dobre.

Tom zastanawiał się przez chwilę, patrząc na roześmiana córkę z koleżankami na trawniku.

- A jeśli to nie Kaznodzieja? Jeśli propozycja jest prawdziwa? Wtedy stracę jedyną szansę, by uratować Holly.

Jack jęknął.

- Tom, pomyśl logicznie. To musi być Kaznodzieja. Przynajmniej skonsultujmy się z FBI.

Tom odwrócił się i spojrzał Jackowi prosto w oczy.

- Podjąłem decyzję, Jack. Nie chcę, by w tym uczestniczyli. Mogliby wszystko popsuć. Wolę umrzeć, próbując pomóc Holly, niż patrzeć, jak umiera. Zwłaszcza jeśli przy okazji będę mógł pomścić Olivię. Nie rozumiesz, że z mojego punktu widzenia cokolwiek zrobię, wygram?

- Chrzanisz głupoty.

- Myśl, co chcesz, Jack. Pomożesz mi czy nie?

Jack potrząsnął głową i westchnął z rezygnacją.

- Pewnie nie mam co cię namawiać, żebyś wziął pistolet. Nauczyłbym cię, jak się nim posługiwać.

- Wykluczone. Jeśli list jest wiarygodny, broń mogłaby tylko zaszkodzić.

Jack jęknął i zamilkł.

Tom zobaczył przez szybę, jak bańka pęka nad trzema podekscytowanymi, rozkrzyczanymi dziewczynkami. Mimo wahań Jacka poczuł przypływ entuzjazmu. Rozpacz, która ogarniała go ledwie kilka minut temu, zniknęła bez śladu. Miał coś, czym mógł się zająć, i wróciła mu nadzieja.

Usłyszał, jak Jack mówi:

- Przynajmniej zgódź się, żebyś miał cię na oku, to w razie czego będę wiedział, gdzie cię szukać.

- Możesz to zorganizować tak, żeby niczego nie podejrzewali?

- Nie - odparł Jack i uśmiechnął się ze znużeniem. - Ale znam kogoś, kto może to zrobić.

TelAwiv

Tom Carter przestawił zegarek na 13.58 czasu miejscowego i odetchnął z ulgą, kiedy boeing 747 linii El Al zatrzymał się na zalanym słońcem pasie lotniska imienia Ben Guriona. Podróże lotnicze znosił tylko trochę lepiej od morskich. Wymknąwszy się policyjnej obstawie, pocałował Holly na pożegnanie na lotnisku Logana i przez cały lot czuł narastający lęk, co nie łagodziło objawów choroby lokomocyjnej. Bał się, że jeśli zrobi mu się niedobrze, wymiotuje działający na małej częstotliwości nadajnik, który połknął na polecenie Jacka. Sam Jack poleciał wcześniej do Izraela, by przekazać „znajomemu” instrukcje związane z organizacją centrum monitoringu, w którym można by śledzić wszystkie ruchy Toma i ustalić, dokąd gospodarze postanowią go zabrać.

Interkom włączył się z trzaskiem.

- Dziękujemy, że wybrali państwo linie El Al, i przypominamy o zabraniu wszystkich rzeczy osobistych przed opuszczeniem samolotu. Kapitan David Ury i jego załoga mają nadzieję, że...

Nie słuchając komunikatów, Tom rozpiął pasy i przygotował się do wyjścia. Cały jego bagaż to była mała torba na ramię, którą wniósł na pokład. Czekające przy drzwiach stewardesy pożegnały go wyuczonymi na pamięć formułkami i przeszedł rękawem do głównego terminalu. Poczł mrowienie karku i spróbował jeszcze bardziej poluzować rozpięty już kołnierzyk białej lnianej koszuli. Kiedy wszedł na wyłożoną płytkami ceramicznymi

podłogę głównego terminalu, u jego boku nagle wyrósł wysoki mężczyzna.

- Witam, doktorze Carter. Nazywam się Helix, Helix Kirkham. Proszę tędy.

Nieznajomy był zadbanym, mniej więcej pięćdziesięcioletnim, łysiejącym mężczyzną w grubych okrągłych okularach, spod których spoglądały bystre oczy. Bardziej przypominał uczonego niż zabójcę.

Uśmiechnął się i podał Carterowi szczupłą dłoń. Jego uścisk był silny.

- Ufam, że miał pan przyjemny lot. Jeśli da nam pan swój paszport, dopilnujemy, by oszczędzono panu męczącej kontroli.

Mówił z angielskim akcentem, w którym pobrzmiewała jednak ledwo wyczuwalna, obca nuta, jakby nie był Anglikiem z urodzenia.

Tom machinalnie sięgnął do kieszeni bawełnianej marynarki po paszport.

- Dokąd idziemy? - spytał.

Helix wziął od niego dokument i szybko podał go jednemu z dwóch barczystych mężczyzn, którzy nagle pojawili się za jego plecami. Wydał jakieś polecenie w nieznanym Tomowi języku i mężczyzna pospiesznie ruszył w stronę innych pasażerów.

Helix odwrócił się do Toma i się uśmiechnął.

- Nie musi pan tego wiedzieć. Proszę się jednak nie obawiać. Nie zostanie pan tam długo; tylko tak długo, jak będzie trzeba, by wszystko uzgodnić.

Zanim Tom zdążył zadać następne pytania, Helix odwrócił się, niedbale krokiem minął dwóch uzbrojonych strażników obserwujących schody prowadzące na płytę lotniska i szedł na dół, kierując się w stronę helikoptera Chinook.

- Chodźmy! - zawołał. - Na wszelkie pytania odpowiemy na miejscu.

Tom ruszył za nim, ramię w ramię z trzecim mężczyzną. Żaden z towarzyszy Helixa nie został mu przedstawiony, ale najprawdopodobniej ich zadaniem było dopilnować, by się nie rozmyślił i nie spróbował wycofać. Mężczyzna, który zabrał jego paszport, był średniego wzrostu i nie rzucał się w oczy. Za to ten, który szedł obok Toma, wyglądał zupełnie inaczej. Nosił się z godnością i widać było, że nie jest byle ochroniarzem. Był wysoki, prawie wzrostu Toma, potężnie zbudowany. Miał kruczoczarne krótko przystryżone włosy, twarz o delikatnych rysach, przymglone, zielone oczy. Gdyby Tom nie wiedział, że Kaznodzieja jest kobietą, uznałby tego człowieka za kandydata numer jeden. Otaczała go wyczuwalna aura

zagrożenia. Nawet imię, którym zwracał się do niego Helix, było dziwnie niepokojące. Gomora - tak nie nazywa się żaden normalny człowiek.

Kiedy doszli do helikoptera czekającego na drugim końcu pasa, dołączył do nich mężczyzna, który zabrał paszport Toma. Helix zwrócił Carterowi jego własność i wsiedli do chinooka. Drzwi zatrzasnęły się za nimi. W zamkniętej już kabinie Tom przypomniał sobie, jak Jack przekonywał go, by nigdzie nie jechał, a on zignorował jego przestrogi.

Pomyślał o Holly. Kiedy żegnał się z nią poprzedniego wieczoru, jakoś wyczuła, że nie wyrusza w zwyczajną podróż. Spytała go, dokąd jedzie i po co, choć nigdy dotąd tego nie robiła. Powiedział jej, że zamierza spróbować pomóc choremu; od razu zrozumiała. Była przekonana, że na tym właśnie polega jego praca. Pamiętał, jak kiedyś w szkole pani Hoyt, nauczycielka angielskiego, poprosiła uczniów, by powiedzieli jednym zdaniem, co robią ich rodzice. Holly odparła, zgodnie z prawdą: „Mój tata nie pozwala ludziom umrzeć”.

Rozglądając się po pogrążonym w mroku wnętrzu śmigłowca, Carter wmawiał sobie, że dlatego właśnie wyruszył w tę podróż w nieznane. Chodziło mu tylko o to, by nie pozwolić Holly umrzeć. Postąpił słusznie, ignorując rady Jacka, bo gdyby go posłuchał, mógłby stracić jedną jedyną szansę. Nie miałem wyboru i tyle, powtórzył sobie w myśli. Prosta sprawa. Nic strasznego.

Mimo to, kiedy usłyszał warkot wirników, nerwowo przełknął ślinę. Po kilku sekundach poczuł, jak maszyna odrywa się od ziemi. Stało się, teraz już nie miał odwrotu. Żołądek podszedł mu do gardła. Oby tylko nie zwymiotował. Żałował, że nie ma przy nim Jacka, którego odwaga dodałaby mu sił.

A przydałoby mu się to zwłaszcza teraz, kiedy Gomora wyciągnął do niego rękę.

W dłoni miał coś, co wyglądało jak elektryczna golarka z czerwonymi, mrugającymi światełkami z boku. Tom siedział nieruchomo, kiedy mężczyzna przesuwał ten dziwny aparat nad jego torbę, butami i ubraniem. Odetchnął z ulgą, uświadamiając sobie, że Gomora szuka ukrytych nadjników. Ten, który Tom zgodził się połknąć, według zapewnień Jacka był supernowoczesny, niewykrywalny. Niepotrzebnie się niepokoił. Po dłuższej chwili przymglone zielone oczy złagodniały i mężczyzna kiwnął Hel icksowi głową.

- Proszę wybaczyć te środki ostrożności - powiedział Helix, przeprasza-
jąco wzruszając ramionami - ale są konieczne.

Tom kiwnął głową, postanawiając nie okazywać strachu. Ledwie jednak trochę się odprężył, Gomora wyjął z kieszeni coś, co wyglądało jak opaska na oczy. Tom zdał sobie sprawę, że jeśli nie będzie nic widział, na pewno zrobi mu się niedobrze i nie dość, że straci nadajnik, to jeszcze zdradzi gospodarzom - bądź wrogom - swoją największą słabość. Kiedy Gomora poprosił go nienagannym, nie akcentowanym angielskim, by się pochylił. Tom przez chwilę zastanawiał się, czy nie stawić oporu. W końcu jednak zacisnął zęby i pozwolił, by mężczyzna obwiązał mu głowę brudną cuchnącą szmatą. Myśl o Holly, powiedział sobie w duchu.

Po założeniu opaski półmrok zastąpiła zupełna ciemność i Tomowi zakręciło się w głowie. Jakby w reakcji na utratę wzroku, jego słuch i węch się wyostrzyły, lepiej wyczuwał też ruchy śmigłowca. W jego nozdrza uderzył silny zapach potu i oleju. Dopiero teraz, kiedy miał zawiązane oczy, pilnujący go mężczyźni zaczęli rozmawiać ze sobą jakby uznali, że opaska sprawiła, iż stracił też słuch czy w ogóle zniknął.

Ich niezrozumiałe, gardłowe głosy przebijały się przez warkot silnika. Strach ścisnął Tomowi serce, chwyciły go mdłości. Czuł się tak, jakby był owinięty grubym, duszącym kocem. Miał ochotę zerwać opaskę z oczu, otworzyć drzwi helikoptera i zaczerpnąć powietrza i światła. Nie zrobił tego jednak, tylko zakrył usta dłońmi, odetchnął i zmusił się, by myśleć o swoim szklanym, jasnym laboratorium i bezkresnej przestrzeni. I wyobrażać sobie, że stoi na pewnym gruncie z Holly. Przynajmniej coś robisz, powtórzył w duchu. To lepsze niż beczynność, bierne oczekiwanie.

Bierne oczekiwanie.

Kiedy wsłuchiwał się w rytm silnika i łopot śmigła, jego umysł zamknął się w sobie. W warkocie silnika pobrzmiwał grzechot, który przypomniał mu dźwięk znany z dzieciństwa. To było latem roku siedemdziesiątego czwartego, niedługo po jego dwunastych urodzinach.

Zasłony w sypialni są zaciągnięte. Jest ciemno, słychać rytmiczny warkot zepsutego klimatyzatora. Pokój jest pusty. Nie patrząc na białą kartkę leżącą na łóżku, chłopiec podbiega do zamkniętych drzwi łazienki. Najpierw oczywiście puka, ale jest podekscytowany i wie, że jeśli przekręci gałkę dwa razy, stary zamek ustąpi. Dlatego nie czekając na odpowiedź, wpada do środka.

W pierwszej chwili nie widzi niczego przez kłęby pary buchającej z wypełnionej gorącą wodą wanny. Potem słyszy, jak matka mówi głosem, który brzmi jakoś inaczej niż zwykle:

- Zamknij drzwi, kochanie, i zostaw mnie na chwilę samą.
- Co się stało, mamusiu? - Coś w tonie jej głosu sprawia, że radosne podniecenie pryska i zastępuje je ucisk w dołku. - Tata mówi, że już powinniśmy wyjść, żeby zdążyć na film. - Potem odwraca się od drzwi i jego oczom ukazuje się obraz, którego nie zapomni do końca życia.

Tom wie już, że jego matka jest chora. Wywnioskował to z częstych wizyt w szpitalu. Słyszał szeptane późną nocą słowo „rak”, ale tak naprawdę nie dotarło do niego, co to znaczy. A już na pewno nie wie, że mama od miesięcy walczy z rosnącym w jej mózgu nowotworem, który zmienił jej osobowość i sprawia jej nieopisany ból.

Kiedy para się rozwiewa, Tom widzi nagą matkę w wypełnionej po brzegi wannie. Jej twarz jest śmiertelnie blada, woda ma różowy odcień. Na nadgarstkach mamy widać straszne szkarłatne rany.

Początkowo Tom nie rozumie tego, co widzi.

- Mamusiu, ty krwawisz. Co się stało? - pyta ze zdumieniem i przerażeniem. - Przewróciłaś się? Dobrze się czujesz?

- Tak mi przykro, skarbie. Nie chciałam, żebyś widział mnie w takim stanie.

W pierwszym odruchu chłopiec chce uciec i pobiec po tatę.

Matka mówi:

- Tom, skarbie, nic mi nie jest. Naprawdę. Nie bój się. To wcale nie boli.

Chłopiec podchodzi do drzwi.

- Pójdę po tatę. - Jego gardło jest zbyt ściśnięte, by krzyknąć, ale coś w głosie matki powstrzymuje go przed otwarciem drzwi. Błagalna nuta, której nigdy jeszcze nie słyszał.

- Nie, nie idź po niego. Jeszcze nie.

- Ale dlaczego nie, mamo? Dlaczego? - Jego dolna warga drży. Powoli zaczyna do niego docierać, że mama sama to sobie zrobiła.

- Muszę odpocząć, kochanie. Mój organizm zbuntował się przeciwko mnie. Ale tak bardzo kocham ciebie i tatusia. Powiesz mu, dobrze? Ale potem. Zgoda?

Bardzo chce wyjść, ale w oczach mamy jest tak wielki ból. Jeśli przyprowadzi tatę, on przeszkodzi jej odejść. I choć chłopiec gorąco pragnie, by mama z nim została, wydaje mu się, że zrobiłby źle, gdyby ją do tego zmuszał.

- Usiądź, skarbie. Zostań przy mnie i pokaż, jaki jesteś mądry. Licz tak, jak robiłeś to kiedyś.

Ma dziwne uczucie, że obserwuje siebie z zewnątrz. Widzi, jak podchodzi do krzesła przy koszu z praniem. Odsuwa zegarek, bransoletkę i naszyjnik mamy, ułożone w równym rzędku, i siada.

- Licz tak, jak wtedy, kiedy byłeś mały - słyszy jej głos. - Liczby pierwsze. Do najwyższej, jaką znasz. - Jej oczy są tak smutne, że chłopcu pęka serce.

Wychyla się do przodu i klęka obok wanny, po czym delikatnie gładzi mamę po czole, tak jak pamięta, że robiła to jemu, kiedy był chory. Mimo unoszących się w łazience kłębow pary jej skóra jest zimna i lepka, więc chłopiec kładzie dłonie na jej czole, w nadziei, że jego ciepło ogrzeje ją i uzdrowi. Potem zaczyna liczyć, jak o to prosiła:

- Jeden, dwa, trzy, pięć, siedem, jedenaście, trzynaście, siedemnaście, dziewiętnaście, dwadzieścia trzy...

Dopiero kiedy doliczył do dwustu sześćdziesięciu dziewięciu - tej samej liczby, do której doszedł, kiedy umarła - Tom Carter wrócił do rzeczywistości. Warkot silnika już w niczym nie przypominał odgłosu pracy klimatyzatora z pokoju rodziców. Musiał wyteńczyć słuch, by znaleźć choćby słabe podobieństwo.

Aż do tej chwili Tom nie wiedział, czy powinien był przyłożyć rękę do samobójstwa matki. Wciąż miał wyrzuty sumienia. Ojciec przekonywał go, że postąpił słusznie. Tom wiedział jednak, że tak naprawdę musiał mieć mu za złe, że go wtedy nie zawołał; że przez niego Alex nawet nie pożegnał się z kobietą, którą kochał tak bardzo, że nigdy więcej się nie ożenił.

Kiedy Tom był już starszy i mądrzejszy, wyciągnął z tego doświadczenia dwa wnioski. Po pierwsze, skoro tak niewinna kobieta, jak jego matka, mogła zachorować na raka, to Bóg, w którego warto wierzyć - a tym bardziej Go czcić - nie miał prawa istnieć. Jeśli jakaś wyższa siła rzeczywiście sprawowała władzę nad wszechświatem, to była to okrutna, ślepa Fortuna w masce Matki Natury. I tylko nauka dawała szansę na poprawę tego stanu rzeczy.

Drugi wniosek był taki, że musi zrobić wszystko, by następnym razem, kiedy ktoś będzie potrzebował jego pomocy, był należycie przygotowany do jej udzielenia. Już w latach młodości jego idolami byli ludzie w białych kitlach, uzbrojeni w skalpele lub wpatrzeni w mikroskopy, walczący z chorobami, by ratować ludzkie życie. Od samego początku wiedział, że musi być kimś więcej niż tylko lekarzem czy „specem od ludzi”, by wygrać tę wojnę. Dlatego został genetykiem. I nie poświęcił całego życia tej

krucjacie tylko po to, by siedzieć z założonymi rękami, gdy córka go potrzebowała.

Od nagłej turbulencji zakotłowało mu się w już i tak buntującym się żołądku. Dopiero po kilku minutach zorientował się, że utrata wysokości spowodowana jest tym, iż śmigłowiec podchodzi do lądowania. Podeksytowany i zaniepokojony zarazem, zdał sobie sprawę, że jest już prawie u celu podróży.

Przygotowując się do lądowania, próbował określić, ile czasu upłynęło, ale w ciemności, pogrążony w myślach, zupełnie stracił orientację. Mogła minąć godzina albo cztery. Nagle silnik zwiększył obroty, przez kadłub przeszło drzenie i helikopter znieruchomiał.

- Jesteśmy na miejscu - dobiegł z prawej strony głos Helixa.

Tom odetchnął z ulgą, kiedy usłyszał odgłos otwieranych drzwi i wyczuł światło przez grubą opaskę. Ciepłe, suche powietrze wpadło do kabiny i zawirowało wokół niego jak słodka maść, kojąca mdłości. Poczł zapach kurzu i piasku, zmieszany z lekką korzenną nutą. Odetchnął głęboko i powoli rozluźnił naprężone mięśnie.

- Mogę już zdjąć opaskę?

- Jeszcze nie - odparł Helix, kładąc mu dłoń na ramieniu i wyprowadzając go ze śmigłowca. - Wkrótce.

Tom zaczął po omacku schodzić po chwiejących się schodkach. W twarz kąsały go niezliczone ziarenka piasku wzbijane przez zwalnające łopaty śmigła. Słońce przypiekało mu kark, miał sucho w ustach. Poczł pod nogami nierówną, piaszczystą ziemię.

Odeszli od helikoptera.

Gdy silnik zamilkł, jego uwagę przykuła cisza. Oprócz szumu suchego wiatru i urywanych rozmów prowadzących go mężczyzn, nie słyszał najmniejszego dźwięku. Żadnego ruchu ulicznego. Żadnych odległych głosów. Nic. Tylko własny oddech i szuranie nóg po piasku. Czł się bardzo samotny, ale otuchy. dodawały mu gorące powietrze, piaszczysta ziemia i światło przebijające się przez grubą opaskę.

Po chwili poczul pod nogami twardszy grunt i słońce przestało ogrzewać mu plecy. Sądząc z tego, jak zmienił się odgłos kroków, znalazł się we wnętrzu jakiegoś budynku. Czyjeś ręce pociągnęły go do przodu, w cień. I nagle go przytrzymały.

- Schody. Proszę uważać - z prawej strony doszedł głos Helixa. Opierając się całym ciężarem na zdrowej nodze, niepewnie wysunął prawą stopę przed siebie, w pustkę, i opuścił ją. Następny stopień był tak

nisko, że przez chwilę myślał, że stoi na skraju przepaści, i serce mu zamarło. Jednak kiedy już zaczynał tracić równowagę, jego stopa spoczęła na twardym kamieniu. Jeszcze nigdy nie szedł po tak wielkich schodach. Trzymając się zastępującego poręcz sznura, ruszył w dół.

Nagle przeszła go logiczna myśl: skoro nadal żyjesz, to ci ludzie nie są oszustami. Może rzeczywiście mają to, czego szukasz.

Poczuł przyływ entuzjazmu i kiedy schodził wielkimi spiralnymi schodami w głąb ziemi, dręczący go strach zniknął, a pojawiła się nieznosna niecierpliwość.

Kiedy wreszcie znalazł się na dole, eskortujący go mężczyźni kazali mu się schylić i, sądząc z dochodzących go odgłosów, poprowadzili go wąskim korytarzem. Tom uderzył głową w niski sufit. Jego uszy były tak wyczulone, że rozbrzmiewający echem tupot nóg na twardej posadzce wydawał mu się wręcz ogłuszający.

Nagle echo kroków stało się głuche, bardziej przytłumione, jak szum rwącej rzeki wpadającej do wielkiego jeziora. Najwyraźniej przeszli z wąskiego korytarza do większego pomieszczenia.

Ktoś pociągnął Toma do tyłu na znak, by zwolnił kroku. W nozdrza uderzył go zapach przywodzący na myśl kościoły, do których chodził w dzieciństwie; nic, tylko suchy kurz i stara religia. W powietrzu wisiała słabo wyczuwalna woń kadzidła, zmieszana z gryzącym swądem dymu ze świec. Jednak największe wrażenie sprawiała akustyka tego miejsca. Panująca tu głucha cisza była jak żywa istota. Tom zaczął stąpać cicho, żeby nie robić hałasu, chciał oszczędzić swoje nadmiernie wyczulone uszy.

W końcu ktoś go zatrzymał. Kiedy już miał odetchnąć, silna dłoń chwyciła go za ramię i poczuł na karku lodowaty dotyk stali.

Południowa Jordania

Maria Benariac uśmiechnęła się, redukując bieg w wynajętym range roverze. Otaczająca ją bezkresna pustynia była cicha, nieskalana żadnymi oznakami życia. Krążąc po oceanie piasku w swoim klimatyzowanym kokonie, Maria czuła głęboki spokój. W oddali rysowało się pięć skalnych słupów, wznoszących się nad pustynią jak odwrócone do góry dnem dzioby tonących statków. Od tej mrocznej nocy, kiedy postanowiła odwiedzić ojca Ezekiela, minęły trzy dni. Przez cały ten czas była pełna optymizmu. Nie mogła się nadziwić, czemu wcześniej nie wpadła na ten pomysł.

Już kilka razy była w Grocie Świętego Ognia, ale nigdy bez zapowiedzi. Ponieważ jednak na dziś zaplanowano spotkanie Ezekiela z jego dwoma najwyższymi rangą pomocnikami, wiedziała, że go tam zastanie. Kiedy z nim porozmawia, na pewno skłoni go, by zmienił decyzję w sprawie doktora Cartera.

Słońce wisiało wysoko na czystym, błękitnym niebie i kiedy samochód wiózł ją przez bezdroża, Maria myślami była zupełnie gdzie indziej. Widziała w sobie córkę marnotrawną powracającą do ojca i uprzytomniła sobie, jak bardzo cieszy się na to spotkanie. Nie rozmawiała z nim twarzą w twarz już prawie pięć miesięcy i nie mogła się doczekać, by zobaczyć jego minę, gdy dowie się o jej niespodziewanej wizycie. Tak, była przekonana, że ucieszy się na jej widok i że uzna jej prawo do wykonania wyzna-

czonogo zlecenia. Czyż nie mówił jej zawsze, że jest urodzoną Nemezis; że nikt inny nie jest tak zdolny jak ona i tak skrupulatny w wykonywaniu Sprawiedliwych Wyroków? Uśmiechnęła się, wracając pamięcią do pierwszego zabójstwa, tego, które zwróciło na nią jego uwagę.

Piętnastoletnia Maria Benariac nie podejmuje decyzji, by zabić ojca Angela, z lekkim sercem, ale sama jest zdumiona tym, jak szybko nadarza się idealna okazja.

Źródłem jej determinacji są dwa zdarzenia. Pierwsze to samobójstwo siostry Delfiny, młodej nowicjuszki z sierocińca, drugie - trzeci gwałt na niej samej dokonany przez ojca Angela.

Po pierwszej napaści uparł się, by przy każdej wizycie w sierocińcu zabierać ją na „sesje terapeutyczne”. Zaślepiąca matka Clemenza rzecz jasna każe Marii w nich uczestniczyć i wmawia jej, że powinna być wdzięczna temu wielkiemu człowiekowi za to, że znajduje dla niej tyle czasu i że tak troszczy się o jej rozwój psychiczny.

Podczas jego drugiej wizyty Maria próbuje się schować, ale on ją znajduje i w czasie sesji znów zostaje zgwałcona, tym razem jeszcze brutalniej niż poprzednio. Później zastanawia się, czy nie pokazać sińców matce Clemencie, ale wie, że to nic nie da.

Za trzecim razem, kiedy mu się opiera, on kępuje ją i zmusza do oralnego seksu, a potem gwałci od tyłu. Wchodząc w nią, mówi, żeby nigdy nie zapomniwała, że nic mu nie może zrobić, że jest jego niewolnicą i powinna się z tym pogodzić. Potem przechwala się, że nie jest jedyna; że przyjemność dają mu nawet niektóre z młodszych zakonnic.

Dziesięć dni później siostry znajdują siostrę Delfinę powieszoną na belce nad łóżkiem. Jest w czwartym miesiącu ciąży i nie umie żyć w hańbie. Nikt się nie domyśla, kim może być ojciec.

Oprócz Marii.

Uświadamia sobie, że jeśli nie chce skończyć jak Delfina, musi zabić ojca Angela. Nie ma innego wyjścia. I będzie musiała zrobić to tak, by nikt jej nie podejrzewał. Dość już razy była karana.

Kiedy dwa tygodnie później ojciec Angelo przyjeżdża do sierocińca, Maria udaje całkowicie uległą - dziecko, którego duch został złamany. I gdy ojciec mówi jej na ucho, że tę noc spędzi w Calvi i że będzie mogła potajemnie odwiedzić go w hotelu, ona zgadza się bez słowa sprzeciwu.

Ojciec uśmiecha się, zadowolony z jej posłuszeństwa, i wychodząc, daje jej klucz i sto franków.

- Jeśli wymkniesz się po północy i pojedziesz taksówką do miasta, nikt niczego się nie dowie. Wejdź do hotelu bocznymi drzwiami, żeby nikt cię nie zauważył. Dopilnuję, żebyś wróciła tu przed świtem.

Maria chowa pieniądze do kieszeni, ale nie ma zamiaru jechać taksówką. Tego popołudnia idzie do kuchni, by jak zwykle opróżnić kubły, i wychodzi z największym nożem, jaki znalazła, schowanym pod spódniczką. Potem kieruje się do pralni i ze sterty brudów, które ma uprać rano, bierze komplet ubrań. Wreszcie wyprowadza z szopy rower matki Clemenzy i chowa go w gęstych krzakach przy bramie głównej.

Przez resztę dnia wykonuje swoje obowiązki, starając się oderwać myśl od tego, co zamierza zrobić. Żałuje, że nie ma przyjaciółek, z którymi mogłaby porozmawiać, lecz inne dziewczęta uważają, że jest dziwna, i trzymają się od niej z dala. Kiedy wreszcie kładzie się do łóżka, cała drży ze strachu i podniecenia. Nie ma obaw, że zaśnie przed wyznaczoną godziną.

Ojciec Angelo zasługuje na śmierć, jest tego pewna. Musi zostać powstrzymany, zanim ją zabije albo zrobi krzywdę komukolwiek innemu. Nosi strój duchownego, ale zachowuje się, jakby służył diabłu. Bóg chce, by Maria go uśmierciła. Ona jest tylko narzędziem w Jego ręku i pomści nie tylko siebie, lecz i Jego. To, co zamierza zrobić, jest słuszne i sprawiedliwe.

Za dwadzieścia pięć pierwsza wstaje. Cały budynek mocno śpi, kiedy Maria wykrada się z sali sypialnej w brudnym ubraniu; czyste niesie w plastikowej torbie. Bez kłopotu wymyka się na zewnątrz i wyciąga rower z kryjówki. W świeżym, nocnym powietrzu czuć chłód, ale Maria jest spocona, kiedy przyjeżdża do miasta. Zostawia rower nieopodal hotelu i obwiązując twarz szalikiem, wchodzi na parking hotelowy. Otwiera boczne drzwi kluczem.

Jego pokój jest na parterze, Maria nie spotyka jednak po drodze żadnych gości. Sama jest zaskoczona spokojem, z jakim przyjmuje myśl, że teraz już nie ma odwrotu. Cicho puka do drzwi pokoju ojca Angela. Niemal od razu ukazuje się jego ospowata twarz, z błyszczącymi pożądaniami oczami. Ojciec pospiesznie zerka w lewo i w prawo, po czym wciąga ją do środka i zamyka drzwi.

- Cieszę się, że przysłaś, dziecko - mówi.

Maria nie zdąży jeszcze rozejrzeć się po jego ładnie urządzonej sypialni, gdy on już zrzuca szaty i staje przed nią, z groźnie sterczącym członkiem.

Nie rozbierając jej, zmuszają, by padła na kolana i z jękiem przyciąga jej głowę do nabrzmiałego penisa.

- Oddaj mi cześć - mówi.

Maria znów jest zdumiona swoim spokojem. Przerazenie, które ogarniało ją podczas gwałtów, zniknęło bez śladu. Czuje, że jest silna, panuje nad sytuacją. Podnosząc wzrok, otwiera usta i przysuwa się bliżej. Patrzy w uśmiechniętą twarz ojca i prawą ręką wyciąga zza paska nóż.

Wcześniej postanowiła, że postara się, by było jak najmniej krwi i hałasu. Dlatego działa błyskawicznie. W tej samej chwili, kiedy prawą ręką odcina mu penisa, lewą sięga na łóżko, po poduszkę, i przyciskają do ust ojca Angela, by stłumić jego krzyk. On jednak nie krzyczy. W pierwszej chwili w jego twarzy więcej jest zdziwienia niż bólu - jakby nie był w stanie uwierzyć, że ktoś mógł mu zrobić coś takiego.

Zaraz jednak nogi uginają się pod nim i ojciec Angelo łapie się za kroczę. Maria popycha go na łóżko. Jego oczy patrzą na nią ze zdziwieniem i przerażeniem. Próbuje bronić się i krzyczeć, ale Maria wskakuje na niego i wciska poszwę poduszki głębiej do jego ust, kneblując go. Potem wiąże mu ręce czerwoną od krwi pościelą. Wszędzie jest pełno krwi, ale zamiast obrzydzenia, Maria czuje przypływ oszałamiającej euforii.

Podczas gdy on bezsilnie kołysze się na łóżku, cierpiąc w milczeniu, ona obmacuje śliski od krwi dywan. Kiedy znajduje to, czego szukała, wchodzi na łóżko i uśmiecha się do swojego oprawcy.

- Powiedz, czy siostra Delfina też była twoją niewolnicą? - pyta. - Jeśli powiesz prawdę, wezwę lekarza. - Upojona poczuciem mocy, wymachuje mu odciętym penisem przed oczami. - Możesz to jeszcze ocalić. Czy ją też zgwałciłeś?

On patrzy na zwiotczały, zakrwawiony flak spoczywający na jej dłoni.

- Mów! Kiwnij głową na tak.

Powoli kiwa głową.

- No dobrze. - Zabiera poduszkę, ledwie jednak ojciec rozchyła wargi, by zacząć krzyczeć, wciska mu do ust jego odciętą męskość i przygniata poduszką. - Kto teraz jest niewolnikiem? - pyta, patrząc w jego wybałuszone oczy, i słucha, jak krtusi się i prychnie, usiłując złapać powietrze.

Spokojnie przygląda się jego agonii i czuje głęboką satysfakcję, kiedy błysk w jego źrenicach gaśnie na dobre. Upewniwszy się, że umarł, pisze zakrwawionym nożem na czystej części pościeli: *Oko za oko, ząb za ząb*. Potem zdejmuje poplamione krwią ubranie, bierze prysznic, myje nóż i wkłada czyste ciuchy. Brudne chowa do plastikowej torby. Obrzuca spojrzeniem miejsce zbrodni. Sprawiedliwości stało się zadość, mówi sobie. Potem, nie zamykając szklistych oczu ojca Angela, wychodzi.

Dopiero kiedy idzie w głąb korytarza, zauważa postać przyczajoną w cieniu przy drzwiach pokoju ojca Angela. Ciaśniej obwiązuje twarz szalem i ucieka z hotelu, próbując nie zwracać uwagi na nieznanego. Jednak w drodze powrotnej czuje, że jest śledzona.

Dopiero w sierocińcu oddycha z ulgą. Chowa nóż i rower na miejsce, zagrzebuje zakrwawione ubranie głęboko w stercie brudów i zakrada się z powrotem do łóżka. Nabiera przekonania, że człowiek z cienia był tylko złudzeniem. Wszystko nie trwało więcej niż pięćdziesiąt pięć minut. Nie ma możliwości, by ktokolwiek podejrzewał ją o zabójstwo ojca Angela.

Lecz po tygodniu, kiedy matka Clemenza wzywa ją do siebie, Maria przekonuje się, że była w błędzie.

Ropucha jest w szoku od czasu, kiedy siostra Delfina popełniła samobójstwo, a w hotelu znaleziono zwłoki ojca Angela. To jednak nie tłumaczy jej dziwnego zachowania. Kiedy Maria wchodzi do gabinetu, ropucha odnosi się do niej ciepło, wręcz po matczynemu. Najprawdopodobniej robi to przez wzgląd na siedzącego naprzeciw niej czarnookiego starca w ciemnym garniturze. Ropucha uśmiecha się i wskazuje nieznanego służalczym gestem.

- Witaj, Mario. Masz gościa. - Mówi to tak, jakby Maria była tak popularna, że nie może opędzić się od gości. - Ten dżentelmen chce z tobą porozmawiać.

Serce zamiera Marii w piersi. Domyśla się, o czym mężczyzna chce z nią mówić. Jaki ślad mogła zostawić na miejscu zbrodni? Skąd ten człowiek mógł wiedzieć, że zabiła ojca Angela?

Ropucha nagle wstaje i podchodzi do drzwi gabinetu.

- Cóż, jestem pewna, że macie wiele spraw do omówienia. Zostawię was samych.

Mężczyzna przez grzeczność wstaje i mówi:

- Wolałbym, żeby nam nie przeszkadzano. - Słowa te brzmią w jego ustach jak rozkaz.

Matka Clemenza wyciera dłonie w habit i uśmiecha się niepewnie.

- Jak pan sobie życzy.

Maria nie posiada się ze zdumienia. Matka Clemenza nigdy jeszcze nikomu nie udostępniła swojego gabinetu, nawet ojcu Angelowi.

Kiedy ropucha zamyka za sobą drzwi, mężczyzna przedstawia się i wskazuje Marii krzesło za biurkiem.

- Przecież to miejsce matki przełożonej.

W czarnych oczach pojawiają się łobuzerskie błyski.

- To niczego jej nie powiemy.

Maria uśmiecha się do niego i zaczyna czuć się pewniej. Może przyszedł w innej sprawie? Kiedy jednak siada za biurkiem, mężczyzna mówi coś, co sprawia, że nogi się pod nią uginają.

- Mario, wiem, że zabiłeś ojca Angela. Mój znajomy widział, jak wchodziłaś i wychodziłaś z jego pokoju w czasie, kiedy został zamordowany.

Maria zwiesza ramiona i wbija wzrok w swoje stopy. Nie ma sensu zaprzeczać.

- Był złym człowiekiem. Bóg chciał, bym wywarła na nim zemstę. Trzy razy mnie zgwałcił, przez niego zabiła się siostra Delfina. - Machinalnie recytuje te słowa, przekonana, że mężczyzna i tak jej nie uwierzy.

- Wiem - słyszy jego głos. - Ojciec Angelo istotnie był złym człowiekiem, zasłużył na śmierć.

Maria podnosi zdumione oczy i widzi, że mężczyzna uśmiecha się do niej ciepło, wyrozumiale, jak ojciec do niesfornej córki. Ku swojemu zaskoczeniu Maria czuje ucisk w gardle i łzy napływają jej do oczu.

- Wiesz, dlaczego cierpiałas, Mario? - pyta mężczyzna, jakby wiedział o niej wszystko.

Bojąc się cokolwiek powiedzieć, kręci głową.

- Bo jesteś wyjątkowa.

- Wyjątkowa?

- Wybrana.

- Nie rozumiem.

- Bóg wybrał cię, byś Mu służyła. Szczodrze cię obdarzył, dał ci inteligencję, urodę i odwagę. Poddął cię też jednak ciężkiej próbie i wyszłaś z niej zwycięsko. Teraz nadszedł czas, by przygotować cię do jeszcze wspanialszych czynów. Rozumiesz?

Maria patrzy w jego ciemne oczy i powoli kiwa głową. Rozumie. Wszystko staje się dla niej jasne. Była poddana próbie, bo. wyższe rzeczy są jej przeznaczone. Bóg ją wybrał, a teraz ten człowiek pomoże jej wypełnić powołanie.

- Masz talent, płonie w tobie żar - mówi mężczyzna i jego wysuszona twarz marszczy się w uśmiechu. - I jeśli wyrazisz zgodę, zabiorę cię stąd. Wszystko jest gotowe.

Maria się uśmiecha. To najłatwiejsza decyzja w jej życiu.

Samo wspomnienie uśmiechu Ezekiela podniosło Marię na duchu, kiedy wóz podjechał do pięciu skalnych słupów. Oczywiście, nie wiedziała

wówczas, że siostra Delfina była siostrzenicą brata Culasa, wysokiego rangą członka Bractwa. Ani że zanim popełniła samobójstwo, napisała do wuja list przedstawiający całą prawdę o ojcu Angelu. Bractwo wysłało poprzednika Marii w roli Nemezis, by zrobił to, w czym wyreczyła go ona, i to właśnie on obserwował ją, kiedy wychodziła z pokoju hotelowego. A ponieważ zamierzał się wycofać, zaproponował, by ta wybitnie uzdolniona piętnastolatka została jego następczynią. Ezekiel dokładnie poznał jej przeszłość, zanim się do niej zwrócił.

Od tamtej chwili jej życie się zmieniło. Spędziła pięć lat w ośrodku szkoleniowym prowadzonym przez brata Bernarda, gdzie uczono ją wszystkiego, od języków poprzez sztukę wykonywania Sprawiedliwych Wyroków po sekrety i dzieje Bractwa. Pierwszy raz w życiu czuła się tak, jakby była częścią rodziny, i szczerze wierzyła w to, co robi. Wciąż pamiętała rozpierającą ją dumę, kiedy po pięciu latach została zaprowadzona do Groty Świętego Ognia na ceremonię pomazania. Gdy Ezekiel wbił w jej przedramię ceremonialny sztylet, nie czuła bólu. Później pochwalił ją i nazwał najbardziej oddanym rekrutem w dziejach.

Po dwóch latach została nową Nemezis. Następnym trzynaście było nieprzerwanym pasmem sukcesów.

Aż do Sztokholmu.

Do sprawy doktora Cartera.

Zacisnęła zęby, przypominając sobie, że wkrótce temu zaradzi. Przed sobą widziała helikopter i dwa land-rovery zaparkowane przy największej skale. Podjechała do wejścia do jaskini. Stojący tam dwaj mężczyźni przyglądali jej się uważnie, kiedy wkładała baseballówkę na ogoloną głowę. Zgasiła silnik, otworzyła drzwi i wysiadła na piekielny żar. Zatrasnęła drzwi samochodu i ruszyła w ich stronę.

Kiedy jeden z nich otworzył usta, by kazać jej się zatrzymać, podała mu prawą rękę.

- Niechaj będzie zbawiony.

Jego twarz złagodniała i lekko skinał głową, ściskając jej dłoń. Wyciągnął do niej lewą rękę tak, by złączone w uścisku dłonie utworzyły krzyż.

- Aby mógł zbawić sprawiedliwych.

Sześćdziesiąt metrów niżej prerażenie Toma Cartera przeszło w ulgę, kiedy ostrze zsunęło się z jego szyi, rozcinając opaskę. Odwrócił się i gdy jego oczy oswoiły się ze złocistym światłem, zobaczył obok siebie lekko uśmiechniętego Helixa z nożem w ręku.

Helix szerokim gestem prawej ręki ukazał wewnątrz rozciągającej się przed nim wielkiej podziemnej komory.

- Doktorze Carter, witam w Grocie Świętego Ognia, sanktuarium Bractwa Powtórnego Przyjścia.

Tom spojrział z podziwem w górę na rzeźbiony, sklepiony sufit wsparty na grubych, skalnych filarach. Źródłem złotego blasku były niezliczone świece ustawione na wąskiej półce umieszczonej w połowie wysokości dziesięciometrowych ścian. Migoczące snopy światła tańczyły na pokrytym płaskorzeźbami czerwonym suficie. Na filarach zawieszono były kinikiety, paliły się w nich lampy gazowe i pochodnie. Ściany ozdobione były starymi gobelinami, które wydymały się na żelaznych drążkach jak żagle małych statków. Każdy z nich przedstawiał sceny religijne, które zdawały się ożywać w pełgającym blasku świec.

Na drugim końcu komory stał ołtarz nakryty białym płótnem ozdobionym krwistoczerwonym krzyżem. Uwagę Toma zwrócił płonący przed nim oślepiająco jasny, nienaturalnie biały płomień. Wydobywał się z otworu w kamiennej podłodze, oświetlając duże, zamknięte, kamienne drzwi w ścianie za ołtarzem.

Pośrodku, na wytartej mozaice, stał stół, tak ogromny jak wszystko w tej grocie. Na grubym, drewnianym blacie, wspartym na solidnych nogach w kształcie szponów orla, Tom zobaczył misy i talerze zjedzeniem. Wokół stało sześć równie imponujących krzesel. Żadne nie było zajęte.

Nawet on był pod wrażeniem mocy wypełniającej to miejsce i czuł się nieswojo. Grota przypominała wielkie mauzoleum, w którym przechowywano prastare ludzkie wierzenia.

- Witam, doktorze Carter. Cieszę się, że mógł pan przyjechać. - Głos mężczyzny był zaskakująco mocny. Tom wcześniej nie zwrócił większej uwagi na dwie postacie stojące pod filarami na drugim końcu groty, tak małe wydawały się w tym otoczeniu. Mężczyzna, który zwrócił się do niego, był wyjątkowo drobny, nieproporcjonalnie mały w porównaniu z resztą pieczary.

- Doktorze Carter - powiedział Helix - proszę pozwolić, że przedstawię ojca Ezekiela De La Croix, przywódcę Bractwa Powtórnego Przyjścia, i brata Bernarda.

Ezekiel ruszył ku niemu.

- Proszę wybaczyć, że ściągnęliśmy tu pana w taki sposób, ale od dwóch tysięcy lat strzeżemy naszej tajemnicy.

- Rozumiem - odparł Tom. - Pod warunkiem że to znaczy, iż wasze zaproszenie było autentyczne i nie przyjechałem tu na próżno.

- Ma pan na to moje słowo.

Tom nie mógł rozpoznać jego akcentu; był ni to bliskowschodni, ni to francuski. Kiedy Ezekiel podszedł bliżej, Carter zauważył, że choć na ustach starca gościł serdeczny uśmiech, to jego ciemne oczy bacznie mu się przyglądały. Pomarszczony mężczyzna o jedwabistych siwych włosach był wiekowy i prawie trzydzieści centymetrów niższy od Toma. Mimo to miał w sobie taką moc, że było oczywiste, iż wzrost gościa nie robił na nim wrażenia.

Ezekiel wyciągnął chudą, szponiastą dłoń. Na sękatym palcu nosił ciężki metaliczny pierścień ozdobiony największym rubinem, jaki Tom w życiu widział. Od razu rozpoznał znak krzyża, ten sam, co na kopercie. Uścisnął dłoń Ezekiel; jego skóra w dotyku wydawała się złuszczona, wysuszona. Twarz wyglądała nie lepiej, przypominała płachtę cienkiego pergaminu rozpiętą na wystających kościach policzkowych. Tom miał wrażenie, że gdyby potarł ją dostatecznie mocno, zdarłby skórę, odsłaniając czaszkę. Domyślał się, że drobne ciało pod ciemnym, przepasanym szarfą garniturem wciąż kryje w sobie dużą siłę; jednak największa moc biła z czarnych, bystrych oczu. Nietknięte zębem czasu, rzucały żywe, przebiegłe błyski. Nie był to człowiek, którego można lekceważyć. Ani któremu należy ufać.

- Poznał pan już brata Helixa - powiedział Ezekiel. - Jest naukowcem jak pan, doktorze Carter. Odpowiada za nasz Pierwszy Imperatyw i dostarcza nam bieżących informacji. - Odwrócił się do trzeciego mężczyzny. - Brat Bernard natomiast zajmuje się... - przerwał, jakby szukał właściwych słów -...sprawami bezpieczeństwa.

Carter uścisnął dłoń brata Bernarda. Z przerzedzonymi siwymi włosami i siwiejącą kozią bródką wyglądał starzej niż Helix, prawdopodobnie był już po siedemdziesiątce. Postawny i tęgi, miał z metr osiemdziesiąt wzrostu. Mięsiasta dolna warga nadawała mu wygląd marudnego, okrutnego uczniaka. Carter od razu poczuł do niego niechęć.

- Kim jesteście? I czym jest Pierwszy Imperatyw?

Ezekiel błysnął kolejnym uśmiechem.

- Wszystko w swoim czasie, doktorze Carter, wszystko w swoim czasie. - Gestem ręki wskazał wspaniały stół. - Proszę, porozmawiajmy o połączeniu naszych zasobów. Naszych skarbów przeszłości z pańską technologią przyszłości.

Zanim Tom zdążył poprosić o bardziej szczegółowe wyjaśnienia, starzec zaskakująco zwinnie odwrócił się na pięcie i podszedł zdecydowanym krokiem do stołu.

- Mamy jedzenie i picie. Na pewno chce się pan posilić po długiej podróży.

Tom rzeczywiście był spragniony. Kiedy brat Helix podprowadził go do stołu, spojrzął na zegarek. Od lądowania w Tel Awiwie minęły prawie trzy godziny. Był ciekaw, która godzina jest w Bostonie. Obliczył, że Holly pewnie jest już w szkole.

Ezekiel siedział u szczytu stołu; za jego plecami widać było ołtarz i oślepiająco białe światło. Po jego bokach zasiedli dwaj bracia, Tomowi przydzielono miejsce obok Helixa. Zauważył, że zajmują tylko małą część wielkiego stołu, i mógł się tylko domyślać, ile osób mogłoby się przy nim zmieścić; na pewno więcej niż sześć, choć krzeseł było tylko tyle.

- Proszę się częstować - zachęcił starzec, wskazując wiktuły.

Tak właśnie Tom wyobrażał sobie średniowieczne uczty. Na stole były duże mosiężne półmiski z daktylami, figami, granatami i serem, tace, na których piętrzyła się jagnięcina, steki i kurczaki, i miski z piklami i faszerowanymi liśćmi winogron. Obok stały ceramiczne gąsiory z wodą i winem, a przy nich misternie zdobione antyczne kielichy. Helix podniósł jeden z gąsiorów i nalał wonnego rubinowego wina do kielicha Toma, a brat Bernard podsunął mu tace z mięsem. Tom, choć pozostawał nieufny, na widok jedzenia uświadomił sobie, że od wielu godzin nie miał nic w ustach. Jack, jak zawsze nadopiekuńczy, przestrzegł go, by niczego nie dotykał. Jednak biorąc pod uwagę to, jak został tu przyjęty, nie widział żadnego zagrożenia. Gdyby ci ludzie chcieli zrobić mu coś złego, na pewno już by to zrobili.

Akustyka pomieszczenia sprawiła, że głos Ezekiela jakby nabrał mocy.

- Ponieważ jest pan naszym gościem, to ja powinienem zacząć. Gdy pan się będzie posilał, ja opowiem panu w skrócie o naszej organizacji. Potem porozmawiamy o interesach.

Tom kiwnął głową jakby miał w tej sprawie cokolwiek dopowiedzenia, i podniósł wonne wino do ust. Było szlachetne, mocne i dziwnie orzeźwiający. Próbując zapanować nad rosnącą ekscytacją, zauważył, że to dziwaczne spotkanie zaczyna mu się podobać.

Ezekiel De La Croix wstał i jego drobna sylwetka rzuciła ogromny cień na najbliższy filar. Przyjrzał się bacznie swojemu gościowi, zanim zaczął mówić. Był zadowolony, że doktor Carter przyjął zaproszenie, i wbrew sobie był pod wrażeniem jego zachowania. Naukowiec w niczym nie przypominał bezczelnego obrazurcy, za jakiego Ezekiel go uważał. Samo

to, że przebył pół świata w nadziei, że zupełnie obcy ludzie mogą mieć to, na czym mu zależy, dowodziło, jak wysoce cenili ich relikwie. Ezekiel nie mógł uwierzyć, że chodziło mu tylko o pieniądze. Carter miał ich już aż nadto. Jakiegokolwiek kierowały nim pobudki, jego sposób bycia i gotowość do poświęceń wskazywały, że będzie otwarty na propozycję Bractwa.

- Pozwolę sobie zacząć od początku - powiedział Ezekiel. - Przed dwoma tysiącami lat Łazarz, człowiek wskrzeszony z martwych przez Chrystusa, był świadkiem Jego męczeńskiej śmierci na krzyżu i przysiągł, że nie dopuści, by czciciele fałszywych bogów kiedykolwiek znów popełnili taką zbrodnię. W noc po ukrzyżowaniu miał sen, w którym zobaczył tę prastarą grotę i płonący w niej ogień. Następnego dnia przyprowadził współwyznawców w to święte miejsce. Tu na zawsze mieli być bezpieczni od prześladowań. Bractwu Powtórnego Przyjścia przyświecał jeden nadrzędny cel: wygłądać chwili ponownego przybycia Zbawiciela, a następnie rozpoznać Go i namaścić w świętym płomieniu. Ten tak zwany Pierwszy Imperatyw pozostaje aktualny do dziś. - Odwrócił się do białego płomienia. - Oto właśnie Święty Ogień, któremu grotę zawdzięcza swoją nazwę. To tu odbyło się pierwsze spotkanie Najwyższego Kręgu Bractwa, którego członkowie modlili się przed ołtarzem Świętego Ognia. - Ezekiel spojrzał na Cartera, zadowolony, że ten słucha go w skupieniu. - W swoim śnie Łazarz zobaczył, że w chwili, kiedy Chrystus umarł za nasze grzechy, płomień zmienił barwę z białej na pomarańczową. Usłyszał jednak głos mówiący, że kiedy ogień znów stanie się biały, będzie to znak, że Zbawiciel powrócił. Święty Ogień był biały tylko dwa razy w ciągu ostatnich dwu tysięcy lat. - Przerwał i podszedł do płomienia. - Po raz pierwszy, kiedy Jezus z Nazaretu chodził po ziemi. I teraz. Dziś. Od trzydziestu pięciu lat Nowy Mesjasz jest wśród nas i musimy go odnaleźć.

Carter zmarszczył brwi z niepokojem.

- Skąd to. wiecie? Może zmiana koloru płomienia to tylko zbieg okoliczności? Skutek ruchów tektonicznych albo zmiana składu chemicznego gazu?

- My to wiemy - powiedział zniecierpliwiony Ezekiel.

Carter zaczął dłużyć w kurczaku.

- A jak zamierzacie znaleźć tego waszego Nowego Mesjasza?

- Z pańską pomocą, doktorze Carter.

Ezekiel wrócił na miejsce i skinął głową bratu Helixowi.

Helix poprawił druczane okulary i nachylił się do Cartera.

- Zamierzamy znaleźć naszego Mesjasza dzięki pańskiemu projektowi „Kana” - powiedział.

- Nie rozumiem.
- Od jakiegoś czasu obserwujemy pana i pański zespół. Wiemy, że szuka pan próbki DNA Pana naszego.

Carter nie odpowiedział.

Helix złożył dłonie w daszek i zaczął oglądać paznokcie.

- Poszukiwanie Chrystusowego DNA to dość niezwykłe hobby jak dla ateisty. Ale może kieruje się pan chęcią zarobku? Może wierzy pan, że z genów Boga da się uzyskać jakiś cudowny lek? To byłoby dopiero coś; dysponować wyłącznymi prawami do uniwersalnego lekarstwa.

Carter wciąż milczał.

- Ale jak dotąd nie udało się panu znaleźć autentycznej próbki, zgadza się? - wtrącił brat Bernard.

Naukowiec spokojnie sączył wino.

- Tak. Dlatego tu jestem.

Bernard uśmiechnął się zimno.

- Najpierw będziemy potrzebowali dostępu do pańskiej bazy danych IGOR. Tej, której nie powinien pan mieć.

- Po co wam IGOR?

Ezekiel był tak zaskoczony tym pytaniem jak pozostali dwaj bracia. Zakładali, że doktor Carter domyślił się już, dlaczego zależy im na uzyskaniu dostępu do bazy zawierającej dane przeszło stu milionów ludzi.

Brat Helix zmarszczył brwi.

- Żeby znaleźć nosiciela identycznych genów, rzecz jasna.

Ezekiel wyczytał z twarzy doktora, że dopiero teraz doznał olśnienia. Najwyraźniej dotąd nie przyszło mu do głowy, że ktoś żyjący w dzisiejszych czasach może mieć boskie geny Chrystusa. Carter długo milczał i bawił się kielichem, pogrążony w myślach. Wreszcie zmarszczył brwi i spytał brata Helixa:

- Czy ten wasz Nowy Mesjasz nie zauważyłby do tej pory, że ma wyjątkowe zdolności? Gdyby rzeczywiście istniał, chyba usłyszeliście o nim?

Helix potrząsnął głową.

- Niekoniecznie. Być może w dzieciństwie zdawał sobie sprawę ze swoich umiejętności, ale potem „nauczył się”, że nie powinien z nich korzystać. Możliwe, że ukrywał je, by dostosować się do otoczenia. Dlatego bliscy nie dostrzegają jego inności. Jego zdolności prawdopodobnie są uspijone, być może na zawsze.

Carter pokiwał głową zamyślony.

- Albo - ciągnął Helix - nie zdaje sobie sprawy, że je ma. W ogóle ich nie wykorzystuje. W końcu, żeby opanować jakąkolwiek umiejętność, trzeba ją ćwiczyć i stosować w praktyce.

Carter wzruszył ramionami.

- Możliwe.

Zapadła cisza i Ezekiel zauważył, że dwaj bracia zerkają ku niemu.

Odkasznął głośno.

- A zatem, doktorze Carter, czy dysponując DNA Chrystusa, mógłby pan za pomocą genoskopu i IGOR-a znaleźć osobę o identycznym kodzie genetycznym?

Tom milczał przez chwilę.

- Jeśli ktoś taki istnieje - odparł wreszcie. - I jeśli jest w bazie. Wtedy owszem, to da się zrobić.

Bernard i Helix uśmiechnęli się triumfalnie do Ezekiela. Może to haniebne przymierze jednak okaże się owocne.

- Doktorze Carter, jeśli damy panu autentyczną próbkę, będzie pan musiał wypełnić swoją część umowy, to znaczy wykorzystać wszystkie dostępne środki, by odnaleźć osobę o identycznym profilu DNA. Jeśli pan tego nie zrobi, będziemy zmuszeni... zareagować. - Ezekiel spojrzał mu w oczy. Musiał uświadomić Carterowi, że jeśli złamie umowę, zostanie ukarany.

Tom się uśmiechnął.

- Bez obaw, mnie też zależy na tym, żeby znaleźć tego człowieka. Tylko nie zapominajcie o jednym drobnym szczególe. Potrzebna jest autentyczna próbka. Bez niej nie ma o czym mówić.

Ezekiel znieruchomiał i spojrzał w dół, na swoje dłonie i pierścień, który błyszczał na jego sękatym palcu jak rozżarzony węgiel. Nadeszła chwila prawdy. Zaszli już tak daleko.

- A zatem do rzeczy - powiedział, ponownie wstając od stołu.

Odwrócił się w stronę ołtarza.

- Proszę ze mną, doktorze Carter. Chciałbym coś panu pokazać.

Krypta Pamięci

Tom Carter podszedł za Ezekielem De La Croix do ołtarza. W głowie huczało mu od tego, co właśnie usłyszał. To, że Bractwo odkryło IGOR-a, potwierdzało jedynie wszystko, czego dowiedział się z zaproszenia. Ale myśl, że ktoś żyjący mógłby mieć takie same geny jak Chrystus, była taka prosta, wręcz genialna. Otwierała zupełnie nowe możliwości pomocy Holly. Kiedy DAN przeanalizowałby genom Chrystusa, Tom mógłby przeszukać wszystkie bazy danych DNA, by znaleźć żyjącego człowieka o takim samym zestawie genów.

Patrzył, jak Ezekiel mija biały płomień bijący z obramowanego ołowiem otworu w podłodze i podchodzi do zapieczetowanych drzwi w kamiennej ścianie za ołtarzem. Po ich lewej stronie ze ściany sterczał sięgający mu do pasa drewniany kół, zakończony pętlą konopnego sznura.

Tom trącił pętlę dłonią.

- Lepiej, żeby pan tego nie dotykał - powiedział stanowczo Ezekiel.

Tom cofnął rękę.

- Dlaczego? Co to jest?

Ezekiel uśmiechnął się tajemniczo.

- Można by to nazwać ostatecznym zabezpieczeniem. Proszę nie dotykać.

Schylił się i pociągnął drewnianą dźwignię, ukrytą w podłodze za ołtarzem.

Tom usłyszał zgrzyt i drzwi się odsunęły. Ezekiel zniknął w wąskim przejściu. Tom zaczekał na Helixa i Bernarda, ale oni nie wstali od stołu. Najwyraźniej Ezekiel i on mieli iść sami.

Powietrze po drugiej stronie miało inny zapach - było bardziej zatęchłe, nieświeże. Małą pustą przestrzeń oświetlały dwie elektryczne lampy, zasilane małym spalinowym generatorem. Carter domyślił się, że w wysokim, wąskim pomieszczeniu jest niewiele tlenu. Potem zobaczył drugie drzwi naprzeciw i natychmiast zrozumiał, że nie są w izbie, lecz w przejściu między wielką grotą a tym, co leżało za drugimi wrotami. Potwierdzając jego domysły, Ezekiel odwrócił się i pociągnął następną dźwignię za sobą, zamykając drzwi, przez które weszli.

Tom patrzył, jak stary przywódca Bractwa podchodzi do drzwi przed nimi i pociąga jeszcze jedną dźwignię. Wrota otworzyły się z takim samym zgrzytem jak pierwsze, ukazując prostokąt atramentowej czerni. Ezekiel zniknął w otworze; Tom usłyszał pstryknięcie włącznika i czerń nagle rozproszyła się w jasnym świetle.

- To nasza Krypta Pamięci - oznajmił Ezekiel bez dodatkowych wyjaśnień.

Kiedy tylko wzrok przyzwyczał mu się już do jasności, Tom poczuł rozczarowanie. Nie spodziewał się ujrzeć gór złota i drogich kamieni, oczekiwał jednak czegoś więcej niż to, co widział. To miejsce wyglądało jak bardzo duży schowek na miotły i jednocześnie maleńkie, zakurzone muzeum. Pod ścianami stały długie, rozchwiane półki, zastawione pudłami, dokumentami i dziwnymi przedmiotami. Na zgrubsza ociosanej kamiennej podłodze stało pięć starych skrzyń. W drugim końcu groty z wąskiej szczeliny w sklepieniu zwisała sznurowa drabinka. Z pęknięcia płynęła niemal niezauważalna strużka powietrza i Tom uznał, że w razie potrzeby można by tamtędy wyjść na powierzchnię. Obok drabinki w ścianie widniała wnętka, wysoka na metr i zasłonięta płachtą materiału. Nic tu nie wyglądało na wartościowe, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Podszedł do jednej ze skrzyń i zajrzał do środka. Zobaczył dobrze zachowane zwoje - musiały mieć setki, może tysiące lat - i starożytne tomy, napisane w nieznanym mu językach. Popatrzył na półkę i rozpoznał broń i inne przedmioty, pamiątką odległych cywilizacji. Cofnął się, jeszcze raz rozejrzał i poczuł, że podniecenie wraca. Nawet niewprawnym okiem był w stanie ocenić, że skarby zgromadzone w tej kapsule czasu były nie tylko wartościowe; były bezcenne.

Jego uwagę zwrócił zwłaszcza zwój leżący na krawędzi kamiennej półki. W wyblakłym piśmie na spękany pergaminie było coś, co go zafascyno-

wało. Nachylił się bliżej, ale nie próbował dotknąć kruchego dokumentu. Zorientował się, że Ezekiel bacznie go obserwuje.

- To sen Łazarza, spisany jego własną ręką - powiedział starzec. - Opisuje to miejsce i przepowiednię o Świętym Ogniu, wszystko tak, jak to zobaczył w swoim widzeniu. Wyznacza też cele i prawa Bractwa, które pozostały niemal niezmienione przez dwadzieścia wieków.

Tom wolno kiwnął głową; usiłował to wszystko ogarnąć, wodząc wzrokiem po półkach, aż jego spojrzenie spoczęło na złożonym kawałku płótna. Wyglądało na brudne i narzucona była na nie skóra.

- Wie pan, co to jest? - Ezekiel wciąż mu się przyglądał.

Tom pokręcił głową. Był jednak pewien, że jego ojciec by wiedział. Alex oddałby prawą rękę, żeby choć zobaczyć te skarby.

Starzec z czcią ściszył głos.

- To całun Pana naszego.

Tom nie mógł się opanować; nie był wierzący, lecz po plecach przebiegł mu dreszcz.

- Myślałem, że jest w Turynie.

Ezekiel roześmiał się sucho, z pogardą.

- To tylko cyrkowy śmieć, ma oszukać łatwowiernych, zdobyć ich posłuszeństwo i pieniądze.

Tom milczał. Co mógł powiedzieć? Po raz pierwszy widział coś, co zdawało się być dowodem prawdziwości religii, którą odrzucał przez całe życie. Historycznemu znaczeniu tych przedmiotów nie można było zaprzeczyć, on jednak wciąż pozostawał nieprzekonany co do ich wagi duchowej.

Kątem oka dostrzegł starożytny hełm z nosalem, a obok, oparty niedbale jak kij baseballowy o ścianę, największy miecz, jaki w życiu widział. Wspaniałe, wypolerowane ostrze wykute było z twardej, hartowanej stali, ciężki jelec bogato zdobiony, a rękojeść oprawiona w jakiś wytarty materiał, którego nie rozpoznawał. Na głowicy, wprawiony głęboko w metal, widniał wielki rubin, dwa razy większy od rubinu w pierścieniu Ezekiela. Miecz wyglądał na ciężki niczym żelazna sztaba i Tom nie potrafił sobie wyobrazić, jak ktoś mógłby go unieść, a co dopiero nim walczyć.

- Ten miecz i hełm - powiedział Ezekiel z wyraźną dumą - należały do sir Antoine'a De La Croix, krzyżowca z zakonu templariuszy stacjonującego w zamku Krak de Chevaliers w Syrii. Został przywódcą Bractwa prawie tysiąc lat temu. Ja jestem jego potomkiem.

- Miecz robi wrażenie. Ale jak on nim walczył? Jest olbrzymi.

Ezekiel lekceważąco wzruszył ramionami.

- Ludzie byli wtedy bardziej zdyscyplinowani - odparł z zazdrością w głosie.

Tom spojrzął na inne zwoje i zauważył dużą kamienną tablicę. Była pokryta wyrytym na niej pismem, ale nie rozpoznawał liter. Ze zdumieniem pokręcił głową.

- Skąd macie te wszystkie skarby? I dlaczego chowacie je w tajemnicy przed światem?

Ezekiel spojrzął na niego przenikliwie.

- Nasz założyciel i jego następcy ratowali, zdobywali i zwozili tu te przedmioty z pokolenia na pokolenie przez ostatnie dwa tysiące lat. - Starzec pokiwał głową zamyślony. - Doktorze Carter, historia nie jest nauką ścisłą. To tylko pamięć. Wybiórcza pamięć wielkich ludzi. Jeśli wielcy postanowią zapomnieć o czymś z przeszłości albo to zmienić, mają taką władzę. Ale z dowodami nie można się spierać. Historia jest jak wiara: zależy od tego, w co się wierzy. W przeciwieństwie jednak do wiary pogląd czy pamięć o historii można podeprzeć dowodami.

Drobne ręce zatoczyły koło.

- Te przedmioty są naszymi dowodami i pomagają nam wytrwać w wierze. Dlatego tak długo, jak istnieją i są bezpiecznie ukryte przed dzisiejszymi politycznymi potęgami, które chcą zniszczyć religię, będziemy zawsze mieli dowód na to, w co wierzymy. Na to, co w głębi naszych serc wiemy na pewno.

Tom nagle poczuł się niezręcznie, obco. Wiedział, że Ezekiel uważa go, z jego ateizmem i naukowym podejściem do spraw tego świata, za jedną z tych potęg, co to zmierzają do podważenia znaczenia religii i wykorzystują obietnicę jutra do zmazania znaczenia przeszłości.

- Sądzi pan, że widząc te dowody, uwierzę w to, w co wy wierzycie?

Wzruszenie ramion.

- Być może.

- Ale historia to nie religia. Wierzę, że Kennedy istniał i że był wielkim człowiekiem. Ale go z tego powodu nie czczę.

- Niech pan się zastanowi nad jedną rzeczą, doktorze Carter. Gdybyśmy nie wierzyli w boskość Chrystusa i próbowali uzasadnić naszą wiarę w Niego zbieraniem przedmiotów, które pan tu widzi... Gdybyśmy zamiast tego postanowili zlekceważyć przeszłość i na oślep przeć w stronę technologicznie zapierającej dech w piersiach, ale duchowo upadłej przyszłości... Gdybyśmy to zrobili, czy posiadalibyśmy to coś, czego pan szuka?

Tom wymijająco wzruszył ramionami. Wykorzystywanie przez Bractwo pamiątek jako wy tłumaczenia wiary i oczywista pogarda Ezekiela dla

pragnienia ludzkości, by zapanować nad własnym przeznaczeniem, bulwersowały go, ale teraz nie była pora na dyskusje.

Ezekiel przez chwilę mu się przyglądał, a potem gwałtownie się odwrócił.

- Dość już rozmów - powiedział. - Ruszajmy dalej.

Zdjął z szyi mały, złoty kluczyk i podszedł do niszy w głębi pomieszczenia. Zdjął płachtę, odsłaniając zdobioną, mniej więcej metrową złotą klatkę z wysoką kopułą i ścianami z krat. Jakość jej wykonania zapierała dech w piersiach.

Tom patrzył, jak starzec wolno się schyla i kluczykiem otwiera okrągowane drzwiczki. Usłyszał skrzypnięcie rzadko używanych zawiasów; Ezekiel powoli sięgnął ręką do środka. Minęła chyba cała wieczność, zanim znów się wyprostował. W dłoni miał coś, co wyglądało na szkatułkę ze szlachetnego metalu, wyłożoną klejnotami. Tom wyciągnął szyję, żeby lepiej widzieć, kiedy Ezekiel otworzył puzderko, uchylając wieko.

Starzec spojrzał na naukowca.

- Nasz założyciel, Łazarz, przyniósł to tutaj razem z całunem. Na pamiątkę tego, co się wydarzyło w dniu, gdy ludzkość ukrzyżowała swojego Zbawiciela.

Tom stał bez słowa; Ezekiel podszedł do niego, przyciskając otwartą szkatułkę do piersi. Na widocznej stronie puzderka Tom zobaczył rubiny wprawione w srebro, ułożone w kształt krzyża. Cztery szmaragdy zdobiły każdy jego złoty koniec.

- Nigdy nie dopuszczono, by opuściły kryptę - powiedział Ezekiel. - Ani razu przez dwa tysiące lat.

Spojrzał Tomowi w oczy, a chude, żylaste ręce wyciągnęły się w jego stronę. Bogato zdobiona szkatułka była teraz kilkanaście centymetrów od niego. Chirurgicznie zręczne dłonie Toma trzęsły się, kiedy wziął puzderko i zajrzał do środka. Leżące tam przedmioty spoczywały na wpół ukryte w purpurowym jedwabiu. Nagle zrozumiał, czym były, a przynajmniej tak mu się zdawało. Odwrócił się do Ezekiela, nie mogąc wykrztusić słowa.

Czarne oczy widziały, jak bardzo jest poruszony; starzec twierdząco skinął głową.

- Jeśli pan w nie wątpi, niech ich pan dotknie - szepnął.

Tom postawił szkatułkę na lewej dłoni, a potem ostrożnie wyjął dwa przedmioty spomiędzy fałd jedwabiu. Teraz, gdy leżały na jego otwartej prawej dłoni, było dla niego oczywiste, co widzi.

Piętnastocentymetrowy, zardzewiały gwóźdź i poślizgnięty ludzki ząb.

Ze swojego punktu obserwacyjnego pod wejściem do Groty Świętego Ognia Maria Benariac widziała, że spotkanie ma się ku końcowi. Wewnętrzna straż pilnująca sanktuarium Bractwa pozwoliła jej zejść na dół bez uprzedzenia, pod warunkiem że nie wejdzie do grotty i nie będzie przeszkadzać ojcu Ezekielowi. Czekwała niemal godzinę i niecierpliwiła się, tak bardzo już chciała zrobić mu niespodziankę.

Wyglądając zza na wpół otwartych drzwi i filarów, widziała ojca, stojącego z bratem Bernardem i bratem Helixem. Był z nimi ktoś jeszcze; musiała zapanować nad ciekawością. Wyciągała jednak szyję, by zobaczyć, kim jest nieznajomy, ale stał ukryty w cieniu filarów. Ze swojego miejsca nie słyszała, o czym mówią ale z ich ruchów i tonu rozmowy widać było, że szykują się do wyjścia.

Helix nachylił się do gościa i wyciągnął dłoń, a gdy ten ją uściśnął, Marii mignęła jego wysoka postać. Było w niej coś znajomego.

Grupka ruszyła w jej stronę. Stojąc w cieniu, przyjrzała się im uważniej. Mowa ich ciał zdradzała odprężenie, a swobodny krok był charakterystyczny dla ludzi, którzy satysfakcjonująco załatwili jakąś istotną sprawę. Teraz również Bernard uściśnął dłoń gościa. Uścisk wyglądał na szczery. Nieznajomy musiał być kimś ważnym dla Bractwa, skoro mistrz Drugiego Imperatywu okazywał mu taki szacunek. Jej samej nigdy tak nie traktował.

Wszyscy czterej zatrzymali się jakieś trzydzieści metrów od niej; rozmawiali, ich niskie głosy zlewały się w niewyraźny pomruk. Gość trzymał w lewej dłoni małą paczkę, ale Maria wciąż nie widziała go dokładnie zza filarów. Bernard głaskał swoją kozią bródkę, a Helix kiwał głową, przytakując czemuś, co powiedział Ojciec. Ojciec wydawał się jeszcze drobniejszy niż zazwyczaj, kiedy tak stał obok Helixa i wysokiego gościa.

Nagle Maria usłyszała po prawej stronie kroki i zobaczyła wychodzącego z cienia mężczyznę. Musiał stać w milczeniu pod drzwiami, być może ich strzegł. Wyszedł na środek grotty, dołączając do grupki, a kiedy mijał pierwszą dużą pochodnię, rozpoznała go.

Gomora.

Co on tu robi? Dlaczego to jego zaproszono do Groty Świętego Ognia, by czuwał nad tym najwyraźniej ważnym spotkaniem? Gomora był przecież drugim agentem. Pierwszym była ona. A jednak to właśnie on tu był, wtajemniczony, doceniony.

Urza zapłonęła w niej jak ogień, kiedy Maria zobaczyła, że ojciec wita jej rywala. Potem odwrócił się i ucisnął dłoń gościa. Być może to była tyl-

ko jej wyobraźnia, rozbudzona szokiem na widok Gomory, ale ten uścisk zdradzał więź, która wzbudziła jej zazdrość. Gość musiał być rzeczywiście bardzo ważny. Wtedy nieznajomy się poruszył, odwracając twarz do światła.

To był doktor Carter.

Maria nie mogła w to uwierzyć. Jakim cudem naukowca bluźniercę wpuszczono do świętej groty Bractwa? Potrząsnęła głową, jakby chciała oczyścić myśli i odzyskać panowanie nad sobą. Tego nauczono jej na obozie szkoleniowym; kontrola była najważniejsza. Przez chwilę nie mogła skupić wzroku, ale po kilku głębokich oddechach wszystko stało się jasne. Nie pomyliła się. Doktor Carter rzeczywiście tu był, i to nie jako więzień czy wróg, ale jako ważny gość. Jaką sztuczkę zastosował, żeby przekonać ojca, by go tu zaprosił i przyjaźnie ścisnął jego dłoń?

Poczuła wzbierającą w gardle żołąć i kiedy grupka nagle ruszyła w stronę wyjścia, cofnęła się w ciemność za drzwiami; siłą woli zapanowała nad sobą, gdy Gomora i Bernard, a potem pozostali przeszli tuż obok niej. Doktor Carter był tak blisko, że mogła wyciągnąć rękę i dotknąć jego czarnych włosów. Teraz słyszała każde wyrażające zadowolenie słowo.

- A więc umowa stoi? - powiedział ojciec Ezekiel, wyciągając dłoń do ostatecznego pożegnania.

- Tak - odparł doktor Carter. - Poinformuję was, kiedy tylko znajdziemy w próbkach jakieś niezwykle geny. A także, oczywiście, kiedy i jeśli znajdziemy kogoś, kto będzie odpowiednikiem waszego Mesjasza.

Znajdziemy kogoś, kto będzie odpowiednikiem waszego Mesjasza?

Maria ledwie wierzyła własnym uszom.

Oni ze sobą współpracują.

Naukowiec przekonał ojca, żeby z nim współdziałał. Zawarli przymierze, tak bluźniercze, że sama myśl o nim zaparła Marii dech w piersi. Nic dziwnego, że nie pozwolono jej śledzić genetyka i wyłączono z wszelkich planów. Ojciec, człowiek, który głosił prawomyślność niepodlegającą kompromisom, w swojej desperacji został zaangażowany w układ z diabłem. Maria patrzyła, jak Bernard z przepaszającym gestem zakłada Carterowi opaskę na oczy i prowadzi go wąskim korytarzem do Wielkich Schodów. Ojciec został z Helixem; obok nich czuwał Gomora.

- Mam nadzieję, że postępujemy słusznie, bracie Helixie - usłyszała słowa Ojca. - Wciąż nie podoba mi się pomysł współpracy z nim.

- Nie przejmuj się - odparł uspokajająco Helix. - Podjąłeś właściwą decyzję. Zobaczysz.

Tego było już za wiele, Ojciec zwodzony na manowce przez mistrza Pierwszego Imperatywu! Maria wyszła z cienia, zaskakując ich wszystkich. Nie próbowała ukrywać gniewu w głosie.

- Ojcze, nie słuchaj go. Jak możesz się układać z ateistą?

Gomora zeszczytniał, gotów odpowiedzieć na każdy jej ruch.

Ezekiel dopiero po chwili zapanował nad sobą. W jego czarnych oczach błyszczał gniew.

- Nemezis? Co ty tu robisz?

Maria zaśmiała się gorzko.

- Przyjechałam przekonać cię, żebyś pozwolił mi zabić naukowca. Ale widzę, że brat Helix wolałby, żebym uścisnęła mu dłoń.

- Są sprawy, których nie rozumiesz - odparł Ezekiel.

- Nie rozumiem? O nie, rozumiem doskonale. Postanowiliście w jakiś sposób wykorzystać bluźnierstwo doktora Cartera, by pomogło wam w waszej świętej misji. Przecież to nonsens, to jakby próbować wykorzystać światło Lucyfera, by trafić do nieba.

Maria zobaczyła, że ojciec zaciska zęby, próbując opanować gniew.

- Pozwól, że coś ci wytłumaczę - wtrącił Helix. - Badania genetyczne doktora Cartera dają nam jedyną możliwość odnalezienia Mesjasza. Możliwość, której bez jego pomocy nie wykorzystamy. Potrzebujemy go żywego i po naszej stronie, dopóki nie znajdzie tego, kogo szukamy. To jedyny powód, dla którego Sprawiedliwy Wyrok został odroczoney.

Maria zignorowała go, nie odrywając wzroku od ojca.

- Ale doktor Carter będzie mieszał się do samej istoty boskości. Jak możecie na to pozwalać, nieważne, jaki byłby cel?

Ezekiel pokręcił głową.

- Liczy się tylko odnalezienie Nowego Mesjasza. Wszystko inne jest nieważne. Pierwszy Imperatyw wykracza poza prosty wybór między dobrem a złem. Muszę mieć na względzie ostateczne, największe dobro, a cel uświęca środki.

- Ale dobro i Bóg to ideały, a nie układy. Ty sam mnie tego nauczyłeś. Naukowiec cię omamił, a brat Helix mu pomaga...

- Nemezis! - Ojciec stracił cierpliwość. - Nie interesuje mnie, co myślisz. Układ zostanie dotrzymany. Ta sprawa ma cię więcej nie interesować. Teraz Gomora cię stąd zabierze, a potem wróc do domu i się uspokoje. Brat Bernard albo ja niedługo się z tobą skontaktujemy.

Ojciec i Helix odwrócili się na pięcie i weszli z powrotem do Groty Świętego Ognia. Maria została odesłana.

Rozwścieczona ruszyła za nimi, ale Gomora zastąpił jej drogę. Zawrzała gniewem. Miała ochotę zaatakować Gomorę, choćby po to, żeby wyładować swoją frustrację. A kiedy podeszło dwóch wewnętrznych strażników, chciała rzucić się i na nich.

Wiedziała jednak, że w ten sposób niczego nie osiągnie - a miała wiele do zrobienia.

Wzięła głęboki oddech, odwróciła się i poszła korytarzem do Wielkich Schodów. Przyspieszając kroku, próbowała dać ujście gniewowi na słabość ojca Ezekiela. Do tej pory uważała go za wzór, idealne połączenie łagodności i nieprzejednanej sprawiedliwości. Ale ten wielki człowiek się postarzał i pozwolił, by brat Helix dał się omamić naukowcowi. Maria stopniowo zapanowała nad wściekłością, ogarnęła ją zimna determinacja.

Skupiła się na jednej myśli, na własnym pierwszym imperatywie: doktor Carter zapłaci za to, co zrobił. I to ona, mścicielka Nemezis, odbierze od niego tę zapłatę. W głębi duszy była przekonana, że ojciec Ezekiel wcale nie chciał dogadywać się z Carterem. Jak mógłby tego chcieć?

Kiedy wspinała się na Wielkie Schody, uporządkowała myśli i postanowienia. Czas czekania na rozkazy brata Bernarda i Ojca minął. Przyszła pora wziąć sprawy we własne ręce.

Laboratorium Cricka, Boston

Jasmine Washington opanowała dreszcz; siedziała w laboratorium Cricka i patrzyła, jak DAN sekwencjonuje genom. Wiedziała, że złożony mózg genoskopu nie pojmuje znaczenia tego, co właśnie robi. Chociaż jego tężne oko widziało, nie rozpoznawało tego, co widzi. Chociaż jego genialny umysł potrafił czytać, nie rozumiał tego, co czyta. DAN ślepo skanował genetyczne litery zapisane w zabarwionym DNA, podłożonym pod jego „oko”. A jego wirtualny umysł bezmyślnie odcyfrowywał zaszyfrowany w nich program, ustalając znaczenie poszczególnych aminokwasów i białek.

Genoskopu nie interesowała tożsamość analizowanych próbek; rozróżniał tylko składające się na nie geny. Dla DAN-a całość nie była większa od sumy części składowych. Wręcz przeciwnie, uznawał, że całość to właśnie zbiór części i tylko one mają znaczenie. W przeciwieństwie do Jasmine genoskop nie dbał o to, że właśnie analizowane przez niego DNA może zawierać genetyczny wzorzec cieśli, który żył przed dwoma tysiącami lat; człowieka znanego światu jako Jezus Chrystus.

Minęły dwa dni, odkąd Tom wrócił ze swojej wyprawy do Tel Awiwu i Jasmine była szczęśliwa, że nic mu się nie stało. Ale kiedy pokazał jej ząb i gwóźdź, które ze sobą przywiózł, nie umiała okazać takiego samego żywiołowego entuzjazmu jak inni. Chociaż żadna z próbek nie podważała jej wiary we wniebowstąpienie Chrystusa, niepokoiła ją sama myśl, że mogą być prawdziwe. Nie umiała pozbyć się dręczących ją, głęboko nienauko-

wych wątpliwości, że rzeczywiście należy odgadywać sekrety, które mogą się w nich kryć.

Spojrzała na Boba Cooke'a. Kalifornijczyk pobladał pod swoją opaleni-
zną i był wyjątkowo spięty. Na jego stole, tak jak na stole Nory Lutz za
nim, leżały pipety, żele i stały równe rzędy probówek Eppendorfa na staty-
wach, pełne wybarwionego DNA.

- Już niedługo - powiedziała.

- Aha- odparł Bob z wymuszonym uśmiechem. Siedem minut. Dobry
kucharz tyle potrzebuje na zrobienie steku.

- Tom niech się lepiej pospieszy - dorzuciła Nora. - Bo przegapi.

- Nie martw się o niego - powiedziała Jasmine. Tom poszedł godzinę
temu do pacjentów, ale wie, kiedy ma wrócić. - Przyjdzie.

Kiedy Tom przekonał ją, żeby przystąpiła do projektu „Kana”, zgodziła
się głównie ze względu na swoją lojalność wobec niego i troskę o Holly.
Nigdy tak naprawdę nie wierzyła, że znajdą autentyczną próbkę albo że
będzie cokolwiek zawierała. Teraz jednak nie była już taka pewna. Przez
ostatnie dwa dni pomagała Tomowi, wraz z Bobem i Norą, przygotować tak
zwane próbki Nazaret. Patrzyła, jak wiertło zagłębia się w coś, co mogło
być autentycznym zębem Jezusa Chrystusa, wydobywając z niego DNA.
I osobiście zdrapała resztki krwi z gwoździa, którym być może naprawdę
przybito Jezusa do krzyża.

Wzięła głęboki oddech. To wszystko było przerażające, a ona czuła, że
traci panowanie nad sobą. Niedługo, już za chwilę, miała się dowiedzieć na
pewno, czy próbki Nazaret są autentyczne i czy zawierają geny Boga.

- Jak idzie? - spytał Tom, wbiegając do pokoju. Był zdyszany, a jego
niebieskie oczy błyszczały z podniecenia. - Już blisko?

Jasmine kiwnęła głową.

- Tak, wkrótce. Jeszcze kilka minut.

Drzwi do laboratorium znów się otworzyły i do środka wszedł Alex, a za
nim Jack. Nikt nie chciał przegapić chwili, kiedy DAN oznajmi, co różniło
Chrystusa od innych ludzi.

Szum genoskopu nagle zmienił tonację. Na jego czarnej, wygiętej szyi
zabłyśły światelka.

- Gotowe - powiedziała Jasmine.

I wszyscy zamilkli.

Tom Carter nie spał od prawie trzech dób, ale nie potrafił sobie wyobra-
zić stanu większej czujności. Wciąż nie opadła mu adrenalina po wizycie

w krypcie Bractwa i teraz jedyne, czego pragnął, to zobaczyć analizę próbki sporządzoną przez DAN-a.

Jasmine wstała.

- Zanim DAN zacznie mówić, musicie się dowiedzieć o kilku rzeczach - powiedziała. - Po pierwsze, genoskop został skonfigurowany tak, żebyśmy otrzymali wyniki z próbki z gwoździa i zęba. Wyniki z gwoździa pojawiają się pierwsze. Ponieważ jednak próbka została tak zdegradowana, będziemy mieli szczęście, jeśli odczytamy z niej więcej niż jedną trzecią genomu. Dlatego nie bądźcie rozczarowani. Próbka z zęba powinna być o wiele bogatsza. Wynik analizy obydwu zostanie zaprezentowany na monitorze i przez głośniki DAN-a.

Tom zobaczył, jak duży ekran obok genoskopu ożywa, wyświetlając logo GENIUS-a.

- Kiedy tylko znajdziemy coś interesującego - dodała Jasmine - uruchomimy nagłowny zestaw wirtualnej rzeczywistości, żebyśmy mogli obejrzeć dowolne geny w trójwymiarowym zbliżeniu.

Wielki czarny łabędź wydał ostrzegawczy pomruk.

- Proszę o ciszę. DAN, jesteś gotów?

Natychmiast zapadła cisza. Słuchać było tylko szuranie stóp, kiedy wszyscy przysunęli się bliżej do monitora.

- Analiza próbki Gwóźdź Nazaret gotowa - oznajmił DAN. - Wyniki gotowe do zaprezentowania. Proszę wybrać jedną z opcji widocznych na ekranie: Dane podstawowe; Analiza wg chromosomów; Szczegółowe wyszukiwanie genów.

- Prosimy o szczegółowe wyszukiwanie genów, DAN - powiedziała Jasmine.

Ekran natychmiast się zmienił; zaczęły się po nim przesuwac rzędy liter, zbyt szybko, by można było je przeczytać. Od czasu do czasu ich strumień zatrzymywał się na moment, wypełniając monitor niezliczonymi, zestawionymi w trójki literami. Każda trójka była kodonem, oznaczającym konkretny aminokwas:

```
ATG AAC GAT ACG CTA TCA AGC TTT TTA AAT CGT AAC GAC GCT
TTA GGG CTT AAT CCA CCA CAT GGC CTG GAT ATG CAC ATT ACC
AAG AGA GGT TCG GAT TGG TTA TGG GCA GTG TTT GCA GTC TTT
GGC TTT ATA TTG CTA TGC TAT GTT GTG ATG TTC TTC ATT GCG
GAG AAC AAG GGC TCC AGA TTG ACT AGA GCA GTC TTT GGC AAC
GAT ACG CTA TCA TTT ATA TTG CTA GCT CCA TTC TTC GAG TTA
TGG GCA GTG TTT GCA GTC TTT ACG TTT TTA AAT CGT GGC GTT
```

GT ATG TTC GTG ATG TTC TTC ATT GCG GAG AAC AAG GGC TC
 AG TTG ACT AGA ACA GTC TTT GGC AAC GAT ACG AAC GAC GC
 TT GGG CTT AAT CCA CCA CAT GGC CTG GAT ATG AAA GTT AG
 AA TCT ACA GGT GAA GTT CAA GTC GAA TTT TTT AAC CAC GT
 TA AGA GGT TCG GAT TGG TTA TGG GCA GTG TTT GCA GTC TT
 GG TTT ATA TTG CTA TGC TAT GTT GTG ATG TTC TTC ATT GC
 GA AAC AAG GGC TCC AGA TTG ACT AGA GCA GTC TTT GG AA
 GA ACG CTA TCA GTG TTT GCA GTC TTT TTT ATA TTG CTA GC
 CC TTC TTC GAG CTG GAT ATG CAC ATT ACC AAG GCG GAG AA
 AA GGC TCC TTG TAC TTT ATC TGT TGG GGT CTA AGT GAT GG
 GG AAC CGY ATT CAA CCA GAC GCA GTC TTT GGC AAC GAT AC
 CT TCA TTT ATA TTG CTA GCT CCA TTC TTC GAG TTA TGG GC
 GT TTT GCA GTC TTT ACG TTT TTA AAT CGT GGC GTT GTG AT
 TT GTG ATG TTC TTC ATT GCG GAG AAC AAG GGC TCC AGA TT
 AC AGA ACA GTC TTT GGC AAC GAT ACG AAC GAC GCT TTA GG
 CT AAT CCA CCA CAT GGC CTG GAT ATG TCC AGA TTG ACT AG
 AC GTC TTT GGC AAC GAT ACG AAC GAC GCT TTA GGG CAT AG
 GG TCG GAT TGG TTA TGG GCA GTG TTT GCA GTC TTT GGC TT
 AT TTG CTA TGC TAT GTT GTG ATG TTC TTC ATT GCG GAG AA
 AA GGC TCC AGA TTG ACT AGA GCA GTC TTT GGC AAC GAT AC
 CT TCA TTT ATA TTG CTA GCT CCA TTC TTC GAG TTA TGG GC
 GT TTT GCA GTC TTT ACG TTT TTA AAT CGT GGC GTT GTG AT
 TT GTG ATG TTC TTC ATT GCG GAG AAC AAG GGC TCC AGA TT
 AC AGA ACA GTC TTT GCT CCA TTC TTC GAG CTG GAT ATG CA
 AT ACC AAG GCG GAG AAC AAG GGC TCC TTG TAC TTT ATC TG
 TG GGT CTA AGT GAT GGT AAC CGY ATT CAA CCA GAC GCA GT
 TT GGC AAC GAT ACG CTA TCA TTT ATA TTG CTA GCT CCA TT
 TT GAG TTA TGG GCA GTG TTT GCA GTC TTT ACG TTT TTA AA
 CG GGC GTT GTG .AIG TIC.

Za każdym razem, kiedy ekran zamierał, wyskakiwała na nim liczba wskazująca, do której z dwudziestu trzech par chromosomów kod DNA się odnosił. Obok pojawiła się liczba procentowa, informująca, jaką część całego genomu przeanalizowano. Przewijanie znów ruszało, aż przeanalizowany został cały genom. Ostateczny wynik: trzydzieści dwa procent.

Ekran zmienił się po raz ostatni: pojawiła się tabela ze wszystkimi dwudziestoma trzema parami chromosomów w lewej kolumnie i procentem czytelnego DNA w każdym z nich w prawej.

- Wszystkie chromosomy uszkodzone - oznajmił DAN. - W
moż-
liwych do odczytu fragmentach nie znaleziono żadnych wy-
jątkowych genów. Aby ekstrapolować brakujące segmenty,
potrzeba więcej danych.
- Niezbyt dobrze? - spytał Alex.
- Nie - odparł Tom. - Ale ponieważ udało się nam odczytać tylko jedną
trzecią genomu, to nic nie znaczy. DNA jest bardzo odporne, ale z powodu
rdzewienia gwoźdźca i rozkładu komórek krwi duże fragmenty kodu gene-
tycznego są albo nieczytelne, albo zniszczone. Dlatego wiemy na pewno
tylko tyle, że nie ma żadnych wyjątkowych genów w tej jednej trzeciej,
którą odczytaliśmy.
- A więc co teraz?
- Zaczekamy na DNA z zęba. Było chronione przez szkliwo, więc po-
winno zachować się całe. Z badań nad DNA egipskich faraonów, czasem
o tysiąc lat starszych niż ta próbka, wiemy, że materiał pobrany z wnętrza
zęba albo kości jest najtrwalszą formą DNA, jaka istnieje.
Jak zwykle Alex chciał wiedzieć więcej.
- Ale skąd wiesz, że tam nic nie ma?
Jego ojciec lubił słowa, a nie głupie liczby, poza tym nie był przyzwy-
czajony być jedynym chłopcem w klasie, który nie rozumie, co jest napi-
sane na tablicy. Dlatego Tom wyciągnął wydruk z drukarki stojącej obok
DAN-a.
- Spójrz, pokażę ci - rozpostarł papier w rękach. - Dane łatwiej ogarnąć
na wydruku.
Podszedł do nich Jack.
Tom rozłożył wydruk tak, żeby obaj go widzieli.
- Tak powinno być jaśniej.
- Czy to są chromosomy? - spytał Alex, wkładając okulary i wskazując
ponumerowane nagłówki.
- Tak, wyobraź sobie, że to mapa USA, na której są tylko dwadzieścia
trzy stany. Dwadzieścia trzy pary chromosomów to stany, a geny to mia-
sta w tych stanach. W genach masz podstawowe litery, które są jak poje-
dynczy mieszkańcy. Kolejność tych liter oznacza, jakie białka produkuje
każdy gen. Te białka dbają o twoje ciało i rozwijają je. Dzięki nim ros-
ną ci włosy. Trawisz jedzenie. Leczysz swoje skaleczenia i tak dalej. Ten
wydruk przedstawia tylko geny, niezwykle geny. Rozumiesz? Geny, które
wykraczają poza albo znajdują się na samiotkłej krawędzi standardowego,
zdrowego genomu.

Wskazał rubrykę geny anormalne pod numerem dwudziestym.

- Gdyby znajdowało się tu cokolwiek niezwykłego, zobaczyłbyś geny podkreślone. Ale jak widzisz, wszystkie geny w tym chromosomie są w granicach normy. To znaczy te, których nie uszkodziła korozja gwoździa.

Wskazał rubrykę na samej górze.

- Jeśli spojrzysz tu, widzisz, że w całym genomie, to znaczy w tym nie-
tkniętym fragmencie, który udało nam się przeanalizować, nie ma żadnych
niezwykłych genów. Nic.

- A więc masz nadzieję, że te niezwykle geny znajdują się w pozostałych
siedemdziesięciu procentach, których nie dało się przeskanować? - spytał
Jack.

- Tak.

Jack odwrócił się do genoskopu, przy którym Jasmine i Bob sprawdzali
analizę zęba.

- I uważasz, że bardziej kompletne DNA z zęba pozwoli nam to zoba-
czyć?

- Być może.

Alex nachylał się nad wydrukiem.

- Skąd DAN wie, które z tych liter stanowią geny?

- Tylko mały procent trzech miliardów nukleotydów ludzkiego DNA ko-
duje funkcjonalne geny. Pozostałe, zwłaszcza tak zwane introny, na pozór
nie robiąw ogóle nic. Każdy gen jest ujęty w klamry konkretnej kombinacji
nukleotydów, kodony stop-start. One właśnie mówią DAN-owi, gdzie ma
szukać. Na przykład większość genów zaczyna się aminokwasem metionina
- to ATG. Dlatego za każdym razem, kiedy DAN odczyta ATG, wie, że w tym
miejscu zaczyna się gen. TAG z kolei mówi DAN-owi, gdzie gen się kończy.
Dlatego DAN odczytuje tylko nukleotydy między tymi sekwencjami, w tak
zwanym otwartym ramkach odczytu. Resztę ignoruje jako bełkot.

- Analiza próbki Zęb Nazaret zakończona. Wyniki
dostępne do zaprezentowania. Wybrano opcję:
Szczegółowe wyszukiwanie genów - przerwał mu zza pleców
E- Mamy dobry odczyt - powiedziała Jasmine, wyraźnie podniecona.
- Niemalże doskonały.

Tom odwrócił się wraz z innymi do ekranu.

- Nie znaleziono żadnych genów spoza standardowego
ludzkiego genomu - oznajmił nagle DAN.

- Co? - Tom osłupiał. Nie mógł w to uwierzyć.

Jasmine głośno westchnęła, nie wiadomo, czy z zawodem, czy z ulgą.

- Cholera - mruknął cicho, ale wyraźnie Jack.

Bob i Nora w milczeniu wpatrywali się w ekran.

Alex tylko pokręcił głową i zmarszczył czoło.

Tom sprawdził analizę ogólną. Skan genomu nie wykazał żadnych nie-
zwykłych genów. Nic. To było niemożliwe. Najbardziej niezwykłe w ge-
nomie zęba było to, że był zbyt doskonały. Niemal idealnie pokrywał się
z podręcznikowym standardowym genomem ludzkim, do którego porów-
nywano wszystkie inne, ale od którego wszystkie inne zawsze się różniły.
Genom Chrystusa, jeśli to rzeczywiście był jego genom, posiadał tylko
jedną anomalię. Był zbyt normalny. W genetycznym układzie nie istniał
ani jeden defekt. Poza tym jednak nie było w nim nic.

Wtedy ciężką ciszę przerwał Alex.

- To pewnie głupie pytanie. Ale czy geny, których szukacie, nie mogłyby
mieć innych kodonów stop-start? Takich, których DAN by nie rozpoznał?

Tom spojrział na Jasmine; zobaczył, że to samo i jej przyszło do głowy.
Faktycznie, to było głupie pytanie, nie zadałby go żaden szanujący się ge-
netyk, który wie cokolwiek o wszechmocnym genoskopie. Dlatego właś-
nie Tom go nie zlekceważył.

- Ale jak mielibyśmy znaleźć nowe kodony stop-start? - spytała Jasmine,
jakby czytając w jego myślach.

- Moglibyśmy spróbować homologii - powiedział Bob Cooke. - Potrze-
bowalibyśmy jednak innego ciągu DNA zawierającego te same geny.

- Homologii? - spytał Alex.

- Tak - odparł Tom. - DAN może przeszukać dwa ciągi DNA i spró-
bować znaleźć długą sekwencję nukleotydów, która byłaby identyczna
w obu. Szanse, że taka sekwencja byłaby genem, są bardzo wysokie. Wte-
dy wzięlibyśmy jego pierwszą i ostatnią sekwencję i bingo, mielibyśmy
nasze nowe kodony stop-start.

- Ale potrzebny nam jest drugi ciąg innego DNA, który zawierałby jeden
lub więcej takich genów - przypomniała Jasmine.

- A ten genom, który znalazłaś w IGOR-ze, kiedy przeglądałaś geny
uzdrowicieli? - spytał Tom, w desperacji gotów spróbować wszystkiego.

- Jak on się nazywał? Ten Brytyjczyk, którego skremowano w zeszłym
roku, ten, który łągodził artretyzm dotykiem rąk?

Jasmine przysunęła się do komputera obok DAN-a i zaczęła szybko stu-
kać w klawiaturę.

- Anderson, tak?

- Tak, to on. Puść przyspieszoną homologię jego i genomu Chrystusa.

Palce Jasmine znów zatańczyły.

- Gotowe. Podałam DAN-owi wszystkie dane, powinniśmy otrzymać wynik za kilka minut.

DAN potrzebował zaledwie czterech i pół minuty, by oznajmić, że oba genomy mają identyczną sekwencję pięćdziesięciu siedmiu tysięcy nukleotydów i że ich kodony stop-start składają się z trzech z nich: GCCTGACCG otwiera sekwencję, a TCGAGGTAC ją zamyka. Jasmine z kolei potrzebowała niecałych trzydziestu sekund, by skalibrować DAN-a tak, żeby przeanalizował cały genom Chrystusa w poszukiwaniu genów znajdujących się w tych klamrach.

Nastąpiła kilkuminutowa cisza; Tom nie usłyszał ani jednego dźwięku, nawet oddechu innych.

Potem DAN przemówił.

- Znaleziono gen spoza standardowego genomu ludzkiego w ojcowskiej kopii chromosomu 7.

Na ekranie zatańczyły liczby i tym razem wzrok Toma zatańczył razem z nimi. W końcu widział dowody tego, na co dotąd miał tylko nadzieję.

DAN wydał odgłos przypominający chrząknięcie.

- Znaleziono gen spoza standardowego genomu ludzkiego w ojcowskiej kopii chromosomu 10.

Dwa geny. Znaleźli dwa geny. Tom nie mógł się doczekać, kiedy zapytał DAN-a, co kodowały, ale zanim zdążył coś powiedzieć, genoskop zaczął warczeć, jakby myślał nad jakimś wyjątkowo trudnym problemem. A kiedy znów się odezwał, Tomowi wydało się, że w jego metalicznym, monotonnym głosie usłyszał zaskoczenie.

- Znaleziono trzeci gen w ojcowskiej kopii chromosomu 18. Nie znaleziono więcej genów spoza standardowego genomu ludzkiego.

Tom poczuł nagły przyływ podniecenia, zapomniał o swoim rozczarowaniu. Właściciel zęba posiadał trzy geny, których większość – jeśli nie wszyscy – innych ludzi nie miała. Tom rozejrzał się i zauważył wyraz twarzy Jasmine. Twarze pozostałych zastygły w takim samym bezgłośnym szoku.

Pierwszy odezwał się Jack.

- Co te geny robią? - spytał. - Jest się czym ekscytować?

- Sprawdźmy. - Tom odwrócił się do genoskopu. - DAN, oceń, proszę, funkcje tych nowych genów.

Warkot genoskopu opadł ton niżej, a światełka na jego obłym korpusie zamigotały. Po chwili głos odzyskał normalną wysokość.

- Wstępna ekstrapolacja kodowanych aminokwasów wskazuje, że gen z chromosomu 7 powinien kodować białka ze zdolnością naprawy DNA i komórek. Gen w chromosomie 10 posiada funkcję kontroli komórkowej. Trzeci gen w chromosomie 18 jest zbyt złożony, by wstępnie ocenić jego działanie. To wszystko jedynie przybliżone oceny oparte na dostarczonych danych. Konieczna jest weryfikacja laboratoryjna.

Bob Cooke spojrzął na Toma szeroko otwartymi oczami.

- Niewiarygodne. Pierwszy gen może tworzyć albo naprawiać DNA. A drugi kontroluje rozwój komórek. Może to geny warunkowej ekspresji, jeden przyspiesza wzrost komórek, a drugi hamuje ich podział. Razem mogą kontrolować fluktuacje reszty genomu.

O ile ekstrapolacja DAN-a jest właściwa - zastrzegła Jasmine.

- Oczywiście. - Tom machnął ręką na jej obawy. - Będziemy musieli potwierdzić to w laboratorium, poza tym wciąż musimy odkryć, co robi trzeci gen. Ale jeśli to geny warunkowej ekspresji, kontrolujące resztę DNA, to by wyjaśniało, dlaczego genom Jezusa był taki zdrowy. Może dzięki nim miał wyjątkowo sprawny układ odpornościowy?

- Który mógłby przekazywać innym? - wtrącił Bob z podekscytowanym uśmiechem.

Tom również się uśmiechnął.

- To pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów. I to właśnie będziemy musieli sprawdzić w laboratorium.

Nagle pomyślał o Ezekielu.

- Jazz, damy radę znaleźć w IGOR-ze pasujący do tego zestaw genów?

Jasmine wzruszyła ramionami.

- Powinam sobie poradzić. Chwilę potrwa, zanim skalibruję bazę danych do nowych kodonów stop-start, ale wiemy już, że Keith Anderson miał jeden z tych genów. Dlatego - oczywiście, jeśli taki pasujący zestaw jest w IGOR-ze - może znajdziemy żywego człowieka z wszystkimi trzema genami.

Tom podszedł do zestawu nagłownego VR, wystającego z dziobu genoskopu.

- Przyjrzyjmy się tym genom z bliska. DAN, włącz prezentację wizualną.

Poczuł, że pozostali tłoczą się wokół niego, kiedy włożył gogle. Szybko jednak zapomniał o ich obecności, koncentrując się na swojej wyprawie w mikrokosmos. Najpierw zobaczył ciemność, potem pod nim i wokół niego pojawiła się cała komórka. Wszystkie chromosomy, jak kontynenty różnych kształtów, migotały wspaniałymi barwami. Tom wiedział, że kolory pochodzą od wzbudzonych barwników, ale dzięki nim spektakl wydawał się bardziej, a nie mniej prawdziwy.

- Pokaż chromosom 7 - rozkazał DAN-owi - i włącz rozdzielczość poziomu chromosomów.

Widok przed nim natychmiast się zmienił, rozkwitając jeszcze większą liczbą odcieni. Tom skupił się teraz wyłącznie na jednym chromosomie i zawartym w nim ciągu życia DNA. Był piękny. Wzrok Toma powędrował po tęczącej spirali podwójnej helisy. Wzbudzone barwniki rozświetlały kolejne pary nukleotydów, sprawiając, że ciągi DNA uwidaczniały się w trójwymiarze. Przed oczami naukowca rozciągał się nowy gen i sam jego widok zaparł mu dech w piersi. To właśnie był pasek programowania odpowiedzialny za rozwój najświetniejszego człowieka, jaki kiedykolwiek żył, Jezusa Chrystusa, który wywarł tak wielki wpływ na losy ludzkości. A Tom, ateista, był pierwszym żyjącym człowiekiem, który zobaczył genetyczną „anomalię”, która ukształtowała jego przeznaczenie.

- DAN, zabierz mnie do drugiego genu w chromosomie 10.

Obraz wokół niego rozmył się i na nowo skryształizował. Tom znalazł się wewnątrz podwójnej helisy, patrzył wzdłuż jej fluorescencyjnej, wielobarwnej długości, wędrując wzdłuż mieniącego się kolorami bulwaru genów. Pary nukleotydów otaczały go ze wszystkich stron. Był wewnątrz jednego z genów, które sprawiały, że Chrystus różnił się od innych ludzi. Tom czuł autentyczny, nabożny podziw. Ale składał hołd naturze, która stworzyła wyjątek od swoich praw.

Jednak dopiero trzeci gen chromosomu 18 naprawdę zaparł mu dech w piersiach. Nic dziwnego, że DAN nazwał go złożonym; był długi - setki tysięcy par nukleotydów - o wiele dłuższy niż każdy z genów, które Tom widział do tej pory. Naukowiec mógł tylko zgadywać, jakie niezwykłości kodował. Głowę wypełniły mu nagle pytania o to, jak odblokować te geny i zapanować nad ich mocą. Czy będą się zachowywały tak samo jak inne? Czy będzie można wykorzystać normalną technologię rekombinacji DNA i uzyskać ekspresję kodowanych przez nie białek w laboratoryjnie kontrolowanych szczepach bakterii? Czy będzie można włączyć je do wirusa i wstrzyknąć bezpośrednio pacjentowi, czyli Holly? Tyle pytań... Ale to

były dobre pytania. Możliwości. Miał teraz materiał, nad którym mógł pracować. Wreszcie mógł coś zrobić.

Nagle zdał sobie sprawę, że zajął zestaw nagłowny dla siebie i zdjął go, żeby inni też mogli popatrzeć. Jak zwykle jego oczy potrzebowały chwili, żeby przystosować się do świata rzeczywistego, ale natychmiast wyczuł, że przyjaciele nie tłoczą się już wokół niego. Zaskoczony odwrócił się i, choć wzrok miał jeszcze nieskupiony, zauważył, że zebrali się przy kimś stojącym po drugiej stronie DAN-a. Tom poczuł, że jego podniecenie zamienia się w irytację: nikt spoza zespołu „Kana” nie miał wstępu do tej części laboratorium Mendla. A zasada ta była ważna zwłaszcza dzisiaj. Teraz.

Podszedł do pozostałych. Zaskoczyła go cisza. Nikt nic nie mówił; zespół stał kłęgiem, patrząc na intruza. Wtedy wzrok Toma odzyskał ostrość i naukowiec również wytrzeszczył oczy: nieznajomy stał plecami do niego, całkiem nagi.

Jasmine siedziała przy swojej klawiaturze i bez słowa, gestem przyzywała Toma do siebie. Wyglądała, jakby zobaczyła ducha. Tom odwrócił się z powrotem do nieznajomego, który teraz stał zaledwie metr czy dwa od niego. Jasmine rzeczywiście zobaczyła ducha: ducha nazareńskiego cieśli, nieżyjącego od dwóch tysięcy lat.

Wstukala dwa kolejne polecenia dla programu obrazującego i niesamowicie rzeczywisty hologram Jezusa Chrystusa zaczął się obracać na holopadzie przed Tomem.

III

GENY BOGA

Beacon Hill, Boston

O trzeciej dwanaście w nocy, pierwszego kwietnia, piętnaście dni po odkryciu Genów Nazaret, w domu Carterów panowała cisza. Spokój sypialni Holly zakłócał jedynie jej cichy, regularny oddech. Dziewczynka uśmiechała się przez sen, nieświadoma rozwijającej się w niej choroby.

Minęły dwadzieścia cztery dni, odkąd pojedyncza komórka glejowa w jej mózgu przeszła na stronę wroga. Od tamtej pory stworzyła niezliczone klony samej siebie, wszystkie zawierające tak samo buntownicze DNA. Nawet kiedy Holly spała, niezmordowana rewolucja w jej głowie nabierała tempa, rozwijając się jeszcze szybciej, niż to przewidział DAN. Lojalne komórki mózgu nie mogły zrobić nic, by zdławić powstanie. Nawet układ odpornościowy, milicja organizmu zwoływana pod broń, by odrzucać najeźdźców, ignorował mutacje własnych komórek, pozwalając im bez przeszkód zajmować się ich morderczym zadaniem.

Zaledwie przed dwoma dniami, kiedy jej matka chrzestna i ojciec zabrali ją na *Gwiezdne Wojny VII*, Holly doświadczyła pierwszych bólów i zawrotów głowy. Nie powiedziała jednak o tym nikomu, bo bała się, że tata obwini o to komputer i zabroni jej na nim grać. Dlatego postanowiła ograniczyć tę rozrywkę do kilku godzin wieczorem, przekonana, że bóle miną. Ale oczywiście nie mogły minąć, mogły się tylko nasilić.

Śniła o ostatnich wakacjach, kiedy mama i tata byli razem i bawili się z nią na różwobiałych piaskach Horseshoe Bay na Bermudach, a zdradzieckie

komórki zaczynały już drugą mutację swojej klonowanej ewolucji. I gdyby rebeliantów genetycznej wojny o niepodległość nikt nie wziął w rzyzy, gdyby pozwolono im mnożyć się w nieskończoność w ciasnym zamknięciu czaszki Holly, ukochana córka Toma spotkałaby się z matką nie tylko w snach.

Tom Carter był wciąż nieświadom stanu Holly, kiedy następnego ranka jechał do pracy, i miało tak pozostać do chwili jej comiesięcznego badania mózgu za nieco ponad tydzień. W ciągu piętnastu dni od odkrycia Genów Nazaret skupiał wszystkie myśli na tym, jak uwolnić ich moce. Nie miał prawie czasu zastanowić się nad znaczeniem wizji wskrzeszonego holograficznego obrazu Jezusa Chrystusa, a co dopiero się martwić, czy choroba Holly już się rozwinęła.

Tego ranka w laboratorium Cricka z Bobem Cookiem najpierw sprawdził inkubatory Gallenkampa. Wyciągnął cztery okrągłe szalki z hodowlami bakteryjnymi i uważnie im się przyjrzał. Trzy zawierały bakterie *Streptomyces* z jednym z trzech Genów Nazaret. Bakterie służyły za fabryki, produkujące białka na bazie nowych genów. Czwarta szalka zawierała te same bakterie ze wszystkimi trzema połączonymi genami.

- Jakież zmiany? - spytał Bob Cooke za jego plecami.

- Nie, wszystko tak samo, jak u *E. coli*. Najwyraźniej nie mamy tych samych produktów, ale wzór jest podobny. Użyłeś tych samych plazmidów i enzymów restrykcyjnych we wszystkich tackach?

- Identycznych.

- Cóż, gen naz 3 wciąż nie chce się zachowywać, jak należy. Jakikolwiek białko koduje, wciąż nie ma ono prawidłowej struktury przestrzennej.

Bob Cooke wziął czwartą szalkę podpisaną Trójca - *Streptomyces* i zmarszczył czoło.

- Ale kiedy połączymy wszystkie trzy geny, otrzymamy nieznanne białko.

- Tak, ale co ono robi? Hodowle ludzkich komórek udowadniają, że naz 1 koduje jakiś rodzaj białka naprawiającego DNA, ale raczej mało spektakularnego. Białko z naz 2 ma ograniczone cechy kontroli rozwoju komórek, ale znów to nic specjalnego. Najbardziej chciałbym się dowiedzieć, czym jest to zupełnie nowe białko ze wszystkich trzech połączonych genów. Na pierwszy rzut oka nie robi zupełnie nic.

Bob wziął swoje notatki ze stołu obok.

- Gdyby tylko udało się nam sprawić, żeby naz 3 zadziałał odizolowany...
- Zakładając oczywiście, że to robi - mruknął Tom.
- Jeśli nie - odparł Bob - cholernie długo potrwa, zanim wykombinujemy, do czego służy w połączeniu z resztą. Może lepiej byłoby spróbować znaleźć żywą osobę?

Tom odłożył szalki i zaczął chodzić po laboratorium. Sprawa okazywała się trudniejsza, niż się spodziewał. Był pewien, że jego strategia jest słuszna. Ale wyglądało na to, że będzie musiał zmienić podejście. Od początku było oczywiste, że jeśli Geny Nazaret mają właściwości lecznicze, odpowiedź znajduje się w kompozytowym białku tworzonym przez wszystkie trzy razem. Enigmatyczny gen naz 3 dodawał niezidentyfikowany element do pozostałych dwóch, zmieniając ich z osobna niczym niewyróżniające się białka w coś wyjątkowego i ekscytującego. Jednak odblokowanie niesłychanie złożonego trzeciego genu w izolacji zabrałoby zbyt wiele czasu nawet DAN-owi. Dlatego strategia Toma skupiła się na trzech szerokich obszarach działania.

Pierwszy: stworzyć białko w laboratorium. Umieszczając trzy geny w bakteriach, zamieniano je w minifabryki produkujące zakodowane białka. Tom miał nadzieję, że po pewnych modyfikacjach będzie mógł je podawać jak lekarstwo.

Drugi: podać wszystkie trzy geny bezpośrednio żywym zwierzętom i sprawdzić, jaki wpływ mają na organizm i jakie białka produkują *in vivo*.

Trzecią możliwość traktował jako ostatnią deskę ratunku, na wypadek, gdyby poprzednie dwie zawiodły albo wymagały zbyt dużo czasu. Chodziło w niej o to, by znaleźć żywego człowieka posiadającego pełny, czynny zestaw genów. Tom uważał, że mógłby wtedy przebadać naturalnie występujące geny *in situ*. A gdyby wciąż nie mógł ustalić, jak działają, mógłby spróbować przekonać tego kogoś, by zdał sobie sprawę z posiadanych przez siebie uzdrowicielskich mocy i użył ich, żeby pomóc Holly. Początkowo była to możliwość najmniej atrakcyjna, ale im dłużej Tom rozmyślał o postępach, które do tej pory zrobili, tym szybciej wysuwała się na prowadzenie.

Możliwość pierwszą testowali już bez końca. Wszystkie geny umieszczali osobno i razem w *E. coli*, *Saccharomyces cerevisiae*, *Streptomyces*, a nawet w hodowlach komórek ludzkich. Gen naz 3 jednak wciąż nie chciał dokonać ekspresji swojego białka, kiedy zaś łączyli wszystkie trzy geny - które pozbawiony wrażliwości religijnej Kalifornijczyk nazwał Trójcą - zawsze otrzymywali tajemnicze, kompozytowe białko. Za każdym razem

jednak, gdy to robili, stworzona w laboratorium jego wersja pozostawała beczynna.

Możliwość numer dwa również nie dała dotąd większych rezultatów, chociaż nie przeprowadzono jeszcze wszystkich testów. Trójca nie wywarła żadnego efektu na myszach ani żywych komórkach nowotworowych, kiedy umieszczano ją w nich wektorem wirusowym. Po swojej lewej stronie, w chłodziarce z przeszklonymi drzwiami Tom widział rzędy pięknych surowic, które stworzył jego zespół; wszystkie miały dostarczyć trzy geny do komórek macierzystych organizmu. Geny jednak wciąż nic nie robiły, kiedy docierały na miejsce.

Jeśli te surowice nie wykazałyby niczego w dalszych testach, Bob Cooke miałby rację i musieliby skoncentrować się na trzeciej możliwości - znalezieniu kogoś, kto posiadałby już działający zestaw takich genów, żeby przebadac je in vivo lub przekonać go, by uleczył Holly bezpośrednio. Tom podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił na wewnętrzny Jasmine w sekcji IT. Odebrała po drugim dzwonku.

- Jazz.

- Cześć, tu Tom, jak idą poszukiwania?

Chwila wahania.

- Niezbyt dobrze. Paru ludzi, i to dosłownie paru, ma jeden z genów, naz 1 albo naz 2. Ale nikt nie ma wszystkich trzech. Dotąd nie znalazłam nikogo z naz 3. Wielka Matka cały czas dostarcza kolejnych skanów, ale przejrzałam już większość starych danych IGOR-a i już kończą nam się perspektywy.

- Ile skanów Wielka Matka wybiera?

- Jak zwykle. Jeden na pięć.

- Ustaw pięć na pięć. Od tej pory chcę, żebyśmy sprawdzali każdego, kto podda się skanowi genoskopem gdziekolwiek na świecie.

- Każdego? Co się stało? Twój tajemniczy Ezekiel zaczął naciskać?

- Nie, mamy jeszcze trzy tygodnie, zanim zaczniesz się denerwować.

Tom przypomniał sobie, jak starzec był podekscytowany, kiedy dostał z powrotem próbki i dowiedział się, że znaleźli trzy geny. Ezekiel zapytał, kiedy mogą liczyć na oczekiwany rezultat, ale nie nalegał, żeby przesunąć ustalony termin pięciu tygodni.

- To moje pozostałe możliwości zaczynają naciskać, Jazz. Kończą się. W tej chwili jesteś naszą największą szansą.

- Dzięki, od razu poczułam się lepiej. Ale nie rozbudzaj swoich nadziei. Mogą minąć lata, zanim osoba ze wszystkimi trzema genami zostanie przeskanowana i trafi do IGOR-a, i to zakładając, że taki ktoś w ogóle istnieje.

- A te osiemdziesiąt procent genomów, których Wielka Matka nie magazynowała w IGOR-ze?

Westchnienie.

- Znajdują się w prywatnych bazach danych na całym świecie. Próba włamania się do nich jest nielegalna.

- Dopiero wtedy, kiedy ktoś się o niej dowie.

Jasmine usiłowała udawać zaszokowaną ale Tom usłyszał w jej głosie podniecenie.

- Są wyjątkowo dobrze zabezpieczone.

- Chcesz powiedzieć, że to niemożliwe? Czy że potrzebny były geniusz, żeby to zrobić?

Zaśmiała się krótko.

- Doktorze Carter, czy ktoś kiedyś panu mówił, że potrafi pan być przeuroczy, kiedy pan chce?

Tym razem to on się roześmiał.

- Nie, doktor Washington, mogę uczciwie powiedzieć, że nikt.

Przez chwilę milczała, a kiedy się odezwała, była już poważna.

- Jak tam moja chrześnica? W kinie wydawała się podejrzenie cicha.

- Wiem, ale mówi, że czuje się dobrze.

- Kiedy ma następne badanie?

- Za jakiś tydzień.

- Naprawdę uważasz, że potrzebny ci jest żywy człowiek, żeby jej pomóc?

- Cały czas próbujemy innych możliwości, ale jak dotąd nic z nich nie wynika. Dlatego tak, tak właśnie uważam.

Znów westchnienie.

- Zobaczą, co się da zrobić. Ale obiecaj mi jedno, Tom.

- Co tylko zechcesz.

- Odwiedzaj mnie w pudle!

Był doskonały. Jego budowa, nawet kształt twarzy nadawały się idealnie. Był też samotnikiem. Przez ostatnie dwa tygodnie Maria Benariac śledziła ciemnowłosego mężczyznę po całym Bostonie i nie wątpiła, że jest w mieście nowy i nie ma wielu przyjaciół. Trzeciego dnia poszedł do klubu w śródmieściu; odkryła wtedy, że jest biseksualistą, ale to nie był problem - miał jedynie przypadkowych partnerów. Wyglądało na to, że nikt nie tęskniłby za nim przez tydzień albo dłużej. Nawet z telefonu korzystał rzadko - tyle dowiedziała się z podsłuchu - a kiedy ten dzwonił, nigdy nie

podnosił słuchawki, wołał, żeby automatyczna sekretarka filtrowała dzwoniących.

Nie licząc oczywistych i koniecznych zmian, był dokładnie tym, kogo szukała. Nawet jego seksualność ułatwiała jej usprawiedliwienie tego, co zamierzała zrobić. Czyniła go nieprawym, a co za tym idzie zbędnym.

Maria miała się na baczności, kiedy śledziła go od budynku firmy. Jej śledztwo wykazało, że pracował kiedyś w Departamencie Policji Nowego Jorku, był więc jakoś tam wyszkolony. Zauważyła foliową torebkę zarzuconą na prawe ramię i czapkę w prawej dłoni. Najwyraźniej rozmowa kwalifikacyjna w południe poszła dobrze.

Wspaniale.

Gdyby nie dostał pracy w ochronie, wszystkie jego inne kwalifikacje byłyby nic niewarte. Ale zdobywszy ją, był bardziej niż doskonały; był darem Bożym.

Wsiadł do samochodu, a ona pojechała za nim. Nie musiała śledzić go zbyt uważnie; potrafiła już zgadnąć, co robi i dokąd jedzie. Wynajmował mieszkanie w kwartale blisko Harvardu. Kiedy dziesięć minut później mijali kampus GENIUS-a, Maria lekko się uśmiechnęła. Czuła już niemal smak satysfakcji z zabicia naukowca. Za kilka dni zaspokoi ten apetyt na prawdę.

Kiedy zbliżyli się do mieszkania mężczyzny, zaparkowała samochód przecnicę dalej i resztę drogi pokonała pieszo. Gdy dotarła do drzwi kamienicy, on był już w środku. Maria nacisnęła klamkę; tak samo jak poprzedniego dnia i wcześniej drzwi były otwarte. Weszła, sprawdziła, czy jest sama, a potem podeszła do dwóch wind i wsiadła do działającej. W zapuszczonym, obłazłym z farby budynku mieszkali głównie studenci. Na kilka dni jednak się nadawał. Brat Bernard wciąż próbował się z nią skontaktować; w jej londyńskim mieszkaniu zostawił już trzy wiadomości, z których na żadną nie odpowiedziała. Tu jednak Bernard ani nikt, kogo mógł wysłać, nie miał szansy jej znaleźć. A gdyby znalazł, i tak byłoby już za późno.

Na drugim piętrze Maria sprawdziła swój kombinezon i zawartość skrzynki z narzędziami, a potem przeszła korytarzem do drzwi mieszkania mężczyzny. Numer trzydziesty. Zatrzymała się i zapukała.

Cisza. Potem stłumiony głos.

- Kto tam?

Zza czarnych drzwi dobiegł ją oddech; domyśliła się, że mężczyzna wygląda przez judasz.

Podniosła skrzynkę i pokazała mu pomarańczowe logo na plecach kombinezону.

- Jestem z elektrowni, proszę pana - wychrypiała swoim najlepszym głosem a la robotnik. - Mieliśmy w tym i sąsiednim budynku kilka niebezpiecznych skoków napięcia. Muszę sprawdzić pana licznik i przewody. Na wszelki wypadek.

Cisza.

- Ma pani jakiś dokument?

Zirytowała się. Dlaczego ludzie są tacy podejrzliwi? - pomyślała. Jaki powód miał krzepki, młody eks-gliniarz, żeby nie ufać człowiekowi z elektrowni? Czego mógł się bać?

Sięgnęła do kieszeni kombinezону i wyciągnęła zadrukowaną kartkę.

- Tak, pismo od szefa. Na firmowym papierze. Wystarczy?

Wcisnęła papier pod drzwi.

- Czy woli pan mój identyfikator?

Ostentacyjnie otworzyła skrzynkę i zaczęła w niej grzebać. Jakby schowała tam gdzieś identyfikator i teraz próbowała go znaleźć.

Prychnęła jakby z frustracją, przetrząsając zawartość skrzynki. Ale tak naprawdę czekała. I nasłuchiwała.

Zza drzwi dobiegł ją odgłos rozkładania papieru. Mężczyzna wciąż tam był. Nie cofnął się w głąb mieszkania, żeby zadzwonić do firmy. To dobrze.

- Cholera! - zaklęła. - Wiem, że gdzieś tu jest. Może wrócę później, jak go znajdę?

Cisza. Maria niemal słyszała, jak tamten myśli, składając z powrotem szeleszczący papier. Zdecydowanie nie chciał jej powrotu później. Zależało mu, żeby szybko załatwiła sprawę.

Nagle rozległ się zgrzyt otwieranych zamków i odciąganych łańcuchów.

- Proszę wejść. - Mężczyzna otworzył drzwi i oddał jej pismo. Marszczył czoło i wciąż trzymał w ręku czapkę. - Długo to potrwa?

- Pięć, dziesięć minut. Postaram się sprężyć.

Maria zamknęła za sobą drzwi i poszła za nim do szafki w małej kuchni. Stojąc tyłem do niej, otworzył drzwiczki.

- Licznik i cała reszta są tu, proszę.

- Dzięki.

Sięgnęła do skrzynki i wyjęła z niej plastikową reklamówkę i swojego półautomatycznego glocka z tłumikiem. Zanim mężczyzna zdążył

się odwrócić, zarzuciła mu torebkę na głowę, przycisnęła broń do skroni i dwukrotnie strzeliła. Nawet z torebką narobiła nieuniknionego bałaganu, ale przynajmniej go zminimalizowała. Zawlokła trupa do łazienki, położyła w wannie i odkręciła zimną wodę. Za pomocą lodu mogła spowalniać proces rozkładu przez blisko tydzień, a potem? - to bez znaczenia.

Podniosła czapkę mężczyzny, starła dwie krople krwi z czarnego daszka i włożyła ją. Pasowała. Miałam rację, pomyślała z uśmiechem. Rzeczywiście nadawał się doskonale.

Trzy noce później, siedziba GENIUS-a, Boston

Tak jak wszystkie społeczności, cyberswiat ma swoje subkultury. Znużone, znajdujące się na komputerach dzieciaki grasują po cyberulicach w poszukiwaniu podniecy i sławy, próbując włamać się do każdego systemu, jaki im się nawinie. Te tak zwane cyberpunkki krążą po elektronicznych autostradach od jednej strony internetowej do drugiej, próbując przekonać wszystkich, że są najlepszymi hakerami w cybermieście. Każdy ma to samo marzenie: dokonać jakiegoś niebezpiecznego, bohaterkiego czynu, zabić jakiegoś elektronicznego smoka i awansować ze zwykłego cyberpunka na cyberlorda.

Niewielu z nich się to udaje. Ale kilku zostało prawdziwymi legendami. A największą haker, który włamał się do bazy danych Federalnych Rezerw Skarbowych, systemu sterowania satelitami NASA i rosyjskiego Centrum Strategicznych Pocisków Jądrowych, opanowując całkowicie każde z nich po kolei. Na szczęście haker ten miał pokojowe zamiary i za każdym razem ostrzegał władze o włamaniu i wskazywał, w jaki sposób mogą i powinny poprawić swoje zabezpieczenia. Oczywiście władze próbowały go wytropić i aresztować, ponieważ jednak stosował skomplikowaną trasę, zmieniając serwery i przeskakując z sieci na łącza satelitarne i z powrotem, gubiły swoją ofiarę. Społeczność cyberpunków wiedziała jednak, kto to zrobił. Jeden z nich: haker posługujący się pseudonimem Żyleta.

To było przed dwunastoma laty. Po tamtych wydarzeniach Żyleta zniknął z Internetu, ale jego imię żyło jako imię jednego z największych - prawdziwego cyberlorda.

Tej nocy jednak Żyleta znów jechał informacyjną superstradą. Alter ego hakera potrzebowało anonimowości tego pseudonimu i otuchy, jaką dawały jego dawne sukcesy. Ponieważ tej nocy kobieta, która poświęciła wiele lat, by zostać szanowanym członkiem naukowej społeczności - noblistką - znów łamała prawo.

Doktor Jasmine Washington napiła się dietetycznej coli i ugryzła kawałek pizzy, nie odrywając wzroku od dwudziestocalowego monitora. Od piętnastu godzin pracowała w swoim gabinecie na parterze piramidy GENIUS-a. Przynajmniej raz była zadowolona, że Larry wyjechał z miasta. Cieszyła się ciszą i spokojem nocy; wtedy właśnie jej umysł pracował najlepiej.

Nie licząc błękitnej poświaty monitora, ostry krąg światła z przekrzywionej lampki obok był jedynym oświetleniem w małym, lecz niezagraconym gabinecie. Za ścianą, w białym pokoju o stałej temperaturze, sercu sekcji informacyjno-technologicznej, Wielka Matka wydawała cichy, niemal usypiający pomruk, gdy maleńka cząstka jej potężnego mózgu zbierała i porównywała wszystkie skany ze wszystkich genoskopów działających na całym świecie. Poza cichym tykaniem zegara stojącego na monitorze w gabinecie panowała zupełna cisza. Było już po północy i Jasmine miała wrażenie, że cały świat oprócz niej śpi.

Sprawdziła rozłożone notatki. Przeszukanie wszystkich archiwów IGOR-a zakończyło się przed dwoma dniami i nie znaleziono żadnego posiadacza wszystkich trzech genów, chociaż co godzinę spływały nowe dane z genoskopowych skanów nieumieszczonych jeszcze w bazie danych. Jasmine szukała go teraz jednak gdzie indziej. Włamała się już do wielu łatwiejszych baz danych na swojej liście, w szpitalach i niewielkich firmach ubezpieczeniowych na całym świecie. W każdej takiej bazie umieszczała plik, zawierający jedynie sekwencję genetyczną Genów Nazaret, żeby wyszukać ich odpowiednik. Właśnie skończyła przeszukanie kilku większych i trudniejszych baz danych, w tym amerykańskich, brytyjskich i francuskich repozytoriów DNA, chronionych przez software'owe alarmy i oprogramowanie śledzące PREDATOR wersja 2. Zapory te okazały się jednak łatwe dla cyberlorda; Jasmine z zadowoleniem stwierdziła, że nie straciła swoich hakerskich umiejętności. Ale rozczarowało ją to, że po przejrzaniu blisko dwustu milionów indywidualnych genomów wciąż nawet nie zbliżyła się do celu.

Rozprostowała ręce nad głową i wstała z fotela, a potem na sztywnych nogach podeszła do szklanej ściany piramidy. Na zewnątrz wszystko spowijała atramentowa ciemność, chociaż na czystym niebie widać było drobne gwiazdy i cienki, srebrny rąbek księżyca. Przed nią, w mroku kampusu świeciła słabo stróżówka. Jasmine wiedziała, że siedzi tam dwóch strażników - obserwują cały teren na monitorach. Dostała się do centralnego komputera wideo i podpięła zapętłony film pod kamerę obserwującą jej gabinet. Teraz każdy strażnik, który zajrzyłby do jej gabinetu, zobaczyłby tylko puste pomieszczenie zamiast dyrektora działu informatycznego GENIUS-a, włamującej się po kolei do nielegalnych baz danych.

Wróciła do komputera i usiadła. Widok hologramu Chrystusa przeraził ją poczuła się tak, jakby przyzwała Jego ducha wbrew Jego woli, niczym jakiś nekromanta z dawnych czasów. Całą noc i prawie cały następny dzień po odkryciu Genów Nazaret rozmyślała. Nie wiedziała, co robić - powiedzieć Tomowi, żeby wyłączył ją z „Kany”, czy może pracować dalej nad czymś, co mogło okazać się cudem. Wreszcie, po długim czasie spędzonym na zwykłych, staromodnych modlitwach uznała, że jeśli geny te mają pomóc uleczyć Holly i rodzaj ludzki w ogóle, musi wytrwać w tym projekcie do końca. A teraz od niej zależało znalezienie posiadacza wszystkich trzech. Tom i Holly na nią liczyli.

Sprawdziła jeszcze raz swoje notatki na temat wszystkich baz danych, które zamierzała odwiedzić. Spisała je w porządku rosnącym według stopnia trudności i ryzyka. Logiczne było próbować znaleźć posiadacza genów w najbezpieczniejszy sposób i ryzykować tylko wtedy, kiedy to by się okazało konieczne. Przecież nie pomogłaby nikomu, dając się złapać i aresztować. Mimo to Jasmine wiedziała, że najbogatsze łupy znajdują się w większych, lepiej chronionych bazach. Największą z nich był paryski system, który ochrzciła Czarną Dziurą, ponieważ był olbrzymi - zawierał wiele milionów genomów - i chroniony przez nowy system PREDATOR wersja 3. Dzięki temu był równie bezpieczny, jak jej własny IGOR, uważany przez nią za niemal całkowicie nienaruszalny. Każdy, kto wchodził do Czarnej Dziury bez odpowiedniej autoryzacji albo właściwych umiejętności, zostawał wessany do środka bez możliwości wylogowania się; system PREDATOR wychwytywał następnie sygnał hakera i szybko go namierzał. Dla Żylety byłaby to pokusa nie do odparcia, ale starsza i bardziej doświadczona doktor Jasmine Washington lepiej zdawała sobie sprawę z prawdziwych niebezpieczeństw. Wejście do Czarnej Dziury rozważyłaby dopiero wtedy, kiedy nie byłoby już innego rozwiązania.

Przesunęła kursor na ekranie na następny system na swojej liście. Każdy, kto miał choćby pobieżną styczność z genetyką, wiedział o Bazie Danych Zróżnicowanego Ludzkiego Genomu. Zawierała ona owoce pracy kontrowersyjnego projektu o tej samej nazwie. Rozpoczęty na początku lat dziewięćdziesiątych przez dwóch genetyków, Luigię Lukę Cavallego-Sforzę z Uniwersytetu Stanforda i Kennetha Kidda z Yale, Projekt Zróżnicowanego Ludzkiego Genomu był boczną gałęzią Projektu Ludzki Genom. Jego celem było zdobywanie i zachowywanie DNA oraz potencjalnie rzadkich genów ponad pięciuset etnicznych społeczności z odległych zakątków świata. Wiele z nich, tak jak Hadza z Tanzanii, Jukagiriowie z Syberii czy Onge z wysp Andaman, już wymierało.

Kontrowersje wzbudził fakt, że w oczach opinii publicznej zachodnia nauka ceniła DNA tych ginących ludów bardziej niż je same. Doszło do wielu gorszących przypadków, kiedy zachodnie rządy, zwłaszcza amerykański, próbowały patentować rzadkie geny, obiecujące w walce z pewnymi chorobami. Próby te udaremniono, ale gdyby tego nie zrobiono, wszystkie, niemałe zyski trafiłyby do rządu USA i firm farmaceutycznych, a nie do pierwotnych właścicieli genów.

Genoskop umożliwił autorom projektu ustalenie wytycznych zapewniających, że zidentyfikowani zostaną wszyscy dawcy próbek, tak że gdyby odkryto rzadką linię genów, można by było przypisać ją konkretnej osobie, rodzinie albo społeczności. Taka osoba, rodzina czy społeczność skorzystałaby wtedy ze wszystkich zysków, jakie mogłyby z tego wyniknąć. Kiedy uzgodniono już te prawa poszukiwań genetycznych, projekt potoczył się dalej bardziej gładko i wszystkie genomy zarchiwizowano w Bazie Danych Zróżnicowanego Ludzkiego Genomu.

Jasmine kliknęła ikonkę; na ekranie powitalnym wyskoczyło żądanie hasła. Natychmiast rozpoznała bazową architekturę systemu: była to zaawansowana baza danych Kubiki 2000. z integralnymi zabezpieczeniami. Tak jak w przypadku wszystkich japońskich produktów Jasmine zaimponował jej projekt. Seria bramek strzegących dostępu do bazy danych była dokładnie zaprogramowana, dobrze przemyślana i usiana sprytnie umieszczonymi software'owymi alarmami.

To jednak jej nie zniechęciło. Żyła może i nie była tak aktywna jak kiedyś, ale doktor Jasmine Washington starała się być na bieżąco z nowościami, a nawet je tworzyła. Z jej doświadczenia wynikało, że dobrze zaprojektowane japońskie systemy mają jedną wielką wadę. Samo ich piękno i przejrzystość były ich piętą achillesową.

Jasmine odruchowo sięgnęła po kawałek zimnej pizzy i się zamyśliła, jedząc. Kiedy skończyła, z roztargnieniem otarła usta wierzchem dłoni i zaczęła stukać w klawiaturę. Jeden po drugim rozplątywała niewidzialne szwy programu, którymi pierwotny programista zszył bazę danych. Za każdym razem, kiedy wyłączała kolejne bramki zabezpieczeń, jej domysły się potwierdzały. W tym właśnie tkwiła wada tego systemu. Był za dobrze zaprojektowany. Zbyt przewidywalny.

W niecałe czterdzieści minut, jak Żyleta z dawnych czasów, była już w środku; przeszukiwała dane, importując kopię pliku Genów Nazaret i szukając dokładnego odpowiednika zawartych w nich sekwencji genetycznych.

Sięgnęła po colę, przygotowując się na krótkie oczekiwanie. Nawet jej potężna, stuterahercowa maszyna potrzebowała trochę czasu, by przesukać bazę danych tych rozmiarów.

Ale wiadomość Znaleziono odpowiednik zamigotała na jej monitorze niemal natychmiast.

Tak szybko, że zaskoczona Jasmine wylała sobie colę na koszulkę i dzinsy.

- Rany.

Podekscytowana zobaczyła, że ekran się zmienia, ukazując zeskanowane zdjęcie, a obok niego tekst. Fotografia wyglądała jak wyjęta z policyjnego archiwum: przedstawiała twarz mężczyzny o długich, siwych włosach, patrzącego wprost na nią. Spodobała się jej ta twarz, zdecydowane i pełne godności rysy, można by nawet powiedzieć, szlachetne. Mężczyzna sprawiał wrażenie starego, ale utrzymującego się w świetnej kondycji; na nagim torsie widać było wyraźną rzeźbę mięśni. Jasmine przewinęła tekst obok zdjęcia. Nieznajomy był Indianinem Wayuu z Carisal w Kolumbii. Na nazwisko miał Puyiana, ale jego imię podano jedynie jako Al. Serce zabiło jej w piersi, kiedy przeczytała zdanie na dole tekstu.

Przypisuje mu się uzdrowicielskie moce.

Al był uzdrowicielem. Jasmine przeczytała o tym, jak Al Puyiana, w przeciwieństwie do innych okolicznych uzdrowiaczy, nie wykorzystywał swojej znajomości lokalnych ziół i roślin, ale „leczył dotykiem”. Naukowcy, którzy sporządzili tę dokumentację, twierdzili, że nie rozumieją, jak to robi, ale zapisali, że istnieją „przekonujące dowody”, iż posiada on „autentyczny dar”.

Na górze ekranu Jasmine zobaczyła ikonki opcji udostępniających więcej informacji o tym mężczyźnie. Najbardziej interesowała ją ikonka „Dane

genetyczne", która potwierdziłaby zgodność z Genami Nazaret - genami, które naukowcy przed nią bez wątpienia przeoczyli z powodu ich odmiennych kodonów stop-start. Już miała w nią kliknąć, kiedy zauważyła dwie daty pod nazwiskiem Ala, nie tylko datę jego urodzin. Druga pochodziła sprzed nieco ponad trzech miesięcy.

Jasmine wróciła do pola tekstowego i przewinęła je na sam dół.

- O nie - szepnęła. Poczowała ukłucie prawdziwego żalu. Człowiek, którego dopiero poznała, Al Puyiana o zdecydowanej twarzy i dłoniach uzdrowiciela, umarł trzy miesiące temu w godnym pozazdrosczenia wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat.

Jasmine sprawdziła jeszcze raz jego sekwencję genetyczną. Była idealna. Zmarły miał w swoim genomie wszystkie trzy Geny Nazaret, każdy z nich identyczny z sekwencją znaną w próbkach Chrystusa. Skopiowała jego dane i skan genów, po czym zapisała je na dysku zapasowym obok swojego peceta. Nawet po śmierci mógł zdradzić im jakieś tajemnice.

- Cholera.

Dowiedzieć się, że rozminęli się zaledwie o trzy miesiące - to było po prostu nie fair. Jasmine zastanawiała się, czy nie zatelefonować do Toma, by powiedzieć mu, co się stało, ale odrzuciła ten pomysł, kiedy spojrzała na zegarek. Wpół do drugiej w nocy. Wiedziała, że Tom pracuje do późna, ale wątpiła, by był jeszcze w swoim laboratorium. Może też powinna pojechać do domu i się przespać... czuła się jednak zbyt pobudzona. Przeczytała ponownie tekst o Indianinie Wayuu z Carisal. Słowa „Przypisuje mu się uzdrowicielskie moce” zdawały się drwić z niej z ekranu.

Głęboko westchnęła i sprawdziła jeszcze raz, że w systemie nie ma innych odpowiedników, a potem metodycznie się z niego wycofała, starając się nie zostawić żadnych śladów swojej obecności. Tak jak niejednokrotnie przed laty znów niepostrzeżenie wkradła się do ciemnej, pozornie nieprzeniknionej fortecy, a potem z niej uciekła, zostawiając strażę śpiącą i nieświadomą, że ktoś pokonał ich mury obronne.

Może to frustracja, że była już tak blisko, skłoniła ją do tego, co zrobiła potem. A może była za bardzo nakręcona, by spać. Może też po prostu cieszyła się, że znów jest buntowniczą, walczącą z systemem Żyletą... Jakikolwiek był powód, doktor Jasmine Washington zignorowała długą listę baz danych DNA i zabrała się do ostatniego wpisu. Przyszła pora przekonać się, czy Żyleta potrafi jeszcze to, co kiedyś. Czy cyberlord może zakraść się do najmroczniejszej ze wszystkich fortec - do Czarnej Dziury.

Pół godziny później ochrona GENIUS-a zmieniała się w stróżówce. Dwaj nowi strażnicy weszli do środka i wymienili kilka nieprzyzwoitych słów powitania z wychodzącymi kolegami.

Gus Stransky pracował w Tarczy, prywatnej firmie ochroniarskiej pilnującej kampusu GENIUS-a, od prawie siedmiu lat. Miał pięćdziesiątkę na karku; służył kiedyś w bostońskiej policji, zanim odesłano go na wcześniejszą emeryturę z przestreloną prawą kostką. Mimo późnych godzin lubił pracę w ochronie. Pozwalała mu odetchnąć od jego jędzowatej żony Doris.

Kontrakt z GENIUS-em był jak marzenie. Firma miała pieniądze i najlepszy sprzęt. Gus musiał tylko siedzieć w stróżówce, patrzeć na monitory i wypatrywać czegoś podejrzanego. A ponieważ po wydarzeniach w Szwecji, gdzie zastrzelono panią Carter, ochronę podwojono, miał nawet towarzystwo. Dzisiaj jego partnerem był nowy rekrut, młody, ciemnowłosy Bart Johnson, wysoki i mocno zbudowany. Bart został przydzielony do GENIUS-a zaledwie przed dwoma dniami. Wydawał się w porządku, a Gus przywykł pracować z żółtodziobami. Jego zwierzchnik zawsze powtarzał, że dobrze sobie z nimi radzi.

W stróżówce znajdowały się dwa rzędy monitorów. Jeden pokazywał widoki spoza głównej piramidy, obejmując większość kampusu, w tym pawilony produkcji białek po prawej stronie. Drugi rząd pozwalał zajrzeć do jej wnętrza; jeden z monitorów bez przerwy pokazywał atrium i siedzących tam dwóch innych ochroniarzy. Jeden człowiek mógł siedzieć między oboma rzędami i widzieć wszystkie ekrany, ale dzisiaj Gus zajął się zewnętrznymi, a wewnętrzne oddał nowemu.

Szybko sprawdził swoje i zobaczył, że wszystko wydaje się w porządku. Odwrócił się do partnera.

- Jesteś żonaty, Bart? Szczęśliwy?

Bart się uśmiechnął.

- Chyba szczęśliwy.

Gus patrzył, jak nowy przegląda monitory przed sobą. Wszystkie pokazywały puste gabinety. Tylko na oddziale szpitalnymi był personel, a w laboratorium Cricka - doktor Carter wciąż pracował. Nie można było zobaczyć, co dokładnie robi, ale siedział pochylony nad swoim biurkiem.

Bart wcisnął przycisk, otwierając połączenie ze strażnikami w atrium piramidy.

- Co u was słychać?

Jeden ze strażników na ekranie uniósł prawy kciuk.

- Na razie w porządku. To ty, Bart?

- Jasne, że to ja, Georgie.

- Jest tam stary Gus?

Bart obejrzał się i wyszczerzył na widok wyrazu twarzy Gusa.

- Tak, stary Gus tu jest. Jak sobie radzicie?

- Jest bardzo spokojnie - zatrzeszczał głos w interkomie. - Tak spokojnie, że przydałoby się trochę rozrywki.

Gus wyjął listek miętowej gumy do żucia i wsunął go sobie do ust. Poczęstował Barta, ale on pokręcił głową. Gus schował gumę do kieszeni na piersi, rozparł się w swoim fotelu i zaczął metodycznie przeskakiwać między monitorami. Pawilony białkowe były puste, tak samo jak cały teren. Nic się nie działo.

Nagle Gus wyczuł, że jego młodszy partner zeszywniał. Odwrócił się i zobaczył, że Bart wpatruje się w ekran pokazujący obraz z laboratorium Cricka, w którym pracował doktor Carter.

- Coś się stało? - spytał znużony. Dlaczego ci młodzi zawsze są tacy spięci, zawsze widzą niebezpieczeństwo w każdym kącie?

Bart ściągnął brwi.

- Nie jestem pewien.

Wstał i odsunął się od fotela.

- Gus, podejdź i rzuć na to okiem; powiedz mi, co widzisz.

Gus westchnął, ale wstał.

- W porządku - powiedział bez entuzjazmu. Gdyby dostawał dolara za każdy raz, kiedy jakiś żółtodziób prosił go o rzucenie doświadczonym okiem na jakiś głupi cień albo brudną smugę na ekranie, nie musiałby dużo pracować.

Młodszy strażnik zrobił mu miejsce.

- W czym problem? - spytał Gus. - Nic nie widzę.

- Prawy dolny róg. To małe, bardzo małe.

Gus nachylił się jeszcze bardziej. Ale nic nie zobaczył, jedynie doktora Cartera drapiącego się w głowę nad rzędem szklanych probówek. Co do cholery ten Bart wymyślił? Wtedy usłyszał za sobą metaliczne szcęknięcie. W pierwszej chwili go nie rozpoznał, potem jednak, niczym nutę dawno zapomnianej piosenki, przypomniał sobie, co to jest.

Odgłos odbezpieczanej broni.

Odwrócił się, bardziej rozwścieczony niż przestraszony.

- Co to, do kur...?

Nie powiedział nic więcej, gdy po dwóch syczących wystrzałach jego pierś przeszył żar. To było dziwne uczucie - nie tyle ból, ile całkowity brak tchu. Oszołomiony sięgnął w dół i dotknął swojej bluzy. Była wilgotna i lepka, a na monitorach przed sobą zobaczył czerwone rozbryzgi. Krew, uświadomił sobie zdziwiony, ale spokojny; jego własna krew. Cholera, dostał. Zrobiło mu się słabo, więc usiadł na fotelu; próbował złapać oddech, lecz nie mógł. Rozejrzał się i zobaczył, że Bart uważnie mu się przygląda. To było bez sensu; młodszy partner trzymał w ręku pistolet z przykręconym tłumikiem. Gus poczuł wszechogarniające zmęczenie i opadł na oparcie fotela, usiłując ułożyć się wygodnie. Bart cały czas się na niego gapił.

Kiedy wszystko zaczęło się rozmywać, tylko dwie myśli wciąż mąciły świadomość Gusa: że już nigdy nie zobaczy swojej żony Doris, co zaskakująco go zasmuciło, i że nigdy przedtem nie zauważył, iż Bart ma jedno oko niebieskie, a drugie piwne.

Maria Benariac upewniła się, że zwłoki Gusa nie spadną z fotela, a potem otworzyła torbę. Włożyła pistolet do środka i sprawdziła inne narzędzia, które przyniosła ze sobą na ten wieczór. Znalezienie gwoździ zajęło jej cały dzień. Żaden sklep żelazny nie miał odpowiednio długich i mocnych. Była jednak przekonana, że pięć, które w końcu znalazła w Charlestown, powinno się nadać. Potrzebowała tylko czterech, lecz zapasowy zawsze mógł się przydać. Młotek znaleziony w mieszkaniu Johnsona był dość ciężki, by je wbić.

Zabójstwo Gusa nie liczyło się jako śmierć w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Tak samo zabicie Barta Johnsona, strażnika żółtodzioba z Tarczy, któremu zabrała mundur, pracę i tożsamość. Byli zaledwie irytującymi przeszkodami na drodze do wypełnienia jej świętej misji.

Przez ulotną chwilę myślała ze smutkiem o ojcu Ezekielu i ich niedawnej kłótni. Miała nadzieję, że kiedy doktor Carter i jego projekt zostaną unicestwieni, ojciec dostrzeże mądrość jej postępowania i przyjmie ją z powrotem do swojej owczarni. Jednak nawet gdyby tego nie zrobił, była przekonana, że postępuje zgodnie z Drugim Imperatywem. Jej Bóg powiedziałby jej, gdzie uderzyć, i musiałaby poradzić sobie bez przewodnictwa Ojca ani dodającego otuchy Bractwa.

Niech i tak będzie, pomyślała. Już raz narodziła się na nowo. Może narodzić się po raz trzeci.

Wcisnęła przycisk interkomu i powiedziała swoim niskim, wyszkolonym głosem.

- Hej, panowie, idę do was, coś przyniosę. W porządku?

Na ekranie jeden ze strażników w atrium piramidy kiwnął głową.

- Nie ma sprawy. Otworzymy ci drzwi.

- Będę wdzięczny - powiedziała, rozłączając się. Potem, nie obejrzawszy się nawet na bezwładne ciało Gusa, wyszła ze stróżówki.

Poprawiła czapkę, idąc zwirową ścieżką. Przed nią szklana piramida strzelała w niebo jak jakaś futurystyczna świątynia. Zabicie naukowca w jego mateczniku było słuszne i sprawiedliwe. Czekwała na tę chwilę i powstrzymywała się cały tydzień, ale właściwy moment wreszcie nadszedł. Czowała, że podniecenie narasta w niej z każdym krokiem, i z każdym krokiem szeptała kolejny wers swojego kreda:

- *Jam jest Nemezis. Niech mój miecz sprawiedliwości będzie ostry...*

Niech ma zbroja prawości będzie bez skazy...

I niech ma tarcza wiary będzie silna.

W chłodnym, nocnym powietrzu z każdym zgrzytnięciem podeszew na żwirze powtarzała te wersy jak inkantację.

Marsz trwał niecałe pięć minut, a główne drzwi otworzyły się przed nią tuż przed tym, jak dotarła do skanera DNA. W oświetlonym atrium widziała strażników, siedzieli za swoimi konsolami i szczerzyli się do niej w uśmiechach. Jej spojrzenie padło na skrzynkę za drugim strażnikiem; skrzynkę kontrolującą wszystkie linie telefoniczne budynku.

- Witaj, kolego, w naszych skromnych progach - powitał ją George, ten sam, który rozmawiał z nią przez interkom. - Co tam dla nas masz?

Weszła do środka z uśmiechem i poklepała swoją torbę.

- To, czego szukaliście.

Uśmiech strażnika stał się jeszcze szerszy.

- Ach tak? A co to takiego?

Sięgnęła do torby i zacisnęła dłoń na swoim wiernym glocku.

- Trochę rozrywki.

Dział informatyczny, siedziba GENIUS-a, Boston

Nie więcej jak czterdzieści metrów dalej, w dziale informatycznym Żyleta pracowała jak w transie nad przełamywaniem zabezpieczeń chroniących Czarną Dziurę. Jej palce poruszały się precyzyjnie i szybko nad klawiaturą, a oczy śledziły wirtualny świat po drugiej stronie ekranu.

Oficjalny tytuł bazy danych na górze monitora służył za ciągle przypomnienie powagi jej zadania - i konsekwencji schwywania. Tak samo jak ostrzegawcza wiadomość, błyskająca czerwienią na środku ekranu: ZABEZPIECZENIE PREDATOR V. 3 URUCHOMIONE. Jasmine wyłączyła już pierwsze trzy bramki hasel broniące dostępu do prawdopodobnie najlepiej strzeżonej bazy danych DNA i była o krok od przełączenia czwartego i ostatniego czerwonego światła na zielone - przełamania ostatniej zapory broniącej plików.

Kiedy dostałaby się już do właściwej bazy, system PREDATOR natychmiast by ją wykrył i w ciągu minuty zlokalizował jej komputer. Miałaby zaledwie sześćdziesiąt sekund, żeby znaleźć to, czego szukała, i czysto się ewakuować, nie pozostawiając żadnych swoich plików. Gdyby spóźniła się choć chwilę, zostałaby uwięziona, nie mogąc się wylogować, a właściciele systemu by ją wysłedzili. A nie byli to ludzie, z którymi Jasmine czy Żyleta chciałyby mieć do czynienia. Ani trochę.

Nagle ekran zamigotał, jakby doszło do skoku napięcia. Potem ostatnie czerwone światło na dole zmieniło się w zielone. Jasmine wyłączyła czwartą bramkę.

Jak dotąd wszystko dobrze. Doszła aż tutaj -jakie to przyjemne, bardzo przyjemne. Zagłębiając się w złożone struktury programu bazy danych, zmieniła jego duże fragmenty, nie alarmując samego systemu.

Zatrzymała się na chwilę, uspokoiła i ustawiła kursor na ikonie służącej za elektroniczne „Sezamie, otwórz się”, dające dostęp do danych. Kiedy by ją nacisnęła, zaczęłoby się odliczanie PREDATOR-a i miałyby już tylko jedną szansę.

Wyciągnęła lewą rękę i zdjęła zegarek. Sprawdziła cyfrowy alarm głosowy.

- Pięć sekund - powiedział monotonny głos zegarka.

Jasmine kiwnęła głową, ustawiła alarm i położyła zegarek obok klawiatury. Jej dłoń wróciła na myszkę; przesunęła kursor na ikonkę folderu zawierającego Geny Nazaret. Spakowany elektroniczny folder zawierał jedynie genetyczną sekwencję trzech genów hybryd. Jasmine stworzyła go, by przyspieszyć poszukiwanie odpowiednika. Po umieszczeniu ikony w bazie danych i uruchomieniu wyszukiwania folder przeszukałby wszystkie genomy bazy danych pod kątem pasujących sekwencji. Jasmine umieściła ikonkę na środku ekranu, żeby szybciej wprowadzić ją do wyszukiwarki.

Żyła wzięła głęboki oddech, nacisnęła przycisk z boku zegarka, a potem kliknęła myszką na ikonie wejścia.

Znalazła się w bazie danych.

Błyskawicznymi ruchami palców umieściła ikonkę Genów Nazaret w okienku wyszukiwania i wybrała „Szybkie wyszukiwanie”.

Wtedy włączył się PREDATOR. Na górze ekranu rozbłysnął czerwinią napis UWAGA, a z głośników dobiegł elektroniczny głos:

- Namierzenie rozpoczęte. Masz sześćdziesiąt sekund, by podać osobisty kod identyfikacyjny i symbol autoryzacji dostępu.

Nagle w górnym prawym rogu ekranu pojawiła się duża liczba 60 i natychmiast zaczęła odliczać w dół: 59, 58, 57...

Żyła zdawała sobie sprawę, że na czoło za chwilę wystąpi jej pot, ale pozostała spokojna. Ignorując zmniejszające się liczby, nie odrywała wzroku od okienka wyszukiwania na środku ekranu. Biegł przez nie poziomy biały pasek, wypełniający się stopniowo czernią od lewej do prawej strony. Pod nim wyświetlała się dwucyfrowa liczba procentów, zwiększająca się co pięć i wskazująca, jaką część bazy danych już sprawdzono.

Czarny pasek był w jednej dziesiątej długości, pod spodem widniał komunikat: 10% danych przeszukane. Potem - minęła chyba cała wieczność, kreska przesunęła się o jedno oczko, a 10 procent zmieniło w 15.

Zegar w górnym prawym rogu ekranu wciąż odliczał w dół: 42, 41, 40...

Postęp białego paska był nierównomierny. Czerń przeskoczyła z 15 na 20 i 25 procent, ale potem długo, długo pełzała do 30.

32, 31, 30, odliczał zegar.

- Trzydzieści sekund - ostrzegł cyfrowy głos zegarka Żylety.

Wiele ją kosztowało wpatrywanie się w ekran. „Szybkie wyszukiwanie” podałyby jej zaledwie najbardziej podstawowe detale, ale powinno przynajmniej pozwolić przeszukać w dostępnym czasie 100 procent bazy danych. A jednak to niedobrze, bardzo niedobrze.

Siedemnaście sekund.

Pasek doszedł do 78 procent.

Wtedy, nagle i po prostu, znalazła to, czego szukała.

- Alleluja - szepnęła, rzucając się do działania. Nie traciła czasu na otwieranie znalezionej pliku i badanie go. Wybrała go tylko, skopiowała i przeniosła na swój dysk zapasowy. Potem szybkimi kliknięciami myszy i ruchami kursora usunęła ikonkę Genów Nazaret z okienka wyszukiwarki i wylogowała się.

Zegar na ekranie doszedł do 3.

- Sześćdziesiąt sekund - zahuczał jej zegarek.

Dopiero teraz Żyleta otarła pot z czoła i westchnęła z ulgą. Zdobyła to, co chciała. Cyberlord dostał się do serca Czarnej Dziury i umknął niewykryty. Była bezpieczna.

Nagle ekran zamigotał i wyskoczyło menu główne. Jasmine zmarszczyła czoło, kiedy uświadomiła sobie, że modem musiał się zepsuć albo został odłączony.

Sięgnęła po telefon i wystukała wewnętrzny numer do recepcji w atrium. Nic. Martwa cisza. Co się dzieje, do cholery?

Wstała i wyszła z gabinetu do sali komputerowej, skąd wyjrzała przez przyciemniane szkło do atrium. Gdzie są strażnicy? Oba biurka były puste. Bojąc się o Carterów, Jack zapowiedział, że będzie zwalniał ochronę, jeśli oba biurka w atrium albo w stróżówce będą opuszczone jednocześnie. Jasmine podeszła do najbliższego.

Wtedy zobaczyła czarny, idealnie wyczyszczony but.

Wyglądał dziwnie, stercząc zza biurka pod dziwnym kątem. Jej zmęczony mózg potrzebował chwili, żeby uświadomić sobie, że w bucie jest stopa. Z poczuciem narastającego strachu obeszła biurko - zobaczyła kostkę, potem nogę w nogawce i drugą, wygiętą w lewo, w końcu zaś całe

ciało George'a, strażnika. Lubiła go; poznała jego żonę i dwóch synów na firmowym grillu podczas wakacji. Patrzył na nią, ale jego oczy wyglądały jak puste ekrany komputerów. W piersi i szyi miał trzy okrągłe dziury po kulach; strumyczek krwi wił się po marmurowej posadzce pod same buty Jasmine.

Zrobiło jej się niedobrze; przestąpiła lepką kałużę rozlewającej się czerwieni, żeby sprawdzić puls na ciepłym jeszcze nadgarstku George'a. Ale jego oczy mówiły prawdę; jego żona była już wdową, a dwaj synowie nie mieli ojca. Jasmine poczuła mdłości i w tej samej chwili dostrzegła drugie ciało leżące za drugim biurkiem.

Zakryła usta dłonią, próbując opanować narastającą panikę, i instynktownie złapała za słuchawkę telefonu. Przyłożyła ją do ucha i przeklęła własną głupotę, znów słysząc ciszę. Myśl! Niech cię szlag! Myśl!

Uciekaj! Wynoś się stąd! Już! Polecenia padły zimne i nieproszone z głębi niej. Wraz z nimi przyszedł strach. Nie była już tylko wstrząśnięta tym, co spotkało dwóch mężczyzn; nagle ogarnęło ją przerażenie, że to samo może stać się z nią. Odwróciła się od zakrwawionych ciał i biurka, ledwie zauważając monitory i skupiając się na schodach do podziemnego garażu.

Monitory.

Białe fartuch na ekranie, który mignął jej ledwie przez mikrosekundę, wypalił się na jej siatkówce. Mając nadzieję, że się pomyliła, nie od razu uciekła i znów spojrzała na ekrany przed biurkiem. Postać w białym fartuchu teraz się poruszała, na ekranie oznaczonym „Laboratorium Cricka”.

Tom wciąż tu był.

I wtedy Jasmine zrozumiała, że Kaznodziejka przybyła go zabić.

W jej głowie rozbrzmiewały teraz dwa głosy. Jeden wciąż krzyczał: „Uciekaj!”, głośniejszy i bardziej przekonujący. „Biegnij do samochodu!”, rozkazywał. „Wezwij pomoc! Nikt nie może wymagać od ciebie więcej!” Drugi, szeptał, który mogła zignorować, mówił, że pomoc nie zdąży na czas. Że tylko ona sama może pomóc swojemu przyjacielowi, ostrzec go.

- Ale co mogę zrobić? - powiedziała na głos; patrzyła na swoje stopy, obserwowała, jak prowadzą do schodów do garażu. Do bezpieczeństwa. Nagle przyszła jej do głowy pewna myśl. Przystanąła. Zawróciła i podeszła do zwłok George'a. Starając się nie patrzeć mu w oczy, przetoczyła jego ciało w lepkiej kałuży.

Kabura była zapięta, ale groźny, czarny pistolet wciąż w niej był.

Drżącymi palcami Jasmine odpięła skórzane zamknięcie, sprawdziła komorę broni, tak jak uczył ją brat. Pistolet był naładowany. Odbezpieczyła go

i uniosła w dłoniach, czując jego ciężar, przypominając sobie twarde słowa martwego brata: nie wyciągaj broni, jeśli nie jesteś gotowa jej użyć.

Czy była gotowa? Zrobić to, czego przysięgała nigdy nie robić; wycelować w kogoś i strzelić? W ustach jej zaschło i na miękkich nogach podeszła do windy.

„Nie!”, rozkazał głos w jej głowie. „Nie jedź windą! Morderczyni zorientuje się, że się zbliżasz! Nie może nawet wiedzieć, że tu jesteś! Idź schodami!”

Odwróciła się i pobiegła do schodów. A kiedy pchnięciem otworzyła drzwi, spróbowała wyobrazić sobie, że nie jest już Jasmine, lecz Ży-letą z dawnych czasów - cyberlordem uwolnionym z wirtualnego świata i przemierzającym rzeczywistość. Miała broń i miała motywację.

Czego więcej mogłaby chcieć?

Odwagi, pomyślała. Przydałoby mi się od cholery odwagi.

Potem wzięła głęboki oddech, zapanowała nad drżącymi nogami i zaczęła się wspinać po ciemnych schodach.

Piętro wyżej Tom westchnął i spojrzął mężczyźnie w oczy.

- Opowiedz mi o trzecim genie! - zażądał. - Co on robi!

Podniósł szklaną fiolkę surowicy z nowymi genami i podsunął ją mężczyźnie pod nos.

- I co one robią? Jak, do cholery, wszystkie trzy geny działają razem? Niech to szlag, gadaj!

Mężczyzna nie odpowiedział, patrzył tylko na niego bez słowa. Tom z frustracją machnął ręką, ale nie poczuł satysfakcji, kiedy jego dłoń przeniknęła przez głowę tamtego. Na tym polegał problem z hologramami; nie nadawały się na partnerów do rozmowy ani na worki treningowe.

Potrząsnął z niesmakiem głową i ziewnął. Podeszedł znów do DAN-a, wciąż prowadzącego w swoim wirtualnym umyśle niezliczone obliczenia, próbującego rozwiązać gordyjski węzeł trzeciego genu. Nachylił się, wcisnął dwa przyciski na klawiaturze i hologram Chrystusa zniknął. Tom prze-glądał jeszcze raz wszystko, czego się dowiedzieli od ósmej trzydzieści rano - poprzedniego dnia rano - i wciąż nie był ani trochę mądrzejszy.

Wziął fiolkę opisaną: NAZ 3 - E. COLI. drobnym pismem Nory. Podniósł ją do światła i przez chwilę po prostu jej się przyglądał. Żadnych białek. Nic. Zrobił to samo z TRÓJCĄ - E. COLI, zawierającą wszystkie trzy hybrydy genów. Stworzyli zupełnie nowe białko. I to w dużych ilościach. Ale co do cholery ono robi?

Może geny nic nie robią, drażnił go jego zmęczony umysł. Może nie ma się czego dowiadywać. Tom spojrział na zegarek i podszedł do telefonu. Zastanawiał się, czy Jasmine pracuje jeszcze na dole nad znalezieniem posiadacza genów. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy pracowała całą noc. Podniósł słuchawkę i przyłożył ją do ucha. Potem potrząsnął nią i znów posłuchał. Tego tylko było mu trzeba. Kompletna cisza.

Rzucił słuchawkę na widełki i odwrócił się do windy. Zacieniona postać w mundurze, stojąca w drzwiach, zupełnie go zaskoczyła.

- George, to ty? Co się do cholery stało z telefonami?

- Wyłączyłam je, doktorze Carter. Jesteśmy sami. Tylko pan i ja.

Niski, kobiecy głos wstrząsnął nim; poczuł, że unoszą mu się włoski na karku.

- Co tu się dzieje, do diabła? Kim pani jest, do cholery?

Postać wyszła z cienia w pełne światło laboratorium.

- Wie pan, kim jestem.

Tom zamarł przy swoim biurku; lodowata opaska strachu ścisnęła mu pierś. Nieznajomy, choć niższy od niego, był ponadprzeciętnego wzrostu, atletycznie zbudowany, o potężnych barkach. Twarz miał konwencjonalnie przystojną, do tego stopnia, że aż nijaką, z mocno zarysowaną szczęką, wąskim nosem i wystającymi kośćmi policzkowymi. Jedyne głos i niezwykle kocie oczy - jedno niebieskie, drugie piwne - powiedziały Tomowi, że nie patrzy na mężczyznę, lecz na kobietę. Przypomniał sobie, że już kiedyś widział te oczy. Na hologramie Kaznodziejki. I nie miał cienia wątpliwości, że patrzy na morderczynię Olivii.

W tym samym momencie, choć widział, że kobieta wyciąga z torby pistolet, strach go opuścił i pojawiła się wściekłość, jakiej nigdy dotąd nie czuł.

Patrząc kobiecie prosto w oczy, Tom przesunął prawą dłonią wzdłuż blatu biurka, próbując znaleźć za sobą klawiaturę.

Maria Benariac podeszła do Cartera, ważąc w dłoni glocka. Był teraz lżejszy - zużyła osiem pocisków z magazynka, ale wciąż miała ich dziewięć. Zabić strażników w atrium było aż za łatwo. Zamknęła też drzwi do oddziału szpitalnego, żeby nocna pielęgniarka nie mogła się tu kręcić, a to oznaczało, że miała Cartera tylko dla siebie.

Z bliska jego oczy były błękitne jak lód. Zajrzała w nie i z irytacją dostrzegła, że nie ma w nich skruchy i strachu. Ale to się zmieni, kiedy użyje gwoździ. A gdy byłby już martwy, napisałyby jego krwią: „Kto przysparza wiedzy - przysparza i cierpień. Kohelet 1,18”.

Wymierzyła pistolet z tłumikiem w jego głowę i się uśmiechnęła. To była prawdziwie słuszna chwila.

- Doktorze Carter - powiedziała - ceną za grzech jest śmierć.

- Czym zgrzeszyłem? - odparł natychmiast, a jego głos zdradzał tylko jedno uczucie: gniew.

Lewą ręką Maria postawiła torbę na dużym stole obok, prawą wciąż trzymając wymierzony w niego pistolet.

- Czym pan zgrzeszył? Zapragnął pan zostać Bogiem. Nie dość, że mieszkał się pan do Bożego stworzenia, to nie uszanował pan nawet Jego Syna.

- Moje mieszkanie się ratuje ludziom życie. Ilu z nich Kaznodziejka je odebrała?

Uśmiechnęła się, rozpoznając głupi pseudonim, nadany jej przez gazety. Spodobało jej się, że wiedział, iż to ona jest odpowiedzialna za tamte zabójstwa.

- Tylko tym, którzy wymagali oczyszczenia.

- Oczyszczenia? Chcesz powiedzieć: zamordowania? Kto postanowił, że ci ludzie muszą umrzeć?

Maria zgamęła wszystko ze stołu. Butelki, próbówki i kolby roztrzaskały się na podłodze. Dziwny biały przyrząd, ze sterzącą z góry okrągłą, gumową tacką i napisem OMNIGEN na boku, prawie spadł jej na nogę. Zmierzyła wzrokiem naukowca i uznała, że stół jest odpowiedni, jeśli nie rozłoży mu ramion na pełną szerokość. Jeden po drugim wyjęła z torby gwoździe, układając je równym rzędem.

- Oczywiście to Bóg postanowił, że oni muszą umrzeć.

- Jaki Bóg? - prychnął naukowiec. - Nie możesz zwalać na niego odpowiedzialności. On nie istnieje. Stworzyliśmy go, żeby wyjaśnić to, czego nie potrafiliśmy zrozumieć, a teraz, kiedy nauka dała nam wiedzę, już Go nie potrzebujemy. To dlatego musisz mnie zabić? Czy może po prostu lubisz zabijać i wykorzystujesz Boga jako wymówkę?

Maria położyła obok gwoździ linę i młotek, starając się zapanować nad gniewem. Wiedziała, jak ważne jest panowanie nad sobą, ale ten wzburzony, arogancki mężczyzna nie był taki jak inni. Nie miał poczucia winy ani nie bał się swojego kata. Czepiał się kurczowo upartego, wypaczonego przekonania, że postępuje słusznie. Jeśli do tej pory zachowywała jakieś resztki obojętności wobec niego, w tej chwili wszystkie zniknęły. Nie potrafiła już postrzegać go chłodno jako zagrożenia, które trzeba wyeliminować; stał się kimś znenawidzonym, uosobieniem wszystkiego, czego się bała i czym gardziła.

- Dam panu wybór - powiedziała. - Która ręka?

Jego pełne gniewu oczy przez chwilę patrzyły z niezrozumieniem.

- O co ci chodzi?

Spojrzał na gwoździe, zastanawiając się, do czego mają służyć. Czy raczej starając się z całych sił nie zastanawiać.

- Jak powiedziałam, obserwowałam pana. Wiem, co pan robi. Skoro chce pan osiąść moc Jezusa, umrze pan tak samo jak On.

Wycelowała pistolet w jego lewą dłoń.

- Przywiążę pana do tego stołu i gwoździami przybiję do niego pana ręce i nogi.

Nie mogła opanować uśmiechu.

- Muszę zrobić dziurę na pierwszy gwóźdź. Kula ułatwi sprawę nam obojgu. Która ręka?

W końcu strach. Autentyczny strach zamigotał w tych nieulekłych oczach. Nie jesteś już tak arogancki, co, Carter? Wtedy, zanim zdążył cokolwiek zrobić, strzeliła.

- Cholera! - wrzasnął z bólu.

Zaczął komicznie podskakiwać i kręcić się, ściskając zranioną lewą dłoń prawą.

Maria poczuła przyływ satysfakcji, kiedy zobaczyła w jego dłoni równy otwór i krew kapiącą na podłogę. Naukowiec poblądł, patrząc na ranę. Pomyślała, że zwymiotuje. Kiedy jednak podniósł głowę, nie dostrzegła w jego oczach ani śladu strachu, tylko lodowate spojrzenie.

- Ty chora dziwko.

Niewiarygodne.

- Ciągłe nie chce pan żałować za grzechy? - spytała. Chciała, żeby ugiął się przed egzekucją, żeby przyjął jej prawdę.

Roześmiał się.

- Żałować? Czego? Tego, że chciałem ratować ludziom życie?

Podeszła bliżej i przycisnęła mu pistolet do skroni. Stali teraz między jego biurkiem a stołem.

- Nie do pana należy ich ratowanie. Nie zmienia się tego, co Bóg postanowił, tylko dlatego, że ma się taką możliwość. Ludzie muszą zasłużyć na zbawienie. To Najwyższy decyduje, kogo ocalić swoimi cudami, a nie tacy jak pan.

Mięśnie szczęk doktora Cartera napięły się, gdy próbował zapanować nad bólem ręki. Kiedy się odezwał, wypluwał słowa przez zaciśnięte zęby.

- Ale to nie są jego cuda, ty wiedzmo - syknął - tylko nasze. Tak jak ogień i umiejętność latania. Zresztą co daje ci prawo decydować, czego on chce? Znasz Jego wolę?

- Wybrał mnie.

Carter znów się zaśmiał, głośnym, gorączkowym śmiechem.

- Skąd wiesz? Rozmawialiście w cztery oczy?

Marię męczyła ta rozmowa. Nieznośny naukowiec nie chciał w niczym ustąpić. Przyszła pora zmusić go, żeby przejrzał na oczy. Wwierciła lufę pistoletu w jego skroń.

- Niech pan położy lewą dłoń na stole.

Była gotowa się z nim szamotać, ale ku jej zaskoczeniu Carter skrzywił się i położył zranioną rękę wnętrzem dłoni do góry obok gwoździ. Cały czas jego niebieskie oczy wyzywająco wpatrywały się w nią.

Miała odwagę. Musiała mu to przyznać. Przełożyła pistolet do lewej ręki i sięgnęła po pierwszy gwóźdź.

- Spotkałeś kiedyś Chrystusa? - spytał dziwnie spokojnym głosem. Wydawał się autentycznie zainteresowany odpowiedzią.

Zignorowała go i skupiła się na gwoździu. Miała wolną tylko jedną rękę. Dlatego musiała mocno wcisnąć gwóźdź w dziurę po kuli, tak żeby chwycił drewno, a potem młotkiem dobić go do końca i przytwierdzić rękę Cartera do blatu. Gdyby jednak nie trafiła w dziurę, gwóźdź nie trzymałby dość mocno, by powstrzymać go przed odsunięciem dłoni.

Skoncentrowała się na tym problemie i nie zauważyła, że jego druga ręka wędruje do klawiatury komputera za nim. Dostrzegła tylko nagły ruch po swojej lewej stronie, jakąś postać na skraju pola widzenia. Odwróciła się instynktownie i strzeliła, ale nieznajomy nawet nie drgnął. Zahipnotyzowana patrzyła, jak niesamowity kształt nabiera formy, aż metr od niej stanął „człowiek”.

- Dalej - usłyszała głos Cartera; dobiegał jakby z oddali - skoro spotkałeś już Chrystusa, spytaj go, co naprawdę mamy według niego zrobić z jego genami!

Zamarła, nie mogąc oderwać wzroku od zjawy. Nagi mężczyzna był gładko ogolony, miał długie, ciemnoblonde włosy; długo po prostu na niego patrzyła.

A potem, w chwili gdy dostrzegła światło dochodzące z okrągłej, czarnej platformy pod postacią i uświadomiła sobie, że to musi być jakiegoś rodzaju projekcja, poczuła, że na jej głowie rozbija się szklana kolba, a czyjaś silna ręka pcha ją na ziemię. Zanim upadła, zdążyła jeszcze trzykrotnie strzelić.

Szybko wstała i otarła krew z rozciętego czoła. Rozwścieczona odwróciła się do swojej ofiary. Teraz to skończy, ukrzyżowaniem czy nie.

Ale Carter zniknął.

Spojrzała na główne drzwi w samą porę, by dostrzec, że pokuśtykał na zewnątrz. Pobieгла za nim. W drzwiach popatrzyła w lewo, na szerokie, główne laboratorium i windy za nim. Tam go dostrzegła; jego wysoka sylwetka górowała nad niskimi stołami i buczącą aparaturą. Niesprawne kolano - pamiątka po Sztokholmie - spowalniało go i w jego niezdarnym biegu było coś komicznego. Mimo gniewu uśmiechnęła się na ten widok. Potem podniosła pistolet i wycelowała w tył jego głowy. Koniec wygłupów.

- Ruszaj się, do cholery! Ruszaj się! - syczał Tom, zmuszając się, by dobiec do wind, i ignorując błyskawice cierpienia pulsujące w jego dłoni. Gdyby udało mu się dostać do gabinetu Jacka na szczycie piramidy, miałby szansę. Był tam telefon komórkowy, a Jack trzymał pistolet w dolnej prawej szufladzie biurka.

Nie miało znaczenia, co sobie powtarzał, bo w ciemnej szklanej ścianie przed sobą widział jej odbicie. Już go nie goniła; unosiła tylko ramię, celując w niego z pistoletu. Cholera, kolba, którą rozbił jej na głowie, nie tylko sukni nie spowolniła, ale nawet nie ogłuszyła.

Schować się za jednym ze stołów po lewej stronie? To ledwie odwlecze nieuniknione. Jeśli będzie do niego strzelać, powinien być w ruchu, a nie kryć się za meblami. Przynajmniej miałby w ten sposób szansę, choćby niewielką, że Kaznodziejka spudłuje. Pochylił głowę, by stać się jak najmniejszym celem, i zmusił swoje sztywne kolano do ruchu - miał już raptem dziesięć metrów do najbliższej windy.

W tym momencie zobaczył w szkle odbicie błysku i usłyszał wystrzał. Upadł.

To był szczęśliwy strzał. A kiedy Jasmine otworzyła oczy, zrozumiała, jak bardzo szczęśliwy.

Wchodząc po schodach, czuła się zmobilizowana. Była wprawdzie śmiertelnie przerażona, ale panowała nad sobą. Kiedy jednak uchyliła drzwi do głównego laboratorium i zobaczyła postać ścigającą Toma, zamarła, nagle uświadamiając sobie z przerażającą jasnością, kogo musi pokonać: Kaznodziejkę.

Jeśli kiedyś już przeżyła chwilę takiej grozy, nie pamiętała jej. Strach szalał w niej porywami, które zdawały się paraliżować wszystkie mięśnie jej ciała.

Wtedy Kaznodziejka zatrzymała się; stała plecami do Jasmine i spokojnie celowała z pistoletu.

Nie tracąc czasu na myślenie, Jazz otrząsnęła się, cicho otworzyła drzwi na klatkę schodową i zakradła z tyłu do morderczynie. W ustach miała tak sucho, że gdyby chciała, nie mogłaby krzyknąć „Stój!” Dlatego ścisnęła pistolet obiema drżącymi rękami i wycelowała w sam środek szerokich pleców. Potem, tak jak mówił jej brat, wolno ściągnęła spust i - tak jak zabronił jej to robić - zamknęła oczy.

Huk wystrzału ją ogłuszył. Odrzut wykręcił jej bark, dłonie niemal uderzyły ją w twarz, a ostry smród kordytu sprawił, że się zakrztusiła.

Tak trzymać, Żyła.

Kiedy otworzyła oczy, przez obłok dymu spostrzegła, że Kaznodziejka leży nieruchomo na podłodze. Ale gdzie jest Tom? Wtedy zobaczyła, jak jej przyjaciel wstaje i się otrzepuje. Musiał upaść, ale wyglądał na całego.

- Zabierz jej broń, Jazz! - krzyknął, kuśtykając w stronę Kaznodziejki.

Wciąż surfując na fali adrenaliny, Jasmine podbiegła do nieruchomej postaci i kopnęła upuszczony pistolet w stronę Toma; podniósł go prawą ręką. Kiedy Jasmine spojrzała na zabójczynię, zobaczyła czerwoną bruzdę na jej potylicy, tam, gdzie kula musiała otrzeć się o czaszkę, ogłuszając ją. Milimetr wyżej i zupełnie by spudłowała. Kilka milimetrów niżej i mózg Kaznodziejki plamiłby teraz podłogę pod jej stopami. Jasmine poczuła mdłości.

Ciemne włosy kobiety wyglądały dziwnie - były przekrzywione i zmarszczone, jak pospiesznie włożony, tani czepek kąpielowy. Dopiero po chwili Jasmine zdała sobie sprawę, że krótko przycięte, całkowicie naturalne włosy były tak naprawdę peruką. Kula musiała ją przesunąć, a tam, gdzie peruka się odzepiła, widać było, że głowa morderczynie jest zupełnie ogolona. Jasmine poczuła dreszcze na plecach. Ohyda.

- Niezły strzał, Jazz! - pochwalił Tom, celując pewnie do kobiety.

- Niezupełnie - odparła, próbując zapanować nad trzęsącymi się nogami. - Zważywszy że celowałam między łopatki.

Tom uśmiechnął się i uścisnął ją; oczy mu świeciły.

- Według mnie jesteś snajperem, prawdziwą Annie Oakley. Gdybyś jej nie trafiła, ona trafiłaby mnie dokładnie tam, gdzie celowała.

Jasmine drżała, kiedy uspokajała się w ramionach Toma, czując opadającą adrenalinę. Kiedy ją puścił, zauważyła zakrwawioną dziurę w jego dłoni.

- Co ci się stało w rękę?

Wzruszył ramionami.

- Nic mi nie jest. Powiedzmy po prostu, że Kaznodziejka nie planowała dla mnie łatwej śmierci.

- A więc to na pewno Kaznodziejka?

- Tak. Właśnie załatwiłaś jednego z najbardziej poszukiwanych przestępców Ameryki. - W jego głosie pojawiła się troska. - Wszystko w porządku?

- Tak. Jestem tylko trochę roztrzęsiona.

Jasmine spojrzała na postać na podłodze. Przyglądając się męskiemu profilowi, pomyślała o pięknym hologramie kobiety, który oglądała z agentką specjalną Karen Tanner. A to dopiero! Popatrzyła znów na Toma.

- Przez chwilę już myślałam, że cię dostał... dostała.

- Nie ty jedna. Ale...

Kaznodziejka poruszyła się i zamrużyła jednym okiem. W tej chwili Jasmine rozpoznała ją z hologramu, charakterystyczny kształt i kolor tego oka.

- Jazz, idź do gabinetu Jacka i zadzwoń z komórki po pomoc - powiedział Tom. - Ja się zaopiekuję naszym gościem.

Kiwnęła głową i ruszyła do windy.

- Co się stało z George'em i innymi strażnikami? - usłyszała za sobą pytanie.

Odwrociła się, nie wiedząc, jak mu to powiedzieć.

- Nie wiem. co ze stróżówką.

- Ale atrium?...

Pokręciła tylko głową. Tom patrzył na morderczynię. Odzyskiwała przytomność. Jasmine, po raz pierwszy, odkąd go znała, zobaczyła w jego niebieskich oczach coś, co ją przeraziło. Człowiek, który poświęcił się ratowaniu życia, wyglądał w tej chwili na zdolnego je odebrać.

- Tom? Co z tobą?

Nie spojrzał na nią.

- Ktoś kiedyś powiedział - mruknął - że zemsta to dzika sprawiedliwość właściwa zwierzętom. Ale to nieprawda. Zwierzęta nie czują potrzeby zemsty. Tylko my ją czujemy. Teraz rozumiem dlaczego.

Odwrocił się i Jasmine zobaczyła cały jego ból i wściekłość - to dobrze, że jesteśmy po tej samej stronie, pomyślała.

Świadomość przywrócił Marii nie ból głowy, lecz gniew. Zawiodła, a kiedy zobaczyła naukowca stojącego nad nią z jej własnym pistoletem,

uświadomiła sobie rozmiary swojej porażki. Ktoś musiał zająć ją od tyłu, kiedy do niego celowała. Dlaczego nie sprawdziła budynku po zabiciu strażników, dlaczego zaufała monitorom i pobiegła wprost do Cartera? Jej pragnienie zabicia go uczyniło z niej amatorkę.

Może spróbować go obezwładnić? Ale po jego oczach widziała, że jeśli się tylko poruszy, on ją zastrzeli. Mimo to chciała zaryzykować, tak wielki czuła wstyd. Zawiodła dwukrotnie - w Sztokholmie i teraz. Zawiodła ojca Ezekiela, Bractwo, a zwłaszcza samą siebie. Potem jednak pomyślała, że im dłużej żyje, tym większe ma szanse wszystko naprawić.

- Ma pan dużo szczęścia, doktorze Carter.

- Tak, może jednak wcale nie zamierzałeś mnie zabić.

Uśmiechnęła się. Wyglądało na to, że diabeł opiekuje się naukowcem, a z przyczyn, których jeszcze nie rozumiała, Bóg mu na to pozwala.

- Bóg wystawia na próbę nas wszystkich - powiedziała, nie odrywając od niego wzroku.

- Ty najwyraźniej swój test oblałeś. I to w ostatecznym terminie. Następnym razem, kiedy dostaniesz jakąś wiadomość od swojego stwórcy, przekaże ci ją osobiście.

- To jeszcze nie koniec.

Zaśmiał się. Gorzko.

- Dla ciebie tak.

Grota Świętego Ognia, południowa Jordania

Ezekiel popatrzył w piękne oczy dziewczynki. Uśmiechnęła się do niego nerwowo, a on odpowiedział jej uśmiechem.

- Spokojnie, moje dziecko - szepnął, podnosząc starożytny sztylet o klindze ostrej jak brzytwa. - Za chwilę będzie już po wszystkim.

Przyciągnął do siebie jej prawą rękę tak, że znalazła się nad cynową misą na ołtarzu. Łagodnym ruchem podwinął do łokcia rękaw jej ceremonialnej szaty, odsłaniając przedramię. Potem bardzo delikatnie przeciągnął czubkiem sztyletu po skórze, żeby stała się wrażliwa na stal. Czuł, że ręka dziewczynki sztywnieje, łaskotana zimnym ostrzem. Przerwał na chwilę, a następnie jednym wyćwiczonym ruchem ciął. W jej oczach pojawił się ból, ale przygryzła wargę, by nie okazać cierpienia. Kiedy cienkie jak nitka, karmazynowe nacięcie miało piętnaście centymetrów długości, Ezekiel podzielił ranę poziomym cięciem, tworząc krzyż, i odłożył sztylet na stół przy cynowej misie. Potem przekreślił rękę dziewczynki nacięciem w dół. Łagodnie nacisnął przedramię, aż do misy zaczęła kapać krew. Odliczył osiem drogocennych, czerwonych jak bordo kropli, zanim zaczęła krzepnąć. Wystarczyło.

Zanurzył palec wskazujący lewej dłoni w rubinowej cieczy, po czym nakreślił nią czerwony krzyż na gładkim czole dziewczynki.

- Twoja krew to Jego krew - powiedział z powagą. - Twoje ciało to Jego ciało.

Jej głos drżał z przejęcia.

- Daję Mu moje ciało, żeby mógł ocalić moją duszę.

Ezekiel skinieniem głowy dodał jej odwagi.

- Niech będzie zbawiony.

Dziewczynka, już spokojniejsza, uśmiechnęła się do niego.

- Żeby mógł zbawić sprawiedliwych.

Brat Haddad, regionalny naczelnik Ziem Świętych, natarł nacięcie maścią na bliznowacenie i najnowsza członkini Bractwa wróciła na swoje krzesło.

W gromadzie poniosło się echem chóralne westchnienie ulgi dziewiętnastoletniego nowicjuszy siedzących wokół ogromnego stołu i tych zgromadzonych w głębi, którzy przyszli obejrzeć ceremonię. Początek zawsze wywoływał największe napięcie.

Ezekiel powitał następnego kandydata do Bractwa, młodego mężczyznę z Jeruzolimy; poprosił go, by wyciągnął rękę nad misą. Robiąc nacięcie, pomyślał, że wspaniale wygląda dwunastu mężczyzn i osiem kobiet w białych szatach. Byli nadzieją Bractwa na przyszłość. W większości były to dzieci obecnych jego członków albo bliscy przyjaciele, obserwowani od wczesnych lat życia. Około dwudziestu krewnych i opiekunów stało w głębi groty, przyglądając się ceremonii i bez wątpienia wspominając dzień własnej inicjacji.

Kiedy trzecia kandydatka wstała od stołu, podeszła i wyciągnęła rękę, Ezekiel De La Croix przypomniał sobie, jak jego ojciec zabrał go tu, osiemnastoletniego, z ich domu w Damaszku. Przypomniał sobie brzemień oczekiwań ojca, członka Najwyższego Kręgu. Już wtedy Ezekiel był wychowywany z myślą o dniu, w którym zostanie przywódcą.

W tamtych czasach pełnymi członkami Bractwa mogli zostawać tylko mężczyźni, mimo to takie ceremonie były okazalsze: kandydatów bywało i sześćdziesięciu. Teraz młodzież straciła oddanie i dyscyplinę. Coraz mniejszej liczbie osób można było zaufać, że poświęcą się Bractwu bez reszty.

Ezekiel przez minione dwie godziny wyjaśniał prawa Bractwa, przypominając nowicjuszom historię sekty i jej Pierwszy Imperatyw. Mówił również o ich indywidualnej odpowiedzialności, o tym, że każdy musi osiągnąć odpowiedni poziom przydatności na wybranym polu, tak by jak najlepiej służyć organizacji. Kandydaci wiedzieli, że niektórzy bracia i siostry zajmują wysokie stanowiska w kościołach, bankach, szpitalach, siłach zbrojnych i policyjnych oraz mediach. Wszyscy zaś, czujni, czekają, gotowi w każdej chwili odpowiedzieć na wezwanie Bractwa - i Mesjasza.

Ezekiel i pozostali członkowie Najwyższego Kręgu nie powiedzieli im tylko o jednym: że istnieje Drugi Imperatyw. O tym wiedział tylko sześcioposobowy Krąg i dwójka agentów.

Dziewczynka stojąca teraz przed Ezekielem przypominała mu młodą Marię Benariac, córkę, której nigdy nie miał. Wiedział, że Maria jest wyjątkowa, od pierwszej chwili, gdy ujrzał jej urzekające oczy. Kiedy mściwa siostra Clemenza opowiedziała mu o dziecięcych kłamstwach Marii, nabrał jeszcze silniejszego przekonania, że dziewczyna jest w jakiś sposób wybrana. Jej opowieści, kiedy nie skończyła jeszcze ośmiu lat, mogły być fantazjami osamotnionego dziecka. Nawet starsza Maria tak się do nich odnosiła, mówiąc, że ich nie pamięta. Ale „kłamstwa” te, niewiarygodnie u kogoś tak młodego, wskazywały na jej wyobraźnię i polot.

Ezekiel naciął skórę dziewczynki i bez współczucia patrzył, jak z trudem powstrzymuje łzy. Maria nawet nie mrugnęła przy swoim naznaczeniu; promieniowała tylko niepohamowaną dumą, kiedy ostrze przecinało jej rękę. Teraz żałował ich kłótni. Wiedział, że Maria zareaguje gwałtownie na wieść o umowie z Carterem. Ale był zaskoczony, że ignorowała polecenia brata Bernarda. To było do niej niepodobne.

Dodał sobie w myślach otuchy - przecież mimo swoich fanatycznych poglądów Maria jest całkowicie lojalna wobec niego i Bractwa. Był pewien, że niedługo się z nim skontaktuje, a potem on i Bernard ustalą, co z nią zrobić.

Pomyślał o doktorze Carterze, przygotowując następnego kandydata, młodego mężczyznę z Bejrutu. Członków Najwyższego Kręgu ogarnęło podniecenie, kiedy naukowiec zwrócił próbki i powiedział im o trzech rzadkich genach. Teraz musieli tylko czekać, aż skontaktuje się z nimi i powiadomi o postępach w poszukiwaniu ich posiadacza. Według Helixa, jeśli ktoś taki znajdował się w którejkolwiek z baz danych DNA, powinni o tym wiedzieć za kilka tygodni, może nawet dni. Ezekiel poczuł przypływ ekscytacji tak silny, że musiał zapanować nad drżeniem dłoni, kiedy naciął rękę młodzieńca.

Przez cały czas trwającej niemal godzinę ceremonii Ezekiel pławił się w ciepłe możliwości, a nawet prawdopodobieństwa, że są już blisko, blisko wypełnienia przepowiedni i wywiązania się ze wszystkich zobowiązań.

Dopiero wygłaszając mowę końcową, dostrzegł, że Bernard daje mu znaki z tylnego rzędu i że Helix również go przyzywa. Jego podniecenie jeszcze się wzmogło. Na pewno mieli jakieś wieści. Szybko skończył przemówienie i oddał głos bratu Haddadowi.

Za drzwiami, w jednej z przyległych grot, dołączył do obu braci.

- Mamy jakieś wieści od Cartera? - spytał. - Znalazł Mesjasza?

Bernard rzucił zmartwione spojrzenie Helixowi, a potem wbił wzrok we własne buty.

- Nie, ojcze. Niezupełnie. Wieści dotyczą raczej Nemezis.
- Marii? Znaleźliście ją? Gdzie ona jest?
- Nie my ją znaleźliśmy - odparł cicho Bernard - tylko FBI.
- Co takiego?

Fala przyjemnego ciepła opadła. Ezekiel osłupiał.

- Według naszych informatorów - powiedział Helix - wygląda na to, że próbowała zabić naukowca. Ale jeden z jego kolegów ją powstrzymał. Maria została aresztowana.

- Aresztowana?
- Zdemaskowana jako Kaznodzieja - ciągnął Helix - a ponieważ dowody przeciwko niej są przytłaczające, jej proces będzie przeprowadzony w trybie przyspieszonym i zakończy się za kilka tygodni, może dni. Jeśli zostanie uznana za winną, a tak bez wątpienia się stanie, wkrótce czekają śmierć.
- Pytanie brzmi, co z tym zrobimy? - spytał Bernard.

Helix się zawahał.

- Czy można jej zaufać, że nas nie wyda? Czy musimy ją uciszyć?
- Oczywiście, że nas nie zdradzi - zagrzmiał Bernard. - Wyszkoliliśmy ją. Do wszystkiego jest zdolna, ale na pewno nie do zdrady.
- Zgadzam się - powiedział Ezekiel.

Helix, zakłopotany, odkaszlnął.

- Z całym szacunkiem, ojcze, myliłeś się co do jej wierności wobec ciebie. Próbowała zabić naukowca.

Ezekiel De La Croix odwrócił się do mistrza Pierwszego Imperatywu.

- Bracie Helixie, nie znasz Marii. Sprzeciwiła się nam, ponieważ wierzyła w to, co musiała zrobić. Może i jest zbyt gorliwa, a nawet dogmatyczna. Ale na pewno nie wyda nas władzom. Pozostanie lojalna wobec nas i przyjmie swoją karę.

Helix wzruszył ramionami.

- A więc możemy zapomnieć o Marii? I skupić się na doktorze Carterze?

Ezekielowi nie podobał się sposób, w jaki zderzyły się dwa Imperatywy. Czuł żal na myśl o Marii, ale ważniejsze było to, że Bractwo straciło swojego najskuteczniejszego agenta. Dobrze, że chociaż Carter nie zginął,

bo wtedy oba Imperatywy zostałyby narażone na szwank. Skinął głową Helixowi.

- Tak, będziemy musieli pozostawić Marię na łasce amerykańskiego systemu sprawiedliwości i skupić się na Carterze. Ale jeśli nie dostarczy nam tego, czego szukamy, osobiście dopilnuję, żeby Gomora go zabił. Jego i wszystkich innych biorących udział w projekcie „Kana”.

Cztery dni później, oddział szpitalny GENIUS-a, Boston

Tom czuł się dobrze, kiedy na oddziale przeglądał karty pacjentów. Nawet ból zabandażowanej dłoni był do zniesienia. Według tego, co Karen Tanner powiedziała mu poprzedniego dnia, z dowodami, jakie FBI zdobyło przeciwko Kaznodziejce, miała ona wygłosić swoje ostatnie kazanie w ciągu kilku miesięcy - stanowemu katu.

Wszystko wreszcie zaczynało układać się po jego myśli. Morderczyni jego żony przed sądem. Posiadacz genów w bazie danych. Już sama lektura akt Ala Puyiany, Indianina mającego geny Chrystusa, dała mu olbrzymią dawkę nadziei. DNA zmarłego mogło być przydatne nie bardziej niż oryginalne Geny Nazaret, ale przynajmniej dowody sugerowały, że potrafił leczyć. Wszystko to przydawało sensu ich poczynaniom. No i Hank Polański sprawiał wrażenie, że wraca do zdrowia.

- Jak tam, panie doktorze? - Młody mężczyzna usiadł na łóżku. - Jak wyglądam?

Hank był zupełnie innym człowiekiem niż blady pacjent o zapadłych oczach, który zaczął swoją terapię genową przed kilkoma miesiącami. Siostra Lawrence stała obok i sprawdzała kroplówkę podłączoną do jego ręki. Czerwony płyn kapał z woreczka zawieszzonego na stojaku obok łóżka.

- Coraz lepiej, Hank - powiedział w końcu Tom.

- Aha, i czuję się też o wiele lepiej.

Tom uśmiechnął się, czytając kartę. Naprawdę wszystko szło ku lepszemu. Wyjął zdjęcie rentgenowskie i podał je Hankowi.

- Guzy w pana płucach przestały rosnąć, a nawet zaczynają się zmniejszać. Trzy przerzutowe obumarły.

- A więc piętnaście procent się opłaciło?

- Jak dotąd tak, Hank. Ale wciąż będziemy musieli nad panem czuwać. Nie będzie pan całkiem zdrowy jeszcze przez lata. Ale pana stan zdecydowanie się poprawia.

Hank się roześmiał.

- Poważnie? Ciągłe żyję, prawda? Dla mnie to zdecydowana poprawa.

Tom uśmiechnął się, ale nic więcej nie powiedział. Hank nie stał już na progu śmierci, lecz nie wyszedł jeszcze z poczekalni, mimo że szala przechyliła się znacząco na jego korzyść. Tom pożegnał się z nim. Sprawdzając stan innych pacjentów, pomyślał o projekcie „Kana” i pozwolił sobie na przygotawiającą o zawrót głowy fantazję. Gdyby udało im się skłonić do działania wszystkie geny, może byłby w stanie uratować wszystkich Hanków Polańskich i wszystkie Holly na świecie. Wyobraził sobie, że zamyka swój oddział - po prostu dlatego, że nie ma już pacjentów.

Gdyby Jasmine zdołała poznać nazwisko osoby, którą znalazła w Czarnej Dziurze... Żałował, że wpis w paryskiej bazie danych nie ma nazwy albo tytułu, tylko zakodowany numer indeksowy: #6699784. Żałował też, że Jasmine nie udało się skopiować całego genomu, jedynie sekwencję odpowiadającą Genom Nazaret. Mogliby wtedy użyć GenoDżina i ustalić wygląd tej osoby.

Przynajmniej jednak wiedzieli, że ktoś taki żyje i która baza danych zawiera jego geny. Powinno być już tylko kwestią czasu, kiedy Jasmine po raz kolejny wśliznie się do Czarnej Dziury i odnajdzie nazwisko ukryte za zakodowanym numerem. Nazwisko zbawcy Bractwa i Holly.

- Tom?

Odwrócił się i zobaczył idącego w jego stronę Aleksa. Nagle stracił dobry humor. Zanim ojciec zdążył powiedzieć choć słowo, Tom wiedział, co usłyszy. Alex zabrał tego dnia Holly na badanie mózgu w Massachusetts General. A po jego ściągniętej twarzy widać było wyraźnie, że wynik jest pozytywny. Tom wiedział, że przepowiednia DAN-a się ziści, jej trafność jednak go zaszokowała, kiedy stała się rzeczywistością.

Tego wieczoru Holly przeczytała w gazecie o schwytaniu Kaznodziejki i powiedziała Tomowi, jak to super, że jej tata i matka chrzestna są bohaterami. Wtedy właśnie, niemal mimochodem, wspomniała po raz pierwszy o swoich bólach i zawrotach głowy. Wyznała ojcu, że chociaż przestała grać na komputerze, bóle nie minęły. Wysłuchał jej bez słowa i dał dwa proszki przeciwbólowe.

Wcześniej obejrzał ciemne plamy na tomografiach mózgu córki. Powiedziały mu, że choroba nie tylko się zaczęła, ale rozwijała w alarmującym tempie. Zidentyfikowanie znalezionej przez Jasmine osoby stało się jeszcze pilniejsze. Cokolwiek jednak stałoby się w „Kanie” i kiedykolwiek by

się to stało, Holly nie mogła czekać. Należało jej powiedzieć, co się z nią dzieje i czego trzeba, by jej pomóc. Tom niezliczoną ilość razy informował swoich pacjentów o poważnych chorobach, miał nadzieję, że ze współczuciem, po ludzku. Ale powiedzieć coś takiego własnemu, ukochanemu dziecku to zupełnie inna sprawa, i po raz kolejny zateęsknił za radą Olivii.

Następnego dnia po śniadaniu poszedł z córką do ogrodu. Był pogodny, wiosenny poranek, środek kwietnia; na trawniku wciąż lśniła rosa. Cebulki posadzone poprzedniej jesieni przez Olivię rozkwitały gęstwiną czerwieni i żółci. W powietrzu czuć było świeży powiew, zwiastujący życie, odrodzenie.

Ogrodnik doglądał krzaków róży po drugiej stronie ogrodu. Podniósł wzrok i uśmiechnął się spod spłowiałej czapki z logo Boston Red Sox.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry, Ted - odpowiedzieli chórem Holly i Tom.

Ted, od dawna na emeryturze, pomagał Olivii w ogrodzie raz w tygodniu od prawie siedmiu lat. Po jej śmierci zaczął przychodzić niemal codziennie, by dokończyć to wszystko, co zamierzała zrobić. Tom często próbował mu płacić, ale Ted zawsze odmawiał. Zdejmował czapkę, drapał się w krótkie, potargane włosy i smutno uśmiechał. „Dziękuję, doktorze Carter, ale w moim wieku nie mam za wiele do roboty. A poza tym w ten sposób jestem blisko Olivii. Rozumie pan?”

Tom rozumiał. Wiedział też jednak, że wdowiec nie stroni od towarzystwa Marcy Kelley.

Trzymając córkę za rękę, zaprowadził ją na drugi koniec ogrodu. Nogawki jej workowatych dżinsów zawilgły od rosy.

- Wiesz, dlaczego boli cię głowa, Holly? - spytał.

Wbiła czubek trampka w mokrą trawę.

- To nie od komputera?

- Nie, Holly, nie od komputera.

Spojrzała na niego i zamyśliła się, marszcząc czoło. Widział już taki wyraz jej twarzy.

- A więc od czego?

Tom zatrzymał się i przykucnął obok niej na trawie. Ciemne oczy Holly uważnie mu się przyglądały.

Uśmiechnął się do niej.

- Przede wszystkim, Holly, nie bój się. Zwalczymy te bóle i wszystko będzie w porządku. Rozumiesz?

- Tak, tato - odparła cicho. Jej duże oczy patrzyły na niego z taką ufnością, że ścisnęło mu się serce.

- Pamiętasz badanie, na które wczoraj zabrał cię dziadek?
- Aha.
- Wiesz, że to badanie sprawdza, czy wszystko jest w porządku w naszych głowach. Na twoim ostatnim wszystko było w porządku jak zwykle, nie licząc maleńkiego guzka.
- Czoło Holly zmarszczyło się - nie zrozumiała.
- Guzka?
- Tak, pamiętasz, kiedy uderzyłem głową w drzwi do spiżarki u dziadka i wyrósł mi wielki guz?
- Słaby uśmiech.
- A mama nazwała cię kanciastym łbem?
- Tom nastroszył się żartobliwie.
- Wszyscy mnie tak nazywaliście.
- Uśmiechnęła się szerzej.
- Nie, dziadek nazywał cię nosorożcem.
- Twój guz jest inny, bo znajduje się w środku. Mój bolał, bo był jak wielki siniak. Ale twój boli, bo naciska na twój mózg. Dlatego czasami boli cię głowa, kręci ci się w głowie i jest ci niedobrze.
- Holly znów zmarszczyła czoło, ale powoli kiwnęła głową.
- Skąd go mam?
- Cóż, z moim guzem to była moja wina, bo uderzyłem głową we framugę drzwi. Ale twój to absolutnie nie twoja wina. Miałaś wielkiego pecha. Coś się pokreśliło z niektórymi komórkami w twoim mózgu i zaczęły tworzyć guza.
- Dlaczego?
- Wyobraź sobie, że wszystkie komórki w twoim ciele są jak dzieci w klasie, muszą być grzeczne, żeby ciało było zdrowe. Czasami, tak naprawdę bez powodu, niektóre z tych dzieci przestają słuchać nauczyciela czy rodziców. Kiedy to się dzieje, przeszkadzają wszystkim pozostałym dzieciom i robią zamieszanie w klasie, tak jak niektóre komórki w organizmie...
- I wtedy chorujemy?
- Tak.
- Kiedy ten guz zniknie?
- Cóż, Holly, sam nie zniknie. A ponieważ jest w środku głowy, trudno się go pozbyć. Ale nie martw się, załatwimy go. Po pierwsze, będziemy ci dawać lekarstwa, żeby go zmniejszyć i zminimalizować jego skutki. A potem być może będziemy musieli go usunąć.
- Jakbyśmy wyrzucali te niegrzeczne dzieci ze szkoły?

- Otóż to. Ale musisz być dzielna. Leczenie nie jest łatwe. Przez jakiś czas zostaniesz w szpitalu.

Holly przekrzywiła głowę. Dokładnie tak robiła Olivia, kiedy intensywnie nad czymś się zastanawiała.

- To ty będziesz mnie leczyć? - zapytała.
- Jeśli chcesz. Inni pomogą, ale to ja będę twoim lekarzem.
- I będę mogła iść do tego specjalnego szpitala u ciebie w pracy?
- Oczywiście.

Holly rozważyła te informacje, a potem zadowolona pokiwała głową. Wydawała się nie tylko nieprzestraszona, ale wręcz podekscytowana. Często odwiedzała Toma w pracy i chodziła na oddział porozmawiać z pacjentami. Teraz, jak na ironię, zdawała się cieszyć, że zostanie jednym z tych pacjentów, którym poświęcał tak dużo czasu. Jej absolutne zaufanie ułatwiło mu tę rozmowę, ale jednocześnie przerażała go myśl, że może to zaufanie zawieść.

- Nie będzie łatwo - powtórzył. Zazwyczaj musiał zachęcać pacjentów, by zachowali optymizm mimo złych wiadomości, ale w przypadku Holly czuł, że musi go przyhamować.

- Czy Jennifer i Megan mogą mnie odwiedzać?
- Jasne.
- I mogę dalej używać komputera?
- Oczywiście. Tak długo, jak zechcesz. Będziesz miała stałe łącze i najlepszy sprzęt, jaki Jazz uda się zdobyć.

Holly znów się zastanowiła i kiwnęła głową.

- I będę cię częściej widywać?
- No pewnie - odparł. - Kiedy tylko będziesz chciała. W dzień i w nocy będę przy tobie.

Tydzień później, Bostońskie Centrum Zatrzymań

Dwudziestego czwartego kwietnia Maria przebywała w Bostońskim Centrum Zatrzymań od niecałych dwóch tygodni, ale już zdążyła je znie-nawidzić. Nie chodziło nawet o proces i prawdopodobny wyrok śmierci; nawet przesłuchania przez Karen Tanner uważała za przyjemną odmianę. Nie potrafiła znieść utraty kontroli. W swojej celi nie mogła zostawiać zapalonego światła, należycie ćwiczyć ani golić głowy. A ponieważ nie pozwalano jej mieć żadnych ostrych przedmiotów, nie mogła nawet ulżyć

sobie w stresie zwyczajowym upuszczaniem krwi. Dlatego panowała nad sobą, skupiając się na jednym tylko celu: musi się stąd wydostać i powstrzymać Cartera.

Kajdanki na kostkach ocierały je nieprzyjemnie, kiedy szurając, weszła do pokoju przesłuchań, żeby porozmawiać ze swoim drogim prawnikiem. Usiadła naprzeciwko Hugona Myersa i popatrzyła na niego srebrnoszare włosy i pasujący do nich srebrnoszary garnitur. Mężczyzna miał czterdzieści parę lat i wyglądał jak statysta z telewizyjnego programu, ale podobno jako adwokat był dobry. Nawet jeśli, jak do tej pory zdołał tylko wytłumaczyć jej, jak niewiele może zrobić bez jej współpracy. Skontaktował się z nią zaledwie kilka godzin po jej aresztowaniu, proponując swoje usługi wyłącznie w zamian za... rozgłos. Nie musiała nawet naruszać stanu konta w banku Chase Manhattan, założonego na takie właśnie przypadki.

Strażnicy przytwierdzili jej kajdanki do pierścienia na stole przed nią. Uśmiechnęła się. Może i straciła kontrolę, ale przynajmniej wciąż okazywali jej szacunek.

Przywitała się i Hugo Myers zaatakował ją tym samym pytaniem, które zadawał od tygodnia; tym samym, które zadawała jej agentka specjalna Karen Tanner.

- A więc - powiedział, patrząc mętnym wzrokiem w jej oczy z największą szczerością, jaką można kupić za pieniądze - zastanowiła się pani, czy pójdzie na ugodę?

- Jak bym mogła? Powiedziałam już FBI, nie wiem, o czym mówią.

Hugo Myers uniósł starannie wyskubaną brew i splótł palce.

- Niech pani posłucha, Mario. Na wypadek, gdyby Federalne Biuro Śledcze nie wyraziło się dość jasno podczas ostatniego spotkania, wyjaśnię pani kilka spraw. Scotland Yard zaprosił FBI do pani londyńskiego mieszkania. Widzieli pani niezwykłą kolekcję broni, peruki i przybory do makijażu. Co ważniejsze jednak, przeczytali stosik teczek, zawierających szczegółowe dane o ofiarach morderstw z ostatnich trzynastu lat. Zdobyli także pani robione na zamówienie wieczne pióro i zeznanie jedyne go człowieka z pani akt, który jeszcze żyje. Doktor Carter to szanowany naukowiec; opisał w swoim oświadczeniu, jak próbowała go pani dwukrotnie zabić i jak zabiła pani jego żonę podczas pierwszej próby. Oświadczenie to potwierdził inny uznany naukowiec, jego koleżanka, doktor Washington. W porządku, nikt nie widział, jak zabija pani czterech strażników w GENIUS-ie, ale kule pasują do pani pistoletu. Jutro pani DNA zostanie odczytane w zakładzie analiz FBI, a jeśli pani profil genetyczny będzie się zgadzał z DNA

znalezionym na miejscu zabójstwa Fontany, federalni będą mogli panią powiązać z morderstwami Kaznodziei. Rozumie pani? Jestem pani obrońcą, lecz nawet ja uważam, że sprawy wyglądają nieciekawie. Jeżeli się nie dogadamy, będzie po pani. Ze szczegółowych akt znalezionych przez FBI w pani mieszkaniu wynika, że ktoś pani pomagał. Federalni są przekonani, że pracowała pani na zlecenie. Jeśli powie im pani, kto dawał pani te akta, prokurator obiecał, że się dogadamy.

- Aleja dla nikogo nie pracowałam. Tylko dla Boga.

Hugo Myers zacisnął zęby i wolno pokiwał głową, wyraźnie starając się zapanować nad sobą.

- Mario, słyszała pani hasło: „Niech płaci przestępca, nie podatnik”? Wymyślił to prezydent na poparcie swojej inicjatywy Przystępność 2000. Dzięki wojnie z przestępczością zdobył dużo głosów, a większość gubernatorów stanowych przyjęła ją z radością. Czy zdaje sobie pani sprawę, że dziewięćdziesiąt osiem procent procesów o morderstwo od marca 2000 roku zakończono w trybie przyspieszonym? To oznacza, że trwały niecałe dwa tygodnie. Pani proces zaczyna się pojutrze i skończy się w jakieś dziesięć dni. Ale panią najbardziej powinna interesować innowacja wprowadzona w instytucji celi śmierci. Liberałowie zawsze twierdzili, że czekanie dziesięć albo więcej lat na egzekucję jest nieludzkie, a skrajna prawica od dawna protestuje przeciw kosztom utrzymania tych „martwych” ludzi. Teraz więc wszyscy są zadowoleni. Odkąd dwa lata temu wprowadzono nowe prawo, najdłuższy czas oczekiwania na wykonanie wyroku to trzydzieści siedem dni. Sprawiedliwość w stylu McDonalda. Szybka, satysfakcjonująca, wszędzie taka sama; wszystkim odpowiada.

Myers przerwał i znów spojrzał jej w oczy.

- Jeśli nie będzie pani współpracować, zginie pani w ciągu dwóch miesięcy. Niech im panie powie, dla kogo pracowała, a prawdopodobnie uda mi się załatwić pani dożywocie.

Maria zmarszczyła brwi. Nie mogła zdradzić Bractwa tym niewiernym. Tak, Ezekiel okazał się słaby, ale Bractwo było jedyną jej rodziną i tylko ono wciąż dawało nadzieję na obronę tego, co prawe, i na odnalezienie Mesjasza. Zdrada nie pomogłaby jej załatwić doktora Cartera. Bezgłośnie poprosiła Boga o radę.

- A jeśli nie przyznam się do winy? - spytała, bawiąc się efektem, jaki pytanie to wywarło na jej sfrustrowanym adwokacie.

Prawnik przewrócił oczami, z jego wąskich ust wydobyło się westchnienie.

- Jest pani niewinna? Mimo wszystkich dowodów?
- Niewinna? W oczach Boga całkowicie.
- Jeśli jutrzejsze badanie pani DNA da wynik pozytywny, nie tak będzie pani wyglądała w oczach stanu Massachusetts.
- Pan chyba miał mnie bronić. A nie tylko wyjaśniać, co się może stać. Oczywiście, jeśli nie chce pan podjąć się tak prestiżowej sprawy, zawsze mogę sobie znaleźć innego prawnika.
- Odziane w srebro ramiona poruszyły się z rezygnacją.
- Niewinna, tak?
- Nigdy nie byłam winna. Na pewno nie tak winna jak ci, o których śmierć jestem oskarżona. Zresztą tak naprawdę nie obchodzi mnie, co zdecydują przysięgli.
- A to dobre - sarknął Myers głosem suchym jak pieprz. - Bo jeśli ogłosi się pani niewinną, szansa, że wyjdzie pani z tego cało, jest mniej więcej taka sama jak szansa, że zostanie pani wybrana na prezydenta.

Tydzień później, dział informatyczny, siedziba GENIUS-a, Boston

Dlaczego, do cholery, nic nigdy nie idzie łatwo? - pomyślała Jasmine, sięgając nad biurkiem po dietetyczną colę. Przyłożyła lodowato zimną puszkę do czoła. Skończyły jej się pomysły. Próbowwała i próbowała, ale nie potrafiła w ciągu minuty wydostać z Czarnej Dziury danych innych niż zakodowany numer i mały odcinek genomu.

Przez trzy tygodnie od aresztowania Marii nic tylko składała zeznania i unikała kamer telewizyjnych. Lany spisał się doskonale. Kiedy doszło do tego, że musiała radzić sobie ze sławą i mediami, jego producenckie kontakty bardzo się przydały. Przywiózł jednego ze swoich hollywoodzkich specjalistów od prasy, który został rzecznikiem Jasmine i Toma, biorąc na siebie całe zainteresowanie mediów „uratowaniem życia doktorowi Cartrowi” i „bohaterskim pojmaniem Kaznodziejki przez noblistkę”. Odwrócenie od niej uwagi środków masowego przekazu dało jej chwilę oddechu, pozwalając przemyśleć wszystko, co się stało.

Ale nie chodziło tylko o Kaznodziejkę. Jasmine wciąż się nie pogodziła z faktem, że przejrzała wszystkie bazy danych DNA i znalazła tylko dwie odpowiednie osoby, w tym niedawno zmarłego Ala Puyianę. Dwie osoby z pięćset milionów. Zważywszy że populacja światowa liczy około pięciu miliardów, czy oznacza to proporcjonalnie, że po ziemi chodzi około dwudziestu

osób z genami Chrystusa? Wybrańcy niezwykle rzadcy, ale istnieją. Który z nich jest prawdziwym Mesjaszem, o ile w ogóle któryś nim jest?

Jasmine toczyła bój z własną wiarą. W końcu powiedziała sobie, że Chrystus był wyjątkowy z przyczyn duchowych, ale zbiegiem okoliczności posiadał także te trzy geny. Wiedziała, że w ten sposób wygodnie omija problem, ale rozmyślnie go odsuwała, pograżając się w pracy nad odkryciem tożsamości tajemniczej osoby z Czarnej Dziury.

Spojrzała na ekran komputera. Jak dotąd udawało jej się wracać do Czarnej Dziury i uzyskiwać dostęp do pliku #6699784, ale w ciągu sześćdziesięciu sekund, zanim PREDATOR ją namierzył, nie potrafiła odczytać całego genomu. Próbowwała zdobyć nowe odcinki sekwencji, lecz za każdym razem, gdy wracała, docierała tylko do sekwencji, którą już odkryła. Na pewno nie miała wystarczająco dużo fragmentów genomu, żeby sporządzić analizę wyglądu, a bez chromosomów płci nawet jej nie mogła określić.

Otworzyła puszkę i napiła się coli. Nacisnęła bezmyślnie kilka klawiszy i włączyła IGOR-a. Od co najmniej tygodnia nie sprawdzała najnowszych wpisów zebranych przez Wielką Matkę. Kliknęła na ikonę Genów Nazaret i przeniosła ją do okna „aktualizacja IGOR-a”, naciskając na ekranie przycisk „Znajdź sekwencję”. W ostatniej chwili zdała sobie sprawę, że nie zaimportowała ikony Genów Nazaret, lecz ikonę zawierającą niepełną sekwencję #6699784, wydobytą z Czarnej Dziury.

- No nie.

Była jeszcze bardziej ogłupiała od siedzenia przy komputerze, niż myślała. Poruszyła myszą, lecz zanim nacisnęła ikonę „Anuluj”, na ekranie rozbłysł nagle napis: *Sekwencja znaleziona.*

- Co?

To nie powinno było się stać. Sekwencja #6699784 została zeskanowana tygodnie, miesiące, może lata temu, podczas gdy aktualizacje IGOR-a pochodziły ze skanów zrobionych przez ostatnich kilka dni. Jasmine poczuła przyływ zimnej, lepkiej paniki, kiedy uświadomiła sobie, co mogło się wydarzyć. Szybko kliknęła na ikonę Genów Nazaret i przeniosła ją do okna „aktualizacji IGOR-a”. Skrzyżowała palce, wpatrując się w ekran.

I czekała.

Znów rozbłysnął napis: *Sekwencja znaleziona..*

Szybko wybrała pasujący genom i otworzyła go. Kilka sekund później ekran wypełniły trzy zdjęcia: lewy profil, en face, prawy profil. Pod nimi pojawiło się nazwisko i dane osobiste. Tytuł bazy danych na górze ekranu powiedział Jasmine, że była to dokładnie ta sama osoba, którą zlokalizo-

wała w Czarnej Dziurze. Ale prawie nie zwróciła na to uwagi, patrząc na twarz przed sobą. Twarz, którą знаła aż za dobrze.

Tom, odwiedzając chorych w szpitalu, nie wiedział, czy się cieszyć, czy smucić. Tego ranka Hank Polański opuszczał oddział, by zdrowieć dalej w domu. Tom widział, jakiej otuchy jego wyleczenie dodało pozostałej szóstce pacjentów. Żałował tylko, że jednym z nich - ostatnio przyjętym - jest Holly.

Hank Polański podchodził do wszystkich po kolei; zęgnął się i życzył im powrotu do zdrowia. Zdawał się boleśnie świadom tego, ile miał szczęścia, mogąc opuścić ten ekskluzywny klub, zanim przyjął dożywotnie członkostwo.

- Na razie, Holly - powiedział, podchodząc do jej łóżka. Większość jej pięknych jasnych włosów wypadła już na początku chemioterapii i dziewczynka była blada. - Wszystko będzie dobrze.

- Na razie, Hank. - Holly uśmiechnęła się odważnie, przybijając mu piątkę.

- A kiedy utknę w Gniewie Zarga albo starym Doomie, będę wiedział, kogo prosić o pomoc. - Dwudziestotrzylatek się wyszczerzył.

- Jasne - powiedziała Holly; choć zmęczona, próbowała nadal się uśmiechać.

W końcu Hank podszedł do Toma w oczach miał łzy. Zaczął coś mówić, ale się rozmyślił. Chwycił dłoń Toma i mocno ją uściśnął.

- Dzięki, panie doktorze. Dzięki za wszystko.

Tom uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu.

- Hank, o to właśnie chodzi. To radość, prawdziwa radość, widzieć cię znów zdrowego.

Naprawdę tak myślał. A kiedy Hank i jego matka opuścili oddział, by żyć dalej życiem, które już uważali za stracone, Tom wrócił do Holly.

Karl Lambert, neurochirurg pracujący w GENIUS-ie, zalecał natychmiastową operację laserową, ale tomografia wykazała że guz znajduje się w wyjątkowo trudno dostępnej części mózgu Holly. Ryzyko paraliżu albo czegoś gorszego przy jednym nieprecyzyjnym ruchu lasera było wielkie. Dlatego Tom postanowił spróbować spowolnić rozwój guza, kupując czas, aż Jasmine zidentyfikuje posiadacza genów i będzie można zastosować projekt „Kana”. Oprócz chemii strategia ta opierała się na radioterapii i terapii lekowej.

Nawet gdyby wszystkie te zabiegi się powiodły, były w najlepszym razie środkami doraźnymi i w końcu trzeba by przeprowadzić operację. Przy najmniej jednak kupowały Tomowi dość czasu, by „Kana” miała szansę przyjść mu z pomocą.

Wszedł do boks Holly i usiadł na łóżku obok niej.

- Jak się czujesz, Holly?

Dzielny uśmiech, którym dziewczynka obdarzała Hankę, nagle zniknął, a w jej oczach pojawiły się łzy.

- Dlaczego nie mogę wrócić do domu jak Hank, tato?

Tom poczuł, że ściska mu się serce. Holly reagowała wyjątkowo źle na radioterapię, dostawała nudności. Na oddziale nie było żadnych innych dzieci, które dotrzymywałyby jej towarzystwa, a teraz nawet wesoły Hank wyjechał.

- Hank nie wyzdrowiał od razu, Holly - powiedział Tom łagodnie. - Musimy cię tu zatrzymać i dopilnować, żebyś była odpowiednio leczona.

- Ale ja nie chcę - odparła; jej orzechowe oczy wyrażały poczucie krzywdy i frustrację. Mówiła coraz głośniejszym i piskliwiejszym głosem, a po jej policzkach spływały wielkie łzy. - Gdyby mama tu była, na pewno zabrałaby mnie do domu.

Odwróciła się od Toma i wtuliła twarz w poduszkę.

- Nie chcę być chora! - krzyknęła, a jej małymi ramionami wstrząsnął szloch. - Nie chcę, nie chcę, nie chcę!

Tom nachylił się i pogłaskał ją po karku. Siedział w milczeniu, aż stopniowo przestała płakać, a jej oddech się uspokoił. Pocałował ją.

- Holly, już niedługo poczujesz się lepiej. Tabletki, które podały ci pielęgniarki, lada chwila zaczną działać.

Wstał, obiecał córce, że niedługo do niej wróci, i ruszył do atrium. Zanim dotarł do drzwi, na oddział wpadła Jasmine; czerwona, wymachiwała jakimś wydrukiem.

Złapała Toma za ramię i wyprowadziła go przez drzwi, które nie zdążyły się jeszcze zamknąć, do pustej poczekalni. Kiedy tylko znaleźli się sami, podała mu złożony wydruk.

- Dowiedziałam się, kim jest nasz posiadacz genów - syknęła.

- Co? To świetnie!

- Przeczytaj, zanim powiesz, że to świetnie.

Tom szybko rozłożył papier i aż się cofnął, kiedy zobaczył twarz.

- Twój kolega Ezekiel będzie zaskoczony, co? - mruknęła ponuro Jasmine.

Tom nic nie odpowiedział. Nie mógł. Był tak wstrząśnięty, że patrzył tylko na kartkę w pełnej niedowierzania ciszy.

Siedziba Genius-a, Boston

Kiedy limuzyna wjeżdżała na teren kampusu GENIUS-a, Ezekiel De La Croix obracał na palcu pierścień z rubinem. Czuł nieprzyjemne podniecenie i nerwową obawę. Czyżby Pan odpowiedział w końcu na jego modlitwy?

Kiedy tylko zobaczył piramidę z przyciemnionego szkła, od razu poczuł niechęć. Była dokładnym przeciwieństwem Groty Świętego Ognia: wyzywająca, nowoczesna, jaskrawa i arogancka. Nie próbowała wtapiać się w otaczającą przyrodę. W przeciwieństwie do groty Bractwa, zarządzanej przez wieki w już istniejącej przestrzeni, piramida dominowała nad zielonymi trawnikami kampusu GENIUS-a, jak symbol podszytej strachem i próżnej żądzy naukowca, by zdominować świat Boży.

De La Croix nie chciał tu przyjechać, a niezwykła prośba Cartera, by wcześniej przysłał pojedynczą cebulkę swojego włosa, wcale go do tego nie zachęciła. Naukowiec jednak nie chciał podać mu żadnych szczegółów przez telefon, musiał więc go odwiedzić.

- Lepiej, żebyśmy porozmawiali o tym w cztery oczy - powiedział mu Tom przed dwoma dniami. - Zrozumie pan dlaczego, kiedy pan przyjedzie.

Ezekiel nie tylko czuł się nieswojo, jadąc do tej pogańskiej świątyni; przeszło mu także przez myśl, że to może być pułapka. Gdyby Maria zdradziła jego i Bractwo, najlepszym dla władz sposobem aresztowania

go byłoby zaproszenie go przez doktora Cartera na amerykańską ziemię. Przedyskutował to z Najwyższym Kręgiem i bracia wspólnie uznali, że to wysoce nieprawdopodobne. W końcu gdyby zostali zdradzeni, władze bez wątpienia urządziłyby już nalot na grote. Ostrożny Ezekiel poprosił jednak brata Helixa, by wprowadził go w kwestie techniczne, i przybył sam. Gdyby wpał w pułapkę, brat Helix z pomocą brata Bernarda przejąłby kierownictwo nad świętą misją Bractwa.

Ezekiel patrzył, jak limuzyna, która odebrała go z lotniska Logana, zatrzymuje się pod głównym wejściem. Carter czekał na zwirowym podjeździe. Obok niego stała młoda, czarnoskóra kobieta o delikatnych rysach twarzy i fryzurze afro. Ezekiel domyślił się, że to doktor Washington.

Kiedy wysiadł z samochodu, gospodarze go powitali i szybko zaprowadzili do budynku. Była sobota i w atrium o marmurowych posadzkach panowała grobowa cisza. Mimo niekorzystnego wrażenia, jakie piramida zrobiła na nim z zewnątrz, jej przestronne wnętrze mu zaimponowało. Najbardziej spodobał mu się dziesięciometrowy hologram na środku atrium, przedstawiający podwójną helisę kolorowego DNA, wznoszącą się aż po szczyt kryształowej budowli. Piękno jej złożonych, mieniących się barw kontrastowało z czystą bielą Świętego Ognia. Kiedy przeszklona winda wiozła ich przez poziom galerii na następne piętro, rzuciło mu się w oczy, że jest równie jasne i przestronne.

Wyszli z windy i podeszli do szklanych drzwi z napisem LABORATORIUM MENDLA - NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY. Tam Ezekielowi przedstawiono Boba Cooke'a i Norę Lutz.

- Oboje pomagali w analizie Genów Nazaret - wyjaśnił Carter. - Chcieli pana poznać.

- To cały zespół Kana? - spytał Ezekiel, wskazując ich czworo.

- Tak, postanowiłem zachować jak największą dyskrecję.

- Bardzo rozsądnie - odparł starzec, z aprobatą kiwając głową. To ułatwi sprawę w przyszłości. - Bardzo rozsądnie.

Naukowiec i jego koledzy zaprowadzili go do środka, w dziwną krainę szklanych rur, nieskazitelnie białych stołów, buczonej aparatury, migających światełek i ostrzegawczych napisów.

UWAGA! MATERIAŁ BIOAKTYWNY

NIEBEZPIECZEŃSTWO! 180 STOPNI, KONIECZNE RĘKAWICE

BROMEK ETYDYN - UNIKAĆ KONTAKTU ZE SKÓRĄ

To było wrogie człowiekowi środowisko, zimne i nienaturalne. Nowy, wspaniały świat, z którym Ezekiel nie chciał mieć nic wspólnego. Ulżyło

mu, kiedy doktor Carter w końcu zaprosił go do pomieszczenia o nazwie Sala konferencyjna im. Francis Cricka. Tam starzec zobaczył znajomy stół konferencyjny z fotelami, ekran rzutnika i dziwne urządzenie w kącie - mechanicznego łabędzia. Na podłodze przed nim spoczywały dwie okrągłe, czarne platformy.

Ezekiel usiadł obok Boba Cooke'a i podziękował za kawę, którą postawiła przed nim doktor Washington.

- Po pierwsze, panie De La Croix, dziękuję za przybycie - zaczął Carter.
- Już za chwilę zrozumie pan, dlaczego prosiłem o przysłanie cebulki włosów. Teraz jednak chciałbym pokazać, co odkryliśmy.

Głos zabrała Jasmine Washington i przez następne pół godziny wyjaśniała, jak działa przypominający łabędzia genoskop.

Ezekiel słuchał uważnie. Brat Helix wprowadził go w podstawowe tajniki, ale to, co teraz słyszał tu, w tym jaskrawo oświetlonym pomieszczeniu, w cieniu mechanicznego łabędzia, bardziej do niego docierało. Przeraziło go, jaką mocą dysponują ci ludzie.

Kiedy Jasmine skończyła, nic nie powiedział, otworzył tylko usta w podziwie, gdy pojawił się przed nim trójwymiarowy obraz. W pierwszej chwili szokowała go magia, która pozwalała stworzyć pozornie lity wizerunek w powietrzu, potem jednak uświadomił sobie, że ten drobny, żylasty mężczyzna to on sam sprzed sześćdziesięciu lat. Poczł ukłucie smutku, patrząc na ducha swojej młodości, człowieka, którego znał wiele lat temu, a który tak bardzo się zmienił.

- Hologram pokazuje osobę w wieku, w jakim komórka została pobrana. Ale DAN potrafi ekstrapolować dane, jeśli chcemy, by hologram pokazywał inny wiek - wyjaśniła Jasmine. - W tym przypadku ustawiliśmy go na ponad trzydzieści lat.

- To niewiarygodne - szepnął Ezekiel, bardziej niż kiedykolwiek przekonany, że Carter jest niebezpieczny. - Naprawdę niewiarygodne.

Carter opowiedział, jak genoskop znalazł trzy nowe geny w DNA z zęba Chrystusa. Starzec słuchał, jak naukowiec opisuje właściwości tak zwanych genów naz 1 i naz 2 oraz tajemniczy trzeci gen. Następnie Carter wytłumaczył, jak, z powodu trudności w zrozumieniu genów, został zmuszony do znalezienia ich żyjącego posiadacza. Zanim jednak Ezekiel zaczął drążyć ten temat, na drugiej okrągłej platformie pojawiła się kolejna postać. Była wyższa niż jego hologram, miała długie ciemne włosy i pociągłą, inteligentną twarz. Mądre, piwne oczy patrzyły na Ezekiela spojrzeniem, od którego zrobiło mu się nieswojo.

- To Jezus Chrystus w wieku trzydziestu kilku lat - powiedział Carter.
- Mniej więcej takim samym, jak pański hologram. W wieku, kiedy podobno został ukrzyżowany.

Ezekiel De La Croix przez chwilę milczał, nie wiedząc, co ma czuć. Obrzydzenie, że ten ateista odtworzył obraz Chrystusa? Czy radość, że jest jedynym przywódcą Bractwa od czasów jego założyciela, który ogląda twarz pierwszego Mesjasza?

- Potraficie to zrobić, mając tylko proszek z jego zęba? - spytał w końcu.

- Tak - odparł cicho Carter. - Tak jak zrobiliśmy z pana włosem.

Ezekiel był niemal tak samo zdumiony tym, w jaki sposób może widzieć to, co widzi, jak samym obrazem. Carter prześcignął Ikarą latającego za blisko Słońca. Manipulował samą istotą Boga. W tej chwili, chociaż wydawał się pełen szacunku, nawet onieśmielony, Ezekiel go znienawidził. Zrozumiał, dlaczego Maria tak nieustępliwie pragnęła powstrzymać jego oburzającą zuchwałość. Carter nie tylko zerwał zakazany owoc z drzewa wiadomości - on ogołocił z jabłek wszystkie jego gałęzie.

Mimo tych myśli twarz Ezekiela De La Croix pozostała niewzruszona; skupiał się na celu swojej wizyty.

- Co z tym żyjącym posiadaczem genów? Powiedział pan, że go znaleźliście.

Washington i Carter wymienili niespokojne spojrzenia.

- Znaleźliśmy żyjącą osobę - odparł w końcu naukowiec. - Ale jest pewien problem.

Ezekiela zaskoczył ton naukowca.

- Problem? Co pan ma na myśli? Nie wiecie, gdzie ta osoba przebywa?

- Wiemy to dokładnie - powiedział Carter. - Ale to nie takie proste.

- Ja to wyjaśnię - zaproponowała Jasmine Washington, przysuwając fotel bliżej czarnego mikrofonu na końcu stołu. - Znalazłam pasujący zestaw genów w bazie danych DNA Interpolu. To pośrednia baza danych, znajduje się w Paryżu. Sama w sobie nie zawiera wiele informacji, służy jednak jako środek dostępu do innych baz na całym świecie. Scotland Yard, FBI i wszystkie większe międzynarodowe siły policyjne są do niej podłączone. Jest ściśle tajna i bardzo dobrze strzeżona, ponieważ ten, kto się już do niej dostanie, ma dostęp do wszystkich danych osobowych ze wszystkich archiwów policyjnych świata. Jako dodatkowe zabezpieczenie genomom tego systemu przydzielany jest numer kodowy. Pasujący zestaw genów znalazłam tak naprawdę ponad trzy tygodnie temu, ale nie mogłam dotrzeć

do ukrytego za numerem nazwiska. W zeszłym tygodniu DNA tej osoby zostało zeskanowane jeszcze raz. A ponieważ kazałam naszemu centralnemu komputerowi zapisywać wszystkie skany z genoskopów na naszej licencji, genom ten został potajemnie wysłany również do IGOR-a, a nie tylko do paryskiej bazy danych.

Ezekiel zmarszczył czoło.

- A więc macie tę osobę. W czym problem?
- Problem tkwi w waszych oczekiwaniach.
- To znaczy?
- Wszystkie osoby zebrane w tej bazie danych to podejrzani albo skazani przestępcy.

Cisza.

Ezekiel przez chwilę czuł otepienie, im więcej jednak o tym myślał, tym bardziej przekonująco to brzmiało. Czy Chrystus nie był uwięziony? Czy pierwszy Mesjasz nie został stracony, ukrzyżowany jako przestępca?

- Pierwszy Mesjasz również był tak nazywany - powiedział w końcu - a był człowiekiem prawym.

Jasmine odchrząknęła i nachyliła się do mikrofonu.

- Pokaż kartę! - rozkazała komputerowi.

Ezekiel znów oddychał spokojnie, chociaż żołądek wciąż go bolał. Usiadł wygodnie i patrzył, jak na ekranie powoli wyświetla się obraz.

- To nasz człowiek - powiedziała cicho Jasmine.

- Nie! - Starzec usłyszał własny krzyk, kiedy zdjęcie wreszcie się pojawiło. Patrząc na powiększony wycinek z gazety, mógł myśleć tylko o jednym - że zaszła jakaś okropna pomyłka. To było niemożliwe. Poczł, że kwasy bulgocą mu w żołądku, i sięgnął po swoje białe pigułki.

- Wiem, że to szok - szepnął Carter. - I jestem tym tak samo przerażony jak pan. Ale geny pasują idealnie i dają jedyną znaną nam szansę opracowania leku. Zamierzamy zdobyć i przeanalizować próbki krwi, a potem stworzyć wirusowe surowice z genów tej osoby. Chcemy też zdobyć pozwolenie na dokładne jej przebadanie, żeby spróbować ustalić, w jaki sposób geny działają w jej organizmie. Naturalnie o wszystkim, czego się dowiemy, będziemy was informować. Mam nadzieję, że teraz rozumie pan, dlaczego uznałem za konieczne zaprosić pana tutaj i pokazać panu tę osobę twarzą w twarz.

Ezekiel tylko słabo pokiwał głową. Rozumiał to lepiej, niż Carter się domyślał. Człł na sobie spojrzenie naukowca, ale nie mógł, nie śmiał popatrzeć mu w oczy. Wpatrywał się w ekran, zahipnotyzowany wycinkiem

z wczorajszego „Boston Globe'a". Wytłuszczony nagłówek głosił: OSTATNIE KAZANIE KAZNODZIEJKI?, pod spodem zaś, mniejszym drukiem, napisano: Wyrok śmierci jest już pewny. Poniżej znajdowało się ziarniste zdjęcie wysokiej, potężnie zbudowanej kobiety wpychanej do policyjnego radiowozu; jej oczy o intensywnym spojrzeniu patrzyły prosto w obiektyw aparatu, a ogoloną kiedyś głowę porastała krótka szczecina.

Ezekielowi przypominał się nagle koszmarny sen o Poncjuszu Piłacie: stał z boku, podczas gdy Mesjasz, którego ocaleniu poświęcił całe życie, wydawany był na śmierć. I jego zmęczonym, starym ciałem wstrząsała mimowolny dreszcz.

Trzy dni później, Sąd Najwyższy stanu Massachusetts

- Niech oskarżona wstanie, zostanie odczytany werdykt ławy przysięgłych - powiedziała sędzia Sancha Hernandez, odwracając się do Marii Benariac. Maria jej nie lubiła; przypominała jej tłustą ropuchę z sierocińca na Korsyce. Podobnie jak siostra Clemenza, sędzia Hernandez była potężną kobietą o wielkim biuście i niskim głosie; nosiła duże okulary. Tak samo jak siostra przełożona miała też twarde spojrzenie, którym przewiercała teraz oczy Marii.

Sędzia konsekwentnie odrzucała wnioski Hugona Myersa o otwarcie procesu i zbadanie spiskowej teorii, że Maria pracowała dla jakiejś rządowej agencji. Media mogły kupić i sprzedać historię o płatnej zabójczyni na usługach CIA, ale nie Hernandez. Ona zadbała, żeby nie kupili jej także przysięgli. Skrupulatnie trzymała się sedna sprawy i nie było dnia, żeby nie przypominała o tym z zadufanym przekonaniem o własnej słuszności.

- Ten proces ma ustalić winę bądź niewinność Marii Benariac, oskarżonej o czterdzieści dwa zabójstwa na terenie USA. A nie spekulować, co mogło lub nie mogło być ich przyczyną ani kto mógł bądź nie mógł zapłacić oskarżonej za ich dokonanie. Te sprawy powinny być przedmiotem osobnego śledztwa i osobnego procesu. Czy to jasne?

Było to tak jasne, że sędzia nie tylko ułatwiła zadanie prokuraturze, ale uczyniła jej udział wręcz zbędnym. Tak jak Hugo Myers ostrzegał Marię, dowody były przytłaczające. Wynik badania DNA z róż w mieszkaniu Fontany okazał się niepodważalny. Broń i akta w jej własnym mieszkaniu w Londynie, tak jak charakterystyczne biblijne cytaty napisane krwią ofiar, powiązały Marię z innymi zabójstwami w USA. Ale najbardziej obciąż-

zające były morderstwa czterech strażników w GENIUS-ie oraz zeznania doktora Cartera i doktor Washington. Oskarżyciel nie musiał właściwie nic już dodawać. Nawet doskonały Hugo Myers nie mógł dyskutować z obciążającymi Marię faktami.

Kiedy zobaczyła, jak niewysoki mężczyzna o orientalnych rysach staje przed przysięgłymi, nerwowo miętosząc w dłoniach kartkę papieru, wiedziała już, jaki odczyta werdykt.

- W sprawie morderstwa pierwszego stopnia Sły Fontany ława przysięgłych uznaje Marię Benariac... za winną - powiedział przewodniczący ławy, powtarzając słowa rozbrzmiewające w głowie Marii. Potem, jedno po drugim, niczym w galerii zła i występku, odczytano nazwiska pozostałych ofiar: Helmut Kroger, handlarz bronią; Santino Luca, mafioso; Bobby Dooley, fałszywy kaznodzieja. I raz za razem przewodniczący kończył tym samym słowem: „...za winną”.

Kiedy odczytał nazwisko Olivii Carter, Maria odwróciła się i napotkała wzrok naukowca. Carter siedział między swoim partnerem, Jackiem Nicholsem, a doktor Washington. Do tej pory byli w sądzie tylko raz, by złożyć zeznania. Spodziewając się, że doktor Carter będzie napawał się swoim tryumfem, Maria uśmiechnęła się do niego wyzywająco, ale zaskoczona zauważyła, że jego twarz jest zmęczona i blada, a spojrzenie niebieskich oczu przytępione. Dziwne było, że teraz, kiedy miała zostać skazana na śmierć, on wyglądał na pokonanego. Kiedy przystawiała mu pistolet do głowy, był silny i niezłomny.

Gdy odczytano werdykt, po zebranej publiczności i reporterach przeszedł szmer, szybko jednak ucichł. Nikt nie był zaskoczony. Hugo Myers, zawodowiec w każdym calu, położył dłoń na ramieniu Marii, okazując jej swoje wsparcie, jakby mógł cokolwiek zrobić. Ale Maria go zignorowała.

- Jestem niewinna w oczach Boga - powiedziała głośno.

Publiczność znów zaszemrała z podniecenia, zanim sędzia nie uciszyła jej uderzeniem młotka. Sancha Hernandez zaczęła odczytywać wyrok.

Maria nie zarejestrowała całej długiej przemowy sędzi, ale kluczowe słowa: sadystyczna morderczyni - zagrożenie dla społeczeństwa - przykładna kara - Przystępność 2000 - kara śmierci w trybie przyspieszonym, rozbrzmiały głośno i wyraźnie. Jedyнным szczegółem, na jaki czekała, było określenie terminu. Myers wyjaśnił jej, w jaki sposób inicjatywa Przystępność 2000 zakończyła kosztowne i „niehumanitarne” procedury apelacyjne, które sprawiały, że skazany mógł tkwić w celi śmierci dziesięć albo dwadzieścia lat. Miała jednak nadzieję, że egzekucja nie odbędzie się zbyt

szybko. Wciąż musiała wykonać boski plan. Musiała powstrzymać Cartera i jego projekt „Kana”.

Gdy sędzia ogłosiła datę egzekucji, chwilę trwało, zanim Maria uświadomiła sobie, jak niewiele ma czasu. A kiedy dwaj strażnicy podeszli do niej, by zaprowadzić ją z powrotem do celi, spojrzała na Cartera.

Uśmiechnęła się najbardziej wyzywająco, jak potrafiła, uniosła skute rękę i wskazała na niego.

- Ci, którzy uszli Jego zemście, odsunęli tylko nieuniknione - zawołała, przekrzykując tłum - bo zostali już osądzeni przez sąd wyższy niż ten.

Chciała, żeby wiedział, że to nie koniec, że jeszcze po niego przyjdzie. Ale ku jej autentycznemu zaskoczeniu wyraz twarzy doktora Cartera pozostał niewzruszony: nie było po nim widać tryumfu, strachu, gniewu - niczego. Nie mogła tego zrozumieć. Właśnie usłyszał, że morderczyni jego żony została skazana na śmierć, a egzekucja ma się odbyć za niecały miesiąc. Ale on tylko na nią patrzył, bez śladu satysfakcji na kamiennej twarzy.

Maria pomyślała, że bardziej niż ona wyglądał na skazanego więźnia.

Tom patrzył na porośniętą krótką szczecinę głowę Marii, kiedy ją odprowadzano. Nie zważając na hałas i gwar dookoła, gdy wszyscy zaczęli wstawać i kierować się do wyjścia, opadł na twarde oparcie drewnianego krzesła, w trzecim rzędzie galerii publiczności, i spróbował wszystko to jakoś ogarnąć.

W ciągu ostatniego tygodnia, odkąd Jasmine powiedziała mu, kim jest posiadacz genów, Tom próbował zrozumieć, co to oznacza. I za każdym razem, kiedy się nad tym zastanawiał, dochodził do tego samego pytania: Jak, u diabła, mam zrozumieć, że morderczyni mojej żony może być zbawczynią mojej córki? Gdzie w tym sens, gdzie logika? Dlaczego to nie mógł być ten Indianin albo ktoś inny, w oczywisty sposób dobry człowiek?

Przeszukali cały świat w poszukiwaniu osoby, która posiadałaby trzy najrzadsze istniejące geny; geny odkryte po raz pierwszy przed dwoma tysiącami lat u człowieka niekwestionowanie dobrego. Teraz geny te, które mogły ocalić niezliczone rzesze ludzi, miał nie ktoś o podobnie wielkim duchu, lecz bezwzględna morderczyni.

Tom zawsze godził się z wynikami loterii natury, ale tego było za wiele nawet dla niego. Wszystko to przypominało bardziej wynik czyjejś złośliwej intencji. Nic dziwnego, że stary Ezekiel De La Croix był tak wstrząśnięty. Mesjasz, którego poszukiwaniom poświęcił całe życie, okazał się

oszałała fanatyczką, która wierzyła, że jej celem na ziemi jest zabijać, a nie ratować.

Co takiego powiedziała mu Maria, kiedy została schwytana? „Bóg wystawia na próbę nas wszystkich”.

Carter pochylił głowę i popatrzył na porysowaną, wypastowaną, drewnianą podłogę. Nie umiał dostrzec w tym wszystkim nic pozytywnego. Zdobył próbki krwi Marii z jej badań, przeczytał nawet szczegółowy raport lekarski, ale jej geny niczego nie zdradziły. A bez jej współpracy nie mógł liczyć, że czeokolwiek się dowie.

Oczywiście wciąż istniała możliwość, że IGOR w końcu trafi na którąś z pozostałych dziewiętnastu osób na świecie z wszystkimi trzema Genami Nazaret. Ale szanse, że zostanie ona przeskanowana w ciągu najbliższych kilku tygodni, były nieskończenie małe. Tom musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Jedynie Maria mogła pomóc Holly.

- Chodźmy, Tom - powiedziała cicho Jasmine, kładąc mu dłoń na ramieniu. - Jack załatwił nam wyjście przez pokoje sędziowskie, żebyśmy uniknęli prasy.

Tom wstał i pozwolił zaprowadzić się w głąb sali rozpraw. Znowu pomyślał o tajemniczej, ale pozornie bezużytecznej surowicy stworzonej z połączonych Genów Nazaret, i o ryzyku nieuniknionej operacji mózgu Holly. W gardle poczuł gorzki smak żółci. To było teraz jego jedyne wyjście, gdyby Maria nie uleczyła dziewczynki.

Kiedy mijali fotel świadków, po lewej stronie pojawił się Jack.

- Tom, to jeszcze nie koniec.

Carter spojrział na przyjaciela i pokręcił głową.

- Nie, Jack?

Bez rozprasającego światełka nadziei przyszłość wydała mu się teraz jasna. Projekt „Kana” umarł, a niedługo, z całą pewnością umrze i Holly.

Oddział szpitalny GENIUS-a, Boston

Holly straciła czucie w lewej stronie ciała dwunastego maja, cztery dni po skazaniu Marii. Atak trwał dwie godziny. Tom widział, że przeraził jego córkę bardziej niż ból i nudności, które zniosła do tej pory. Radioterapia i leki spowolniły rozwój guza, ale wciąż rósł on w alarmującym tempie. Nacisk, który wywierał na jej mózg, zaczynał wpływać na część funkcji motorycznych. Sterydy redukowały opuchliznę i ataki, ale Tom wiedział, że będzie już tylko coraz gorzej.

Guz wchodził w czwartą i ostatnią fazę rozwoju: kluczowe geny chromosomu 9 były już dawno stracone, tak jak cała kopia chromosomu 10. Tempo wzrostu było niemal trzykrotnie szybsze niż najbardziej optymistyczna prognoza DAN-a; odpowiadało prawie dokładnie jego najgorszym przewidywaniom. Tom początkowo zignorował te złe wieści, powtarzając sobie, że znajdzie sposób, by zdobyć więcej czasu, teraz jednak, kiedy myślał o swoich postępach, to, co się działo, wydawało mu się gorzko właściwe.

Walczył ze swoim starym wrogiem, rakiem, i wróg wygrywał. A tym razem polem bitwy była Holly. Musiał dbać o samopoczucie córki, przedkładając je ponad wszystko, nawet ponad walkę z chorobą. Terapia, którą stosował, osłabiała ją, a nie mogła jej uratować.

Konflikt między Tomem-chirurgiem a Tomem-ojcem stał się boleśnie prosty. Tom musiał pomóc jej żyć albo pomóc jej umrzeć i zapomnieć o wszystkim pomiędzy.

- Świetna grafika.

Jasmine nachyliła się na swoim krześle obok łóżka Holly, żeby spojrzeć na ekran komputera stojącego na kolanach jej chrzestnej córki. Wojowniczkę na monitorze właśnie pożerał dwugłowy troll.

- A więc nie możesz przejść szóstego poziomu, tak?

Od ostatniego ataku minęły dwa dni i Holly siedziała na łóżku, ciesząc się jednym z rzadkich dobrych dni.

- Potrafię dostać się do zamku, zabić wszystkich orków i błękitnego smoka. Ale kiedy wychodzę, zawsze załatwia mnie troll albo wielki wąż morski w fosie. Za każdym razem.

- Zebrałaś wszystkie dodatki zdrowia ze skrytek?

- Chyba tak. I ukrytą broń, i dodatkowy pancerz. Ale potrzebna mi jest nieśmiertelność. A w zamku nie ma magicznego napoju.

- Szukałaś wszędzie?

- Wszędzie.

- I próbowałaś wszystkiego?

- Aha.

Jasmine się uśmiechnęła.

- A cheaty?

Holly z rezygnacją wzruszyła ramionami.

- Nie da się. Wszyscy wiedzą że Gniew Zarga to jedyna gra komputerowa, która nie ma kodów.

- Chcesz powiedzieć, że nie ma opublikowanych kodów.

Jasmine wiedziała, że każdy programista piszący gry umieszcza w nich skróty; pozwalają uzyskać nieograniczoną siłę ognia, życie po życiu albo nieśmiertelność po naciśnięciu odpowiedniej kombinacji klawiszy. W przypadku większości gier, takich jak Doom czy Dark Forces, kody te były odkrywane przez doświadczonych graczy i publikowane w Internecie. Ale według Holly nikomu nie udało się jeszcze złamać kodów Gniewu Zarga.

- Hej, przesun się trochę. I daj mi ten laptop.

Holly zrobiła jej miejsce i Jasmine usiadła obok niej. Dziewczynka uśmiechnęła się, podając jej komputer.

- Myślisz, że uda ci się je znaleźć?

- Aha. Może nie jestem wróżką-matką chrzestną, ale jestem kimś prawie tak samo dobrym: cybermatką chrzestną.

Holly zachichotała.

- Dobra, założę się, że nie znajdziesz ich w godzinę.

Palce Żyłyta tańczyły już na klawiaturze.

- Hej, nie obrażaj mnie. Wystarczy kilka minut.
Holly przekrzywiła głowę, jakby się nad czymś zastanawiała.
- Dobrze. Co powiesz na dziesięć minut? Założę się, że nie znajdziesz ich w dziesięć minut.
Palce Jazz znieruchomiały.
- W porządku, co chcesz?
Holly popatrzyła na nią a potem na ekran. Zrobiła wielkie oczy.
- Już?
Jasmine skromnie wzruszyła ramionami i oddała jej laptop.
- Jasne, to nic takiego. Żeby włączyć nieśmiertelność, musisz nacisnąć N*PAIN. Spróbuj.
Holly wpisała kod i... jej wojownicza rzeczywistość stała się trollodporna.
- Nieźle.
Po trzech minutach podniosła rozradowany wzrok.
- Poziom siódmy. Poczekaj, aż dowiedzą się o tym Jennifer i Megan.
Jasmine się roześmiała.
- Nie używaj tego bez przerwy, bo ci się szybko znudzi. Żeby wyłączyć, wciśnij control P. W porządku?
- Jasne, dzięki, Jazz. Super. Ale jak to zrobiłaś?
Jasmine położyła dłoń na ramieniu Holly.
- Zawsze jest jakiś sposób, Hol. Tak mi zawsze powtarzał twój tata. Wciąż czasami to robi. To może nie być oczywisty, popularny czy nawet właściwy sposób. Ale jeśli bardzo, bardzo chcesz coś zrobić, zawsze coś wymyślisz.
Siostra Beth Lawrence nadeszła od strony sali operacyjnej.
- Doktor Washington, czy mogłaby pani zamienić parę słów z doktorem Carterem? Jest w pokoju zabiegowym.
- Jasne. - Jasmine wstała i ścisnęła ramię Holly. - Powodzenia z siódmym poziomem.

W pokoju zabiegowym zastała Toma z doktorem Karlem Lambertem; patrzyli na ciąg tomografii na ekranie komputera. Lambert był neurochirurgiem z Krajowego Instytutu Zdrowia w Marylandzie. Przydzielono go do GENIUS-a, żeby ułatwić przepływ myśli i dopilnować, by nie wykorzystywano tu pacjentów do celów czysto komercyjnych. Był niskim, przysadzistym mężczyzną o jowialnej twarzy, kędzierzawych rudych włosach i inteligentnym spojrzeniu. Jasmine wiedziała, że Tom go lubi i szanuje od czasów wspólnych studiów w Johns Hopkins.

Karl Lambert wskazał żółty cień na kolorowej tomografii.

- Cały czas twierdzą, że operacja daje największe szanse.

Tom pokręcił głową.

- Ale popatrz, gdzie ten guz jest, Karl. Wolałbym się tam nie zapuszczać.

A ty? Margines błędu jest za mały.

- Wiem, ale przynajmniej miałyby szansę...
- Na co? Na odwleczenie tego, co nieuniknione.
- Ulżyłoby jej, Tom.
- Albo ją zabiło. - Tom przerwał, a jego ramiona opadły. - Ale chyba masz rację.

Jasmine odchrząknęła. Obaj podnieśli wzrok znad tomografii mózgu Holly. Po twarzy Toma, bladej i ściągniętej, widać było, że zmagają się z decyzją o tym, co najlepsze dla Holly, i że przegrywa.

- Cześć, Jazz, dzięki, że wpadłaś. Chciałem tylko poprosić cię o radę w sprawie Holly.

Lambert spojrział na zegarek.

- Muszę lecieć. Za dziesięć minut mam operację. Zostawię was samych.

Podszedł do drzwi, przystanął i odwrócił się do Toma.

- Wciąż twierdzą, że operacja laserem to konieczność, Tom. A im szybciej, tym lepiej.

Uśmiechnął się do Jasmine i wyszedł.

- I co zamierzasz, Tom? - spytała.

Carter chodził po pokoju.

- Nie wiem. Słyszałaś Karla. Ma rację. Leki i radioterapia mogą tylko spowolnić rozwój guza i złagodzić cierpienia. W końcu trzeba będzie operować, choćby po to, żeby zmniejszyć ucisk na czaszkę. Ale guz jest w tak cholernie trudnym miejscu, że to prawie niemożliwe.
- A „Kana”? Surowica?
- „Kana” jest skończona, Jasmine. Surowica nie działa.

Jasmine wzięła głęboki oddech.

- W takim razie co z Marią Benariac? Kaznodziejką?
- Kaznodziejką nie wchodzi w grę - odparł sucho Tom.

Odkąd Jasmine odkryła, że Kaznodziejką posiada trzy geny, ani razu nie rozmawiała o niej z Tomem. Wciąż nie ogarnęła myślą wszystkich implikacji faktu, że na świecie żyje około dwudziestu osób z genami Chrystusa, a co dopiero tego, że jedną z nich jest bezlitosna morderczyni. Dla Toma temat ten był zbyt bolesny, pozwolili więc, by wisiał między nimi jak groźba śmierci w rodzinie. Sprawa stawała się jednak zbyt poważna, by

dalej udawać, że nie istnieje, a ponieważ to on zaczął to wszystko, równie dobrze mógł w końcu stawić czoło rzeczywistości.

- Powinieneś przynajmniej spróbować - powiedziała.
- Ona zabiła Olivie, Jazz.
- Może też uratować Holly.

Tom prychnął.

- Jasne.
- Daj spokój, Tom, mógłbyś się z nią jakoś dogadać.
- Mówisz poważnie?
- Śmiertelnie poważnie. Nie widzę, żebyś miał za dużo możliwości. Nie chcesz nawet się dowiedzieć, czy ta kobieta mogłaby ją uratować?

Ponuro wzruszył ramionami.

Jasmine poczuła ukłucie gniewu.

- Tom, to do ciebie niepodobne, poddawać się.
- Nie poddaję się. Staram się być po prostu realistą, chcę znaleźć najlepszy sposób, żeby ulżyć Holly.
- Gówno prawda! Sam mi kiedyś powiedziałeś, że być realistą i poddawać się to jedno i to samo. Nigdy w życiu nie byłeś realistą. Nie potrafisz być realistą. Jack nim jest. Nawet ja, do pewnego stopnia. Ale ty zawsze robiłeś to, co było niemożliwe. Na Boga, nie przestawaj teraz!

Tom spojrzał na nią, udęczony.

- Ale ty nie rozumiesz, Jazz. Jak mogę...

- Słuchaj, to ty zacząłeś ten cały projekt „Kana”. Ja nie chciałam brać w nim udziału, bo przerażało mnie to, dokąd może nas zaprowadzić. Ale zaufałam ci i dałam się namówić, wierząc, że niezależnie od tego, jak bardzo to rozwała wszystko, w co wierzę, przynajmniej robię, co w mojej mocy, żeby pomóc Holly. Przez cały czas oszukiwałam swoje sumienie, żeby nie zwariować, a teraz ty tchórzysz, bo trafiłeś na coś, co trudno ci zaakceptować. No, kolego, witamy w krainie zwątpienia. I nie mów mi, że nie rozumiem. Idź i powiedz swojej córce, że ci niezręcznie błagać Marię, żeby jej pomogła.

Oddechnęła głęboko; ten wybuch sporo ją kosztował. Dźgnęła Toma palcem w pierś.

- I jeszcze jedno, Tom. Lepiej szybko przestań się nad sobą użalać, bo nie tylko dni Holly są policzone. Marii też nie zostało już wiele czasu.

Odwróciła się i wyszła.

Maria obudziła się zrana zimnym potem. Otworzyła oczy w celi śmierci, ale nic nie widziała. Tylko czerń. Jej rozgorączkowany, na wpół rozbudzony

umysł wyobraził sobie, że słyszy szczury biegające pod łóżkiem. Znów była sześciolletnią dziewczynką, zamkniętą w piwnicy sierocińca za opowiadanie kłamstw albo za jakieś inne przewinienie, którego nie rozumiała.

Taką samą panikę, uciskającą jej pierś wraz z przytłaczającą ciemnością, zapamiętała. Maria pragnęła, żeby ktoś pocieszył ją i odpędził strach. Ale najbardziej tęskniła ze Ezekiłem. Poczwała przyprawiające o mdłości zwątpienie. Nie chodziło jej o zabójstwa, one były słuszne. Wątpiła jednak, czy dobrze zrobiła, przeciwstawiając się Ezekelewi i Bractwu.

A jeśli naprawdę nie chciał, żeby zabiła Cartera? Jaka arogancja nią owładnęła, że uwierzyła, iż rozumie jego pragnienia lepiej niż on sam; człowiek, który wszystkiego ją nauczył i wszystko jej dał? Być może Ezekeiel miał słuszość, słuchając Helixa i wykorzystując Cartera, zanim ostatecznie wyda na nigdy wyrok. Czy udało jej się w pojedynkę powstrzymać naukowca? A nawet jeśli miała prawo spróbować, jak mogła mieć nadzieję, że w tej sprawie wypełni Boży plan?

Cała jej pewność siebie i przekonanie o własnej słuszości, które pomogły jej przetrwać proces, wyparowały. Może Bóg nie miał co do niej żadnych planów? Może więzienie i wyrok śmierci wcale nie były próbą, lecz karą? Może Bóg posłużył się ojcem Ezekelem, by znaleźć Nowego Mesjasza i powstrzymać Cartera? Może Ezekeiel i Helix mieli całkowitą rację, a ona była w błędzie?

A teraz czuła się opuszczona, zapomniana, odtrącona.

Kiedy pytania te wirowały jej w głowie, paznokciami zaczęła szarpać stare blizny i strupy na prawym udzie, aż pierwsza ciepła wilgoć powieździała jej palcom, że krew już płynie. Ale w ciemności nie poczuła ulgi. Wydawało jej się, że żadna ilość upuszczonej krwi nie usunie niepokoju, poczucia winy i samotności z jej ciała. Za niewidocznymi ścianami więzienia, w świetle i gwarze na zewnątrz, przestała istnieć. Została sama w betonowej celi śmierci, trzy na pięć metrów; była jedynym, samotnym mieszkańcem pustego świata ciemności i rozpacz.

Pierwsza łza spłynęła na jej policzek, kiedy pomyślała, że nawet w najgorszych chwilach dzieciństwa przerażające widma zamknięcia w końcu mijały. Tym razem jednak została zamknięta na zawsze, sama ze swoimi wątpliwościami i żalem. Tylko śmierć, za dwadzieścia dwa dni, mogła ją uwolnić.

Jedynie, czego pragnęła, to zobaczyć jeszcze raz ojca Ezekiela.

Po drugiej stronie świata, w Damaszku, Ezekeiel De La Croix też nie spał. O piątej trzydzieści siedem wstał i wyszedł z sypialni na balkon, rozkoszując się chłodem gładkich płytek pod bosymi stopami. W oddali, na

tle pomarańczowego nieba wczesnego poranka, rysowały się szare kontury miasta. Do pełnego wschodu słońca pozostała co najmniej godzina, ale powietrze pachnące uroczynem czerwonym było już ciepłe. Wyciągając ręce nad obolałe ramiona, Ezekiel dwa razy ziewnął, wdzięczny za lekki powiew, który poruszał jego białą, bawełnianą koszulą nocną i chłodził skórę.

Całą noc znów śnił o Poncjuszu Piłacie. Tym razem jednak to w dłonie Marii wbijał gwoździe. A kiedy to robił, z boku przyglądał mu się krytycznie hologram jego samego, młodszego. Sen go wzburzył, ale nie aż tak jak wspomnienia; wspomnienia historii opowiedzianych mu wiele lat temu na Korsyce.

Odkąd doktor Carter ujawnił prawdę, że Maria posiada drogocenne geny, Ezekiel starał się uwierzyć, że to ona jest wybrańcem. Jego pierwszą reakcją była niewiara, dopatrywał się w tym niedoskonałej technologii naukowca albo jakiejś diabelskiej sztuczki. Jak Nemezis mogłaby być Nowym Mesjaszem?

Kiedy następnego dnia w grocie opowiedział o tym Helixowi i Bernardowi, obaj osłupieli. Bernard, tak samo jak on prychnął, że to musi być jakaś sztuczka. Helix zareagował inaczej. Długo milczał, w końcu zaczął rozważać możliwość, a nawet prawdopodobieństwo, że rzeczywiście mogła być wybrańcem. Ezekiel dał im czas, by przemyśleli wszystkie implikacje takiego obrotu spraw i zastanowili się, co należy zrobić. Następnie zwołał zebranie całego Najwyższego Kręgu, by ustalić najlepszy sposób postępowania.

Spojrzał na zegarek. By przygotować się i dotrzeć do Groty Świętego Ognia, potrzebował kilku godzin. Po niespokojnej nocy podjął przynajmniej decyzję.

Przypomniawszy sobie młodą kobietę w gabinecie siostry Clemency, właściwie jeszcze dziewczynkę, dezorientowaną i zdradzoną przez religię, która nie tylko jej nie ochroniła, ale wręcz wykorzystała. Kiedy Marię wyznaczono w końcu na nową Nemezis, zrobiła coś, czego nie zrobił nigdy przedtem żaden agent. Zmieniła swój wygląd, by dopasować się do roli mściciela doskonałego.

Ezekiel wspomniawszy dzień, kiedy zażądała radykalnej operacji, gdy usiadła i wyjaśniła, jaka czuje się osaczona przez swój wygląd. Niczym motyl, który chce zostać gąsienicą, pragnęła stracić swoje kolorowe skrzydła i zyskać wolność anonimowości.

Podczas pierwszego spotkania z siostrą Clemenzą Ezekiel wyrzucał jej to, że pozwoliła, by ojciec Angelo wykorzystywał dziewczynki pod jej opieką. Obarczył ją odpowiedzialnością za samobójstwo siostry Delfiny. Opowiedziała mu wtedy o pierwszych „kłamstwach” Marii, by wyjaśnić, dlaczego zlekceważyła jej skargę, że została zgwałcona.

- Kiedy była mała, kłamała bez przerwy - powiedziała matka przełożona. - Wszystkie bez przerwy kłamały.

Dopiero teraz Ezekiel zdał sobie sprawę, że „kłamstwa” Marii nie były tylko fantazjami samotnego dziecka, lecz prawdą. Wciąż je pamiętał, małe cuda same w sobie: upadek; żądła pszczoł; cukrzyca - i przynajmniej sześć innych. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej zdawało mu się to w jakiś przewrotny sposób logiczne.

Odwrócił się i przeszedł przez sypialnię do łazienki, a mijając komodę, wziął białą tabletkę ze srebrnego pudełka obok zdjęcia żony. W głębi serca wiedział, że Nowy Mesjasz został odnaleziony. Ale jak miał ją uratować, zanim znów ją ukrzyżują? I jak zdobyć poparcie innych, zaplanować jej zbawienie, by z kolei ona mogła zbawić sprawiedliwych?

Tom Carter popatrzył po raz ostatni na swoją śpiącą córkę i wyszedł z oddziału; przypomniał sobie słowa Jasmine. Za nieco ponad pół godziny miał spotkanie z Karen Tanner. Jack postarał się o to, by pokazała mu wszystkie istotne akta w swoim gabinecie w Gmachu JFK w śródmieściu. A po obejrzeniu ich Tom planował własne, małe śledztwo.

Krzyk Boba Cooke'a z drugiego końca atrium zupełnie go zaskoczył, kiedy szedł do schodów garażowych. Zazwyczaj wyluzowany Kalifornijczyk biegł w jego stronę.

- Tom! Zaczekaj!

Carter odwrócił się, uśmiechając do dwójki młodych naukowców GENIUS-a, którzy, przechodząc obok, pozdrowili go pełnym szacunku i podziwu: „Dzień dobry, doktorze Carter”.

- Wszędzie... cię... szukałem - wysapał Bob, opierając dłonie na kolanach jak sprinter po biegu.

- No i znalazłeś. Co się stało?

- Myszy...

- Co z nimi?

Zdyszany Bob zaczął coś mówić, potem pokręcił głową i złapał Toma za łokieć.

- Chodź! - powiedział, prowadząc go do windy. - Pokażę ci.

Na górze, w Domu Myszy, Tom zobaczył Norę Lutz; stała nad dwiema klatkami. Zerknęła na zapiski, które trzymała przed sobą, potem na klatki, i potrząsała głową.

- Co się dzieje, Nora? - spytał Tom, wskazując Boba. - Surfer ledwie mówi.

- To myszy - odparła Nora.

- Co z nimi?

Wskazała klatki przed sobą.

- Są czyste.

Tom aż się cofnął.

- Co? Chcesz powiedzieć, że się wyleczyły?

Nora wzruszyła ramionami, jakby sama nie mogła w to uwierzyć.

- Wygląda na to, że surowica Trójcy wyleczyła je wszystkie z raka.

- Wszystkie myszy są wyleczone? - powtórzył Tom, nie wierząc własnym uszom.

- Nie, nie wszystkie. To właśnie najbardziej mnie dziwi. Pamiętasz, jak w pierwszych testach używaliśmy pojedynczych, odizolowanych myszy i za każdym razem, kiedy podawaliśmy im surowicę Trójcy, nie działała?

Tom niecierpliwie pokiwał głową.

- Do ostatniej próby użyliśmy po dwie, trzy myszy na klatkę. I w tych grupach wszystkie wyleczyły się z raka.

- A pojedyncze myszy?

- Nie lepiej niż próby kontrolne. Wciąż są chore.

- Jaka jest różnica między tymi grupami?

Nora znów wzruszyła ramionami.

- Żadna. Oprócz faktu, że zdechłe myszy były samotne, a uleczone przebywały parami albo trójkami.

- A więc nie wiemy, dlaczego wyzdrowiały?

- Nie, jeszcze nie - wtrącił się Bob. - Ale wiemy, że nie jest to błąd.

Wyniki są zbyt spójne.

Tom podszedł do klatki najbliższej Nory i popatrzył na trzy zdrowe myszy, jeszcze przed kilkoma dniami wyraźnie chore.

- To wspaniale. Ale przyda nam się dopiero wtedy, kiedy zrozumiemy, jak to się stało.

Bob się uśmiechnął.

- Właśnie to sprawdzamy.

Tom spojrzął na zegarek. Przeszło mu przez myśl, żeby zadzwonić do Karen Tanner i przełożyć spotkanie. Ale tutaj nie mógł zrobić wiele ponad to, co i tak zrobiliby Bob i Nora. Odwrócił się do drzwi.

- Muszę iść, ale pomogę wam, kiedy wrócę.

- Gdzie idziesz? - spytał Bob.

- Też muszę coś posprawdzać.

Najwyższy Krąg zasiadał już wokół wielkiego stołu, kiedy Ezekiel De La Croix przybył do Groty Świętego Ognia. Przyciszone głosy braci umilkły.

Wszyscy wstali na powitanie. Płomień przed ołtarzem był o co najmniej trzydzieści centymetrów wyższy i płonął jaśniej i bielej niż dotąd.

- Niech będzie zbawiony - Ezekiel zwrócił się najpierw do brata Haddada.

- Aby mógł zbawić sprawiedliwych - odparł regionalny naczelnik Ziemi Świętych. Jego ciężkie powieki były ciemniejsze niż zwykle, gdy ujmował dłoń Ezekiela w zwyczajowym, krzyżowym uścisku.

Ezekiel powitał następnie resztę Kręgu; wysokiego, srebrnowłosego brata Luciana, naczelnika Bractwa w chrześcijaństwie; ciemnoskórego brata Olazabala, naczelnika Bractwa w Nowym Świecie, na końcu zaś mistrzów Pierwszego i Drugiego Imperatywu. Wszyscy mieli ponure miny i żaden, oprócz brata Helixa, nie patrzył mu w oczy.

Ezekiel zaczął od streszczenia sytuacji. Opowiedział o projekcie „Kana” i umowie z doktorem Carterem; o próbach Marii zabicia naukowca; o jej pojmaniu i skazaniu. W końcu przypomniał o odkryciu Cartera, że Maria Benariac, znana im jako Nemezis, posiada trzy geny Chrystusa, a to oznacza, że jest ona Nowym Mesjaszem. W tym właśnie momencie zaczęły się sprzeczki.

Najgwałtowniej, jak można się było spodziewać, zareagował Bernard.

- To musi być pomyłka! - krzyknął. - Albo jakaś sztuczka. Nemezis nie może być wybrańcem. Obaj znamy ją od ponad dwudziestu lat. Domyślibyśmy się.

- Dlaczego? - spytał spokojnie Ezekiel.

- Ojczce, to morderczyni, a nie zbawicielka. Była doskonałym narzędziem Drugiego Imperatywu, ale z pewnością nie podmiotem Pierwszego.

- Dlaczego nie? - powtórzył Ezekiel.

- Jest zabójczynią.

- Wyszkolonym mordercą- dodał Haddad z drugiego końca stołu.

- Wyszkolonym przez nas - przypomniał Ezekiel. - A wszystkie jej zabójstwa były sprawiedliwe i przez nas sankcjonowane. Kto powiedział, że Nowy Mesjasz musi być łagodnym ewangelistą, a nie biczem Bożym, który ma pomścić śmierć Jego Syna?

- Ale ona nie odpowiada starożytnym znakom - sprzeciwił się brat Olazabal.

Ezekiel się skrzywił. Na pewno pod jego nieobecność uzgodnili swoje stanowisko, bez wątplenia pod przewodnictwem Bernarda.

- Jakim znakom? Chodzi wam o trzy wytyczne, zapisane przez naszego założyciela?

- Tak - odparł zazwyczaj milczący Luciano. - Znaki wyraźnie stwierdzają, że Nowy Mesjasz będzie człowiekiem prawym, w określonym wieku i płci męskiej.

- Ale to zawsze były tylko wytyczne. Maria nie jest mężczyzną, lecz z całą pewnością jest prawa, tak prawa, że odrzuciła nasz kompromisowy układ z naukowcem. A co do wieku, nie znam jej dokładnej daty urodzenia, ale jest bardzo bliska dnia, w którym płomień zmienił kolor, trzydzieści pięć lat temu. Nie zapominajcie też, że posiada rzadkie geny Pana naszego. Poza tym wiem o zdolnościach, jakie posiadała, będąc dzieckiem.

- Ale nie mamy żadnego dowodu tych zdolności! - zawołał Bernard.
- Powtarzam, znam ją od dwudziestu lat. Nie mogę uwierzyć, że jest wybrana. Przecież bym się zorientował.

Ezekiel westchnął. Mógł rozkazać im, by zastosowali się do jego woli, nie na tym jednak mu zależało. To była sprawa o fundamentalnym dla Bractwa znaczeniu; musieli uwierzyć w potrzebę ocalenia Marii.

Wtedy właśnie przemówił Mistrz Pierwszego Imperatywu.

- Bracie Bernardzie - powiedział swobodnym tonem. - Czy masz jakiś dowód, że Maria nie jest wybrana?

Do tej pory milczał, przysłuchiwał się braciom; spoglądając oczami powiększonymi przez okrągłe szkła okularów w drucianej oprawce, obserwował naradę. Popatrzył na Bernarda i Ezekiel zobaczył, jak niezliczone świece oświetlające grootę odbijają się w jego grubych soczewkach.

- Oczywiście, że nie - odparł Bernard.

- Ale jesteś przekonany, że nie może być Nowym Mesjaszem?

Bernard skrzyżował ramiona na piersi.

- Tak.

- Zupełnie przekonany?

- Tak.

- A więc kiedy za trzy tygodnie Maria zostanie stracona, będziesz spał spokojnie? Bez cienia wątpliwości, czy po dwóch tysiącach lat oczekiwania nie pozwoliliśmy Nowemu Mesjaszowi umrzeć podczas naszej warty... twojej warty. Weźmiesz na siebie tę odpowiedzialność, ponieważ jesteś pewien, że to nie Maria. Zgadza się?

Bernard nic nie powiedział, kiwnął tylko głową. Ezekiel zauważył, że pozostali zaczęli nerwowo wiercić się na swoich krzesłach.

- Zazdroszczę ci pewności - powiedział cicho Helix.

- Znam Marię od dwudziestu lat - powtórzył Bernard wzburzonym tonem. - To nie może być ona.

Helix wolno pokiwał głową.

- Spostrzegłbyś to wcześniej?
 - Właśnie.
 - Nawet jeśli ona sama o tym nie wiedziała? I wciąż nie wie?
- Cisza.
- Helix milczał przez chwilę, czekał, aż znaczenie jego słów dotrze do wszystkich.
- Nie zapominajcie o przepowiedni - dodał. - Tym razem Mesjasz nie będzie znał swojego powołania. To my, Bractwo, musimy Jego lub Ją znaleźć i poinformować o Jego lub Jej przeznaczeniu. A potem pomóc je wypełnić.
 - Tak, lecz Maria zostanie stracona.
 - W takim razie być może powinniśmy spróbować temu zapobiec.
- Bernard roześmiał się i spojrzał na Ezekiela, ale przywódca milczał. Był zadowolony, że Helix prowadzi spór za niego.
- Ale - zaprotestował Bernard, wzrokiem szukając poparcia u pozostałych - Bractwo nie może ryzykować swojego istnienia, ratując Marię, bo mała jest szansa, że to ona została wybrana.
 - Nie zgadzam się - powiedział stanowczo Helix. - Jedynym sensem naszego istnienia jest ryzykować wszystko, by ocalić Nowego Mesjasza. Po to tu jesteśmy.
 - Zgadzam się - wyrzucił z siebie brat Luciano, nagle zmieniając zdanie.
- Poza tym, co szkodzi spróbować ją uratować?
- Bernard popatrzył na niego krzywo.
- Haddad zamrugał ciężkimi powiekami.
- Ryzyko zdemaskowania, nawet jeśli Maria nie jest wybrana, na pewno jest mniejsze niż ryzyko dopuszczenia do śmierci naszego Nowego Mesjasza. A więc chyba powinniśmy ją uratować? Na wszelki wypadek.
- Bernard rozejrzał się wokół stołu, widząc, że spór obrócił się przeciw niemu.
- Aha, teraz wszyscy chcecie pozwolić Marii skorzystać z przywileju wątpliwości?
- Bracia przytaknęli.
- Ezekiel ostrożnie dobierał słowa.
- Bracie Bernardzie, wciąż jesteś przekonany, że Maria nie może być Nowym Mesjaszem? To ważne, żebyśmy działali jednomyślnie, a potrzeba nam zwłaszcza twojego doświadczenia, jeśli mamy osiągnąć cel. Nie masz żadnych wątpliwości?
- Tłusty brat opadł na oparcie fotela, smakując chwilę, która pozwoliła mu wyjść z twarzą z opresji, a potem wielkodusznie pokiwał głową.
- Tak, oczywiście, że mam wątpliwości. Taka możliwość na pewno istnieje.

- Cieszę się, że podzielasz nasze obawy - powiedział Ezekiel z powagą.
- Ja jednak martwię się, bo nie wiem, jak to zrobić.
- To będzie delikatna operacja - zauważył Bernard, marszcząc brwi.
- Myślisz, że damy radę? - spytał Helix z szacunkiem, wyraźnie podchwytując metodę Ezekiela.

Bernard pokiwał głową.

- Myślę, że znajdziemy jakiś sposób, zwracając się do naszych braci w Ameryce. Ale co z Carterem?

Ezekiel sięgnął pod szatę i wyjął kartkę papieru. Wypisane były na niej nazwiska, na samej górze Tom Carter.

- Teraz, kiedy naukowiec zrobił już, co chcieliśmy, Sprawiedliwy Wyrok może zostać wykonany zgodnie z planem. Możesz już wysłać Gomorę.
- Wręczył kartkę Bernardowi. - Według doktora Cartera to jest cały zespół „Kany”. Pracowali w tajemnicy i nie dopuścili nikogo innego do technicznej strony projektu. Zabijcie ich wszystkich, a zniszczycie bluźnierstwo „Kany”. Tego właśnie chciała Maria, nasz Mesjasz.

Bernard kiwnął głową.

- Bardzo dobrze, jeszcze dziś skontaktuję się z Gomorą. A kiedy tylko nasze obrady się zakończą, zacznę planować ratunek Marii.

Odwrócił się i popatrzył wzdłuż stołu.

- Bracie Olazabalu, będę potrzebował nazwisk braci w USA.
- Dostaniesz je - odparł naczelnik Bractwa w Nowym Świecie.

Ezekiel zwrócił się do wszystkich trzech naczelników.

- Jeśli któryś z was ma jakiś pomysł, niech powie o nim Bernardowi. Jeśli nie, wracajcie do swoich regionów i powiedzcie swoim braciom, że czas poszukiwań i oczekiwania być może się zakończył. Przygotujcie ich na chwilę, kiedy mogą zostać wezwani, by namaścić Nowego Mesjasza. Już niedługo może być między nami jako zbawca ludzkości.

Wszyscy z powagą i skupieniem przytaknęli.

- Dobrze - zakończył Ezekiel. - Jeśli nie ma innych spraw, proponuję zabrać się do pracy. Ja na przykład muszę przekazać wieści naszemu Nowemu Mesjaszowi.

Wstał i skrzyżował ramiona.

- Niech będzie zbawiona.

Pozostali jednocześnie podnieśli się z krzesel i również jak jeden mąż skrzyżowali ręce.

- Aby mogła zbawić sprawiedliwych.

Korsyka

Carter sprawdził adres w aktach FBI leżących na siedzeniu pasażera obok niego, a potem spojrział na krętą drogę przed sobą. Wprowadził wynajętego peugeota kabrioleta w zakręt i został nagrodzony widokiem odcinającej się na tle nieba, samotnej wieży.

W dole, po jego prawej stronie, Morze Śródziemne lśniło morelowym różem gasnącego, krwawego słońca na horyzoncie. We wstecznym lusterku widział średniowieczną cytadelę Calvi, górującą nad terakotowymi dachami budynków, które oblepiały brzegi rozległej, piaszczystej zatoki.

Dzień miał się ku końcowi, ale powietrze wciąż było łagodne i Tom cieszył się, że wynajął kabriolet. Podczas jazdy słońce przyjemnie pieściło jego skórę. Pomyślał o Olivii i poczuł ukłucie smutku.

Trzy dni wcześniej Karen Tanner powiedziała mu wszystko, co wiedziała o morderczyni, oraz przekazała kopie istotnych akt. W pierwszej chwili się zniechęcił, bo wszystko, co mówiła Karen i co przeczytał w dokumentach, wskazywało wyłącznie na jedno: że Maria jest wyjątkowo uzdolniona w odbieraniu życia. Nic nie sugerowało nawet, że miała chęć, nie mówiąc już o umiejętności, ratować go. Postanowił więc zagłębić się dalej w jej przeszłość.

Karen ostrzegła go, że Kaznodziejki nie interesują układy. Ale poprzedniego dnia Tom odwiedził gubernatora stanu, Lyle'a Mellisha, żeby przekonać się, co uda mu się wytargować. Gubernator Mellish od lat pozostawał

jego przyjacielem, a przy tym był tak uczciwy, jak tylko uczciwy może być polityk. Tom wyleczył też jego syna z włókniaka, i to również ważyło na ich relacjach. Kiedy spytał, na ile możliwe jest, by przesunąć lub zmienić na dożywocie wyrok Marii, Mellish stwierdził, że może to sprawić tylko cud.

- Posłuchaj, Tom, jestem tu dzięki zbrodni i karze - powiedział. - To jest teraz sexy. Nie mogę być pobłażliwy dla jednego z najgroźniejszych morderców ostatnich lat. Prawda?

- Czy twoi wyborcy nie podziękowaliby ci, gdybyś pomógł zamknąć jeszcze gorszych morderców? - spytał spokojnie Tom. - Takich jak rak, choroby serca i pewnie wiele innych?

Mellish nadstawił uszu.

- To zależy. O czym właściwie mówisz?

Kiedy Tom powiedział mu ogólnie o genach uzdrawiania i oznajmił, że Maria Benariac je posiada, Mellish się zdenerwował.

- Czego konkretnie ci trzeba? - spytał w końcu, przemierzwszy swój gabinet od ściany do ściany przynajmniej pięć razy.

- Potrzebuję nieograniczonego dostępu do niej, a jeśli to będzie konieczne, zezwolenia, żeby przeprowadzić na niej testy.

- To wszystko?

- Muszę też móc coś jej zaproponować, żeby skłonić ją do współpracy.

- Na przykład?

- Zamianę wyroku śmierci na dożywocie?

- Chyba żartujesz. Tom, na litość boską ona zabiła Olivię.

Carter gwałtownie odetchnął.

- Wiem. Muszę jej jednak coś zaproponować. Inaczej nie będzie miała powodu współpracować.

Chwila milczenia.

- Musiałaby zrobić coś spektakularnego, żeby dać pretekst do złagodzenia kary. Przed egzekucją.

- Co powiesz na wyleczenie śmiertelnie chorego pacjenta?

Kiwnięcie głową.

- Może być.

- Świetnie. O nic więcej nie proszę.

Ze zgodą gubernatora w kieszeni Tom poleciał najbliższym lotem do Paryża, a potem do Calvi na Korsyce.

Minął następny zakręt i po raz pierwszy ujrzał szary, gotycki budynek pod strzelistą wieżą. Poczul mimowolny dreszcz. Budowla wyglądała jak

Colditz i Bates Motel zarazem. Nie było to miejsce przyjemnego dzieciństwa.

Brama była otwarta, ale teren sierocińca wyglądał na opuszczony. Tom skręcił na podjazd prowadzący pod główny budynek. Wysokie, ciemne okna świeciły powybijanymi szybami, a makia rozrosła się dziko, nie tylko pokrywając zwirowy podjazd, ale wspinając się też na mury. Zobaczył żółty spychacz, stos cegieł i innego sprzętu budowlanego pod oknami na prawo od głównych drzwi. Nowiutka tablica informowała, że latem 2004 roku otworzy tu swe podwoje hotel Napoleon.

Sierociniec zamknięto przed pięcioma laty, ale personel Europcaru, gdzie Tom wynajmował samochód, powiedział mu, że wciąż mieszka tam staruszka, która kiedyś w nim pracowała. Przez ostatnich kilka lat zajmowała się ogrodem, w zamian za co pozwalano jej tam zostać. Mężczyzna w Europcarze postukał się w skroń i ostrzegł, że madame Leforget jest trochę „pomyłona”.

Pomyłona czy nie, teraz najwyraźniej jej tu nie było. Próbując zapanować nad rozczarowaniem, Tom zatrzymał samochód i się rozejrzał. Czego się spodziewał? Że pojawi się bez zapowiedzi i zastanie ją spacerującą po okolicy? Niedługo się ściemni. Powinien wrócić do Calvi i przyjechać nazajutrz. Podjechał kawałek dalej podjazdem, szukając miejsca, by zawrócić. Po lewej stronie w gąszczu bugenwilli biegła wąska ścieżka; skręcała za dom. Skoro już tu jestem, pomyślał Tom, mogę to sprawdzić.

Zaparkował samochód i ruszył dalej pieszo. Ostry zapach makii i bugenwilli oraz długi cień rzucany przez ciemny dom niepokoiły go. Za głównym budynkiem stał rząd dziecięcych huśtawek. W małym ogródku, okolonym niewysokim białym płotkiem, było coś niezwykłego. Tom uświadomił sobie, że w przeciwieństwie do otaczającej dżungli skrawek ten jest pięknie utrzymany. Świeża czerwień farby na huśtawkach lśniła w zachodzącym słońcu, a biały płotek, przystrzyżona trawa i wyraźne granice ogródka wyznaczały wyspę porządku w morzu zaniedbania.

Madame Leforget najwyraźniej wciąż była bardzo aktywna.

Tom odwrócił się, słysząc jakiś dźwięk. W kępie drzew stała kobieta około siedemdziesiątki. Przysadzista, miała otyłe ciało i obwisłą, okrągłą twarz. Jej małe oczy, ukryte za dużymi okularami, wyglądały jak paciorki osadzone głęboko w oczodołach; usta rysowały się krzywą linią między opadającymi policzkami. Rzadkie kosmyki siwych włosów zwisały po obu stronach twarzy, a ciemna, workowata sukienka przypominała habit. Kobieta przyglądała się Tomowi uważnie.

- Madame Leforget? - spytał.

Nie drgnęła ani nic nie powiedziała.

Tom podszedł do niej i przedstawił się swoim łamanym francuskim, pospiesznie zapewniając, że nie przyszedł tu zakłócać jej spokoju, lecz w odwiedziny.

- *Pourquoi?* - spytała w końcu.

Powiedział, że szuka kogoś z sierocińca, kto mógłby pamiętać dziewczynkę mieszkającą tu mniej więcej w latach 1968- 1983.

Staruszka przez chwilę rozważała tę prośbę.

- Było tu tak dużo dzieci - powiedziała. Jej głos nagle posmutniał. - A teraz już ich nie ma, *elles ont disparu*. Ale kiedy wrócą, ogród i plac zabaw będą gotowe... i będą tu bezpieczne.

Tom wolno pokiwał głową.

- Ogród rzeczywiście jest piękny.

Kobieta popatrzyła na niego ze złością.

- I bezpieczny. Nic im się tu nie stanie.

Tom się podłamał. Po szalonym spojrzeniu madame Leforget widział, że jest bardziej niż tylko trochę pomyłona. Nic nie wskazywało, żeby udało mu się zdobyć jakieś nowe informacje.

Zawrócił do samochodu.

- Przepraszam, że panią niepokoiłem, madame. Chciałem się tylko dowiedzieć czegoś o Marii Benariac.

Szok. Oczy staruszki pojaśniały; w jednej chwili się wyprostowała.

- Maria? - spytała. - Wie pan, to była moja wina. Wszystko moja wina.

- Jaka wina?

Nagle się zgarbiła, przybita.

- Ojciec Angelo. Siostra Delfina. Nie wierzyłam, rozumie pan. Myślałam, że dziewczynki kłamią. Myślałam, że Maria kłamie. Taka sprytna, taka ładna i taka oszustka.

- Dobrze znała pani Marię?

- Wszystkie zakonnice ją pamiętają.

Jeszcze raz przyjrzał się jej podobnej do habitu sukience.

- Była tu pani zakonnica?

Zaśmiała się krótko, smutno.

- Byłam kiedyś matką przełożoną, wiele lat temu. Do czasu kłopotów i mojego załamania nerwowego. Próbowali zmusić mnie do odejścia, ale uparłam się, że zostanę tu i za wszystko odpokutuję.

- Opowie mi pani o Marii? Jaka ona była?

Kobieta patrzyła na niego przez chwilę swoimi niepokojącymi oczami, aż jej rozchwiany umysł podjął decyzję.

- Chodźmy - powiedziała w końcu. - Będzie pan moim spowiednikiem.

Chatka, w której mieszkała, była skromna, ale zaskakująco przytulna. Madame Leforget zaprowadziła Toma do kuchni. Po chwili na stole przed nim pojawiła się miska zupy rybnej, grzanki z sosem rouille i tartym serem oraz kieliszek czerwonego wina. Staruszka usiadła naprzeciw i zaczęła opowieść o młodej dziewczynie, o Marii Benariac.

- Siostry nigdy nie wiedziały, czy była aniołem, czy diabłem. Była piękna i bardzo mądra, ale okropnie kłamała, a przynajmniej ja tak myślałam. Biedna dziewczyna tyle kar musiała znieść. - Smutno pokręciła głową. - Ja ją często karałam.

Tom napił się wina.

- Dlaczego uważała pani, że ona kłamała?

Staruszka wzruszyła ramionami.

- Trudno było uwierzyć w to, co opowiadała. Ale też wiele się wokół niej działo, rzeczy dobrych i złych.

- Jakich rzeczy?

- Pod koniec, kiedy była starsza, okropnych. Twierdziła, że ojciec Angelo, ksiądz, ją zgwałcił. Myślałam, że kłamała, dopóki siostra Delfina nie popełniła samobójstwa, a ksiądz...

Przerwała.

- Co się stało z księdzem?

- Zginął paskudną śmiercią.

- To Maria była odpowiedzialna za jego śmierć?

Staruszka wzruszyła ramionami, jakby to pytanie nianie wstrząsnęło.

- Powiedziała pani, że działy się wokół niej dobre rzeczy - spróbował Tom bez wielkiej nadziei.

- O tak. Działy się, kiedy była bardzo mała... Tyle opowieści, tak fantastycznych, że uważałam je wtedy za kłamstwa, diabelskie kłamstwa.

Jej oczy zaszklily się, kiedy wspominała przeszłość.

- *La grande tombee* - szepnęła do siebie, a jej spojrzenie znów skupiło się na Tomie. - To była pogodna, czerwcowo noc, kiedy obudził mnie hałas na podjeździe. Wybiegłam z domu i zobaczyłam cztery dziewczynki, najstarszą ośmioletnią, najmłodszą około siedmiu lat; krzyczały pod frontowymi drzwiami. Nie wolno im było wychodzić w nocy z dormitoriów,

więc zostały ukarane. Maria uważała, że nie należy jej karać, bo wyszła tylko po to, by pomóc innym dziewczynkom. Widział pan tę wysoką wieżę na dachu sierocińca?

Tom kiwnął głową.

- Cóż., Maria twierdziła, że te inne dziewczynki spadły z balkonu na dachu. A ona pobięła im pomóc. Oczywiście pozostałe oświadczyły, że wcale tam nie wchodziły. Sytuacja całkowicie niedopuszczalna. Kiedy obejmowałam dziewczynki, nie miały żadnych obrażeń. Gdyby spadły z takiej wysokości, pozabijałyby się.

- No i? - spytał Tom, pochłonięty opowieścią.

Staruszka pokręciła głową.

- No i ukarałam Marię jeszcze surowiej niż pozostałe, za kłamstwa. Dopiero znacznie później jedna z dziewczynek przyznała się, że weszły na balkon. A stróż znalazł dziurę w przegniłych deskach, przez którą mogły spaść.

- Więc myśli pani, że Maria mówiła jednak prawdę? Że je uleczyła?

Wzruszenie ramion.

- To nie jedyny przypadek. Było wiele innych. Tak jak z pszczołami.

- Z pszczołami?

Clemenza Leforget dołała sobie wina.

- Pewnego popołudnia dziewczynki pojechały na wycieczkę do Corse. Kiedy wróciły, Marię i Walerię przysłano do mnie, bo podobno drażniły dzikie pszczoły w gnieździe. Poszły chyba nad pobliski strumień i Maria obrzuciła tam gniazdo kamieniami. Miejscowy rolnik złościł się, gdyż pszczoły spłoszyły jego owce. Maria twierdziła, że Walerię zaatakował rój pszczół. Ale ona ją wyleczyła.

- Co powiedziała Waleria?

- Potwierdziła opowieść Marii, ale pomyślałam, że chciała tylko wzbudzić we mnie litość i wymigać się od kury. Byłam zła na nie obie za ich głupotę. Waleria była uczulona na jad pszczół, rozumie pan? Według lekarzy mogło ją zabić nawet pojedyncze użądlenie. Oczywiście kazałam ją zbadać i oczywiście nie znaleźli śladów nawet jednego żądła. Dziewczynka albo nie została użądlnona, albo Maria w jakiś sposób zneutralizowała cały jad. Może pan zgadywać, w co uwierzyłam. Ale na jedną dziwną rzecz nie zwróciłam wtedy uwagi.

- Na co?

- Lekarz twierdził, że Waleria nie tylko nie została użądlnona, nawet przez jedną pszczołę, ale że nie miała już alergii. W jakiś sposób została wyleczona.

Tom milczał przez chwilę. Patrzył tylko uważnie na siedzącą naprzeciw niego kobietę.

- Dlaczego jej pani nie uwierzyła?

- Nienawidziłam jej. Maria była taka piękna, taka bystra. Brakowało jej pokory. Chciałam dać jej nauczkę. A kiedy zaczęła twierdzić, że potrafi leczyć ludzi, tego było już za wiele: uznałam to za bluźnierstwo.

- Są jeszcze jakieś inne historie?

- Tak, wiele. O jednej wiem, że była autentyczna, nieważne, w co wtedy wierzyłam. Za karę często zamykałyśmy Marię w jednej z piwnic. Bała się ciemności i raz, kiedy była bardzo mała, błagała zakonnice, która wymierzała jej karę, żeby jej nie zamykać. Powiedziała, że zrobi wszystko, jeśli tylko nie zostanie zamknięta. Oczywiście zakonnica jej nie uwierzyła, ale poczuła litość i darowała Marii karę. Potem, może jakiś tydzień później, ta zakonnica, która przez całe życie chorowała na cukrzycę, poszła na rutynowe badanie i dowiedziała się, że jest zdrowa.

- Jest pani pewna, że to Maria ją wyleczyła?

- Tak.

- Skąd ma pani tę pewność?

Clemenza się skrzywiła.

- To ja byłam tą zakonnice.

- A mimo to wciąż jej pani nie wierzyła?

- Nie. Nie mogłam. Nie chciałam. Złożyłam to po prostu na karb zbiegu okoliczności. - Wykręciła dłonie. - Ale gdybym wtedy jej uwierzyła, mogłabym obronić ją przed ojcem Angelem. A może nawet rozwinąć jej dar. - Nagle przeszła Toma udreżonym spojrzeniem. - Wie pan, gdzie ona teraz jest?

Clemenza wyraźnie nie wiedziała o losie Marii, Tom postanowił więc nie obarczać jej tą informacją.

- Tak - odparł.

- Któregoś dnia poproszę ją o wybaczenie.

Tom przyglądał się siedzącej naprzeciw niego kobiecie. Nawet jeśli była psychicznie niezrównoważona, po co miałyby opowiadać obcemu takie niestworzone historie, jeśli nie były prawdą? Przecież nie pytał jej, czy Maria potrafiła uzdrawiać.

- Jak pani sądzi, w jaki sposób Maria uzdrawiała?

- Nie wiem.

- Ale jak pani myśli?

Wzruszenie ramion.

- Nie jestem lekarzem i nie jestem już zakonnicą, ale zastanawiałam się nad tym przez ostatnich dwadzieścia lat. Według mnie to proste. Myślę, że Maria miała dar od Boga. Dar, który potrafiła przekazywać innym. To było prawie tak, jakby zapadła na jakąś dobrą chorobę, a inni się od niej zarażali.

Tom uśmiechnął się, patrząc kobiecie w oczy.

- To brzmi głupio? - spytała.

- Nie dla mnie. Ani trochę. Ale dlaczego użyła pani czasu przeszłego?

Powiedziała pani, że Maria miała ten dar.

Siostra Clemenza uśmiechnęła się smutno i dołąła mu wina.

- Pewnie dlatego, że ciągle ją karałam za opowiadanie „kłamstw”. Ale z tego, co wiem, nie uzdrowiła nikogo po incydencie z pszczołami, po swoich ósmych urodzinach. Wątpię, czy w ogóle pamięta jeszcze, co potrafiła.

Tej samej nocy, Boston

Bob Cooke obracał się przez sen z boku na bok. Śniło mu się, że nie jest w swoim mieszkaniu w północnym Bostonie, lecz z powrotem w Kalifornii, a przybój jest wysoki. Uwielbiał swoją pracę z wielkim Tomem Cartelem, ale choć była ekscytująca czy ważna, czasami miał ochotę rzucić to wszystko i znów zacząć ujeżdżać fale.

Nagle, kiedy miał właśnie wypłynąć na grzbiet ostatniej, obudził go hałas. Tak, pomyślał w półśnie, w sierpniu wróć do kumpli. Może urządziemy grilla.

Znów hałas.

Ktoś był na dole? Odgłos dobiegał chyba z kuchni. Potem równie nagle ucichł.

- Hej, Dawn! Słyszałaś? - szepnął do kobiety obok niego.

- Co? - spytała sennie, odwracając się od niego i przyciskając swój słodki tyłeczek do jego krocza.

- Chyba coś słyszałem.

Otarła się o niego miękkimi pośladkami, a potem sięgnęła za siebie i ścisnęła twardejczy członek.

- Ja nic nie słyszałam - mruknęła. - Ale na pewno coś poczułam.

- To pewnie nic takiego - powiedział, rozkoszując się jej dotykiem.

- No nie bądź taki. Dla mnie to nie wygląda na nic takiego.

Roześmiał się w ciemności.

- Chodziło mi o ten odgłos.
- Odgłos? - jęknęła. - Użyj tego jak trzeba, a usłyszysz odgłosy.

Zamknął oczy, kiedy wprowadziła go w siebie, a potem poruszył biodrami w jej rytm. No pewnie, przyznał, pozwalając przetoczyć się na plecy i dosiąść; jej piersi ocierały się o jego twarz. Są lepsze rzeczy niż nauka i surfing.

Pół godziny później spali wtuleni w siebie. Być może, gdyby nie zasnęli jeszcze przez dziesięć minut, wyczuliby gaz wydostający się z przeciętej rury w kuchni na dole. I zdołaliby rozmontować proste urządzenie z zapalniczki, papieru ściernego i sprężyny, fachowo ustawione obok.

Następnego ranka, Charlestown

Nora Lutz położyła ostatnią grzankę na tacce obok słoiczka importowanego szkockiego dżemu, który lubiła jej matka. Potem naląła do filiżanki herbaty - naturalnie najpierw mleko; matka nie wypłaby inaczej przygotowanej herbaty od czasu swojej podróży do Anglii w 1978 roku. W końcu postawiła na tacce miseczkę płatków i mały dzbanek zimnego mleka. Rzut okiem - w porządku. Nora wyszła z kuchni ich dwupoziomowego mieszkania w Charlestown i mijając dwa koty, weszła po wytartych schodach do pokoju matki.

Kiedyś nie mogła pogodzić się z jej chorobą. Ale to było dawno temu, miała wtedy trzydzieści kilka lat i życie do poświęcenia. Teraz, w wieku czterdziestu pięciu, cała jej aktywność poza domem skupiła się wokół pracy w GENIUS-ie. Włączenie do „Kany” było dla niej darem niebios; ważny projekt sankcjonował jej dążenia. I nie miało znaczenia, że matka nie rozumie i nie pochwała tego, co ona robi. Carter i inni koledzy cenili jej wkład, i tylko to się liczyło. „Kana” - i wszystko, co się z tym wiązało - obiecywała ucieczkę od klaustrofobicznych żądań, i emocjonalnego szantażu kobiety, którą Nora bardzo kochała, ale której życzyła czasem cichej śmierci.

Doszła do piątego schodka i zatrzymała się, przygotowując się do bezgłośniego powtórzenia słów, które jej matka mniej więcej w tej chwili wypowiadała: „Nora, śniadanie już gotowe?” Zawsze to mówiła, kiedy tylko Nora zaczynała wchodzić na schody.

Ale teraz nic nie usłyszała. Żadnych żądań, żadnych prośb ani skarg. Nawet odgłosów ruchu. Słyszała tylko ciszę.

Dopiero na zakręcie schodów sama się odezwała.

- Mamo, śniadanie. Zrobiłam herbatę, tak jak lubisz. Dobrze?

Znów cisza.

- Mamo?

Bezwiednie przyspieszyła kroku. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio matka zasnęła. Nagle pomyślała o najgorszym i natychmiast pożałowała chwil, gdy myślała o jej śmierci. Na półpiętrze znów zawołała:

- Mamo, wszystko w porządku? Odezwij się i przestań się wygłupiać.

Wciąż nic. Prawie biegła; herbata wylała się na grzanki i płatki. Matce to by się nie spodobało, pomyślała, łokciem otwierając drzwi.

- Mamo, obudź się!

A potem upuściła taczkę i zakryła dłońmi usta. Chciała krzyknąć, lecz była zbyt przerażona.

Przerażona, bo zobaczyła nie tylko wykręcone ciało matki, z poduszką na głowie, ale i ciemnowłosego mężczyznę o przymglonych, zielonych oczach, który nagle pojawił się obok niej, przycisnął dłoń do jej ust, a potem wbił w ramię igłę strzykawki.

Back Bay, Boston

Kilka chwil później, w części miasta nad zatoką, Jasmine Washington sięgnęła po kluczyki samochodu i nachyliła się do Larry'ego, popijającego sok pomarańczowy na słonecznym tarasie. Pocałowała go.

- Do zobaczenia wieczorem.

Larry odłożył na stół egzemplarz „Variety” i odwzajemnił pocałunek.

- Miłego dnia w pracy. Pozdrów ode mnie Holly.

- Pozdrowię.

Pocałowała go jeszcze raz, a potem zbiegła do garażu.

- Kiedy wrócisz? - zawołał z góry Larry.

- Chyba wcześniej.

- Co chcesz na obiad?

Wsiadła do swojego 325i, otworzyła składany dach i zapaliła silnik.

Wycofała samochód na drogę, w poranne słońce, a potem spojrzała na Larry'ego, wychylającego się z tarasu. Poślała mu pocałunek i dodała gazu.

- Zrób mi niespodziankę! - krzyknęła i ruszyła z piskiem opon.

Może, gdyby Larry nie odwrócił jej uwagi, zauważyłaby kałużę w garażu, w miejscu, gdzie stało jej bmw. Larry miał później rozpoznać w niej płyn hamulcowy.

Cela śmierci, więzienie stanowe Massachusetts

Po nocy pełnej rozpacz Mary Benariac powiedziała sobie, że musi pogodzić się z nieuniknionym. W parę dni odzyskała znów kontrolę nad swoimi lękami. Nie będzie ułaskawienia, nie będzie boskiej interwencji; nie będzie planu, który pozwoliłby jej zgładzić naukowca. Teraz już to wiedziała i taka była jej decyzja.

Zjadła powoli śniadanie z prostego, białego talerza, próbując odnaleźć choćby ślad smaku jajek i razowego chleba.

Kiedy przerwał jej zbliżający się stukot obcasów strażnika, zirytowana podniosła głowę. A gdy za kratami celi pojawiła się przysadzista kobieta, Maria zmarszczyła czoło.

- Jeszcze nie skończyłam - powiedziała. - Nie minęła nawet połowa czasu...

Kobieta przyjrzała jej się uważnie.

- Spokojnie, Kaznodziejko, nie zabiorę ci jedzenia. Przysłałam ci tylko powiedzieć, że masz gościa.

Maria jęknęła. Hugo Myers przesadzał ze swoim profesjonalizmem. Myślała, że już jej nie odwiedzi. Nie miała przecież żadnych szans na apelację, a więc nie było sensu spotykać się z prawnikiem.

- Wie pani, czego może chcieć mój genialny adwokat? - spytała, nie spodziewając się odpowiedzi.

- Adwokat? - strażniczka się roześmiała. - Twój gość to nie adwokat, ale zupełnie jego przeciwieństwo. Cholera, on chce być twoim duchowym doradcą.

Maria Benariac poczuła, że w sercu rozkwita jej maleńki kwiat podniecenia, gdy dwaj strażnicy przeprowadzili ją, skutą, z celi w skrzydle B białym, wyłożonym płytkami korytarzem, obok komory egzekucji, do sali widzeń.

Kiedy Ezekiel De La Croix wstał i uśmiechnął się do niej, tak się wzruszyła, że zapragnęła go uściskać. Popatrzyła w jego ciemne oczy i nic nie powiedziała. Strażnicy przymocowali jej kajdany do metalowego pierścienia na środku stalowego stołu. Kiedy usiadła, wycofali się za drzwi. Wyższy przystanął.

- To jest bezpieczne pomieszczenie dla adwokatów i doradców duchowych - powiedział do Ezekiela. - Państwa rozmowa nie może być monitorowana ani nagrywana. Ale pod żadnym pozorem nie wolno panu dotykać więźnia. - Wskazał duży przycisk na ścianie. - Kiedy skończycie albo kiedy będzie pan czegoś chciał, proszę zadzwonić.

- Oczywiście - odparł Ezekiel.

Strażnicy wyszli z pomieszczenia i zamknęli za sobą drzwi.

Gdy zostali sami, Maria się odezwała.

- Ojczy, przepraszam. Proszę, wyb...

Ale zanim skończyła, Ezekiel przyłożył palec do ust. Potem obszedł stół i stanął obok niej, uważnie się jej przyglądając. Długo milczał. Chciała zapytać, co się stało, ale powstrzymała się, wyczuwając, że starzec chce coś powiedzieć.

Nagle zauważyła łzy na jego policzkach. Bezgłośne łzy. I nie próbował ich ukryć. Płakał.

Zanim zdążyła coś powiedzieć, ukląkł przed nią i pochylił głowę. Kiedy w końcu się odezwał, mówił tak cicho, że go nie słyszała, a gdy powtórzył to samo głośniej, nie zrozumiała.

- Bądź zbawiona.

Zmarszczyła czoło.

- O co ci chodzi?

Ezekiel z pochyloną głową wciąż odwracał wzrok.

- Projekt „Kana” doktora Cartera znalazł pasujący zestaw genów... - powiedział.

- I?

- Zidentyfikował osobę, która ma geny Mesjasza. Tę samą osobę, która urodziła się, kiedy płomień zmienił kolor. Tę samą, która jako dziecko posiadała Chrystusowy dar uzdrawiania. - Wyprostował się, a spojrzenie jego czarnych oczu przeszło Marię. - Tą osobą jesteś ty, Mario. Ty jesteś Nowym Mesjaszem. To ty jesteś wybrana.

Maria zamarła, patrząc mu w oczy; jej mózg nie potrafił przyswoić sobie tego, co właśnie usłyszała. To było coś więcej niż szok; czuła się biernym świadkiem rewelacji, którą zdradził jej właśnie Ezekiel.

Czy to możliwe? Czy to może być prawda?

Mimo niedowierzania jakaś część jej samej, ukryta gdzieś głęboko w niej, nie miała wątpliwości. Zawsze wiedziałaś, że jesteś wybrana, zdawała się mówić. Teraz wiesz do czego.

- Bądź zbawiona - powtórzył Ezekiel.

Tym razem Maria wahała się tylko krótką chwilę.

- Abym mogła zbawić sprawiedliwych.

Ezekiel wstał i wrócił na swoje krzesło.

- Teraz znasz swoje przeznaczenie. Jest wiele spraw, o których muszę ci powiedzieć. Ogrom pracy przed nami.

Wciąż ledwie wierząc w to, jak wszystko się zmieniło, Maria cieszyła się, że odzyskała uczucia ojca Ezekiela. Uśmiechnęła się, nachyliła do przodu na tyle, na ile pozwalały jej kajdanki, i uważnie słuchała tego, co miał jej do powiedzenia.

Tej nocy Maria prawie nie spała. Zniknęła rozpacz, a nawet stoicka rezygnacja. Nie mogła bowiem przestać myśleć o tym, co powiedział jej Ezekiel, zwłaszcza o historiach z dzieciństwa, które dawno zapomniała.

Czy tak mogło być naprawdę? Czy to rzeczywiście się wydarzyło? Wszystkie uczucia i wspomnienia, które zdusiła jako fantazje nieszczęśliwego dziecka, teraz do niej wróciły. Każda opowieść, przywołana przez Ezekiela, budziła wspomnienia, według wszystkich jedynie wytwory jej wyobraźni.

Otworzyła oczy i zbuntowana popatrzyła w mrok celi, zmuszając się do przypomnienia sobie tego, o czym zazwyczaj starała się zapomnieć. Najlepiej pamiętała strach i zmęczenie, kiedy chodziła wokół rannych dziewczynek, które spadły z wieży sierocińca, próbując sprawić, by nieruchome ciała ożyły. Na więziennej pryczy znów poczuła tępy ból; energia wypływała z niej za każdym razem, kiedy obejmowała którąś z nich, a w końcu opadło ją otepiałe zmęczenie, wyczerpanie. Ale pamiętała

też ulgę, kiedy jedna po drugiej dziewczynki przytomniały, podnosząc się o własnych siłach.

Patyna przeszłości w jakiś sposób stopniowo się złuszczyła, tak jak dzięki Ezekielowi ona sama wypierała wspomnienia. Ojciec odkrył przed nią jej przeznaczenie, a obrazy i uczucia przetrwały nienaruszone upływem czasu.

Ezekiel opowiedział jej o swojej wizycie w laboratorium doktora Cartera i o tym, jak naukowiec odkrył jej genetyczne dziedzictwo. Poinformował ją też, że przeciwko niemu i jego zespołowi wysłano Gomorę. Maria wyznała, że sama chciała zabić Cartera, na co Ezekiel wzruszył tylko ramionami. Ważniejsze było to, że Najwyższy Krąg nie ustalił jeszcze, jak ją stąd wydostać. A zostało jej ledwie dwanaście dni.

Wizja rychłej egzekucji sprawiła, że Maria znów zaczęła rozmyślać o swoich zdolnościach. Dawały jej siłę, moc ponad sprawiedliwe podniecenie, którego doświadczała, zabijając. Historia pszczelich żądał poruszyła ją bardziej niż pozostałe, nie tylko dlatego, że doskonale ją pamiętała, ale dlatego, że nasunęła jej pewien pomysł.

Zastanawiała się, czy wciąż potrafi dokonywać uzdrowień. Próbowwała wrócić myślą do czasu, kiedy zrezygnowała ze swojej mocy, ale nie umiała. Pamiętała jedynie strach i rozpacz po nieustannych karach za „kłamstwa”. Mimo to była pewna, że gdyby tylko na to im pozwoliła, jej zdolności na powrót by się ujawniły.

Zawsze przeczuwała, że jest wybrana. Teraz, rozgorączkowana, zrozumiała, że istniał przygotowany dla niej plan i że się myliła, wątpiąc w swoją wiarę. Człowiek zawsze potrafił zadawać śmierć; wiedziała to lepiej niż inni. Tylko Bóg posiadał prawdziwą kontrolę również nad życiem. A więc jeśli miała tę umiejętność, kim ona ją czyniła? Prawdziwym dzieckiem Bożym?

Stoczyła się z pryczy i zaczęła krążyć po ciemnej celi, z podnieceniem wyczekując świtu. Wiedziała już, co powinna zrobić; to stało się oczywiste. Miała nadzieję, że ojciec Ezekiel powróci nazajutrz, by mogła przedstawić mu swój plan. Jeśli ma się stąd wydostać, potrzebuje pomocy jego i Bractwa; jej Bractwa. Uśmiechnęła się w niegroźnej już ciemności.

Musi się dobrze przygotować.

Ezekiel De La Croix nie wrócił następnego dnia. Ale tego popołudnia Marię Benariac odwiedził ktoś inny.

Tom Carter czekał w pustym pokoju rozmów stanowego więzienia, nieświadom, że na tym samym krześle poprzedniego dnia siedział Ezekiel.

Jego niebieska koszula i bawełniana marynarka były pogniecione. Ciemne półkola zmęczenia rzucały cienie pod jego oczy, bolała go głowa. Rozglądał się otepiały wokół, patrząc na pozbawione okien ściany w kolorze złamanej bieli i jaskrawe, jarzeniowe lampy. Myślami był gdzieś indziej. Sam właściwie już nie wiedział, po co przyszedł.

Poprzedniego dnia wrócił z Korsyki, sfrustrowany i podekscytowany zarazem. Pewien, że Maria może pomóc Holly, ale w żadnym razie nieprzekonany, czy to zrobi, jakkolwiek by ją kusił. Na lotnisku Logana szybko przeszedł odprawę, a po wyjściu do hali przylotów zaczął wypatrywać kierowcy GENIUS-a, który miał po niego wyjechać; rozpaczliwie pragnął wracać i być przy Holly.

Ku swojemu zaskoczeniu zamiast kierowcy zobaczył Jacka z dwoma policjantami. Jedno spojrzenie na ponurą twarz przyjaciela i Tom natychmiast pomyślał, że stan Holly się pogorszył, a może było nawet gorzej. Poczuł ulgę, kiedy dowiedział się, że tak nie jest, ale odprężenie trwało krótko.

- Co? Wybuch w mieszkaniu Boba Cooke'a? Co z nim?

Jack pokręcił głową.

- Nie żyje, Tom. On, jego dziewczyna i staruszek, który mieszkał pod nimi.

- Nie żyje? - Tom nie dopuszczał tego do świadomości.

A potem, po pierwszym szoku, w głowie rozbłysło mu pytanie: Czy zdążył przed śmiercią rozwiązać zagadkę myszy? Z poczuciem winy odepchnął je tak samo szybko, jak o nim pomyślał, ale wciąż w nim było, czekało na odpowiedź.

Śmierć Boba Cooke'a nie była oczywiście jedyną wiadomością. O nie. Kiedy Tom usłyszał, że Nora znalazła matkę martwą w łóżku i sama zmarła na atak serca, zaczął rozumieć, co to oznacza.

- Nora umarła na zawał? - z niedowierzaniem głupio powtarzał to, co powiedział mu Jack. - Przecież Nora miała końskie zdrowie, a jej matka chorowała od lat. Jej śmierć nie byłaby dla Nory szokiem...

W końcu, w samochodzie jadącym z powrotem do GENIUS-a, Jack powiedział mu o wypadku Jazz.

- O nie! Na Boga, powiedz mi, że nic się jej nie stało!

Jack, zmęczony, pokręcił głową.

- Za wcześniej, żeby to stwierdzić.

Wtedy wszystko stało się jasne. Przerazająco jasne.

- Moim zdaniem ten, kto stał za Marią Benariac, wciąż próbuje zatrzymać „Kanę” - powiedział Jack. - A to oznacza, że Kaznodziejka czy nie Kaznodziejka, wciąż jesteś celem.

Długą chwilę Tom zastanawiał się, czy nie zrezygnować. Nie dlatego, że jego życie było w niebezpieczeństwie - do tego dawno już przywykł - lecz dlatego, że za jego obsesyjne dążenie do ocalenia córki życiem zapłacili inni. Nie był już tylko jednym z długiej listy ludzi, z którymi jakaś chora fanatyczka się nie zgadzała i których pragnęła zabić. Ktoś chciał za wszelką cenę powstrzymać jego projekt i wszystkich, którzy brali w nim udział. Teraz ten ktoś zabijał jego przyjaciół - z powodu tego, co Tom robił. Przez jego samolubną, egoistyczną, nie liczącą się z niczym zdaniem walkę o uratowanie córki. A gdyby się nad tym zastanowić, czy rzeczywiście pragnął tylko uratować Holly? A może była to tylko wymówka, mająca usprawiedliwić jego kruczatę przeciw Naturze? Chciałeś pokonać raka i inne kaprysy złośliwego losu, które Matka Natura zsyła na nas, by pokazać, jak żałośni tak naprawdę jesteśmy z całą naszą technologią, pomyślał. Czy nie chodziło ci tak naprawdę o to, by ją sobie podporządkować, bez względu na cenę, którą twoje otoczenie zapłaci?

Czy to nie o to w tym wszystkim chodzi? - jeszcze raz zapytał sam siebie, kiedy Jack wjechał na teren kampusu GENIUS-a. Dopiero kiedy wszedł na oddział, spojrzął w ufne oczy Holly i otrzymał od niej wsparcie, udało mu się uciszyć demony podsycające zwątpienie. Dopiero wtedy dostrzegł, jak czyste są jego intencje, prostą prawdę, że robił wszystko, co w jego mocy, by uratować życie córki. Nic więcej. Nic mniej.

Gdyby udało mu się uratować innych, tym lepiej. Ale tę misję, to brzemie wzięły na siebie już inne projekty prowadzone przez GENIUS-a i niezliczone inne placówki na całym świecie. Jedynym celem „Kany”, jedynym celem Toma było uratowanie jego córki. Jeśli śmierć tych, którzy zginęli, pomagając mu w tym projekcie, nie miała okazać się daremna, musiał przejść tę drogę do końca. A jeśli ktokolwiek jeszcze chciałby go powstrzymać, to właśnie ten ktoś byłby tym złym, który staje na drodze prawom natury; na drodze naturalnego dążenia ojca do uratowania dziecka.

Mimo to, kiedy siedział w pokoju rozmów i słuchał zbliżających się kroków, wiedział, że jego sytuacja - człowieka negocjującego z zabójczynią jego żony ocalenie jego córki - była daleka od naturalnej.

Gdy dwóch strażników wprowadziło Marię do pomieszczenia, Toma uderzyły dwie rzeczy. Po pierwsze, wyglądała na zadowoloną z siebie. Nie tak zachowuje się więzień w celi śmierci. Żaden normalny człowiek nie może wyglądać tak spokojnie, kiedy jego koniec jest już tak bliski. Potem jednak Tom przypomniał sobie, że Kaznodziejka nie jest normalna. Po drugie, nie wyglądała na szczególnie zaskoczoną jego widokiem. Jeśli

już, sprawiała wrażenie nieco zawiedzionej, że to nie był ktoś inny. Przez krótką chwilę Tom zastanawiał się, na kogo mogła czekać.

Nie zamienił z nią ani słowa, kiedy strażnicy mocowali jej kajdanki do pierścienia na stole. Gdy jednak powiedzieli mu, by ich zawołał, jeśli będzie czegoś potrzebował, i pokazali dzwonek przy drzwiach, Maria uśmiechnęła się do niego. Zwycięskim, pełnym wyższości uśmiechem.

Kiedy wyszli, Kaznodziejka wciąż nic nie mówiła. Włosy jej odrastały i gdyby nie oczy i nienaturalna rzeźba kości, wyglądałaby ślicznie, nawet delikatnie, jak świeżo wyklute z jajka pisklę. Tom przed przyjściem ułożył sobie mowę, ale kiedy zobaczył Marię siedzącą przed nim, nagle mowa ta wydała mu się zupełnie bez znaczenia, dlatego nie bawiąc się w żadne wstępy, opowiedział o projekcie „Kana” i o tym, że znalazł człowieka z genami Chrystusa. Zaskoczył go jej brak reakcji. Potem wyjawiał, że tym człowiekiem jest ona sama. Znów jej spokój był szokujący.

- Co pani myśli o tym, co pani powiedziałem? - zapytał w końcu, chcąc, żeby się odezwała.

Ale ona tylko wzruszyła ramionami, jakby spytał, jaki smak lodów lubi najbardziej.

- Nie uważa pani, że to... interesujące? - naciskał. - A nawet jest w tym trochę ironii?

- Jasne - odparła tym swoim swobodnym tonem. - Ale naprawdę interesujące jest dla mnie to, że przyszedł mi pan to powiedzieć. Mówiłam, że to jeszcze nie koniec.

Tom przygryzł wargę. Miał ochotę sięgnąć nad stołem i uderzyć ją w tę zadufaną w sobie, złą twarz. Jak to było w opowieściach o duchach, którymi w dzieciństwie raczył go Alex?

- „Wiedźma to jedyna kobieta, którą wolno uderzyć.

- A diablina?

- Ona też. Ale z nią jest inaczej, synu, musisz uderzyć ją tak mocno, żeby się już nie podniosła. Bo jeśli się podniesie, jest piekielnie niebezpieczna...”

Tom starał się zachować spokój. Było oczywiste, że Maria wie już o genach. Inaczej nie byłaby tak opanowana. Ale kto mógł jej powiedzieć? Nagle zrozumiał. Ezekiel musiał się z nią skontaktować, chciał zobaczyć swojego Nowego Mesjasza. To starzec opowiedział jej o genach. Stąd wiedziała. Tom przez chwilę się zastanawiał, co Ezekiel o niej myślał. Cała ta nowa sytuacja musiała być bulwersująca dla planów Bractwa, ale i dla planów Toma wobec Holly.

Wziął głęboki oddech i uznał, że może odbyć tę rozmowę, jedynie trzymając się faktów. Jeśli miała pomóc, to dobrze, a jeśli nie...

- Panno Benariac - powiedział, starając się zachowywać jak najbardziej rzeczowy ton. - Ze wszystkich genomów, jakie przeszukaliśmy, a jest ich teraz ponad pięćset milionów, znaleźliśmy tylko trzy, posiadające pełen zestaw zmutowanych genów. Dwa należą do osób już nieżyjących: jednym był Indianin z Kolumbii, drugim oczywiście Chrystus. Pani jest trzecią. Poza genami łączy panią z nimi coś jeszcze: zdolność uzdrawiania, którą miała pani na jakimś etapie swojego życia.

Przerwał, czekając na reakcję. Nie doczekał się.

- Uważam - podjął - że wciąż ją pani posiada, i chcę pomóc pani ją odzyskać.

Jej niezwykle oczy przyglądały mu się uważnie, wciąż się uśmiechała.

- Dlaczego?

Tom przez wiele bezsennych nocy zastanawiał się nad najlepszą odpowiedzią na to pytanie; odpowiedzią, która mogłaby przekonać morderczynię, by pomogła Holly. Ale kiedy przyszło co do czego, uznał, że jest tylko jedna możliwość - rozebrać to najprościej. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął zdjęcie Holly zrobione w ubiegłe wakacje na Bermudach: Holly w swoim jednoczęściowym kostiumie machała ręką do obiektywu na białoróżowych piaskach Horseshoe Bay. Tom położył zdjęcie przed Marią, chciał, żeby zobaczyła Holly, żeby nie mieszała dwóch spraw: swojego stosunku do niego i pomocy jego córce. W końcu była przecież kobietą...

- Chcę, żeby ją pani uratowała - powiedział.

- Kto to jest?

- Moja córka, Holly.

Maria kiwnęła głową i przyjrzała się uważnie fotografii. Wzięła ją do prawej, skutej ręki, a lewą ją pogładziła.

- Ma pana zarys szczęki - uśmiechnęła się, jakby oglądała album rodzinnych zdjęć. Podniosła wzrok, a w jej oczach mignęła jakaś wrażliwość, tęsknota.

Potem zaczęły się pytania.

- Bardzo ją pan kocha?

Skinął głową.

- Bardzo.

- Czy ona wie, jak bardzo ją pan kocha? Mówi pan jej to?

- Tak, wie.

- Czy wie, co pan robi, żeby jej pomóc? Wie, że pan tu przyszedł?
- Nie, nie mówiłem jej o pani.
- Co jej jest?
- Rak mózgu.
- Ile jej zostało czasu? Więcej niż mnie?
- Nie wiem. Mam nadzieję.
- I chce pan, żebym jej pomogła?
- Jeśli pani może.
- Och, chyba mogę - odparła, opadając na oparcie krzesła.

Naprawdę? - pomyślał Tom, zaskoczony. Nie spodziewał się, że Maria będzie wiedziała o swoich mocach, a już na pewno, że będzie ich tak pewna. Poczuł ten sam przyływ frustracji i podniecenia, jakiego doświadczył poprzedniego dnia, wysiadając z samolotu. Ale zachowywał pokerową twarz. Kiedy wspominał o umowie, starał się, żeby zabrzmiała jak najbardziej swobodnie i jak najmniej błagalnie.

- Rozmawiałem z gubernatorem. Mogę złagodzić pani wyrok śmierci, jeśli jej pani pomoże.

Pewna siebie Maria uśmiechnęła się szerzej.

- Zamienić go na dożywocie? Życie za życie. Tak?

Wzruszył ramionami.

- Jeśli tak pani chce.

Maria przez chwilę zdawała się zastanawiać nad propozycją, patrząc to na zdjęcie Holly, to na Toma.

- Uważa pan, że Holly ma pecha? - spytała w końcu.

To pytanie wytrąciło go z równowagi, ale postanowił trzymać się swojej polityki odpowiadania wprost.

- Chorując na raka mózgu w jej wieku? Jasne. Ogromnego pecha.

- A ja tak nie uważam - powiedziała cicho Maria, a kiedy patrzyła na zdjęcie Holly, Tomowi wydało się, że widzi w jej twarzy jakąś tęsknotę, nawet zazdrość. - Ja myślę, że ma mnóstwo szczęścia. Ma rodziców, którzy ją kochają...

- Tylko jedno z nich żyje - przerwał Tom ze złością, zanim zdążył się powstrzymać.

Maria nie zareagowała.

- Była kochana i chciana od dnia narodzin.

- To prawda - odparł Tom, starając się zapanować nad uczuciami; chciał, żeby Maria zaczęła współczuć Holly. - Lecz bez pomocy umrze za kilka miesięcy, może tygodni. A jest zupełnie niewinna.

Słyszając to, Maria znów się uśmiechnęła.

- Doktorze Carter, nikt nie jest zupełnie niewinny. Ale pan chce, żebym wyleczyła ją z jej choroby? Żebym zatrzymała to, co zostało nakazane, bo pan uważa, że to niesprawiedliwe? Bo pan ją kocha?

W jej głosie słyhać było rozsądek, nawet współczucie.

Tom kiwnął głową.

- A w zamian - ciągnęła - pan wyleczy moją śmiertelną chorobę, nie dopuści pan, żebym umarła przedwcześnie za jedenaście dni?

Znów kiwnął głową, zachowując nieprzenikniony wyraz twarzy, by jej w żaden sposób nie sprowokować.

Patrzyła na niego, przekrzywając głowę, jakby nasłuchiwała.

- Jest pan gotów to zrobić, chociaż uważa pan, że ja nie jestem niewinna?

- Tak.

Nachyliła się do niego; chciał się odsunąć, zwalczył jednak ten odruch i... też się nachylił; wyglądali jak para kochanków, szepcząca sobie czułości nad kolacją przy świecach. Czuł zapach szarego mydła na jej skórze i miętowej pasty do zębów.

- Chociaż z zimną krwią zastrzeliłam pana żonę? - ciągnęła; ich usta dzieliły centymetry. - Chociaż próbowałam zabić pana?

- Tak.

- Zrobiłby pan to wszystko, żeby uratować córkę?

- To i więcej. Pomoże jej pani?

Maria przerwała, a na jej usta wrócił uśmiech. Tom próbował go odczytać, szukając oznak wielkoduszności, ale pozostawała nieprzenikniona. Spojrzała na kajdanki i przez chwilę oglądała swoje dłonie, jakby były przedmiotami nienależącymi do niej. Kiedy podniosła wzrok, uśmiech zniknął; jej twarz wyrażała teraz zimną niechęć.

- Nie, doktorze Carter, nie pomogę pana córce. To ostatnia rzecz, jaką bym zrobiła.

IV

CUDOWNY SZCZEP

Tydzień później, sala operacyjna GENIUS-a, Boston

Jasmine Washington siedziała na jednym z niebieskich krzeseł w poczekalni pod salą operacyjną GENIUS-a. Drapała się pod gipsem na złamanej lewej ręce; była pewna, że kiedyś czuła większy ból, nie umiała sobie jednak przypomnieć kiedy. Jej lewy obojczyk i kość promieniowa zostały złamane w wypadku. Całą lewą stronę ciała miała poobijaną. Oczywiście jechała za szybko; o to właśnie chodzi w sportowych samochodach. Ale nikt wcześniej nie przeciął przewodów hamulcowych w jej samochodzie. Dziękowała tylko Bogu, że pod Seven Eleven stała furgonetka i że w okolicy nie było pieszych, kiedy wepchnęła ją na chodnik.

Tak, właściwie powinna się cieszyć. Pogrzeb Nory Lutz odbył się przed dwoma dniami w Bostonie, ale ciało Boba Cooke'a zabrał samolot z powrotem do Kalifornii. Na samą myśl o ich śmierci i o tym, jak niewiele brakowało, by do nich dołączyła, Jasmine zadrżała. Kiedy pomyślała o tym, co się stanie na sali operacyjnej, zdała sobie sprawę, ile naprawdę miała szczęścia.

Wiele się wydarzyło przez ostatni tydzień, odkąd Kaznodziejka odmówiła prośbie uleczenia Holly. Po pierwsze, stan dziewczynki wyraźnie się pogorszył. Jeśli Bob odkrył tajemnicę, dlaczego niektóre myszy zostały uzdrowione, a inne nie, zabrał tę wiedzę ze sobą do grobu. Po dwóch ostatnich atakach Tom nie miał innego wyjścia, jak operować Holly, choćby po to, by złagodzić ucisk guza, jednego z najbardziej złośliwych, jakie on czy Karl Lambert widzieli.

Jasmine usłyszała, jak otwierają się drzwi po prawej stronie, i zobaczyła wchodzącego do poczekalni zmęczonego Aleksa Cartera.

Ojciec Toma bardzo się postarzał i po raz pierwszy pomyślała, że wygląda dokładnie na swoje sześćdziesiąt osiem lat. Wydawał się zagubiony; rozejrzał się po sali i uśmiechnął z ulgą, kiedy zobaczył Jasmine przy automacie z kawą. Pomachał jej i podszedł.

- Co z nią? Zaczęli już? - spytał, siadając obok.

Jasmine pokręciła głową.

- Cały czas przygotowują Holly na oddziale. - Kciukiem zdrowej ręki wskazała ścianę za plecami. - Przez ostatnią godzinę Tom i Karl Lambert siedzieli na sali operacyjnej i planowali operację. Niedługo powinna się zacząć.

- To dobrze, dobrze. - Alex splatał i rozplatał dłonie na kolanach. Wyglądał na przerażonego i Jasmine nagle przypomniała sobie, że już raz przez to wszystko przechodził - widział, jak jego żona cierpi na tę samą chorobę.

- Karl Lambert to świetny chirurg - powiedziała, kładąc mu dłoń na ramieniu - a sam wiesz, jak dobry jest Tom. Nie mogła się znaleźć w lepszych rękach.

Alex odwrócił się do niej i spróbował uśmiechnąć. Ale w jego oczach widziała, że to już koniec, a przynajmniej początek końca. Zamrugła, żeby powstrzymać nagłą falę łez; łez frustracji i gniewu. Po tym wszystkim, co przeszli, po tylu śmiertelnych ofiarach, „Kana” i rzeczywista szansa uratowania Holly zostały zniweczone przez morderczynię, tę samą, która wszystko to rozpoczęła. Jasmine nie potrafiła znaleźć pociechy w tym, że za cztery dni Maria zostanie stracona. To było głupie, smutne marnotrawstwo.

Alex wstał i podszedł do automatu z kawą. Musiał zająć czymś ręce.

- Chcesz coś? - spytał.

- Tak, dzięki. Czarna bezkofeinowa, bez cukru.

Drzwi otworzyły się po raz kolejny i oboje odwrócili się ku nim, spodziewając się, że ujrzą Holly. Ale to był Jack Nichols. Potężny mężczyzna odruchowo gładził swoją bliznę, niespokojny.

- Pomyślałem, że wpadnę zobaczyć, co się dzieje. Robota mi nie szła, myślałem cały czas o Tomie i Holly... - przerwał.

- Rozumiem - powiedziała Jasmine.

- Kawy? - spytał Alex przy automacie.

Jack uśmiechnął się krzywo, jakby chciał powiedzieć: „Jak by to było świetnie, gdyby kubek kawy mógł wszystko naprawić”.

- Dzięki. Jasną proszę. Cztery razy cukier.

Alex miał właśnie skomentować jego wybór, kiedy niespodziewanie podwójne drzwi znów się otworzyły. Nad Holly na noszach stały dwie osoby w zielonych fartuchach. Dziewczynka leżała na plecach, z ogoloną głową w klamrach. Jeden niedokładny ruch lasera, pomyślała Jasmine, przypominając sobie, co Tom mówił o ryzyku. Paraliż albo i gorzej. Kiedy jednak zobaczyła przerażone oczy i niespokojne spojrzenie swojej córki chrzestnej, zapytała sama siebie, czy śmierć rzeczywiście jest gorsza niż takie cierpienie. Czy cokolwiek jest gorsze niż to.

Wstali i podeszli do wózka, który zatrzymał się przed wejściem do sali operacyjnej. Jasmine wyciągnęła rękę, a Holly ścisnęła jej palec wskazujący jak noworodek. Drugą dłonią zrobiła to samo z palcem Aleksa. Podeszedł do nich Jack Nichols.

- Do zobaczenia - powiedział, układając kciuk i palec wskazujący w okrągły znak: „Wszystko OK”.

Holly spróbowała się uśmiechnąć; puściła palec Jasmine i odwzajemniła gest.

- Powodzenia, Holly - powiedziała Jasmine, starając się zachować pogodny ton.

- Wszystko będzie dobrze - uśmiechnął się smutno Alex, głaszcząc dziewczynkę po policzku. - Twój tata tego dopilnuje.

Drzwi sali operacyjnej otworzyły się i wyszedł z nich Tom. Tuż za nim szedł Karl Lambert. Obaj byli ubrani w chirurgiczną zieleń. Maski Toma wisiały mu na szyi; Jasmine widziała cierpienie w jego oczach, kiedy nachylił się i pocałował córkę w czoło. Kiedy się odezwał, głos miał łagodny.

- Nie bój się, Holly, dobrze? Cały czas będę przy tobie. Jesteś gotowa?

- Tak, tato - szepnęła; jej twarz się rozluźniła, a strach w oczach przysnął.

Tom pocałował ją jeszcze raz i się wyprostował.

- W takim razie zaczynamy.

Jasmine patrzyła, jak wózek znika w jaskrawobiałym świetle sali operacyjnej. Zanim drzwi się zamknęły, wiedziała jeszcze swoją małą córkę chrzestną w asyście czterech strażników w zieleni. I tak jak stała, baptystka przeżegnała się i zaczęła modlić do swojego Boga.

Dwadzieścia kilometrów dalej Ezekiel De La Croix krążył po sali więźni Węzienia Stanu Massachusetts, podczas gdy jego Mesjasz, Maria Benariac, siedziała przykuta do stołu.

- Wybacz, że nie wróciłem szybciej. Musiałem załatwić dużo spraw - próbował się tłumaczyć. - Ustawić wielu ludzi, żeby cię wydostać.

- Ale już ci powiedziałam - odparła Maria, bębniąc palcami skutej ręki w stalowy stół. - Mam lepszy plan i chcę, żebyście mi w nim pomogli.

Ezekiel wciąż nie przywykł do przyjmowania rozkazów od kobiety, która tak długo otrzymywała je od niego. Przez ostatni tydzień ponaglał Najwyższy Krąg, by dopiąć plan ucieczki. Musiał nawet spierać się z wciąż sceptycznie nastawionym bratem Bernardem, który żądał, by Maria udowodniła, że jest wybrana. Teraz, kiedy wreszcie go przekonał i udało się im opracować szkic obiecującego planu, Maria mówiła mu, żeby z niego zrezygnował. Mogła przynajmniej go wysłuchać, a Ezekiel wątpił, by jej plan był lepszy. Mesjasz powinien przystać na to, co mu proponowano. Kiedy Maria byłaby już wolna i namaszczona w ogniu, wtedy starzec mógłby się wycofać; jego zadanie byłoby zakończone. Sama myśl o tej chwili, gdy ciężar odpowiedzialności zostałby zdjęty z jego barków, sprawiła, że westchnął.

- Dobrze - powiedział, kładąc na stole pudełko z białymi pastylkami na nadkwasotę i wrzucając jedną do ust. Miał nadzieję, że plan Marii jest przynajmniej wykonalny. - Opowiedz mi o swoim planie.

Maria gestem kazała mu usiąść naprzeciwko. Obejrzała się na boki, jakby ktoś mógł podsłuchiwać, a potem nachyliła się do niego. Kiedy się odezwała, mówiła szeptem tak cichym, że Ezekiel musiał przysunąć do niej ucho na odległość kilku centymetrów, by usłyszeć jej słowa. Hamując niecierpliwość, słuchał, jak szkicuje swój pomysł. Początkowo bardziej z obowiązku niż zainteresowania, w miarę jednak, jak jej powolny szept nakreślał propozycję bardziej szczegółowo, starzec zaczął słuchać coraz uważniej. Gdy skończyła, otworzył z niedowierzaniem usta. Jej plan był genialny. Ale jak mógł się udać? Ryzyko było przeogromne.

Przez chwilę milczał, patrząc tylko w jej dwukolorowe oczy.

- Ale skąd wiesz, że tak się stanie? - wykrztusił w końcu. - Skąd masz pewność?

Maria uśmiechnęła się do niego; jej twarz promieniała pewnością siebie.

- Miej wiarę we mnie!

- Mam, ale...

- Czyż nie jestem Nowym Mesjaszem?

- Tak, ale...

Maria potrząsnęła kajdankami i gestem poprosiła, żeby się zbliżył.

- Weź mnie za rękę.

Zawahał się.

- Nie bój się.

Niechętnie posłuchał. Poczuł, jak jej palce oplatają jego dłoń, mocno ją ściskając. Maria zamknęła oczy i zbladła, jakby w cierpieniu. A potem rękę Ezekiela wypełniło dziwne ciepło i powędrowało ramieniem do jego torsu. Nagle Maria puściła go, a jej usta wygiął uśmiech.

- Nie rozumiem - sięgnął po pudełko pastylek na stole przy jej skutych rękach.

- Zostaw je - powiedziała cicho.

- Co?

- Tabletki. Już ich nie potrzebujesz.

Ezekiel, zszokowany, zamarł, patrząc na nią w milczeniu. Niemożliwe! A jednak ból żołądka zniknął. Nie tylko zelżał, jak zwykle, ale zniknął całkowicie.

Uśmiechnęła się, widząc jego reakcję, a on zobaczył, że choć Maria się uśmiecha, jest niemal tak oszołomiona, jak on.

- Teraz wierzysz, że mój plan może się powieść? - spytała.

Bez słowa kiwnął głową. Teraz mógł dać dowód wąpiącemu bratu Bernardowi.

- Dobrze, w takim razie odejdz - powiedziała. - Masz dużo do załatwienia.

Tom patrzył, jak dłonie Karla Lamberta kierują laserowym skalpelem, próbując usunąć czarną, chorą tkankę, nie uszkadzając przy tym reszty mózgu - mózgu jego córki.

Jego jedna polowa rozpaczliwie pragnęła trzymać laser, zamiast asystować przy operacji. Druga jednak, bardziej rozsądna, wiedziała, że tylko by przeszkadzał, nawet gdyby jego lewa dłoń nie była zraniona. Zawsze wierzył, że umiałby wykonać każdą procedurę chirurgiczną z klinicznym dystansem, teraz jednak zrozumiał, że to nieprawda. Nieważne jak bardzo starał się postrzegać Holly wyłącznie jako pacjentkę, nie potrafił. Byłajego najdroższą, kruchą córeczką i na samą myśl o operowaniu jej trzęsły mu się ręce.

Wokół stołu znajdowały się cztery monitory. Trzy śledziły oznaki życia Holly; środkowym, wydającym natarczywe, pocieszająco regularne „bip-bip-bip”, było EKG, odczyt bicia jej serca. Czwarty pokazywał zbliżenie mózgu Holly i mikrolaser Karla Lamberta, odcinający czarne komórki guza. Ekrany obserwowała siostra Lawrence i młodsza pielęgniarka Fran Huckleberry. Tim Fuller, anestezjolog, stał u szczytu stołu, jakiś metr od Lamberta i Toma.

Chociaż Tom asystował Karlowi, miał niewiele do roboty; obserwował tylko przebieg operacji. Była tak precyzyjna, że nawet jedna para rąk wydawała się zbyt duża. Tom próbował pocieszać się świadomością, że Karl Lambert jest doskonałym chirurgiem, jednym z najlepszych. Mimo to aż za dobrze zdawał sobie sprawę, że nawet jeśli Holly przeżyje zabieg, w najlepszym wypadku kupi jej w ten sposób kilka dodatkowych miesięcy. Po raz kolejny zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście warto przez to przechodzić, tylko po to, by wydłużyć cierpienie i smutek.

Wciąż nie potrafił się pogodzić z faktem, że Maria Benariac woli umrzeć niż pomóc Holly. Bezsensowna mściwość. Na co liczyła, jaki był cel jej egzekucji za cztery dni? Przypomniawszy sobie wszystkie historie, które siostra Clemenza opowiedziała mu o młodej Marii. Przypomniawszy też sobie pewne siebie zapewnienie samej Marii, że gdyby chciała umiałaby pomóc Holly. Jaka szkoda!

Bip, biiip, bii...iip, bii...ii...iii...iip.

Odwrócił się do EKG i poczuł, że serce przestało mu bić. Wykres był płaski. Serce Holly naprawdę się zatrzymało.

Czas nagle stanął w miejscu. Tom zobaczył, że Karl Lambert przenosi wzrok znad swoich dłoni, a jego normalnie spokojne oczy są zmartwione. Musiał przeciąć zdrową tkankę, witalną tkankę mózgu, co spowodowało wstrząs organizmu Holly. Tom zaczął ładować defibrylator, żeby zmusić do pracy serce córki, a siostra Lawrence nałożyła żel przewodzący. Lewa noga dziewczynki zaczęła się gwałtownie zginać i prostować; po chwili całą lewą stronę jej ciała przeszył spazm. Tom musiał użyć całej siły, by przycisnąć elektrody defibrylatora do jej piersi, by zaaplikować jej konieczny wstrząs elektryczny. Próbował zapomnieć, że ratuje swoją córkę, próbował nie myśleć o szoku, jakiemu poddane jest jej drobne ciało. Skupił się tylko na tym, co trzeba zrobić, by utrzymać ją przy życiu.

Pierwszy wstrząs nie dał żadnego efektu; linia EKG pozostała prosta.

Tom zaczekał, aż elektrody się naładują, i znów przyłożył je do piersi Holly. Całe jej ciało podskoczyło i przez chwilę wydawało mu się, że na linii pojawiło się wyrzucenie, ale się mylił. Pozostała prosta.

Trzeci wstrząs. Nic.

Potem czwarty.

Dla Toma bitwa o przywrócenie córki do życia wydawała się trwać nieskończenie długo, ale w rzeczywistości skończyła się po dziewięćdziesięciu dwóch sekundach. Dokładnie o jedenastej dziewięć dla wszystkich wokół stołu operacyjnego stało się jasne, że nic więcej nie da się zrobić.

Holly Carter nie żyła.

Wtedy Tom usłyszał okropny, zawodzący krzyk, jakby zranionego zwierzęcia, i przez kilkanaście sekund nie zdawał sobie sprawy, że to on tak krzyczy. A potem doznał olśnienia, tak nagłego i oczywistego, że wrzasnął po raz drugi:

- Niczego nie ruszać!

I wybiegł z sali. Nie zważając na Jasmine, Aleksa i Jacka czekających pod drzwiami, popędził najszybciej jak mógł w stronę laboratorium Cricka.

Kiedy ciało umiera, dzieje się to etapami. Naturalnie, gdy serce przestaje pompować krew albo płuca nie pobierają już tlenu, albo mózg przestaje funkcjonować, z praktycznego punktu widzenia ciało staje się klinicznie martwe. Ale ciało to zbiór komórek, a nie wszystkie komórki obumierają jednocześnie...

Widząc zapchaną windę, Tom Carter pomknął do schodów. Wbiegł po nich tak szybko, jak pozwalała mu na to jego zraniona noga, szarpnął drzwi pierwszego piętra, przepchnął się obok jednego z wirusologów wchodzących do laboratorium Mendla i przebiegł przez główną salę. Nieświadom spojrzeń naukowców pochylonych nad pracą przycisnął dłoń do skanera bezpiecznych drzwi prowadzących do laboratorium Cricka.

Kiedy tylko odsunęły się z sykiem, popędził przez puste pomieszczenie do chłodziarki zawierającej trzynaście fiolek surowicy Trójca. Otworzył ją szarpnięciem, sięgnął do środka i wyjął jeden ze szklanych pojemniczków. Z szuflady sąsiedniego biurka wyciągnął strzykawkę. Zdarł sterylne opakowanie, wbił igłę w fiolkę i napełnił zbiorniczek niemal całą jej zawartością. Podwinął lewy rękaw, skręcił go w opaskę uciskową, by wydobyć jedną z żył przedramienia, wbił igłę w rękę i wduśił tłok.

Kiedy Jasmine wprowadziła Jacka i Aleksa do sali operacyjnej, tak samo jak inni nie wiedziała, dokąd pobiegł Tom. Chciała iść za nim, ale Alex powstrzymał ją - powiedział, że Tom na pewno chce być sam.

Karl Lambert był błądzący tak jak reszta zespołu operacyjnego. Bez przekonania spróbował wyprosić ich z sali, ale nie nalegał. Oczyszczył otwór w czaszce Holly i zakrył go zielonym, chirurgicznym prześcieradłem.

Jasmine popatrzyła na swoją chrzestną córkę. Holly miała zamknięte oczy, jakby spała, i dziwnie spokojną twarz. Jasmine zapragnęła dotknąć dziewczynki, szturchnięciem obudzić ją do życia.

Nie dotknęła jej jednak. Nie płakała, chociaż w sercu czuła taki sam zimny smutek jak wtedy, gdy zginęli jej brat i Olivia. Nie płakała nawet, kiedy zobaczyła żal na twarzy Aleksa. Rozpłakała się dopiero, kiedy ujrzała pojedynczą łzę, spływającą z lewego oka Jacka Nicholasa, twarziela, po jego bliźnie do ust. Ten widok uświadomił jej cały tragizm tego, co się stało.

Nagły hałas przestraszył ich wszystkich. Tom nie tyle pchnął drzwi, ile rozwarł je w pędzie, niczym powiew huraganu. Lewy rękaw zielonego fartucha miał podwinięty, a oczy błyszczały mu jak w gorączce. Jakby nieświadom ich obecności, podbiegł do stołu i popatrzył na córkę. Jasmine zobaczyła, że jego rozgorączkowane spojrzenie mięknie i pojawia się w nim wielka czułość; potem pochylił się i objął Holly, jakby chciał ją podnieść z łóżka. Ale nie zrobił tego, stał tylko zgięty nad stołem i przytulał do siebie martwą córkę.

Jasmine nie widziała jego twarzy, bo patrzył w dół, ale nad jego ramieniem widać było wyraźnie blade oblicze Holly. Nad tym samym ramieniem, które teraz zaczęło dygotać, podczas gdy naukowiec coraz mocniej przyciskał nieruchome ciało.

Alex Carter położył dłoń na ramieniu syna, ale gdy tylko to zrobił, gwałtownie cofnął rękę, jakby dotknął rozpalonego piekarnika. Kiedy się odwrócił, jego twarz nie zdradzała bólu; on był wstrząśnięty i dezorientowany.

A potem Jasmine ujrzała coś, co miała pamiętać przez resztę życia. Zdarzyło się to tak szybko, że nie była pewna, czy naprawdę to widzi albo czy ma to jakieś znaczenie.

Holly zamrugła oczami.

Jasmine rozejrzała się, by sprawdzić, czy koledzy też to widzieli. Ale Jack i lekarze odwrócili się, pozostawiając Toma z jego żalem. Nawet Alex patrzył w ziemię, pogrążony w myślach. Nikt oprócz Jasmine nie widział twarzy Holly.

Wtedy dziewczynka otworzyła oczy.

Zwariowałam albo dzieje się coś bardzo dziwnego? Jasmine rozejrzała się jeszcze raz, próbując zapanować nad swoim oddechem i skłonić nieposłuszne usta, by przemówiły. Koledzy wciąż stali w milczącym żalu, nie zwracając na nic uwagi.

Tymczasem Holly uśmiechnęła się do niej sennie.

- Mogę dostać szklankę wody, Jazz? - spytała.

I Jasmine po raz pierwszy w życiu zemdląła.

Cztery dni później, więzienie stanowe Massachusetts

Maria zjadła śniadanie w dobrym nastroju. Mimo że termin jej egzekucji został wyznaczony na godzinę dwudziestą czwartą, nie mogła przypomnieć sobie, kiedy czuła się bardziej ożywiona i rozradowana. Jajka smakowały, jakby przyrządził je najlepszy francuski szef kuchni, aksamit świeżego i zimniejszego mleka nigdy dotąd nie piła. Wszystkie zmysły miała tak wyostrome, że nawet najbardziej przyziemne doświadczenie dawało jej dziecięcą radość nowego odkrycia. Błękit jej więziennego stroju nagle stał się kwiatowo czysty i Maria żałowała, że nie nosiła tego koloru wcześniej. A nowa cela, do której przeniesiono ją przed egzekucją, budziła jej zainteresowanie. Poprzedniego dnia większość popołudniowych godzin Maria spędziła, bawiąc się wyszukiwaniem drobnych, ale wyraźnych różnic między tą celą a poprzednią. Jednak największą radość sprawiała jej prosta, lecz olbrzymia moc, o której wiedziała, że tkwi w każdej komórce jej ciała.

Była wybrana. Świadoma tego, już to akceptowała. Zanurzyła się w puli genów Boga i miała władzę nad życiem i śmiercią. Nie musiała obawiać się niczego ani nikogo. Wciąż przechodziły ją dreszcze na wspomnienie spotkania z ojcem Ezekelem. Kiedy dotknęła jego ręki i uleczyła jego wrzód, poczuła energię - moc - przepływającą z jej ciała do jego ciała. Wyczerpanie, którego doznała potem, było niczym w porównaniu z podniecającą świadomością, że jej moc pozostała nieprzyćmiona od pamiętanych jak przez mgłę dni dzieciństwa.

Spotkanie z doktorem Carterem było dla niej równie satysfakcjonujące. Zawsze czerpała sprawiedliwą radość z wykonywania wyroków. Odbieranie życia miało w sobie coś pierwotnego, czystego, ale żadna z jej egzekucji, nawet najbardziej podniecające spotkania twarzą w twarz, nie mogła się równać z przypiływem emocji, którego doświadczyła, odrzucając prośbę Cartera. Odkryła, że zabić to jedno, ale nie ratować czyjś życia to coś zupełnie innego. To było zabijanie wirtualne. Posiadała moc obdarzania życiem i postanowiła, że jej nie użyje - niczego takiego do tej pory nie doświadczyła. Czuli się jak... jak... jak Bóg.

Usłyszała znajomy już stukot obcasów strażników na korytarzu. Jej duchowy doradca przybył z ostatnią wizytą.

Dziewięć minut później w sali widzeń spojrzała w zmęczoną lecz podnieconą twarz ojca Ezekiela.

- Wszystko gotowe? - spytała.

Kiwnął głową.

- Jako twój duchowy doradca będę brał udział w egzekucji razem ze świadkami i naczelnikiem więzienia. Nasze kontakty w Bractwie dopilnowały, żeby na zmianie znalazł się odpowiedni personel, który zrobi to, co trzeba. - Przerwał. - Wciąż jesteś pewna, że się uda?

Troska Ezekiela wzruszyła Marię.

- Miej wiarę, mój ojczu.

- Mam wiarę w ciebie, moje dziecko, ale boję się, że po tak długim czekaniu... - Umilkł. - Po prostu wolałbym bardziej... konwencjonalny ratunek.

- Ale czy przychodzi ci do głowy lepszy sposób, by upewnić się, że nikt nie będzie wątpił w to, kim jestem? Będę mogła udowodnić, że naprawdę zostałam wybrana.

Ezekiel się wahał; wzruszył ramionami i obrócił swój pierścień z rubinem.

- Chyba masz rację.

- Wiem, że mam. Czy doktor Carter będzie przy egzekucji?

Im mniej Carter mógł ją powiązać z ojcem, tym lepiej.

- Nie sądzę - odparł Ezekiel. - Tylko dwójka krewnych niesprawiedliwie zabitych poprosiła o uczestnictwo w egzekucji, a naukowca nie ma wśród nich. Jest zbyt zajęty opieką nad swoją umierającą córką. Ale jeśli by przyszedł, niekoniecznie zagroziłoby to planowi. Prawdopodobnie wie, że jestem twoim duchowym doradcą, ale zakłada, że spotkaliśmy się dopiero po odkryciu, że posiadasz drogocenne geny. W końcu wypada, żebym po

tak długim oczekiwaniu, to przecież dwa tysiące lat, towarzyszył Nowemu Mesjaszowi w ostatnich dniach.

Maria kiwnęła głową. Ojciec pewnie miał rację.

Ezekiel wstał z krzesła.

- Powinienem już iść i sprawdzić, czy wszystkie przygotowania są w toku...

Wahał się przez chwilę, nerwowo bawiąc się pierścieniem na palcu; nagle jakby zwlekał.

- Mogę być zbyt zajęty, żeby porozmawiać z tobą przed egzekucją...

Jego zazwyczaj niewzruszona twarz nagle ożywiła się intensywnymi uczuciami. Maria zobaczyła żal, nadzieję, strach i miłość - tak, miłość do niej - zabarwiające to stare oblicze niczym cienie chmur na ziemi. Ezekiel obszedł stół i stanął obok niej. Tym razem nie uklęknął, ale nachylił się i ją objął. A potem zrobił coś, co zaskoczyło ją i wzruszyło tak bardzo, że do oczu napłynęły jej łzy: pocałował ją w lewy policzek.

Żałowała, że nie może odwzajemnić tej czułości, ale nie pozwalały jej na to kajdanki. Mrugała, by powstrzymać nieposłuszne łzy i wtedy usłyszała jego szept.

- Moje dziecko, tak się cieszę, że znaleźliśmy cię w porę. - A potem, zanim zdołała cokolwiek odpowiedzieć, szybko się wyprostował; a jego twarz znów wyrażała chłód i obojętność. - Pójdę już.

Podszedł do drzwi i nacisnął przycisk dzwonka.

- Bądź zbawiona - powiedział na pożegnanie.

Oczy ją szczypały, ale się uśmiechnęła.

- Abym mogła zbawić sprawiedliwych i ukarać bezbożnych.

Kiedy strażnicy otworzyli drzwi, ojciec Ezekiel zaczął czekać, aż odpieli jej kajdanki od stołu i poprowadzili ją do drzwi. Potem uśmiechnął się do niej i wyszedł.

Na korytarzu wyłożonym białymi płytkami skręciła w lewo, w stronę drzwi prowadzących do sali odwiedzin i jasnego już światła słońca na zewnątrz. Zazwyczaj strażnicy pospiesznie prowadzili ją w prawo, z powrotem długim korytarzem, obok komory egzekucji, do jej celi. Ale z jakiegoś powodu dzisiaj zatrzymali się i pozwolili jej patrzeć, jak zgarbiona sylwetka ojca Ezekiel oddala się białym tunelem w stronę światła.

Już miała się odwrócić, kiedy zobaczyła, jak ojciec sztywnieje i w swym pośpiechu nagle staje w miejscu. Pomyślała, że odwróci się i coś do niej powie, ale on wyjrzał tylko przez zbrojone szkło górnej połowy drzwi do poczekalni dla odwiedzających. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich wysoka postać.

Maria była zaledwie piętnaście metrów od niej, ale oślepiąca światłem, nie mogła jej zidentyfikować. Wtedy postać nachyliła się i uściśniła dłoń ojca. Maria patrzyła, jak Ezekiel rozmawia z nieznanym w świetnej otoczce. Chyba czuł się niezręcznie, jakby chciał jak najszybciej odejść, ale rozmawiał przez dobrych kilka minut, zanim w końcu kiwnął głową, jeszcze raz uściśnił dłoń nieznanemu i wyminął go, znikając w promieniach słońca.

Strażnicy nie próbowali popędzać Marii. Kiedy drzwi zamknęły się za ojcem Ezekielem, zatrzymując część światła, zidentyfikowała obcego. Doktor Carter. Najwyraźniej przyszedł ją odwiedzić; dziwnie ją to zirykowało. Chciała go zobaczyć, kiedy by się już stąd wydostała, kiedy mogłaby kazać mu zapłacić za wszystko, co zrobił, a nie teraz, gdy nie była gotowa. Jakaś jej część cieszyła się jednak, że może go jeszcze wyszydzić.

Czekała, aż do niej podejdzie, ale on stał piętnaście metrów dalej i bawił się kawałkiem papieru w ręku. W jakiś sposób wydawał się zmieniony; był innym człowiekiem niż mężczyzna, który odwiedził ją zaledwie przed jedenastoma dniami. Miał na sobie wytarte dżinsy i niebieską koszulkę polo, ale to nie strój stanowił o zmianie. Wtedy uśmiechnął się do niej i zrozumiała, co to jest. Uśmiech nie był arogancki, ledwie pewny siebie. Sprawiał, że Carter wyglądał młodziej; był w jakiś chłopięcy sposób przystojny. Różnica, uświadomiła sobie Maria, polegała na tym, że był szczęśliwy; świadomość ta dziwnie ją zaniepokoiła. Absolutnie nie tego się spodziewała.

Patrzyła, jak odwraca się do drzwi i prosi strażnika, by je otworzył. Na korytarz znów wpadła fala światła, a kiedy drzwi się zamknęły, Maria zobaczyła obok doktora Cartera drugą, niższą postać, drobniejszą nawet od ojca Ezekieła. To była dziewczynka w czerwonej baseballowej czapce. Trzymała naukowca za rękę, ale dopiero kiedy pomachała jak na zdjęciu, Maria rozpoznała w niej jego córkę, ciężko chorą Holly Carter.

Nic nie rozumiała. Dziewczynka powinna już zaglądać śmierci w oczy, a nawet nie żyć. Co prawda nie miała włosów pod czapką, ale wyglądała dobrze; wręcz tryskała zdrowiem.

Co to za sztuczka? Co się stało?

Zanim Maria się opanowała, drzwi znów się otworzyły, wpuszczając oślepiające światło, i dziewczynka zniknęła. Dopiero teraz doktor Carter ruszył w jej stronę. Jakby na dany znak strażnicy wprowadzili Marię z powrotem do sali widzeń i przymocowali jej kajdanki do stołu.

Kiedy Tom Carter tam wszedł i usiadł naprzeciw Marii Benariac, nie czuł nienawiści. Była skazana na śmierć, podczas gdy Holly została ura-

towana. Jemu to wystarczało. Najbardziej żałował starego Ezekiela De La Croix, a widok jego przygarbionej sylwetki zaledwie kilka chwil wcześniej spotęgował jeszcze jego współczucie. Wyobraził sobie, jak to musi być: przez całe życie szukasz kogoś, a potem znajdujesz go w celi śmierci i na zawsze możesz go stracić.

Tom przyszedł tu tego dnia, bo nie mógł znieść myśli, że Maria umrze ze świadomością, że odniosła sukces. Chciał, by wiedziała, że w końcu jej morderczy fanatyzm i mściwa nienawiść poszły na marne. Pragnął jej również powiedzieć o genach, o cudownych genach, które uratowały jego córkę.

Przypomniał sobie ostatni raz, kiedy siedział na tym krześle; wciąż pamiętał metaliczny smak strachu i gniewu. Ale tym razem ze strony Marii Benariac nie miał się czego obawiać. Usiadł wygodnie, bawiąc się kartką i czekał.

- Co się stało z pana córką? - spytała Maria kilka chwil później.

- Umarła - odparł.

- Aleja widziałam...

Tom pokiwał głową.

- Tak. Widziała pani Holly.

- Nie rozumiem. Powiedział pan, że nie żyła.

- Bo nie żyła. Ale już żyje.

- Jak to? - spytała zszokowana Maria.

- Wykorzystałem geny.

- Pan wykorzystał geny? Moje geny?

- Nie, użyłem oryginalnych. Genów Chrystusa. Ale mogłem użyć też pani.

Maria Benariac straciła panowanie nad sobą, jej twarz zdradzała dziwną mieszanię uczuć. Tom widział gniew i oburzenie, że mu się powiodło. W jej oczach dostrzegł też jednak coś innego: podniecenie.

- Ale jak je pan wykorzystał? - spytała.

Rozwinął kartkę papieru, którą się bawił. Ręczne pismo było. wyraźne i czytelne.

- W sposobie ich działania jest coś, co powinno panią zainteresować.

Nachylił się nad stołem, a Maria odruchowo odwróciła skute dłonie, jakby trzymała w nich żebaczą miskę. Kiedy położył w nich kartkę, zauważył na jej prawym przedramieniu bliznę w kształcie krzyża. Widział, że jest stara, ale poszarpany ślad zdradził jego oku chirurga, że nacięcie zrobiono ostrzem dużego noża albo sztyletu, a nie precyzyjnym instrumentem. Naturalna ciekawość sprawiła, że chciał ją o to zapytać, ale kiedy pomyślał o jej pełnej przemocy przeszłości, rozmyślił się.

I zaczekał, aż przeczyta wiadomość na kartce.

- Obawiam się, że nie napisałem jej krwią. Ale pomyślałem, że Kaznodziejka pewnie doceni mały cytat z Biblii. Wie pani, skąd to jest?

- Oczywiście - prychnęła bez chwili wahania. - Dzieje Apostolskie, rozdział 20, wers 35.

Tom uśmiechnął się do siebie.

- Tak, tak myślałem. To jedna z chrześcijańskich nauk, które podziwiam najbardziej.

Maria z frustracją wzruszyła ramionami.

- Ale ja wciąż nie rozumiem. Co to ma wspólnego z tym, jak działają geny?

Tom spokojnie odchylił się na krzesło, szukając właściwych słów. I w tym momencie zobaczył w jej oczach głębię nienawiści.

- Myśli pan, że wygrał, prawda? - powiedziała, najwyraźniej w to nie wierząc. Nawet w ostatniej godzinie próbowała udawać, że ma jeszcze jakieś sztuczki w rękawie.

Tom smutno pokręcił głową, wspominając Olivie, Boba Cooke'a, Norę Lutz i innych, którzy zginęli.

- Nie czuję się, jakbym wygrał. Nie z panią, bo nigdy tak naprawdę z panią nie walczyłem. To pani toczyła wojnę ze mną i z tym, co robię, ale ja swoją toczyłem z innymi zabójcami, o wiele groźniejszymi niż pani.

Maria zacisnęła zęby tak mocno, że zobaczył mięśnie napinające się po obu stronach jej twarzy.

- Niech mi pan wyjaśni, co ta wiadomość ma wspólnego z genami - powtórzyła, szturchając palcem kartkę. - Co ma wspólnego z moimi genami.

- Dobrze - odparł. - Powiem pani.

Kiedy skończył, jej reakcja go zaskoczyła. Maria wyglądała na oszłomioną, a nie wściekłą, jak się spodziewał. Uszła z niej cała arogancja i przez chwilę wydawało mu się, że wyczuł strach. Gdy wstał i podszedł do dzwonka, nawet na niego nie spojrzała. Strażnicy, którzy po nią przyszli, musieli siłą podnieść ją z krzesła. Cały czas patrzyła na tekst, który jej zostawił: Więcej szczęścia jest w dawaniu aniżeli w braniu.

Teraz rozumiała, co te słowa oznaczają, ale Tom nie pojmował, dlaczego tak to nią wstrząsnęło. Jak to, co powiedział, mogło cokolwiek zmienić? Za kilka godzin zostanie stracona. Nie spodziewa się przecież, że przeżyje ten dzień.

Komora egzekucji, więzienie stanowe Massachusetts

Północ była coraz bliżej, a Maria Benariac odtwarzała w głowie słowa doktora Cartera.

Carter musiał kłamać, powtarzała sobie, kiedy więzienny lekarz robił jej zastrzyk ze środka antyhistaminowego. Była tak pochłonięta myślami, że nie zauważyła ironii faktu, iż lekarz martwił się o jej niekorzystną reakcję na trucizny, które sam miał pomóc wstrzykiwać.

Ale widziałam Holly żywą, pomyślała, a naukowiec nie mógł wiedzieć o planie, więc to musi być prawda. Kiedy po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że Holly została wskrzeszona, była podekscytowana i zmieszana, bo dowodziło to, że jej plan może się powieść. Jednak po wyjaśnieniach naukowca całe podniecenie wyparowało. Im dłużej zastanawiała się nad tym, co jej powiedział, tym bardziej martwiła się, że plan może jednak spalić na panewce.

Kiedy strażniczki zmusiły ją do użycia pieluchy, potrzebnej, jeśli wypróżniłaby się, umierając, próbowała szukać innych możliwości. Doktor Carter przyznał, że nie wie dokładnie, jak działają geny, więc mógł się mylić. To oznaczało, że jego odkrycie nie musi mieć wpływu na jej zamierzenia. Gdyby tylko ojciec Ezekiel był przy niej i mógł jej doradzić...

Tak, ale jak mógłby pomóc? Jeśli naukowiec miał rację, było już za późno, by wprowadzić w życie inny plan. Musiała stawić czoło faktom; kości zostały rzucone i mogła mieć tylko nadzieję, że doktor Carter się myli.

O tym właśnie gorączkowo rozmyślała, kiedy strażnicy poprowadzili ją białym korytarzem do komory egzekucji. Gdy jednak drzwi się otworzyły i zobaczyła pomieszczenie, w którym miała umrzeć, w jej głowie momentalnie zapanowała pustka.

W białym pokoju, nie większym niż trzy na pięć metrów, stał obity czarną skórą stół w kształcie pochylonego krzyża. Na obu ramionach i części głównej były grube skórzane pasy, którymi krępowano skazańca. Przy każdym ramieniu stała kroplówka, podłączona do wolno stojącej, chromowanej skrzyni wielkości dużego telewizora. Na skrzyni znajdowała się bateria strzykawek; służyły do podawania środka znieczulającego i dwóch różnych trucizn przez wenflony w rękach skazańca. Używano dwóch kroplówek na wypadek, gdyby jedna z nich - co mało prawdopodobne - zawiodła.

Pleksyglasowa szyba oddzielała świadków od skazańca. Znajdowały się za nią dwa telefony, z których jeden połączony był bezpośrednio z gabinetem gubernatora by umożliwić ułaskawienie nawet w ostatniej chwili. W myśl tradycji naczelnik więzienia stał przy tym telefonie i czekał trzy minuty po wyznaczonej godzinie - północy - zanim wydawał rozkaz. Jednak z wejściem w życie prezydenckiej inicjatywy Przepęczność 2000 stało się to pozbawionym znaczenia rytuałem. Od ósmego lutego 2000 roku w całych Stanach Zjednoczonych nie ułaskawiono w ostatniej chwili ani jednego więźnia.

Przyglądając się stojącym za szybą świadkom, Maria zauważyła niską, chudą postać ojca Ezekiela. Niemodny, prosty, czarny garnitur zwisał luźno na jego kościstych ramionach. Maria nigdy dotąd nie zwróciła uwagi, jak staro Ezekiel wyglądał, tego wieczoru jednak pomarszczona twarz ojca zdradzała jego lata: dziewięćdziesiąt sześć. Dla niej czas wciąż nie wywierał na nim piętna. Był po prostu Ojcem, człowiekiem, który dał jej wsparcie i opiekę, kiedy cały świat odwrócił się od niej. Tak bardzo pragnęła teraz z nim porozmawiać, podzielić się swoimi wątpliwościami - swoim strachem. Była pewna, że umiałby dodać jej otuchy.

Ale nie mogła porozmawiać z Ojcem. Musiała mieć wiarę i samotnie stawić czoło swojej Golgocie.

Kiedy strażnicy poprowadzili ją do stołu, spojrzała przez szybę, próbując spojrzeć Ezekielowi w oczy; nagle rozpaczliwie zapragnęła go ostrzec, że coś może pójść nie tak. On tylko uśmiechnął się do niej, uśmiechem zachęty i zrozumienia; niewiele brakowało, a mrugnąłby okiem.

Ale ty nic nie rozumiesz, chciała do niego krzyknąć. To się może nie udać. Zaczęła się szarpać, kiedy strażnicy ustawili stół pionowo i spróbowali ją do niego przypiąć.

- Coś jest nie tak! - krzyknęła. Próbowała odepchnąć jednego z nich i skoczyć do szyby. - Zatrzymaj ich! Nie jestem gotowa!

W smutnych oczach Ezekiela pojawiły się troska i niezrozumienie. Ale naczelnik i pozostali świadkowie patrzyli niewzruszenie, jak czterech doświadczonych strażników przypina Marię do stołu, każdy odpowiedzialny za jedną kończynę. Najpierw przymocowano jej prawą i lewą nogę, potem ramiona. Następnie tors i głowę, aż całe ciało zostało unieruchomione. W końcu stół obrócono do poziomu. Więzienny lekarz wbił wenflony w żyły na obu wyciągniętych ramionach i zainstalował urządzenie monitorujące pracę serca, które miało mu powiedzieć, kiedy Maria będzie klinicznie martwa.

Gdy zobaczyła, jak prosty, biały zegar nad szybą pokazuje jedenastą pięćdziesiąt osiem, zrozumiała w pełni wszystkie implikacje tego, co powiedział Carter. Nie było już czasu na złudzenia. Jeśli jego teoria była prawdziwa, Maria nie tylko była zgubiona - całe jej życie poszło na marne. Nie dość, że nie powstrzymała naukowca, to jeszcze roztrwoniła swój dar uzdrawiania, poświęcając życie zabijaniu w imię Boga, zamiast ratowaniu.

Pozostała sam na sam z jedną tylko prawdą, lekcją przebaczenia i skruchy daną przez pierwszego Mesjasza - tego, który zginął, by wszyscy mogli dostąpić życia wiecznego.

Leżąc na swoim krzyżu w oczekiwaniu, aż trucizna wpłynie w jej żyły, Maria wzięła głęboki oddech i zaczęła bezgłośnie się modlić.

- Wybacz mi, Ojcze, bo zgrzeszyłam.

Ezekiel De La Croix starał się nie pocierać swojego pierścienia z rubinem, ale buntownicze palce słuchały tylko własnych poleceń. Miej wiarę, powiedziała mu Maria, ale on wciąż się denerwował. Zaszokowała go jej oczywista konsternacja, kiedy strażnicy wprowadzili ją do komory egzekucji. Rano była pewna siebie, lekceważyła wszystkie jego obawy. A mimo to z jego miejsca za szybą nagle wydała mu się przerażona i pełna wątpliwości. Rozumiał, że szamocze się ze strachu, który musi ogarniać nawet najbardziej pewną siebie duszę stającą oko w oko ze śmiercią. Czy sam Chrystus nie doświadczył chwili zwątpienia na krzyżu, gdy myślał, że został opuszczony?

Ezekiel popatrzył na Nowego Mesjasza rozciągniętego na krzyżowym stole i na zegar nad nim. Jedenasta pięćdziesiąt dziewięć. Nie pora na słabość. Zwątpienie i strach wkrótce ustąpią i zaświta nowy początek.

Pozostali świadkowie i lekarz patrzyli na naczelnika. Następnym kilka minut zdawało się trwać wiecznie, ale dokładnie o dwunastej trzy naczelnik odsunął się od milczących telefonów i skinął głową lekarzowi.

Bez wahania naciśnięto przycisk, rozpoczynając proces odbierania życia Marii Benariac. Najpierw do kroplówki wpuszczono thiopental sodu, barbituran używany do usypiania pacjentów. Potem dodano dużą dawkę pawulononu, środka na zwiotczenie mięśni, który przerywa pracę płuc. Na końcu uwolniono równie dużą dawkę chlorku potasu, zatrzymując serce.

Ezekiel patrzył uważnie na Marię, wypatrując efektów działania trucizn. Zobaczył jednak tylko, jak zamyka oczy, a potem, po kilku sekundach, bierze głęboki, ostatni oddech.

O dwunastej zero cztery lekarz sprawdził swoje monitory i oznajmił, że skazaniec nie żyje.

Maria Benariac odeszła.

Ezekiel spuścił głowę i bezgłośnie zmówił krótką, lecz żarliwą modlitwę za jej duszę i bezpieczny powrót. Następne godziny będą najważniejsze. Bractwo nie może popełnić ani jednego błędu. Był tak zaprzątnięty swoimi myślami, że nie zauważył oficjalnego fotografa, mającego uwiecznić świadków egzekucji. Gdy odwrócił się gwałtownie do wyjścia, zdążył jedynie podnieść rękę i ostonić się przed oślepiającym błyskiem flesza. Machnął dłonią na przeprosiny fotografa i mrugając oczami, szybko wyszedł. Musiał się spieszyć. Było wiele do zrobienia.

Komórki różnych części ciała umierają w różnym czasie. Znane są przypadki osób, martwych od wielu godzin czy nawet dni, których włosy czy paznokcie wciąż rosły. Jak fanatyczni japońscy żołnierze na odludnych wysepkach Pacyfiku po II wojnie światowej, geny w tych komórkach nie zawsze zdają sobie sprawę, że wojna została przegrana i że powinny się poddać. Walczą tak długo, jak mogą, aż w końcu one też umierają.

Więzienna kostnica

W wyłożonej płytkami kostnicy pod budynkiem młodszy z dwóch pielęgniarzy wytarł spocone dłonie o przód kombinezonu, czekając na windę wiozącą właśnie straconego więźnia. Lenny Biaggs pracował tu na dole już prawie miesiąc, ale sztywniaki wciąż przyprawiały go o dreszcze. Praca z trupami była OK, nawet w środku nocy. Robił to już, zanim zaczął pra-

cować w szpitalu. Ale martwi mordercy i gwałciciele byli zupełnie inni. Nierzeczywiści, jakby wyjęci z powieści Stephena Kinga.

W górze nagle rozległ się zgrzyt przekładni. Winda jechała na dół ze swoim ładunkiem.

Jego szef Calvin Jetson zakaszał sucho, zaciągnąwszy się papierosem.

- Już jedzie, stary. Ekspres śmierci.

- Jak będziesz tyle jarał, sam się na niego załapiesz - odparł Lenny, rozpraszając ręką chmurę dymu, chociaż, nie zdradzając się z tym, wołał smród tytoniu marlboro od formaldehydu i śmierci, nawet jeśli dla niektórych było to jedno i to samo.

- Nie boję się śmierci - powiedział Calvin, a jego szara, blada z braku słońca twarz zmarszczyła się w uśmiechu. - Śmierć i ja jesteśmy starymi kumplami.

Coś szczyknęło, a potem światło nad windą zapaliło się i drzwi się rozsunęły.

Calvin mrugnął do Lenny'ego.

- Dzisiaj spotkał nas prawdziwy zaszczyt, mój młody uczniu. Dziś mamy do czynienia z bardzo sławnym przestępcą; nikim innym, jak samą Kaznodziejką.

- Jasne, świetnie - odparł Lenny, pomagając mu wytoczyć wózek z windy do przedsiönka kostnicy. Jeśli mordercy przyprawiali go o dreszcze, to królowa morderców przyprawiała go o króla wszystkich dreszczy.

- Wiesz, co Kaznodziejką robiła ze swoimi ofiarami, kiedy je zabiła? - spytał Calvin z papierosem przyklejonym do jego dolnej wargi. - Miała wieczne pióro ze specjalną, długą stalówką, wsadzała je w...

- Nie chcę wiedzieć. Daj spokój, co?

Calvin się zaśmiał.

- Jasna sprawa, Lenny, mój chłopcze. Nie ma co się tak spinać. Hej, idź po bambetle, to umyjemy ciało tutaj, w świetle, żebyś się za bardzo nie przestraszył.

- Nie boję się - zaprotestował Lenny, idąc w głąb kostnicy po myjki, chemikalia i kosz na brudną pieluchę.

- No pewnie, Lenny, mój chłopcze - usłyszał uspokajające słowa Calvina. - Pewnie, że nie.

Lenny wziął mały wózek i podjechał nim do szafki z wyposażeniem. Kiedy wyjmował tampony i myjki, zauważając przy tym, że chyba się kończą, wydało mu się, że czuje delikatny powiew, lekką zmianę temperatury pomieszczenia, jakby otworzyły się drzwi. Składając to na karb wyobraźni,

zebrał chemikalia i inne przybory, po czym popchnął wózek w stronę luko-
wato sklepionego przejścia do przedsionka kostnicy. Nasłuchiwał
jednego z niewinnych żartów Calvina, ale ten przynajmniej raz milczał.

- Musimy zamówić więcej myjek - powiedział, wchodząc. - Wezmę ja-
kieś...

Widok Calvina odebrał mu mowę. Szef stał naprzeciw niego z wytrzesz-
czonymi oczami i twarzą jeszcze bledszą niż zwykle. Poruszał ustami, ale
nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Z dolnej wargi zwisał wygasły
niedopałek. Grał całkiem nieźle, nawet jak na wielkiego żartownisia. Był
po prostu przerażony.

- Calvin? Co się dzieje, do cholery? Calvin?

Twarz Calvina nagle się zmieniła; spojrział podejrzliwie na Lenny'ego.

- To ty, prawda?

Wydawał się odzyskiwać panowanie nad sobą, ale jego głos wciąż zdra-
dzał taką panikę, że Lenny ścierpł.

- To było dobre. Cholera, jak to zrobiłeś? Odwróciłem się tylko na se-
kundę, człowieku. Najwyżej dwie.

- I co? Co się stało, do cholery?

Drżącymi palcami Calvin przypalił kolejnego papierosa i zaciągnął się
głęboko.

- Przystań się zgrywać, człowieku. Nabrałeś mnie. Ale jak? Odwróciłem
się tylko na chwilę. Jedną zawieszoną sekundę.

- Nie wiem, o czym ty mówisz, do diabła - zdenerwował się Lenny,
czując, że jądra zaczynają mu się kurczyć ze strachu.

Wtedy Calvin odsunął się na bok i Lenny zrozumiał, w czym rzecz.

Ciała Marii Benariac nie było.

Cholema Kaznodziejka zniknęła.

Beacon Hill, Boston

Następnego ranka po egzekucji Tom Carter - gdy obudził się z głębokiego, odświeżającego snu - nie pomyślał o Marii Benariac. Ostatni raz spał tak przed Sztokholmem. Z zamkniętymi oczami sięgnął na drugą stronę łóżka i miał już cofnąć rękę - nigdy to do ciebie nie dotrze? Olivia odeszła - kiedy dotknął czyjegoś ramienia. Otworzył do połowy lewe oko i uśmiechnął się na widok drobnej postaci w szerokiej, czerwonej koszulce, zwiniętej w kłębek obok niego. Holly.

Radosne wspomnienie tego, jak wpełzła wieczorem do jego łóżka, złagodziło trochę codzienny ból spowodowany brakiem Olivii. Holly była z nim, i była zdrowa.

Przez chwilę leżał tak w promieniach porannego słońca, sączących się przez zasłony, i tylko na nią patrzył. Miała zamknięte oczy i rozchylone usta, a jej pierś unosiła się i opadała z każdym oddechem. Włosy miała jeszcze króciutkie, ale i tak odrastały szybciej, niż Tom się spodziewał, a gładka blizna na jej głowie znikła w tempie, które zadziwiło nawet Karla Lamberta.

Tom wyciągnął rękę i łagodnie pogładził córkę po czole. Zaledwie przed dwoma dniami wykonano tomografię i nie znaleziono ani śladu guza. Genom dziewczynki wydawał się teraz normalny, a wszystkie jego defekty zostały w cudowny sposób naprawione.

Wyskoczył z łóżka i odciągnął zasłony na dużych oknach wychodzących na ogród. Czerwcowe słońce wpadło do środka przez wielodzielne szyby,

pokrywając jego piżamę kwadratami światła. Poczul przyjemne ciepło, które wypędzało chłód kilku ostatnich koszmarnych miesięcy.

Oddechnął głęboko powietrzem wpadającym przez otwarte górne okno i wyciągnął ręce nad głowę; przeciągał się jak kot przed kominkiem. Ogród w dole wyglądał wspaniale; szmaragdowy trawnik; czerwone róże; żółte nagietki; kolory były jaskrawsze niż kiedykolwiek za jego pamięci.

- Tato, która godzina?

Odwrócił się. Holly siedziała na łóżku, ziewała i przecierała oczy.

- Prawie ósma. Nie zapomnij, że Jazz przychodzi o dziewiątej na śniadanie.

- Larry też?

- Nie. Jest wciąż zajęty w Los Angeles, robi swój film. Kiedy mają przyjść Jennifer i Megan?

Holly przesunęła się na brzeg łóżka i zaczęła drapać bliznę.

- Powiedziały, że wpadną około dziesiątej trzydzieści.

- Coś planujecie?

- Nie, tylko się pobawimy.

Tom roześmiał się i pokręcił głową. Oto dziecko, które powinno nie żyć, a ostatnie pięć dni przeżyło awansem. I dzisiaj, w jeden z najbardziej fantastycznych poranków stworzenia, ze swoimi dwiema najlepszymi przyjaciółkami, zamierzała się tylko „pobawić”. To się nazywa żyć na całego.

- Co się stało, tato? - spytała Holly nagle poważnym głosem.

Podszedł do łóżka i usiadł obok niej.

- O co ci chodzi?

- W czasie operacji.

Zawahał się. Po raz pierwszy wspomniła operację w ciągu pięciu dni, odkąd ją przeprowadzono. Rozmyślnie wcześniej nie poruszał tego tematu, czekając, aż Holly nawiąże do niego w swoim czasie.

- Wyleczyliśmy cię - powiedział po prostu.

- Mama powiedziała, że to ty mnie wyleczyłeś.

- Mama? Kiedy?

Holly oparła głowę na jego ramieniu, sadowiąc się wygodnie.

- W moim śnie. Kiedy spałam w czasie operacji. To było dziwne. Jakbym się obudziła i jednocześnie cały czas spała. Stałam na peronie, potem ty pomogłeś mi wsiąść do pociągu. A kiedy ruszył, wszyscy machali mi na do widzenia. Alex, Jazz, Jack, Jennifer, Megan, wszyscy.

- Gdzie jechał ten pociąg, Holly?

- Do mamy. Powiedziałeś, że przyjedziesz do nas później.

- Naprawdę? I co było dalej?
- Było mi trochę smutno, że się z tobą rozstaję, ale cieszyłam się, że zobaczę mamę. A potem mama nagle pojawiła się w przedziale, obok mnie. Wyjaśniła, że ma dopilnować, żebym dotarła na miejsce. Fantastycznie było znów ją widzieć; była dokładnie taka sama jak kiedyś, tak samo się uśmiechała i śmiała. Spytała, co u ciebie i czy martwiłeś się o nas obie. Powiedziałam, że u ciebie wszystko dobrze i że dołączysz do nas później, a potem pociąg zwolnił i mama zaczęła jednocześnie uśmiechać się i płakać. Powiedziała, że nie wysiadam z nią. Że wyleczyłeś mnie i że zabierasz mnie z powrotem. Nie było mi bardzo smutno, bo wiedziałam, że kiedyś znów ją zobaczę, a chciałam wrócić do ciebie. No i później obudziłam się i zobaczyłam Jazz, i strasznie chciało mi się pić.
- To ci dopiero sen - powiedział Tom.
- Holly poruszyła głowę i spojrzała na niego.
- To jak mnie wyleczyłeś? - spytała cicho, patrząc mu w oczy.
- Westchnął. Jak to wytłumaczyć? Sam wciąż nie był pewien, jak to się stało.
- Wyleczyłem cię specjalnym lekarstwem.
- Jakim lekarstwem?
- Tak specjalnym, że nie działa bezpośrednio na chorego. Ja musiałem je wziąć, żeby wyleczyć ciebie.
- Ty musiałeś wziąć lekarstwo, żeby wyleczyć mnie?
- Pokiwał głową. Przypomniawszy sobie, jakiego olśnienia doznał podczas operacji; jak powiązał fakty w kryzysowej chwili: dlaczego myszy, którym wstrzyknięto surowicę, zdrowiały w parach czy trójkach, a pojedyncze nie. Ten błysk zainspirował go, by wstrzyknął sobie Geny Nazaret; zrozumiał, że myszy leczą się nawzajem; że Geny Nazaret nie działają na nosiciela, lecz poprzez niego.
- Widzisz, Holly, to lekarstwo działa tak, że daje człowiekowi moc pomagania innym. Nie można wyleczyć się nim samemu, tylko drugą osobę.
- Holly zastanawiała się nad tym przez chwilę, a potem pokiwała głowę.
- Łapię. - I wstała z łóżka, najwyraźniej nieporuszona tym, co jej właśnie powiedział.
- Łapiesz?
- Wzruszyła obojętnie ramionami, jakby rozmawiali o jakimś filmie.
- Tak, to jak jakiś superprogram, nie działa na komputer, na którym jest zainstalowany, ale może robić niesamowite rzeczy na innych, z którymi jest połączony.

Tom kiwnął głową.
- Tak, to coś w tym rodzaju.
- Proste. - Holly wyszła z jego sypialni do swojej łazienki. W drzwiach zatrzymała się i odwróciła. - To dlaczego nie użyłeś tego lekarstwa od razu?
Tom jęknął i rzucił w nią poduszką.
- Bo to nie było takie proste, spryciaro.

Dwaj policjanci pilnujący domu siedzieli w radiowozie. To była kolejna długa, nudna noc i obaj spoglądali na zegarki. Ich zmiennicy mieli przyjechać za pół godziny. Ochraniali dom przez ostatnie pół roku, od chwili pogrzebu pani Carter w grudniu. Przez cały ten czas nic się nie stało i chociaż żaden z nich nie powiedział tego głośno, obaj uważali, że ich obecność ma raczej dodać otuchy doktorowi Carterowi, niż naprawdę zapewnić mu bezpieczeństwo.

Bill, wyższy z nich dwóch, tarł oczy, próbując przekonać partnera.
- Lou, nie ma o czym mówić, Ali był najlepszy. To oczywiste.
Lou wzruszył ramionami i ugryzł kanapkę z szynką pastrami.
- Jasne, w gadaniu. Ale nie w boksowaniu. Tyson w szczytowej formie zrobiłby z niego marmoladę.

Bill się zaśmiał.
- Tyson? Tyson nawet by do niego nie podszedł. Ali by go obtańczył.
Dwaj policjanci z Bostońskiego Departamentu Policji nie zwrócili uwagi na barczystego mężczyznę w baseballowej czapce Red Soksów, idącego podjazdem przed domem Carterów. W sobotę Ted zazwyczaj nie przychodził tak wcześnie zajmować się ogrodem.

- Nie rozmawiamy o tańcu - prychnął Lou. - Ale o boksie. Do pedalskich piruetów Ali może by się nadawał. Ale w walce Tyson by go zabił.

Obaj byli tak zajęci dyskusją, że jeśli któryś z nich zauważył, że Ted jest trochę wyższy i bardziej wyprostowany niż zwykle, żaden tego nie powiedział.

Jasmine Washington odstawiła filiżankę kawy i spojrzała na Toma nad resztkami śniadania.

- A więc geny uwalniają substancje, które można przekazywać przez dotyk? - spytała. - I te substancje nie działają na nosiciela?

Tom wzruszył ramionami.

- Na to wygląda.

Pokręciła głową i spojrzała na Holly, która przeprosiła i wstała od stołu. Mijając ją, dziewczynka podniosła prawą rękę do przybicia piątki i Jasmine ją przybiła.

- Tak trzymać, Holly.
- Popatrzyła za wychodzącą dziewczynką.
- Jesteś pewien, że jest zupełnie zdrowa? - spytała raz jeszcze.
- Tak. Według wszystkich testów nigdy nie była zdrowsza.
- I to wszystko dzięki Genom Nazaret.
- Tylko dlatego, że ją dotknąłeś, pomyślała.

Tom dołął im obojgu kawy. Jasmine przyłapała się na tym, że patrzy na jego dłonie - dłonie, które wskrzesiły Holly. Zjeżyły jej się włoski na karku. Z trudem mogła zaakceptować fakt, że zabójczyni, Maria, urodziła się z uzdrowicielskimi genami Chrystusa, tak samo dezorientowała ją świadomość, że teraz posiada je Tom Carter. Było jednak jasne, że geny te nie determinują ani nie określają, kim jest Mesjasz, ani nawet, czy ich posiadacz jest dobrym człowiekiem. Były po prostu rzadkim darem Bożym, rozciągającym chrześcijańską zasadę dobrej woli do maksimum. Sam fakt posiadania błogosławionej mocy czynienia dobra nie oznaczał, że trzeba z niej korzystać. Maria Benariac na przykład wybrała zabijanie zamiast uzdrawiania. Jasmine nie mogła powstrzymać uśmiechu na myśl o tym, że Tom Carter, ateista, uwolnił tę dobroczynną moc, użył swojej nauki, by oszukać loterię Natury, i sam posiadał geny.

- A więc jak sądzisz, co robi ten tajemniczy trzeci gen? - spytała, popijając kawę.

- Nie jestem pewien. - Tom się zamyślił. - Ale opierając się na wczesnych odkryciach DAN-a, naz 3 to gen kontrolny, aktywujący i modyfikujący dwa pozostałe Geny Nazaret. Z zebranych danych wynika, że gen współdziała też z wieloma innymi. Wykonuje chyba trzy kluczowe funkcje. - Tom odstawił dzbanek i zaczął wyciszać na palcach. - Pierwsza to funkcja uwalniająca, prawdopodobnie łączy z genami kontrolującymi emocje i myśli, żeby posiadacz mógł zdecydować, kiedy Geny Nazaret mają lub nie mają się uaktywnić. Druga to funkcja kontrolna, aktywująca i modyfikująca geny naz 1 i naz 2, które odpowiednio naprawiają i regulują DNA, dając uszkodzonym komórkom najwięcej korzyści. Trzecia to funkcja transportowa - dostarczanie zoptymizowanego genetycznego polecenia do odbiorcy i rozprzestrzenianie jego działania na całe ciało. Domyślam się, że to coś w rodzaju feromonu wydzielanego przez skórę, przekazującego program uzdrawiający dotykiem.

- Ale nie wiesz dokładnie, jak działają?

- Nie. I prawdopodobnie nie zrozumiemy tego jeszcze przez lata. Ale wiem, że posiadacz genów musi chcieć, by zadziałały, i wierzyć, że to możliwe, na poziomie rozumowym albo emocjonalnym.

Jasmine uśmiechnęła się i napiła kawy.

- Dla mnie brzmi to jak stara, dobra wiara. To prawdziwy dar Boży.

Tom wzruszył ramionami.

- Może masz rację. Wśród darów ten jest na pewno największy. To jedyny, jaki znam, który trzeba komuś oddać, żeby się nim nacieszyć.

Jasmine uniosła filiżankę jak do toastu.

- „Więcej szczęścia jest w dawaniu aniżeli w braniu”.

Tom się roześmiał.

- Sam bym tego lepiej nie ujął.

Holly wróciła do pokoju z egzemplarzem „Boston Globe”.

- Przyszła gazeta - oznajmiła, rzucając ją na stół i podchodząc do drzwi do ogrodu.
- Twoich koleżanek jeszcze nie ma? - spytał Tom, biorąc do ręki czasopismo. Zerknął na pierwszą stronę.
- Jeszcze pół godziny - odparła Holly, otwierając drzwi. - Zaczekam w ogrodzie.

Wyjrzała na zewnątrz i wzruszyła drobnymi ramionkami.

- Nie wiedziałam, że Ted będzie tu w weekend. Myślałam, że pojechał z Marcy do Martha's Vineyard.
- W porządku, Hol - mruknął Tom, kiedy jego córka wyszła do ogrodu. Ale Jasmine widziała, że ledwie słuchał, marszcząc brwi na widok czegoś, co wyczytał. Nagle zbladł. - Cholera!
- Co? Co się stało, Tom?

Tom Carter poczuł zimno w żołądku, kiedy czytał tekst. Główny artykuł opisywał wizytę handlową prezydenta w Chinach, ale na dole, w rubryce Najnowsze wiadomości widniał nagłówek: Polowanie na Kaznodziejkę, i dwa zdjęcia: jedno ukazywało profil Marii Benariac, sfotografowanej wkrótce po skazaniu, drugie, oficjalne, przedstawiało świadków jej egzekucji. Tom rozpoznał Ezekiela De La Croix, ale nie to go zaskoczyło i nappełniło lękiem.

W artykule napisano, że chociaż Maria została stracona i potwierdzono jej zgon, ciało zniknęło z kostnicy. A kiedy Tom przeczytał o metodzie egzekucji - wstrzyknięciu trucizny - jego niepokój jeszcze wzrósł.

Co siostra Clemenza opowiadała mu na Korsyce?

„Maria zneutralizowała jad pszczelich żądeł”. Nie tak powiedziała zakonница? „Zneutralizowała jad”.

Przypomniał sobie, jak wstrząśnięta była Maria, kiedy powiedział jej, jak działają geny.

Cholera, ona zamierzała się wskrzesić.

- Co się stało, Tom? - powtórzyła Jasmine, nachylając się do niego.
Podał jej gazetę.

- Ta wiedźma najwyraźniej wsiadła na miotłę i odleciała.
Jasmine z otwartymi ustami przeczytała artykuł.

- Co to znaczy?

- Nie rozumiesz? Zamierzała dać się stracić przez wstrzyknięcie trucizny. A potem wykorzystała swoją genetyczną zdolność neutralizowania trucizny i wrócić do życia. Wiedziała, że to umie, zrobiła to już kiedyś.

- Nie wierzę. Zresztą na nią samą by to nie podziałało, prawda? I kto miał jej pomóc się wydostać?

- Nie wiem. - Tom odwrócił się i wyjrzał przez okno. Holly nachylała się nad klombem róż, wachając kwiaty. Za nią zauważył Teda - szedł przez trawnik do szopy na końcu ogrodu. Miał na głowie swoją czerwoną baseballową czapkę bostońskich Red Soksów, ale w jego kroku było coś dziwnego. Nie garbił się jak zwykle. Wydawał się też wyższy. Tom patrzył, jak Ted otwiera drzwi szopy i wchodzi do środka.

Co powiedziała Holly? „Nie wiedziałam, że Ted będzie tu w weekend. Myślałam, że pojechał z Marcy do Martha's Vineyard\
Bo pojechał.

Toma ogarnął nagły chłód, bardziej wściekłość niż strach. Złapał Jasmine za ramię. Zaskoczona spojrzała na niego znad gazety.

- Jazz, o nic nie pytaj - powiedział. - Biegnij po policjantów pilnujących domu. Powiedz im, że Holly i ja jesteśmy w niebezpieczeństwie. Szybko!

- Dlaczego? Co...?

- Ten facet to nie Ted! Leć!

Holly była teraz dziesięć metrów od domu, szła w stronę szopy. O ścianę przy drzwiach stał oparty szpadel.

Tom nie odważył się jej zawołać, żeby nie ostrzec tego, kto krył się w środku. Wybiegł z oranżerii i po trawniku popędził do córki. Była już blisko szopy.

Biegł najszybciej, jak mógł, nie zważając na niesprawną nogę.

Drzwi szopy zaczęły się otwierać w jego stronę. Tom był trzy metry od nich, dwa od Holly. Zza drzwi wysunęła się ręka z pistoletem.

- Holly! - wrzasnął. - Wracaj!

Dziewczynka odwróciła ku niemu, przerażona, zdezorientowana. Dobrze, przestraszona będzie biegła szybciej.

- Wracaj do domu! - krzyknął. - Biegiem! Najszybciej jak umiesz!

Kiedy go minęła, Tom całym ciężarem ciała rzucił się na drzwi szopy. Usłyszał chrzęst kości, gdy drzwi zmiażdżyły rękę mężczyzny, zmuszając go do upuszczenia broni. W panice złapał szpadel, skoczył za drzwi i uderzył z całej siły. Mężczyzna, padając, próbował przetoczyć się w bok i dosięgnąć pistoletu, ale Tom zasypał go gradem ciosów. Nieznajomy osłonił się ramionami. Tom tłukł go na oślep. Dopiero kiedy obcy znieruchomiał, Tom oprzytomniał, dysząc z wyczerpania i przyływu adrenaliny. Teraz, kiedy trochę się uspokoił, rozpoznał człowieka z lotniska w Tel Awiwie i wyprawy śmigłowcem na spotkanie z Bractwem. Co tu robił Gomora?

Roztrzęsiony rzucił szpadel na ziemię i chwycił pistolet. Dlaczego człowiek pracujący dla Bractwa Ezekiela De La Croix przyszedł tu uzbrojony?

Wtedy zobaczył bliznę na jego przedramieniu. Taki sam krzyż widział na rękę Marii Benariac. W końcu zrozumiał. Gniew powrócił, kiedy przypomniał sobie słowa Karen Tanner: „Być może nigdy się nie dowiemy, kto stoi za Kaznodziejką”.

Maria od samego początku należała do Bractwa. Organizacja Ezekiela była odpowiedzialna za śmierć Olivii i próby powstrzymania projektu „Kana”, kiedy otrzymała już od Toma to, czego chciała. Uświadomił sobie, że Holly i on sam nie będą bezpieczni, dopóki Bractwo istnieje.

- Tom, wszystko w porządku? - Jasmine biegła w jego stronę z dwójką policjantów.

Zbyt wściekły, by mówić, Tom tylko kiwnął głową; minął ją i poszedł do domu, do Holly. Przypomniał sobie urządzenie naprowadzające, które kazał mu połknąć Jack przed pierwszą wizytą w grocie Bractwa. Wiedział już, kto wykradł zwłoki Marii z więzienia i dokąd je zabrano.

- Tom, dokąd idziesz? - spytała Jasmine.

Nie odwracając się, odpowiedział:

- Chcę zakończyć to wszystko.

Grota Świętego Ognia, południowa Jordania

Trzeciego dnia Najwyższy Krąg ukląkł w ceremonialnych szatach przed Świętym Ogniem, płonącym jaśniej i bielej niż kiedykolwiek. Ezekiel De La Croix widział otwarte wrota prowadzące do Krypty Pamięci. Na ołtarzu przed nimi leżał Nowy Mesjasz. Zwłoki Marii Benariac były owinięte w biały całun, tak że widać było jedynie jej bladą twarz. Woń olejków, ziół i przypraw, którymi namaszczone jej ciało, mieszała się z panującym zwykle w grocie aromatem kadzidła i rozgrzanego wosku.

Ezekiel, choć wyczerpany, czuł radość. Gomora powinien już do tej pory pozbyć się Cartera i Washington, on sam mógł więc skoncentrować się na Marii. Od dnia jej śmierci nie spał dłużej niż kilka minut i ledwie już widział na oczy. Rozpaczliwie pragnął odpocząć, nie mógł jednak ryzykować, że przegapi moment, gdy Maria się obudzi. Kiedy to by się stało i włożyłaby dłoń w ogień, jego rola w wypełnianiu prorocтва by się zakończyła i mógłby odejść na wieczny spoczynek.

Plan powiódł się lepiej, niż na to liczyli. Brat Bernard łatwo opłacił strażników. W końcu co było złego w milczeniu i odwracaniu wzroku, kiedy z więzienia uprowadzano martwego więźnia? Przecież to nie ucieczka. Ciało wykradziono tak szybko, że pojawiły się już plotki, iż Maria Benariac zmartwychwstała. Gdyby tylko wiedzieli, pomyślał Ezekiel ze znużonym uśmiechem.

Bracia Olazabala w Nowym Świecie zorganizowali podróż ambulansem z więzienia i samolotem, którym zwłoki zabrano z prywatnego hangaru na lotnisku Logana. Brat Haddad i jego pomocnicy w Ziemi Świętej sprokurowali dokumenty potrzebne do sprowadzenia „zmarłego syna” jednego z braci „do domu”, by pogrzebać go w jordańskiej ziemi.

Z Ammanu zwłoki przetransportowano do Asbaa el-Lah śmigłowcem Bractwa. Kiedy znalazły się już bezpiecznie w Grocie Świętego Ognia, brat Helix przygotował rytualne olejki, zioła i przyprawy, którymi je namaszczone. W końcu, niemal cały dzień po egzekucji, Bernard i Luciano wzięli rytualny całun z Krypty Pamięci i owinęli nim Marię od stóp do głów, zostawiając widoczną tylko twarz Nowego Mesjasza.

Zrobili już wszystko. Teraz mogli tylko czuwać i się modlić.

Trzeci dzień nadszedł, a oni wciąż czekali.

Ezekiel poruszył się na modlitewnej macie, tłumiąc jęk, gdy poczuł ból w odretwiących mięśniach. Zerknął na pozostałych, czuwających w milczeniu obok niego; szukał na ich twarzach oznak zmęczenia, próbował ocenić ich poświęcenie dla sprawy. Wszyscy klęczeli bez ruchu, z pochylonymi głowami, pogrążeni w głębokiej modlitwie. Wszyscy oprócz brata Bernarda. Odkąd Ezekiel opowiedział, jak Maria wyleczyła jego żołądek, nawet sceptycznie nastawiony Bernard zdawał się wierzyć. Ale po ukradkowych spojrzeniach, jakie rzucał w stronę jej nieruchomego ciała, Ezekiel widział, że Bernard znów wątpi.

Przysadzisty brat nagle się odwrócił i spojrzał mu w oczy.

- Przywódco De La Croix, jak długo musimy czekać? - syknął, macając ciszę w grocie.

- Nie powiedziała. Powiedziała tylko, że powinniśmy być cierpliwi i mieć wiarę.

- Minęły prawie trzy dni.

- Poprzednim razem też tyle to trwało - skarcił go Helix, klęczący obok Ezekiel.

Teraz wszyscy bracia podnieśli wzrok.

- Ale... - zaczął Bernard, drapiąc się w hiszpańską bródkę. - A jeśli...?

Ezekiel nie dał mu skończyć, odgadywał, że brat chce wyrzucić z siebie wątpliwości.

- Obudzi się. Miej wiarę!

Zebrał się w sobie. Nie mógł nawet dopuszczać możliwości, że Maria nie wróci. Widział, jak Nowy Mesjasz umiera; pozwolił ją stracić, nie próbując

w żaden sposób temu przeciwdziałać. Maria musi powrócić. Obiecała mu to. Każde inne zakończenie było nie do pomyślenia.

- Mówię tylko, mój przywódco - przymilił się Bernard - że może powinniśmy rozważyć plan awaryjny...

Ezekiel złowrogo spojrział w okrągłą twarz Bernarda.

- Miej wiarę, bracie Bernardzie! Ona wróci!

- Według koordynatów powinniśmy być tutaj. - Karen Tanner przekrzykiwała jazgot wimików śmigłowca, wskazując punkt na mapie, którą trzymała na kolanach.

Tom Carter poczuł przyływ nerwowego podniecenia, kiedyś patrzył przez szybę na pięć sterczących na pustyni kamiennych filarów. Na piasku w pobliżu najwyższego z nich zobaczył helikopter i dwa samochody. W powietrzu po prawej widział trzy śmigłowce: Delta Force, FBI i Królewskiej Armii Jordanii.

- Nie zauważą nas? - zapytał.

Karen poprawiła okulary przeciwsłoneczne i uśmiechnęła się ponuro.

- Och, zauważą, i to w krotce. Ale nie będą mieli dość czasu, by cokolwiek zrobić.

Tom jej uwierzył. Zaimponowała mu tym, jak szybko zadziałała, kiedy powiedział jej o Gomorze i Bractwie. FBI z łatwością zlokalizowało grocę, gdy tylko jeden z anonimowych przyjaciół Jacka Nicholasa podał mu koordynaty z pierwszej wizyty Toma. Potem, po kilku szybkich telefonach dyrektora FBI i Departamentu Stanu USA do jordańskich władz, w kilka godzin wysłano Grupę Zadaniową. Karen próbowała przekonać Toma, by pozostał w kraju, ale nic nie mogło go powstrzymać - chciał ujrzeć zakończenie tej historii. Poza tym, jak jej powiedział, był jedynym człowiekiem spoza Bractwa, którego wprowadzono do groty.

- Dave, co tam mają? - spytała Karen Tanner mężczyznę siedzącego po jej prawej stronie. Ubrany w paskowy mundur i ciemne okulary Dave studiował dane na ekranie swojego laptopa. Jak wszyscy członkowie Delta Force nie podał swojego nazwiska, a Tom nie był nawet pewny, czy Dave to jego prawdziwe imię.

- Odczyty czujników wskazują, że trzech ludzi jest na zewnątrz, ale co do podziemia, można tylko zgadywać. Biorąc pod uwagę dane i to, co opowiedział nam Tom, ochroną tego miejsca jest bardziej tajemnica niż siła.

- No, właśnie stracili tę ochronę. - Karen sięgnęła po krótkofalówkę i poklepała pilota po ramieniu. - Chuck, spróbuj wysadzić nas jak najbliżej tej najwyższej skały. Szybko i nisko, okej?

Karen wykrzyknęła serię poleceń do krótkofalówki. Wszystkie cztery śmigłowce obniżyły pułap lotu, zbliżając się do celu. Tom poczuł skurcz żołądka, gdy spojrzał w dół i zobaczył dwie podobne do mrówek postacie - biegały między samochodami a grota. Nerwowe podniecenie musiało uwidocznić się na jego twarzy, bo Karen uśmiechnęła się do niego.

- Chciałeś się wybrać z nami na przejażdżkę. No to właśnie zaczynamy.

Brat Bernard zdążył wyjawic swoje wątpliwości, kiedy Ezekiel De La Croix usłyszał na schodach odgłos biegnących stóp. W pierwszej chwili bardziej go to zirykowało, niż zmartwiło. Wyraźnie nakazał trzem mężczyznom na górze i strażnikowi przed grota, by im nie przeszkadzali. Tupot przybrał na sile, potem rozległy się krzyki. I dwa głośne trzaski. Wystrzaly? Co się dzieje? Pozostali członkowie Najwyższego Kręgu wymieniali zmartwione spojrzenia.

Brat Bernard wstał.

- Lepiej to sprawdzę.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i do groty wpadli ludzie w mundurach.

To niemożliwe. Nie tutaj. Nie teraz.

Zadziwiając samego siebie zwinnością, Ezekiel zerwał się i skoczył za ołtarz; stanął między Marią a otwartymi drzwiami Krypty Pamięci. Sięgając pod płótno na ołtarzu, wymacał ceremonialny sztylet i wsunął go za pas swojej szaty. Pozostali nawet nie drgnęli, sparaliżowani. Tylko brat Bernard się wyprostował.

- Niech nikt się nie rusza! - rozkazała kasztanowowłosa kobieta w niebieskiej kurtce z napisem „FBI” na plecach. Otaczało ją przynajmniej ośmiu mężczyzn w mundurach. - Agentka specjalna Karen Tanner z Federalnego Biura Śledczego Stanów Zjednoczonych. We współpracy z jordańskimi władzami aresztujemy was jako podejrzanych o porwanie, wielokrotne zabójstwa i udział w spisku mającym na celu dokonanie morderstwa.

Za Amerykanami Ezekiel dostrzegł oddział żołnierzy królewskich sił jordańskich.

Szybko powiódł wzrokiem po członkach Najwyższego Kręgu: Bernard stał bez ruchu, patrząc na pistolet w ręku agenta FBI, Helix z niedowierza-

niem kręcił głową, Luciano wyciągał ręce nad głowę jak bandyta w filmie z Johnem Wayne'em, Haddad i Olazabal znieruchomieli jak króliki, które gapią się w reflektory pędzącego samochodu.

Krew zadudniła Ezekielowi w skroniach. To koszmar. To nie może się tak skończyć. Jak oni tu trafili?

Przykucnął za ołtarzem i zaczął ciągnąć ku sobie zwłoki; ciało Nowego Mesjasza upadło z głuchym łoskotem na ziemię u jego stóp. Miał teraz tylko jeden cel - chronić je. Nic innego się nie liczyło.

- Proszę się nie ruszać! - krzyknął wysoki, jasnowłosy żołnierz, unosząc pistolet i zbliżając się do Ezekiela.

Wtedy z cienia wyszedł on. I w tej chwili Ezekiel nienawidził go bardziej niż jakąkolwiek inną żywą istotę. Ateista musiał ich zdradzić. Uszedł Gormorze i przyprowadził tu tych ludzi, by wszystko zniszczyć.

Ezekiel patrzył, jak Carter gestem rozkazuje żołnierzowi się cofnąć, a potem rusza w jego stronę. Nie marnuj czasu na bluźniercę, upomniał się w duchu starzec. Skup się na bronieniu Nowego Mesjasza, na jej bezpieczeństwie. Obejrzał się za siebie, sprawdzając, jak daleko są otwarte wrota Krypty Pamięci. Niecały metr. A obok drzwi widział sznur, pętlę na końcu grubego, drewnianego kołu, sterczącego na wysokości pasa z kamiennej ściany. Naprawiane, ale nieużywane od momentu zamontowania go tu dawno temu, zabezpieczenie miało być wykorzystywane tylko w chwilach najwyższego zagrożenia. Takiego jak teraz.

Ezekiel zmusił swój rozgorączkowany umysł, by przypomnieć sobie instrukcje, które otrzymał podczas pasowania na przywódcę.

Spojrzał wrogo na nieuzbrojonego doktora Cartera, podchodzącego coraz bliżej, i zobaczył własny gniew na zdradę odbity w jego niebieskich oczach.

- Uważaj, Tom! - krzyknęła Tanner, kiedy znalazł się przy ołtarzu, niewiele ponad metr od Ezekiela. Stał między starcem a półkolem uzbrojonych mężczyzn, niemal przy samym białym płomieniu.

Idealna pora do zadziałania.

Widok Ezekiela De La Croix, stojącego nad owiniętym pieczętowanym w całun ciałem Marii Benariac, wzbudził w Tomie gejzer uczuć. Pomyśleć, że spożywał posiłek przy jednym stole z tym człowiekiem, układał się z nim, nawet mu współczuł, gdy tymczasem on cały czas czekał, by dokończyć to, co jego przekłete Bractwo rozpoczęło w Sztokholmie. Ten pomarszczony, czarnooki karzeł był odpowiedzialny za śmierć jego żony

tak samo jak Maria. Gorzej: o ile ona jak żołnierz wykonywała rozkazy, o tyle on był wydającym je generałem.

Tom mógł zgadywać, dlaczego chcieli go zabić, ale pragnął, żeby ten człowiek wprost mu to powiedział. Musiał zrozumieć, jaki spaczony powód miało Bractwo, by nakazać zabić człowieka tylko dlatego, że poświęcił się ratowaniu ludzkiego życia. Bez wątpienia miało to coś wspólnego ze stekiem fanatycznych bzdur, którymi Maria zarzuciła go w laboratorium GENIUS-a; igranie z dziełem Boga; podważanie boskiego porządku i tak dalej. Chciał jednak zrozumieć, dlaczego organizacja, której celem było odnalezienie i ochrona Mesjasza, według niej zbawcy ludzkości, zarazem uważała za właściwe zabijać ludzi, zabić jego. Musiał to wiedzieć, by zrozumieć sens śmierci Olivii.

Podszedł bliżej do Ezekiela i wyczuł raczej, niż zobaczył, że agenci uważniej celują w przywódcę Bractwa. Zaimponowało mu, jak szybko załatwili strażników. Dwóch na zewnątrz próbowało ostrzeliwać się z pistoletów, by trzeci miał czas zamknąć ukryte drzwi prowadzące do Wielkich Schodów. Atak był jednak zbyt szybki i zbyt zaciekły. Helikoptery nawet jeszcze nie wylądowały, a już agenci wysypywali się na ziemię. Trzej mężczyźni zostali obezwładnieni w kilka minut, ranni, ale żywi. Ze strażnikiem na dole było inaczej, bo oddział Karen nie wiedział, że był sam. Ale mężczyzna, nieświadom, że grota jest atakowana, szybko został pojmany. Carter, choć tylko świadek akcji, czuł wielki przyptyw adrenaliny, gdy biegł za komandosami do kryjówki Bractwa.

Teraz stał twarzą w twarz z człowiekiem, który nieodwracalnie zmienił jego życie.

- A więc myślisz, że Maria ożyje, tak? - spytał, mijając Święty Ogień blisko ołtarza.

Ezekiel nie odpowiedział, kulił się tylko za ołtarzem jak zapędzony do kąta szczur, a jego czarne oczy patrzyły z nieskrywaną nienawiścią.

- To był jej pomysł, prawda? - ciągnął Tom. - Myślała, że skoro udało jej się uratować dziewczynkę uczuloną na jad pszczoł, będzie mogła uratować też siebie. Prawda?

Zauważył, że Ezekiel zmrużył oczy, i zrozumiał, że trafił.

- Nie podchodź za blisko! - ostrzegła go z tyłu Karen.

- Dobrze. Chcę tylko zadać mu kilka pytań.

- Nie pali się! Będziesz miał mnóstwo czasu, żeby wypytać go później. Ale wtedy Ezekiel zareagował i Tom zrozumiał, że nie będzie już żadnego później. Z szybkością niespodziewaną u kogoś w tym wieku starzec

skoczył nagle w tył i chwycił za kół sterujący ze ściany, o który Tom pytał podczas swojej pierwszej wizyty, i zaczął obracać go zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

„Można by to nazwać ostatecznym zabezpieczeniem”, nie tak to wtedy powiedział? Jakim zabezpieczeniem? - zapytał sam siebie Tom, gramoląc się przez wysoki ołtarz, nieświadom, że blokuje linię strzału. Wiedział tylko, że musi powstrzymać Ezekiela.

W ciągu tych kilku sekund uświadomił sobie, choć niejasno, że coś dzieje się za jego plecami. Karen krzyczała, żeby się odsunął; Ezekieli wyrwał kół ze ściany i cisnął go na podłogę, a potem złapał zwłoki Marii pod ręce i przeciągnął je przez otwór do Krypty Pamięci.

Tom ruszył za nim, ale nagle jego uszy wypełnił straszliwy zgrzyt potężnych dźwigni i przekładni oraz jęk przesuwającej się nad nim ciężkiej skały.

Nie zauważył, jak Bernard wykorzystuje nagły ruch Ezekiela, wrywa pistolet najbliższemu agentowi FBI i rzuca się swojemu przywódcy na pomoc. Tom widział tylko Ezekiela. Musiał dopaść starca, zanim ten zdola wciągnąć Marię przez kamienne wrota i zatrzasnąć je za sobą. Pamiętał drabinę sznurową w starożytnym krypcie. Nie zamierzał pozwolić, by Ezekieli mu uciekł.

Skały przesunęły się z hukiem grzmotu, ale Tom, rzucając się na Ezekiela, słyszał tylko krzyk Karen:

- Uwważ, Tom! Za tobą!

I widział, że starzec spogląda na niego z ciałem Marii i woła:

- Zabij go, bracie Bernardzie! Zastrzel go!

Potem padły dwa strzały i Tom poczuł uderzenie w plecy. Zaparło mu dech w piersiach i rzuciło na Ezekiela. On, przywódca Bractwa, i ten, kto wylądował na nim, przetoczyli się przez kamienne drzwi razem z trupem Marii: wijący się kłęb ciał i machających wściekle kończyn. Tom spanikował. Kopał i wymachiwał rękami, rozpaczliwie próbując uciec od pacierkowatych oczu i wydętych ust, które widział tuż przy twarzy. Minęło dobrych pięć sekund, zanim zauważył krew na rękach i zrozumiał, że walczy z trupem; w plecach brata Bernarda ziała dziura po kuli.

Tom zrzucił z siebie martwy ciężar, przetoczył się i wpadł na zimne, sztywne ciało Marii. Nozdrza wypełnił mu smród śmierci, zapach olejków i ziół. Wzdrygnął się z obrzydzeniem, odsunął i podniósł na kolana. Ciężko dysząc, rozejrzał się i zorientował, że znajduje się w niewielkim pomieszczeniu między Świętą Grotą a Kryptą Pamięci. Ezekieli stał parę metrów

dalej, przy drugiej dźwigni, otwierającej wejście do krypty. W prawej dłoni trzymał sztylet; przedramię miał zakrwawione, pewnie trafiła go druga kula. Tom chciał rzucić się na niego, ale ledwie mógł się odezwać, a co dopiero się bić. Zachował więc dystans i próbował normalnie oddychać. Przez chwilę obaj mierzyli się wzrokiem. Nieruchome ciało Marii wyznaczało strefę niczyją między nimi.

Tom zastanawiał się, gdzie są Karen i inni agenci i dlaczego nie wbiegli tu za nim. Wtedy poczuł wibracje głazu, który zwałił się na podłogę groty przed przedsionkiem. Przysuwając się do wejścia, spojrzął na ołtarz i dalej. Agenci FBI, jordańscy żołnierze i członkowie Najwyższego Kręgu patrzyli w górę, na chwiejące się filary, i cofali się do wyjścia prowadzącego do Wielkich Schodów. Tylko Karen stała w miejscu, ale nawet ona nie spuszczała wzroku z przemieszczających się skał. Miriady świec i pochodni, które oświetlały groty, odpadały ze ścian jak spadające gwiazdy, rzucając złoty poblask w ponury półmrok, sprawiały, że biały płomień Świętego Ognia wydawał się płonąć jeszcze jaśniej. Kiedy Ezekiel wyciągnął kół ze ściany, musiał uwolnić tony skał i gładów, umieszczonych w górze bez wątpienia przez pierwszych inżynierów Bractwa, którzy chcieli dopilnować, by tajemnice ich groty miały zapewnioną ostateczną ochronę - całkowite zniszczenie.

- Karen! - krzyknął Tom przez ognisty półmrok, gorączkowo wymachując rękami. - Wynoś się stąd, zanim to wszystko się zawali! Szybko!

- A ty? - odrzyknęła.

Tom walczył ze sobą. Ezekiel otworzył już drzwi prowadzące w czerń krypty i przeciągał przez nie zwłoki Marii. Tom domyślał się, że krypta ze wszystkimi swoimi drogocennymi skarbami została przez inżynierów zaprojektowana tak, by przetrwać przewidywany Armagedon. Ale nie był tego pewny. Myśl, że Ezekiel miałby uciec, przyprawiała go o mdłości.

- Chodź, Tom! - krzyknęła Karen, cofając się do Wielkich Schodów.

Machnął jej ręką, wrzeszcząc najgłośniejszym głosem, jak pozwalały mu na to jego płuca i posiniaczone zębra.

- Nie martw się! Idę!

Wtedy zawalił się przed nim pierwszy filar; spadł na ołtarz. Tom nie widział już Karen i innych. Zniknęli w kłębach kurzu i odłamków skał. Przez chwilę tylko stał, w cudowny sposób nietknięty; zdał sobie sprawę, że jedyna droga ucieczki do Karen i Wielkich Schodów jest dla niego zamknięta. Widział, jak kawał filaru zsuwa się ze strzaskanego ołtarza i toczy po kamieniu z drugiej strony, zatykając otwór, w którym płonął Święty Ogień; teraz podziemne złoża gazu nie miały już ujścia.

Cofając się do stosunkowo bezpiecznego przedsionka, Tom przeszedł nad nieruchomym ciałem brata Bernarda w stronę Ezekiela, w chwili, kiedy starzec zniknął w czerni krypty z ciałem Marii. Wtedy drzwi zaczęły się zamykać.

Tom miał poobijane zebra i każdy ruch sprawiał mu ból. Mimo to skoczył w zatęchłą ciemność, zanim drzwi się zatrzasnęły. Żałował, że nie pamięta, gdzie jest włącznik światła; jedynym znakiem orientacyjnym był odgłos wleczzonego po podłodze ciała Marii.

Wyteżał słuch, ale słyszał tylko własny, urywany oddech i łoskot walących się skał za grubymi ścianami w Świętej Grocie. Macając dłońmi na lewo i prawo, próbował rozpoznać zapamiętane kształty: ukryta nisza zawierająca relikwie Chrystusa powinna znajdować się na drugim końcu krypty, dokładnie na wprost niego, a olbrzymi miecz, który tak podziwiał, po lewej stronie. Gdyby udało mu się do niego dotrzeć - choć miecz był ciężki - miałby przynajmniej jakąś broń. Trzymając się półek, ruszył wzdłuż ściany krypty, najciszej jak mógł, na oślep wyciągając pergaminy, pudełka i metalowe przedmioty. Kiedy dotarł do przerwy w regałach, sięgnął do ściany, o którą powinien opierać się miecz. Szukające palce napotkały jedynie szorstką, suchą skałę. Cholera! Gdzie on jest?

W tym momencie pod stopami poczuł pierwszy wstrząs. Nie była to taka sama wibrująca fala uderzeniowa, jaką wywoływały spadające głazy. Przypominało to raczej coś, co ukryte pod skałą, próbowało uciec. Dookoła opadał kurz i sypały się śmieci, a przedmioty na półkach grzechotały jak obluźwane zęby w sztucznej szczęce. Tom poleciał do przodu, na ścianę, i uderzył kolaniem o coś stalowego. Miecz.

Sięgnął w dół i dotknął jego rękojeści, gdy nastąpił drugi, potężny wstrząs. Oczywiście, pomyślał Tom, gaz; to musi być gaz, zasilający Święty Ogień. Pozbawiony zaworu bezpieczeństwa, szukał nowego ujścia, jakiegoś słabego punktu w skale, przez który mógłby uwolnić narastające ciśnienie. W grocie na zewnątrz spadło już tyle głazów, że gaz wkrótce musiał znaleźć ten słaby punkt. Tom zastanawiał się jednak, czy starożytni inżynierowie Bractwa, kiedy projektowali beczenną Kryptę Pamięci, w swoich obliczeniach nie wzięli pod uwagę ciśnienia gazu.

Podniósł miecz z ziemi i odwrócił się plecami do ściany, starając się oddychać jak najciszej. Miał już broń. Zakładając więc, że inżynierowie wiedzieli, co robią, powinien być stosunkowo bezpieczny w czarnym, skalnym łonie.

Nagle poczuł dłoń na ramieniu i cuchnący oddech na twarzy. Przez jedną przerażającą, irracjonalną sekundę pomyślał, że to może być Maria, powstała z martwych.

Odwrócił się, unosząc ostrze olbrzymiego miecza na wysokość pasa, i poczuł, że w coś uderzył; usłyszał jęk bólu. Oparł się o ścianę, by lepiej zrównoważyć ciężar broni, i przycisnął klingę do kogoś, kto trzymał go za ramię.

Nagle znów poczuł kwaśny oddech, tym razem jednak towarzyszył mu chłód ostrza na szyi. Kiedy przekrzywiając miecz, skierował czubek w niewidocznego napastnika, ściany krypty zadygotały od trzeciego wstrząsu, a potem czwartego i piątego.

- To chyba pat, doktorze Carter - prychnął w ciemności Ezekiel; jego niewidoczna twarz była oddalona ledwie o centymetry. - Ciekaw jestem, czy pana przyjaciele uciekli. Wątpię.

- Jeśli tak, to wrócą tu i będzie się pan mógł pożegnać ze swoim tajemnym Bractwem. A pana drogocenny Najwyższy Krąg? A jeśli ich też pan zabił?

Cichy śmiech w ciemności.

- Nie są niezastąpieni. Nikt z nas nie jest. Co do Bractwa, kiedy tylko Maria się obudzi, jego cel zostanie osiągnięty. Nadejdzie Sąd Ostateczny i wszystko się skończy. Bracia zostaną zbawieni, bo znaleźliśmy Nowego Mesjasza na czas.

- Ale ona nie żyje - powiedział Tom. - Znów się spóźniliście.

Sztylet wbił się w jego ciało, po szyi pociekła ciepła krew.

- Będzie wskrzeszona - odparł Ezekiel głosem zduszonym z nienawiści.
- Ma moc.

- Nie, nie ma. Nie tak działają geny.

Pogardliwy śmiech.

- Kłamca. Jako dziecko czyniła cuda. Wyleczyła mój wrzód. Ma moc.

- Nie, nie działa na nią. Powiedziałem to Marii w dzień egzekucji. A po jej reakcji sędzę, że mi uwierzyła.

Sztylet wbił się głębiej, a Tom nie mógł się bronić. Próbował odepchnąć Ezekiela mieczem, ale broń była zbyt ciężka. Musiał jakoś odwrócić jego uwagę. Pozwalając, by napór ciała starca utrzymywał ciężar miecza, Tom puścił rękojeść i sięgnął do zranionej ręki Ezekiela, tam, gdzie trafiła go druga kula.

- Wiem, jak działają geny- powiedział cicho w mroku - bo użyłem ich, żeby uratować moją córkę.

Łagodnie położył dłoń na ramieniu starca, szukając rany.

- Wstrzyknąłem sobie geny Chrystusa, a więc teraz i ja je mam.

Ezekiel próbował się odsunąć, kiedy tylko Tom go dotknął, ale naukowiec ścisnął jego ramię uchwytem o sile imadła. Z wypływającą energią pod Tomem niemal ugięły się nogi, a mięśnie zakłuły go jak rozciągane, ale czuł, że sztylet Ezekiela drży przy jego szyi. Wiedział, że starzec czuje wypełniającą go uzdrowicielską moc.

Potem Tom zatoczył się na ścianę, a gdy rozluźnił uścisk, Ezekiel się odsunął. Ciężki miecz opadł w rękę Toma, krzesząc iskry na kamiennej podłodze. Kilka sekund później rozległo się pstryknięcie włącznika i kryptę zalało ostre światło. Tom odwrócił się, mrużąc oczy, i zobaczył Ezekiela przy wejściu. Starzec stał z szeroko rozstawionymi nogami nad ciałem Marii. Jego twarz była blada, a w ciemnych oczach oprócz nienawiści pojawił się strach.

- Maria miała rację - powiedział. - Pan jest złem i nigdy nie powinienem być się z panem układać. Należało pozwolić jej pana zabić.

Boże, jak on miał tego dość.

- Próbowwała. Pamięta pan? Dwa razy. Ale to nie ja jestem złem. Ja tylko próbowałem ratować życie.

Ezekiel prychnął.

- Występując przeciwko naturalnemu porządkowi! Sprzeciwiając się Bogu!

- Nie ma Boga. Nie ma naturalnego porządku. Gdyby istniał, te geny nie byłyby takie rzadkie.

Ezekiel wybuchnął głośnym, maniackim śmiechem bez wesołości.

- Wciąż pan nie rozumie, prawda? - krzyknął. - Wciąż pan nie wie, dlaczego musieliśmy pana zabić i chcieliśmy tego nawet bardziej niż zabijać handlarzy złem, których usuwaliśmy: handlarzy bronią, dealerów narkotykowych i sprzedawców porno. Byli słabi i tylko zatruwali świat, w którym żyjemy. A pana zła genetyka grozi jego całkowitą zmianą! Nawet teraz, kiedy użył pan w jakiś sposób swojej diabolicznej technologii, gdy przywłaszczył pan sobie geny Boga, wciąż pan nie rozumie, jaki jest pan niebezpieczny.

Kolejny wstrząs, jeszcze silniejszy niż poprzednie, zakołysał ziemią, a z dołu dobiegł jęk pękającej skały. Ale Ezekiel go zignorował.

- Ma pan olbrzymią wiedzę, doktorze Carter, niektórzy nazywają pana geniuszem. Lecz trzeba czegoś więcej niż wiedzy, żeby być Bogiem. Trzeba posiadać mądrość. Powiedział pan, że gdyby Bóg istniał, te geny

nie byłyby takie rzadkie. To nieprawda. Niech pan sobie wyobrazi świat, w którym posiadają je wszyscy. Świat, w którym każdy może uzdrawiać każdego i nikt nie umiera na naturalne choroby. Niech pan sobie wyobrazi świat bez żadnych konsekwencji naszych czynów. Świat o tak olbrzymiej populacji, że zamiast raju na ziemi stworzylibyśmy piekło. Brak przestrzeni życiowej. Brak żywności. Brak szacunku dla życia i śmierci, a na pewno dla Boga. Tylko zatłoczona pustynia zagubionych dusz, pewnych wyłączenie jednego: długiego życia w cierpieniu.

Wciąż ściskając sztylet, Ezekiel opadł na kamienną posadzkę obok Marii i wciągnął jej ciało na swoje kolana. Pozostawał obojętny na coraz częstsze grzmoty pod stopami. Tom spojrział w lewo i spostrzegł drabinkę sznurową, zwisającą ze szczeliny w kamiennym sklepieniu. Zaczął przesuwając się w jej stronę.

- Niech mi pan powie, doktorze Carter! - ciągnął Ezekiel. - Czy chęć ocalenia córki, jednego, nic nieznaczącego człowieka w morzu ludzkości, daje panu prawo bawić się w Boga? Czy daje panu prawo ryzykować stworzenia piekła na ziemi? Jej przeznaczeniem była śmierć i powinna była umrzeć. Nie miał pan prawa wykorzystywać swojej inteligencji i zasobów, by to zmienić. I dotyczy to wszystkich, których uratował pan swoją genetyką, jeszcze zanim powstał projekt „Kana”.

Ezekiel przerwał, jakby się zmęczył.

Tom nie próbował mu odpowiadać. Nie było czasu. Upuścił ciężki miecz, chwycił rozkołysaną drabinkę i podciągnął się w górę. Gniew wyparował. Nie czuł zupełnie nic, patrząc na zgarbioną postać z trupem na kolanach w groteskowej parodii piety. Może trochę żalu nad błądzącym, załamany, starym człowiekiem.

Dotarł do piątego szczebla drabiny w połowie otworu, kiedy usłyszał pierwszy trzask i syk gazu, przebijającego kamienną podłogę w dole.

Spojrział w górę, ale nad sobą widział tylko ciemność. Czas naglił. Zaciśnął zęby i ruszył dalej. Rozbolała go ręka przebita przez Marię i noga zraniona w Sztokholmie. Na każdym kolejnym szczeblu obijał łokcie o szorstkie, kamienne ściany szczeliny, siniacząc i rozcinając ciało. Ale najgorszy ból pochodził z wyciągniętych mięśni i stawów. Każdy muskuł płonął od wysiłku, kiedy Tom piął się wyżej i wyżej.

Zamiast cichnąć, łoskoty dobiegające z dołu stawały się coraz głośniejsze.

W końcu błysk światła wysoko w górze. Oby tylko dał radę.

Nagle rozległ się huk ogłuszającej eksplozji. Chwilę później szybem wystrzeliła fala gorącego powietrza z siłą, która oderwała go od drabinki,

i pchnęła w górę; uderzał głową o kamienne ściany po obu stronach. Całe jego ciało przeszywał ból, każde zakończenie nerwowe płonęło żywym ogniem.

A potem litościwie ból ustał i nie było już nic.

Kilka chwil wcześniej Ezekiel De La Croix siedział i patrzył, jak doktor Carter znika na drabince. Mimo ponaglającego huku pękających skał starzec czuł znużony spokój. Naukowiec może uciec, ale kiedy Nowy Mesjasz się obudzi, cały ten koszmar przestanie mieć znaczenie. Gdy Maria przesunie dłońmi przez Święty Ogień, nadejdzie Dzień Sądu i wszyscy bezbożnicy, nie tylko doktor Carter, zostaną ukarani. Ale on, Ezekiel, jako przywódca sprawiedliwych będzie ocalony.

Przesunął Marię na kolanach i, obolały i wyczerpany, usiadł wygodniej. Spojrzał na jej bladą, spokojną twarz, pragnąc z całych sił, by te niezwykle oczy się otworzyły. Głaszcząc zimne czoło, przypomniał sobie pierwszy raz, kiedy ją zobaczył. Była wtedy tak delikatna, tak poraniona przez życie, tak nieświadoma swojego przeznaczenia.

Obejrzał swoje ramię i się zdumiał: rana zniknęła. Doktor Carter może potrafił w nienaturalny sposób ukraść geny Chrystusa, ale kłamał co do Marii. Maria urodziła się z nimi, były jej dziedzictwem. Mimo tego, co mówił ten ateista, miała się obudzić. Ezekiel był o tym przekonany.

Nagły trzask skały po prawej stronie i ryczący syk sprawiły, że przerażony odwrócił głowę. Ujrzał przed sobą otwierającą się w podłodze szczelinę. Zaczynała się pod ścianą, w której przechowywano ząb i gwóźdź Chrystusa, i przesuwała się po kamiennej podłodze ku niemu jak po wyznaczonej trasie.

- Jeszcze nie! - wrzasnął, patrząc, jak szpara wydłuża się niczym cień olbrzymiego, oskarżycielsko wymierzonego palca. Potrząsnął Marią. - Obudź się! - krzyknął. - Obudź się!

Potem zepchnął ją z siebie i podniósł się z trudem.

- Nie mogę umrzeć! - zawył; jego ciałem wstrząsała śmiertelna groza.

- Nie jestem gotów, my nie jesteśmy gotowi!

Kiedy czubek cienistego palca znalazł się między jego stopami, Ezekiel usłyszał pod sobą eksplozję, zapłon wściekłości z wnętrza ziemi. A potem ze szczeliny strzeliła ściana ryczących płomieni, pionowe ostrze czystej bieli, zdające się sięgać samego nieba. I nawet ogarnięty grozą i cierpieniem Ezekiel pomyślał, że biały płomień, który właśnie go pożerał, był najpiękniejszą rzeczą, jaką widział przez całe życie.

Siedziba GENIUS-a, Boston

Cztery tygodnie później zabytkowy czerwony mercedes wjechał na opustoszały podziemny parking GENIUS-a i skręcił w stronę miejsca numer jeden. Zahamował gwałtownie, kiedy zaskoczony kierowca zobaczył, że jest już zajęte przez kabriolet bmw w kolorze zielony metalik.

Tom Carter spojrzął na swoją twarz we wstecznym lusterku. Powierzchnowe oparzenia już się wygoiły, a delikatna skóra pod nimi straciła różową barwę. „Firmy kosmetyczne policzyłyby ci fortunę za taki peeling”, żartowała Jasmine ostatniego dnia jego pobytu w szpitalu przed trzema tygodniami. Wiedział, że miał niezwykle szczęście. Według ludzi Karen gdyby szyb odrobinę ostrzej zakręcał, wybuch gazu rozpląszczyłby Toma na jego ścianach jak „oposa na autostradzie”. Tymczasem Tom został wyrzucony obok najmniejszej z pięciu skał i wylądował, nieprzytomny, lecz cały, na litościwie miękkiej wydmie. Krótki jęzor białego ognia, który temu towarzyszył, zaalarmował oddział Karen. W cudowny sposób tylko jeden agent FBI i dwaj jordańscy żołnierze zostali ranni. Oprócz Ezekiela i Bernarda zginął jedynie brat Helix. Zgubił się w zamieszaniu, a teraz spoczywał pogrzebany pod tonami skał.

Nie było dla nikogo zaskoczeniem, że pozostali członkowie Bractwa nic nie powiedzieli FBI. Ale policja miała przynajmniej Gomorę, a Tom powtórzył Karen wyznanie Ezekiela. Wciąż było niejasne, co można lub nie można udowodnić ocalałym członkom Najwyższego Kręgu, ale we-

dług Karen nie byli już dla Toma zagrożeniem. Co do reszty Bractwa, jego członków ani aktywów nie dało się zidentyfikować, a co dopiero zlokalizować. Nic nie wskazywało jednak na to, by wiedzieli o morderstwach. Toma nie obchodził los braci tak długo, jak długo zostawiali go w spokoju.

Wysiadł z samochodu i zamknął za sobą drzwi. W ciągu ostatnich trzech tygodni, po tym, jak miał czas przemyśleć wszystko w szpitalu, obleciał cały świat przynajmniej cztery razy. Ale było warto. Prawie wszyscy, z którymi rozmawiał, w końcu przystali na jego plan. Co więcej, ich reakcja upewniła go, że podjął właściwą decyzję. Po dzisiejszym spotkaniu jednak zdecydowanie zamierzał wziąć urlop. Tylko Holly, on i trochę słońca.

Przeszedł przez ciche atrium i przywitał dwóch nowych strażników. Słońce ledwie wstało, ale i tak rozkoszował się przestrzenią i światłem piramidy. Czuł się tu wolny, bez barier, które by go ograniczały. Przeszedł przez wyświetlany na środku atrium hologram DNA i skierował się na oddział szpitalny. Miał nadzieję, że znajdzie tam potwierdzenie swojego wyboru.

Wśliznął się na cichy oddział i pomachał do dyżurnej pielęgniarki za biurkiem. Tylko mała żarówka nad jej głową rozświetlała senny półmrok. Tom ledwie rozróżniał sylwetki siedmiorga śpiących pacjentów. Bezgłośnie jak duch przeszedł od łóżka do łóżka, patrząc na ich twarze, widząc człowieka za każdą parą zamkniętych oczu. Wiedział, że eksperymentalna terapia dostępna w GENIUS-ie w najlepszym przypadku ocali troje z nich, może znacząco wydłuży życie jeszcze jednego. Ale troje czekała pewna śmierć.

Chyba że on by ich uzdrowił.

W ciemności spojrzał na swoje ręce i usłyszał w głowie słowa Ezekiela:

...Świat, w którym każdy może uzdrawiać każdego i nikt nie umiera na naturalne choroby. Niech pan sobie wyobrazi świat bez żadnych konsekwencji naszych czynów. Świat o tak olbrzymiej populacji, że zamiast rajów na ziemi stworzylibyśmy piekło. Brak przestrzeni życiowej. Brak żywności. Brak szacunku dla życia i śmierci, a na pewno dla Boga. Tylko zatłoczona pustynia zagubionych dusz, pewnych wyłącznie jednego: długiego życia w cierpieniu.

Może starzec miał rację? - pomyślał Tom. Może trójka tych nieszczęśników powinna umrzeć? Kim był, by to zmieniać? Nie mógł bawić się w Boga i decydować, kto ma żyć, a kto nie. Ale potem odezwał się w nim lekarz, świadomy, że jeśli potrafi ratować swoich pacjentów, to musi to robić.

Tom wyobraził sobie, że każda z tych śpiących osób to Holly i że on jest ich ojcem, mężem albo synem. Zrozumiał, że w przypadku tych siedmiorga pacjentów nie miał wyboru. Kiedy jednak znów zaczął chodzić między łózkami, dotykając to dłoni, to czoła, czując, jak czerpią energię z jego ciała, wciąż czuł się nieswojo. To było łatwe. Pomyślał o wieczornym spotkaniu; miał nadzieję, że właściwie odpowiedział na pytanie zasadnicze, że podjął właściwą ogólną decyzję.

Odszedł od ostatniego pacjenta i pomachał pielęgniarce, zastanawiając się, jaka będzie jej reakcja za kilka godzin, kiedy jej śpiący podopieczni obudzą się wypoczęci i zdrowi.

Opuścił oddział, wsiadł do windy i pojechał prosto na pierwsze piętro. Przechodząc przez główną salę laboratorium Mendla, otworzył drzwi laboratorium Cricka. Jasmine, z dietetyczną colą w ręku, ślęczała nad stertą papierów.

Spojrzała na niego, a jej twarz rozjaśniła radość.

- Witaj, nieznajomy. Jak się masz? Jak poszła twoja tajemnicza podróż?

- Dobrze. Co tu robisz tak wcześnie?

Uśmiechnęła się i poklepała stos dokumentów na biurku.

- Od momentu twojego sukcesu z Holly Jack i ja pisaliśmy pierwsze wnioski opatentowania twojej surowicy. Oraz, oczywiście, to. - Podniosła z biurka zadrukowany formularz, wymachując nim jak trofeum. - Wniosek FDA, więc możemy zacząć testy kliniczne. Jack już go podpisał. Potrzebujemy tylko twojego podpisu i zgody.

Jej entuzjizm trochę go zaniepokoił. Tom zdjął marynarkę i powiesił ją na wieszaku przy drzwiach. Podeszedł do przeszklonej chłodziarki na końcu laboratorium i zaglądając do środka, przeliczył fiołki na tacce podpisanej SUROWICA TRÓJKA - GENY NAZARET. Dobrze, pomyślał, chyba nikt ich nie ruszał przez miesiąc, kiedy go tu nie było. Po testach na myszach zostało ich trzynaście, jedną zastosował na sobie. Było ich teraz dwanaście, tylko dwanaście.

- Co się stało z twoim zdrowym sceptycyzmem, Jazz? - spytał, podchodząc do szuflady, w której trzymali naklejki. Otworzył opakowanie i sprawdził, czy jest ich dość. - I z twoimi obawami religijnymi? Teraz, kiedy Holly jest bezpieczna, myślałem, że będziesz chciała porzucić „Kanę” i wrócić do bardziej konwencjonalnych rzeczy.

Jasmine się zawahała.

- Dużo o tym myślałam i uważam, że to nie dzięki tym genom Chrystus był Synem Bożym. O jego boskości stanowiło to, jak ich używał, czego

nas nauczył i jak za nas umarł. Geny Nazaret są największym odkryciem w historii medycyny, prawdziwym darem od Boga, i jako takich trzeba ich używać. Pomyśl tylko, ile dobrego moglibyśmy zrobić, gdybyśmy dostali już zgodę FDA i wypuścili je na rynek; zaczęli masową produkcję...

- Nie rozpędzaj się, Jazz. Nie postanowiliśmy jeszcze, czy powinniśmy opracowywać Geny Nazaret do szerszej dystrybucji. Zakładasz, że to dobry pomysł.

- Oczywiście, że dobry. Dlaczego miałby być niedobry?

Tom podszedł do szafki z zapasowymi strzykawkami. Szybko przeliczył je i skinął głową, upewniwszy się, że ich również wystarczy. Mógł zebrać wszystko po cichu, bez hałasu i składania zapotrzebowań.

- Mówię tylko, Jazz, że powinniśmy to bardzo dokładnie przemyśleć.

Jasmine nie wierzyła własnym uszom. Ten człowiek zawsze twierdził, że jedynym wyznacznikiem tego, co wolno robić, jest to, co się robić potrafi. Ni mniej, ni więcej. To on zainspirował ją do pomocy przy wynalezieniu fantastycznego superkomputera, zdolnego odczytywać DNA tak samo skutecznie, jak czytnik w sklepowej kasie odczytuje kod paskowy na puszcze fasolki. I to on przekonał ją, żeby mu zaufała i odrzuciła swoje religijne obawy, by odnaleźć i wykorzystać geny Chrystusa do uratowania jej chrestnej córki. A teraz nagle, kiedy odnieśli sukces wykraczający poza ich najśmielsze marzenia, mówił: „Nie rozpędzaj się, Jazz!”, i bał się, że przesadzi.

- Co się stało, Tom? - spytała, krzyżując ramiona na piersi. - Posiadasz niesamowitą moc dosłownie w zasięgu ręki. Ale mamy zaledwie nędzne dwanaście fiolek. Musimy zrobić tego więcej, sklonować geny i przekazać je innym. Musimy rozprzestrzenić moc uzdrawiania. Tylko tak wolno nam postąpić.

- Ale komu mamy ją dać? - spytał cicho Tom. - Czy, jak wolałby Jack, komu mamy ją sprzedać? Tylko tym, których na to stać?

- Tu nie chodzi o pieniądze - zaprotestowała Jasmine ze zgrozą.

- Zgoda, nie powinno o nie chodzić. Ale nawet jeśli pominiemy czynnik chciwości, musisz zdać sobie sprawę z implikacji gospodarczych. Na początek udostępnienie surowicy doprowadzi do bankructwa wszystkich większych firm farmaceutycznych na świecie, co z kolei może okaleczyć całe branże, jeśli nie gospodarkę. Zakładając jednak, że potrafilibyśmy kontrolować reperkusje finansowe, komu dałabyś geny?

- No, w końcu wszystkim, mam nadzieję.

- Wszystkim? A więc stworzylibyśmy świat, w którym każdy może uzdrowić każdego i nikt nie umiera z przyczyn naturalnych?

Jasmine zmarszczyła brwi, nie wiedząc, do czego Tom zmierza.

- Tak, dlaczego nie?

- Stworzylibyśmy świat o tak olbrzymiej populacji, że zamiast stać się rajem na ziemi, stałby się piekłem. Brak przestrzeni życiowej. Brak żywności. Brak szacunku dla życia i śmierci.

Jasmine niepokoiła się coraz bardziej. Tom zdawał się wpatrywać w dal, jakby recytował słowa przeczytane gdzieś albo od kogoś usłyszane.

- No, może nie powinniśmy dawać ich wszystkim - ustąpiła, dostrzegając oczywiste niebezpieczeństwa. - Tylko niektórym.

- Komu?

- Nie wiem. - I naprawdę nie wiedziała. Nie zastanawiała się dotąd nad negatywnymi konsekwencjami. - Chyba ludziom, którzy mogliby zdziałać najwięcej dobrego. Na przykład w krajach Trzeciego Świata.

- Dlaczego? Bo mogliby tam uratować najwięcej chorych? Tysiące, może miliony?

- Chyba tak.

- Tym samym ludziom, którzy nie mają w tej chwili dość jedzenia, by wyżywić obecną populację? Wiesz, że wypadki, morderstwa i samobójstwa stanowią zaledwie pięć procent wszystkich zgonów? Ta surowica usunęłaby wszelkie inne przyczyny, w tym samo starzenie. Wiesz, o ile wydłużyłoby to średnią długość życia?

- Nie, tak z głowy ci nie powiem.

- To ja ci powiem. Przy obecnym zaludnieniu średnia wieku, w którym mielibyśmy wypadek, zostali zamordowani albo popełnili samobójstwo, wynosiłaby około sześciuset lat. Niektórych z nas mógłby przejechać autobus w dniu narodzin, ale inni żyliby wiecznie. Pomyśl tylko. Średnia długość życia sześćset lat.

Jasmine z frustracją pokręciła głową, próbując ogarnąć te fakty. Tom miał oczywiście rację. To nie było takie proste, jak się jej zdawało. Spojrzała na formularze wniosków FDA i urzędu patentowego; formularze, które miały wypuścić ten potężny, sekretny dar na niczego niepodejrzewających ludzi. Dwukrotnie już myślała, że zna odpowiedź, i chciała się nią głośno podzielić, ale za każdym razem przychodziła jej do głowy jakaś przeszkoda, i słowa więzły jej w gardle.

W końcu odwróciła się, przygnębiona, i spojrzała na Toma; stał w milczeniu przy chłodziarce i patrzył na fiolki z surowicą. Najwyraźniej zadał już sobie te wszystkie pytania i doszedł do jakiegoś wniosku. Wniosku, który prawdopodobnie wyjaśniał, dlaczego trzy tygodnie temu, wciąż jesz-

cze nie w pełni odzyskawszy siły, wyskoczył ze swojego szpitalnego łóżka i poleciał samolotem nie wiadomo gdzie i wrócił dopiero przed dwoma dniami. Czasami geniusz Toma naprawdę wytrącał Jasmine z równowagi. I tak właśnie było teraz.

- No i? - spytała w końcu. - Zakładam, że według ciebie powinniśmy coś zrobić z tymi genami, prawda?

- Oczywiście - przytaknął spokojnie.

- Ale nie uważasz, że powinniśmy zalać nimi świat?

Pokręcił głową.

- Nie, dopóki nie poznamy wszystkich konsekwencji. Na dłuższą metę mogłyby zrobić więcej złego niż dobrego.

- To do ciebie niepodobne martwić się o zburzenie naturalnego porządku.

Lekko wzruszył ramionami.

- Być może się myliłem. Być może jest w tym szaleństwie jakaś metoda.

Jasmine nie mogła uwierzyć, że to mówi Tom Carter.

- Chodzi ci o Boga?

Zaśmiał się sucho.

- Raczej nie, ale może Matka Natura nie jest tak arbitralna, jak myślałem.

Jasmine zabębniła palcami o blat biurka.

- A więc, maestro, co, do cholery, powinniśmy zrobić z tymi genami? Zniszczyć je? Udać, że nigdy ich nie znaleźliśmy?

Tom znów wzruszył ramionami.

- To jakieś wyjście.

- Tom, ja żartowałam. Chyba nie uważasz naprawdę, że w ogóle nie powinniśmy ich używać?

Uśmiechnął się do niej, a w jego niebieskich oczach zabłyśła iskierka podniecenia.

- Naprawdę chcesz wiedzieć, co według mnie powinniśmy z nimi zrobić?

- Tak.

- To przyjedź tu dzisiaj o północy, pokażę ci.

O dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt sześć było zupełnie ciemno, gdy Jasmine zatrzymała samochód pod zamkniętą bramą kampusu GENIUS-a. Zajrzała do ciemnej stróżówki, ale budynek był pusty. Miała już wysiąść i otworzyć bramę za pomocą czytnika DNA, kiedy ta niespodziewanie otworzyła się sama.

Jasmine ruszyła i w świetle pełnego księżyca pojechała w stronę piramidy. Zatrzymując się pod głównym wejściem, zadrżała w ciepłym nocnym powietrzu. W dole czarnej, szklanej piramidy nie paliły się żadne światła, tylko matowy blask rozpraszał mrok w atrium; świeciło się natomiast na piętrze, gdzie znajdowały się laboratorium Cricka i sala konferencyjna.

- Dziwne - szepnęła do siebie, jakby ktoś mógł ją usłyszeć. Wyszła z pracy wcześniej, kiedy zrozumiała, że nic już z Toma nie wyciągnie. Chcąc zająć sobie czymś czas, pograżyła się w codziennych obowiązkach. Wciąż jednak myślała o genach i odpowiedzi Toma na jej sarkastyczną uwagę, że można je zniszczyć. „To jakieś wyjście”.

Co, u diabła, zamierzał jej pokazać? Jedno tylko przychodziło jej do głowy; on chce zniszczyć dwanaście pozostałych fiolek surowicy w sterylizującym autoklawie. Burzyła się na samą myśl o tym i przez cały dzień, a potem wieczór zastanawiała się, jak najlepiej wykorzystać geny, nie nadużywając ich. Problem był jednak o wiele trudniejszy niż wszystkie cyberwyzwania, jakim stawiała czoła, i jak dotąd wynikiem tych rozmyślań było wielkie, okrągłe zero.

Otworzyła drzwi samochodu i usłyszała chrzęst własnych kroków na żwirze. Główne wejście było otwarte; weszła do słabo oświetlonego, pustego atrium. Hologram DNA wił się w półmroku jak upiorne węże. Przez niego zobaczyła, że drzwi na oddział szpitalny też są otwarte. Słyszając jedynie stukot własnych obcasów na marmurowej posadzce, podeszła do nich. W środku było ciemno, nacisnęła więc włącznik przy drzwiach i światło zalało poczekalnię. Na oddziale też panował mrok. Nie paliła się nawet lampka dyżurnej pielęgniarki. Nic.

Kiedy jej oczy przywykły do ciemności, zaczęła wypatrywać kształtów pacjentów w łóżkach. Ale nikogo tu nie było. Wszystkie łóżka posłano. Na materacach leżały równe stosiki koców i po dwie poduszki. Jasmine poczuła, że serce zaczyna bić jej szybciej; odwróciła się i wyszła z powrotem do atrium. Kiedy wychodziła stąd tego popołudnia, zauważyła jakieś poruszenie na oddziale, ale nie zwróciła na nie większej uwagi. Wiedziała jednak, że przynajmniej siedem łóżek zajmują poważnie chorzy pacjenci.

Była tak spięta, że na cichy szum otwierających się dwa metry od niej drzwi windy aż podskoczyła. A kiedy zobaczyła w niej Toma, tak jej ulżyło, że miała ochotę go uściskać.

- Dzięki, że przyjechałaś - powiedział ciepło, jakby urządzał spotkanie nie bardziej niezwykle niż niedzielny grill.

- Co się dzieje, Tom? Gdzie są strażnicy?

Wzruszył ramionami.

- Chciałem zachować to między nami.
- A pacjenci?

Uśmiechnął się i zaprosił ją do windy, po czym wybrał poziom laboratorium Mendla.

- Oficjalna wersja jest taka, że wszyscy zareagowali bardzo pomyślnie na terapię. A ja nie zamierzam temu zaprzeczać. Dwoje już pojechało do domów, a pozostali są teraz w Massachusetts General, przechodzą obserwację i testy. Ale jestem pewny, że ich też niedługo wypuszczą.

- Ty ich uzdrowiłeś?

Uśmiechnął się i przytaknął.

- Ale nigdy się do tego nie przyznam. To bardzo ważne, by nikt nie wiedział, że mam dar. Rano trochę mnie poniosło, ale w przyszłości zamierzam być mniej ostentacyjny.

- To właśnie chciałeś mi pokazać?

Winda stanęła i drzwi się otworzyły.

Tom pokręcił głową.

- Nie. To mój osobisty sposób radzenia sobie z tymi genami. Ukryłem lek pod przykrywką konwencjonalnej terapii.

- A geny w ogóle? Co z pozostałymi fiołkami?

Tom skrzył do drzwi laboratorium Mendla.

- Chodź - powiedział.

Położył dłoń na czytniku DNA, a gdy drzwi się otworzyły, zaczął mówić:

- Pomyśl tylko przez chwilę, jak działa surowica. Wektor wirusowy jest zaprojektowany tak, by umieszczać Geny Nazaret w komórkach macierzystych. To oznacza, że ich nosiciel będzie miał zdolność uzdrawiania przez całe swoje naturalne życie. Ale nie może przekazać tego nikomu. A ponieważ genów nie umieszcza się w komórkach płciowych, nie dziedziczą ich dzieci. Dar umiera wraz z posiadaczem.

Jasmine weszła za Tomem przez drzwi i zamrugła, kiedy czujniki włączyły wolframowe żarówki. W ich świetle ukazała się duża zamrażarka i lśniąca bielą i szkłem przestrzeń głównego laboratorium.

Zmarszczyła czoło.

- Ale dar nie umarłby z nimi, gdyby posiadali technologię umożliwiającą sklonowanie ich Genów Nazaret albo gdyby sklonował je ktoś inny, kto by ją miał, za ich zgodą albo bez niej.

Tom kiwnął głową. Najwyraźniej już o tym pomyślał.

- Tak, masz rację. Żeby kontrolować rozprzestrzenianie się cudownego szczepu, musimy się upewnić, że każdy, kto posiada geny Chrystusa, jest godny zaufania i że fakt ich posiadania zachowuje w tajemnicy.

Idąc za Tomem przez widmowo puste laboratorium, Jasmine próbowała odgadnąć, dokąd on ją prowadzi, zarówno w rozumieniu tego, co mówił, jak i celu, do którego zmierzali.

- Nosiciele genów musieliby także być bardzo odpowiedzialni - powiedziała - w przeciwnym razie mogliby nadużyć swojej mocy. Powinni z niej korzystać tylko wtedy, kiedy byłoby to całkowicie konieczne, i nigdy nikomu o tym nie mówić.

- Ani brać za to pieniędzy - dodał Tom. - To by było najgorsze nadużycie.

- Powiedz to Jackowi.

Parsknął śmiechem.

- Och, Jack jest w porządku. Zrozumiąłby.

Jasmine skręciła za nim za róg i weszli do laboratorium Cricka. W środku paliło się światło, a gdy zajrzała do chłodziarki, zobaczyła, że tacka z dwunastoma fiolkami zniknęła. Już je zniszczył, pomyślała.

Gdy zbliżyli się do szklanej ściany sali konferencyjnej, wydało jej się, że słyszy głosy. Spojrzała na Toma, chcąc zapytać, co się dzieje, ale on tylko się uśmiechnął i przyłożył palec do ust.

- Nie martw się - powiedział. - Niedługo wszystko się wyjaśni.

Głosy były teraz bardziej słyszalne; mówiły cicho, ale podnieconym tonem. Przeważnie po angielsku, ale z najrozmaitszymi akcentami, od indyjskiego przez australijski, rosyjski i japoński po francuski. Co, do diabła, Tom zamierzał?

A potem Jasmine zobaczyła ich przez matowe szkło sali konferencyjnej. Wokół stołu kręciło się chyba z dziesięcioro kobiet i mężczyzn. Częstowali się kawą i przekąskami z wózka na drugim końcu sali.

- Kto to? - spytała.

- Przyjrzyj się. Na pewno niektórych poznasz.

Wskazał niskiego, ciemnowłosego mężczyznę o dużych, smutnych oczach, prowadzącego ożywioną dyskusję z wysoką Hinduską w sari.

- To Jean Luc Petit, doktor, który podsunął mi pomysł „Kany”. To dobry człowiek, wyjątkowo odpowiedzialny, by użyć twojego określenia. Kobieta, z którą rozmawia, to doktor Mitra Mukerdzi z Kalkuty. Poznałaś ją w zeszłym roku na seminarium o raku, które tam organizowaliśmy. Pamiętaj! Polubiłaś ją. Powiedziałaś, że to porządna kobieta.

Jasmine wolno pokiwała głową, wciąż nie do końca rozumiejąc, co widzi, ale tak, większość z nich już poznawała. Niektórzy byli sławni: doktor Joshua Matwatwe, pionier leczenia AIDS z Nairobi; doktor Frank Hollins, specjalista chorób serca z Sydney; profesor Siergiej Pasternak, rosyjski wirusolog. Inni byli po prostu dobrymi lekarzami i pielęgniarkami, Carter cenił ich wysoko ze względu na poświęcenie i umiejętności.

Jasmine miała już zapytać Toma, co oni wszyscy tu robią, kiedy nagle zauważyła, że wokół stołu jest trzynaście miejsc. Przy miejscu na jego szczytce leżał notes i długopis, ale przy każdym z pozostałych oprócz notesu i długopisu były jeszcze dwa inne przedmioty, na których widok Jasmine w końcu zrozumiała plan Toma. Krew uderzyła jej do głowy, gdy ujrzała strzykawkę i szklaną fiolkę surowicy ułożone równo na stole przy każdym fotelu. Gdy przyjrzała się im uważnie, zobaczyła, że każda z fiolek opatrzona jest odręcznie wypisaną naklejką z nazwiskiem odbiorcy.

- A więc - powiedziała w końcu, starając się panować nad głosem i nie wiedząc, co o tym myśleć - to właśnie robiłeś przez ostatnie trzy tygodnie? Latałeś po całym świecie i rekrutowałeś swoich dwunastu apostołów.

Tom się uśmiechnął.

- Wolałbym widzieć w nich ławę przysięgłych niż apostołów. Sędziów, którzy pomogą nam zdecydować, co zrobić z tym tak zwanym cudownym szczepem. Dwanaścioro ludzi z całego świata. Większość z nich to lekarze albo pielęgniarki. Ale nie wszyscy. Łączy ich jedno: szanuję i ufam każdemu z nich i motywom ich postępowania.

Przerwał i wziął Jasmine pod rękę, prowadząc ją do drzwi.

- Widzę to tak: ta dwunastka powinna spotykać się w regularnych odstępach czasu i czuwać nad tym, ile dobrego czy złego, według nas, robimy. A potem, jeśli tak będzie trzeba, dorobimy więcej surowicy i zwerbujemy więcej podobnie myślących ludzi albo utrzymamy ich dwanaścioro, zastępując tych, którzy umrą. Jeżeli zaś wszystko to okaże się katastrofą, po prostu porzucimy cały plan. W ten sposób będziemy przynajmniej kontrolować efekt, jaki mogą mieć geny. Czynić dobro bez kuszenia zła, jeśli wolisz.

Stali już w drzwiach; Jasmine kręciło się w głowie, nie wiedziała, po co tu jest. Kiedy weszli, wszyscy zebrani odwrócili się w ich stronę i uśmiechnęli, a potem szybko każdy stanął przy miejscu ze swoją podpisaną fiolką.

Jasmine pociągnęła Toma za rękaw.

- Tom, wyjawiałeś mi swój plan - szepnęła. - Nie muszę tu już dłużej zostawać.

Jego duże, niebieskie oczy zrobiły się z zaskoczenia jeszcze większe, a potem się zwęziły, gdy z niedowierzaniem się uśmiechnął.

- Myślałem, że to oczywiste - powiedział. - Geny Nazaret należą się tobie nie mniej niż komukolwiek innemu.

A potem wskazał ostatnie wolne miejsce na prawo od własnego.

Obok strzykawki leżała tam mała szklana fiolka. Na nalepce Jasmine przeczytała nazwisko, wypisane charakterem pisma Toma: Doktor *Jasmine Washington*.

Zanim jednak zdołała ogarnąć konsekwencje posiadania uzdrowicielskich genów, Tom odwrócił się do zebranych, wciąż stojących przy swoich miejscach.

- Witam państwa - powiedział - i dziękuję za przybycie. Zanim przejdziemy do sedna sprawy, proponuję, żebyśmy usiedli. Chcę państwu zadać dość ważne pytanie...

EPILOG

Trzy miesiące później

Wysoki mężczyzna zsiadł sztywno z konia. Nie był urodzonym jeźdźcem, ale konno najwygodniej było się dostać w to odludne miejsce. Mógł przylecieć śmigłowcem; miał dostęp do niemal nieograniczonych funduszy. Zdradziły mu to liczne konta w genewskich bankach. Musiał jednak przeszukać okolicę dyskretnie, a koń zapewniał swobodę ruchów i anonimowość.

Spojrzał na starożytną mapę - ją również znalazł w bankowych sejfach, tak jak powiedział mu przywódca - i przyjrzał się pięciu skałom sterczącym z piasku pustyni. Nie było tu nikogo, tylko czterej mężczyźni kuli w bezlitosnym słońcu kamień środkowej; ich kilofy równym rytmem spadały na twardą powierzchnię. Pracowali pod jego okiem od dwóch godzin, ale jak dotąd niczego nie znaleźli.

Uważnie przyjrzał się mapie; objeżdżając skały, porównywał ich rzeczywistą lokalizację z odpowiednikami na pergaminie. Symbol na mapie znajdował się dokładnie w tym samym miejscu, w którym kopali mężczyźni. Owszem, nikt nie korzystał z niego przez ponad tysiąc lat, ale wciąż powinien tam być i wciąż nadawać się do użytku, jeśli starożytni inżynierowie nie pomylili się w swoich obliczeniach.

Zdjął z głowy panamę o szerokim rondzie, otarł pot z tysej głowy i nasunął kapelusz z powrotem. Mrugając oczami za grubymi, okrągłymi szklami okularów, podszedł do mężczyzn.

Nagle jeden z nich wyprostował się i coś krzyknął. Nagi do pasa, podniósł kilof wysoko w górę i pomachał ręką.

Mężczyzna puścił się biegiem po nagrzanym piasku.

- Co znaleźliście?

Przysadzisty kopacz z kilofem wskazał otwór, który wykuli.

- Ojczy Helixie, spójrz!

Helix zajrzał do dziury i serce zabiło mu szybciej. Zobaczył charakterystyczny kanciasty kształt kamiennego nadproża; małe przejście. Chwycił kilof, zszedł do otworu i zaczął odłupywać skałę. Ale to nie była skała, tylko glina, kryjąca wejście przed niepożądanym okiem. Po kilku gorączkowych ciosach Helix odsłonił wysoki na metr dwadzieścia otwór prowadzący do tunelu.

- Latarka! Latarka! - zawołał.

Brat o kędzierzawej, pokrytej pyłem czarnej brodzie stał przy krnąbrnym wielbłądzie, objuczonym koszami ze sprzętem. Wyciągnął z jednego z nich trzy duże maglity. Helix chwycił latarkę i zajrzał w otwór.

Przed sobą, w snopie światła, zobaczył stromą rampę. Opadała pod kątem czterdziestu pięciu stopni, pokryta wyciętymi w skałe bruzdami, które przypominały ostre zęby. Nie było żadnej poręczy, by się złapać, ale co dziesięć metrów rampa zakręcała, więc śmiałek spadałby krótko. Helix nie miał jednak zamiaru ryzykować.

- Ostrożnie! - zawołał do dwóch idących za nim mężczyzn. - Nie chcę, żeby któryś z was zleciał na mnie.

Powietrze było zatechłe, od pokonywania gwałtownego uskołu bolały go uda, ale skupiał się na schodzeniu.

Dziesięć kroków. Zakręt. Dziesięć kroków. Zakręt.

Próbował liczyć zakręty, by opanować rosnące podniecenie, ale po czterdziestu stracił rachubę. Kiedy zaczynał już wątpić, czy kiedykolwiek zejdzie na sam dół, zobaczył coś przed sobą. Poczł uścisk w gardle i zgasił latarkę. Wciąż to widział, nawet tak głęboko pod ziemią - światełko, migoczące jak znak nawigacyjny w egipskich ciemnościach, było nie do pomylenia z niczym innym, a jego biały blask powiedział Helixsowi, że nie jest za późno.

Z przyływem nowej energii w zmęczonych mięśniach włączył latarkę i szybko pokonał ostatni, dziesięciometrowy spadek. Znalazł się w niewielkim pomieszczeniu, półtora na półtora metra. Przed sobą miał kamienne drzwi, obok nich grubą, drewnianą, zbędną już dźwignię - drzwi pękły od góry do dołu i można było precisnąć się przez szparę. Po drugiej stronie czysty biały płomień płał jeszcze żywiej, niż Helix pamiętał.

Zatrzymał się, czekając na swych towarzyszy. W końcu stanęli za nim, dysząc z wyczerpania i podziwu.

- Zostańcie tu! - rozkazał. - Kiedy się rozejrzę, zawołam was.

Ignorując rozczarowanie na ich twarzach, przecisnął się przez szczelinę. Niewiele brakowało, a wchodząc do Krypty Pamięci, wpadłby w paskudną rozpadlinę, biegnącą przez całą podłogę. Święty Ogień na drugim jej końcu oświetlał stos zwęglonych szczątków w drzwiach między kryptą a przedsionkiem. Helix wiedział, że za przedsionkiem znajdują się szczątki Świętej Groty, w której ogień płonął na początku. Jeszcze raz podziękował Bogu za ocalenie, przypominając sobie, jak w zamieszaniu umknął spod walących się skał.

Po swojej prawej stronie miał zasłoniętą wnękę, skrywającą złote tabernakulum i relikwie Chrystusa. Tajemne przejście, którym tu wszedł, było zupełnie niewidoczne od strony krypty. Czy rzeczywiście minęły zaledwie cztery miesiące, odkąd był tu po rytualne olejki i zioła, którymi namaszczał ciało Marii?

Rozejrzał się po krypcie. Drabinka sznurowa zniknęła, w jej miejscu pozostał tylko wypalony ślad. Poza poczerniałym sklepieniem i szczątkami w wejściu zniszczenia były zadziwiająco niewielkie. Żaden z artefaktów po obu stronach szczeliny nie został uszkodzony. Tylko wielki miecz wydawał się brać udział w tym, co się tu stało; jego ostrze było przecięte w miejscu, gdzie leżało w poprzek szczeliny.

Helix ostrożnie podszedł do szczątków przy drzwiach. Szybko zdał sobie sprawę, że to szczątki ludzkie, a kiedy zobaczył pierścień z rubinem na zwęglonym palcu, zrozumiał, kto tu zginął.

Skrzywił się, nachylił i wziął pierścień, wycierając go o koszulę. Stał sadzę i z podziwem popatrzył na krwistoczerwony klejnot; lśnił własnym blaskiem jak rozżarzony węgiel. Oprawa z białego złota poczerniała, poza tym jednak pozostała nietknięta. Drżącymi dłońmi Helix wsunął pierścień na swój palec; pasował idealnie. Nagle zalała go fala uczuć.

Kiedy został mistrzem Pierwszego Imperatywu, pouczone go o okolicznościach zajęcia miejsca Ezekiela De La Croix. Pokazano mu wszystkie mechanizmy przywództwa; konta Bractwa; sejfy ze starożytnymi mapami; listy członków i oryginalną dokumentację zasad i celów organizacji. Ale w chaosie wydarzeń sprzed czterech miesięcy Helix nie czuł tak naprawdę, że jego następstwo zostało usankcjonowane - aż do chwili kiedy wsunął na palec pierścień z rubinem. Ta swoista koronacja symbolizowała przejście przywództwa i uświadomiła mu w pełni spoczywające na nim, choć

zaszczytne, brzemie obowiazku. Zdjal grube okulary i zakurzonym rękawem otarl oczy, zanim jeszcze zdał sobie sprawe, ze sa pelne łez.

Wzial sie w garść i wyprostowal. Juz mial wezwac dwóch braci czekających cierpliwie za pękniętymi drzwiami, kiedy dostrzegł mniejszy stosik popiołu obok zwęglonego ciała Ezekiela i kilkucentymetrowy kwadracik białego płótna.

Zaschło mu w ustach.

Myśli o pierścieniu i przywództwie Bractwa Powtórnego Przyjścia pochłoneły go tak bardzo, że na moment zapomniął o celu istnienia tej organizacji. Ukląkł na kamiennej podłodze i przyjrzał się popiołom. Czarne płaszczyzny i kontury wyglądały jak rozwinięte zawoje zwęglonego materiału. Dotknął stosiku, a on rozsypał się w pył. Helix podniósł nadpalony kwadracik płótna. Z przesadnym spokojem podniósł go do nosa. Materiał pachniał dymem, ale wyczuwalny był też inny zapach: mdły aromat rytualnych ziół i olejków.

Ten skrawek płótna był wszystkim, co pozostało z całunu, który sam Helix pomagał przygotować cztery miesiące temu.

Ale po ciele, które spowijał, nie pozostał żaden ślad.

OD AUTORA

Chociaż akcja tej powieści osadzona jest w niedalekiej przyszłości, wiele z opisanych tu technologii jest już dostępnych.

Terapia genowa jest znana od lat, tak jak „Projekt Ludzkiego Genomu”, który został ukończony 14 kwietnia 2003 roku (dokładnie 50 lat po odkryciu struktury DNA). Wtedy oznaczone zostały wszystkie geny stanowiące o konstrukcji człowieka.

Genoskop Toma Cartera to produkt mojej wyobraźni, ale urządzenia o zbliżonym działaniu zostały z powodzeniem wykorzystane podczas badań nad ludzkim genomem. Nawet w chwili kiedy piszę te słowa, sekwencje DNA są podstawą przewidywań dotyczących długości życia pacjentów czy prawdopodobieństwa wystąpienia nowotworów.

Podobnie oprogramowanie GenoDzin Jasmine Washington jest przedłużeniem tego, co już w tej chwili opracowują amerykańskie agencje egzekwowania prawa - tworzenia na podstawie DNA podobizn osób podejrzanych.

Nauka idzie do przodu w takim tempie, że podczas moich przygotowań okazało się, iż najbardziej dręczące nas pytania częściej odnoszą się do przeszłości niż przyszłości.

Zwłaszcza dwa z nich wciąż mnie nurtują:

Czy w dzisiejszych czasach można znaleźć autentyczną, biologiczną relikwię Chrystusa? A jeśli tak, co by nam zdradziła?

Michael Cordy

Londyn, kwiecień 2004

PODZIĘKOWANIA

*Niełatwo jest porzucić dobrą posadę po to, by napisać swoją pierwszą powieść, i to tylko dlatego, że człowiekowi chodzi po głowie pomysł, który nie daje mu spokoju - tym bardziej kiedy nie masz pojęcia, z czym się to wiąże. Na szczęście, w tym przedsięwzięciu mogłem liczyć na pomoc mojej żony, kobiety niezwyklej odwagi i wiary. Jenny nie tylko udzielała mi wsparcia finansowego i duchowego, ale i umocniła mnie w postanowieniu, by odejść z pracy, i pomogła na wczesnym etapie zbierania materiałów, odnajdując istotne artykuły i kluczowe książki, takie jak *Perilous Knowledge* (Niebezpieczna wiedza) Toma Wilkiego i *The Transformed Celi* (Odmieniona komórka) Stevena A. Rosenberga.*

Jenny była też moją pierwszą czytelniczką, redaktorką i konsultantką. Wspólnie ustaliliśmy, które pomysły są dobre, a które nie. Jako mój najsurowszy krytyk i najzagorzalszy zwolennik bezustannie podpowiadała mi, jak uczynić takie postacie, jak Kaznodziejka, ciekawszymi, i co zrobić, by ulepszyć fabułę. Bez cienia przesady mogę stwierdzić, że ta książka nie powstałaby bez niej.

Wielkie podziękowania należą się też moim rodzicom, Betty i Johnowi, którzy od początku dodawali mi otuchy, a zwłaszcza matce, która podczas powstawania powieści wypowiadała bezcenne opinie na jej temat.

Za weryfikację i uzupełnienie mojej wiedzy w dziedzinie genetyki wdzięczny jestem Susan Robinson, która znalazła dla mnie czas. Choć pracowała nad doktoratem z inżynierii biochemicznej na londyńskim University College. Jest jednak oczywiste, że za wszystkie niewychwycone błędy odpowiadam ja i tylko ja.

Dziękuję moim innym pierwszym czytelnikom: Kathryn Leach, Andrew Sutcliffe'owi, Annie Bharier i mojemu bratu Robertowi Cordy'emu za konstruk-

t)wną krytyką. Moim przyjaciółom Charliemu Trierowi i Andrew Walkerowi za wsparcie Mojemu niezrównanemu agentowi Patrickowi Walshowi za zainteresowanie wydawców moim manuskrytem i Billowi Scott-Kerrowi za wnikliwą i uważną redakcję tekstu.